Michael Grant

GONE

ZNIKNĘLI

Faza druga : Głód

Dla Katherine, Jake'a i Julii

Rozdział 1

106 GODZIN, 29 MINUT

Sam Temple pływał na desce. Fale były fantastyczne, wysokie, spienione, szumiące i pachnące solą.
Znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, w miejscu idealnym, żeby złapać falę. Leżał twarzą w dół, z rękami i nogami w wodzie, niemal zesztywniały z zimna. Z jego wystawionych na słońce pleców, okrytych piankowym kombinezonem, unosiła się para.
Quinn unosił się nieopodal; razem czekali na dobrą falę, taką, która porwie ich gwałtownie i poniesie w stronę brzegu.
Sam przebudził się nagle, krztusząc się pyłem.
Zamrugał powiekami i rozejrzał się po suchej okolicy. Instynktownie zwrócił wzrok na południowy zachód, w kierunku oceanu. Stąd go nie widział. A fal nie było już od dawna.
Pomyślał, że oddałby duszę ze jedną tylko przejażdżkę na prawdziwej fali.
Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Słońce paliło niczym pochodnia, zbyt gorące jak na tak wczesną porę. Spał za krótko i miał zbyt wiele spraw na głowie. Sprawy. Ciągle jakieś sprawy.
Skwar, dźwięk silnika i rytmiczne szarpnięcia jeepa, zjeżdżającego pylistą drogą, skłoniły go do ponownego zamknięcia oczu. Mocno zacisnął powieki, po czym otworzył je, by nie zasnąć.
Sen go nie opuścił. Wspomnienia szydziły z niego. Powiedział sobie w duchu, że znacznie lepiej znosiłby wszystko – ciągły strach, nieustanny

ciężar drobnych spraw i odpowiedzialności. Gdyby na morzu były fale... Nie było ich jednak od trzech miesięcy. Żadnych fal, jedynie drobne zmarszczki.

Trzy miesiące po nastaniu ETAP-u Sam nadal nie umiał prowadzić samochodu. Nauka jazdy stałaby się kolejnym kłopotem, kolejnym utrapieniem. A zatem jeepem kierował Edilio Escobar; Sam miał baczenie na wszystko. Z tyłu siedział Albert Hillsborough, sztywny, jakby kij połknął, i milczący. Miejsce obok niego zajął chłopak zwany E. Z., który podśpiewywał, słuchając muzyki z iPoda.

Sam przeciągnął palcami po włosach, stanowczo zbyt długich. Nie strzygł ich od ponad trzech miesięcy. Jego dłoń była brudna, uwalana pyłem. Na szczęście, w Perdido Beach nadal działała elektryczność, co oznaczało, że mieli światło, a także, co może ważniejsze, ciepłą wodę. Skoro nie mógł liczyć na chłodne fale, czekał przynajmniej na długi gorący prysznic po powrocie do domu.

Prysznic. Może kilka minut z Astrid, tylko we dwoje. Posiłek. Nie, właściwie nie posiłek. Puszkę jakiejś brei trudno było tak nazwać. Na śniadanie pochłonął dziś w pośpiechu puszkę kapusty.

Nie do wiary, czym człowiek może się zadowolić, jeśli tylko jest wystarczająco głodny. A Sam, jak pozostali w ETAP-ie, był głodny. Zamknął oczy, choć nie odczuwał senności, chciał tylko ujrzeć pod powiekami twarz Astrid.

Stanowiła jedyną pociechę. Stracił matkę, ulubione hobby, prywatność, wolność, cały świat, który znał... ale zyskał Astrid.

Przed ETAP-em zawsze uważał ją za niedostępną. Teraz, jako para, wydawali się sobie przeznaczeni. Zastanawiał się jednak, czy

kiedykolwiek zdobyłby się na coś więcej niż tęskne spojrzenia, gdyby nie ETAP.

Edilio lekko przyhamował. Nawierzchnia przed nimi poznaczona była żłobieniami. Ktoś zrył polną drogę grubymi, ukośnymi liniami.

Chłopak wskazał traktor z przymocowanym z przodu pługiem.

Ciągnik leżał wywrócony na środku pola. W dniu, w którym zaczął się ETAP, farmer zniknął, razem z resztą dorosłych, ale traktor jechał dalej, przeorał drogę, przetoczył się na sąsiednie pole i zatrzymał się dopiero na rowie nawadniającym.

Edilio w żółwim tempie przeprowadził jeepa przez bruzdy, po czym znowu nabrał prędkości.

Po bokach drogi nie było właściwie nic, jedynie pył, leżące odłogiem pola i kępki bezbarwnej trawy, a gdzieniegdzie samotne drzewa. Dalej jednak rozpościerała się zieleń.

Sam odwrócił się w fotelu, by zwrócić na siebie uwagę Alberta.

– Powiedz jeszcze raz, co to jest?

– Kapusta – odparł Albert. Był zamkniętym w sobie ósmoklasistą. Nosił wyprasowane spodnie koloru khaki, bladoniebieską koszulkę polo i brązowe mokasyny. Styl, który ktoś znacznie starszy określiłby jako biznesowo-sportowy. Wcześniej nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi, należał po prostu do nielicznych czarnoskórych uczniów w szkole w Perdido Beach. Teraz jednak już go nie ignorowano. To on ponownie otworzył i prowadził miejscowy bar McDonald's. W każdym razie do czasu, gdy skończyły się hamburgery, frytki i nuggetsy z kurczaka.

Nawet keczup. Teraz i keczup się skończył.

Na samo wspomnienie hamburgerów Samowi zaburczało w brzuchu.

– Kapusta? – powtórzył.

Albert ruchem głowy wskazał Edilia.

– Tak mówi Edilio. Wczoraj ją znalazł.

– Kapusta? – zwrócił się Sam do Edilia.

– Puszcza się po niej bąki – odparł tamten i puścił oko.

– Ale nie możemy być zbyt wybredni.

– Surówka z kapusty nie byłaby taka zła – stwierdził Sam. – Prawdę mówiąc, chętnie bym ją teraz zjadł.

– Wiecie, co jadłem na śniadanie? – spytał Edilio.

– Puszkę succotashu.

– A co to właściwie jest? – zdziwił się Sam.

– Fasola i kukurydza. Wymieszane. – Edilio zahamował na skraju pola. – Trudno porównać takie jedzenie z jajkami sadzonymi na bekonie.

– Czy to narodowe śniadanie honduraskie? – spytał Sam.

Edilio parsknął.

– Stary, narodowe śniadanie honduraskie, kiedy jesteś biedny, to kukurydziana tortilla, resztki fasoli, a w dobry dzień jeszcze banan. W gorszy musisz zadowolić się samą tortilla. – Zgasił silnik i zaciągnął hamulec ręczny. – Nie pierwszy raz jestem głodny.

Sam stanął w jeepie, przeciągnął się, po czym zeskoczył na ziemię. Był dobrze zbudowany, ale nie miał budzącej lęk postury osiłka. Miał kasztanowe włosy ze złocistymi pasmami, niebieskie oczy i oliwkową opaleniznę. Może był trochę wyższy niż przeciętny chłopak w jego wieku, może nieco bardziej wysportowany, ale daleko mu było do

zawodowego futbolisty.

Sam Temple był jednym z dwóch najstarszych mieszkańców ETAP-u. Miał piętnaście lat.

– Ej! To wygląda jak sałata – stwierdził E. Z. , starannie owijając słuchawki wokół iPoda.

– Byłoby świetnie – powiedział Sam posępnie. – Na razie mamy awokado, i dobrze, no i melony, i to też jest super. Ale gromadzimy zdecydowanie za dużo brokułów i karczochów. Mnóstwo karczochów. A teraz jeszcze ta kapusta.

– Może kiedyś zbierzemy też pomarańcze – odezwał się Edilio. – Drzewa wyglądały w porządku. Po prostu owoce dojrzały i nikt ich nie zerwał, więc zgniły.

– Astrid mówi, że różne rzeczy dojrzewają w dziwnych porach – przypomniał Sam. – To nie jest normalne.

– Jak mawia Quinn, daleko nam do normalności – zauważył Edilio.

– Zbierzemy je wszystkie? – zastanawiał się głośno Sam. Astrid nazwałaby to pytaniem retorycznym.

Albert zaczął coś mówić, ale zamilkł, gdy odezwał się E. Z. :

– Ej, od razu wezmę sobie jedną kapustę. Padam z głodu. – Odwinął słuchawki i ponownie wetknął je w uszy.

Główki kapusty rosły w rzędach, w odstępach mniej więcej trzydziestocentymetrowych. Ziemia między nimi była spękana i sucha. Kapusta wyglądała bardziej jak rośliny doniczkowe o grubych liściach, niż jak coś, co nadaje się do jedzenia.

Pole nie różniło się zbytnio od tuzina innych pól, które Sam widział podczas objazdu po farmach.

Nie, poprawił się w myślach, jest pewna różnica. Nie umiał stwierdzić, na czym ona polega. Zmarszczył brwi, próbując rozpoznać i nazwać doznawane uczucia, zrozumieć, dlaczego ma wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Może było ciszej.

Pociągnął łyk wody z butelki. Słyszał, jak Albert liczy pod nosem, osłaniając oczy dłonią i mnożąc.

– Tak pi razy oko kapusta waży z siedemdziesiąt pięć deka, nie? Wydaje mi się, że znaleźliśmy z półtorej tony kapusty.

– Wolę nie myśleć, na ile bąków się to przekłada – zawołał przez ramię E. Z. , idąc dziarskim krokiem na pole.

E. Z. chodził do szóstej klasy, ale wydawał się starszy. Był wysoki, jak na swój wiek, i nieco pulchny. Cienkie, jasne włosy sięgały mu ramion. Nosił koszulkę z Hard Rock Cafe w Canciin. Łatwo się było z nim dogadać, chętnie żartował, lubił się śmiać i zwykle w każdej sytuacji potrafił znaleźć coś zabawnego. Zatrzymał się, minąwszy ze dwadzieścia rzędów kapusty, i powiedział:

– To chyba rzeczywiście kapusta.

– Po czym poznajesz? – zawołał Edilio.

E. Z. wyciągnął z ucha jedną słuchawkę i Edilio powtórzył pytanie.

– Zmęczyło mnie to łażenie. To musi być dobra kapusta. Kurczę, jak ją zerwać?

Edilio wzruszył ramionami.

– Stary, myślę, że potrzebny ci nóż.

– E tam. – E. Z. wsunął słuchawkę z powrotem do ucha, pochylił się i pociągnął za kapustę. W dłoniach została mu garść liści.

– Już wiesz, o czym mówię – rzucił Edilio.

– Gdzie ptaki? – zainteresował się Sam, który w końcu zrozumiał, co mu nie pasuje.

– Jakie ptaki? – spytał Edilio. A potem skinął głową.

– Masz rację, stary, do tej pory nad polami latały mewy. Zwłaszcza rano.

W Perdido Beach żyła spora populacja mew. W dawnych czasach ptaki żywiły się resztkami przynęty, zostawionymi przez wędkarzy, i odpadkami, upuszczonymi przy śmietnikach. Teraz w ETAP-ie nie było już odpadków. A zatem przedsiębiorcze mewy przeniosły się na pola, by konkurować z wronami i gołębiami. Między innymi dlatego znaczna część żywności, którą znajdowali, do niczego się nie nadawała.

– Widocznie nie lubią kapusty – uznał Albert. Po chwili westchnął. – Właściwie nie znam nikogo, kto by ją lubił.

E. Z. przykucnął przed kapustą, zatarł ręce i wsunął je pod liście, by objąć roślinę od spodu. Po chwili upadł na pośladki.

– Au! – krzyknął.

– To nie takie łatwe, co? – zakpił Edilio.

– Au! Au! – E. Z. skoczył na równe nogi. Prawą dłoń ściskał w lewej i wbijał w nią spojrzenie. – Nie, nie, nie.

Sam słuchał tego wszystkiego niezbyt uważnie. Myślami błądził gdzie indziej, zastanawiały go nieobecne ptaki, ale przerażenie w głosie E. Z. sprawiło, że szybko odwrócił głowę.

– Co się stało?

– Coś mnie ugryzło! – krzyknął E. Z. – Ojoj, boli! Boli! Bo... – wydał z

siebie pełen cierpienia krzyk. Jego ton, z początku niski, wzbijał się coraz wyżej, osiągając poziom histerii.

Na jego nogawce Sam dostrzegł coś, co wyglądało jak czarny znak zapytania.

– Wąż! – rzucił szybko do Edilia.

Ręka E. Z. skurczyła się i zatrzęsła gwałtownie. Zupełnie jakby jakiś niewidzialny olbrzym trzymał ją i szarpał z całą mocą.

E. Z. krzyczał i krzyczał, a po chwili rozpoczął opętańczy taniec.

– W mojej nogawce! – wrzasnął. – W mojej nogawce!

Przez kilka sekund Sam stał jak sparaliżowany. Przez kilka sekund, ale później, we wspomnieniach, czas ten będzie mu się wydawał długi. Zbyt długi.

Skoczył naprzód i pognał w stronę E. Z. Edilio podciął go i powalił na ziemię.

– Co ty wyprawiasz! – zawołał Sam, usiłując się uwolnić.

– Stary, popatrz. Popatrz! – szepnął kolega.

Twarz Sama znajdowała się ledwie o pół metra od pierwszego rzędu kapusty. Ziemia żyła. Dżdżownice. Dżdżownice wielkości zaskrońców wypełzały z ziemi. Setki. Może tysiące. Wszystkie kierowały się w stronę E. Z. , który znowu krzyknął, a w jego głosie słychać było ból i przerażenie.

Sam wstał, ale nie zbliżył się do krawędzi pola. Dżdżownice nie przedostawały się przez granicę z pierwszej zaoranej skiby. Zupełnie jakby stała tam jakaś ściana, której nie mogły sforsować.

E. Z. ruszył chwiejnym krokiem w stronę Sama, jak porażony prądem, trzęsąc się i zataczając, niby oszalała marionetka, której

obcięto połowę sznurków.

Sam zobaczył nagle, jak dżdżownice wyskakują ze skóry na gardle chłopaka.

A potem jeszcze jedna wyłoniła się ze szczęki, w okolicy ucha.

E. Z. już nie krzyczał. Osunął się bezwładnie na ziemię i usiadł po turecku.

– Pomóż mi... – szepnął. – Sam...

Wbił w niego spojrzenie – błagalne, gasnące. A potem już tylko tępo patrzył.

Teraz wokół rozbrzmiewały jedynie dźwięki wydawane przez dżdżownice. Setki otworów gębowych zdawało się wydawać ten sam odgłos, niby jedna wielka, mlaszcząca paszcza.

Następny osobnik wypełzł z ust E. Z. Sam uniósł ręce, otwierając dłonie.

– Sam, nie! – krzyknął Albert. I ciszej dodał: – On już nie żyje. On już nie żyje.

– Albert ma rację, stary. Nie rób tego, nie pal ich, trzymają się tego pola, nie dawaj im powodu, żeby nas goniły – wysyczał Edilio. Jego silne dłonie wciąż wpijały się w ramiona Sama, jakby chłopak starał się go powstrzymać.

– I nie dotykaj go – załkał Edilio. – ***Pedóneme,*** **Boże, wybacz mi, nie dotykaj go.**

Czarne dżdżownice kłębiły się na całym ciele E. Z. niczym mrówki, które oblazły zdechłego chrząszcza.

Zdawało się, że minęło bardzo wiele czasu, zanim robale odpełzły i schowały się z powrotem pod ziemią.

W tym, co pozostało, nie dało się już rozpoznać istoty ludzkiej.

– Tu jest lina – powiedział Albert, wysiadając wreszcie z jeepa. Próbował zrobić lasso, ale ręce za bardzo mu się trzęsły. Podał linę Ediliowi, który skręcił pętlę i po sześciu nieudanych próbach zdołał wreszcie pochwycić to, co zostało z prawej stopy E. Z. Razem ściągnęli szczątki z pola.

Wypełzła z nich pojedyncza spóźniona dżdżownica, która od razu ruszyła z powrotem w stronę kapusty. Sam złapał kamień wielkości piłki bejsbolowej i rzucił nim w oddalające się stworzenie. Przestało się poruszać.

– Wrócę z łopatą – odezwał się Edilio. – Nie możemy zabrać go do domu, ma dwóch młodszych braci. Nie powinni go oglądać w takim stanie. Pochowamy go tutaj. Jeśli one się rozlezą... – zaczął.

– Jeśli się rozlezą na inne pola, będziemy głodować – oświadczył Albert.

Sam z trudem powstrzymywał wymioty. Po E. Z. pozostały głównie nie do końca objedzone kości. Sam widział straszne rzeczy, odkąd zaczął się ETAP, ale jeszcze nic nie wyglądało aż tak makabrycznie.

Wytarł ręce o dżinsy. Pragnął zaatakować, wiedział jednak, że wysadzenie pola w powietrze nie ma sensu; chciał spalić te pełzające bestie.

Ale tam była żywność.

Ukląkł przy bezkształtnej masie na ziemi.

– Dobry był z ciebie chłopak, E. Z. Przepraszam. Ja... przepraszam. – Z iPoda wciąż rozbrzmiewała muzyka, cichutka, ale rozpoznawalna.

Sam podniósł lśniący odtwarzacz i stuknął w ikonkę pauzy.

Potem wstał i jak najdalej kopnął martwą dżdżownicę. Wyciągnął ręce, jakby był duchownym, który zamierza pobłogosławić ciało.
Albert i Edilio zrozumieli, co się stanie. Obaj się cofnęli.
Z dłoni Sama wystrzeliło oślepiające światło.
Zwłoki zapłonęły, zaskwierczały i poczerniały. Pod wpływem gorąca kości trzeszczały głośno. Po chwili Sam przerwał. Na ziemi pozostał tylko popiół, kupka szaro-czarnego popiołu, która wyglądała niby ślady po grillu w ogródku.

– Nic nie mogłeś zrobić, Sam – powiedział Edilio, który znał ten wyraz twarzy przyjaciela, ten szary, nieszczęsny wyraz poczucia winy.
– To ETAP, stary. To po prostu ETAP.

Rozdział 2

106 GODZIN, 16 MINUT

Dach był przekrzywiony. Prażące jasne światło wbijało się ostrym promieniem prosto w oko Caine'a przez szczelinę pomiędzy zwaloną ścianą a zapadającym się dachem.

Caine leżał na plecach i pocił się w poduszkę bez poszewki. Wilgotne prześcieradło, owinięte wokół jego nóg, zakrywało też do połowy nagi tors. Znowu nie spał, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Miał taką nadzieję.

To nie było jego łóżko. Należało do starego Mose'a, który dbał o boiska w Coates Academy.

Oczywiście, już go nie było. Odszedł razem z innymi dorosłymi. I starszymi dzieciakami. Ze wszystkimi... niemal wszystkimi... którzy mieli skończone piętnaście lat. Oni odeszli.

Dokąd?

Nikt nie wiedział.

Po prostu odeszli. Za barierę. Poza olbrzymie akwarium, zwane ETAP-em. Może umarli. A może nie. Ale bez wątpienia tu ich nie było.

Diana kopniakiem otworzyła drzwi. Niosła tacę, na której stała butelka wody i puszka fasoli.

– Jesteś przykryty? – spytała Diana.

Nie odpowiedział. Nie zrozumiał pytania.

– Jesteś zasłonięty? – spytała znowu, tym razem z irytacją w głosie.

Postawiła tacę na stoliku.

Caine nie raczył odpowiedzieć. Usiadł. Zawirowało mu w głowie. Sięgnął po wodę.

– Dlaczego dach jest w takim stanie? A gdyby zaczęło padać? – Zaskoczyło go brzmienie własnego głosu. Chrypiał. W jego tonie nie było nic ze zwykłej przekonującej płynności.

Diana była bezlitosna.

– Co z tobą? Nie dość, że zwariowałeś, to jeszcze straciłeś resztki inteligencji?

Przeniknęło go widmowe wspomnienie i poczuł się nieswojo.

– Coś zrobiłem?

– Uniosłeś dach w górę.

Odwrócił swoje dłonie i popatrzył na nie z uwagą.

– Tak?

– Kolejny koszmar – powiedziała.

Odkręcił butelkę i się napił.

– Teraz pamiętam. Myślałem, że mnie miażdży. Myślałem, że coś nadepnie na dom i zgniecie mnie. Więc to odepchnąłem.

– Mhm. Zjedz trochę fasoli.

– Nie lubię fasoli.

– Nikt nie lubi – odparła. – Ale to nie jest restauracja Applebee's. A ja nie jestem twoją kelnerką. Mamy tylko fasolę. Więc ją jedz. Musisz jeść.

Caine zmarszczył brwi.

– Długo jestem taki? – spytał.

– Jaki? – Diana przedrzeźniała jego głos. – Jak pacjent psychiatryka, który nie odróżnia jawy od snu?

Skinął głową. Zapach fasoli przyprawiał go o mdłości. Nagle jednak poczuł głód. I przypomniał sobie, że żywności brakuje. Wracała mu pamięć. Szaleńcze urojenia blakły. Może nie dosięgał jeszcze normalności, ale już ją przed sobą widział.

– Trzy miesiące, plus minus tydzień – powiedziała Diana. – Mieliśmy wielką strzelaninę w Perdido Beach. Odszedłeś na pustynię z Przywódcą Stada, nie było cię trzy dni. Wróciłeś blady, odwodniony i... no, taki jak teraz.

– Przywódca Stada. – Caine skrzywił się na te słowa i na wspomnienie stworzenia, które określały. Przywódca Stada, dominujący kojot, ten, który posiadł, w ograniczonym stopniu, coś na kształt umiejętności mowy. Przywódca Stada, wierny sługa... czegoś. Tego czegoś w kopalnianej sztolni.

Ciemność. Tak to nazywały.

Caine zachwiał się, lecz zanim opadł na łóżko, Diana złapała go, chwyciła za ramiona i podtrzymała. Wtedy jednak dostrzegła ostrzegawczy błysk w jego oczach, zaklęła pod nosem i zdążyła podstawić mu kosz pod śmieci, gdy zaczął wymiotować.

Nie wyrzucił z siebie zbyt wiele. Zaledwie odrobinę żółtej cieczy.

– Cudnie. – Diana wydęła wargi. – Zmieniłam zdanie. Nie jedz żadnej fasoli. Nie chcę widzieć, jak wraca.

Caine przepłukał usta wodą.

– Dlaczego tu jesteśmy? To domek Mose'a.

– Bo jesteś zbyt niebezpieczny. Nikt w Coates nie chce, żebyś był w pobliżu, dopóki nie weźmiesz się w garść.

Zamrugał powiekami, gdy wróciło kolejne wspomnienie.

– Zrobiłem komuś krzywdę.

– Myślałeś, że Chunk to jakiś potwór. Wykrzykiwałeś pewne słowo. Gaiaphage. Potem rozwaliłeś nim ścianę.

– Nic mu nie jest?

– Caine, w kreskówkach koleś może przelecieć przez ścianę i wstać, jakby nic się nie stało. Ale to nie film. Ściana była z cegieł. Chunk wyglądał jak ścierwo na drodze. Jak potrącony szop, po którym samochody przejeżdżały przez kilka dni.

Tak ostre słowa brzmiały zbyt brutalnie nawet dla samej Diany.

– Przepraszam – opanowała się z trudem. – To nie było ładne. Nigdy nie lubiłam Chunka, ale o czymś takim nie jest łatwo zapomnieć.

– Trochę nie byłem sobą – stwierdził Caine.

Diana gniewnie otarła łzę.

– Delikatnie powiedziane.

– Chyba już mi lepiej – oznajmił. – Nie do końca dobrze. Nie do końca. Ale lepiej.

– No, co za szczęśliwy dzień – zauważyła sarkastycznie.

Pierwszy raz od kilku tygodni skupił wzrok na jej twarzy. Diana Ladris była piękna, miała wielkie, ciemne oczy, długie kasztanowe włosy i usta, które bez przerwy układały się w drwiący uśmiech.

– Mogłaś skończyć jak Chunk – rzekł. – Ale i tak się mną opiekowałaś.

Wzruszyła ramionami.

– To nowy, trudny świat. Mam wybór: trzymać się ciebie albo podjąć ryzyko z Drakiem.

– Drake. – To imię przywoływało mroczne obrazy. Sen czy rzeczywistość? – Co porabia Drake?

– Odgrywa Caine'a juniora. W duchu ma nadzieję, że po prostu umrzesz. Parę dni temu napadł na sklep spożywczy i ukradł trochę jedzenia. Prawie go polubili. Dzieciaki nie myślą trzeźwo, kiedy są godne.

– A mój brat?

– Sam?

– Chyba nie mam innego odnalezionego po latach brata, co?

– Robal parę razy sprawdzał, co się dzieje w mieście. Mówi, że dalej mają jeszcze trochę żarcia, ale zaczynają już mieć z tym problem. Zwłaszcza od napadu Drake'a. Ale Sam wciąż ma pełną władzę.

– Podaj mi spodnie – polecił Caine.

Zrobiła, o co poprosił, po czym ostentacyjnie się odwróciła, gdy je wkładał.

– Jaką mają obronę?

– Przede wszystkim pilnują teraz sklepu. Ralph's strzeżony jest przez czterech ludzi z bronią.

Skinął głową. Zgodnie ze starym nawykiem przygryzł paznokieć kciuka.

– A co z odmieńcami?

– Mają Dekkę, Briannę i Taylor. Mają Jacka. Może są z nimi też inni przydatni popaprańcy, Robal nie jest pewien. Jest z nimi Lana, która potrafi leczyć. No i Robal sądzi, że mają jakiegoś dzieciaka, który umie wytworzyć coś w rodzaju fali gorąca.

– Jak Sam?

– Nie. Sam to palnik acetylenowy. Tamten to bardziej mikrofalówka. Nie widzisz płomieni ani nic. Po prostu nagle głowa ci się gotuje jak burrito w kuchence.

– Ludzie dalej rozwijają swoje moce – stwierdził Caine. – A jak tutaj?

Diana wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Kto będzie na tyle szalony, żeby ujawnić się przed Drakiem? Na dole, w mieście, nowy mutant może liczyć na szacunek. A tutaj? Czeka go pewna śmierć.

– Tak – przyznał Caine. – To był błąd. Gnębienie odmieńców to był błąd. Potrzebujemy ich.

– W dodatku, oprócz być może paru nowych mupów, ludzie Sama mają broń maszynową. No i oczywiście Sama – powiedziała Diana. – Więc raczej nie róbmy niczego głupiego i nie próbujmy znów z nimi walczyć.

– Mupów?

– Skrót od mutanta. Mutanci-popaprańcy. Mupy. – Diana wzruszyła ramionami. – Mupy, mutki, cudaki. Brakuje nam jedzenia, ale nie przezwisk.

Koszulka Caine'a wisiała na oparciu krzesła. Sięgnął po nią, zachwiał się i zdawało się, że zaraz się przewróci. Diana go podtrzymała. Popatrzył surowo na jej dłoń na swoim ramieniu.

– Mogę chodzić.

Podniósł wzrok i przez chwilę dostrzegł swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Ledwie się poznał. Diana mówiła prawdę. Był blady, miał zapadnięte policzki. Jego oczy wydawały się zbyt duże w stosunku do twarzy.

– Zdaje się, że ci się poprawia. Znowu stajesz się nerwowym prostakiem.

– Ściągnij mi tu Robala. Robala i Drake'a. Chcę widzieć ich obu.

Diana ani drgnęła.

– Powiesz mi, co ci się stało na pustyni z Przywódcą Stada?

Caine prychnął.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Owszem – nalegała. – Chcę.

– Najważniejsze, że wróciłem – odrzekł Caine z całą brawurą, na jaką było go stać.

Diana skinęła głową. Przy tym ruchu jej włosy opadły, by pogładzić idealnie gładki policzek. Wilgotne oczy dziewczyny lśniły. Ale pełne wargi wydęły się w wyrazie niesmaku.

– Co to wszystko znaczy, Caine? Co to jest „gaiaphage"?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa.

Dlaczego ją okłamywał? Dlaczego miała wrażenie, że poznanie tego słowa mogło być niebezpieczne?

– Idź po nich – odprawił ją. – Przyprowadź Drake'a i Robala.

– Może trochę spokojniej? Upewnij się, że na pewno jesteś... Chciałam powiedzieć „zdrowy", ale chyba za wysoko zawiesiłabym poprzeczkę.

– Wróciłem – powtórzył Caine. – I mam plan.

Patrzyła na niego, z powątpiewaniem przechylając głowę na bok.

– Plan.

– Muszę zrobić parę rzeczy – stwierdził i spuścił głowę, niezdolny, by spojrzeć jej w oczy, z powodów, których sam nie rozumiał.

– Caine, nie rób tego – poprosiła. – Sam puścił cię żywego. Drugi raz tego nie uczyni.
– Chcesz, żebym coś z nim ustalił? Wypracował stały układ?
– Tak.
– I dobrze, właśnie to zamierzam zrobić. Będę z nim negocjował. Ale najpierw potrzebuję jakichś argumentów. I mam coś odpowiedniego.

Astrid Ellison przebywała z małym Petem w zarośniętym ogródku, gdy Sam przyniósł wieści i dżdżownicę. Pete się bujał. A ściśle rzecz biorąc, siedział na huśtawce, podczas gdy bujała go Astrid. Wyglądało na to, że zabawa mu się podoba.
Popychanie huśtawki niemal bez słowa czy choćby okrzyku radości braciszka stanowiło ciężką, monotonną pracę. Pete miał pięć lat i cierpiał na ciężki autyzm. Umiał mówić, ale na ogół tego nie robił. Od nastania ETAP-u stał się jeszcze bardziej wycofany. Może to była jej wina: nie kontynuowała terapii, nie wykonywała z nim wszystkich tych daremnych, bezsensownych ćwiczeń, które miały pomagać autystykom w zmierzeniu się z rzeczywistością.
Oczywiście, mały Pete stworzył sobie własną rzeczywistość. A pod pewnymi ważnymi względami stworzył ją także dla wszystkich pozostałych.
Ogródek nie należał do Astrid, to nie był jej dom. Jej dom spalił Drake Merwin. Ale akurat domów w Perdido Beach nie brakowało. W większości stały puste. I choć wiele dzieciaków zostało u siebie, niektóre uznały, że w ich pokojach i mieszkaniach kryje się zbyt wiele wspomnień. Astrid nie umiała zliczyć, ile razy widziała, jak ktoś

załamywał się i płakał, mówiąc o swojej mamie w kuchni, tacie przy kosiarce czy starszym rodzeństwie, okupującym pilota do telewizora. Wszyscy czuli się bardzo samotni. Samotność, strach i smutek dręczyły mieszkańców ETAP-u. Dzieciaki często postanawiały mieszkać razem, nieraz tak licznie, że tworzyło się coś w rodzaju internatów.

Ten dom Astrid dzieliła z Mary Terrafino, jej młodszym bratem Johnem, a coraz częściej także z Samem. Oficjalnie Sam mieszkał w nieużywanym gabinecie w ratuszu, gdzie spał na kanapie, gotował w mikrofalówce i korzystał z dawnej toalety dla interesantów. Było to jednak ponure miejsce i Astrid już kilka razy prosiła go, by uznał jej dom za swój. W końcu w pewnym sensie stanowili rodzinę. I przynajmniej symbolicznie byli pierwszą rodziną w ETAP-ie, zastępczymi rodzicami dla dzieci, które straciły matki i ojców.

Astrid usłyszała Sama, zanim go zobaczyła. Perdido Beach zawsze było małym sennym miasteczkiem, a teraz przez większość czasu panowała tu cisza niczym w kościele. Sam przemierzał dom, wołając ją po imieniu w kolejnych pomieszczeniach.

– Sam! – krzyknęła. Nie usłyszał jej jednak do chwili, gdy otworzył tylne drzwi i wyszedł na taras.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by wiedzieć, że stało się coś strasznego. Sam nie umiał ukrywać swoich uczuć, przynajmniej nie przed nią.

– Co jest? – spytała.

Nie odpowiedział, tylko przeszedł przez zachwaszczony, nierówny trawnik i ją objął. Przytuliła się do niego, cierpliwa, wiedząc, że

wszystko jej opowie, gdy tylko będzie mógł się na to zdobyć.

Zanurzył twarz w jej włosach. Jego oddech owionął kark Astrid, połaskotał ją w ucho. Cieszyła się, czując jego ciało przy swoim. Cieszyła się, że potrzebował jej bliskości. A jednak w tym uścisku nie było nic romantycznego.

W końcu ją puścił. Podszedł do huśtawki, by wyręczyć ją w bujaniu małego Pete'a, zdawało się, że potrzebuje jakiejś fizycznej czynności.

– E. Z. nie żyje – oznajmił bez ogródek. – Jeździliśmy po polach z Ediliem. Ja, Edilio, Albert i E. Z. , którego zabraliśmy, żeby było weselej. Wiesz. Był z nami bez żadnego powodu, po prostu chciał jechać, a ja się zgodziłem, bo mam wrażenie, że ciągle mówię wszystkim nie, nie i nie, a teraz on nie żyje.

Popychał huśtawkę mocniej niż ona. Mały Pete omal nie spadł w tył.

– O Boże. Jak to się stało?

– Robaki – odrzekł z przygnębieniem. – Jakieś dżdżownice. Albo węże. Nie wiem. Na blacie kuchennym leży taki jeden, martwy. Liczyłem, że ty... Nie wiem, na co liczyłem. Wydaje mi się, że jesteś specjalistką od mutacji. Mam rację?

Zdanie o specjalistce wypowiedział z cierpkim uśmiechem. Astrid nie była specjalistką w żadnej dziedzinie. Była po prostu jedyną osobą, której chciało się podjąć próbę usystematyzowania wydarzeń w ETAP-ie w sposób naukowy.

– Bujaj go dalej – zakomenderowała Astrid, wchodząc do domu.

Znalazła stworzenie w foliowym woreczku na blacie w kuchni. Wyglądało bardziej jak wąż niż dżdżownica, ale z pewnością nie było

zwykłym wężem.

Ostrożnie nacisnęła folię, w nadziei, że to coś naprawdę nie żyje. Rozłożyła na granitowym blacie płachtę woskowanego papieru i wyrzuciła na nią dżdżownicę. Otworzyła szufladę i wyciągnęła taśmę mierniczą, po czym nie bez trudu ułożyła ją przy wykręconym stworzeniu.

– Dwadzieścia osiem centymetrów – zanotowała w pamięci.

Następnie znalazła swój aparat fotograficzny i zrobiła kilkanaście zdjęć ze wszystkich stron, po czym za pomocą widelca włożyła gigantyczną dżdżownicę z powrotem do foliowego woreczka. Skopiowała zdjęcia do laptopa. Przeciągnęła je do folderu opisanego jako „Mutacje – Zdjęcia". Zawierał dziesiątki fotografii. Ptaki z dziwnymi pazurami lub dziobami. Niewielkie węże ze skrzydełkami, większe węże z dłuższymi skrzydłami. Jedno zdjęcie, zrobione z pewnej odległości, zdawało się przedstawiać grzechotnika wielkości małego pytona ze skórzastymi skrzydłami ogromnymi jak u orła. Miała też niewyraźne zdjęcie kojota dwa razy większego od zwykłych kojotów. I zbliżenie martwego kojociego pyska, w którym znajdował się dziwnie skrócony język o przerażająco ludzkim wyglądzie. Była też seria groteskowych plików .jpg z kotem, który stopił się w jedno z książką.

Inne fotografie przedstawiały dzieciaki, w większości wyglądające normalnie, choć chłopak zwany Orkiem kojarzył się nieco z potworem. Miała fotografię Sama, z którego rąk tryskało zielone światło. Nie cierpiała jej, bo Sam miał bardzo smutny wyraz twarzy, gdy demonstrował swoją moc przed obiektywem.

Astrid otworzyła zdjęcia i użyła funkcji powiększenia, by lepiej się im przyjrzeć.

Do pomieszczenia wszedł mały Pete, a w ślad za nim Sam.

– Spójrz na ten pysk – powiedziała oszołomiona Astrid.

Otwór gębowy stworzenia wyglądał jak u rekina. Nie dało się policzyć setek małych ząbków. Stwór zdawał się uśmiechać, nawet martwy.

– Dżdżownice nie mają zębów – stwierdziła dziewczyna.

– Nie miały. Teraz mają – odparł Sam.

– Widzisz te wyrostki ze wszystkich stron jej ciała? – Zmrużyła oczy i jeszcze bardziej powiększyła obraz. – Wyglądają jak, no nie wiem, miniaturowe płetwy. Jak kończyny, tyle że maleńkie, i są ich tysiące.

– Wlazły do wnętrza E. Z. Myślę, że przedostały się przez jego ręce. Przez buty. Przez skórę.

Astrid zadrżała.

– Te zęby przewierciłyby się przez wszystko. Te dżdżownice odpychają się nóżkami, kiedy już się znajdą w ciele ofiary.

– Na polu są ich tysiące – powiedział Sam. – E. Z. tam wszedł i go zaatakowały. Ale ja, Albert i Edilio nie weszliśmy na pole, a one zostawiły nas w spokoju.

– Terytorialność? – Astrid zmarszczyła brwi. – Bardzo niezwykłe u prymitywnych zwierząt. Terytorialność to zwykle cecha wyżej rozwiniętych stworzeń. Terytorialne są psy, a nie dżdżownice.

– Podchodzisz do tego bardzo spokojnie – zauważył Sam niemal oskarżycielskim tonem.

Popatrzyła na niego i wyciągnęła rękę, by delikatnie odwrócić go od

tego strasznego obrazu, zmuszając go, by w zamian popatrzył na nią.

– Nie przyszedłeś do mnie, żebym uciekła z krzykiem i żebyś mógł pokazać, jaki jesteś dzielny i opiekuńczy.

– Nie – przyznał. – Przepraszam. Masz rację. Nie przyszedłem do Astrid, swojej dziewczyny. Przyszedłem do Genialnej Astrid.

Astrid nigdy nie przepadała za tym przezwiskiem, ale je zaakceptowała. Zapewniało jej jakieś miejsce w oszołomionej, przestraszonej społeczności ETAP-u. Nie była Brianną ani Dekką, ani Samem, kimś obdarzonym wielką mocą. Miała swój mózg i umiejętność myślenia w sposób uporządkowany, gdy było to konieczne.

– Przeprowadzę sekcję i zobaczymy, czego się dowiem. Dobrze się czujesz?

– Jasne. Dlaczego nie? Dziś rano byłem odpowiedzialny za 332 osoby. Teraz odpowiadam tylko za 331. Jakaś część mnie niemal myśli: dobra, jedna gęba mniej do wykarmienia.

Astrid nachyliła się i lekko pocałowała go w usta.

– Tak, kiepsko być tobą – potwierdziła. – Ale nie mamy innego ciebie.

W odpowiedzi zobaczyła słaby uśmiech.

– To co, mam się zamknąć i wziąć do roboty? – spytał.

– Nie, nigdy się nie zamykaj. Mów mi wszystko. Mów mi, co chcesz.

Spuścił wzrok, unikając spojrzenia Astrid.

– Wszystko? Dobra, co powiesz na to: spaliłem ciało E. Z. Spaliłem te zmasakrowane szczątki, które zostawiły dżdżownice.

– On nie żył, Sam. Co miałeś zrobić? Zostawić go ptakom i

kojotom?

Skinął głową.

– Tak. Wiem. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że kiedy się palił... pachniał jak pieczone mięso, a ja... – Zamilkł, nie mogąc mówić dalej. Poczekała, aż zapanuje nad emocjami. – Martwy szostoklasista się palił, a mnie pociekła ślina.

Astrid mogła to sobie z łatwością wyobrazić. Jej też ciekła ślina na samą myśl o pieczonym mięsie.

– To normalna reakcja psychiczna. Ta część twojego mózgu reaguje automatycznie.

– Tak – powiedział bez przekonania.

– Słuchaj, nie możesz rozczulać się nad sobą dlatego, że stało się coś złego. Jeśli poddasz się beznadziei, zarazisz tym wszystkich innych.

– Nie potrzebują mojej pomocy, żeby poczuć się beznadziejnie – odparł.

– I pozwolisz mi, żebym cię ostrzygła – mówiła dalej Astrid, przyciągając Sama bliżej i jedną ręką tarmosząc mu włosy. Chciała odwrócić jego myśli od porannego nieszczęścia.

– Co? – Wydawał się zdezorientowany nagłą zmianą tematu.

– Wyglądasz, jakbyś uciekł z jakiegoś zespołu z lat siedemdziesiątych. Poza tym – dodała – Edilio poprosił, żebym obcięła mu włosy.

Sam pozwolił sobie na uśmiech.

– Tak. Widziałem. Może to dlatego bezwiednie nazywam go Bartem Simpsonem.

Gdy zgromiła go wzrokiem, dodał:

– Wiesz, ta nastroszona fryzura...

Próbował ją pocałować, ale się cofnęła.

– O, taki jesteś mądry? – parsknęła. – A może po prostu ogolę ci głowę? Albo wydepiluję woskiem? Obrażaj mnie dalej, to ludzie zaczną cię nazywać Homerem Simpsonem, a nie Bartem. Wtedy zobaczymy, czy Taylor będzie robiła do ciebie maślane oczy.

– Wcale nie robi do mnie maślanych oczu.

– Akurat. – Odepchnęła go żartobliwie.

– Tak czy siak, może dobrze bym wyglądał tylko z dwoma włosami – rzucił. Spojrzał na swoje odbicie w szklanych drzwiczkach mikrofalówki.

– Czy znasz znaczenie słowa „narcyz"? – spytała Astrid.

Roześmiał się. Chciał ją złapać, ale zauważył, że przygląda mu się mały Pete.

– No a jak tam Pete?

Astrid zerknęła na braciszka, który przycupnął na kuchennym stołku i niemo patrzył na Sama. A przynajmniej w jego kierunku. Nigdy nie była pewna, na co malec tak naprawdę patrzy.

Chciała powiedzieć Samowi, co się działo z małym Petem, co zaczął robić. Ale chłopak miał wystarczająco wiele kłopotów. A teraz na chwilę, co się rzadko zdarzało, przestał się martwić.

Później znajdzie się czas, by mu powiedzieć, że osoba obdarzona największą mocą w całym ETAP-ie najwyraźniej... jak brzmiało właściwe określenie na to, co robił Pete?

Tracił rozum? Nie, to nie było to.

Nie istniał odpowiedni termin na to, co się działo z chłopcem. Tak czy owak, to nie był właściwy moment.

– Wszystko z nim w porządku – skłamała. – Znasz Pete'a.

Rozdział 3

106 GODZIN, 11 MINUT

Lana Arwen Lazar mieszkała już w czwartym domu, odkąd przybyła do Perdido Beach. Na początku wybrała budynek, który w miarę jej się podobał. Ale właśnie tam złapał ją Drake Merwin. Potem to miejsce nie wydawało jej się już dobre.

Następnie na jakiś czas wprowadziła się do Astrid. Szybko jednak odkryła, że woli być sama, jedynie w towarzystwie swojego labradora Patricka. Wybrała więc dom w pobliżu placu. Tam jednak zbyt łatwo było do niej dotrzeć.

Lana tego nie lubiła. Brakowało jej prywatności.

Dysponowała mocą uzdrawiania. Odkryła ją w sobie w dniu, w którym zaczął się ETAP, a jej dziadek zniknął. Jechali wtedy jego pickupem i po nagłym zniknięciu kierowcy samochód stoczył się z bardzo wysokiej skarpy.

Obrażenia, które odniosła, powinny ją zabić. I niemal zabiły. I wtedy poznała moc, która mogła na zawsze pozostać w ukryciu, gdyby nie nagła, straszna potrzeba.

Uleczyła siebie. Uleczyła Sama, gdy trafił go pocisk. I Cookiego, gdy miał strzaskane ramię. I wiele innych dzieci po straszliwej bitwie w Święto Dziękczynienia.

Nazywano ją Uzdrowicielką. Wśród bohaterów ETAP-u ustępowała tylko Samowi Temple. Wszyscy ją podziwiali i szanowali. Niektórzy, zwłaszcza ci, których uratowała, darzyli ją czymś w rodzaju czci. Lana

nie miała wątpliwości, że taki na przykład Cookie oddałby za nią życie. Dopóki go nie ocaliła, znajdował się w istnym piekle.

Ale kult i nimb bohaterki nie powstrzymywał dzieciaków przed nękaniem jej o każdej porze, w dzień i w nocy, w związku z każdym, najdrobniejszym nawet bólem czy problemem: ruszającym się zębem, skórą spieczoną na słońcu, obtartymi kolanami, wybitym palcem u nogi.

Wyprowadziła się z miasta i mieszkała teraz w hotelu Clifftop. Hotel stał wtulony w mur ETAP-u, nieprzebytą barierę, która ograniczała ten nowo powstały świat.

– Uspokój się, Patrick – powiedziała, gdy pies szturchnął ją głową, nie mogąc doczekać się śniadania. Lana otworzyła puszkę karmy Alpo, po czym, blokując Patrickowi przejście, wyłożyła połowę zawartości na miskę na podłodze.

– Masz. Kurczę, można by pomyśleć, że nigdy cię nie karmię.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie w stanie karmić psa. Niektórzy zaczęli już jeść psią karmę. Po ulicach kręciły się też wychudłe psy, sama skóra i kości, które grzebały w śmietnikach wraz z dzieciakami, szukającymi odpadków, które same wyrzuciły parę tygodni wcześniej.

Lana mieszkała w Clifftop sama. Setki pokoi, zarośnięty glonami basen, przecięty barierą kort tenisowy. Miała balkon, z którego rozciągał się widok na plażę poniżej i zbyt spokojny ocean.

Sam, Edilio, Astrid i Dahra Baidoo – która pełniła funkcję farmaceutki i pielęgniarki – wiedzieli, gdzie jest, i mogli ją znaleźć, gdy naprawdę jej potrzebowali. Dla większości dzieciaków jednak

pozostawało to tajemnicą, dzięki czemu Lana odzyskała w pewnym stopniu kontrolę nad swoim życiem.

Popatrzyła tęsknie na psią karmę. Nie pierwszy raz zastanawiała się, jak smakuje. Pewnie lepiej niż przypalone obierki ziemniaków z sosem barbecue, które jadła.

Kiedyś w hotelu było pełno jedzenia. Ale na polecenie Sama Albert ze swoją ekipą wszystko zabrał i zgromadził w sklepie Ralph's. Stamtąd Drake zdołał ukraść znaczną część kurczących się zapasów.

Teraz żywności nie było. Nawet w minibarach w pokojach, wypełnionych kiedyś pysznymi batonami, chipsami i orzeszkami. Pozostał tylko alkohol. Ludzie Alberta zostawili trunki, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić.

Lana trzymała się z dala od białych i brązowych buteleczek. Jak dotąd.

Właśnie alkohol sprawił, że znalazła się na wygnaniu, z dala od swojego domu w Las Vegas. Wykradła butelkę wódki z domu swoich rodziców, jakoby dla starszego chłopaka, którego znała.

Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja, którą zdołała wcisnąć rodzicom. Ale i tak wysłali ją na jakiś czas na ranczo dziadka na odludziu, żeby „przemyślała to, co zrobiła".

Teraz, w świecie ETAP-u, Lana była kimś w rodzaju świętej. Sama jednak wiedziała lepiej.

Patrick skończył jeść, gdy zagotowała się kawa. Lana nalała sobie filiżankę, dorzuciła słodzik i trochę śmietanki w proszku. Znalazła te rzadkie luksusy, przeszukując wózki pokojówek.

Wyszła na balkon i pociągnęła łyk.

Włączyła sprzęt stereo, odtwarzacz CD, który był w pokoju. Ktoś, zapewne jakiś wcześniejszy lokator, zostawił w środku starą płytę Paula Simona, a ona ją włączyła.

Była tam jakaś piosenka o ciemności. O miłej ciemności. Brzmiało to niemal jak zaproszenie. Puszczała ją bez końca, raz za razem.

Czasami muzyka pomagała jej zapomnieć. Ale nie ta piosenka.

Kątem oka zauważyła kogoś na plaży. Wróciła do środka i wzięła lornetkę, którą wyciągnęła z porzuconego bagażu jakiegoś turysty. Dwoje małych dzieci, najwyżej sześcioletnich, bawiło się na kamiennym pirsie, wrzynającym się w morze. Na szczęście nie było fal. Kamienie jednak przypominały miejscami ostrza brzytew, ostre i gładkie. Powinna...

Później. Starczy już tej odpowiedzialności. Nie uważała się za osobę odpowiedzialną i drażniło ją, że się ją do tego zmusza.

Wśród mieszkańców ETAP-u rozpowszechniały się dorosłe nałogi. Niektóre niewinne, jak kawa. Inne – trawka, papierosy i alkohol – nie były już tak niegroźne. Lana wiedziała o sześciu osobach, które regularnie piły. Próbowały nakłonić ją do leczenia kaca.

Inni wypalali trawkę z torebek, znalezionych u rodziców lub starszego rodzeństwa. Można było spotkać ośmioletnie dzieciaki, dławiące się papierosowym dymem i próbujące wyglądać na wyluzowane. Raz widziała pierwszoklasistę, który próbował zapalić cygaro.

Tego Lana uleczyć nie mogła.

Chwilami marzyła o tym, by znowu znaleźć się w chacie Jima Pustelnika.

Nie pierwszy raz naszła ją ta myśl. Często wspominała ten dziwny

domek na pustyni z budzącym zdumienie trawnikiem – który teraz był już zapewne brązowy i wyschnięty.

To tam znalazła schronienie po wypadku. I potem jeszcze raz, na krótko, gdy uciekła przed stadem kojotów.

Sama chata doszczętnie spłonęła. Został tylko popiół. I złoto, ma się rozumieć. Złoto z zapasów Jima Pustelnika mogło stopnieć, ale z pewnością nadal było pod podłogą.

Złoto. Z kopalni.

Kopalnia...

Pociągnęła duży łyk ze styropianowego kubka i oparzyła się w język. Ból pomógł jej się skupić.

Kopalnia. Ten dzień utkwił jej wyraźnie w pamięci, tak wyraźnie, jak koszmar senny, którego nie sposób zapomnieć.

Przez cały czas nie wiedziała, że ETAP oznaczał zniknięcie wszystkich dorosłych. Poszła do kopalni w poszukiwaniu pustelnika, z nadzieją, że przynajmniej znajdzie jego ciężarówkę i dojedzie nią do miasta. Natrafiła na pustelnika u wylotu sztolni. Nie żył. Nie zniknął – był martwy. A to oznaczało, że zginął przed ETAP-em.

Kojoty przyszły za nią i zaciągnęły ją w głąb kopalni. A tam napotkała... to. Stwora. Ciemność, jak nazywały to kojoty. Ciemność. Pamiętała wrażenie, że jej stopy stały się ciężkie jak cegły. Pamiętała, jak jej serce zwolniło i każde jego uderzenie przypominało cios młotem. Pamiętała przerażenie, które sięgało głębiej niż zwykły strach. I słaby, zielonkawy blask, który kojarzył jej się z ropieniem, chorobą, rakiem.

Stan snu, który ją ogarnął... ciężkie powieki i pustka w umyśle,

poczucie, że coś wdziera się w jej świadomość...

Chodź do mnie.

– Ach!

Zgniotła kubek. Gorąca kawa rozlała jej się na rękę.

Pociła się. Oddychała z trudem. Wzięła głęboki wdech i czuła się tak, jakby aż do tej chwili nie pamiętała, jak to się robi.

To wciąż tkwiło w jej głowie, ten potwór z kopalnianej sztolni. Trzymał ją w klinczu. Czasami była pewna, że słyszy jego głos. Halucynacje, bez wątpienia. Na pewno nie sama Ciemność. Była daleko stąd. Głęboko pod ziemią. Nie mogła...

– Nie umiem zapomnieć – szepnęła do Patricka. – Nie mogę się od tego uwolnić.

Przez pierwsze dni po tym, jak opuściła pustynię i dołączyła do tego dziwnego społeczeństwa dzieci, Lana czuła niemal spokój. Niemal. Od początku miała poczucie niepowetowanej szkody, niewidzialnej rany, której umiejscowienie było nieokreślone z wyjątkiem faktu, że znajdowała się w niej, w środku.

Ta niewidzialna, nierzeczywista, niezabliźniona rana znowu się otworzyła. Na początku dziewczyna mówiła sobie, że to zniknie. Że przejdzie. Że wytworzy się psychiczny strup. Ale jeśli to była prawda, jeśli wracała do zdrowia, dlaczego z każdym mijającym dniem bolało ją coraz bardziej? Jakim cudem ten straszliwy głos ze słabego, odległego szeptu przerodził się w uporczywy pomruk?

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

Ten naglący, surowy glos układał się teraz w słowa.

– Dostaję świra, Patrick – zwróciła się do psa. – To jest we mnie i

dostaję świra.

Mary Terrafino obudziła się. Wygramoliła się z łóżka. Ranek. Powinna spać dalej, była wykończona. Wiedziała jednak, że nie zaśnie. Miała coś do zrobienia.

Najpierw poczłapała do łazienki i nagą stopą przesunęła wagę po terakocie. Waga miała swoje specjalne miejsce: miała stać równo ze środkiem wiszącego nad umywalką lustra; a prawy górny róg wagi musiał się dokładnie pokrywać z krawędzią płytki.

Zdjęła koszulę nocną i wstąpiła na wagę.

Pierwszy odczyt. Zejść.

Drugi odczyt. Zejść.

Po trzech wskazaniach wynik należało uznać.

Trzydzieści siedem kilogramów.

Gdy zaczął się ETAP, ważyła pięćdziesiąt osiem.

Nadal wyglądała grubo. Tu i ówdzie miała fałdki tłuszczu. Nieważne, co mówili inni. Mary widziała tłuszcz. Nie zje zatem śniadania. I dobrze, biorąc pod uwagę, że na śniadanie w przedszkolu składała się owsianka, zrobiona z mleka w proszku z różowymi tabletkami słodziku. Dość zdrowy posiłek – i znacznie lepszy od tego, co jadła teraz większość ludzi – ale zdecydowanie niewarty ryzyka przybrania na wadze.

Mary wyciągnęła tabletkę prozacu i dwie maleńkie pastylki sudafedu oraz multiwitaminę. Prozac przepędzał depresję – na ogół – a dzięki sudafedowi nie odczuwała głodu. Witaminy miały ją utrzymać w dobrym zdrowiu, na to liczyła.

Ubrała się szybko w koszulkę, spodnie od dresu i trampki. Wszystko było za duże. Postanowiła nie nosić nic obciślejszego, dopóki naprawdę nie straci na wadze.

Poszła do pralni i wyjęła z suszarki masę tetrowych pieluch, po czym włożyła je do foliowego worka. Wciąż mieli na składzie trochę pieluch jednorazowych, ale oszczędzali je na szczególne sytuacje. Już miesiąc temu przeszli na tetrę. Było to obrzydliwe i wszyscy tego nie znosili, ale – jak przypomniała Mary swoim niezadowolonym pracownikom – fabryka pampersów nie kontynuowała dostaw.

Zeszła po schodach, ciągnąc za sobą worek.

Sam był w kuchni z Astrid i małym Pete'em. Mary nie chciała im przeszkadzać – ani narażać się na naciski, by zjadła śniadanie – więc wyszła po cichu przez frontowe drzwi.

Pięć minut później była już w przedszkolu.

Przedszkole mocno ucierpiało podczas bitwy. Ściana, oddzielająca je od sklepu z narzędziami, została wysadzona. Teraz ziejącą dziurą zasłonięto płachtami folii, którą trzeba było niemal codziennie kleić taśmą. Ten widok przypominał, jak niewiele brakowało do katastrofy. Wataha kojotów znalazła się w tym właśnie pomieszczeniu i wzięła dzieci jako zakładników, podczas gdy Drake Merwin aż pękał z dumy. Brat Mary, John, czekał już na nią w przedszkolu.

– Cześć, Mary – powiedział. – Nie powinnaś tu być. Powinnaś spać.

John pracował na porannej zmianie, od piątej rano do południa, zaczynał przed śniadaniem, a kończył przed obiadem. Mary powinna go zmienić w porze obiadowej i pracować ciurkiem aż do dziesiątej wieczorem. Obiad, kolacja i spanie plus godzina przed końcem pracy

na opracowanie harmonogramów i sprzątanie. Potem wracała do domu i oglądała filmy na DVD, trenując na ruchomej bieżni w piwnicy. Taki miała plan dnia. Osiem godzin snu i parę godzin wolnego czasu rano.

Ale tak naprawdę często spędzała dwie czy trzy godziny na nocnych ćwiczeniach. Próbując zrzucić tych kilka ostatnich kilogramów. Na bieżni, w piwnicy, by Astrid nie mogła jej usłyszeć i pytać, po co to robi.

Na ogół spożywała w ciągu dnia mniej niż siedemset kalorii. W szczególnie udanym dniu – nawet tylko połowę tego.

Uściskała Johna.

– Co słychać, braciszku? Jaki kryzys dzisiaj mamy?

John miał listę. Odczytał ją ze swojego notesu ze zdjęciem drużyny Warriors.

– Pedrowi rusza się ząb. Miał też w nocy drobny wypadek. Zosia mówi, że Julia ją uderzyła, więc się kłócą i nie chcą się razem bawić. Myślę, że Collin może mieć gorączkę... W każdym razie jest, no wiesz, marudny. Złapałem Brandy, kiedy rano próbowała uciec. Chciała poszukać mamy.

Lista ciągnęła się, a w tym czasie przybiegały dzieci, by uściskać Mary, dostać całusa, usłyszeć pochwałę na temat swojej fryzury i zachęcające słowa: „dobra robota" po tym, jak umyły zęby.

Mary skinęła głową. Lista brzmiała podobnie, jak co dzień.

Do środka wszedł chłopak, imieniem Francis i przepchnął się niegrzecznie obok Mary. Potem zdał sobie sprawę, kogo właśnie potrącił, odwrócił się do niej i krzywiąc twarz, powiedział:

– Dobra, jestem.

– Pierwszy raz? – spytała.

– Co, mam przeprosić? Nie jestem niańką.

Także ta scena powtarzała się codziennie, odkąd w Perdido Beach nastał pokój.

– Posłuchaj, kolego – powiedziała Mary. – Wiem, że nie chcesz tu być, i nic mnie to nie obchodzi. Nikt nie chce tu być, ale tymi malcami trzeba się opiekować. Więc sobie daruj.

– Dlaczego ty się nimi nie zajmujesz? Przynajmniej jesteś dziewczyną.

– Ja nie jestem – zauważył John.

– Widzisz tę tablicę? – spytała Mary. – Tam są listy, po jednej dla każdego pomocnika. Wybierz sobie którąś z nich. Tam jest napisane, co masz robić. Wszystko to, co na liście. I masz to robić z uśmiechem.

Francis pomaszerował do tablicy i zaczął czytać.

– Założę się o ciastko, że nie wybierze przewijania – powiedział John.

– Nie zakładam się – odparła Mary. – Poza tym nie mamy ciastek.

– Brakuje mi ich – rzucił tęsknie John.

– Ej – odezwał się Francis. – Wszystkie te listy to szajs.

– Tak – przyznała Mary. – Zgadza się.

– To wszystko szajs.

– Przestań mówić „szajs". Nie chcę, żeby trzylatki powtarzały to przez cały dzień.

– Kurczę, przyjdą moje urodziny i stąd wypadnę – zasępił się Francis.

– Dobra. Obiecuję, że potem nie wpiszę cię już do harmonogramu. A teraz weź listę zdań i bierz się do roboty. Nie chcę marnować czasu

Sama i wołać go tutaj, żeby cię zmotywował.

Francis poczłapał z powrotem do tablicy.

– Wypadanie – powiedziała Mary do Johna i skrzywiła się. – Ile osób miało jak dotąd te magiczne piętnaste urodziny? Tylko dwie zniknęły. Ludzie ciągle o tym dyskutują, ale jak przychodzi co do czego, nie znikają.

ETAP usunął wszystkich, którzy ukończyli piętnaście lat. Nikt nie wiedział, dlaczego. Przynajmniej Mary nie wiedziała. Chociaż słyszała, jak Sam i Astrid szeptali między sobą, i wtedy nabrała podejrzeń, że wiedzą więcej, niż chcą przyznać.

Czternastolatek, który skończy lat piętnaście, znika. Puff. O ile na to pozwoli. O ile postanowi „wypaść".

Co się działo podczas procesu, który nazywano teraz „wypadem" – wiedzieli już niemal wszyscy. Że czas spowalniał do ślimaczego tempa. Ze pojawiała się ukochana i zaufana osoba, która zapraszała do siebie, namawiała do opuszczenia ETAP-u. I że ta osoba zmieniała się w potwora, jeśli napotykała sprzeciw.

Każdy miał wybór: zostać w ETAP-ie albo... Nikt nie wiedział, co oznaczało to „albo". Może ucieczkę z powrotem do starego świata.

Może podróż w zupełnie nowe miejsce.

Może śmierć.

Mary spostrzegła, że John uważnie się jej przygląda.

– Co? – spytała.

– Nigdy byś nie...

– Nigdy. – Uśmiechnęła się i wytarmosiła jego rude loki. – Nigdy. Nigdy bym cię nie zostawiła. Tęsknisz za mamą i tatą?

Skinął głową.

– Myślę czasem, ile razy doprowadzałem ich do szalu.

– John...

– Wiem. Wiem, że to nieważne. Ale to jakby... – Nie umiał znaleźć właściwych słów, więc wykonał taki ruch, jakby wbijał sobie nóż w serce.

Ktoś z tyłu ciągnął ją za koszulkę. Obejrzała się i z zamierającym sercem zobaczyła małego chłopca o imieniu... o imieniu... Nie pamiętała jego imienia. Ale drugi chłopiec, który stał za nim, na pewno nazywał się Sean. Wiedziała, czemu tu przyszli. Obaj niedawno mieli piąte urodziny. Limit wieku w tym przedszkolu wynosił cztery lata. Pięciolatki musiały się wyprowadzić – najlepiej do domu, w którym mieszkały jakieś odpowiedzialne starsze dzieciaki.

– Cześć, maluchy. Co tam? – spytała Mary, schylając się, by mieć twarz na ich poziomie.

– Eee... – mruknął pierwszy. A potem zalał się łzami.

Nie powinna tego robić, wiedziała, że nie powinna, ale otoczyła malca ramionami. Wtedy także Sean zaczął płakać, więc objęła i jego, a John przyłączył się do tego uścisku i Mary mimowolnie powiedziała, że oczywiście, oczywiście mogą zostać, jeszcze dzisiaj, jeszcze trochę.

Rozdział 4

106 GODZIN, 08 MINUT

Coates Academy była w opłakanym stanie. W trakcie bitew uszkodzeniu uległa fasada głównego budynku. W bielonym, ceglanym murze ziała dziura tak wielka, że widać było całą klasę na piętrze, przekrój podłogi pod nią i poszarpany otwór, który nie sięgał górnej krawędzi okna poniżej. W większości okien zabrakło już szyb. Dzieciaki starały się chronić przed zjawiskami atmosferycznymi, przyklejając płachty folii, ale mocna taśma klejąca gdzieniegdzie puściła i folia wisiała smętnie, poruszając się od czasu do czasu na wietrze. Budynek wyglądał, jakby znalazł się na linii frontu. Tak zresztą było.

Teren wokół szkoły wyglądał fatalnie. Trawa, dawniej strzyżona z obsesyjną perfekcją, miejscami rozrosła się teraz bujnie, gdzie indziej zaś pożółkła niczym siano. Chwasty rozpleniły się na okrągłym żwirowym podjeździe, na którym niegdyś parkowały minivany, terenówki i luksusowe limuzyny rodziców.

W połowie budynku nie działała kanalizacja. Z toalet wylewały się nieczystości, w powietrzu unosił się wszechobecny smród. Mniejsze budynki, sala do zajęć ze sztuki i internat wyglądały nieco lepiej, ale Drake nalegał, by pozostawać w głównym budynku. Zajął gabinet psychologa szkolnego, gdzie Sam wcześniej często przychodził na badania i testy.

Nadal śni ci się, że dręczysz zwierzęta?

Nie, doktorze, śni mi się, że dręczę pana.

Gabinet zmienił się teraz w arsenał. Na stole leżała broń Drake'a, sześć sztuk, od strzelb myśliwskich z celownikami optycznymi po pistolety. Nie były naładowane, z wyjątkiem dwóch, które nosił ze sobą. Naboje do pozostałych schował. Nikomu nie ufał. Amunicja, której zdaniem Drake'a nigdy nie było za wiele, spoczywała za panelami sufitowymi i w przewodach wentylacyjnych.

Drake siedział i oglądał film DVD na ekranie plazmowym, który ukradł. Była to „Piła II". Efekty dźwiękowe brzmiały wspaniale. Drake zwiększył głośność tak bardzo, że zatrzęsła się jedna z ostatnich ocalałych szyb. Dlatego na początku nie usłyszał głosu Diany, która powiedziała:

– Chce cię widzieć.

Drake odwrócił się, wyczuwając jej obecność. Trzasnął macką, dzięki której zyskał nowy przydomek: Biczoręki, i wyłączył sprzęt.

– Czego chcesz? – spytał, krzywiąc się.

– Chce cię widzieć – powtórzyła.

Uwielbiał strach w jej oczach. Twarda Diana: złośliwa, sarkastyczna, dumna Diana. Przestraszona Diana. Bała się go. Bała się tego, co mógł jej zrobić.

– Kto chce mnie widzieć?

– Caine. Już wstał.

– Wstawał to już wcześniej – zauważył Drake.

– Wrócił. W zasadzie. Wrócił i chce rozmawiać z tobą i z Robalem.

– Tak? No to będę, jak przyjdę. – Strzelił macką i znowu włączył sprzęt. – Świetnie, ominęło mnie najlepsze. Gdzie pilot? Nie mogę

przewinąć bez pilota.

– Mam powiedzieć Caine'owi, że musi zaczekać? – spytała niewinnym tonem. – Nie ma sprawy. Powiem mu, że jesteś zbyt zajęty.

Drake wziął głęboki wdech i spiorunował ją wzrokiem. Bicz powoli ruszył w jej stronę, a jego koniuszek drgał z niecierpliwości, chcąc owinąć się wokół szyi dziewczyny.

– No, dalej, zrób to – prowokowała go. – Śmiało, Drake. Sprzeciw się Caine'owi.

Tęczówki jego zimnych oczu drgnęły nieznacznie, wiedział jednak, że ona to zauważyła, i był wściekły.

Nie dzisiaj. Jeszcze nie. Nie, dopóki Caine zajmował się Samem.

Zwinął mackę. Nabrał zwyczaju okręcania jej sobie wokół pasa.

Biczowata ręka nigdy jednak nie trwała w bezruchu; przywodziła na myśl różowo-szarą anakondę, która go dusi, jakby był jej zdobyczą.

– Chciałabyś tego, co? Mojej walki z Caine'em. Przykro mi, ale cię rozczaruję. Jestem wobec niego w stu procentach lojalny. Jesteśmy jak bracia. Nie tak jak on i Sam, raczej jak bracia krwi. – Puścił do niej oko. – Braterstwo Ciemności, Diano. Ja i on. Obaj tam byliśmy. Obaj się z tym zmierzyliśmy.

Drake wiedział, że Dianę zżera ciekawość w kwestii istoty z kopalnianej sztolni, która dała Drake'owi nową kończynę po tym, jak Sam spalił mu rękę. Ale nie zamierzał niczego jej zdradzać. Niech się zastanawia. Niech się martwi.

– Chodźmy, zobaczysz szefa.

Caine wyglądał już lepiej. Choroba, która trawiła go przez trzy ostatnie miesiące, więżąc chłopaka w świecie gorączki i koszmarów,

najwyraźniej dobiegła wreszcie końca.

Zbyt późno dla Chucka.

Na to wspomnienie Drake się uśmiechnął. Grubas Chuck wzbijający się w powietrze, uderzający w twardą ścianę tak mocno, że aż przez nią przeleciał. Kurczę, warto było to zobaczyć.

Potem już nikt – włącznie z Drakiem – nie odważył się przebywać w pobliżu Caine'a. Nawet teraz Drake zachowywał szczególną czujność. Tylko Diana miała w sobie dość desperacji, by zostać, zmieniać Caine'owi brudną pościel i karmić go zupą.

– Dobrze wyglądasz – odezwał się Drake.

– Wyglądam tragicznie – odparł Caine. – Ale wróciła mi jasność umysłu.

Drake uznał, że chyba raczej nie. Spędził z Ciemnością ledwie kilka godzin, a nadal nie potrafił wygnać jej ze swojej głowy. W najmniejszym stopniu. Czasami słyszał w głowie głos. I był niemal pewien, że Caine też go słyszy.

Gdy raz usłyszysz ten głos, już nie przestanie cię prześladować, pomyślał Drake. Poczuł się pewniej.

– Robal, jesteś? – spytał Caine.

– Tutaj.

Drake omal nie podskoczył. Robal stał ledwie metr od niego, niezupełnie niewidzialny, ale też nie do końca widzialny. Mutacja dała mu moc kamuflażu, jak u kameleona. Gdy człowiek patrzył na Robala, używającego swej mocy, zauważał najwyżej coś w rodzaju falowania tła, zakrzywienia światła.

– Przestań – warknął Caine.

Robal przybrał normalną postać. Mały smarkacz.

– Przepraszam – powiedział. – Ja tylko... Ja nie...

– Spokojnie, nie mam nastroju, żeby rzucać kimś o ścianę – odrzekł oschle Caine. – Mam dla ciebie robotę.

– Znowu mam iść do Perdido Beach?

– Nie. Nie, Sam się tego spodziewa – odparł Caine. – Trzymamy się z dala od Perdido Beach. Nie potrzebujemy miasta. Niech je sobie mają. Przynajmniej na razie.

– Tak, niech zatrzymają to, czego nie możemy zabrać. Co za hojność – zadrwiła Diana.

– Tu nie chodzi o terytorium – stwierdził Caine. – Tu chodzi o moc. Nie o moce, Drake, o moc. – Położył dłoń na ramieniu Robala. – Odgrywasz kluczową rolę w moim planie. Potrzebuję twoich umiejętności.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym zobaczyć w Perdido Beach. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Zapomnij o Perdido Beach. Jak mówiłem, tu chodzi o moc. Moc nuklearną. – Caine mrugnął do Diany i poklepał Drake'a po ramieniu, znów rozsiewając swój dawny urok, by na powrót w niego uwierzyli. Ale Drake nie dał się zwieść: Caine miał słabe ciało i chory umysł. Dawna pewność siebie zanikła, stał się cieniem. Cieniem, który mógł rzucić człowiekiem z taką siłą, by ten przeleciał przez ścianę. Owinięty wokół ciała Drake'a bicz zadrgał.

– Elektrownia podtrzymuje miasto przy życiu – stwierdził Caine. – Wystarczy kontrolować prąd, a Sam da nam wszystko, czego chcemy.

– Nie sądzisz, że Sam o tym wie? I że pewnie wystawił straż w

elektrowni? – spytała Diana.

– Na pewno są tam strażnicy. Ale jestem przekonany, że nie zobaczą Robala. Więc zmykaj, mały Robalu. Leć i sprawdź, co się tam dzieje.

Robal i Diana odwrócili się, by wyjść. Ten pierwszy był podekscytowany, ta druga kipiała gniewem. Drake został.

Caine wydawał się zaskoczony, może nawet trochę zaniepokojony.

– Co jest, Drake?

– Diana – odparł tamten. – Nie ufam jej.

Caine westchnął.

– Tak, już się zorientowałem, że nie lubisz naszej małej Diany.

– Rzecz nie w tym, że nie lubię tej... – Cisnęło mu się na usta brzydkie określenie, ale oczy Caine'a zapłonęły, więc zaniechał ostrych słów. – Rzecz nie w tym, że jej nie lubię. Chodzi o nią i o Komputerowego Jacka.

Caine wytężył czujność.

– O czym ty mówisz?

– O Jacku. Ma teraz moc. I nie mówię o drygu do techniki. Robal widział go w Perdido Beach. Kojarzysz tę ich koparkę? Meksykaniec kopał grób i koparka się wywróciła. Robal mówi, że Jack ją podniósł. Po prostu wyciągnął ją z dołu, jakby ważyła najwyżej tyle, co rower.

Caine usiadł na skraju łóżka. Drake odniósł wrażenie, że musiał usiąść, że pozostanie w pozycji stojącej dłużej niż przez kilka minut było jeszcze ponad jego siły.

– Wygląda na to, że ma przynajmniej dwie kreski. Może nawet trzy – powiedział Caine. Diana wymyśliła system kresek, wzorując pomysł na telefonach komórkowych. Niezwykłe właściwości Diany polegały na

tym, że potrafiła odczytywać moc innych.

Drake wiedział, że do tej pory ujawniono dwie osoby z czterema kreskami: byli to Sam i Caine. Spekulowano na temat małego Pete'a, który pokazał spore umiejętności, ale czy pięcioletni półgłówek mógł być niebezpieczny?

– Tak, czyli Jack może mieć trzy kreski. Ale nie według Diany, zgadza się? Diana mówi, że go sprawdziła i że ma zero. Dobra, może moc rozwija się z opóźnieniem. Ale od zera do trzech? – Drake wzruszył ramionami. Nie musiał ciągnąć tematu, wiedział, że Caine, nawet chory i osłabiony, dopasowuje w głowie poszczególne elementy układanki.

– Właściwie nie wiadomo, czemu Jack zmienił front i uciekł do Sama – powiedział cicho Caine.

– Może ktoś go do tego namówił – podsunął Drake.

– Może – odrzekł Caine, nie do końca wierząc w taką ewentualność.

– Niech ktoś ją obserwuje. Nie ty, wie, że ty masz ją na oku. Ale zleć to komuś innemu.

Z punktu widzenia Ducka Zhanga najgorsze w ETAP-ie było jedzenie. Na początku było wspaniale: batony, chipsy, napoje gazowane, lody. Tego wszystkiego wystarczyło jednak zaledwie na parę tygodni. Pewnie zostałoby na dłużej, ale ludzie sporo marnowali: zostawiali lody, które się topiły, obżerali się ciastkami, po czym porzucali nie do końca opróżnione opakowania, którymi zajmowały się psy, pozwalali, by pieczywo pleśniało.

Gdy już pochłonęli wszystkie słodycze i kruche przekąski, było za

późno, by cokolwiek poradzić na fakt, że całe mięso i drób, oprócz boczku, kiełbasy i szynki, a także wszystkie owoce i warzywa, z wyjątkiem ziemniaków i cebuli, były przeterminowane albo zgniłe. Ducka zmuszono, by usunął to wszystko ze sklepu Ralph's. Grupka rozdrażnionych dzieciaków przez parę dni wygarniała łopatami gnijącą sałatę i śmierdzące mięso. Ale co można było zrobić, kiedy Sam Temple wskazał cię palcem i powiedział: „Ty"? Ten chłopak mógł cię usmażyć żywcem. No i był w końcu burmistrzem.

Potem nadszedł okres zup z puszek, suchych płatków śniadaniowych, krakersów i sera.

Teraz Duck oddałby wszystko za puszkę zupy. Na śniadanie jadł konserwowe szparagi. Smakowały jak wymiociny, a dodatku wszyscy wiedzieli, że siki po nich śmierdzą.

Ale ETAP miał też swoje dobre strony. Najlepszą rzeczą według Ducka Zhanga, okazał się basen. Ściśle rzecz biorąc, nie jego basen, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo przecież właśnie w nim pływał. I to w poniedziałek rano, na początku marca, kiedy normalnie siedziałby w szkole.

Zero szkoły. Nic, tylko basen. Dzięki temu nawet głód wydawał się mniej dokuczliwy.

Duck był szóstoklasistą, małym, jak na swój wiek, Azjatą. Jego rodzina mieszkała w Ameryce od lat trzydziestych. Kiedyś rodzice martwili się, że tyje. Ale w ETAP-ie nikt nie był szczególnie gruby. Już nie.

Duck uwielbiał wodę. Ale nie ocean. Oceanu się bał. Nie umiał oswoić się z myślą, że pod falami ukryty jest tętniący życiem świat. Świat ów

był dla niego niewidzialny, ale on sam był doskonale widoczny dla jego mieszkańców, czyli kałamarnic, ośmiornic, różnych ryb, węgorzy, meduz, a przede wszystkim rekinów.

Baseny, w przeciwieństwie do oceanu, były wspaniałe. Widać było wszystko, aż po dno.

Nigdy jednak nie miał własnego basenu. W Perdido Beach nie było też publicznej pływalni, mógł zatem popływać tylko wtedy, gdy jakiś nadziany kolega zapraszał go do swojej rezydencji z basenem albo gdy jeździł na wakacje z rodzicami i mieszkali w eleganckim hotelu.

Ale teraz, gdy dzieciaki z Perdido Beach mogły żyć z grubsza tak, jak chciały, i chodzić tam, dokąd miały ochotę pójść, Duck znalazł doskonały, odosobniony, prywatny basen. Do kogo należał – nie miał pojęcia. Ale nieznani właściciele znali się na rzeczy. Basen był duży, nerkowaty, i z jednej strony miał trzy metry głębokości, więc dało się skakać na główkę. Wyłożony był płytkami w najpiękniejszym odcieniu błękitu ze złotym wzorem w kształcie słońca na dnie. Woda – odkąd się połapał, jak dodawać chlor i czyścić filtry – była krystalicznie przejrzysta.

Obok stał ładny stolik z kutego żelaza z umieszczonym pośrodku parasolem i wygodnymi metalowymi ławeczkami, na których mógł się położyć, jeśli chciał. Ale nie wylegiwał się na brzegu. Wolał nadmuchiwany materac, kołyszący się na błękitnej tafli. Butelka wody mineralnej kołysała się obok na własnej, pływającej podstawce. Duck miał na sobie fajne okulary rayban i cienką warstwę kremu z filtrem. Był – krótko mówiąc – szczęśliwy. Głodny, ale szczęśliwy.

Czasami, gdy Duck czuł się szczególnie błogo, miał wrażenie, że nie

potrzebuje podtrzymującego go materaca. Chwilami zdawało mu się, że nacisk plastiku na plecy słabnie. Jakby ważył mniej niż normalnie. W innych sytuacjach, gdy coś go złościło, na przykład przypominał sobie jakąś zniewagę, zdawało mu się, że staje się cięższy i materac zaczyna się zanurzać. Raz przebudził się z niezbyt miłego snu i wydawało mu się, że materac zapadł się głębiej w wodę. Ale równie dobrze mogło mu się to przyśnić.

Ale Duck rzadko bywał bardzo szczęśliwy albo bardzo rozzłoszczony. Na ogół czuł się po prostu nijako.

– Jeee-aaaa!

Krzyk rozległ się zupełnie niespodziewanie. Podobnie jak głośny plusk, który nastąpił zaraz potem.

Duck usiadł na swoim materacu. Obryzgała go woda. Ktoś był w basenie. W jego basenie.

Dwie kolejne rozmyte plamy pognały na skraj ocembrowania i rozbrzmiały jeszcze dwa okrzyki i jeszcze dwa pluski.

– Ej! – wrzasnął Duck.

Jeden z dzieciaków okazał się głąbem o imieniu Zil. Dwóch pozostałych nie rozpoznał.

– Ej! – zawołał jeszcze raz.

– Do kogo krzyczysz? – spytał Zil.

– To mój basen – odparł Duck. – Znalazłem go i wyczyściłem. Znajdź sobie własny.

Zdawał sobie sprawę, że jest mniejszy od każdego z intruzów. Ale ogarnął go gniew, który dodał mu odwagi. Poczuł, że materac pod nim zaczyna tonąć, i zastanowił się, czy któryś z chłopaków nie zrobił w

nim dziury.

– Mówię poważnie! – zawołał. – Wynoście się.

– On mówi poważnie – przedrzeźniał go jeden z nieznajomych dzieciaków.

Zanim Duck się zorientował, Zil wyskoczył spod wody i złapał go za szyję. Duck, wepchnięty pod wodę, dławił się, krztusił, wciągał wodę nosem.

Wynurzył się z trudem i walczył ociężałymi nagle rękami, by utrzymać się na powierzchni.

Znowu zaatakowali, po prostu dla hecy. Tak naprawdę nie chcieli zrobić mu krzywdy, ale jeszcze raz go podtopili. Tym razem dotknął dna i musiał mocno machać nogami, by wypłynąć na powierzchnię i nabrać tchu. Chwycił się materaca, ale jeden z chłopaków odciągnął go, głośno rechocząc.

Ducka ogarnęła wściekłość. Miał w życiu jedną dobrą rzecz, właśnie ten basen, jedną jedyną dobrą rzecz, a teraz mu ją odbierano.

– Wynocha! – wrzasnął, ale ostatnia sylaba zmieniła się w bulgot, gdy poszedł na dno jak kamień.

Co się działo? Nagle nie umiał pływać. Znalazł się na dnie basenu, po głębszej stronie, pod trzema metrami wody. Odepchnął się nogami od dna, chcąc wypłynąć na powierzchnię, ale jego noga strzaskała płytkę, posyłając w wodę wirujące odłamki.

Ogarnęła go panika. Co oni mu zrobili?

Znowu się odepchnął, obiema nogami, najmocniej, jak umiał. Nie wynurzył się jednak. Zamiast tego jego stopy rozbiły kolejne płytki. Nie wypłynął ani trochę. Tak naprawdę nadal tonął. Jego nogi

zatapiały się w dnie, przez poszarpaną zaprawę i skruszony beton, aż po błoto pod spodem.

To było niemożliwe.

Niemożliwe.

Duck Zhang zatrzymał się w dnie basenu. Zapadał się w ziemi pod tym dnem. Zupełnie jakby stał na ruchomych piaskach.

Po kolana.

Po uda.

Po pas.

Zaczął się szaleńczo miotać, ale przez to zapadał się jeszcze szybciej. Połamane płytki kaleczyły mu skórę. Błoto wdzierało się pod kąpielówki.

Płuca mu płonęły, miał wrażenie, że za moment eksplodują. Widział coraz mniej wyraźnie, tętno waliło mu w głowie i nadal osuwał się poprzez grunt, jakby miał on konsystencję wody.

Gdy płytki dosięgły mu piersi, rozłożył gwałtownie ręce, by powstrzymać dalsze opadanie, ale ramiona i dłonie wryły się w dno, w beton i w ziemię, po czym wszystko zakręciło się wokół jego głowy w chmurze mroku i błota.

Woda z basenu przelewała się wokół niego, wciskając mu się do ust i nosa. Czuł się jak obluzowany korek, uwięziony w odpływie wanny. Świat Ducka Zhanga wirował, dostrzegał jeszcze przebłyski wierzgających pod powierzchnią nóg, iskry słonecznego blasku... a potem pole jego widzenia skupiło się, zawęziło i ciemność odegnała światło.

Przez pierwszą minutę było zabawnie. Zil Sperry dobrze się bawił, podkradając się do tego głupka Zhanga. On, Hank i Antoine przekradli się wzdłuż bocznej ściany domu, dla żartu popychając się nawzajem i tłumiąc śmiech.

To Hank dowiedział się o tajnym basenie Ducka. Był urodzonym szpiegiem. Lecz to Zil wpadł na pomysł, by poczekać, aż chłopak go wyczyści, doda chloru, uruchomi filtr.

– Niech najpierw frajer odwali brudną robotę – przekonywał. – Potem mu to zabierzemy.

Zil zdał sobie sprawę, że Antoine i Hank są fajni, ale gdy trzeba było poważnie o czymś pomyśleć albo opracować plan, wszystko spadało na jego głowę.

Osiągnęli efekt całkowitego zaskoczenia. Duck pewnie się zlał. Głupi ćwok. Beksa, duże dziecko.

Ale potem coś poszło nie tak. Duck utonął jak kamień. I tonął dalej. I nagle oświetlona promieniami słońca woda zmieniła się w wir budzącej grozę siły. Hank siedział na schodkach i zdołał odskoczyć, uciec z basenu. Ale Antoine był z Ziłem w głębokiej części basenu, gdy Duck wyciągnął korek.

Zilowi udało się w ostatniej chwili uchwycić koniec trampoliny. Woda go wsysała, niemal ściągając mu kąpielówki. Ledwie się trzymał, koniuszkami palców zaczepiając o szorstką powierzchnię trampoliny. Antoine'a pochwyciła woda, wciągnęła w wir. Siła żywiołu cisnęła nim o chromowaną drabinkę, wtedy chłopak zdołał wcisnąć grubą nogę pomiędzy szczebelki a ścianę basenu. Miał szczęście, że nie złamał jej w kostce.

Hank wyciągnął Zila. Obaj podtrzymali Antoine'a, który wygramolił się niezdarnie na górę, gdzie padł niczym wieloryb, wyrzucony na plażę.

– Stary, prawie utonęliśmy – wydyszał słabym głosem.

– Co się stało? – spytał Hank. – Nic nie widziałem.

– Duck... – odparł Zil drżącym głosem. – Normalnie utonął w tej wodzie, a potem tonął dalej.

– Omal mnie nie wessało – stwierdził Antoine, zalewając się łzami.

– Raczej spłukało – poprawił Hank. – Wyglądałeś jak wielki różowy balas, spływający w kiblu.

Zilowi nie było do śmiechu. Został upokorzony. Zrobiono z niego głupka. Wcześniej kurczowo trzymał się życia, przerażony na śmierć. Odwrócił dłonie i popatrzył na podrapane koniuszki swoich palców. Strasznie piekły.

Wyobrażał sobie, jak musiał wyglądać, zwisając z końca trampoliny, z kąpielówkami spuszczonymi do połowy tyłka, wciągany przez wodę. Nie było w tym nic śmiesznego.

Zil nie pozwoliłby, żeby było.

– Z czego się śmiejecie, jeden z drugim? – spytał.

– To było takie... – zaczął Antoine.

Zil nie dał mu skończyć.

– To odmieniec. Duck Zhang jest mutantem. Próbował nas zabić.

Hank spojrzał na niego ostro, wahając się, ale tylko przez chwilę, nim podjął wątek.

– Tak. Odmieniec próbował nas zabić.

– To nie w porządku – zgodził się Antoine. Usiadł i objął dłońmi

obolałą kostkę. – Skąd mieliśmy wiedzieć, że to mutant? Tylko się wygłupialiśmy. Teraz na każdym kroku trzeba uważać, czy ktoś jest normalnym kolesiem, czy popaprańcem.

Zil wstał i skierował wzrok na pusty basen. Dziurę okalały połamane zęby płytek. Paszcza, która się otworzyła, połknęła Ducka i omal nie dopadła także Zila. Ktoś musiał za to zapłacić.

Rozdział 5

104 GODZINY, 05 MINUT

– Pociski są szybkie. Dlatego się sprawdzają – powiedział protekcjonalnie Komputerowy Jack. – Gdyby latały powoli, byłyby niewiele warte.

– Jestem szybka – odparła Brianna. – Dlatego jestem Bryzą. – Osłoniła oczy przed słońcem i mrużąc je, popatrzyła na cel, o którym myślała, tablicę informacyjną przed pustą parcelą, wciśniętą pod zbocze góry.

Jack wyciągnął swój palmtop. Wprowadził liczby.

– Najwolniejszy pocisk leci z prędkością 330 metrów na sekundę. Znalazłem książkę, pełną takich bezużytecznych statystyk. Kurczę, brakuje mi Google. – Zdawało się, że dławi się z emocji. Słowo „Google" uwięzło mu w gardle.

Brianna zaśmiała się do siebie. Komputerowy Jack był taki... komputerowy. Mimo wszystko był na swój sposób uroczy: niezdarny, nieprzystosowany, wchodzący w okres dojrzewania dwunastolatek o łamiącym się głosie.

– W każdym razie 3600 sekund to godzina, tak? Czyli mniej więcej milion dwieście tysięcy metrów na godzinę, podzielić przez tysiąc. Jakieś tysiąc dwieście kilometrów na godzinę. Z grubsza prędkość dźwięku. A inne pociski są szybsze.

– Dam głowę, że mogę to zrobić – powiedziała Brianna. – Na pewno mogę.

– Nie chcę z tego strzelać – odparł Jack, patrząc z powątpiewaniem na pistolet w jej dłoni.

– Oj, daj spokój. Jesteśmy po drugiej stronie autostrady, celujemy w stronę góry. Co może się stać? Zastrzelisz jaszczurkę?

– Nigdy nie strzelałem – stwierdził Jack.

– Każdy głupi to potrafi – zapewniła go, mimo iż sama też nigdy nie strzelała z broni palnej. – Chociaż pewnie ma lekki odrzut, więc musisz mocno trzymać.

– O to się nie martw. Mam mocny uścisk.

Dopiero po kilku sekundach Brianna wychwyciła ironię w jego głosie. Przypomniała sobie, jak ktoś mówił, że Jack ma moc. Że jest nadzwyczaj silny.

Nie wyglądał na silnego. Przypomniał raczej kujona. Miał zmierzwione, jasne włosy i przekrzywione okulary. I zawsze odnosiło się wrażenie, że wcale nie patrzy przez te okulary, tylko widzi w szkłach własne odbicie.

– Dobra. Przygotuj się – poleciła. – Trzymaj mocno pistolet. Wyceluj w tablicę. Najpierw...

Pistolet wypalił, nim zdołała dokończyć. Niemożliwie głośny huk, chmurka niebieskawego dymu i dziwnie satysfakcjonujący zapach.

– Chciałam powiedzieć: najpierw próbny strzał – wyjaśniła.

– Przepraszam. Tak jakby nacisnąłem spust.

– Aha. Tak jakby. Tym razem po prostu wyceluj. W tamtą tablicę, nie we mnie.

Jack wymierzył.

– Mam odliczać?

– Tak.

– Na „zero"?

– Na „zero".

– Gotowa?

Brianna wbiła czubki trampek w ziemię, pochyliła się i wyciągnęła jedną rękę w przód, a drugą w tył, jakby zamarła podczas biegu.

– Gotowa.

– Trzy. Dwa. Jeden.

Brianna skoczyła, na ułamek sekundy wcześniej, niż Jack nacisnął spust. Błyskawicznie zrozumiała swój błąd: pocisk leciał za nią.
Znacznie lepiej gonić kulę niż pozwolić, by to ona goniła ciebie.
Brianna leciała. Niemal dosłownie. Gdyby rozłożyła ręce i złapała trochę wiatru, mogłaby przelecieć piętnaście metrów, bo poruszała się szybciej, odrobinę szybciej, niż odrzutowiec, mknący po pasie startowym.
Biegła w szczególny sposób. Machała rękami jak każdy biegacz, ale przy każdym ruchu odwracała dłonie. U niemal wszystkich mutantów z ETAP-u to właśnie w dłoniach skupiała się moc.
Powietrze gwizdało jej uszach. Krótkie włosy powiewały. Policzki wibrowały, a oczy piekły. Oddychanie wymagało dużego wysiłku przy takim huraganowym wietrze.
Świat wokół stał się rozmazaną plamą barw i obiektów, przelatujących obok z prędkością, której jej umysł nie ogarniał. Smugi światła bez określonego kształtu.
Wiedziała z doświadczenia, że po wszystkim będzie musiała schłodzić stopy, by nie spuchły. Już wcześniej wzięła na zapas dwie tabletki

advilu.

Była szybka. Nieprawdopodobnie szybka.

Nie szybsza jednak od pędzącego pocisku.

Zaryzykowała zerknięcie w tył.

Pocisk ją doganiał. Widziała go, małą, szarą smugę, wirującą tuż za nią.

Brianna zrobiła unik w prawo, o pół kroku.

Pocisk leniwie przeleciał obok.

Pognała za nim, ale trafił w ziemię – z dala od celu – gdy wciąż była cztery metry za nim.

Szybko wytraciła prędkość, wykorzystała wznoszące się zbocze, by łagodnie zwolnić, i w końcu się zatrzymała.

Jack stał trzysta metrów od niej. Cały wyścig trwał około sekundy, chociaż w subiektywnym odczuciu Brianny minęło więcej czasu.

– Udało ci się? – zawołał Jack.

Potruchtała do niego z powrotem w tempie, które teraz zdawało jej się niemrawe – pewnie nie więcej, niż sto trzydzieści, sto czterdzieści kilometrów na godzinę – i roześmiała się.

– Absolutnie.

– Nawet cię nie widziałem. Byłaś tu. A potem tam.

– Dlatego nazywają mnie Bryzą – powiedziała, zawadiacko puszczając do niego oko. Ale potem żołądek przypomniał jej, że właśnie spaliła dzienną porcję kalorii. Głośno burczało jej w brzuchu i była pewna, że Jack musi to słyszeć.

– Oczywiście, wiesz, że tak naprawdę bryza to powolny, bezładny wiaterek? – zauważył z pedanterią.

– A ty oczywiście wiesz, że mogę ci przyłożyć osiem razy, zanim zdążysz mrugnąć?

Jack mrugnął.

Brianna się uśmiechnęła.

– Masz – powiedział ostrożnie Jack. Podał jej pistolet kolbą do przodu. – Weź to.

Wcisnęła broń do plecaka u swoich stóp. Wyjęła otwieracz do konserw i puszkę sosu do pizzy, którą zdołała zachować. Odcięła wieczko i wypiła pikantną breję.

– Proszę. – Podała puszkę chłopakowi. – Trochę zostało.

Przechylił puszkę i cierpliwie czekał, aż trzy deka czerwonego sosu spłyną do jego ust. Potem wylizał wnętrze puszki i palcem wskazującym wyciągnął resztki, których nie mógł dosięgnąć językiem.

– No, Jack. A co z ponownym uruchomieniem telefonów?

Zawahał się, jakby nie był pewien, czy powinien jej cokolwiek mówić.

– Działają. Albo będą, jak tylko dostanę od Sama polecenie ich uruchomienia.

Wbiła w niego spojrzenie.

– Co?

– To było tak naprawdę dość proste zadanie. Mamy trzy przekaźniki, jeden tutaj, w Perdido Beach, drugi trochę dalej, przy autostradzie, i jeden na szczycie góry. Jest program, który sprawdza numery, żeby mieć pewność, czy rachunki zostały zapłacone, i tak dalej, a potem numer dostaje autoryzację. Program nie działa w przekaźniku, oczywiście, tylko poza ETAP-em. Więc ustawiłem to tak, żeby

wszystkie telefony miały autoryzację.

– Mogę zadzwonić do mamy? – spytała Brianna. Znała odpowiedź, ale nie mogła stłumić przypływu nadziei i powstrzymać się przed zadaniem pytania.

Jack popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Jasne, że nie. To by oznaczało pokonanie bariery ETAP-u.

– A. – Rozczarowanie przypominało ostry ból. Brianna, jak większość dzieciaków w ETAP-ie, nauczyła się radzić sobie z utratą rodziców, dziadków, starszego rodzeństwa. Ale nadzieja, że będzie można z nimi porozmawiać...

Najbardziej tęskniła za matką. Od młodszych sióstr Briannę dzieliła duża różnica wieku. Ojciec od rozwodu nie był obecny w jej życiu. Mama ponownie wyszła za mąż, za pewnego palanta, a potem urodziły im się bliźniaczki. Brianna lubiła je, ale były od niej o osiem lat młodsze, więc spędzały razem niewiele czasu.

To ojczym nalegał, by wysłać ją do Coates. Mówił, że dostaje coraz gorsze stopnie. Kiepski pretekst. Wielu uczniów miało kłopoty z matmą i nikt nie wysyłał ich z tego powodu w takie miejsce, jak Coates.

Brianna nakłoniła matkę, by postawiła się ojczymowi. To miał być jej ostatni rok w Coates. Następnej jesieni miała wrócić do szkoły średniej Nicolet w Banning. Tam było jej miejsce. Nie można powiedzieć, że w Nicolet nie trafiały się łobuzy, ale nie było tam żadnego Caine'a, żadnego Benna, żadnej Diany i bez wątpienia żadnego Drake'a.

Tam nikt nigdy nie zamknąłby jej dłoni w betonowym bloku i nie zostawił, by głodowała.

Cóż, fajnie będzie oszołomić dawnych kolegów nową mocą. Szczęki im opadną. W głowach im się zagotuje. Sama mogła zastąpić całą drużynę lekkoatletyczną.

– Nie ma satelitów, z którymi można by się połączyć – ciągnął Jack na swój pedantyczny sposób. Zdecydowanie miał swój urok. Uważała też, że jest w pewnym stopniu interesujący. Urok brał się głównie stąd, że był tak bezradny, a jednocześnie tak przerażająco inteligentny. Zauważyła go już wcześniej, gdy w Coates panowało istne piekło, a Jack był tylko marginalną postacią w klice Caine'a.

– Dlaczego Sam nikomu nie powiedział? – spytała Brianna. – Dlaczego nie włączył systemu z powrotem?

– Nie da się zrobić tak, żeby dzieciaki z Coates też go nie używały, chyba że wyłączymy przekaźnik na górze. Albo znajdę sposób na zmianę całej procedury autoryzacji, tak żeby dostawały ją tylko określone numery. To byłby kawał informatycznej roboty, bo musiałbym zaczynać od zera.

– Aha. – Brianna przyjrzała mu się z bliska. – Nie chcemy robić nic, co by pomogło Caine'owi, Drake'owi i tej wiedźmie. Prawda?

Jack wzruszył ramionami.

– No... Bałem się Drake'a. To znaczy... wszyscy boją się Drake'a. Ale Caine i Diana byli dla mnie w porządku.

Nie spodobała jej się ta odpowiedź. Uśmiech zainteresowania, którym go obdarzała, zniknął. Podniosła ręce. Śladów po okrutnym betonowaniu już nie było. Ale wspomnienie tej męczarni i okropnego głodu – zwłaszcza teraz, gdy ten ostatni wrócił – wciąż były świeże.

– Dla mnie nie byli tacy mili.

– Fakt – przyznał Jack. Wbił wzrok w ziemię. – Ale mimo wszystko... Znaczy, oni wszyscy... Sam i Astrid i w ogóle... prosili, żebym to rozpracował, znaczy telefony, a ja to zrobiłem. Chcę... Znaczy... Znaczy, zrobiłem to. Działają. Więc powinniśmy włączyć je z powrotem.

Twarz dziewczyny stężała.

– Nie. Gdybyśmy mieli przez to w jakikolwiek sposób pomóc ludziom z Coates, to nie. Nie chcę w najmniejszym stopniu ułatwiać im życia. Chcę, żeby cierpieli. Chcę, żeby cierpieli najbardziej, jak tylko można. I chcę, żeby umarli.

Zobaczyła szok za szkłami tych krzywych okularów. Jack nie różnił się od większości ludzi, przyznała w duchu z pewnym zgorzknieniem. Nie traktował jej poważnie. Oczywiście, roztaczała wokół siebie aurę luzu i w ogóle – w końcu była Bryzą. Była superbohaterką, więc miała obowiązek zachowywać pewien styl. Jednocześnie jednak była Brianną. Zwyczajną dziewczyną.

– O, czy to zabrzmiało zbyt ostro? – spytała z nutką irytacji w głosie.

– Trochę – przyznał.

– Tak? No, dzięki za pomoc. Na razie – powiedziała. I zniknęła, zanim zdążył powiedzieć jeszcze coś głupiego.

Duck się obudził.

Był zupełnie zdezorientowany. Leżał na plecach. Mokry. Nie miał na sobie nic oprócz kąpielówek. Było ciemno.

Marzł. Drętwiały mu końce palców. Trząsł się.

Czuł pod łopatkami coś twardego i ostrego, więc przesunął się, by zmniejszyć ból. Rozejrzał się w oszołomieniu. Z góry sączył się słaby blask. Promienie słońca z trudem przebijały się przez długi szyb. Próbował się w tym jakoś rozeznać. Wszystko pamiętał: opadanie na dno basenu, a potem opadanie niżej, poprzez to dno. Pamiętał, jak krztusił się wodą i jak paliło go w płucach. Miał podrapane boki i wewnętrzną stronę dłoni.

A teraz znalazł się w dole. Głębokim dole. Na dnie błotnistego szybu, który w jakiś sposób wytworzył, zapadając się pod ziemię.

Zapadając się pod ziemię?

Nie mógł mieć pewności, jak głęboko się znajduje. Ale po natężeniu światła, które wydawało się bardzo odległe, poznawał, że od powierzchni dzieli go przynajmniej pięć metrów. Pięć metrów. Pod ziemią.

Strach ukłuł go w serce. Był pogrzebany żywcem. Nie było możliwości, by wdrapał się z powrotem przez ten wąski szyb.

Żadnej możliwości.

– Ratunku! – krzyknął. Dźwięk poniósł się słabym echem.

Duck zdał sobie sprawę, że nie przebywa w ciasnej przestrzeni. Było tam powietrze. A powierzchnia pod nim była zbyt twarda i zbyt szorstka, jak na zwykłą ziemię. Opadł na kolana. A potem powoli wstał. Ledwie o centymetry nad głową miał sklepienie. Wyciągnął ręce na boki. Po lewej dotknął ściany, po prawej nie było nic.

– To rura – powiedział w ciemność. – Albo tunel.

Po obu stronach panowały przy tym atramentowe ciemności.

– Albo jaskinia.

– Jak to się stało? – zwrócił się z pytaniem do groty. Szczękał zębami z zimna. I ze strachu. Usłyszał ciche echo, ale żadnej odpowiedzi.

Podniósł głowę w stronę światła i zaczął wołać:

– Ratunku! Ratunku!

I tak jeszcze kilka razy. Ale nie było szans, że ktoś go usłyszy. No, chyba że Zil i chłopcy, którzy go dręczyli, poszli po pomoc. To było możliwe, prawda? Może byli matołami, ale bez wątpienia sprowadziliby pomoc. Nie zostawiliby go na pastwę losu.

A jednak z góry nie patrzyły na niego żadne zaniepokojone twarze.

– No dalej, Duck. Myśl.

Znajdował się w tunelu albo czymś podobnym, głęboko pod ziemią. Podłoże było błotniste i mokre. Mimo to w tunelu panowała niewielka wilgotność, na pewno nie taka, jak w kanale. On sam ubłocił się w znacznie mniejszym stopniu, niż powinien.

– Spadłem w dół poprzez ziemię. Potem niemal utonąłem, straciłem przytomność i zatrzymałem się. Woda dalej mnie obmywała i dlatego jestem czysty.

Cieszył się, że rozwiązał tę zagadkę.

Ostrożnie postąpił kilka kroków w głąb tunelu, trzymając wyciągnięte do przodu ręce. Bał się. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Bardziej nawet niż w dniu, gdy zaczął się ETAP, czy w dniu wielkiej bitwy, gdy schował się w szafie z latarką i kilkoma komiksami.

Teraz był tu w dole sam. Nie miał Iron Mana. Nie miał Sandmana. Ani Mrocznego Rycerza.

I było mu zimno.

Duck usłyszał własny szloch i ku swojemu przerażeniu stwierdził, że

płacze. Próbował przestać. Nie było to łatwe. Chciał płakać. Chciał opłakiwać swoją mamę, tatę, babcie, ciotki i wujków, a nawet swojego wstrętnego starszego brata i cały świat, który odszedł i porzucił go w tym grobie.

– Ratunku! Ratunku! – krzyknął i znowu nie doczekał się odpowiedzi.

Przed sobą miał dwie możliwości, obie równie mroczne. Ciemny tunel prowadzący w lewo. Ciemny tunel prowadzący w prawo. Poczuł na twarzy lekki, niemal nieuchwytny podmuch. Zdawało mu się, że z lewej strony.

W stronę powietrza. Nie na odwrót.

Ostrożnie ruszył tunelem, wyciągając ręce niczym ślepiec, i szedł.

Było tak ciemno, że nie widział własnych dłoni. Nie było światła. Żadnego.

Wkrótce odkrył, że lepiej trzymać jedną rękę na ścianie. Była to skała, porowata i szorstka, ale wypukłości zdawały się starte. Grunt pod jego nogami był nierówny, ale dawało się iść.

– Jaskinia musi dokądś prowadzić – powiedział do siebie Duck. Przekonał się, że własny głos dodaje mu otuchy. Był prawdziwy. I znajomy. – Chciałbym, żeby to był tunel. Ludzie nie drążą tuneli bez powodu. – I po chwili dodał: – Każdy tunel musi dokądś prowadzić.

Próbował zorientować się w kierunkach. Szedł na północ, na południe, na wschód czy na zachód? Miał nadzieję, że nie za daleko na zachód, bo to zaprowadziłoby go do oceanu.

Szedł, od czasu do czasu popłakując. Nie umiał odgadnąć, jak długo jest już na dole. Nie miał pojęcia, jaka może być pora dnia. Wkrótce

stwierdził, że miejsce, gdzie spadł, wydaje mu się całkiem przytulne w porównaniu z tym, co widział teraz. Tam światła było niewiele, ale było przynajmniej trochę. Tu panowała kompletna ciemność.

– Nie chcę tu umrzeć – powiedział. Za chwilę pożałował, że sformułował tę myśl na głos. Ubranie jej w słowa nadało jej rzeczywisty wymiar.

W tym momencie uderzył głową w coś, czego nie powinno tam być. Uderzył mocno.

Duck zaklął ze złością i przyłożył sobie dłoń do czoła, by sprawdzić, czy nie krwawi, i poczuł, że jego stopy zapadają się w podłoże.

– Nie! – zawył.

Opadanie ustało. Osunął się po kolana. Ale potem się zatrzymał. Przestał się zapadać. Powoli i ostrożnie wyciągnął nogi z mocno ubitej ziemi.

– Co się ze mną dzieje? – zapytał. – Dlaczego... – Ale po chwili znal już odpowiedź. Znał ją i nie mógł uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadł.

– O mój Boże. Jestem popaprany.

– Jestem mutantem.

– Jestem mutantem ze szmatławą mocą.

Nie miał pewności, na czym dokładnie polega jego zdolność. Wyglądało na to, że miał moc zapadania się w ziemię. A to było głupie. Poza tym nie zamierzał robić niczego podobnego. Z pewnością nie powiedział: „w ziemię!".

Znowu zaczął iść, uważając na głowę i próbując przeanalizować wydarzenia. Za każdym razem, gdy się zapadał, odczuwał gniew, to po

pierwsze. Słyszał opowieści o tym, że początkowo zdolności Sama ujawniały się tylko wtedy, gdy był bardzo zły albo przestraszony.

Ale Duck bał się już od dłuższego czasu. Bał się, odkąd nastał ETAP.

To coś nastąpiło dopiero, gdy się rozgniewał.

To coś. Czymkolwiek było.

– Gdybym się wystarczająco wściekł, może bym się przewiercił przez ziemię. Wyszedłbym w Chinach. Spotkał swoich prapradziadków.

Posunął się jeszcze kawałek naprzód, w stronę słabego blasku.

– Światło? – powiedział. – Czy to naprawdę światło?

Nie można było powiedzieć, że jest jasne. To nie była żarówka. Ani latarka. Nawet nie gwiazda. Właściwie stanowiło po prostu trochę mniej ciemną część mroku. Jak za mgłą. Z oddali trudno było odgadnąć, co to takiego.

Duck miał pewność, że to złudzenie. Chciał, by światło okazało się prawdziwe, ale obawiał się, że tak się nie stanie. Obawiał się, że światło jest tylko efektem jego wyobraźni.

Szedł jednak dalej i im bardziej się zbliżał, tym mniej wierzył, że to miraż. Bez wątpienia widział blask. Niczym tarcza fosforyzującego zegara, blade, zimne, mdłe światło.

Nawet z bliska nie było dość jasne, by wyłowić z mroku wiele szczegółów – Duck widział tylko niewyraźne kontury skał. Musiał się zatrzymać i przez dłuższy czas wytężać wzrok, zanim się zorientował, że blask rozprzestrzenia się głównie przy ziemi. I że bije z bocznego tunelu, odchodzącego od głównej groty. Był on wąski, znacznie mniejszy niż sama jaskinia, która, jak mu się zdawało, stopniowo się

rozszerzyła.

Mógł iść tym nowym tunelem i przynajmniej coś zobaczyć. Niewiele, ale coś. Jakiś dowód, że jednak nie oślepł.

Ale głos w jego umyśle krzyczał: „Nie!". Instynkt podpowiadał mu, by uciekać.

– Tam jest światło. Tunel musi dokądś prowadzić – spierał się Duck sam ze sobą.

Ale chociaż nigdy nie był szczególnie pilnym uczniem i w jego mózgu mieściło się niewiele informacji o naukowym charakterze, był zarazem zapalonym miłośnikiem *Simpsonów.* Widział już taki blask w filmie rysunkowym. Pojawiał się też w licznych komiksach.

– Promieniowanie – stwierdził.

To nie w porządku, pomyślał, pełen słusznego oburzenia. Wszyscy powtarzali, że nie pozostało żadne promieniowanie po wielkim wypadku sprzed trzynastu lat, gdy w elektrownię uderzył meteoryt. Ale w takim razie skąd by się wziął ten blask? Musiał się przesączyć przez podziemne szczeliny.

Tamci kłamali. A może po prostu nie wiedzieli.

– Iść w tamtą stronę to kiepski pomysł – powiedział do siebie.

– Ale to jedyne światło! – wykrzyknął i zaczął łkać z frustracji, bo zdawało się, że nie ma innego wyboru, niż zanurzyć się w zupełną ciemność.

I wtedy coś usłyszał.

Zamarł. Wytężył zmysły i nasłuchiwał.

Cichy, szumiący dźwięk. Bardzo słaby.

Długa cisza. A potem znowu. Szum.

Wcześniej skupiał się na świetle i dlatego odgłos umknął jego uwadze. Znał ten dźwięk. Woda. I nie dobiegał, Bogu dzięki, z radioaktywnej sztolni.

Duck nie cierpiał oceanu. Ale z dwojga złego wolał już ocean niż tę jaskinię.

Zostawił blask za sobą i ostrożnie macał drogę, powoli przemierzając smolistą czerń i cały czas uważając na swe obolałe czoło.

Rozdział 6

96 GODZIN, 22 MINUTY

– Słuchaj, Albercie, nie gadaj, że mamy problem, a ja nic z tym nie mogę zrobić – powiedział Sam, niemal warcząc. Szedł szybkim krokiem z ratusza do znajdującego się obok kościoła. Towarzyszyli mu Albert i Astrid, którzy z trudem dotrzymywali kroku swemu burmistrzowi.

Słońce zachodziło za oceanem. Umierające światło malowało na wodzie wykrzyknik, podświetlając unoszącą się łódź, jedną z tych małych motorówek. Sam westchnął. Jakiś dzieciak, który pewnie w końcu wpadnie do wody.

Zatrzymał się gwałtownie, aż Albert i Astrid wpadli na siebie.

– Przepraszam. Nie chciałem się wściekać. Jestem wściekły, ale nie na ciebie, Albercie. Po prostu muszę egzekwować prawo, a przykro mi, ale mordercze dżdżownice nie ułatwiają sprawy.

– To wstrzymaj się przez parę dni – powiedział spokojnie Albert.

– Wstrzymać się? Albercie, ty sam już od tygodni, od miesięcy powtarzasz, że powinniśmy wszystkich zapędzić do roboty.

– Nigdy nie mówiłem, że powinniśmy ich do czegokolwiek zmuszać – zaoponował tamten. – Mówiłem, że trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby płacić za pracę.

Sam miał kiepski nastrój. Śmierć jednego z dzieciaków stanowiła tragedię, z którą można sobie poradzić, ale on traktował to wydarzenie jako osobistą porażkę. W jego ręce oddano rządy, co

oznaczało, że obciążają go wszelkie niepowodzenia. E. Z. był pod jego opieką i ochroną. A teraz zmienił się w kupkę popiołu.

Sam wciągnął haust powietrza. Obrzucił posępnym wzrokiem na cmentarz na placu. Trzy nowe groby w ciągu zaledwie trzech miesięcy, odkąd oficjalnie wybrano go na burmistrza. E. Z. nie będzie miał grobu, a jedynie nagrobek. Jak tak dalej pójdzie, na placu zabraknie miejsca.

Drzwi wejściowe do kościoła stały otworem. Zawsze. Dlatego że – podobnie jak znaczna część dachu – uległy zniszczeniu podczas bitwy w Święto Dziękczynienia. Szerokie drewniane wierzeje zostały wysadzone z zawiasów. Krawędzie otworu były postrzępione, u góry podtrzymywała je kamienna płyta, a powstała konstrukcja wyglądała jak przekrzywiony megalit ze Stonehenge.

Caine omal nie zburzył całego kościoła, ale budowla miała solidne fundamenty, więc w trzech czwartych ciągle stała. Część gruzów już uprzątnięto, ale niewiele, zresztą zepchnięto je tylko w boczne ulice. Podobnie wyglądały inne ambitne przedsięwzięcia, które spełzły na niczym, bo dzieciaki porzuciły pracę i nie dały się namówić na powrót.

Sam skierował się prosto do ołtarza i wspiął się po trzech niskich stopniach na to, co uważał za scenę, choć Astrid tłumaczyła mu cierpliwie, że właściwa nazwa brzmi „prezbiterium". Wielki krzyż nie wrócił na swoje miejsce, stał w kącie, oparty o ścianę. Bliskie oględziny ujawniłyby plamy krwi w miejscu, gdzie krzyż zgruchotał ramię Cookiego.

Dopiero gdy Sam się odwrócił, spostrzegł, jak niewielka część kościoła jest zapełniona. Powinno się tu znajdować blisko 250 dzieciaków,

pomijając przedszkole i osoby, które stały w różnych miejscach na straży. Tymczasem obecnych było nie więcej niż osiemdziesiąt dzieciaków. Z czego połowa tak młoda, że bez wątpienia przysłało ich tu starsze rodzeństwo, licząc na darmową opiekę.

Astrid i Albert zajęli miejsca w pierwszej ławie. Mały Pete został w przedszkolu. Mateczka Mary miała więcej pomocników i Astrid mogła czasami zostawiać tam braciszka, chociaż nigdy na bardzo długo. Dopóki Pete zajmował się swoją grą elektroniczną, każdy mógł się nim opiekować. Ale jeśli się zdenerwował...

Sama Mary Terrafino usiadła dwa rzędy dalej, zbyt skromna, by zająć miejsce w przedniej części kościoła, wśród tych, którzy pełnili najważniejsze funkcje. Sam zdziwił się, że Mary tak dobrze wygląda. Straciła na wadze. Pewnie z przepracowania. A może nie lubiła puszkowanego jedzenia, takiego, jakie przed ETAP-em ludzie oddawali na zbiórki żywności. Tak czy owak, była szczupła – a zazwyczaj nie dałoby się określić jej tym przymiotnikiem. Szczupła jak modelka.

Lana Arwen Lazar przycupnęła w ostatnim rzędzie. Wyglądała na zmęczoną i lekko rozdrażnioną. Lana często wydawała się rozdrażniona. Ale przynajmniej przyszła, w przeciwieństwie do większości innych.

Sam zgrzytnął zębami, zły, że tak wiele osób nie zjawiło się na zebraniu. Co takiego ważnego mieli do roboty?

– Po pierwsze – zaczął – chcę powiedzieć, że przykro mi z powodu E. Z. To był dobry chłopak. Nie zasługiwał... – Przez chwilę omal nie stracił panowania nad sobą, gdy znikąd wezbrała w nim fala uczuć. –

Żałuję, że nie żyje.

Ktoś głośno załkał.

– Słuchajcie, od razu przejdę do rzeczy. Mamy trzysta trzydzieści dwie... przepraszam, trzysta trzydzieści jeden osób do wykarmienia – powiedział Sam. Oparł dłonie na biodrach i szerzej rozstawił nogi. – Sytuacja z zapasami żywności już wcześniej wyglądała marnie. Ale po ataku tych z Coates... no, nie jest marna, tylko rozpaczliwa.

Poczekał, aż do wszystkich to dotrze. Ale jak wiele potrafiły tak naprawdę ogarnąć sześcio – czy ośmiolatki? Nawet starsi nie sprawiali wrażenia zaniepokojonych.

– Trzysta trzydzieści jeden osób – powtórzył z uporem Sam – a jedzenia wystarczy może na tydzień. To niedługo. Jedzenia jest mało. Zresztą, jak wszyscy wiecie, to, co mamy, jest paskudne.

Teraz wywołał reakcję słuchaczy. Młodsze dzieci zaczęły wydawać odgłosy naśladujące krztuszenie się i wymioty.

– Dobra – warknął. – Przestańcie. Rzecz w tym, że sytuacja wygląda naprawdę tragicznie.

– A co z jedzeniem we wszystkich domach? – zawołał ktoś.

Światło zachodzącego słońca wpadło do środka przez zniszczoną fasadę i poraziło oczy Sama. Musiał zrobić dwa kroki w lewo, by przed nim uciec.

– Hunter? To ty?

Hunter Lefkowitz był od niego o rok młodszy i miał długie włosy – jak niemal wszyscy, z wyjątkiem nielicznych, którzy podjęli ryzyko, żeby się samodzielnie ostrzyc. Przed ETAP-em Hunter nigdy nie należał do osób lubianych w szkole. Ale, pomyślał Sam, cechy, które

sprawiały, że kiedyś ludzie byli lubiani, teraz się już nie liczyły. Hunter zaczął odkrywać w sobie moc. Sam poprosił chłopaka, by utrzymywał ten fakt w sekrecie, podejrzewał bowiem, że Caine przysyła szpiegów do Perdido Beach. Chciał mieć możliwość wykorzystania Huntera w charakterze tajnej broni, gdyby doszło do kolejnej walki z ludźmi Caine'a. Ciężko jednak było utrzymać tajemnicę w miejscu, w którym wszyscy się znali.

– Przeszukaliśmy wszystkie domy i zanieśliśmy żywność do sklepu – ciągnął Sam. – Kłopot w tym, że owoce i warzywa zepsuły się, kiedy opychaliśmy się chipsami i ciastkami. Mięso zgniło. Ludzie postępowali głupio i bezmyślnie, ale teraz już nic na to nie poradzimy.

– Przełknął gorycz i złość, którą wywołała w nim własna nieodpowiedzialność. – Ale mamy żywość, która czeka na polach. Może nie są to rzeczy, które najbardziej lubimy, ale dzięki nim przeżyjemy wiele miesięcy, o ile przyniesiemy je tutaj, zanim wszystko zgnije albo zostanie pożarte przez ptaki.

– Może ktoś nas uratuje, może nie musimy się aż tak martwić – odezwał się inny głos.

– A może nauczymy się odżywiać powietrzem – mruknęła Astrid pod nosem, na tyle jednak głośno, by usłyszało ją przynajmniej kilka osób.

– Dlaczego nie pójdziecie odzyskać naszego jedzenia od Drake'a i jego trolli?

To był Zil. Po tych słowach odrażający chłopak o imieniu Antoine, należący do niewielkiej świty Zila, klepnął go w plecy w geście gratulacji.

– Bo to by oznaczało, że ktoś zginie – odrzekł otwarcie Sam. – Jest

mało prawdopodobne, byśmy cokolwiek odzyskali, za to prawie pewne, że trzeba by kopać nowe groby na placu. Zresztą i tak nie rozwiązałoby to naszego problemu.

– Weź swoich mupów i niech walczą z tamtymi mupami – powiedział Zil.

Sam zbyt często słyszał ostatnio słowo „mupy". „Trolle" to było nowsze określenie. Każdy nowy termin wydawał się bardziej obraźliwy od poprzedniego.

– Usiądź, Zil – ciągnął Sam. – Mamy dwadzieścioro sześcioro dzieciaków, które należą do... Czy postanowiliśmy? Nazywamy ich „wojskiem"? – spytał Edilia.

Edilio siedział w pierwszej ławie. Pochylił się do przodu i zwiesił głowę, wydawał się bardzo nieswój.

– Niektórzy tak mówią, ale stary, nie wiem, czy ich tak nazywać. Może lepszym określeniem byłaby straż? To chyba nie ma znaczenia...

– Mateczka Mary ma piętnaście osób, które dla niej pracują, włączając tych, którzy przychodzą na jeden dzień – powiedział Sam, odhaczając coś z listy. – Ellen od straży pożarnej ma w remizie sześciu ludzi, gotowych na nagłe wypadki. Dahra sama obsługuje aptekę, Astrid doradza mnie. Jack zajmuje się sprawami technicznymi. Z Albertem pracuje dwadzieścioro czworo dzieciaków, które pilnują sklepu Ralph's i rozdzielają żywność. Wliczając mnie, wychodzi siedemdziesiąt osiem osób, które wykonują różne prace.

– Jeśli raczą się pojawić – wtrąciła Mary Terrafino. Rozległ się nerwowy śmiech, ale Mary się nie uśmiechała.

– Właśnie – zgodził się Sam. – Jeśli raczą się pojawić. Rzecz w tym, że

potrzebujemy więcej rąk do pracy. Potrzebujemy ludzi, którzy przyniosą jedzenie z pól.

– Jesteśmy tylko dziećmi – powiedział jakiś piątoklasista i zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Wkrótce będziecie głodnymi dziećmi – warknął Sam. – Głodującymi dziećmi. Posłuchajcie: ludzie będą głodować. Umierać z głodu.

– Umierać. Z głodu – powtórzył z całym naciskiem, jaki potrafił położyć na te słowa.

Zauważył ostrzegawcze spojrzenie Astrid i wziął głęboki wdech.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru krzyczeć. Po prostu sytuacja jest naprawdę zła.

Dziewczynka z drugiej klasy podniosła rękę. Sam westchnął, wiedząc, czego się może spodziewać, ale i tak pozwolił małej mówić.

– Chcę do mamy.

– Wszyscy chcemy – powiedział niecierpliwie. – Wszyscy chcemy, żeby stary świat wrócił. Ale najwyraźniej nie umiemy do tego doprowadzić. Dlatego musimy się postarać żyć tu i teraz. To oznacza, że potrzebujemy jedzenia. A to z kolei znaczy, że musimy zbierać plony, ładować je do ciężarówek, odpowiednio przechowywać, gotować i... – Wyciągnął ręce w górę, zauważywszy, że patrzy na całe rzędy pustych spojrzeń.

– Zwariowałeś z tym zbieraniem warzyw? – Był to Howard Bassem, oparty o ścianę z tyłu. Sam nie zauważył, kiedy tamten wszedł. Rozejrzał się w poszukiwaniu Orka, ale nigdzie go nie zobaczył. A Orc nie był czymś... nie, kimś, nadal kimś, mimo wszystko... kogo można by przeoczyć.

– Znasz inny sposób na zdobywanie żywności? – spytał Sam.

– Stary, myślisz, że ludzie nie wiedzą, co się stało z E. Z. ?

Sam zesztywniał.

– Oczywiście, wszyscy słyszeli, co się stało z E. Z. Nikt nie próbuje tego ukrywać. Ale z tego, co wiemy, te dżdżownice są tylko na jednym polu kapusty.

– Jakie dżdżownice? – spytał Hunter.

Najwyraźniej nie wszyscy słyszeli. Sam miał ochotę w tym momencie przyłożyć Howardowi. Ostatnią rzeczą, której potrzebowali, było rozpamiętywanie makabrycznego losu E. Z.

– Przyjrzałam się jednemu z tych stworzeń – odezwała się Astrid, wyczuwając, że Sam doszedł do kresu cierpliwości. Nie weszła po schodkach, lecz stała przy swojej ławie, twarzą do zebranych, którzy teraz uważnie jej słuchali. Oprócz dwojga małych dzieci, które przepychały się nawzajem.

– Dżdżownice, które zabiły E. Z. , to mutanty – ciągnęła dziewczyna. – Mają setki zębów. Ich korpusy są zaprojektowane do przewiercania się przez ciało, a nie do rycia w ziemi.

– Ale o ile wiemy, występują tylko na jednym polu kapusty – wtrącił Sam.

– Zrobiłam sekcję osobnika, którego przyniósł mi Sam – powiedziała Astrid. – Odkryłam coś bardzo dziwnego. Te zwierzęta mają niezwykle duże mózgi. U przeciętnej dżdżownicy mózg jest tak prymitywny, że można go odciąć, a ona dalej będzie zachowywała się tak, jak zwykle.

– Trochę jak moja młodsza siostra – odezwał się jakiś chłopiec i zaraz

dostał kuksańca od siedzącej obok dziewczynki.

Howard podszedł do prezbiterium.

– Czyli zębaki, które zabiły E. Z. , są mądre.

– Nie mówię, że umieją czytać albo rozwiązywać równania kwadratowe – stwierdziła Astrid. – Mózgi tych organizmów, które były dotychczas skupiskami komórek, zajmującymi się jedynie przeciwnym fototropizmem, ewoluowały do mózgów z oddzielnymi półkulami i wyróżniającymi się, być może, wyspecjalizowanymi obszarami.

Sam ukrył uśmiech, spoglądając w dół. Astrid doskonale potrafiła tłumaczyć różne rzeczy w prosty sposób. Gdy jednak ktoś ją drażnił, tak jak teraz Howard, sypała skomplikowanymi określeniami, by ten ktoś poczuł się głupkiem.

Howard zatrzymał się, jakby sparaliżowany słowem „fototropizm". Szybko się jednak pozbierał.

– Słuchaj, generalnie jest tak, że jak wejdziesz na pole pełne tych zwierzaków, które zabiły E. Z. , to już nie żyjesz. Zgadza się?

– Duże mózgi przemawiają za hipotezą, że te stworzenia są zdolne do terytorialności. Sądząc po tym, co zaobserwowali Sam, Edilio i Albert, dżdżownice mogą pozostawać jedynie w obrębie swojego terytorium. W tym wypadku, na polu kapusty.

– Tak? – powiedział Howard. – No to ja znam kogoś, kto może przejść przez to pole i nic mu się nie stanie.

Więc o to chodzi, pomyślał Sam. W wypadku Howarda, zawsze tematem numer jeden był Orc.

– Możesz mieć rację, że Orc byłby bezpieczny – przyznał Sam. – No

i co?

– No i co? – powtórzył tamten. Uśmiechnął się z wyższością. – No i to, że Orc może pozbierać dla ciebie tę kapustę. Oczywiście, będzie chciał czegoś w zamian.

– Piwa?

Howard pokiwał głową, może trochę speszony, ale nie za bardzo.

– Lubi je. Mnie osobiście piwo nie smakuje. Ale i mnie się coś należy, jako menedżerowi Orka.

Sam zgrzytnął zębami. Ale to naprawdę mogło rozwiązać problem. W sklepie Ralph's wciąż mieli sporo puszek z piwem.

– Jeśli Orc chce spróbować, mnie to pasuje – powiedział Sam. – Dogadaj się z Albertem.

Astrid wyraźnie nie spodobał się taki scenariusz.

– Sam, Orc stał się alkoholikiem. Chcesz mu dać piwo?

– Puszka piwa za dzień pracy – odparł Sam. – Nie upije się za bardzo...

– Nie ma mowy – przerwał mu Howard. – Orc potrzebuje skrzynki dziennie. Czterech sześciopaków. W końcu na tym polu kapusty jest gorąco.

Sam zerknął na Astrid. Miała zaciśnięte usta. Ale – Sam odpowiadał za wykarmienie trzystu trzydziestu jeden dzieciaków. Orc był zapewne odporny na zębaki. I miał taką siłę, że mógł wyrwać półtorej tony kapusty w ciągu tygodnia.

– Porozmawiaj z Albertem po spotkaniu – zwrócił się Sam do Howarda.

Astrid była wściekła, ale usiadła bez słowa. Howard zawadiacko

wyciągnął mały palec w stronę Sama na znak zgody.

Sam westchnął. Zebranie nie toczyło się tak, jak zaplanował. Jak zwykle. Rozumiał, że dzieci są tylko dziećmi, i przywykł do nieuniknionego zamętu i ogólnej głupoty młodszych. Ale przygnębiał go fakt, że wiele starszych dzieciaków, siódmo – i ósmoklasistów, nie raczyło nawet przyjść.

Co gorsza, przez te wszystkie rozmowy o jedzeniu dręczył go głód. Obiad przebiegł w ponurej atmosferze. Głód był już niemal wszechobecny. Pochłaniał wszystkie jego myśli, owładnął nim do tego stopnia, że Sam nie był w stanie zajmować się innymi sprawami.

– Słuchajcie, ogłaszam nową zasadę. Zabrzmi to ostro, ale nie ma innego wyjścia.

Słowo „ostro" przyciągnęło uwagę niemal wszystkich obecnych.

– Nie możemy pozwolić, żeby ludzie całymi dniami siedzieli bezczynnie, grając na Wii albo oglądając DVD. Trzeba zacząć pracę na polach. Dlatego słuchajcie: wszyscy, którzy ukończyli siedem lat, muszą przepracować trzy dni tygodniowo przy zbiorze owoców i warzyw. Potem Albert rozpracuje kwestię zamrażania tego, co da się zamrozić, albo przechowywania żywności w inny sposób.

Zupełna cisza. I puste spojrzenia.

– Jutro dwa szkolne autobusy będą gotowe do drogi. W każdym mieści się mniej więcej pięćdziesiąt osób. Mam nadzieję, że będą pełne, bo jedziemy zbierać melony, a to dużo roboty.

Coraz więcej pustych spojrzeń.

– Dobra, powiem wprost: weźcie swoich braci i siostry, kolegów i wszystkich powyżej siódmego roku życia. Zbiórka na placu jutro o

ósmej rano.

– Ale co z...

– Po prostu przyjdźcie – powiedział Sam z mniejszym naciskiem, niż zamierzał. Złość i frustracja stopniowo go opuszczały, wypierane przez zmęczenie i przygnębienie.

– Po prostu przyjdźcie – rzucił ktoś śpiewnym głosem, przedrzeźniając mówcę.

Sam zamknął oczy i przez chwilę zdawało się niemal, że śpi. Potem otworzył je i uśmiechnął się niemrawo.

– Proszę. Przyjdźcie – powtórzył cicho.

Zstąpił ze schodków i wyszedł z kościoła, pogodzony z myślą, że na jego apel odpowiedzą nieliczni.

Rozdział 7

88 GODZIN, 54 MINUTY

– Zatrzymaj się tutaj, Pando – zakomunikował Drake.

– Dlaczego? – Panda siedział za kierownicą terenówki. Z każdym dniem stawał się coraz sprawniejszym kierowcą, ale, nadal jeździł nie szybciej niż pięćdziesiątką.

– Dlatego, że tak mówię – odparł Drake z irytacją w głosie.

Robal wiedział, czemu stają. I wiedział, dlaczego drażni to Drake'a. Nie mogli ryzykować przejazdu autostradą do elektrowni. W ciągu trzech miesięcy, gdy Caine miał halucynacje i opowiadał brednie, Coates słabło coraz bardziej, podczas gdy Perdido Beach radziło sobie całkiem nieźle. Drake dokonał napaści na sklep, ale nie odważył się na nic więcej.

Robal doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiele razy zaglądał do miasteczka. Nie mieli zbyt wiele żywności, ale jednak więcej niż Coates. Doprowadzało go to do frustracji. Powinien ukraść więcej jedzenia, ale jego moc kameleona nie obejmowała rzeczy, które przenosił. Mógł co najwyżej wsunąć sobie do kieszeni koszuli paczkę zupy w proszku albo batonik PowerBar. Chociaż teraz nie trafiało się już na batoniki. Ani na zupy w proszku.

– Dobra, Robalu, dalej idziemy piechotą – oznajmił Drake. Otworzył drzwi na oścież i wyszedł na drogę. Robal przesunął się po siedzeniu i wysiadł z tej samej strony co Drake.

Tak naprawdę Robal nazywał się Tyler. Koledzy z Coates

przypuszczali, że zyskał swoje przezwisko, bo zawsze gotów był podjąć jakieś szalone wyzwanie – zwłaszcza zjadanie owadów. Dzieciaki namawiały go do czegoś, a on mówił: „Jeśli to zrobię, co będę z tego miał?". Dawniej zwykle wyciągał od kolegów za swe dziwaczne wyczyny pieniądze albo słodycze.

Większość owadów nie robiła na nim wrażenia. W pewnym stopniu podobało mu się, jak się wiły, zanim zaciskał zęby, kończąc ich marny żywot.

Ale przezywano go Robalem, jeszcze zanim przyjechał do Coates, zanim zapracował sobie na opinię kogoś, kto zje wszystko. Przydomek przylgnął do niego po tym, jak przyłapano go na nagrywaniu rozmów nauczycieli z rodzicami w poprzedniej szkole. Umieszczał nagrania na Facebooku, wyszydzając uczniów, którzy zmagali się z problemami psychicznymi, trudnościami w przyswajaniu wiedzy, moczeniem nocnym – w sumie mniej więcej połowę swojej klasy.

Wysłano go do Coates nie tylko za karę, ale także dla jego własnego bezpieczeństwa.

Robal odskoczył gwałtownie, widząc, jak Drake rozwija swoją mackę. Drake wyprostował ją, po czym na powrót owinął wokół siebie. Robal nie lubił Drake'a. Nikt go zresztą nie lubił.

Zostawili Pandę ze ścisłym zaleceniem, że ma się nie ruszać z miejsca, dopóki nie wrócą. Zatrzymali wóz na bocznej drodze, której nawierzchnia przechodziła na przemian z asfaltowej w żwirową, jakby budowniczowie nie mogli zdecydować się na jej ostateczny kształt. Robal pomyślał, że jeśli przyłapią ich na zakradaniu się do elektrowni, Drake zajmie się walką, a on sam po prostu zniknie. Nocą potrafił stać

się absolutnie niewidzialny.

– Mamy do przejścia dobre trzy kilometry, żeby dostać się na główną drogę – oznajmił Drake. – Więc się ruszaj.

– Jestem głodny – poskarżył się Robal.

– Wszyscy są głodni – warknął Drake. – Lepiej się zamknij.

Zeszli z drogi na jakieś pole. Szło się ciężko, bo ziemia była zaorana i potykali się o bruzdy. Coś tam rosło, ale Robal nie miał pojęcia, co. Jakieś rośliny. Zastanawiał się, czy nadają się do jedzenia. Był potwornie głodny.

Może w elektrowni natkną się na coś do jedzenia.

Maszerowali w milczeniu. Drake nie należał do zwolenników luźnych pogawędek, podobnie zresztą jak Robal.

Światła przy autostradzie były widoczne z dużej odległości. Ich widok przywodził na myśl ruchliwe stacje benzynowe, rozświetlone bary Wendy's i Burger King, tętniące życiem sklepy, samochody, ciężarówki. Niedaleko od Perdido Beach, na południe, rozpościerał się cały ciąg takich barów, a do tego Super Target z artykułami spożywczymi i cukiernia See's, gdzie...

Robal nie mógł znieść myśli, że to wszystko jest tak blisko, tuż za barierą. O ile w ogóle coś tam jeszcze było.

Cukiernia See's. Dałby chyba odciąć sobie ucho, by spędzić pięć minut w środku. Lubił zwłaszcza ciasteczka z orzechami. Aha, i te z kremem malinowym. I te z brązowym cukrem. Zresztą te z karmelem też były dobre.

Cóż, wszystkie smakołyki znajdowały się teraz poza jego zasięgiem. Ciekła mu ślina. Bolał go brzuch.

W ETAP-ie jest tak cicho, pomyślał Robal. Cicho i pusto. A jeśli plan Caine'a się powiedzie, wkrótce zrobi się także ciemno.

Tylko niektóre fragmenty autostrady były oświetlone. Część, która wiodła przez miasto, i ta tutaj, przy skręcie do elektrowni. Robal i Drake trzymali się jak najdalej od latarni.

Robal zerknął w lewo, w stronę miasta. Na drodze panował martwy spokój. Z prawej też nic. Wiedział, że po drugiej stronie autostrady, przy drodze dojazdowej, stoi wartownia. Ale pokonanie jej nie powinno stanowić problemu.

– Musisz omijać drogę i iść na przełaj – poinstruował go Drake.

– Dlaczego? I tak nikt mnie nie zobaczy.

– W elektrowni mogą działać kamery nad podczerwień, głupku. Nie wiemy, czy jesteś dla nich niewidzialny.

Robal przyznał w duchu, że to może być problem. Ale niezbyt pociągała go perspektywa pokonania kilku następnych kilometrów piechotą, pod górę i w dół, przez wysoką trawę i niewidoczne rowy. Pewnie by się zgubił. A potem na pewno nie zdążyłby wrócić na śniadanie.

– Dobra – powiedział, nie zamierzając w gruncie rzeczy spełnić polecenia.

Nagle ohydna macka Drake'a okręciła się wokół niego. Zacisnęła się tak mocno, że ledwo oddychał.

– To ważne. Nie nawal. – Wzrok Drake'a był zimny. – Jeśli spaprasz sprawę, obedrę cię ze skóry.

Robal skinął głową. Drake poluzował uścisk.

Robal zadrżał, gdy macka go puściła. Przypominała węża. Bardzo. A

on nie znosił węży.

Włączenie kamuflażu nie sprawiało mu najmniejszych trudności. Wystarczyło, że pomyślał o znikaniu i przeciągnął dłońmi po piersi, jakby wygładzał koszulę. Zobaczył zagubione spojrzenie Drake'a, który nie był w stanie określić jego prawdziwej pozycji. Robal wiedział, że jest niewidzialny. Pokazał tamtemu środkowy palec.

– Na razie – rzucił i przebiegł przez autostradę.

Szedł na przełaj, dopóki nie znalazł się daleko od Drake'a. Księżyc wisiał na niebie, ale rozsiewał tylko nikły, srebrny blask, wyławiając z mroku nieliczne skały i kępy chwastów. Chłopak nadział się na zwieszającą się nisko gałąź i upadł na pośladki, krwawiąc z obolałych ust.

Wrócił na drogę. Wiła się wysoko ponad połyskującym oceanem; rozciągał się z niej ładny, choć niepokojący widok. Ocean miał w sobie coś, co Robalowi zawsze wydawało się złowrogie.

Pomyślał, że jeśli nawet okaże się widoczny dla kamer na podczerwień, to trudno. Zawsze mógł przejść na drugą stronę, tak jak Komputerowy Jack. Oczywiście, w takim wypadku miałby kłopoty, gdyby po jakimś czasie wpadł w łapy Drake'a.

Traktował groźby Drake'a poważnie. Bardzo poważnie.

Robal wiele razy został pobity. Ojciec nieraz dawał mu klapsa, a gdy był pijany, nie żałował także pięści. Narzucał sobie jednak pewne ograniczenia: zawsze się bał, że matka Robala zdoła odebrać mu prawo do opieki nad synem. Nie żeby tak bardzo go kochał – po prostu nienawidził jego matki i nie chciał zrobić nic, co dawałoby jej satysfakcję.

Za każdym razem, gdy ojciec wychodził napić się ze swoją dziewczyną i wracali pokłóceni, Robal gdzieś się ukrywał. Najchętniej na strychu; stało tam wiele pudeł, odgradzających przestrzeń pod spadzistym dachem, gdzie mógł wpełznąć i wyciągnąć się na warstwie izolacji cieplnej między belkami. Ojciec nigdy go tam nie znalazł.

Zdawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim dostrzegł jasno oświetloną elektrownię. Błysk za wzgórzem, blask za zakrętem drogi. Miał wrażenie, że minęła kolejna wieczność, zanim dotarł do drugiej wartowni. Po obu stronach rozciągało się ogrodzenie z siatki i drutu kolczastego.

Caine zastanawiał się wcześniej, czy to ogrodzenie, które dotąd widziała tylko jedna osoba z Coates, może być pod napięciem. Robal nie zamierzał ryzykować. Poszedł wzdłuż siatki, pod górę, oddalając się od wartowni może o sto metrów. Znalazł kij i zaczął wydłubywać ziemię spod ogrodzenia. Nie wymagało to wiele wysiłku, Robal nie był dużym chłopakiem.

Czuł się zupełnie odsłonięty. Dopóki kopał kijem, był widzialny: kije nie dysponowały mocą kamuflażu. Księżyc, który wcześniej zdawał się nie rzucać żadnego światła, teraz sprawiał wrażenie wycelowanego prosto w niego szperacza. Sama zaś elektrownia przypominała olbrzymią, przerażającą bestię, przycupniętą nad wodą, oślepiająco jasną pośród czerni.

Robal przeczołgał się pod siatką na plecach. Ziemia wsypała mu się pod koszulę, nie został jednak porażony prądem. Tak naprawdę nie sądził, by ogrodzenie było pod napięciem. Ale zawsze lepiej zachować ostrożność.

Wstał, otrzepał się i zaczął schodzić w dół zbocza, ku elektrowni.
Był głodny. Wykona swoje szpiegowskie zadanie i zrobi wszystko, co kazał mu Drake. Ale najpierw poszuka jedzenia.

Sam usiłował spać. Bardzo chciał zasnąć.
Leżał w wolnej sypialni w domu Astrid, Mary i Johna. Po ciemku. Na plecach. Gapił się w sufit.
Na dole, w kuchni, znajdowało się kilka puszek z jedzeniem. Odczuwał głód. Ale zjadł już swoją dzienną porcję. Musiał świecić przykładem.
Mimo wszystko był głodny, a głód nie przejmował się takimi sprawami, jak świecenie przykładem.
Jedzenie na dole. A Astrid po drugiej stronie korytarza.
Tak, dziewczyna wzbudzała w nim rodzaj głodu. Ale także pod tym względem powinien dawać przykład.
Nie jestem niczym innym, jak tylko dobrym przykładem, pomyślał posępnie.
Nie żeby Astrid... chociaż... jak mógł mieć pewność?
W głowie szumiało mu od spraw do załatwienia. Musiał wysłać ludzi do pracy przy zbiorach. Nakłonić ich, by znosili swoje śmieci w jedno miejsce. Nocą na ulicach grasowały szczury, które biegały od jednej sterty odpadków do drugiej.
Musiał sporządzić pełną listę młodszych dzieci i umieścić je w domach ze starszymi. Niektóre pięcio – i sześciolatki mieszkały same. Było to i niedorzeczne, i niebezpieczne. W zeszłym tygodniu jeden z maluchów wrzucił suszarkę do wanny i w całym domu wysadziło korki. Całe szczęście, że nikogo nie poraził prąd. Dwa tygodnie wcześniej chłopiec

z drugiej klasy, który mieszkał sam, wywołał w domu pożar. Najprawdopodobniej z rozmysłem. Chciał, żeby ktoś, ktokolwiek, zwrócił na niego uwagę. Ogień strawił trzy domy, zanim sąsiedzi zawiadomili straż pożarną. Gdy Ellen przyjechała na miejsce wielkim wozem strażackim, pożar już dogasał.

Dziecko przeżyło z bolesnymi oparzeniami, które wyleczyła Lana. Ale najpierw chłopiec godzinami wił się i krzyczał w nieznośnych męczarniach.

Czy Astrid jeszcze nie spała? Czy leżała, czuwając, w ciemności? Tak samo, jak on? I myślała o tym samym?

Nie. Myślała, jaki z niego osioł, że pozwolił Albertowi przekupić Orka piwem. Myślała, że brak mu zasad. Że traci kontrolę nad sytuacją. Może miała rację.

To nie pomagało. Nie pomagało w zaśnięciu. Nie pomagało w ułożeniu listy rzeczy do zrobienia i tych, których nie dało się zrobić.

To szaleństwo, że teraz fantazjował o puszce chilli, ostatniej w miarę smacznej rzeczy, jaką jadł. Jak dawno? Tydzień temu? Fantazjował o puszce chilli. Hamburgerach. Lodach. Pizzy. I o Astrid, leżącej w swoim łóżku.

Zastanawiał się, jak by to było się upić. Czy człowiek zapominał wtedy o wszystkim? W ETAP-ie nie brakowało alkoholu, a niektóre dzieciaki zaczęły popijać.

Czy mógł je powstrzymać? Czy w ogóle powinien się przejmować? Skoro mieli umrzeć z głodu, czemu nie pozwolić im na picie?

Małe dzieci pijące rum. Widział to. I wódkę. Krzywiły się z powodu paskudnego, palącego smaku, a potem pociągały kolejny łyk.

W zeszłym tygodniu mieli przypadek zatrucia pokarmowego – dwoje dzieci zjadło coś, co wydobyło ze śmietnika. Dowlokły się z gorączką do tak zwanego szpitala Dahry. Czterdzieści stopni. Wymiotowały. Wymiotowały wodą i tylenolem, który próbowała im podać. Dzięki Bogu za Lane, uratowała je, ale niewiele brakowało. Moc Lany lepiej działała na rany i złamania.

Nastąpi więcej porażeń prądem. Więcej pożarów. Więcej zatruć. Wypadków. Tak jak z tym chłopcem, który spadł z dachu z wysokości dwóch pięter i nikt tego nie zauważył. Ciało znalazła jego siostra. Pochowano go na placu, obok ofiar bitwy.

Ciągle zagrażał im Caine. Drake. Przywódca Stada. Wszyscy wciąż gdzieś się kryli. Sam wmawiał sobie, że już sobie z nimi poradził, dopóki Drake ze swoim oddziałem nie zaatakował sklepu.

Dawniej wystarczyło mieć trochę pieniędzy i zadzwonić, a po trzydziestu minutach zjawiał się dostawca z Papa John's i przywoził dużą pizzę.

Stopiony ciemny ser. Tłuste peperoni. Tak po prostu. Jakby to było coś normalnego. Zaprzedałby duszę za pizzę.

Astrid była religijna, więc pewnie jednak nie myślała o nim, leżąc w swoim łóżku. Niemal na pewno nie. Chociaż kiedy się całowali, nie odniósł wrażenia, że się odsuwa. Kochała go, wiedział to z całą pewnością. A on kochał ją. Całym sercem.

Były też jednak inne uczucia, oprócz miłości. Jakby połączone z miłością, ale zarazem inne.

I chińszczyzna. O rany, te małe pudełka z kurczakiem w sosie słodko-kwaśnym czy cytrynowym albo z krewetkami po seczuansku. Kuchnia

orientalna nigdy nie budziła szczególnego zachwytu Sama. Była jednak lepsza niż fasola z puszki, zwykła, niedogotowana fasola czy to, co uchodziło za tortillę – upieczona w piekarniku mieszanka mąki, oleju i wody.

Wkrótce zapewne ktoś przyjdzie go obudzić, tyle że on nie będzie spał. Przychodzili niemal co noc. „Sam, coś się pali. " „Sam, komuś stalą się krzywda. " „Sam, jakiś dzieciak rozbił samochód. " „Sam, złapaliśmy pijanego Orka, jak bez powodu tłukł szyby w oknach. "

Na pewno nie powiedzą: „Sam, przywieźli pizzę. "

Na pewno nie będzie to Astrid ze słowami: „Sam, jestem tu. "

Zapadł w sen. Weszła Astrid. Stanęła w drzwiach, piękna w swojej zwiewnej koszuli nocnej i powiedziała: „Sam, wszystko w porządku, E. Z. żyje. "

Nawet we śnie wiedział, że to tylko sen.

Godzinę później pojawiła się Taylor, teleportując się do jego pokoju (nazywała to „skakaniem") i powiedziała:

– Sam, obudź się.

Tym razem to nie był sen. Często to właśnie Taylor przynosiła złe wieści. Ona albo Brianna, jeśli tylko któraś była na nogach. Stanowiły najszybszy środek łączności.

– O co chodzi, Taylor?

– Znasz Toma? Toma O'Della?

Zdawało mu się, że nie zna. Nie mógł się skupić. Nie mógł się do końca obudzić.

– Tak czy siak, wybuchła bójka między Tomem a dziewczynami, które mieszkają obok, Sandy i... nie pamiętam, jak nazywa się druga.

Tom mocno oberwał. Sandy uderzyła go bilą do kręgli.

Sam przełożył nogi przez krawędź łóżka, ale nie mógł otworzyć oczu.

– Co? Dlaczego uderzyła go bilą?

– Mówi, że zabił jej kota – odrzekła. – A potem piekł go na grillu w swoim ogródku.

Ostatnie słowa przebiły się w końcu do zaspanego umysłu Sama.

– Dobra. Dobra.

Wstał i zaczął szukać dżinsów. Już dawno pokonał wstyd przed pokazywaniem się w bieliźnie.

Taylor podała mu spodnie.

– Masz.

– Skocz z powrotem. Powiedz im, że już idę.

Taylor zniknęła i Sam próbował sobie przez chwilę wmówić, że to był tylko kolejny sen. W końcu nic już nie mógł poradzić w kwestii zabitego kota.

Ale miał obowiązek się pojawić. Gdyby zaczął zaniedbywać obowiązki, w miasteczku nastąpiłoby totalne rozprężenie.

– Dawaj dobry przykład – mruknął pod nosem, przekradając się obok drzwi Astrid.

Rozdział 8

88 GODZIN, 52 MINUTY

Orsay Pettijohn stała jak zaczarowana. Dwóch chłopaków, pierwsze istoty ludzkie, jakie widziała od trzech miesięcy. Obaj byli dziwaczni, budzili lęk, jeden z nich był wręcz potworny.

Wyglądał jak demon i miał grubą mackę zamiast prawej ręki.

Drugi... Nie była nawet pewna, czy drugi w ogóle tam był. Pojawił się, a po chwili zniknął.

Chłopak z przerażającą macką patrzył za tym niewidzialnym. Nie do końca niewidzialnym – jak uświadomiła sobie Orsay, gdy tamten wkroczył w krąg światła – ale prawie. Potem chłopak z wężowatą ręką westchnął, zaklął pod nosem i otworzył skrzypiące drzwi toyoty, która ni stąd, ni zowąd zjechała piętnaście metrów poza drogę.

Chłopak najwyraźniej chciał otworzyć okno, ale akumulator przestał działać. Wyciągnął więc pistolet, wymierzył w szybę po stronie kierowcy i strzelił. Huk był tak głośny, że Orsay aż krzyknęła. Mogła się zdradzić, ale krzyk został zagłuszony odgłosem wystrzału.

Przycupnęła w ciemności, na ziemi, i czekała. Chłopak z wężowatą ręką niemal na pewno pójdzie spać.

A wtedy znowu się zacznie.

Wcześniej nie mogła wyjść ze zdumienia. Bała się.

Czuła też ulgę.

Mniej więcej trzy miesiące wcześniej błagała ojca o pomoc.

– Co masz na myśli? – spytał. Był zajęty, ślęczał nad jakimiś

papierami. Strażnik leśny miał dużo papierkowej roboty. Jego praca polegała nie tylko na szukaniu zaginionych turystów i pilnowaniu, by biwakowicze nie podpalili lasu podczas pieczenia kiełbasek.

Chciała, żeby zwrócił na nią uwagę. Tylko na nią. Nie taką pozorowaną uwagę, gdy tak naprawdę myślał o pracy.

– Tato, ja zaczynam wariować albo coś.

Ojciec posłał jej pełne powątpiewania spojrzenie.

– Chodzi o spotkanie z mamą? Mówiłem ci, jeszcze nie jest gotowa. Bardzo cię kocha, ale nie jest gotowa na taką odpowiedzialność.

Kłamał, ale w dobrej wierze. Orsay wiedziała o narkotykowym nałogu matki. Wiedziała o jej wyjazdach na odwyk, po których następowały okresy normalności, gdy mama się nią zajmowała, zawoziła do szkoły, szykowała rodzinne kolacje. Zawsze trwało to na tyle długo, że Orsay myślała już, że tym razem się uda, by później znowu znaleźć „towar" matki, wciśnięty w kąt kredensu albo zastać ją półprzytomną, wyciągniętą na kanapie.

Matka była uzależniona od heroiny. Ukrywała to uzależnienie przez długi czas, gdy była jeszcze żoną ojca Orsay i mieszkali razem w Oakland. Ojciec pracował w regionalnej siedzibie służby parku narodowego.

Ale nałóg matki wciąż się pogłębiał i wkrótce nie było już mowy o jego ukrywaniu. Nastąpił rozwód. Kobieta nie walczyła o prawo do opieki nad córką. Ojciec podjął pracę w parku narodowym Stefano Rey, chcąc znaleźć się jak najdalej od miasta i swojej byłej żony.

Orsay wiodła od tamtej pory samotne życie. Szkolna edukacja sprowadzała się do codziennych wideopołączen z klasą, znajdującą się

aż w Sunnyvale.

Co jakiś czas nawiązywała krótkotrwałe przyjaźnie z dziećmi, które przyjeżdżały z rodzicami na biwak. Bywało, że spędzali kilka miłych dni na pływaniu, łowieniu ryb i wędrówkach po okolicy. Nigdy jednak nie trwało to długo.

– Tato. Próbuję ci powiedzieć ważną rzecz. Nie chodzi o mamę. Chodzi o mnie. Ze mną jest coś nie tak. W mojej głowie dzieje się coś bardzo, bardzo dziwnego.

– Kochanie, jesteś nastolatką. Oczywiście, że w twojej głowie dzieje się coś dziwnego. Inaczej nie byłabyś nastolatką. To normalne, że zaczynasz myśleć o... no, o różn...

I w tym momencie ojciec po prostu zniknął.

Był.

A potem go nie było.

Myślała, że ma halucynacje. Myślała, że nagle ogarnęło ją kompletne szaleństwo.

Ale ojciec naprawdę zniknął. Podobnie jak strażnicy leśni Assante, Cruz i Swallow.

I wszyscy z pola namiotowego Main West.

Łącze satelitarne przestało działać. Telefony komórkowe też.

Pierwszego dnia rozpaczliwie szukała jakiejś żywej duszy, ale nigdzie nikogo nie było. Przynajmniej na żadnym z kempingów, do których mogła dotrzeć.

Była przerażona.

Ale tej nocy poczuła, że na jej wyczerpany umysł spływa cisza.

Pierwszy raz od kilku tygodni.

Zniknęły okropne, drastyczne, chaotyczne wizje ludzi i miejsc, których nie znała. Zastąpił je... niezupełnie spokój, ale cisza. Jej myśli i sny znowu należały tylko do niej.

Pomimo lęku, Orsay zasnęła. Rzeczywistość zmieniła się w koszmar, ale przynajmniej był to jej własny koszmar.

Drugiego dnia wędrowała, aż natknęła się na barierę. I wtedy już wiedziała, że cokolwiek ją spotkało, działo się naprawdę.

Bariera okazała się nie do przebycia. Dotknięcie jej wywoływało ból. Nie dało się iść na północ. Jedyna droga prowadziła na południe, do odległego o trzydzieści kilometrów miasteczka Perdido Beach.

Orsay oparła się pokusie. Była rozpaczliwie samotna, lecz z drugiej strony żyła w tym stanie już od dłuższego czasu. A fakt, że znowu czuła się zdrowa na umyśle, niemal w pełni rekompensował izolację.

Żywność znalazła w magazynie, a gdy już ją zużyła – na polach namiotowych.

Z początku myślała, że może być jedyną osobą pozostałą przy życiu. Potem jednak natrafiła na grupkę dzieciaków, wędrujących przez las. Było ich pięcioro. Czterech chłopaków i jedna dziewczyna, wszyscy mniej więcej w jej wieku, z wyjątkiem jednego młodszego chłopca, który miał ze cztery, może pięć lat.

Przez jakiś czas szła za nimi, trzymając się poza zasięgiem ich wzroku. Zachowywali się na tyle głośno, że było ich słychać ze sporej odległości. Brakowało im umiejętności ludzi lasu, które Orsay w dużym stopniu posiadała.

Tej nocy, gdy położyli się spać, podkradła się bliżej, z namysłem, z nadzieją...

I wtedy się zaczęło.

Pierwszy sen pochodził od chłopca o imieniu Edilio. Przebłyski dnia, wypełnionego szaloną akcją. Wielka łódź, która leciała w powietrzu i zwaliła mu się na głowę. Hotel na szczycie klifu. Wyścig wokół przystani.

Zza snu Edilia wychynęły wizje niejakiego Quinna. Były to smutne sny, mroczne, ponure i pełne emocji, ożywiane jedynie przez kilka ciemnych kształtów.

Wtedy jednak mały chłopiec, ten czterolatek, wszedł w fazę REM i jego sny przesłoniły całą resztę. Jakby pozostałe wizje wyświetlały się na małych telewizorach, podczas gdy sny malca na ekranie IMAX z dźwiękiem w systemie dolby stereo.

Obrazy straszliwego zagrożenia.

Obrazy oszałamiającego piękna.

Rzeczy, które w jakiś sposób były piękne i przerażające zarazem.

Nic z tego nie wydawało się logiczne. Nic nie miało sensu. Ale nie można się było odwrócić, ukryć przed kaskadą obrazów, dźwięków, uczuć. Zupełnie jakby Orsay próbowała stawić czoło huraganowi.

Ten chłopiec, mały Pete, zobaczył ją. Śniący często ją widzieli, lecz zazwyczaj nie mieli pewności, kim jest ani skąd się wzięła w ich wyobraźni. Zwykle ignorowali ją jako kolejny absurdalny element snu.

Ale mały Pete wszedł we własny sen i zbliżył się do niej. Patrzył prosto na nią.

– Uważaj – powiedział. – Tam jest potwór.

Wtedy Orsay wyczuła obecność jakiejś mrocznej, czającej się za nią

istoty. Istoty, która przypominała czarną dziurę, pochłaniającą całe światło ze snu malca.
To coś miało swoją nazwę. Słowo, które nic jej nie mówiło. Nigdy go nie słyszała. We śnie odwróciła się od małego Pete'a, by stanąć twarzą do ciemności, spytać ją o imię. Spytać, co to znaczy „gaiaphage".
Na to jednak chłopiec uśmiechnął się lekko. Pokręcił głową, jakby chciał zrugać niemądre dziecko, które zamierzało dotknąć rozgrzanego piekarnika.
I wtedy się obudziła, wyrzucona ze snu niczym nieproszony gość z przyjęcia.
Jeszcze teraz, po paru miesiącach, krzywiła się na to wspomnienie. Zarazem jednak je pielęgnowała. Od tamtej pory co noc marzyła o tym, by jeszcze raz dotknąć uśpionego umysłu małego Pete'a. Rozkoszowała się fragmentami, które pamiętała, próbowała poczuć ten sam przypływ energii, ale bez powodzenia.
Jedzenie prawie się skończyło, zostały tylko racje wojskowe, przesolone porcje w torebkach, z których korzystali żołnierze i niektórzy biwakowicze. Postanowiła sobie, że w końcu wyjdzie z lasu, by poszukać żywności. Tylko po to.
Teraz patrzyła z bezpiecznej odległości, skryta w mroku, jak prawdziwy, rzeczywisty potwór, chłopak z grubą, potężną macką zamiast ręki, żegna się z drugim, który po prostu zniknął.
Poczekała, aż tamten przegra walkę ze snem.
A potem... o tak, jakie dziwne wizje.
Drake. Tak się nazywał. Słyszała w głowie echo tego słowa.
Drake Merwin.

Biczoręki.

Od długiego – jak jej się zdawało – czasu wędrowała przez sny pełne bólu i gniewu. Musiała się osłaniać przed fizyczną męką, której wspomnienia przepływały przez te sny niczym potop.

We śnie Drake'a Orsay zobaczyła innego chłopaka o przeszywającym spojrzeniu, który umiał sprawić, że przedmioty latały w powietrzu.

A potem ujrzała dziewczynę, ciemnowłosą i ciemnooką piękność. I gniewne, pełne złości wizje przerodziły się w coś jeszcze gorszego.

O wiele gorszego.

Przez kilka tygodni przed wielkim zniknięciem Orsay była dręczona snami, od których nie mogła się uwolnić. Często były to sny o dorosłych, pełne niepokojąco dorosłych obrazów.

Nigdy jednak nie znalazła się w takim śnie, jak ten.

Trzęsła się. Czuła się tak, jakby nie mogła oddychać.

Chciała odwrócić wzrok, uchronić się od widoku ohydnych koszmarów tego chorego chłopaka. Ale stan, w którym się znalazła, sprawiał, że nie mogła odwrócić się od snów. Tak jakby przywiązano ją do krzesła i nie pozwalano na zamknięcie oczu. Musiała patrzeć na obrazy, które przyprawiały ją o mdłości.

Tylko odległość mogła ją przed nimi uchronić. Łkając, zaczęła odpełzać, czołgać się w stronę pustyni, nie zważając na kamienie, które kaleczyły jej kolana i dłonie.

Sny zbladły. Orsay stopniowo uspokoiła oddech. Wyjście z lasu okazało się błędem, strasznym błędem.

Powiedziała sobie, że idzie szukać żywności. W głębi serca wiedziała jednak, że są także inne powody. Tęskniła za brzmieniem ludzkiego

głosu.

Nie, to także nie było całą prawdą.

Tęskniła za snami. Tymi dobrymi i tymi złymi. Odkryła, że jej ich brakuje. Że ich pragnie. Była uzależniona.

Ale nie chciała czegoś takiego. Nie.

Siedziała z zaciśniętymi powiekami, kołysząc się powoli w przód i w tył, próbując...

Macka owinęła się wokół niej, mocno ściskając, wypierając powietrze z jej płuc, zanim zdążyła choćby krzyknąć.

Stał za nią. Jej ruch go obudził i teraz ją znalazł. Teraz... O Boże...

Uniósł ją i obrócił do siebie. Byłby przystojny, gdyby nie wiedziała, co się kryje za tymi lodowatymi oczami.

– Ty – szepnął, dysząc jej w twarz. – Byłaś w mojej głowie.

Duck odkrył źródło dziwnych dźwięków przypominających odgłosy wydawane przez ocean. Był nim rzeczywiście ocean.

Przynajmniej na to wyglądało. Nie widział oceanu. To coś było czarne jak wszystko inne. Pachniało jednak solą. I poruszało się tak, jak poruszała się woda, wzbierało u jego stóp, a potem się cofało. Nic jednak nie widział.

Powiedział sobie, że na zewnątrz, przed wylotem jaskini, jest zupełnie ciemno. Dlatego nie mógł niczego zobaczyć. Bez wątpienia była to morska jaskinia, grota wydrążona w lądzie przez nieustanny ruch wody przez bardzo, bardzo długi czas. To oznaczało, że musiało istnieć jakieś wyjście.

Wyobraził sobie, że wychodzi na plażę pod Clifftop. Albo gdzieś w

pobliżu. W każdym razie najważniejsze było wyjście.

Musi tam być.

– Mówisz: „musi tam być", jakby to mogło coś zmienić – powiedział sam do siebie.

– Wcale nie – sprzeciwił się. – Tylko tak pomyślałem, nie powiedziałem tego na głos.

– Świetnie. Teraz dyskutuję sam ze sobą.

– Wcale nie, tylko głośno myślę.

– No to postaraj się więcej myśleć, a mniej dyskutować.

– Ej, spędziłem tu ze sto godzin! Nawet nie wiem, która teraz jest godzina. Może minęły już trzy dni!

Pochylił się i dotknął mokrego piasku. Woda wezbrała mu pod palcami. Była zimna. Z drugiej strony, wszystko było zimne. Duck marzł już od dłuższego czasu. Nie widział nic przed sobą, więc poruszał się bardzo powoli.

Uniósł mokre palce do języka. Sól, bez wątpienia. Czyli miał rację, to był ocean. Co oznaczało, że tak, jaskinia wychodziła na ocean. Tym bardziej zagadkowy stawał się brak najsłabszego choćby światła.

Zadrżał. Było mu tak bardzo zimno. Był tak bardzo głodny. Tak bardzo chciało mu się pić. Tak bardzo się bał.

I nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

Szelest różnił się od plusku wody. Bardzo się różnił. Dźwięk brzmiał sucho. Jakby ktoś pocierał o siebie szeleszczące liście.

– Halo? – zawołał.

– Nikt nie odpowiada – szepnął.

– Wiem, słyszałem. To znaczy, nie słyszałem – powiedział. – Jest tam

ktoś?

Znowu ten szelest. Dochodził z góry. A potem popiskiwanie, ciche, ale wyraźne. Teraz, gdy jego oczy były bezużyteczne, umykało mu niewiele dźwięków. Pozostał mu tylko słuch. Gdy coś wydawało dźwięk, on go słyszał. A coś właśnie wydało dźwięk.

– Czy to nietoperze? – spytał.

– Gdyby to były nietoperze, na pewno by odpowiedziały.

– Nietoperze. Nietoperze to nie problem – gadał.

– Nietoperze muszą znać jakąś drogę na zewnątrz, nie? Nie mogą cały czas żyć w jaskini. Muszą wylatywać i... i pić krew.

Duck zamarł, czekając na atak nietoperzy. Nawet by ich nie zobaczył. Jeśli zaatakują, wskoczy do wody. Tak. Albo... albo może się zezłości, zapadnie i będzie bezpieczny pod ziemią.

– Nie ma co, świetny plan. Pogrzebać się żywcem.

Nietoperze – jeśli tym właśnie były – nie wykazywały zainteresowania atakiem ani piciem jego krwi. Duck powrócił zatem do rozważania kwestii, co właściwie powinien teraz zrobić. Teoretycznie mógł skoczyć do wody i wypłynąć do oceanu.

Teoretycznie. W praktyce nie widział nawet własnej dłoni tuż przed oczami.

Przycupnął w suchym kącie jaskini, z dala od wody. A przy tym w miejscu, w którym dziwne szelesty zdawały się rzadsze.

Skulił się i zadrżał.

Jak on tu w ogóle trafił? Nigdy nie wyrządził nikomu krzywdy. Nie był złym człowiekiem, a jedynie dzieckiem. Jak każde inne. Chciał tylko łączyć się z Internetem, grać, oglądać telewizję i słuchać muzyki.

Chciał czytać swoje komiksy. Nie potrzebował zdolności zapadania się pod ziemię.

Co to w ogóle była za głupia moc?

– Topielec – mruknął.

– Kret – odparował.

– Człowiek-Świder.

Nie było szans, by jeszcze kiedykolwiek zdołał zasnąć. A jednak mu się udało. W ciągu najgorszej nocy w swoim życiu, Duck Zhang wielokrotnie zapadał w sen i budził się z dziwnego koszmaru. To spał, to czuwał, to znów ani jedno, ani drugie – zaczął się zastanawiać, czy nie dostaje świra. Śnił o jedzeniu. W pewnej chwili przyśniła mu się pizza, która próbowała go dogonić i zjeść. A on pragnął, by jej się udało.

W końcu się obudził i zobaczył...

Zobaczył!

Światło było przyćmione, lecz wystarczająco jasne.

– Hej! Widzę! – krzyknął.

Przede wszystkim zobaczył, że wylot jaskini nie wychodzi na zewnątrz. Otwór znajdował się pod powierzchnią morza. To stamtąd pochodziło światło, przefiltrowane przez niebiesko-zieloną wodę. Otwarta przestrzeń nie mogła znajdować się bardzo daleko, może ze trzydzieści metrów, ale musiałby przepłynąć pod wodą, by się tam dostać.

Po drugie zauważył, że jaskinia jest większa, niż przypuszczał. Na tyle duża, że mogłoby w niej zaparkować pięć czy sześć autobusów szkolnych i jeszcze zostałoby miejsce.

Po trzecie dostrzegł nietoperze.

Wisiały u sklepienia groty. Miały skórzaste skrzydła i duże, mrugające, żółte oczy. Tysiące tych zwierząt tłoczyło się blisko siebie. Patrzyły na niego.

I wtedy coś do niego dotarło: nietoperze nie spędzały nocy w jaskiniach. Nocą wylatywały, a kryły się za dnia.

A poza tym zazwyczaj nietoperze nie były niebieskie.

I nagle zaczęły spadać, rozkładając skrzydła. Otoczyło go skórzaste tornado.

Rzucił się do wody. Była lodowata. Pomknął w dół i naprzód, kierując się ku światłu. Pod wodą był znacznie bezpieczniejszy, nawet jeśli pływały tu rekiny, meduzy czy...

Woda wokół niego zakotłowała się, zawrzała.

Krzyknął, wzbijając bańki powietrza.

Tysiące nietoperzy pływało wokół niego, obracało go jak w trąbie wodnej, obijały go skrzydłami, które nagle zaczęły bardziej przypominać płetwy.

Zakrztusił się słoną wodą, wierzgał i wymachiwał rękami w panicznym kraulu.

Powietrza zabrakło mu po piętnastu sekundach. Ciągle jednak nie widział wyjścia. Czy powinien zawrócić?

Zatrzymał się. Zastygł w miejscu. Czy wystarczy mu powietrza, by wrócić? I co potem? Nauczy się żyć w jaskini?

Zamachał nogami i ruszył przed siebie, niepewny już, w którą stronę płynie. W przód czy w tył?

A może pływał w kółko?

W końcu się wynurzył. Jego głowa wyłoniła się ponad powierzchnię, a z wody dookoła wystrzeliło dziesięć tysięcy nietoperzy, zakołowało nad nim, po czym znowu zanurkowało do morza sto metrów dalej.
Do plaży nie było daleko. Musiał tam dopłynąć. Zanim wodne nietoperze wrócą.
– Tylko się nie wkurzaj – nawijał Duck. – To zły moment, żeby tonąć.

Rozdział 9

82 GODZINY, 38 MINUT

Nastał ranek. Autobusy czekały na placu. Za kierownicą jednego siedział Edilio i szeroko ziewał. Drugim kierowała Ellen, szefowa straży pożarnej. Była drobną, ciemnowłosą, bardzo poważną dziewczyną. Sam nigdy nie widział na jej twarzy uśmiechu. Wydawała się odpowiednią osobą na to stanowisko, ale też nie została jeszcze poddana prawdziwej próbie. Była jednak dobrym kierowcą.
Niestety, ani Ellen, ani Edilio nie mieli zbyt wielu pasażerów.
Astrid stała tam z małym Pete'em – Sam przypuszczał, że chciała mu udzielić moralnego wsparcia.

– Zdaje się, że nie potrzeba nam dwóch autobusów – odezwał się Sam.

– Wystarczyłby mikrobus – przyznała Astrid.

– Co się z tymi ludźmi dzieje? – złościł się Sam. – Mówię, że potrzebujemy setki dzieciaków, a przychodzi trzynaścioro? No, może piętnaścioro?

– To tylko dzieci – powiedziała.

– Wszyscy jesteśmy tylko dziećmi. Głodnymi dziećmi.

– Przywykły, że to rodzice albo nauczyciele mówią im, co robić. Teraz wydaje im się, że nie muszą wykonywać niczyich poleceń. Musisz być bardziej bezpośredni. W stylu: „Ej, koleżko, weź się do roboty. Ale już". – Pomyślała przez chwilę i dodała: – Bo jak nie...

– Bo jak nie, to co? – spytał Sam.

– Bo jak nie... nie wiem. Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek głodował. O ile zdołamy coś na to poradzić. Nie wiem, co „jak nie". Ale nie możesz oczekiwać od dzieciaków, że będą się zachowywały, jak należy. To znaczy, jak byłam mała, mama dawała mi złotą gwiazdkę, gdy byłam grzeczna, a za karę odbierała jakiś przywilej.

– Co mam zrobić? Powiedzieć trzystu dzieciakom, które mieszkają w siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu różnych domach, że nie wolno im oglądać DVD? Skonfiskować iPody?

– Trudno odgrywać rolę ojca wobec trzech setek dzieci – przyznała Astrid.

– Nie jestem niczyim tatą – niemal warknął. Po kolejnej bezsennej nocy był w fatalnym nastroju. – Mam być burmistrzem, a nie ojcem.

– Te dzieciaki nie widzą różnicy – zauważyła. – Potrzebują rodziców. Więc polegają na tobie. I na Mateczce Mary. I, do pewnego stopnia, na mnie.

Mały Pete właśnie postanowił unieść się w powietrze. Po prostu oderwał się na trzydzieści centymetrów od ziemi i tak zawisł, z opuszczonymi rękami i palcami nóg skierowanymi w dół.

Sam natychmiast to zauważył. Astrid nie.

– Co to...

Patrzył zdumiony, zapominając o pustych autobusach.

Mały Pete lewitował. Jego nieodłączny Game Boy spadł na ziemię. Tuż przed nim, w odległości najwyżej metra, coś zaczęło się materializować.

Nie było większe od samego chłopczyka. Lśniąco czerwona, poprzetykana złotem głowa lalki o martwych oczach namalowana na

czymś w kształcie kręgla.

– Nestor – powiedział Pete, niemal szczęśliwy.

Sam rozpoznał lalkę. Była to matrioszka, która stała na szafce malca. Zestaw prawie identycznych, rosyjskich lalek, a właściwie drewnianych form, wkładanych jedna w drugą. Nie wiedział, ile ich było. Raz zapytał Astrid o zabawkę. Wyjaśniła, że to pamiątka z Moskwy, przysłana przez jakiegoś wujka-podróżnika.

Miała być dla Astrid, ale mały Pete natychmiast ją zabrał. Nawet nadał jej imię: Nestor. A ponieważ nigdy nie przywiązywał się zbytnio do zabawek, Astrid pozwoliła mu ją zatrzymać.

– Nestor – powtórzył chłopczyk, ale tym razem z troską, niepewnością.

Na oczach oszołomionego Sama matrioszka zaczęła się zmieniać. Gładka, lakierowana buzia zmarszczyła się. Kolory zaczęły się mieszać i tworzyć nowe wzory. Niesamowita, malowana twarz nabrała złowrogiego wyrazu.

Z boków, na podobieństwo gałązek, zaczęły wyrastać ręce. Stały się grubsze, obrosły ciałem, wypuściły pazury.

Namalowany uśmiech zrobił się szerszy, odsłaniając ostre jak noże zęby.

Mały Pete sięgnął do unoszącego się stwora, ten jednak zdawał się być zrobiony z teflonu. Rączki malca ślizgały się po nim, odpychały go jak kulkę rtęci, ale nie zdołały go naprawdę dotknąć.

– Bez rąk – powiedział chłopczyk.

Ręce lalki zwiędły, wyschły i zmieniły się w dym.

– Petey. Przestań – syknęła Astrid.

– Co to? – spytał nerwowo Sam. – Co to jest?

Astrid nie odpowiedziała.

– Petey. Miejsce przy oknie. Miejsce przy oknie. – Były to słowa, za pomocą których Astrid uspokajała braciszka. Raz działały, innym razem nie. W tym jednak wypadku Sam nie miał wrażenia, by mały Pete był zdenerwowany, wydawał się raczej zafascynowany. Dziwnie wyglądało takie baczne, nawet inteligentne zaangażowanie na jego twarzy, zwykle zupełnie pozbawionej wyrazu.

Usta lalki się otworzyły. Jakby chciała przemówić. Jej oczy skupiły się na malcu. Złe, pełne nienawiści oczy.

– Nie – powiedział Pete.

Usta zamknęły się. Znowu były tylko namalowaną kreską. Wściekłe oczy przygasły. Na powrót stały się kropkami z farby.

Astrid wydała dźwięk, przypominający szloch, i szybko go stłumiła. Podeszła bliżej i szepnęła:

– Przepraszam.

Potem mocno klepnęła Peta'a w ramię.

Efekt był natychmiastowy. Stwór zniknął. Chłopczyk spadł bezładnie i wyciągnął się jak długi na brązowej trawie.

– Czy jesteś pewna, że powinnaś... – zaczął Sam.

Mały Pete był zdolny do... Właściwie nikt nie miał pojęcia, do czego. Sam i Astrid wiedzieli tylko, że mały Pete jest zdecydowanie najpotężniejszym mutantem w całym ETAP-ie.

– Musiałam go powstrzymać – powiedziała posępnie dziewczyna. – Byłoby coraz gorzej. Zaczyna się od Nestora. Potem ręce. Potem usta i oczy. Jakby to coś próbowało ożyć. Jakby... – Uklękła przy braciszku i

przytuliła go do siebie.

Sam popatrzył w kierunku autobusów. Pytanie, które sobie zadawał – czy ktoś obserwował Pete'a – szybko doczekało się odpowiedzi w postaci szeroko otwartych ust i zdumionych spojrzeń dzieciaków, przyciskających nosy do zakurzonych szyb.

Edilio szybkim krokiem zmierzał w ich stronę.

Sam zaklął pod nosem.

– Zdarzało się już tak wcześniej, Astrid?

Wyzywająco uniosła podbródek.

– Parę razy.

– Mogłaś mnie uprzedzić.

– Co, do... Znaczy, co to było, stary? – zaczął Edilio.

– Zapytaj Astrid – warknął Sam.

Astrid podała małemu Pete'owi Gamę Boya i delikatnie postawiła braciszka na nogi. Wzrok miała spuszczony, nie chciała napotkać oskarżycielskiego spojrzenia Sama.

– Nie wiem, co to jest. Może coś w rodzaju koszmaru na jawie. – W jej głosie pobrzmiewała wyraźna nuta desperacji.

– Ta lalka, to coś, czymkolwiek było – powiedział Sam. – Walczyło z Pete'em i on też z tym walczył. Jakby próbowało obudzić się do życia.

– Tak – szepnęła dziewczyna.

Edilio był jedyną oprócz niej osobą, która znała historię Pete'a. To on zabrał z elektrowni kasetę wideo, ukazującą moment topnienia rdzenia reaktora, gdy przerażony, nic nierozumiejący mały Pete, przebywający tam z ojcem, zareagował stworzeniem ETAP-u.

Edilio zadał pytanie, które chodziło po głowie Samowi.

– Coś walczyło z małym Pete'em? – spytał. – Rany, kto albo co ma taką moc, by się z nim zmierzyć?

– Nie rozmawiajmy o tym z nikim – powiedział z naciskiem Sam. – Jeśli ktoś spyta, powiedzcie, że to musiał być rodzaj...

– Rodzaj czego? – ponaglił Edilio.

– Złudzenia optycznego – podsunęła Astrid.

– Tak, ludzie na pewno w to uwierzą – stwierdził Edilio z sarkazmem. Po chwili wzruszył ramionami. – Mają inne zmartwienia. Jak ktoś jest głodny, nie marnuje czasu na zadawanie pytań.

Gdyby inni dowiedzieli się o winie małego Pete'a... i jego mocy... nigdy nie byłby bezpieczny. Caine zrobiłby wszystko, by pojmać, a może nawet zabić dziwnego chłopca.

– Edilio, zbierz wszystkich w jednym autobusie. Weź paru swoich chłopaków i zacznijcie jeździć ulicami. Chodźcie od drzwi do drzwi. Zbierzcie tyle dzieciaków, ile się da. Zapakuj autobus, a potem zawieź je, żeby zbierały melony czy coś.

Edilio najwyraźniej miał wątpliwości, ale odrzekł:

– Dobrze, pani burmistrzowo.

– Astrid. Chodź ze mną. – Sam ruszył przed siebie, a Astrid i jej braciszek podążyli za nim.

– Ej, przestań zgrywać przede mną ważniaka! – zawołała dziewczyna do jego pleców.

– Po prostu byłbym wdzięczny, gdybyś mnie powiadamiała, kiedy znowu zacznie się dziać coś dziwnego. Tylko tyle. – Szedł dalej, ale złapała go za ramię. Zatrzymał się, rozglądając się dookoła z zawstydzeniem, by się upewnić, czy nikt nie słyszy.

– Co miałam ci powiedzieć? – spytała Astrid szeptem. – Że Pete ma halucynacje? Że unosi się nad ziemią? Co byś zrobił w tej sprawie?

Uniósł ręce w pokojowym geście, lecz głos miał nie mniej zagniewany, niż wcześniej.

– Próbuję tylko za wszystkim nadążyć, wiesz? Tak jakbym grał w grę, w której ciągle ktoś zmienia zasady. Dzisiejsze zasady to, no, zabójcze dżdżownice i halucynacje pięciolatków. Nic na to nie poradzę, ale miło znać reguły.

Astrid zaczęła coś mówić, ale się powstrzymała. Zaczerpnęła kilka uspokajających oddechów. Potem, bardziej wyważonym tonem, powiedziała:

– Pomyślałam, że i tak nosisz na barkach zbyt duży ciężar. Martwię się o ciebie.

Opuścił ręce. Ściszył głos.

– Nic mi nie jest.

– Nieprawda – odparła Astrid. – Nie śpisz. Nigdy nie masz chwili dla siebie. Zachowujesz się tak, jakby wszystko było twoją winą. Przejmujesz się.

– Tak, przejmuję się – przyznał. – Wczoraj w nocy dzieciak zabił i zjadł kota. Płakał, kiedy mi o tym mówił. Szlochał. Sam kiedyś miał kota. Lubi koty. Ale był tak głodny, że go złapał i...

Musiał przerwać. Przygryzł wargę i próbował otrząsnąć się z rozpaczy, którą go ogarnęła.

– Astrid, tracimy kontrolę nad sytuacją. Wszyscy... – Spojrzał na nią i poczuł, że za chwilę może wybuchnąć płaczem. – Ile minie czasu, zanim dzieciaki zaczną robić gorsze rzeczy niż zabijanie kotów?

Gdy Astrid nie odpowiedziała, stwierdził:

– Tak, martwię się. Rozejrzyj się po placu. Co będzie za dwa tygodnie? Za dwa tygodnie będzie tu jak w Darfurze czy gdzieś tam, jeśli czegoś nie zrobimy. A za trzy tygodnie? Wolę nie myśleć.

Ruszył w stronę swojego gabinetu, ale wpadł na dwóch chłopców, pochłoniętych kłótnią. Byli to bracia, Alton i Dalton. Najwyraźniej sprzeczali się już od jakiegoś czasu.

W normalnych warunkach nie byłoby to może nic wielkiego – kłótnie wybuchały bez przerwy – ale ci tutaj mieli na ramionach pistolety maszynowe. Sam żył w ciągłym strachu, że jeden z żołnierzy Edilia zrobi przy użyciu broni coś bardzo głupiego. Dziesięcio-, jedenasto – i dwunastolatki z karabinami to nie było prawdziwe wojsko.

– Co znowu? – warknął do nich Sam.

Dalton wyciągnął w kierunku brata oskarżycielski palec.

– Ukradł moje czekoladki Junior Mints.

Na samą wzmiankę o czekoladkach Samowi zaburczało w brzuchu.

– Miałeś... – Musiał się skupić, by nie myśleć o słodyczach. Słodycze! Jakim cudem Dalton zachował jeszcze prawdziwe czekoladki? – Pogódźcie się – rzucił Sam i ruszył dalej. Nagle przystanął. – Zaraz. Czy nie powinniście być w elektrowni?

Odpowiedział mu Alton:

– Nie, nasza warta była wczoraj. Dziś rano wróciliśmy busem. I wcale nie ukradłem jego głupich Junior Mints. Nawet nie wiedziałem, że je ma.

– Więc kto je ukradł? – spytał jego brat z zapalczywością w głosie. – Jadłem dwie na każdej warcie. Jedną na początku i drugą na końcu.

Zjadłem jedną, kiedy przyjechaliśmy tam wczoraj wieczorem, i wszystkie policzyłem. Zostało siedem. A dziś rano, kiedy poszedłem po następną, pudełko było puste.

– A nie przyszło ci do głowy, że to któryś z innych dzieciaków, które pełniły straż? – wtrącił Sam.

– Nie – odparł Dalton. – Heather B i Mike J byli w wartowni. A Josh cały czas spał.

– Jak to spał? – spytał Sam.

Bracia wymienili skruszone spojrzenia. Dalton wzruszył ramionami.

– Czasami Josh śpi. To nic takiego. Obudzi się, gdyby coś się działo.

– A czy Josh nie obserwuje obrazu z kamer?

– Mówi, że nic nie widzi. Nigdy nic się nie dzieje. Wygląda to jak zdjęcia drogi, wzgórz, parkingu i tak dalej.

– My nie spaliśmy. Na ogół – dodał Alton.

– Na ogół. A „na ogół" to ile czasu? – Sam nie doczekał się odpowiedzi.

– Idźcie już. No, idźcie. I przestańcie się kłócić. Zresztą, nie wolno chomikować żywności, Daltonie. Masz za swoje. – Bardzo chciał spytać, skąd mieli słodycze i czy jest ich tam więcej, ale to byłby niewłaściwy przekaz. Zły przykład.

Mimo wszystko, myślał, co, jeśli słodycze jeszcze gdzieś były? Gdzieś w ETAP-ie?

Autobus Edilia zaczął odjeżdżać. Ellen siedziała w środku i Sam domyślił się, że Edilio zamierza przystanąć i wziąć paru swoich żołnierzy do pomocy przy werbowaniu ludzi do pracy w polu. Wyobrażał sobie sceny, jakie rozegrają się przed domami. Jęki.

Narzekanie. Ucieczki. A potem leniwa, właściwie zmarnowana praca dzieciaków, które nie miały ochoty godzinami męczyć się na słońcu. Przez chwilę pomyślał o E. Z. O dżdżownicach. Albert miał tego ranka zabrać Orka na pole kapusty, by sprawdzić teorię Howarda, że Orc okaże się odporny na te stwory. Oby się udało.
Przez krótką chwilę zaniepokoił się, że dżdżownice mogły się rozprzestrzenić. Ale nawet jeśli tak, to z pewnością nie dotarły na pole melonów, które znajdowało się o półtora kilometra od kapusty. Półtora kilometra to dużo dla dżdżownicy.

– Piwa – ryknął Orc.
Albert podał Howardowi czerwono-niebieską puszkę. Budweisera. Tego piwa Albert miał najwięcej, a Orc nie wydawał się szczególnie przywiązany do żadnej marki.
Howard otworzył puszkę i wystawił ją przez okno po stronie kierowcy. Orc złapał piwo; jechali dalej wyboistą, pylistą drogą.
Orc siedział na skrzyni ładunkowej pickupa. Był zbyt wielki, by zmieścić się do kabiny. Howard prowadził. Albert siedział z przodu, wciśnięty obok dużej styropianowej lodówki. Widniało na niej logo Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Była pełna piwa.
– Wiesz, mogliśmy dawniej spędzać razem więcej czasu – zagadnął Alberta Howard.
– Dawniej nie wiedziałeś, że istnieję – odparł Albert.
– Co? Daj spokój, chłopie. W całej szkole jest kilkunastu braci, a ja miałem któregoś nie zauważyć?
– Mamy ten sam kolor skóry. To jeszcze nie znaczy, że jesteśmy

przyjaciółmi – powiedział chłodno Albert.

Howard roześmiał się.

– Tak, zawsze byłeś kujonem. Za dużo czytałeś. Za dużo myślałeś. Nie bawiłeś się. Grzeczny chłopczyk, mamusia była dumna. A teraz popatrz: w ETAP-ie jesteś szychą.

Albert puścił te uwagi mimo uszu. Nie interesowały go wspominki. Na pewno nie z Howardem, ale w sumie z nikim. Dawny świat umarł, przeminął. Albert myślał o przyszłości.

Jakby czytając mu w myślach, Howard powiedział:

– Zawsze coś planujesz, nie? Myślisz tylko o obowiązkach.

– Jestem taki, jak wszyscy. Próbuję jakoś dać sobie radę – stwierdził Albert.

Howard nie odpowiedział wprost.

– Ja to widzę tak: Sam jest szefem. Bez dwóch zdań. Astrid i Edilio? Znaczą coś tylko dlatego, że należą do ekipy Sama. Ale ty, stary, jesteś panem siebie.

– Jak to? – spytał Albert, zachowując neutralny ton.

– Pracują dla ciebie dwie dziesiątki dzieciaków. Odpowiadasz za jedzenie. Między nami mówiąc, wiem, że masz gdzieś ukryte zapasy.

Albert nawet nie mrugnął.

– Jeśli tak, to czemu jestem taki głodny?

Howard parsknął śmiechem.

– Bo jesteś sprytny, koleś, i tyle. Ja też jestem sprytny. Na swój sposób.

Albert nic nie powiedział. Wiedział, do czego zmierzała ta rozmowa. Nie zamierzał ułatwiać Howardowi sprawy.

– Obaj jesteśmy sprytni. Obaj jesteśmy czarnymi braćmi w mieście białych. Ty masz jedzenie. Ja Orka. – Kciukiem wskazał za swoje plecy, w stronę olbrzyma. – Może przyjść chwila, kiedy przyda ci się siła do tych twoich planów i ambicji.

Albert odwrócił się twarzą do Howarda, chcąc wysłać jasny, niedwuznaczny sygnał.

– Howard?

– Tak?

– Jestem lojalny wobec Sama.

Howard odrzucił głowę w tył i się roześmiał.

– O rany, tylko się zgrywam. Wszyscy jesteśmy lojalni wobec Sama. Sam, Sam, Sam nasz drogi laserowy surfer.

Dojechali do śmiercionośnego pola kapusty. Howard się zatrzymał i wyłączył silnik.

– Piwa! – ryknął Orc.

Albert pogrzebał w lodówce, zanurzając rękę w wodzie z lodem. Podał puszkę Howardowi.

– Ostatnia, dopóki trochę nie popracuje.

Howard przekazał piwo Orkowi.

– Otwórz je, kretynie, wiesz, że nie mogę tego zrobić! – wydarł się olbrzym.

Howard wziął puszkę z powrotem i ją otworzył. Wydała dźwięk jak zwykły napój w puszce, ale zapach był gorzki.

– Przepraszam – powiedział.

Orc wziął puszkę w pięść wielkości kuli do kręgli i wlał sobie jej zawartość do gardła.

Jego palce były zbyt duże do jakichkolwiek delikatnych czynności. Miały grubość salami. Przeguby, zarówno z wyglądu, jak i w dotyku, bardzo przypominały mokry żwir. Szare, luźne kamyki.

Całe jego ciało, z wyjątkiem kilku ostatnich centymetrów kwadratowych opuchniętych ust i lewej strony twarzy, a także kawałka policzka i szyi, pokryte było tym samym oślizgłym, szarym żwirem – a może składało się wyłącznie z niego. Orc zawsze był duży, teraz jednak stał się o trzydzieści centymetrów wyższy i znacznie szerszy.

Niewielka część człowieka, jaka w nim pozostała, wydawała się odrażająca. Jakby ktoś odciął kawałek ciała żywej osoby i przykleił go do kamiennego posągu.

– Jeszcze jedno – warknął.

– Nie – odparł z mocą Albert. – Najpierw sprawdzimy, czy naprawdę dasz sobie radę z tym zadaniem.

Orc przetoczył się przez burtę półciężarówki i wstał. Podszedł do drzwi i przycisnął do szyby swoją paskudną twarz, a Albert skulił się i ścisnął lodówkę.

– Mogę wziąć piwo – powiedział Orc. – Nie powstrzymasz mnie.

– Tak, możesz je wziąć – przyznał Albert. – Ale złożyłeś obietnicę Samowi.

Orc przetrawił te słowa. Był ograniczony i tępy, ale nie na tyle, by nie zrozumieć zawoalowanej groźby. Nie chciał zadzierać z Samem.

– Dobra. Zobaczę, co z tymi robalami. – Orc beknął i ruszył w stronę pola. Miał na sobie to, co zwykle, parę uszytych byle jak, płóciennych szortów. Albert przypuszczał, że to Howard zrobił je dla

przyjaciela. Nie istniały spodnie ani koszule w rozmiarze Orka.

Howard wstrzymał oddech, gdy Orc wkroczył na pole. Albert zresztą zrobił to samo. Każdy okropny szczegół wspomnienia śmierci E. Z. odcisnął się na zawsze w jego umyśle.

Atak nastąpił natychmiast.

Dżdżownice wypełzły z ziemi, pomknęły z niewiarygodną prędkością do kamiennych stóp Orka i rzuciły się na wynaturzone ciało.

Orc zatrzymał się. Popatrzył na rozjuszone stworzenia.

Z trzeszczącym mozołem odwrócił się z powrotem do Alberta i Howarda, po czym powiedział:

– Trochę łaskocze.

– Zerwij kapustę! – zachęcił go Howard.

Orc pochylił się, zatopił kamienne palce w ziemi i wyrwał główkę kapusty. Patrzył na nią przez chwilę, po czym rzucił ją w stronę półciężarówki.

Albert otworzył drzwi samochodu i wychylił się ostrożnie w stronę kapusty. Nie chciał wysiadać. Jeszcze nie. Najpierw muszą mieć pewność.

– Howard, potrzebny mi kij albo coś – powiedział.

– Po co?

– Chcę puknąć tę kapustę, sprawdzić, czy nie ma w niej robala.

Na polu dżdżownice dalej atakowały stwora, którego kamienne ciało łamało im zęby. Orc zerwał jeszcze trzy kapusty. Potem wrócił, tupiąc donośnie.

Dżdżownice nie popełzły za nim. Na skraju pola zsunęły się z Orka i wwierciły się pod ziemię.

– Piwa – zażądał Orc.

Albert usłuchał.

Zastanawiał się, jak Sam radzi sobie z zaganianiem dzieciaków do pracy w polu.

– Pewnie nie najlepiej – mruknął do siebie.

Rozwiązanie problemu z żywnością było naprawdę proste: pola potrzebowały rolników. A rolnicy potrzebowali motywacji. Należało im płacić. Jak wszystkim. Ludzie nie robili różnych rzeczy dlatego, że były słuszne. Robili je dla pieniędzy, dla zysku. Ale Sam i Astrid byli zbyt głupi, by to dostrzec. Nie, nie głupi, powiedział sobie w duchu Albert. To przede wszystkim dzięki Samowi nie znaleźli się wszyscy pod rządami Caine'a. Sam był wspaniały. A Astrid była zapewne najmądrzejszą osobą w ETAP-ie.

Ale Albertowi też nie brakowało mądrości – pod pewnymi względami. Podjął trud, by się kształcić, siedząc w zakurzonej, ciemnej bibliotece miejskiej i czytając książki, aż zaczynały mu opadać powieki.

– Mój kolega będzie niedługo potrzebował następnego piwa – powiedział Howard, zasłaniając ziewnięcie dłonią.

– Twój kolega dostanie piwo za każde sto zebranych główek kapusty – odparł Albert.

Tamten posłał mu złe spojrzenie.

– Facet, zachowujesz się, jakbyś zapłacił za te puszki własnymi pieniędzmi.

– Nie – odrzekł Albert. – To własność społeczności. Na razie. Ale stawka i tak wynosi jedno za sto.

Przez następne dwie godziny Orc zbierał kapustę. I pił piwo.

Howard grał w coś na kieszonkowej konsoli. Albert rozmyślał.

Howard miał w tej kwestii rację: Albert dużo myślał, odkąd wszedł do opuszczonego baru McDonald's i zaczął smażyć hamburgery. Dzięki temu zyskał spore poważanie. A uczta na Święto Dziękczynienia, którą zorganizował i która świetnie się udała, zrobiła z niego lokalnego bohatera. Nie mógł się równać z Samem, ma się rozumieć. Był tylko jeden Sam. Nie mógł się równać nawet z Ediliem, Brianną, czy wielkimi bohaterami straszliwej bitwy między ludźmi Caine'a a mieszkańcami Perdido Beach.

W tej jednak chwili Albert nie myślał o tych sprawach. Myślał o papierze toaletowym i bateriach.

Wtedy Orc wrzasnął.

Howard wyprostował się na siedzeniu, po czym wyskoczył z samochodu.

Albert zamarł.

Orc krzyczał, bijąc się dłonią po twarzy, po tej jej części, która pozostała ludzka.

Howard puścił się biegiem w jego stronę.

– Howard, nie! – krzyknął Albert.

– Dorwały go, dorwały! – jęczał Howard zbolałym tonem.

Orc miotał się, zataczał, a potem ruszył biegiem w stronę półciężarówki. Jego wielkie, kamienne stopy zostawiały w ziemi głębokie na piętnaście centymetrów odciski.

Jedna z dżdżownic znajdowała się na jego twarzy.

A raczej w niej, a nie na niej.

Potknął się na skraju pola i runął ciężko na neutralny teren.

– Pomóż mi. Howard, stary, pomóż mi! – krzyknął.

Albert otrząsnął się z transu i pobiegł. Z bliska zobaczył dżdżownicę, tylko jedną. Jej czarna, wężowa głowa była zagłębiona w różowym mięsie, wwiercała się w policzek Orka.

Z bliska Albert dostrzegł maleńkie, płetwowate kończyny stworzenia, wpychające ciało w miękkie krwiste podłoże.

Orc trzymał w garści ogon dżdżownicy i mocno ciągnął. Ale zwierzę nie puszczało. Orc ciągnął tak mocno, że lada chwila mógł zerwać resztki żywego ciała z otaczającej je kamiennej skóry.

Howard też złapał i zaczął ciągnąć. Płakał, klął i szarpał, mimo zagrożenia dla samego siebie, gdyby stworzenie puściło Orka i zwróciło się przeciwko niemu.

– Ugryź! – zawołał Albert.

– Mój język! – zawył niewyraźnie Orc, a robal wsunął się o kolejne dwa centymetry w jego policzek.

– Ugryź, Orc! – wrzasnął Albert. A potem uklęknął i z całej siły przyłożył mu sierpowym w podbródek.

Zupełnie jakby uderzył w ceglany mur.

Albert krzyknął i upadł na pośladki. Był pewien, że ma złamaną rękę.

Orc przestał krzyczeć. Otworzył usta i wypluł głowę stworzenia, uwalaną krwią i śliną.

Reszta ciała dżdżownicy wysunęła się. Orc walnął nią o ziemię.

Krew spływała mu po szyi i znikała w kamiennej skórze niczym woda w spękanej ziemi.

– Uderzyłeś mnie – stwierdził tępo, wlepiając wzrok w Alberta.

– Brat uratował ci życie – powiedział Howard. – Brat właśnie uratował

ci życie.

– Chyba złamałem rękę – odezwał się Albert.

– Piwa – powiedział Orc.

Howard pobiegł spełnić polecenie.

Orc odchylił głowę i ścisnął puszkę, aż nacięcie na wieczku pękło. Żółta ciecz wystrzeliła ze środka prosto do jego ust.

Przynajmniej połowa wyciekła w postaci różowej piany przez dziurę w jego policzku.

Rozdział 10

81 GODZIN, 17 MINUT

– Była w moich snach, w mojej głowie. Widziałem ją – powiedział Drake.

– Straciłeś ostatnią resztkę rozumu – stwierdziła Diana.

Siedzieli w stołówce. Nikt nie jadł. Posiłki w Coates polegały na tym, że wystawiano kilka puszek, o które dzieciaki się biły. Niektórzy jedli gotowaną trawę, by złagodzić skurcze żołądka.

W rozbrzmiewającej echem, porzuconej, zdemolowanej stołówce siedzieli Caine, Drake, Robal, Diana i dziewczyna, która przedstawiła się jako Orsay.

Miała ze dwanaście lat, jak oceniła Diana.

Diana zauważyła, co czai się w oczach dziewczyny. Strach, ma się rozumieć. Drake przywlókł ją, gdy tylko Robal wrócił z elektrowni.

Ale to nie było wszystko: ta dziewczyna, Orsay, patrzyła na Dianę tak, jakby ją poznała.

Nie było to dobre spojrzenie. Jego wyraz sprawiał, że Dianie włoski jeżyły się na karku.

– Nigdy w życiu jej nie widziałem, ale znam ją z mojego snu. – Drake zgromił przybyłą nienawistnym wzrokiem. – A potem się obudziłem i zobaczyłem, że czai się, chowa w pobliżu.

Diana nie pamiętała już, jak to jest, przebywać w towarzystwie Drake'a i nie być głównym obiektem jego nienawiści.

Odezwał się Caine:

– Dobra, Drake, rozumiemy. Zanim to wszystko się zaczęło, powiedziałbym, że ześwirowałeś. Teraz? – Ospałym gestem machnął do Diany. – Diana, odczytaj ją. Sprawdzimy.

Diana podeszła i stanęła przy dziewczynie, która popatrzyła na nią zalęknionymi, wybałuszonymi oczami.

– Nie bój się mnie – powiedziała Diana. – Muszę tylko potrzymać cię za rękę.

– Co się stało? Dlaczego nikt mi nic nie mówi? Gdzie wasi nauczyciele? – Głos Orsay miał drżące brzmienie, jakby była zdenerwowana.

– Nazywamy to ETAP-em. Ekstremalnym Terytorium Alei Promieniotwórczej – wyjaśniła Diana. – Wiesz o wypadku w elektrowni jakiś czas temu, nie? Aleja Promieniotwórcza?

– Ej, Caine kazał ci ją odczytać, a nie robić jej wykład z historii – warknął Drake.

Diana już miała ochotę odpowiedzieć mu ostro, ale przeszedł ją dreszcz na widok miny Orsay, oczu pełnych przerażenia, pomieszanego z litością. Zupełnie jakby dziewczyna coś o niej wiedziała, jakby była lekarką, która zdiagnozowała u niej śmiertelną chorobę, ale jeszcze nie zdobyła się na to, by poinformować o niej pacjenta. Diana ujęła ją za rękę.

Od razu rozpoznała poziom jej mocy. Pytanie brzmiało, czy powinna powiedzieć Caine'owi prawdę. W świecie Caine'a istniały tylko dwie kategorie mutantów: ci, którzy byli mu wierni, i ci, których należało się pozbyć.

Przynajmniej Orsay nie miała czterech kresek. Diana nie miała

wątpliwości, że gdyby tak było, Caine oddałby ją Drake'owi.

– Co tak zwlekasz? – warknął Drake.

Diana puściła dłoń dziewczyny. Zignorowała Drake'a i zwróciła się do Caine'a.

– Ma trzy kreski.

Caine wziął głęboki wdech i oparł się na krześle. Przyglądał się przerażonej dziewczynie.

– Opowiedz mi o swojej mocy. Powiedz mi prawdę, całą, a nic ci się nie stanie. Jeśli mnie okłamiesz, będę wiedział, że nie można ci ufać.

Orsay podniosła wzrok na Dianę, jakby widziała w niej potencjalną przyjaciółkę.

– Rób, co mówi – powiedziała Diana.

Orsay splotła palce. Siedziała ze złączonymi kolanami, a ramiona miała tak skulone, jakby je także próbowała złączyć.

– To się zaczęło jakieś pięć miesięcy temu. Głównie w nocy. Myślałam, że zwariowałam. Nie wiedziałam, skąd się to bierze. Głowę miałam pełną obrazów, a czasami dźwięków. Rozmawiający ludzie, przebłyski twarzy i miejsc. Czasami trwało to bardzo krótko, dosłownie parę sekund. Ale nieraz ciągnęło się przez pół godziny, jeden obraz po drugim, wariactwo, ludzie uciekali, przewracali się, uprawiali... no, wiecie, seks i w ogóle.

Opuściła z zawstydzeniem wzrok na swoje wygięte palce.

– Tak, rozumiemy, jesteś taka słodka i niewinna – zadrwił Drake.

Odezwała się Diana:

– Jak się zorientowałaś, że widzisz czyjeś sny?

– Zwykle działo się to tylko w nocy – wyjaśniła Orsay. – A potem,

pewnego razu bardzo wyraźnie przyśniła mi się kobieca twarz. To była taka miła, ruda kobieta, nie? Ale nawet jej nie znałam. Przyjechała następnego dnia rano. Wcześniej jej nie widziałam, to znaczy nie w rzeczywistości, a tylko we śnie jej męża. Wtedy się domyśliłam.

– Czyli cały ten czas byłaś w lesie? Musiałaś czuć się samotna. – Caine posłużył się swoim uśmiechem, swoim urokiem, by poczuła się swobodnie.

Orsay skinęła głową.

– Przyzwyczaiłam się do samotności.

– Umiesz dochować tajemnicy? – spytała Diana. Starała się, by jej głos brzmiał spokojnie, ale patrzyła surowo w oczy dziewczyny, licząc, że ta zrozumie przesłanie, że zda sobie sprawę, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo.

Orsay zamrugała powiekami. Już miała coś powiedzieć, potem zamrugała znowu.

– Nigdy nikomu nie mówiłam, co widziałam – stwierdziła.

– Ciekawe pytanie, Diano – wtrącił Caine.

Diana wzruszyła ramionami.

– Dobry szpieg musi być dyskretny.

Caine wydawał się nieporuszony, a ona szybko dodała:

– Znaczy, zakładam, że właśnie o tym myślicie. Mamy Robala, który może się wkraść w różne miejsca, może podsłuchać jakieś rozmowy. Ale Orsay potrafi wnikać w sny innych. – Mina Caine'a pozostała sceptyczna, więc Diana dodała: – Zastanawiam się, o czym też śni Sam.

– Nie ma mowy – odezwał się Drake. – Nie ma mowy. Słyszałaś,

odbiera sny tych, którzy akurat są w pobliżu. To znaczy, że siedzi też w naszych głowach. Nie ma mowy.

– Wątpię, żeby zależało jej na twoich snach, Drake – rzuciła Diana.

Drake odwinął swoją mackę i błyskawicznie okręcił nią Orsay, która jęknęła i zamarła bez ruchu.

– Ja ją przywiozłem. Jest moja. To ja zdecyduję, co się z nią stanie.

– A co takiego chcesz z nią zrobić? – zainteresowała się Diana.

Wyszczerzył się.

– Nie wiem. Może ją ugotuję i zjem. Mięso to mięso, nie?

Diana zerknęła na Caine'a, licząc, że ujrzy jakąś oznakę odrazy, jakiś sygnał, że Drake posunął się za daleko. Caine jednak tylko pokiwał głową, jakby poważnie rozważał żądania tamtego.

– Najpierw sprawdzimy, jaki ma zasięg. Orsay, z jakiej odległości możesz wejść do czyjegoś snu?

Dziewczyna wy dukała odpowiedź, trzęsąc się ze strachu:

– Tylko z takiej jak... jak... jak z leśniczówki do najbliższej części kempingu.

– A jak to daleko?

Próbowała wzruszyć ramionami, lecz Drake ściskał ją niczym pyton, korzystając z każdego wydechu, by jeszcze zacieśnić zwoje.

– Około pięćdziesięciu metrów – wyszeptała.

– Domek Mose'a – podsunęła Diana. – Stoi dwa razy dalej od budynków.

– Powiedziałem: „nie" – odezwał się groźnym tonem Drake. – Była w mojej głowie.

– I tak wiemy, że masz tam szambo – odparła.

– To nie w porządku, Caine – poskarżył się Drake. – Jesteś mi coś winien. Potrzebujesz mnie. Nie zadzieraj ze mną.

– Nie zadzieraj ze mną? – powtórzył jak echo Caine. Drake posunął się o krok za daleko.

Caine zerwał się na równe nogi, przewracając swoje krzesło w tył. Uniósł obie ręce, prostując dłonie.

– Naprawdę chcesz się ze mną zmierzyć, Drake? Mogę cię przerzucić przez ścianę do pokoju obok, zanim zdążysz puścić tę dziewczynę.

Drake wzdrygnął się. Chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Caine w mgnieniu oka ze spokojnego człowieka przerodził się w szaleńca.

– Głupi oprych – wściekał się. – Myślisz, że możesz mnie zastąpić? Myślisz, że gdybym nie stał ci na drodze, mógłbyś zejść na dół i załatwić Sama i resztę? Nawet Orka byś nie pokonał! Jesteś nikim! – Z ust Caine'a tryskała ślina, choć nie dość szybko, jak na płonącą w nim furię.

Krew odpłynęła z pozbawionej wyrazu twarzy Drake'a. Oczy płonęły mu gniewem, macka drgała, niemal poza kontrolą. Wyglądał, jakby miał się udławić własną tłumioną wściekłością.

– Ja tu jestem mózgiem! – darł się Caine. – Mózgiem! Mózgiem i mocą, prawdziwą mocą, mam cztery kreski, tylko ja. Tylko ja. Ja! Jak myślisz, czemu Ciemność trzymała mnie przez trzy dni? Jak myślisz... Jak myślisz, czemu ciągle jest w mojej... w mojej...

W jego głosie zaszła nagła zmiana. Przez chwilę zdawało się, że szlocha, a nie krzyczy. Wziął się w garść i zapanował nad sobą, przełknął ślinę. Wyglądał, jakby się chwiał, złapał oparcie krzesła, by

utrzymać równowagę.

Potem dostrzegł nieco pogardliwe spojrzenie Diany, a także, bez wątpienia, zimny błysk triumfu na obliczu Drake'a.

Caine ryknął. Wydał z siebie nieartykułowane, szaleńcze wycie.

Wyciągnął ręce, kierując je w dół, z obu stron Drake'a.

Rozbrzmiał ogłuszający huk i kamień rozleciał się na kawałki.

Posadzka eksplodowała gejzerem potrzaskanej terakoty i grudek ziemi.

W górę wystrzelił słup kamieni i gruzu, uderzając w poobijane już i uszkodzone sklepienie, po czym deszcz żwiru runął z powrotem w dół, a wycie Caine'a umilkło.

Jedynym dźwiękiem stało się nierównomierne, muzykalne bębnienie spadającego gruzu.

Caine patrzył na to pustym wzrokiem. Zupełnie pustym.

To wszystko trwało zbyt długo, ale nikt nie ważył się odezwać. A potem, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem, twarz Caine'a znów nabrała ludzkiego wyrazu. Pojawił się na niej niewyraźny uśmiech.

– Ta dziewczyna może nam się przydać, Drake – powiedział ze spokojem. Następnie zwrócił się bezpośrednio do Orsay: – Możesz, prawda? Przydasz się nam? Zrobisz, cokolwiek ci powiem? I będziesz słuchała tylko mnie?

Orsay próbowała odnaleźć w sobie głos, ale nie mogła się zdobyć nawet na szept. Energicznie pokiwała głową.

– To dobrze. Bo jeśli kiedykolwiek w ciebie zwątpię, oddam cię Drake'owi. A tego nie chcesz.

Był wyczerpany. Bez dalszych słów, chwiejnym krokiem ruszył do

drzwi.

Lana pogłaskała gęstą sierść na karku swojego psa Patricka.

– Gotowy?

Patrick wydał z siebie ciche skomlenie, które oznaczało: „Dobra, chodźmy".

Lana wstała i sprawdziła rzep, który utrzymywał iPoda na jej ramieniu. Upewniła się, czy jasnożółte słuchawki są na swoim miejscu. Miała za małe uszy na standardowe słuchawki.

Wybrała swoją listę utworów „do biegania", choć nie biegała już od dawna. Bieganie potęgowało głód. Teraz tylko chodziła. Nie da się ukryć, pokonywała zdecydowanie mniejsze odległości niż kiedyś, biegając.

Dawniej, przed ETAP-em, nie była entuzjastką wysiłku fizycznego. To się jednak zmieniło, jak wiele innych rzeczy. Przedtem nie wędrowała przez pustynię bez wody ani planu, nie więziła jej również wataha kojotów, tak więc powodów do utrzymania formy miała zdecydowanie mniej.

Lubiła rozpoczynać swój trening w ciszy. Lubiła słyszeć dźwięk, jaki wydawały podeszwy jej trampek, cichy na hotelowej wykładzinie, a potem przyjemnie głośny na asfalcie.

Jej trasa zaczynała się przy drzwiach wejściowych do Clifftop. Były to automatyczne drzwi, które wciąż działały. Wydawało się dziwne, że po tak długim czasie czujnik cierpliwie czeka na sygnał, by szeroko otworzyć wrota na zewnętrzny świat.

Z Clifftop mogła zejść na plażę miejską. Potem ruszała przez miasto;

trzymając się z dala od placu, docierała do autostrady i zataczała koło, wracając do hotelu. Chyba że z głodu brakowało jej sił. Wtedy skracała trasę.

Wiedziała, że zapewne nie powinna niepotrzebnie spalać kalorii. Nie mogła się jednak zmusić, by przestać. Gdyby przestała i całymi dniami wylegiwała się w łóżku, znaczyłoby to, że się poddała. Nie podobała jej się idea kapitulacji. Nie uległa bólowi, Przywódcy Stada ani Ciemności.

Nie poddaję się, mówiła sobie.

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

Gdy zeszła z drogi, wiodącej do hotelu, i ruszyła w dół zbocza, nacisnęła ekran dotykowy iPoda i w jej uszy popłynęła piosenka zespołu Death Cab for Cutie.

Słyszała jednak inny tekst, jakby szept, jakby drugą piosenkę, która nakładała się na dźwięki w słuchawkach.

Pokonała nie więcej niż sto metrów, gdy dopadła do niej dwójka małych dzieci, machających rękami, by zwrócić jej uwagę.

Jej zdaniem, wyglądały zupełnie zdrowo. Pomachała im z nadzieją, że to wystarczy.

Ale maluchy stanęły tak, by zagrodzić jej drogę. Zatrzymała się, lekko dysząc – chociaż nie powinna być zdyszana – i wyrwała słuchawki z uszu.

– Czego? – warknęła.

Dzieci jąkały się przez chwilę, zanim zdołały wydusić z siebie, o co chodzi.

– Joeyemu rusza się ząb.

– I co z tego? Tak powinno być. Wyrosną mu nowe zęby.

– Ale to boli. Jeśli coś boli, powinnaś to wyleczyć.

– Powinnam? – powtórzyła Lana. – Słuchajcie, dzieciaki, jeśli leci wam krew z jakiejś dużej, otwartej rany, wolno wam zawracać mi głowę. Ale nie zamierzam się zajmować każdym najdrobniejszym bólem głowy, obtartym kolanem czy ruszającym się zębem.

– Jesteś niedobra – powiedział malec.

– Tak. Jestem niedobra. – Wetknęła słuchawki z powrotem w uszy i ruszyła dalej, zła na te dzieci, a jeszcze bardziej na siebie, że na nie nakrzyczała. Ale dzieciaki łaziły za nią wszędzie. Przeszkadzały w jedzeniu. Dręczyły ją, gdy siedziała na balkonie i czytała książkę. Waliły w drzwi, kiedy robiła kupę.

Niemal nigdy nie chodziło o coś, co wymagałoby cudu. A Lana w coraz większym stopniu myślała o swoich mocach właśnie w kategoriach cudu. Nikt nie znał lepszego wytłumaczenia.

A cudów nie należało marnować.

Tak czy owak, miała prawo do własnego życia. Nie była niczyją służącą. Należała tylko do samej siebie.

Chodź do mnie.

Przygryzła wargę. Starała się nie zwracać uwagi na ten głos, na tę halucynację – czymkolwiek to było.

Zamierzała to po prostu ignorować.

Zwiększyła głośność muzyki.

Skręciła, oddalając się od plaży i kierując w stronę miasta. Może powinna więcej chodzić bocznymi uliczkami. Częściej zmieniać trasę i utrudnić zadanie tym, którzy próbowali ją wyśledzić.

Przeważnie kończyła poranny spacer tak samo: idąc pod górę, do Clifftop. Do muru ETAP-u. Nie dotykała go, lecz podchodziła blisko, zdyszana, spocona, z nieuniknioną kolką.

Codziennie odczuwała potrzebę oglądania bariery z bliska. Była to jakaś forma przywiązania. Mur przypominał jej, gdzie się znajduje. Kimkolwiek była przedtem, teraz stała się już inną osobą. Została uwięziona w tym miejscu i w tym życiu. To nie był jej wybór. Dokonała go bariera.

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

– To nie jest prawdziwe! – krzyknęła.

Ale to było prawdziwe. Wiedziała. Znała ten głos. Zdawała sobie sprawę, skąd pochodzi.

Wiedziała, że nie może wygnać jego brzmienia ze swojej głowy. Mogła go uciszyć tylko pod warunkiem, że uciszy go na zawsze. Mogła paść jego ofiarą albo sprawić, żeby to on uległ jej.

Szaleństwo. Samobójcze szaleństwo. Pominęła wolną piosenkę i przeszła do czegoś szybkiego. Na tyle głośnego, by zagłuszyło wariackie myśli.

Szła bardziej zdecydowanie, szybciej, niemal już biegła, machając rękami i zmuszając Patricka do długich susów, bo inaczej za nią nie nadążał. Nie była jednak wystarczająco szybka, by prześcignąć półciężarówkę, która podjechała z trąbieniem klaksonu.

Znowu wyjęła słuchawki.

– Czego? – zawołała.

Tym razem jednak nie chodziło o ząb czy obtarte kolano.

Ze środka wysiedli Albert i Howard. Ten drugi pomógł Orkowi zejść

ze skrzyni ładunkowej. Chłopak... stwór... zataczał się jak pijany. Pewnie faktycznie jest pijany, pomyślała Lana. Ale przyczyna mogła też być inna.

W jednej z ostatnich ludzkich części ciała Orka, w policzku, ziała dziura. Na jego twarzy i szyi widniała skorupa zaschniętej krwi. Krew, świeższa i czerwieńsza, wciąż wypływała z rany.

– Co się stało? – spytała Lana.

– Dopadły go zębaki – odparł Howard. Coś w rodzaju paniki niższego stopnia walczyło w nim z ulgą, że w końcu dotarł do Uzdrowicielki. Podtrzymywał Orka za łokieć, jakby ten potrzebował jego wątłych sił, by utrzymać się na nogach.

– Czy ma w sobie zębaka? – spytała ostrożnie Lana.

– Nie, załatwiliśmy go – zapewni! go Albert. – Mieliśmy nadzieję, że zdołasz mu pomóc.

– Nie chcę na sobie więcej kamienia – odezwał się Orc.

Lana zrozumiała. Orc był niewiele znaczącym osiłkiem, bez żadnej szczególnej mocy, dopóki na pustyni nie złapały go kojoty. Mocno go pogryzły. Bardzo mocno. Było to nawet gorsze od wszystkiego, co spotkało Lane. Wszystkie miejsca ugryzień wypełniły się żwirową skorupą, dzięki której stał się niemal niezniszczalny.

Nie chciał stracić resztek ludzkiego ciała, tego skrawka różowej skóry, który okalał usta i zajmował część szyi.

Skinęła głową.

– Przestań się kołysać. Nie chcę, żebyś się na mnie przewrócił – powiedziała. – Usiądź na ziemi.

Usiadł nieco zbyt gwałtownie i zachichotał. Lana przyłożyła dłoń do

przerażającej dziury.

– Nie chcę więcej kamienia – powtórzył.

– To boli? – spytała. – Znaczy kamień. Wiem, że rana boli.

– Nie. Nie boli. – Orc walnął się pięścią w drugie ramię, tak mocno, że zwykłemu człowiekowi pogruchotałby kości. – Ledwie to czuję. Prawie nie czułem nawet bicza Drake'a, kiedy walczyliśmy.

Nagle zaniósł się szlochem. Z wciąż ludzkich oczu popłynęły łzy na policzki ze skóry i skały.

– Tak – powiedziała Lana. Jej rozdrażnienie zniknęło. Dźwigała zapewne lżejsze brzemię, niż Orc.

Odsunęła rękę, by sprawdzić postępy. Dziura zmniejszyła się. Wciąż otaczały ją strupy, ale już nie broczyła krwią. Położyła dłoń z powrotem.

– Jeszcze parę minut, Orc.

– Mam na imię Charles – odparł.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Howard.

– Co robiliście na polu z dżdżownicami? – spytała.

Howard posłał pełne urazy spojrzenie Albertowi, który odpowiedział:

– Orc zbierał kapustę.

– Nazywam się Charles Merriman – powtórzył Orc. – Ludzie powinni się czasem posługiwać moim prawdziwym imieniem.

Oczy Lany i Howarda spotkały się.

Teraz, pomyślała Lana, chce odzyskać dawne imię. Osiłek, który zachwycał się swoim pochodzącym od potwora przezwiskiem, teraz

naprawdę stał się potworem i chciał, by nazywano go „Charlesem".

– Już lepiej – oznajmiła.

– Czy to jeszcze skóra? – spytał Orc.

– Tak – zapewniła. – Nadal jest ludzka.

Wzięła Alberta pod rękę i odciągnęła na bok.

– Co ty wyprawiasz? Wysyłać go na pole z dżdżownicami?

Albert zrobił dziwną minę. Był zaskoczony, że ktoś czyni mu wyrzuty. Przez chwilę Lana myślała, że każe jej spływać, ale ta chwila minęła i chłopak lekko skulił się w sobie, jakby uszło z niego powietrze.

– Staram się tylko pomóc.

– Płacąc mu piwem?

– Zapłaciłem mu tym, czego chciał, a Sam nie miał nic przeciwko temu. Byłaś na zebraniu – przypomniał. – Słuchaj, jak inaczej nakłonić kogoś takiego, jak Orc, by parę godzin pracował w upale? Astrid myśli chyba, że wystarczy ludzi poprosić, żeby pracowali. Może niektórych tak. Ale Orka?

Lana uznała, że chłopak ma trochę racji.

– Dobra. Niepotrzebnie na ciebie naskoczyłam.

– W porządku. Zaczynam się przyzwyczajać – powiedział Albert. – Nagle to ja jestem ten zły. Ale wiesz co? To nie przeze mnie ludzie są tacy, jacy są. Jeśli dzieciaki mają pracować, będą chciały czegoś w zamian.

– Jeśli nie będą pracować, wszystkim nam grozi głód.

– Tak, tyle rozumiem – odparł z niemałą dozą sarkazmu. – Ale posłuchaj: dzieciaki wiedzą, że nie pozwolimy im umrzeć z głodu,

dopóki zostało choć trochę jedzenia, nie? Dlatego myślą sobie: e, niech ktoś inny pracuje. Niech ktoś inny zbiera kapustę i karczochy.

Lana chciała wrócić na swoją trasę. Pragnęła zakończyć bieg przy murze ETAP-u. Ale w Albercie było coś fascynującego.

– Dobra. To jak nakłonić ich do pracy?

Wzruszył ramionami.

– Płacić im.

– Znaczy pieniędzmi?

– Tak. Ale zgadnij, jacy ludzie mieli najwięcej pieniędzy w portfelach i torebkach, kiedy zniknęli? A potem parę dzieciaków ukradło to, co zostało w kasach i tak dalej. Więc jeśli znowu zaczniemy używać starych pieniędzy, kilku złodziei tylko zyska na znaczeniu. To pewien problem.

– Dlaczego ktoś ma pracować za pieniądze, skoro wie, że i tak dzielimy się żywnością? – spytała Lana.

– Bo ktoś inny będzie robił za pieniądze inne rzeczy. Słuchaj, niektórzy nic nie umieją, prawda? Więc zbierają jedzenie. Potem biorą te pieniądze i dają je komuś, kto na przykład im ugotuje, nie? Albo może potrzebują trampek, a ktoś inny zgromadził dużo trampek i otworzył sklep.

Lana uświadomiła sobie, że słucha z otwartymi ustami. Parsknęła śmiechem. Pierwszy raz od dłuższego czasu.

– Dobra. Śmiej się – powiedział Albert i odwrócił się do niej plecami.

– Nie, nie, nie – rzuciła pospiesznie. – Nie śmiałam się z ciebie. Widzę, że jako jedyny masz jakikolwiek plan.

Wydawał się szczerze zakłopotany.

– No wiesz, Sam i Astrid nie wiedzą, w co włożyć ręce.

– Tak. Ale ty patrzysz perspektywicznie. Naprawdę się zastanawiasz, jak poskładać to wszystko do kupy.

Skinął głową.

– Chyba tak.

– No i brawo – powiedziała. – Muszę iść. Orkowi nic nie będzie. O ile w jego przypadku można tak jeszcze powiedzieć.

– Dzięki – odrzekł Albert, najwyraźniej autentycznie wdzięczny.

– Ej, pokaż mi tę rękę – poprosiła Lana.

Albert był zaskoczony. Spojrzał na swoją dłoń, spuchniętą i posiniałą od ciosu w kamienną twarz Orka.

– A tak – powiedział, gdy Lana na chwilę ujęła jego dłoń. – Jeszcze raz dzięki.

Lana włożyła słuchawki do uszu i truchtem pokonała kilka kroków. Potem przystanęła. Odwróciła się i wyjęła słuchawki.

– Ej. Albert. Z tymi pieniędzmi.

– Tak?

Zawahała się, wiedząc, że za chwilę uruchomi być może reakcję łańcuchową. Wiedząc, że to, co zamierza, może okazać się niebezpieczne do granic szaleństwa. Ale czuła, że powinna, zupełnie jakby przeznaczenie wkroczyło do akcji w postaci Alberta, wskazując jej drogę do mgliście określonego celu.

– Czy złoto by się nadało? Wiesz, w charakterze pieniędzy?

Jego bystry wzrok odnalazł jej oczy.

– Powinniśmy się spotkać i porozmawiać?

– Tak – potwierdziła.

– Wpadnij wieczorem do klubu.

– Gdzie?

Uśmiechnął się. Wyciągnął z kieszeni pół kartki papieru i jej podał. Lana zerknęła na kartkę. Potem przeniosła wzrok na niego. Roześmiała się i wręczyła mu kartkę.

– Przyjdę.

Znowu zaczęła biec. Ale jej myśli podążały innym torem niż dotąd. Albert snuł plany na przyszłość, a nie czekał, co przyniesie los. Tak należało postępować. Planować. Działać.

Miała rację, że planowała.

Chodź do mnie.

Może przyjdę, pomyślała. I może wcale ci się to nie spodoba.

Rozdział 11

70 GODZIN, 11 MINUT

– Mateczka Mary chce ściągnąć jeszcze dwie osoby – oznajmiła Samowi Astrid.

– Dobra. Zgoda.

– Dahra mówi, że zaczyna brakować tylenolu i advilu dla dzieci, i pyta, czy może zacząć im dawać podzielone tabletki dla dorosłych.

Sam rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Co?

– Zaczyna brakować tabletek dla dzieci i Dahra chce dzielić na kawałki tabletki dla dorosłych.

Sam odchylił się w skórzanym fotelu, zaprojektowanym dla dorosłego mężczyzny.

– Dobra. Wszystko jedno. Zgoda. – Pociągnął łyk wody z butelki. Etykietka na butelce głosiła wprawdzie „Dasani", była to jednak kranówa. Naczynia z obiadu – na które składały się paskudna grochówka, śmierdząca spalenizną i ćwierć główki kapusty na głowę – odstawiono na kredens, gdzie dawniej burmistrz Perdido Beach trzymał oprawione zdjęcia swojej rodziny. Był to jeden z lepszych posiłków, jakie Sam ostatnio jadł. Świeża kapusta smakowała zaskakująco dobrze.

Na talerzach zostały tylko smugi. Skończyły się czasy, kiedy dzieciaki nie dojadały posiłków.

Astrid wydęła policzki i westchnęła.

– Dzieciaki pytają, czemu Lany nie ma, kiedy jej potrzebują.

– Mogę prosić Lane tylko o leczenie poważnych przypadków. Nie mogę wymagać, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zajmowała się każdym „kuku".

Astrid zerknęła na listę, którą sporządziła w swoim laptopie.

– Zdaje się, że chodziło o zbity palec u nogi, który „bolał".

– Długa jeszcze ta lista? – spytał Sam.

– Trzysta pięć punktów – odparła Astrid. Gdy chłopak pobladł na twarzy, poprawiła się: – Dobra, tak naprawdę tylko trzydzieści dwa. Nie ulżyło ci, że nie trzysta?

– To szaleństwo – stwierdził.

– Dalej: Judsonowie i McHanrahanowie kłócą się, bo mają wspólnego psa. Sukę. Obie rodziny ją karmią. Ciągle mają duży worek suchej psiej karmy. Ale Judsonowie nazywają ją Słonko, a McHanrahanowie Bubu.

– Żartujesz.

– Nie żartuję – zapewniła.

– Co to za dźwięk? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie ktoś puścił muzykę na cały regulator.

– To nie wyjdzie, Astrid.

– Muzyka?

– To. Że co rano mam sto głupich pytań i muszę decydować. Jakbym został rodzicem wszystkich. Siedzę tu i słucham skarg małych dzieci, bo starsze siostry zmuszają je do kąpieli, i wtrącam się w kłótnie o prawo do ubranka z Fabryki Misiów albo o imię psa.

– To ciągle tylko małe dzieci – przypomniała Astrid.

– Niektóre z tych dzieci zyskują moce, które mnie przerażają – mruknął Sam. – Ale nie umieją postanowić, kto dostanie specjalny ręcznik? Albo co obejrzeć, „Małą syrenkę" czy „Shreka 3"?

– Nie – odparła. – Nie umieją. Potrzebują opiekuna. Ty nim jesteś.

Sam zwykle znosił tę dzienną dawkę nonsensu ze spokojem, co najwyżej w odrobinę złym nastroju. Dziś jednak poczuł, że przebrała się miarka. Wczoraj zginął E. Z. Dziś rano prawie nikt nie przyszedł pracować. Edilio musiał dwie godziny szukać dzieciaków. A i tak wrócili z żałosnym zbiorem melonów, ledwie wystarczającym dla samego przedszkola. Do tego wszystkiego doszedł jeszcze Duck Zhang i jakaś zwariowana historia o zapadaniu się w ziemię do radioaktywnego tunelu, pełnego wodnych nietoperzy.

Wydajnością mógł się pochwalić jedynie Orc. Zebrał kilkaset główek kapusty, zanim dżdżownice omal go nie zabiły.

– Co z tą muzyką? – spytał Sam, w gniewie chcąc nakrzyczeć na coś albo na kogoś. Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Głośność muzyki, a zwłaszcza wibrującego basu, drastycznie wzrosła.

W dole, na placu, panowały ciemności, jeśli nie liczyć ulicznych latarń i lamp stroboskopowych, błyskających przez frontową szybę McDonald'sa.

– Co to ma...

Astrid podeszła do okna.

– Co się dzieje? Albert robi imprezę?

Sam nie odpowiedział. Wyszedł bez słowa, poirytowany, zły i w duchu zadowolony z pretekstu, który pozwolił mu nie odpowiadać na

głupie pytania dzieciaków i nie zajmować się ich durnymi problemami.

Pokonywał po dwa stopnie naraz. Zbiegł na dół, na parter, po czym wypadł przez wielkie drzwi frontowe, nie zwracając uwagi na „cześć", rzucone przez dzieciaka, którego Edilio postawił na straży u wejścia do ratusza. Pokonując szerokie marmurowe schody wyskoczył na ulicę.

Obok przechodził Quinn, wyraźnie zmierzając do McDonald'sa.

– Hej, bracie – powiedział Quinn.

– Wiesz, co tu się dzieje? – spytał Sam.

– To klub. – Quinn uśmiechnął się. – Stary, chyba za ciężko pracujesz. Wszyscy o tym wiedzą.

Sam wbił w niego spojrzenie.

– Co takiego?

– McKlub, bracie. Musisz mieć tylko baterie albo trochę papieru toaletowego.

Te słowa zupełnie zbiły Sama z tropu. Chciał poprosić Quinna o wyjaśnienia, ale w tej chwili pojawił się Albert, elegancko ubrany, jakby wybierał się na zakończenie roku szkolnego czy coś w tym rodzaju. Miał na sobie ciemną, sportową marynarkę i nieco jaśniejsze spodnie. Włożył też jasnoniebieską, wyprasowaną koszulę z kołnierzykiem. Na widok Sama wyciągnął dłoń.

Sam nie podał mu ręki.

– Albert, co tu się wyprawia?

– Głównie się tańczy – odparł Albert.

– Słucham?

– Dzieciaki tańczą.

Quinn podszedł do nich i stanął przed Samem, by uścisnąć wciąż wyciągniętą dłoń Alberta.

– Cześć, stary. Mam baterie.

– Miło cię widzieć, Quinn. Cena wynosi cztery baterie D albo osiem AA, albo dziesięć AAA, albo dwanaście C. Jeśli masz różne, jakoś to policzę.

Quinn pogrzebał w kieszeni i wyciągnął cztery baterie AAA i trzy D. Podał je Albertowi, który zaakceptował zapłatę i wrzucił baterie do foliowego worka u swoich stóp.

– Dobra, oto zasady: zero jedzenia, zero alkoholu, zero chamstwa, zero bójek, a kiedy powiem, że koniec, to nikt się nie kłóci. Zgadzasz się na takie reguły?

– Stary, myślisz, że gdybym miał jedzenie, to bym tu przyszedł? Siedziałbym w domu i jadł. – Quinn położył rękę na sercu, jakby składał przysięgę i oświadczył: – Zgadzam się. – Kciukiem wskazał Sama. – Nim się nie przejmuj. Sam nie tańczy.

– Baw się dobrze – powiedział Albert i otworzył drzwi, by wpuścić Quinna.

Sam gapił się na Alberta, zdumiony. Nie mógł się zdecydować, czy się oburzyć, czy roześmiać z podziwem.

– Kto ci powiedział, że możesz to robić?

Albert wzruszył ramionami.

– Ten sam, kto mi powiedział, że mogę prowadzić McDonald'sa, zanim skończyło nam się jedzenie: nikt. Zrobiłem to i już.

– Dobra, ale jedzenie rozdawałeś. A teraz pobierasz opłatę. To nie w

porządku.

– Próbujesz się dorobić? – Był to głos Astrid, która przyszła za Samem, ciągnąc za sobą małego Pete'a.

Muzyka wewnątrz zmieniła się: hip-hop został zastąpiony piosenką, którą Sam akurat uwielbiał: wpadającym w ucho kawałkiem Tima Armstronga „Into Action". Gdyby kiedykolwiek miał zatańczyć, to może właśnie do tej melodii.

Albert popatrzył na Astrid i Sama.

– Tak. Próbuję zarobić. Używam baterii, papieru toaletowego i papierowych ręczników jako waluty. To rzeczy, których prędzej czy później zacznie brakować.

– Próbujesz zebrać cały papier toaletowy w mieście? – spytała ostrym tonem Astrid. – Żartujesz?

– Nie, Astrid, nie żartuję – odparł. – Słuchaj, teraz dzieciaki się tym bawią. Widziałem maluchy, rzucające się rolkami papieru na trawniku, jakby to były zabawki. Więc...

– Więc chcesz to rozwiązać, zabierając ludziom papier?

– Wolisz, żeby się zmarnował?

– W sumie tak – odparła, naburmuszona. – Wolę to, niż żeby cały znalazł się w twoich rękach. Zachowujesz się jak palant.

Oczy Alberta zapłonęły.

– Słuchaj, teraz wiedzą, że mogą nim zapłacić za wstęp do klubu. Więc nie będą go już marnować.

– Nie, oddadzą go tobie – odpaliła. – A co się stanie, kiedy będą go potrzebować?

– Nie zabraknie go tak szybko, bo sprawiłem, że ma wartość.

– Dla ciebie.

– Dla wszystkich, Astrid.

– Wykorzystujesz naiwność dzieciaków. Sam, musisz to przerwać.

Sam przestał słuchać rozmowy, a głowę wypełniła mu muzyka. Teraz włączył się znowu.

– Ona ma rację, Albert, to nie jest w porządku. Nie dostałeś pozwolenia...

– Nie wiedziałem, że potrzebuję pozwolenia, żeby dać dzieciakom to, czego chcą. Znaczy, nikomu nie grożę, nie mówię: „oddaj mi papier toaletowy, oddaj mi baterie". Ja tylko puszczam muzykę i mówię: „Jeśli chcesz przyjść i potańczyć, będzie cię to kosztowało. "

– Stary, podziwiam twoją ambicję i w ogóle – powiedział Sam. – Ale muszę z tym skończyć. Nie dostałeś pozwolenia, a nawet nie spytałeś, czy możesz pobierać opłaty.

– Sam, szanuję cię bardziej, niż umiem to wyrazić. A ty, Astrid, jesteś ode mnie o wiele mądrzejsza. Ale nie rozumiem, czemu uważacie, że macie prawo mi tego zabronić.

Sam miał już dosyć.

– Dobra, chciałem być grzeczny. Ale to ja jestem burmistrzem. Zostałem wybrany, jak pewnie pamiętasz, bo zdaje się, że na mnie głosowałeś.

– To prawda. I zagłosowałbym znowu. Ale słuchajcie, w tej sprawie nie macie racji. Ten klub to jedyne miejsce, gdzie te dzieciaki mogą się spotkać i zabawić. Siedzą w domach, głodne, smutne i przestraszone. Kiedy tańczą, zapominają o głodzie i smutku. Robię tu coś dobrego.

Sam wbił w niego ostre spojrzenie, spojrzenie, które dzieciaki z

Perdido Beach traktowały poważnie. Albert jednak nie ustąpił.

– Powiedz, ile melonów zdołał zebrać Edilio z ludźmi, których zapędzono do pracy? – spytał.

– Niewiele – przyznał Sam.

– Orc nazbierał całą ciężarówkę kapusty. Zanim zębaki się połapały, jak się do niego dobrać. Dlatego, że zapłaciliśmy mu za pracę.

– Zrobił to, bo jest najmłodszym alkoholikiem świata, a ty zapłaciłeś mu piwem – warknęła Astrid. – Wiem, czego chcesz. Chcesz zgromadzić dobra i stać się kimś ważnym. Ale wiesz co? To zupełnie nowy świat. Mamy szansę sprawić, żeby ten świat był lepszy. Nie musi być tak, że niektórzy są lepsi od innych. Można być w porządku wobec wszystkich.

Albert roześmiał się.

– Wszyscy będą tak samo głodni. Za jakiś tydzień może się zacząć prawdziwy głód.

Jakaś grupka pchnęła drzwi i wytoczyła się z „klubu". Sam ich znał, ma się rozumieć. Teraz znał już wszystkich w miasteczku, jeśli nie po imieniu, to przynajmniej z widzenia.

Wyszli ze śmiechem, szczęśliwi.

– Ej, Sam – zagadnął jeden.

– Powinieneś tam wejść, stary, jest super – dodał drugi.

Sam tylko skinął głową na znak, że usłyszał.

Decyzji nie można już było odkładać. Zamknąć klub czy odpuścić? Jeśli go nie zamknie, ustąpi pola Albertowi i pewnie narazi się na kolejną głupią kłótnię z Astrid, która uzna, że ją zlekceważył.

Nie pierwszy raz, nawet nie setny, pożałował, że w ogóle zgodził się

zostać czyimś przywódcą.

Zerknął ukradkiem na zegarek na przegubie Alberta. Dochodziła dziewiąta.

– Zamknij ten lokal – powiedział z naciskiem. – Zamknij. O wpół do jedenastej. Dzieciaki muszą spać.

Wewnątrz klubu Quinn odprężył się i dał ponieść rytmowi muzyki. Na pewno puszczą jakiś ska-punk. Potem zapewne hip-hop. Może jeszcze stare, klasyczne kawałki.

Trzeba było Albertowi przyznać, że zmienił McDonald'sa w porządny klub taneczny. Wszystkie główne światła były wyłączone, podświetlone pozostały tylko tablice z menu. Nie widniały jednak na nich Happy Meale i zestawy. Albert przykrył je różowym papierem i rozsiewały łagodny blask, wystarczający, by wyłowić z mroku białka oczu obecnych, a także ich zęby, gdy się uśmiechali.

Hunter – do której on chodził klasy, do siódmej? To on zmieniał kompakty i kręcił czarną płytą na gramofonie. Nie był może zawodowcem, ale radził sobie całkiem nieźle. Równy chłopak, pomyślał Quinn, chociaż krążyły plotki, że rozwijają się u niego jakieś zabójcze moce. Czas pokaże, czy dalej będzie fajny, czy stanie się arogancki, jak niektórzy inni odmieńcy. Jak Brianna, która nagle przybrała imię „Bryza" i domagała się, by wszyscy ją tak nazywali. Jakby była superbohaterką z komiksu. Bryza. A kiedyś nawet ją lubił.

Zresztą była tam, tańczyła jak szalona, raz po raz przyspieszając i skacząc w takim tempie, jakby lada chwila miała zacząć fruwać wokół pomieszczenia.

Wszystkim, którzy tylko chcieli słuchać, opowiadała, jak to wyprzedziła pocisk.

– Jestem teraz oficjalnie szybsza od kuli. Jak Superman.

W innym kącie dziwny dzieciak, o imieniu Duck, opowiadał zwariowaną historię o rybo-nietoperzach i jakimś podziemnym mieście czy czymś w tym stylu.

Była też Dekka, która siedziała sama, niemal niedostrzegalnie ruszając głową do rytmu, wpatrzona w Briannę. Tak naprawdę nikt nie wiedział o niej zbyt wiele. Należała do uczniów z Coates, tych uratowanych przed okrutną betonową torturą, którą zadali im Caine i Drake.

Rozsiewała wokół siebie pewną aurę, poczucie, że jest silna i nieco niebezpieczna. Za tym kryje się jakaś historia, pomyślał Quinn, coś w jej przeszłości, jak w wypadku niemal wszystkich dzieciaków z Coates. Akademia miała opinię szkoły dla bogatej, trudnej młodzieży. Nie wszyscy jej uczniowie byli bogaci, nie wszyscy trudni, większość jednak miała poważne problemy.

Quinn prześlizgnął się obok czwartoklasistów, chłopaka i dziewczyny, którzy tańczyli. Razem. On w tym wieku nigdy nie zatańczyłby z dziewczyną jak na randce. Właściwie nadal tak nie tańczył. Ale teraz wiele się zmieniło. Czwartoklasiści byli jak... ludzie w średnim wieku czy coś. On zaś był stary. Stary, bo miał prawie piętnaście lat. Zbliżały się jego urodziny. Pytanie brzmiało: co zrobi? Zostanie czy wypadnie?

Odkąd Sam przetrwał swoje piętnaste urodziny, także wielu innych zostawało po osiągnięciu tego wieku. Sam powiedział im, jak to zrobić.

Komputerowy Jack, który wtedy trzymał z Caine'em, nagrał kamerami uwięzionego w Coates chłopaka, który dotarł do tego momentu, do WZ, czyli Wieku Zagłady. Jack przyszedł do Perdido Beach z opowieścią o nagraniu, z wielkim odkryciem, że w tej najważniejszej chwili czas spowalnia, rzeczywistość zaczyna mozolnie pełzać wokół, podczas gdy człowiek zbliża się do nieskończoności. Wtedy pojawia się kusiciel, który go przyzywa, woła, zaprasza do przejścia granicy.

Lecz kusiciel był oszustem. Kłamcą. Jak diabeł, pomyślał Quinn, jak sam diabeł. Potrącił kogoś i odwrócił się, by przeprosić.

– Cześć, Quinn. – Dostrzegł Lane, która przekrzykiwała muzykę, ale i tak musiał właściwie czytać z ruchu jej warg. Uzdrowicielka mówiła coś do niego.

– O! Cześć. Fajnie, nie? – Niezdarnym ruchem wskazał pomieszczenie.

Skinęła głową. Wydawała się ponura, smętna. Quinn nie mógł w to uwierzyć. Lana cieszyła się statusem bohaterki, ustępując jedynie Samowi. Różnica polegała na tym, że niektórzy w pewnym sensie nie cierpieli Sama, a Lana w nikim nie budziła negatywnych uczuć. Sam mógł cię do czegoś zmusić – do zbierania śmieci, opieki nad maluchami w przedszkolu, strzelania do kogoś z pistoletu maszynowego – za to Lana jedynie leczyła ludzi.

– Tak. W miarę fajnie – odparła. – Ale tak naprawdę nikogo tu nie znam.

– Niemożliwe. Znasz wszystkich.

Z żalem pokręciła głową.

– Nie. To wszyscy znają mnie. A przynajmniej tak im się wydaje.

– No, mnie znasz – powiedział i posłał jej krzywy uśmiech, by wiedziała, że nie próbuje wychodzić poza swoją rolę i zachowywać się jak ktoś jej równy.

Ale nie tak to odebrała. Skinęła głową z taką powagą, jakby lada chwila miała się rozpłakać.

– Tęsknię za rodzicami.

Quinn poczuł nagły, gwałtowny ból, który przychodził niemal co godzina, gdy to wszystko się zaczęło, a teraz zdarzał się tylko parę razy dziennie.

– Tak. Ja też.

Lana wyciągnęła rękę, a Quinn, po chwili zdumionego wahania, złapał ją.

Uśmiechnęła się.

– Czy mogę po prostu potrzymać cię za rękę i, wiesz, nie leczyć cię ani nic?

Roześmiał się.

– Cokolwiek jest ze mną nie tak, na pewno nawet ty tego nie wyleczysz. – A potem spytał: – Chcesz zatańczyć?

– Czekam, żeby pogadać z Albertem, i stoję tu już z godzinę, a dopiero ty pierwszy mnie prosisz – powiedziała. – Tak. W sumie chciałabym zatańczyć.

Muzyka właśnie się zmieniła i rozbrzmiały dźwięki hałaśliwego, wulgarnego rapu. Utwór miał już parę lat, ale wciąż wpadał w ucho, a jego atrakcyjność podnosił fakt, że żadnemu z obecnych nie było go wolno słuchać jeszcze trzy miesiące temu.

Quinn i Lana tańczyli, klika razy zderzając się nawet biodrami. Potem

Hunter zmienił nastrój, włączając dość wolną piosenkę Lucindy Williams.

– Uwielbiam ten kawałek – stwierdziła Lana.

– Ja... nie umiem tańczyć wolno – przyznał się Quinn.

– Ja też nie. Ale spróbujmy.

Trzymali się zatem niezgrabnie i po prostu kołysali. Po chwili Lana oparła twarz o jego ramię. Poczuł na szyi jej łzy.

– Trochę smutna ta piosenka – zauważył.

– Coś ci się śni, Quinn? – spytała.

Zupełnie go zaskoczyła. Musiała poczuć, że się wzdrygnął, bo spojrzała mu w oczy, szukając w nich wyjaśnienia.

– Miewam koszmary – powiedział. – Bitwa. Wiesz. Ta wielka bitwa.

– Byłeś bardzo dzielny. Uratowałeś wszystkie te dzieci w przedszkolu.

– Nie wszystkie – uciął krótko. Na chwilę zamilkł, wracając do swojego snu. – Był ten kojot. I ten dzieciak, nie? I... i... Dobra, może mogłem go zastrzelić trochę wcześniej, nie? Ale bałem się, że trafię dziecko. Tak się bałem, że trafię tego malca, że nie strzeliłem. A potem było już, no, za późno. Wiesz?

Lana skinęła głową. Nie okazała cienia współczucia, i Quinn, o dziwo, pomyślał, że to dobrze, bo jeśli kogoś tam nie było, i ten ktoś nie trzymał pistoletu maszynowego ze sparaliżowanym palcem na spuście, i nie słyszał dobywającego się z własnego gardła krzyku, i nie widział tego, co on widział – to ten ktoś nie miał prawa mu współczuć, bo kompletnie niczego nie rozumiał.

Niczego.

Lana tylko skinęła głową i położyła mu dłoń na sercu.

– Tego nie mogę wyleczyć – powiedziała.

Teraz to on pokiwał głową, powstrzymując łzy, które napłynęły mu do oczu... ile to już razy od tamtej strasznej nocy? Policzmy, trzy miesiące, trzydzieści dni w miesiącu, to razem jakiś tysiąc razy. Może więcej. Na pewno nie mniej, o ile wziąć pod uwagę sytuacje, gdy chciał się rozpłakać, ale chodził z przyklejonym do twarzy uśmiechem wesołego, rozluźnionego Quinna, bo inaczej musiałby paść na ziemię i zanieść się szlochem.

– To moja smutna historia – przemówił po chwili. – A twoja?

Przechyliła głowę na bok, jakby go oceniała, jakby zadawała sobie pytanie, czy chce mu się zwierzać. Akurat jemu. Niezdecydowanemu Quinnowi. Niepewnemu Quinnowi. Quinnowi, który wydał Sama na tortury Caine'a i Drake'a. Quinnowi, który niemal doprowadził do śmierci Astrid. Quinnowi, którego teraz tolerowano tylko dlatego, że gdy podczas bitwy przyszło co do czego, w końcu wyszedł naprzód, nacisnął ten spust i...

– Spotkałeś kiedyś kogoś, kogo nie możesz zapomnieć? – spytała. – I potem już zawsze miałeś wrażenie, że kawałek ciebie należy do tej osoby?

– Nie – odparł. Czuł lekkie rozczarowanie. – Szczęściarz z niego.

Była tak zaskoczona, że aż parsknęła śmiechem.

– Nie. Nie chodzi o chłopaka. Może to wcale nie chłopak. Może nie... w takim sensie, jak myślisz. Raczej jakby ktoś wziął haczyk na ryby i wbił go we mnie jak w robaka. Wiesz, haczyk ma taki zadzior. Nie możesz go wyjąć, by mocno się przy tym nie skaleczyć.

Skinął głową, choć tak naprawdę nie rozumiał.

– A potem, i to jest właśnie dziwne... Prawie chcesz, żeby ten wędkarz cię wyciągnął. Na zasadzie: dobra, wbiłeś we mnie ten haczyk i to boli, ale nie mogę go wyjąć, nie mam wyjścia. Więc mnie wyciągnij. Po prostu z tym skończ i nie pchaj się w moje sny, bo to same koszmary.
Quinn nadal nie rozumiał, co dziewczyna ma na myśli, ale obraz ryby, bezradnej, wyciągniętej z wody, mocno w nim utkwił. Wiedział, co to znaczy bezradność. Tyle że nigdy nie spodziewał się usłyszeć o niej od najbardziej lubianej osoby w całym ETAP-ie.
Tempo muzyki znowu się zmieniło. Dosyć wolnych kawałków, dzieciaki chciały poszaleć, więc Hunter puścił jakieś techno, którego Quinn nie rozpoznał. Zaczął poruszać się do rytmu, ale Lana nie dołączyła.
Położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała:
– Widzę, że Albert jest już wolny. Muszę z nim pogadać.
Odwróciła się bez słowa. Quinn został z poczuciem, że Uzdrowicielka miewa jeszcze gorsze koszmary niż on.

Rozdział 12

61 GODZIN, 03 MINUTY

Dyskusja z Astrid o klubie Alberta nie należała do przyjemnych. Większość nocy Sam przesypiał w domu, który Astrid dzieliła z Mary. Ale nie tę.

Nie była to ich pierwsza kłótnia. I pewnie nie ostatnia.

Sam nie cierpiał kłótni. Jeśli zsumował całkowitą liczbę osób, z którymi mógł naprawdę porozmawiać, wynik wynosił dwa. Edilio i Astrid. Rozmowy z Ediliem ograniczały się głównie do spraw służbowych. Z Astrid omawiał kwestie poważne, ale także zupełnie lekkie. Ostatnio zdawało się, że dyskutują tylko o pracy. I kłócą się.

Zakochał się w Astrid. Chciał z nią rozmawiać o wszystkim, co wiedziała, o historii, nawet o matematyce, o wielkich, kosmicznych sprawach, które ona by mu wyjaśniała, a on by niemal rozumiał. Chciał spędzać z nią czas. Całowanie Astrid, głaskanie jej po włosach, przytulanie – tylko to czasami pozwalało mu nie oszaleć.

Ale zamiast spędzać razem czas, rozmawiać o gwiazdach i tak dalej – kłócili się. Przypominał sobie swoją matkę i ojczyma. Nie były to miłe wspomnienia.

Spędził noc na nierównym łóżku polowym w swoim biurze i obudził się wcześnie, zanim jeszcze wzeszło słońce. Ubrał się i wyszedł na dwór. Chciał ubiec dzieciaki, które pojawiały się co rano, by dręczyć go kolejnymi problemami.

Na ulicach panował spokój. Jak zwykle w dzisiejszych czasach.

Niektóre dzieciaki dostały pozwolenie na prowadzenie samochodów, ale tylko w sprawach służbowych. Nie było więc ruchu. Gdy z rzadka trafiał się jakiś samochód czy ciężarówka, człowiek słyszał pojazd na długo, zanim go zobaczył.

Teraz do uszu Sama dobiegł warkot silnika. Z oddali. Nie brzmiał jednak jak silnik samochodu.

Chłopak dotarł do niskiego betonowego murku, który wyznaczał krawędź plaży. Wskoczył na niego i od razu ujrzał źródło dźwięku. Niska motorówka płynęła powoli ze spacerową prędkością. Światło i niebo stawało się szare, więc Sam dostrzegał kontur łodzi. Był niemal pewien, że rozpoznaje płynącą w niej osobę.

Sam podszedł do wody, przyłożył złożone dłonie do ust, tworząc coś w rodzaju megafonu, i zawołał:

– Quinn!

Wydawało się, że Quinn majstruje przy czymś, czego Sam nie widział.

– To ty, bracie?

– Tak, stary. Co tam robisz?

– Poczekaj. – Quinn pochylił się i czymś się zajął. Potem zwrócił łódź w stronę brzegu. Wyciągnął ją na brzeg i zgasił silnik. Wyskoczył na piasek.

– Co robisz, stary? – powtórzył pytanie Sam.

– Łowię ryby, bracie.

– Ryby?

– Ludzie szukają jedzenia, nie? – wzruszył ramionami Quinn.

– Stary, nie możesz sobie ot tak, po prostu, wziąć łodzi i popłynąć

na ryby – powiedział Sam.

Quinn wydawał się zaskoczony.

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Nikt nie korzysta z łodzi. Znalazłem sprzęt. I odbyłem już swoją służbę u Edilia.

Sam nie wiedział, jak powinien się zachować.

– Złowiłeś coś?

W ciemności zabłysła biel zębów Quinna.

– Znalazłem książkę o łowieniu ryb. Robiłem po prostu to, co tam napisali. – Sięgnął w dół i podniósł coś ciężkiego. – Jest. W ciemności nie widać. Ale założę się, że waży z dziesięć kilo. Jest ogromna.

– Niemożliwe. – Pomimo fatalnego nastroju, Sam uśmiechnął się. – A co to?

– Zdaje się, że halibut. Nie mam pewności. Nie wygląda dokładnie tak, jak ryby w tej książce.

– Co chcesz z nią zrobić?

– Hmm – mruknął w zamyśleniu Quinn. – Myślę, że spróbuję złowić ich więcej, potem się najem, a na koniec sprawdzę, czy Albert sprzeda mi coś za resztę, której nie zjem. Znasz Alberta. Znajdzie jakiś sposób, żeby usmażyć je w McDonaldsie, i zrobi paluszki rybne albo coś w tym stylu. Ciekawe, czy ma jeszcze keczup.

– Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł – odezwał się Sam.

– Czemu?

– Bo Albert niczego już nie rozdaje.

Quinn zaśmiał się nerwowo.

– Słuchaj, bracie, nie mów mi, że nie mogę tego zrobić, dobra? Nikomu nie stanie się krzywda.

– Nie mówię, że komuś stanie się krzywda – odrzekł Sam. – Ale widzisz, Albert sprzeda te ryby temu, kto coś mu da. Baterie i papier toaletowy albo coś innego, nad czym postanowi przejąć kontrolę.

– Sam. Mam tu jakieś dziesięć kilo dobrego białka.

– Tak. Powinno trafić do ludzi, którzy mają go za mało, prawda? Mateczka Mary mogłaby podać część maluchom. Nie jedzą wiele lepiej od reszty z nas, a bardziej tego potrzebują.

Quinn wbił duży palec u nogi w mokry piasek.

– Słuchaj, jeśli nie chcesz, żebym sprzedał rybę Albertowi, w porządku. Ale mam tę rybę, tak? Co mam z nią zrobić? Niedługo ktoś powinien ją zamrozić. Nie mogę przecież chodzić po mieście i rozdawać kawałków surowej ryby, co?

Sam znowu poczuł, że wzbiera w nim fala pytań, na które nie znał odpowiedzi. Teraz musiał znowu decydować, co Quinn ma zrobić z rybą?

– Wiesz – ciągnął tamten – mówię tylko, że mogę zanieść tę rybę i inne, które złowię, do Alberta, a on ma wystarczająco dużą chłodziarkę, żeby je przechować. Poza tym wiesz, jaki on jest. Wykombinuje, jak ją oczyścić, ugotować i...

– Dobra – przerwał mu Sam. – W porządku. Wszystko jedno. Tym razem daj ją Albertowi. Dopóki nie wymyślę jakichś... no nie wiem... jakichś reguł.

– Dzięki, stary. – Quinn skinął głową.

Sam odwrócił się i skierował z powrotem do miasteczka.

– Trzeba było wczoraj wejść i zatańczyć! – zawołał za nim Quinn.

– Wiesz, że nie tańczę.

– Sam, jeśli ktoś powinien wyluzować, to ty.

Sam starał się zignorować te słowa, ale zaniepokoił go ich ton, pełen współczucia i troski. Oznaczał, że nie potrafi utrzymać swoich myśli w tajemnicy, a jego paskudny nastrój i żal nad sobą, zatruwają otoczenie. Nie o to chodziło. Dawał zły przykład.

– Ej, bracie? – zawołał Quinn.

– Tak, stary?

– Słyszałeś tę zwariowaną historię, którą opowiada Duck Zhang? Nie o jaskini, tylko o tych, no, latających rybo-nietoperzach?

– Co z nimi?

– Chyba parę widziałem. Wyleciały spod wody. Oczywiście było ciemno.

– Dobra – powiedział Sam. – Na razie.

Idąc przez plażę, pomrukiwał.

– Moje życie to opowieści o rybach i czekoladkach Junior Mints.

Coś go trapiło. I nie chodziło tylko o Astrid. Coś. Coś z tymi Junior Mints.

Poczuł, jak zmęczenie przegania na wpół skrystalizowaną myśl. Niebawem powinien pojawić się w ratuszu, by zająć się następnymi głupstwami.

Usłyszał, że Quinn podśpiewuje „Three Little Birds" Boba Marleya. Śpiewał do siebie, a może do Sama.

Potem znowu rozległ się warkot silnika łodzi.

Sam poczuł gwałtowne ukłucie zazdrości.

– Nie martw się – powiedział Quinn, powtarzając słowa piosenki.

– Martwię się.

– Caine?

Bez odpowiedzi. Diana znowu zastukała w drzwi.

– Głodny w ciemności! – wykrzyknął Caine niesamowitym, świergotliwym głosem. – Głodny w ciemności, głodny w ciemności, głodny, głodny.

– O Boże, znowu się zaczyna? – spytała samą siebie Diana.

Podczas swojego trzymiesięcznego odlotu Caine krzyczał, wrzeszczał i ryczał na najróżniejsze sposoby. Ale pewne słowa powtarzały się szczególnie często: „Głodny w ciemności. "

Otworzyła drzwi. Caine rzucał się na łóżku, okręcony kołdrą, waląc rękami w coś niewidzialnego.

Przeniósł się z domku Mose'a do parterowego budynku, w którym kiedyś mieszkała dyrektorka Coates Academy ze swoim mężem. Mieszkanie należało do nielicznych nieuszkodzonych, niezdemolowanych zabudowań na terenie szkoły. W pokoju stało duże, wygodne łóżko z miękką, satynową pościelą. Na ścianach wisiały obrazki w stylu preferowanym przez klientelę sklepów wnętrzarskich Z Gallerie.

Diana szybko ruszyła do okna, a Caine znowu zaczął szaleć, wyjąc niczym potępiona dusza o głodzie w ciemności. Podniosła odcinające światło żaluzje i pomieszczenie rozświetlił blady blask wczesnego poranka.

Caine usiadł gwałtownie.

– Co? – powiedział. Zamrugał kilka razy powiekami i zadrżał. – Czemu tu jesteś?

– Znowu to robiłeś – oznajmiła.

– Co robiłem?

– „Głodny w ciemności". To jeden z twoich przebojów. Czasami zmieniasz na „głodny w ciemnościach". Mamrotałeś ten tekst, wyjękiwałeś i wykrzykiwałeś całymi tygodniami. Ciemność, głód, i jeszcze to słowo: „gaiaphage". – Usiadła na skraju jego łóżka. – Co to wszystko znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Ciemność. Drake też o niej mówi. To coś na pustyni. To, co dało mu nową rękę. I zrobiło ci sieczkę w głowie.

Caine nic nie powiedział.

– To jakiś potwór, tak? – spytała.

– Jakiś – mruknął.

– To zmutowany dzieciak, czy jak? A może, tak jak kojoty, zmutowane zwierzę?

– Jest tym, czym jest – uciął Caine.

– Czego chce?

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– A czemu cię to obchodzi?

– Mieszkam tu, zapomniałeś? Muszę żyć w ETAP-ie razem z całą resztą. Dlatego interesuje mnie, czy jakaś zła istota wykorzystuje nas wszystkich do...

– Nikt mnie nie wykorzystuje – warknął.

Zamilkła, czekając, aż jego gniew złagodnieje. W końcu przemówiła:

– Zmieniło cię, Caine. Nie jesteś już sobą.

– Wysłałaś Jacka, żeby ostrzegł Sama? Żeby mu powiedział, jak przeżyć wypad?

Nie była przygotowana na to pytanie. Musiała wykorzystać całą zdolność do panowania nad sobą, by na jej twarzy nie pojawił się strach.

– Tak właśnie myślisz? – Zdobyła się na cierpki uśmiech. – To dlatego śledzą mnie, dokądkolwiek pójdę.

Caine nie zaprzeczył.

– Zakochałem się w tobie, Diano. Opiekowałaś się mną przez te trzy miesiące. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

– Dlaczego mi grozisz?

– Bo mam plany. Mam sprawy do załatwienia. Muszę wiedzieć, po której stoisz stronie.

– Po swojej – odparła. Była to szczera odpowiedź. Nie ufała sobie na tyle, by wciskać mu kłamstwo. Gdyby pomyślał, że go okłamuje...

Skinął głową.

– Tak. Dobra. Bądź po swojej własnej stronie, szanuję to. Ale jeśli się dowiem, że pomagasz Samowi...

Postanowiła, że pora na pokaz gniewu.

– Słuchaj, żałosna namiastko człowieka, miałam wybór. Sam zaproponował mi ten wybór, kiedy skopał ci tyłek. Mogłam z nim odejść. To byłoby rozsądne posunięcie. Nie zagrażałby mi Drake. I nie musiałabym znosić tych twoich prób obmacywania mnie za każdym

razem, gdy czujesz się samotny. I na pewno lepiej bym jadła. Postanowiłam pójść z tobą.

Caine usiadł prosto. Nachylił się w jej stronę. Jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, jakie ma zamiary.

– Oj, znowu się zaczyna. – Diana przewróciła oczami.

Gdy jednak ją pocałował, pozwoliła mu. A po kilku sekundach kamiennej obojętności oddała pocałunek.

Potem położyła dłoń na jego nagiej piersi i pchnęła go z powrotem na poduszkę.

– Dosyć.

– Wcale nie dosyć, ale chyba musi wystarczyć – odparł.

– Wychodzę – oznajmiła. Ruszyła do drzwi.

– Diano?

– Co?

– Potrzebuję Komputerowego Jacka.

Zamarła z ręką na klamce.

– Nie ukrywam go w swoim pokoju.

– Posłuchaj mnie i nic nie mów. Dobra? Mówię ci: nic nie mów. To jednorazowa propozycja. Amnestia. Cokolwiek stało się między tobą, Jackiem a Samem, zostanie zapomniane, jeśli... jeśli ściągniesz mi Jacka. Wtedy co było, minęło. Ale potrzebuję Jacka. I to szybko.

– Caine...

– Zamknij się – syknął. – Wyświadcz sobie przysługę. Nic nie mów.

Powstrzymała się od gniewnej odpowiedzi. W jego głosie pobrzmiewała wyraźna groźba. Mówił poważnie. Tym razem mówił poważnie.

– Sprowadź mi Jacka. Wykorzystaj wszelkie sposoby, jakie chcesz. Wykorzystaj Robala. Nawet Drake'a. Przywódcę Stada, jeśli to pomoże. Nie obchodzi mnie, jak do tego dojdzie, ale Jack ma tu być za dwa dni. Licząc od teraz.

Diana z trudem usiłowała zaczerpnąć tchu.

– Dwa dni, Diano. Wiesz, co inaczej się stanie.

Albert nadzorował zamiatanie klubu przez jednego z chłopaków ze swojej ekipy i czytał o temperaturze topnienia różnych metali – ołowiu i złota, zwłaszcza złota – gdy do McDonaldsa wszedł Quinn, pchając taczkę.

W taczce leżały trzy ryby. Jedna była wyjątkowo duża. Dwie pozostałe wyglądały przeciętnie.

Albert od razu pomyślał, że to okazja.

Ale wcześniej pomyślał, że jest głodny i z chęcią zjadłby kawałek smażonej ryby. A nawet surowej. Siła głodowych skurczów zaskoczyła go. Starał się nie zważać na głód – sam jadł bardzo mało i pilnował, by jego podwładni zawsze byli w miarę możliwości najedzeni, ale kiedy ten chłopak wszedł z prawdziwymi rybami...

– O rany – nie mógł się powstrzymać.

– No. Super, co? – odrzekł Quinn, patrząc z uśmiechem na ryby niczym dumny ojciec.

– Są na sprzedaż? – spytał Albert.

– Tak. Oprócz tego, co sam zjem. No i jeszcze musimy wysłać trochę maluchom, którymi opiekuje się Mary.

– Jasne – zgodził się Albert. Zastanowił się. – Nie mam nic, co

nadawałoby się na panierkę. Ale chyba można by obtoczyć je w mące, żeby zrobiły się trochę bardziej chrupkie.

– Stary, zjadłbym je nawet na surowo – stwierdził Quinn. – Ledwie wytrzymałem, żeby ich nie skubnąć po drodze.

– Co byś chciał za wszystkie trzy?

Quinn był wyraźnie zbity z tropu.

– Stary, nie mam pojęcia.

– Dobra – westchnął Albert. – Co powiesz na taki deal: dostaniesz darmowy wstęp do klubu. Plus tyle ryby, ile zdołasz zjeść. A do tego będę ci winien wielką przysługę w przyszłości.

– Wielką przysługę?

– Wielką – potwierdził Albert. – Widzisz, robię różne rzeczy. Mam pewne plany. Prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś mi w tych planach pomógł.

– Mhm – mruknął sceptycznie Quinn.

– Proszę cię, żebyś mi zaufał. Zaufaj mi, a ja zaufam tobie.

Albert wiedział, że tym trafi do Quinna. Zaufanie było ostatnią rzeczą, którą ktokolwiek mu proponował.

Zmienił temat, ale tylko trochę.

– Jak złowiłeś te ryby?

– Hmm, no, nie tak trudno się nauczyć. Siatką złowiłem trochę małych rybek, wiesz, nie takich, które można jeść. Potem użyłem ich jako przynęty. Małe rybki łowisz w kałużach po przypływie i w płytkiej wodzie. Sprzętu i łodzi nie brakuje. Później musisz tylko działać bardzo cierpliwie.

– To może być ważne – rzekł z namysłem Albert. Po czym dodał: –

Dobra, mam dla ciebie propozycję.

Quinn uśmiechnął się.

– Słucham.

– W mojej ekipie są dwadzieścia cztery osoby. Większość pilnuje sklepu Ralph's i rozprowadza żywność. Ale, prawdę mówiąc, niewiele zostało do pilnowania i do rozprowadzania. Więc...

– Więc?

– Więc dam ci sześciu swoich najlepszych ludzi. Najpewniejszych, jakich mam. Weźmiesz ich i nauczysz łowić ryby.

– Tak? – Quinn zmarszczył brwi, nadal nie rozumiejąc.

– Ty i ja zostaniemy partnerami w rybnym biznesie. Siedemdziesiąt do trzydziestu. Dam ci pracowników, będę brał ryby, zajmę się ich przygotowaniem i dystrybucją. Z tego, co zarobimy, ja wezmę siedemdziesiąt procent, a ty trzydzieści.

Quinn uniósł brwi.

– Słucham? Dlaczego ty weźmiesz siedemdziesiąt?

– Będę płacił wszystkim, którzy mi podlegają – wyjaśnił Albert. – Twoje trzydzieści procent będzie tylko dla ciebie.

– To trzydzieści procent z niczego – stwierdził Quinn.

– Możliwe. Ale to się zmieni. – Albert uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu. – Nie możesz tracić nadziei, chłopie. Wszystko jest na dobrej drodze. Mamy ryby.

Mateczka Mary poczuła ich zapach, zanim je zobaczyła.

Ryby. Smażone ryby.

Dzieci też to poczuły.

– Co tak pachnie? – wykrzyknęła Julia i pobiegła naprzód, powiewając czarnym końskim ogonem.

To, co nastąpiło potem, przypominało zamieszki. Przedszkolaki stłoczyły się wokół Quinna, który niósł stertę kawałków smażonej ryby na pokrytej serwetkami tacy z McDonald'sa.

– Dobra, dobra, dobra, każdy dostanie – jęknął chłopak.

Mary nie mogła się ruszyć. Wiedziała, że powinna, wiedziała, że musi wkroczyć i zaprowadzić porządek, ale ten zapach ją sparaliżował.

Na szczęście Francis – ten sam, który zrobił taką scenę, mówiąc, że nie cierpi pracy w przedszkolu – po pierwszym dniu stwierdził, że nie ma nic przeciwko temu, by przyjść także drugiego dnia. A potem trzeciego. Stopniowo stawał się niemal etatowym pracownikiem.

Kiedy już przezwyciężył swoją niechęć, okazało się, że ma naprawdę dobre podejście do dzieci.

– Dobra, maluchy! – zawołał. – Cofnąć się. Cofnąć się powoli od jedzenia.

– Przepraszam, chyba powinienem uprzedzić, że przyjdę – bąknął nieśmiało Quinn, brodząc przez morze dzieciaków i trzymając tacę ponad dziesiątkami wyciągniętych rączek.

Mary splotła palce, patrząc, jak Francis i inni pomocnicy ustawiają dzieci w szeregu. Zapach ryb był wprost niewiarygodny. Burczało jej w brzuchu i ciekła jej ślinka.

Robiło jej się niedobrze.

– Dobra, mamy trzydzieści dwa kawałki – oznajmił Quinn. – Jak chcecie to zrobić?

Francis zerknął na Mary, ale nie była w stanie odpowiedzieć. Zupełnie jak sparaliżowana.

– Na początek każdy dostanie pół kawałka – postanowił Francis. Następnie ostrzegł: – A jeśli ktoś spróbuje oszukiwać, nie dostanie nic.

– Mary, wystarczy też dla ciebie i twoich pracowników – stwierdził Quinn.

Mary skinęła głową. Nie mogła. Nie ona. Inni – tak. Oczywiście.

– Dobrze się czujesz? – zwrócił się do niej Quinn.

Mary zgrzytnęła zębami i zmusiła się do drżącego uśmiechu.

– Jasne. Dzięki, że to przyniosłeś. Dzieci nie miały... potrzebują białka... one...

– Dobra, już dobra – odrzekł chłopak, wyraźnie skonsternowany.

– Zostaw trochę dla niemowląt – pouczyła Francisa Mary. – Rozdrobnimy je w mikserze.

Pomieszczenie wypełniły odgłosy łapczywego jedzenia. Wiele z tych dzieci bez wątpienia nie znosiło ryb. W dawnych czasach. Nawet dwa tygodnie temu by grymasiły. Ale teraz? Nikt nie odmawiał białka. Odczuwały jego głęboką potrzebę. Organizmy kazały im jeść.

Ale organizm Mary kazał jej nie jeść.

To byłby grzech, powiedziała sobie. Grzechem byłoby zjeść rybę tylko po to, by później zwymiotować. Nie mogła tego zrobić maluchom.

Mary wiedziała, że z jej zachowaniem jest coś nie tak. Otaczał ją głód, dla dzieciaków nieunikniony. A źródłem jej głodu była ona sama.

Rozbrzmiał sygnał ostrzegawczy, lecz odległy, ledwie słyszalny. Jakby ktoś ją wołał, stojąc dwie ulice dalej.

– Chodź, Mary, musisz tego spróbować – namawiał Francis. – Pycha.

Niezdolna do odpowiedzi, odwróciła się bez słowa, po czym ruszyła do łazienki, odprowadzana mlaskaniem głodnych dzieci.

Rozdział 13

45 GODZIN, 36 MINUT

Sam zapukał do drzwi wejściowych. Zwykle tego nie robił. Astrid wiele razy mówiła mu, że może po prostu wchodzić.

Ale i tak zapukał.

Trochę potrwało, zanim otworzyła.

Najwyraźniej dopiero wyszła spod prysznica. Astrid po obiedzie ćwiczyła, a mały Pete lubił w tym czasie oglądać filmy na DVD. Jasne włosy oblepiały jej szyję. Parę kosmyków zasłoniło jedno oko, przez co wyglądała trochę jak pirat. Miała na sobie szlafrok, a w ręku trzymała ręcznik.

– Aha. Wracasz na kolanach? – spytała.

– W czymś by to pomogło, gdybym uklęknął? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Żałosny wzrok wystarczy.

– Nie widziałem cię cały dzień.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Nie chciałam, żeby ktoś mnie widział.

– Mogę wejść?

– Pytasz, czy mógłbyś wejść? „Mogę" oznacza możliwość. „Mógłbym" oznaczałoby prośbę o pozwolenie.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, że lubię, jak tak robisz.

– Tak? Więc może powinnam zauważyć, że „móc" to czasownik modalny. W języku angielskim występuje dziewięć czasowników modalnych. Mam je wymienić?

– Lepiej nie – odparł. – Co za dużo, to niezdrowo.

Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.

– Mięczak – zażartowała, gdy się cofnął. – Dobra, wejdź. Mam trochę pysznego hibiskusa z puszki, przypaloną domową tortillę z razowej mąki i pół główki kapusty od Orka, gdybyś był głodny. Jeśli zawiniesz trochę kapusty w tortillę, dodasz hibiskusa i wrzucisz na pół minuty do mikrofalówki, będziesz miał coś paskudnego, ale za to w miarę zdrowego.

Sam wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Mały Pete rozsiadł się przed telewizorem i oglądał film „Grinch: świąt nie będzie". Jim Carrey, zupełnie nie do rozpoznania z powodu charakteryzacji, radośnie zacierał ręce.

– To był jeden z jego gwiazdkowych prezentów – wyjaśniła dziewczyna.

– Pamiętam – powiedział Sam.

Boże Narodzenie dla nikogo nie było miłe. Boże Narodzenie bez rodziców. Bez starszego rodzeństwa. Bez dziadków. Bez wszystkich dziwnych krewnych, których widywało się tylko w święta.

Sam znalazł na strychu sztuczną choinkę i zniósł ją na dół. Wciąż była zmontowana, chodź zdjęto z niej ozdoby i powkładano do pudełek.

Każdy zrobił, co mógł. Albert zorganizował ucztę, która jednak nie mogła się równać ze wspaniałym Świętem Dziękczynienia. Już przed Bożym Narodzeniem zabrakło placków i ciastek. Także świeże owoce i

warzywa przeszły do zapomnianej historii.

– Nie możemy się kłócić o... no wiesz... politykę – powiedział Sam.

– To znaczy, że mam się z tobą we wszystkim zgadzać? – spytała Astrid tonem, który świadczył, że gotowa jest zacząć całą dyskusję od początku.

– Nie. Chcę, żebyś mi powiedziała, co myślisz. Potrzebuję cię – przyznał Sam. – Właściwie o to właśnie chodzi: potrzebuję cię. Więc kiedy się nie zgadzamy, nie możemy się na siebie wściekać. Jako ludzie, rozumiesz?

Zdawała się szykować do kłótni. Zamiast tego jednak wydała z siebie długie, zmęczone westchnienie.

– Rozumiem. Mamy dosyć na głowie.

– Super – uśmiechnął się słabo.

– Spałeś w nocy choć trochę? Wyglądasz na zmęczonego.

– Chyba jestem zmęczony – przyznał. – Długi dzień. Ej, wiedziałaś, że Quinn łowi ryby? Dziś rano coś złowił.

– Nie wiedziałam. Ale to dobrze. – Astrid wydawała się zakłopotana. – Sami powinniśmy na to wpaść. Mówię o rybach.

– Chyba nie damy rady myśleć o wszystkim – odparł Sam znużonym głosem. Na tym polegał problem, gdy całością zawiadywała jedna osoba. Ludzie oczekiwali od niej wielkich możliwych rozwiązań, a sami przestawali kombinować. Quinn bez niczyjej pomocy wykoncypował coś nowego. A teraz zwrócił się o pomoc do Alberta, a nie do Sama.

– Co robi z tymi rybami?

– Sporą część zaniósł dziś rano do przedszkola. Przynajmniej mamy

trochę białka dla najmłodszych.

– Sporą część? – Uniosła brwi. – Co robi z resztą? Mam nadzieję, że nie chomikuje ryb dla siebie.

– On... – Sam urwał. Ostatnią rzeczą, której pragnął, był spór o Quinna, Alberta i ryby. – Słuchaj, możemy pogadać o tym jutro? Najważniejsze, że dziś maluchy dostały białko. Nie możemy się po prostu ucieszyć?

Położyła mu dłoń na policzku.

– Idź do łóżka.

– Dobrze, proszę pani.

Poczłapał na górę, czując się lepiej, niż przez cały dzień. Minął Mary, która właśnie schodziła na dół.

– Cześć, Mary. Wracasz do pracy?

– A co innego mogę robić? – spytała. – Przepraszam, nie chcę narzekać.

– Jeśli nie ty miałabyś narzekać, to kto? – odparł. – Ale powiedz, masz co jeść?

Wydawała się zaskoczona.

– Co?

– Zastanawiałem się, czy masz co jeść. Straciłaś na wadze. Znaczy, nie zrozum mnie źle, dobrze wyglądasz.

– Dzięki – zdołała z siebie wydusić. – Eee... Tak, jedzenia mi nie brakuje.

– Dostałaś trochę ryby dziś rano?

Skinęła głową.

– Tak. Była pyszna.

– Dobra. Na razie.

Sam korzystał z pomieszczenia, które kiedyś było pokojem gościnnym. Było ładnie urządzone, miało własną łazienkę z bardzo miękkimi ręcznikami, dopasowanymi do wystroju. Starannie dbał o czystość i porządek, bo w pewien sposób wciąż nie był to jego pokój. Nie umiał sobie wyobrazić, że kiedykolwiek nim będzie. Dom należał do... tak, dobre pytanie. Ale na pewno nie do niego.

Tak czy owak miotał się pod pościelą pomiędzy gorączkowym czuwaniem a snem.

W snach nie zaznawał spokoju. Śniła mu się matka. Tyle że w tym śnie nie była jego matką, nie była prawdziwą osobą, a stworem, który wzywał go w chwili, gdy miał zniknąć.

Wszystkiego najlepszego z okazji piętnastych urodzin, Sam, a teraz wyjdź z ETAP-u do... nikt nie wiedział, dokąd.

Była to jakaś iluzja. Człowiek widział to, co chciał zobaczyć. A jednak wtedy to wszystko wydawało się takie prawdziwe. We śnie przeżył tamten moment na nowo.

Zobaczył Caine'a, swojego brata bliźniaka, w kręgu ostrego światła. Zobaczył ich matkę. Zobaczył też dziewczynę, może dwunastoletnią, chudą, z grubym końskim ogonem. Zastanawiał się, kto to taki. Wtedy nie było tam dziewczyny. W tej zniekształconej rzeczywistości nie było dziewczyny.

Sen zaczął się przeobrażać. Sam stał u stóp schodów do ratusza, z których staczały się puszki wielkie jak beczki. Najpierw sturlała się beczka fasoli. Potem następna. Później puszka ravioli. Kolejne zaczęły toczyć się coraz szybciej, a Sam próbował wspiąć się po schodach, lecz

nie mógł, bo za każdym razem, gdy podnosił nogę, by postawić ją na stopniu, pędziła na niego jakaś puszka.

Teraz po schodach turlała się kaskada niewielkich konserw, przypominających owady, uwijające się u jego nóg. Potykał się, ślizgał w tym potoku puszek, nie mogąc wejść wyżej.

We śnie podniósł wzrok i ujrzał dziewczynę, znowu tę samą. Gęste, kasztanowe włosy, związane z tyłu w długi koński ogon. Dziewczyna stała na szczycie schodów. Ale to nie ona rzucała jedzeniem.

Puszki zmieniły się, teraz zawierały czekoladki Junior Mints.

Czekoladki, co dziwne, pakowane w puszki, ale ze znajomą, zieloną etykietą. Potknął się o nie i zaczęły go zasypywać.

Zdał sobie sprawę, że ktoś przy nim stoi. Nie człowiek, raczej owad o nieokreślonym kształcie.

Olbrzymi owad podniósł puszkę, która przemieniła się w niewielkie pudełko.

Sam przebudził się gwałtownie.

Astrid potrząsała nim, z przerażeniem krzycząc mu prosto w twarz:

– Obudź się!

Zerwał się błyskawicznie, omal jej nie przewracając.

– Co?

– Petey! – wykrzyknęła. Wzrok miała oszalały ze strachu.

Sam rzucił się biegiem w stronę pokoju Pete'a. W korytarzu zamarł bez ruchu. Drzwi stały otworem.

Pete leżał na łóżku. Nie ruszał się. Miał zamknięte oczy i spokojną twarz. Spał. Sam nie miał jednak pojęcia, jak mógł spać, bo całą przestrzeń pokoju wypełniały potwory.

Dosłownie wypełniały. Od ściany do ściany. Aż po sufit.

Potwory. Koszmarne monstra. Wypełzały spod łóżka. Wyłaziły z szafy. Unosiły się niczym balony z helem. Jakby w pokoju małego Pete'a maszerowała zminiaturyzowana parada na Święto Dziękczynienia.

Tyle że Shreka i Kota Prota zastąpiły budzące grozę stwory.

Jeden z mniejszych miał trzy pary fioletowych skrzydeł, macki, wyrastające z brzucha, oraz głowę, przypominającą końcówkę strzykawki, z krwistoczerwonymi oczami na górze.

Największy był kudłatą bestią postury niedźwiedzia grizzly z półmetrowymi kolcami na końcu łap.

Były tam stwory, składające się wyłącznie z ostrych krawędzi, jakby posklejano je z brzytew i noży. Były istoty ze świecącej magmy. Takie, które latały, i takie, które pełzały.

– Tak jak wtedy? Na placu? – spytał Sam drżącym szeptem.

– Nie. Zobacz: rzucają cienie – odparła Astrid zdenerwowanym głosem. – Wydają dźwięki. Pachną.

Olbrzymi kudłaty potwór na ich oczach zmienił kształt. Brązowe futro pojaśniało, stało się białe, po czym nagle zmieniło barwę na zieloną.

Jego paszcza się poruszyła.

Otworzyła się.

Wydobył się z niej dźwięk, jaki wydałby duszony kot. Budzące dreszcz miauczenie.

Po chwili paszcza zamknęła się ze słyszalnym trzaskiem. Potem rozpłynęła się i zniknęła pod świeżo wyrośniętą sierścią.

– Próbował mówić – szepnęła Astrid.

Stwór o musztardowej barwie i psim wyglądzie, z głową niby kilof, czułkami i dwiema rurkami, wyrastającymi w miejscu oczu, zaczął zmieniać kształt, unosząc się w powietrzu. Jego kończyny przeobraziły się ze zwykłych łap w ostro zakończone, najeżone haczykowatymi kolcami włócznie. Haczyki otwierały się i zamykały. Jakby bestia ćwiczyła, odkrywając ich możliwości.

A potem, gdy jej kształt w końcu stał się wyraźny, także ona usiłowała przemówić. Tym razem dźwięk był jeszcze mniej składny, ćwierkliwy, owadzi odgłos, który zamilkł nagle, gdy z pyska stwora wyrosła mięsista błona.

– Widzą nas? – pomyślał na głos Sam.

– Nie wiem. Widzisz, jak się gapią na Pete'a?

To wydawało się niedorzeczne – próbować wyczytać coś z pysków potworów – zwłaszcza że niektóre miały pięcioro oczu. Inne – tylko jedno. Jeszcze inne wcale nie miały oczu, dysponowały za to ostrymi zębiskami. Zdaniem Sama jednak wszystkie patrzyły z pewną obawą na małego Pete'a, który cicho posapywał, obojętny na wszystko.

Obok Astrid i Sama prześlizgnął się wąż o rozmiarach pytona, wijąc się w powietrzu. Z podłużnego ciała wyrastały maleńkie nóżki, jak u stonogi, przez co niemal przypominał krwiożercze dżdżownice, choć te nóżki wyglądały tak, jakby funkcjonowały na podobieństwo rzepów. Wąż zasyczał. Syk stawał się coraz głośniejszy, po czym nagle ustał. Cała głowa węża po prostu zniknęła.

– Próbują się porozumieć – odezwała się Astrid. – Coś je powstrzymuje. Coś nie pozwala im mówić.

– Albo ktoś – powiedział Sam. – Jeśli nas zaatakują... – Uniósł

ramiona prostując je w łokciach.

Niespodziewanie Astrid chwyciła go za ręce i pchnęła je w dół.

– Nie, Sam. Mógłbyś skrzywdzić Pete'a.

– Co się stanie, jeśli się obudzi?

– Poprzednio wizje po prostu znikały. Ale teraz są chyba inne. Spójrz. Popatrz na zasłony, są przypalone tam, gdzie to... to coś, co wygląda jak lawa, się do nich zbliżyło.

Sam podjął decyzję.

– Obudź go.

– A co, jeśli... – zaczęła.

– Słuchaj, może nie są groźne. A może są. Jeśli tak, po prostu nie pozwolę, żeby zrobiły ci krzywdę. Spalę je. – I po chwili dodał: – Jeśli potrafię.

– Pete – zawołała dziewczyna drżącym głosem.

Do tej chwili żaden ze stworów nie zwrócił uwagi na dwoje gapiących się ludzi. Ale teraz każde oko, każdy zestaw oczu, każda rozedrgana czułka – w jednej chwili skoncentrowały na nich uwagę. Nastąpiło to zupełnie nagle i Sam miał wrażenie, że słyszy wydawany przez oczy klekot.

Czerwone oczy, czarne oczy, żółte oczy ze źrenicami jak szparki, okrągłe niebieskie oczy, w sumie może z pięćdziesięcioro oczu gapiło się prosto na Sama i Astrid.

– Spróbuj jeszcze raz – szepnął Sam. Znowu wyciągnął ręce, otwartymi dłońmi w kierunku potworów, w gotowości.

– Petey – powiedziała Astrid z większym naciskiem.

Potworne istoty zaczęły się zmieniać. Poruszały się niemal jak

jedno ciało, niektóre niezdarne, inne szybkie niczym błyskawica, przypominały jednak animowane komputerowo postacie Disneya, działające na ten sam sygnał. Odwróciły się przodem do Sama i Astrid.

Ich paszcze rozwierały się jedna po drugiej. Dobywały się z nich dźwięki: chrząknięcia i syknięcia, pohukiwania, ryki, odgłosy, przypominające skrobanie metalem o porcelanę, granie świerszczy czy wściekłe szczekanie psów. Zdecydowanie nie słowa, lecz właśnie dźwięki, które dopiero chciały być słowami, walczyły o to, by się nimi stać.

Chór wściekłości i frustracji brzmiał coraz głośniej. Skończył się tak raptownie, jakby ktoś odłączył od gniazdka sprzęt stereo.

Potwory wlepiały gniewne spojrzenia w Sama i Astrid, jakby to ich należało winić za nastanie ciszy.

Sam zaklął pod nosem.

– Cofaj się. Na korytarz – nakazał. – Będą musiały wychodzić do nas pojedynczo, a Pete nie znajdzie się na linii ognia.

– Ale...

– To nie jest dobry moment na dyskusję, Astrid – syknął przez zaciśnięte zęby. – Powoli się cofaj.

Usłuchała. Poszedł w jej ślady, noga za nogą, z uniesionymi rękami, jedyną bronią mutanta w pogotowiu.

Nie miał jednak szans pokonać wszystkich. Najmniejszych. Może załatwi kilka, o ile w ogóle da się je spalić. Jak spalić stwora, który składa się z magmy?

Posuwali się krok za krokiem, aż dotarli do korytarza. Trzy metry.

Pięć. Potwory będą musiały także przemierzyć tę odległość. Sam zyskiwał pewną przewagę, na nic więcej nie mógł liczyć. Pete znajdował się już poza linią ognia.

– Zawołaj go jeszcze raz. Tym razem głośniej.

– Nie zawsze reaguje.

– Spróbuj.

– Pete! – wykrzyknęła Astrid głosem spotęgowanym przez strach. – Petey, obudź się! Wstawaj!

Sam zauważył, że stwory, które unosiły się w powietrzu, przynajmniej te pozbawione skrzydeł, spadają nagle na podłogę. Klepki zatrzęsły się od uderzenia.

Pierwsze zjawiło się stworzenie o sześciu skrzydłach. Z prędkością ważki gnało prosto na Astrid.

Z dłoni Sama wystrzeliło zielonobiałe światło. Skrzydlaty stwór stanął w płomieniach, nabrał już jednak zbyt dużej prędkości.

Sam ukucnął i sięgnął ręką, by pociągnąć Astrid w dół, lecz dziewczyna sama już się uchyliła. Buchające ogniem ciało ze skrzydłami pomarszczonymi niczym płonące liście, przeleciało im nad głowami.

Na korytarz wpadła Mary Terrafino.

– Co się dzieje?

– Mary! Do tyłu! Do tyłu, do tyłu, do tyłu! – wrzasnął Sam.

Mary skoczyła z powrotem do swojego pokoju w chwili, gdy musztardowy, bezoki pies z czułkami ruszył do ataku, stukając pazurami o podłogę.

Na głowie miał dwie rurki. Sam był niemal pewien, że jeszcze przed

chwilą ich nie widział.

Z rurek wytrysnęło coś bladobłękitnego. Maź pokryła jedną rękę Sama, gęsta niczym owsianka, lepka jak klej kauczukowy.

Drugą ręką strzelił jeszcze raz. Stwór zapalił się, zwolnił, ale nie stanął.

Teraz wszystkie koszmary przepychały się przez drzwi, walcząc o szansę do ataku, a potem...

Zniknęły.

Po prostu zniknęły.

Nie zostało nic z wyjątkiem skwierczących szczątków sześcioskrzydłego owada i tryskającego breją psa. Astrid wbiegła do pokoju małego Pete'a. Sam był tylko o krok za nią. Pete siedział na łóżku z otwartymi oczami i rozbieganym wzrokiem.

Astrid rzuciła się na łóżko i otoczyła braciszka ramionami.

– Oj, Petey, Petey – załkała.

Sam szybko podszedł do okna. Osmalona wcześniej zasłona teraz płonęła. Szarpnął ją i zerwał, by zadeptać ogień, a przy okazji przewrócił niechcący półkę pełną matrioszek. Tupał, by zdusić płomień. Jego stopa zgruchotała jedną z malowanych, jaskrawoczerwonych figurek. Zewnętrzna lalka roztrzaskała się. Ta, która była w środku, wyturlała się prosto w ogień.

Sam zgasił płomienie.

– Masz gaśnicę? – spytał. Bez powodzenia próbował zetrzeć z ręki śluzowatą substancję. – Dla bezpieczeństwa powinniśmy...

W tym jednak momencie zobaczył przez okno coś niemal równie przerażającego, jak potwory. Po drugiej stronie ulicy stała

dziewczyna. Patrzyła w górę, na niego.

Miała duże, ciemne oczy i gęste kasztanowe włosy, ujęte z tyłu w koński ogon.

Dziewczyna z jego snu.

Sam wybiegł z pokoju, pognał na dół po schodach i wypadł na ulicę. Dziewczyny nigdzie nie było.

Pobiegł z powrotem do środka i stanął przed zalęknioną Mary oraz Astrid, która – co go zdumiało – zapisywała coś w notatniku, nie przestając przy tym tulić braciszka.

– Co, do... – zaczął.

– Adaptowały się – przerwała mu natarczywie. – Widziałeś? Zmieniały się na naszych oczach. Zmieniały swój fizyczny kształt. Ewoluowały.

Naskrobała coś w notesie, otarła łzy z twarzy, a potem napisała coś jeszcze.

– Co się dzieje? – spytała Mary Terrafino niepewnym szeptem, jakby nie chciała przeszkadzać.

Sam odwrócił się do niej.

– Mary. Nie opowiadaj o tym.

– To on, prawda? – spytała, patrząc na małego Pete'a, który właśnie ziewnął i zaczął na powrót zapadać w sen.

– On coś w sobie ma.

– Ma w sobie wiele rzeczy, Mary – wyznał ze znużeniem Sam. – Ale to ma zostać między nami. Chcę ci w tej kwestii zaufać.

Mary pokiwała głową. Zdawało się, że nie wie, czy zostać i toczyć spór, czy też wrócić do względnej normalności swojego pokoju. Normalność wygrała.

– To nie jest w porządku – szepnęła Astrid, układając braciszka z powrotem na poduszce.

– Tak myślisz? – spytał piskliwym tonem Sam.

Astrid pogłaskała czoło małego Pete'a.

– Petey, nie możesz więcej tego robić. Możesz wyrządzić komuś krzywdę. Na przykład mnie. I kto by się wtedy tobą opiekował?

– Tak, dosyć potworów, Petey – powiedział Sam.

– Dosyć potworów – powtórzyła niby echo Astrid.

Mały Pete zamknął oczy.

– Dosyć potworów – powiedział, ziewając szeroko. – Uciszyłem go – doda.

– Kogo uciszyłeś? – spytał Sam.

– Petey. Kogo? – mówiła błagalnym głosem Astrid. – Kto to był? Kto? Co chciał powiedzieć?

– Głodny – odparł malec. – Głodny w ciemności.

– Co to znaczy? – naciskała Astrid.

Ale mały Pete już zasnął.

Rozdział 14

36 GODZIN, 47 MINUT

– Ciągle tak się zachowuje. – Robal, w swojej widzialnej postaci, wskazał gestem Orsay, która siedziała zgarbiona, z podkulonymi nogami na schodach przed wejściem do Coates Academy.

Caine obrzucił dziewczynę wzrokiem ze sporym zainteresowaniem. Dotknął czubka jej głowy i zauważył, że się wzdrygnęła.

– Chyba to znam – stwierdził.

Diana ziewnęła. Wciąż miała na sobie jedwabną piżamę i szlafrok, jakby było jej zimno. W ETAP-ie tak naprawdę nigdy się nie marzło. Robal zachwiał się w przód i w tył, ledwie przytomny z niewyspania.

– Co się działo, kiedy się wyłączyła? – spytał go Caine.

– Co? – Robal potrząsnął głową, budząc się. – Była w jednym ze snów Sama. Coś z puszkami z jedzeniem. A potem w innym pokoju błyskały jakieś dziwne światła i Orsay zaczęła się zachowywać, jakby się naćpała.

– Co wiesz o narkotykach? – spytała Diana.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Joe junior, mój starszy brat, często był na haju.

Caine przykląkł przed Orsay. Łagodnie uniósł jej twarz.

– Przestań – nakazał.

Nie było reakcji. A zatem uderzył ją raz otwartą dłonią, mocno, ale bez złośliwości. Na jej policzku została różowa plama.

Oczy dziewczyny zamigotały. Wyglądała jak ktoś, kto obudził się o

wiele godzin za wcześnie.

– Przepraszam – powiedział Caine. Był bardzo blisko niej. Na tyle blisko, że czuł jej oddech, słyszał serce, bijące jak u osaczonego królika. – Muszę wiedzieć, co widziałaś.

Kąciki ust Orsay powędrowały w dół, jak w schematycznie rysowanym komiksie, ukazującym strach, smutek i coś jeszcze.

– No dalej – ciągnął przymilnie Caine. – Jakiekolwiek były te sny, ja miałem gorsze. Straszne rzeczy, o których nie chciałabyś nawet wiedzieć.

– Nie były straszne – odparła cicho. – Były... zniewalające. Chciałam więcej.

Caine odsunął się od niej.

– Więc czego się tak boisz?

– W jego snach... W jego snach świat... Wszystko jest takie... – Wykonała dłońmi ruch, jakby chciała nakreślić kształt czegoś, co wymyka się wszelkim definicjom.

– W snach Sama? – spytał, na poły sceptyczny, na poły zagniewany.

Orsay posłała mu ostre spojrzenie.

– Nie. Nie, nie Sama. Sny Sama są łatwe. Nie ma w nich magii.

– No to mi o nich opowiedz. Po to cię wysłałem.

Wzruszyła ramionami.

– On jest... Nie wiem. Jakby zmartwiony. Zaniepokojony – zbyła go. – Myśli, że mu nie wychodzi, i najchętniej by uciekł. No i, oczywiście, dużo myśli o jedzeniu.

– Biedne dziecko – odezwała się Diana. – Cała ta władza. Cała ta odpowiedzialność. Buuu.

Caine parsknął śmiechem.

– Zdaje się, że szefowanie nie wygląda tak, jak Sam się spodziewał.

– Myślę, że dokładnie tak, jak się spodziewał – sprzeciwiła się Diana. – Wydaje mi się, że nigdy tego nie chciał. Chyba wolałby, żeby wszyscy zostawili go w spokoju. – Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo znacząco.

– Nie zostawiam w spokoju ludzi, którzy ze mną zadzierają – oznajmił Caine. – To ważna informacja, Diano.

Wstał.

– Aha. Sam się boi. Ale nie mnie. Dobrze. Martwi się o swoją głupią posadę burmistrza tego ich Frajerowa. Dobrze. – Postukał Orsay w czubek głowy. – Hej. A czy w snach Sama było coś o elektrowni?

Pokręciła głową. Znowu odpłynęła, pogrążyła się w transie, niby zombie, i przeżywała jakieś dziwne halucynacje, własne, a może cudze. Caine klasnął w dłonie.

– Dobrze. Nie ma obsesji na punkcie elektrowni. Wróg – ciągnął z emfazą – patrzy do wewnątrz, a nie na zewnątrz. Tak naprawdę, możemy uderzyć, kiedy chcemy. Jest jedno „ale".

Ostro popatrzył na Dianę.

– Dorwę go – powiedział. – Ale nie mogę tego zrobić bez Jacka, Diano.

– Chcesz Jacka? Sprowadzę go – zaoferował Drake.

– Myślisz o dawnym Jacku – odparł Caine. – Musisz pamiętać, że teraz ma moc.

– Jego moc nic mnie nie obchodzi – warknął tamten.

– Diana sprowadzi mi Jacka – uciął Caine. – A potem zgasimy światło i nakarmimy... – Urwał bardzo gwałtownie. Zmieszany, zamrugał

powiekami.

– Nakarmimy? – powtórzył zdziwiony Drake.

Caine niemal go nie słyszał. Jego umysł zdawał się potykać, przeskakiwać niczym porysowana płyta DVD, gdy obraz rozmazuje się na chwilę, zanim film znowu ruszy. Znajomy teren Coates Academy przepływał mu przed oczami.

Nakarmimy?

Co miał na myśli?

Kogo?

– Wszyscy możecie iść – powiedział rozkojarzony.

Nikt się nie ruszył, więc wyraził się jaśniej:

– Idźcie stąd. Idźcie i zostawcie mnie w spokoju!

Po chwili dodał:

– Ona zostaje.

Gdy Diana i Drake wyszli, Caine znowu ukląkł przy Orsay.

– Widziałaś go, prawda? Wyczułaś go tam. Dotknął twojego umysłu. Widzę.

Nie zaprzeczyła. Nieporuszona, wytrzymała jego spojrzenie.

– Był w snach chłopczyka.

– Chłopczyka? – Zmarszczył brwi. – Mały Pete? O nim mówisz?

– Potrzebował tego chłopczyka. Ten mroczny stwór, gaiaphage, on... – Szukała słowa, a gdy znalazła, sama była zaskoczona. – On się uczył.

– Uczył? – Caine mocno złapał ją za ramię, jakby próbował wycisnąć z niej bardziej szczegółowe informacje. Wzdrygnęła się. – Czego się uczył?

– Tworzenia – odparła.

Wbił w nią spojrzenie. Powinien spytać. Powinien spytać, co miała na myśli. Co mogła stworzyć Ciemność? Czego nauczyć się z umysłu autystycznego pięciolatka?

– Idź do środka – szepnął. Puścił jej ramię. – Idź!

Zostawszy sam, zaczął przeszukiwać swój umysł, swoją pamięć. Wpatrywał się w drzewa na skraju terenu szkoły, jakby tam, wśród cieni wczesnego poranka, mogła się kryć odpowiedź.

„A potem zgasimy światło i nakarmimy... "

Nie przejęzyczył się. To nie było jakieś... nic. Bez wątpienia wyczuwał konkretną ideę, coś namacalnego. Coś, co należało zrobić.

Głodny w ciemności.

Miał wrażenie, że ktoś obwiązał mu mózg sznurem. Ktoś, kogo nie widział, stojący w oddali, po ciemku, niewidoczny. Sznur znikał wśród mroku i tajemnicy, ale ten koniec był przywiązany do niego.

Drugi koniec trzymała Ciemność. Pociągała, kiedy jej się podobało. Jakby Caine był rybą na haczyku.

Wpełzł na stopień. Granit chłodził. Czuł się obnażony i śmieszny, gdy siedział tam, niemal zgięty w pół, z perlącymi się na czole kroplami potu.

Stwór wciąż trzymał go na haczyku. Bawił się Caine'em, poluzowywał sznur, dawał złudzenie wolności, a potem znowu mocno szarpał, upewniając się, że haczyk ciągle mocno siedzi, i wyciągając go na brzeg.

Tak, bawił się nim.

W pamięci Caine'a błysnął niemal zapomniany obraz. Zobaczył swojego ojca, siedzącego na tarasie. Morska mgiełka przyciemniała

jego jasnobrązową kurtkę. Trzymał długie, giętkie wędzisko, kołysząc nim w przód i w tył.

Caine był na rybach tylko jeden jedyny raz, ze swoim „ojcem". Nie było to doświadczenie rodem z przygód Tomka Sawyera i Hucka Finna. Ojciec Caine'a – mężczyzna, którego nazywał ojcem – nie zaliczał się do miłośników kameralnych, intymnych chwil, robaków w wiaderku i bambusowych wędek.

Pojechali na wycieczkę do Meksyku. „Matka" Caine'a została na zakupach w Cancun, Caine zaś dostąpił wielkiego przywileju towarzyszenia ojcu w wyjeździe w interesach, zakamuflowanym pod pozorem zakamuflowanego wypadu na ryby.

Caine z ojcem. Dzieciak o imieniu Paolo z ojcem. Dziewczyna... nie pamiętał jej imienia. Trzej ojcowie załatwiali interesy i z pokładu dwudziestometrowej łodzi motorowej łowili mieczniki.

Ta dziewczyna, jak ona się nazywała?

O mój Boże, Diana. Nie ta sama Diana, ma się rozumieć, zupełnie inna, niezbyt atrakcyjna, ruda, z wyłupiastymi oczami.

Diana zaprowadziła ich, Caine'a i Paola, do wąskiej przestrzeni z przodu, gdzie trzymano kotwicę, liny i podobne rzeczy. Tam wyciągnęła małego, ciasno zwiniętego skręta z marihuany.

Paolo, Włoch o parę lat starszy od Caine'a, tylko wzruszył ramionami i powiedział „spoko". Caine czuł się uwięziony. Uwięziony na łodzi. W towarzystwie dwojga dzieci. Uwięziony i przymuszony do palenia. Uwięziony.

Nie było to jego ulubione uczucie.

Tkwił w ciemnej, wilgotnej, ciasnej przestrzeni, zaciągał się skrętem i

marzył, by znaleźć się gdziekolwiek indziej.

Paolo próbował poderwać dziewczynę, tę wcześniejszą Dianę. Zniechęciła go i w końcu poszedł szukać jedzenia. Dziewczyna usiadła obok Caine'a i dała do zrozumienia, że chciałaby jak najpełniej wykorzystać chwilę prywatności i działanie narkotyku.

Odmówił, a ona na to:

– O, myślisz, że jesteś za fajny, tak? Myślisz, że to dla mnie za wysokie progi, prawda?

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

– Tak? Wiesz co? Twój tata potrzebuje mojego. A jeśli pójdę na pokład i powiem swojemu tacie, że zmusiłeś mnie do palenia trawy? Zrobię to i wiesz, co będzie? Twój tata straci kontrakt i będzie miał pretensje do ciebie.

W jej oczach błyszczał triumf. Miała go. Wczepiła w niego swój haczyk, zupełnie jak roześmiani mężczyźni na pokładzie w swoje głupie ryby.

Była pewna swego, ta cała Diana.

On jednak się roześmiał.

– Śmiało.

– Zrobię to – powiedziała.

– Dobra. Idź.

Tego dnia uświadomił sobie podstawową prawdę: inni nie mogą cię usidlić, usidlić może cię tylko własny strach. Sprzeciwisz się, to wygrasz.

Tego dnia, na łodzi, bał się mniej niż dziewczyna. Intuicyjnie wiedział, że trzyma w ręku lepsze karty.

Sprzeciwisz się, to wygrasz.

Obecny problem polegał na tym, że Caine szczerze, mocno bał się stwora z kopalni. Strach przenikał go do szpiku kości. Docierał do najdrobniejszych, najodleglejszych, najtajniejszych zakątków świadomości.

Nie mógł blefować. Ciemność wiedziała, że się boi.

Sznur ciasno oplatał jego umysł i ciało. Drugi koniec tego sznura trzymała mroczna istota na dnie kopalnianej sztolni. Caine wyobraził sobie, że przecina linę, że bierze siekierę, wznosi ją wysoko nad głowę i opuszcza z całej siły...

Bezlitosny i zdecydowany. Tak jak wobec Diany.

Wobec jednej i drugiej Diany.

– Muszę – szepnął do siebie.

– Muszę to przeciąć – powiedział.

– Może przetnę – mruknął.

Wątpił jednak, czy da radę.

– Jest głodny – oznajmił mały Pete.

– To znaczy ty jesteś głodny – poprawiła odruchowo Astrid. Jakby największy problem małego Pete'a stanowiły błędy gramatyczne.

Przebywała w gabinecie Sama w ratuszu. Ludzie wchodzili i wychodzili. Dzieciaki z prośbami i skargami. Niektórymi Astrid zajmowała się osobiście, inne zapisywała dla Sama.

Co do jednego Sam miał rację: tak dalej być nie mogło. Dzieciaki przychodziły poprosić o rozsądzenie sporu między rodzeństwem, spytać, czy mogą obejrzeć film dozwolony od 12 lat albo czy wolno im

już nie nosić aparatu na zęby. To był absurd.

– Jest głodny – powtórzył chłopczyk. Siedział zgarbiony nad swoim Gamę Boyem, skupiony na grze.

– Chcesz coś do jedzenia? – spytała Astrid z roztargnieniem. – Może znajdę cokolwiek.

– Nie umie mówić.

– Oczywiście, że umiesz mówić, Petey, jeśli się postarasz.

– Nie pozwolę mu. Jego słowa są złe.

Astrid spojrzała na chłopca. Na jego twarzy malował się nikły uśmiech.

– I jest głodny – dodał malec, teraz już szeptem. – Głodny w ciemności.

– Dlatego, że Sam tak powiedział – powtórzył Edilio chyba już milionowy raz. – Dlatego, że jeśli nie zaczniemy zbierać żywności, wszyscy będziemy bardzo, bardzo głodni. Dlatego.

– Mogę to zrobić kiedy indziej? – spytał dzieciak.

– Mały, wszyscy chcą zająć się tym właśnie wtedy: kiedy indziej. Ale melony trzeba zebrać. Więc wsiadaj do autobusu i już. Weź czapkę, jeśli masz. Jedziemy.

Edilio stał i trzymał wejściowe drzwi domu czekając, aż tamten znajdzie swoją czapkę z postaciami z „Przygód Timmy'ego". Jego humor, i tak dość ponury, wcale się nie poprawiał z biegiem poranka. Miał w autobusie dwadzieścia osiem osób. Każdy narzekał, każdy chciał do łazienki, każdemu chciało się jeść albo pić; kłócili się, płakali, krzyczeli.

Dochodziła jedenasta. Zanim dowiezie dzieciaki na pole, zrobi się południe i zaczną prosić o drugie śniadanie. Postanowił powiedzieć im, żeby sami zebrali sobie drugie śniadanie. Proszę bardzo, macie je przed nosem. Tak, mówię o melonach. Nie obchodzi mnie, że nie lubisz melonów, to twój posiłek.

Trzydzieścioro dzieciaków, wliczając jego. Jeśli będą ciężko pracować przez cztery godziny, każdy może zebrać siedemdziesiąt, osiemdziesiąt melonów. Wydawało się, że to całkiem dużo, dopóki nie podzieliło się tej liczby przez ponad trzysta głodnych osób przy świadomości, że człowiek musiał zjeść sporo melona, zanim się nasycił.

Edilio martwił się, że tak wiele melonów gnije już na polu. Że dobierają się do nich ptaki. I że nikt nie myślał perspektywicznie i nie zastanawiał się, co sadzić przed następnym sezonem.

Gnijąca żywność. Zero sadzenia. Zero nawadniania.

Nawet jeśli zbiorą wszystkie dostępne plony, powszechny głód był tylko kwestią czasu. A wtedy... powodzenia w utrzymaniu sytuacji w ryzach.

Okazało się, że przesadził z optymizmem. Była prawie pierwsza po południu, zanim dotarli na pole po piekielnie nieprzyjemnej jeździe autobusem, podczas której między dwoma szóstoklasistami wybuchła regularna bójka na pięści.

No i oczywiście, pierwsze słowa, jakie dobyły się z ust dzieciaków, brzmiały:

– Jestem głodny.

– Proszę, tam macie jedzenie. – Edilio gestem wskazał pole, czując ogromną, osobistą satysfakcję, że może utrzeć im nosa.

– Te okrągłe?

– Nazywają się melony – oznajmił. – I są naprawdę smaczne.

– A zębaki? – spytała jakaś dziewczynka.

Edilio westchnął.

– Żyją na polu kapusty, nie tutaj. To z półtora kilometra stąd.

Nikt się jednak nie ruszył. Wszyscy posłusznie stanęli w szeregu, ale trzymali się blisko autobusu, jak najdalej skraju pola.

Znowu westchnął.

– Dobra. Meksykaniec pokaże wam, jak to się robi.

Wolnym krokiem wymaszerował na pole, pochylił się, przekręcił jeden z melonów i uniósł go nad głowę, by zachęcić dzieciaki do pracy, pokazując, jakie to proste.

Uratowało go szczęście. Fakt, że upuścił melon.

Spojrzał na owoc i zobaczył, że ziemia się rusza.

Skoczył dziko, omal się nie potknął, ale odzyskał równowagę i zaczął uciekać.

Biegł szybciej niż kiedykolwiek przedtem, depcząc wijące się dżdżownice, szybciej, szybciej, szybciej, aż w końcu padł jak długi, twarzą do ziemi.

Poza obrębem pola.

Gwałtownie podciągnął nogi i gorączkowo popatrzył na swoje buty. Po bokach oraz na piętach widniały ślady ugryzień. Ale żadnego otworu. Dżdżownice nie przedarły się do środka.

Popatrzył na wstrząśnięte twarze dzieci. Jeszcze chwilę temu chciał im polecić wejście na pole. Większość nosiła trampki. Żadne wcześniej nie widziało zębaków.

Moment wahania dzielił go od wysłania dwudziestu dziewięciu dzieciaków na pewną śmierć.

– Wsiadajcie do autobusu – powiedział drżącym głosem. – Do autobusu.

– A drugie śniadanie? – spytał ktoś.

Rozdział 15

30 GODZIN, 41 MINUT

Sam wziął listę od Astrid. Przejrzał kilka pierwszych spraw i od razu nabrał ochoty, by zmiąć kartkę.

– To, co zwykle? – spytał.

Skinęła głową.

– To, co zwykle. Myślę, że szczególnie spodobają ci się...

Komputerowy Jack wbiegł do środka, jakby mu się spieszyło. Ludzie nie powinni, ot tak sobie, tu wpadać, ale Jack cieszył się pewnymi przywilejami.

– O co chodzi? – spytał Sam, siadając w zbyt dużym skórzanym fotelu, stojącym za biurkiem, które wcześniej należało do burmistrza i, przez krótki czas, do Caine'a.

Jack był podekscytowany.

– Powinieneś pozwolić mi na włączenie telefonów.

Sam zamrugał.

– Co? Myślałem, że masz coś pilnego, kiedy wpadłeś tak bez zapowiedzi.

– Wszyscy mnie pytają, kiedy naprawię telefony – jęknął Jack. – Wszyscy pytają, a ja muszę wymyślać głupie kłamstwa. Sądzą, że mi się nie udało.

– Jack, już to omawialiśmy. Jestem bardzo wdzięczny za pracę, którą wykonałeś, nikt inny nie dałby temu rady. Ale stary, mamy inne sprawy na głowie!

Jack poczerwieniał.

– Prosiłeś, żebym uruchomił telefony. Wszystkim opowiadałem, że to zrobię. A teraz mi nie pozwalasz. To nie fair. – Zdawało się, że z gorącego oburzenia zaparują mu okulary.

– Słuchaj, Jack. Naprawdę chcesz, żeby Caine i Drake mogli tu dzwonić, do kogo chcą? Żeby Caine porozumiewał się swobodnie z dzieciakami? Groził im? Próbował je przekabacić? Żeby proponował im jedzenie w zamian za karabiny? Popatrz, jak wszystkich nabrał za pierwszym razem.

– Po prostu chcesz rządzić i mieć wszystko pod kontrolą – zarzucił mu Jack.

Oskarżenie zabolało. Sam chciał krzyknąć, ale stłumił gniew. Przez chwilę zmagał się sam ze sobą, niezdolny do odpowiedzi.

„Jasne, że chcę kontrolować różne sprawy", miał ochotę powiedzieć. Oczywiście, nie chciał, by Caine kładł dzieciakom do głów swoje kłamstwa. Były wystarczająco zdesperowane, by posłuchać każdego, kto proponował łatwiejsze życie, nawet Caine'a. Czy Jack nie rozumiał, jak niewiele dzieliło ich od katastrofy? Czy nie widział, jak słabo Sam panował ostatnio nad sytuacją?

Może nie.

– Jack, dzieciaki się boją. Są zrozpaczone – wyjaśnił. – Może tego nie widzisz, bo jesteś zbyt zajęty. Ale tyle nas dzieli – uniósł kciuk i palec wskazujący, oddalone od siebie o jakieś dwa centymetry – od kataklizmu. Chcesz, żeby Caine o tym wiedział? Chcesz, żeby dzieciaki rozmawiały z nim albo z Drakiem o trzeciej nad ranem i opowiadały o swoich zmartwieniach i wszystkich naszych sprawach?

Naprawdę chcesz, żeby Caine wiedział, jak jest źle?

Astrid wtrąciła się, by przerwać narastającą w Samie złość:

– Jack, co się stało, że tak się zdenerwowałeś?

– Nic – odparł chłopak. A po chwili dodał: – Zil. Napada na mnie przy wszystkich, mówi, że jestem mutantem i w ogóle, więc mój mózg nie działa.

– Co takiego? – spytał Sam.

– Mówi, że jak ktoś dostaje moc, to spada mu iloraz inteligencji, robi się głupi. Powiedział: „Przykład numer jeden: biedny Jack, dawniej znany jako Komputerowy Jack, który umie posprzątać dom, ale nie potrafi włączyć telefonów. "

– Wiesz, Jack, przykro mi, że ten typ zranił twoje uczucia, ale uwierz, mam tu ważniejsze sprawy do załatwienia – powiedział Sam, coraz bardziej rozdrażniony. – Jesteś technicznym geniuszem. Wiesz o tym ty, ja o tym wiem, Astrid też. Kogo obchodzi, co myśli jakiś tam Zil?

– Słuchaj, może po prostu popracujesz nad tym Internetem? Wspominałeś, że uruchomienie go jest możliwe – zaproponowała Astrid.

Jack posłał jej jadowite spojrzenie.

– Po co, żebyście mogli nie używać też sieci? Żebym wyszedł na jeszcze większego głupka?

Sam czuł, że lada chwila zacznie wrzeszczeć na Jacka, każe mu się zamknąć, wynosić się, nie zawracać głowy, ale wiedział, że to nie najlepszy pomysł. Zaczerpnął więc powietrza, zebrał w sobie całą cierpliwość i przemówił spokojnie:

– Jack, nie mogę składać obietnic. Koordynuję masę rzeczy.

Podstawowa sprawa, zanim zaczniemy się zajmować technicznymi bajerami, to...

– Technicznymi bajerami? – przerwał mu Jack. W jego głosie pobrzmiewało oburzenie.

– Nie chciałem nikogo obrażać. Mówię tylko... – Ale cokolwiek chciał powiedzieć, poszło to w zapomnienie, gdy w drzwiach pojawił się Edilio. Nie wbiegł do środka, jak wcześniej Jack. Po prostu stał w progu, blady i poważny.

– Co? – spytał Sam.

– Zębaki. Teraz są na polu melonów.

– Rozprzestrzeniają się – stwierdziła rzeczowo Astrid.

– Mogłem wysłać wszystkie te dzieciaki na śmierć – powiedział Edilio. Wyglądał, jakby zobaczył ducha. Trząsł się.

– Dobra. Dosyć – uciął Sam, wstając i energicznie odpychając fotel.

Wreszcie.

Wreszcie mógł coś robić.

Powinien się martwić. I tak było. Ale uczuciem, które go przepełniało, gdy zdecydowanym krokiem wychodził z pokoju, była ulga.

– Lista musi poczekać, Astrid. Idę zabijać zębaki.

Dwie godziny później Sam stał na skraju pola melonów. Dekka była przy nim. Edilio przywiózł ich tu jeepem z otwartym nadwoziem, ale nie postawił nogi na ziemi.

– Jak chcesz to rozegrać? – odezwała się Dekka.

– Ty je uniesiesz, a ja spalę – odparł.

– Mogę ogarnąć tylko mały obszar. Koło o średnicy jakichś pięciu

metrów – powiedziała.

Rozeszła się wieść, że Sam idzie rozprawić się z zębakami. Ciekawskie dzieciaki zapakowały się więc do samochodów i furgonetek i teraz kilkudziesięcioro patrzyło na niego z bezpiecznej odległości. Niektórzy wyglądali jak turyści albo kibice sportowi z aparatami fotograficznymi.

Przybyli także Howard i Orc. Sam poczuł ulgę. Wysłał do Howarda informację, że może potrzebować pomocy Orka.

– Co tam, Sammie? – spytał Howard.

– Następne zębaki. Musimy się zająć zwalczaniem szkodników.

Howard skinął głową.

– Dobra. A czego chcesz od mojego kumpla? – Kciukiem wskazał Orka, który stał oparty o maskę samochodu, swoim ciężarem niemal rozpłaszczając opony i wyginając blachę.

– Nie możemy zabić wszystkich robali – powiedział Sam. – Ale Astrid sądzi, że mogą być mądrzejsze niż przeciętne zmutowane, mordercze dżdżownice. Dlatego chcemy im przekazać wyraźny sygnał: nie zadzierajcie z nami.

– Nadal nie rozumiem, po co ci Orc.

– Będzie naszym kanarkiem – odrzekł Sam.

– Naszym czym?

– Dawniej górnicy znosili ze sobą do kopalni kanarka – powiedział Sam. – Jeśli był tam trujący gaz, kanarek umierał pierwszy. Jeśli nic mu nie było, wiedzieli, że w kopalni jest bezpiecznie.

Howard przez chwilę analizował to, co usłyszał. Potem wybuchnął sardonicznym śmiechem.

– Myślałem, że jesteś miękki, Sam. Teraz jesteś taki twardy i bezwzględny, że chcesz wysłać Orka na pożarcie.

– Ostatnio zębakom dobranie się do jego twarzy zajęło sporo czasu – powiedział Sam. – Jeśli zobaczymy jakąś aktywność dżdżownic, Orc od razu zejdzie z pola.

– Twardy i bezwzględny – powtórzył Howard z uśmieszkiem. – Pogadam ze swoim kumplem. Ale on nie pracuje za darmo. Wiesz o tym. Cztery skrzynki piwa.

– Dwie.

– Trzy.

– Dwie, a jeśli będziesz dalej się kłócił, pokażę ci, jaki umiem być twardy i bezwzględny.

Po dobiciu targu, Sam zerknął na Dekkę.

– Gotowa?

– Tak – odparła.

– Zróbmy to.

Dekka uniosła ręce wysoko nad głowę. Wycelowała dłońmi w skraj pola melonów.

Nagle, bardzo szybko, melony, kłącza i tumany ziemi wzbiły się w powietrze niczym ciemny słup. Dżdżownice wiły się gwałtownie w tej dziwnej chmurze.

Sam podniósł dłonie na wysokość barków. Rozcapierzył palce.

– To będzie miłe uczucie – mruknął.

Z rąk chłopaka wystrzeliły dwie zielonobiałe strugi oślepiającego ognia.

Melony eksplodowały niczym rozmoczony popcorn. Kłącza

zaskwierczały. Grudki ziemi zaczęły dymić i topnieć w powietrzu. Dżdżownice zdychały. Zdychały, poparzone wrzącymi strumieniami własnej krwi. Inne ginęły, rozpadając się niczym serpentyny z popiołu, niczym papierowe węże.

Sam ogarniał swoim miotaczem ognia cały słup, od góry do dołu, celując tam, gdzie zobaczył jakiś ruch. W miejscach, gdzie zatrzymał się na dłużej, ziemia rozgrzewała się do czerwoności i zmieniała się w latające krople magmy.

– Dobra, Dekka, odpuść! – krzyknął.

Dziewczyna zwolniła swój zdalny uścisk. Siła ciążenia znowu zadziałała. Stopiony, dymiący słup opadł z trzaskiem na ziemię, wzbijając snop iskier. Dzieciaki, które stały zbyt blisko, krzyknęły, trafione drobinami, przypominającymi kropelki lawy.

Sam i Dekka cofnęli się pospiesznie, ale zbyt późno. Jedna z drobinek dopadła Sama, przepalając mu dżinsy i wypalając mu na udzie ślad w kształcie łzy.

– Wody! – zawołał. Chwycił podaną butelkę i polał obolałe miejsce. – Kurczę, ale boli. Auć!

– Widziałem trochę bardzo chrupkich dżdżownic – skomentował Howard.

– Zróbmy to jeszcze raz, Dekko. Jeśli czujesz się na siłach.

– Lubię melony – odparła. – Nie oddam ich zębakom.

Przenieśli się trochę w lewo i powtórzyli wszystkie czynności. Potem stanęli w jeszcze innym miejscu i zrobili to trzeci raz.

– Dobra, wiadomość wysłana – stwierdził Sam, gdy skończyli. – Sprawdźmy, czy dotarła. Howard?

Howard gestem przyzwał Orka. Chłopak-potwór poczłapał ostrożnie w kierunku pola.

– Najpierw idź w tę część, którą spaliliśmy – poinstruował Sam.

Orc usłuchał. Jeśli nawet rozgrzana ziemia parzyła go w kamienne stopy, w ogóle tego nie okazywał.

– OK – powiedział Sam. – Teraz dalej. Poza spalony obszar. Spróbuj zerwać melon.

– Ktoś musi dać mi piwa – mruknął Orc.

– Nie mam go przy sobie – odparł Sam.

– No jasne – powiedział tamten. Wszedł na świeżą, niespaloną ziemię. Pochylił się, by podnieść melon, a gdy się wyprostował, na jego kamiennej dłoni wiły się dwie dżdżownice.

Orc strząsnął je i wrócił w bezpieczniejsze miejsce. Sam czuł się przybity. Zawiódł. Nawet w tej kwestii. A przy okazji obiecał piwo, by zrobić z młodego alkoholika żywą przynętę.

– To chyba nie jest mój najlepszy dzień – jęknął.

Rozczarowane dzieciaki posłały w kierunku Sama z ukosa pełne niepokoju spojrzenia. Chłopak nie zwrócił na nie uwagi, wskoczył do jeepa i usiadł obok Edilia.

– Chcesz moją posadę? – spytał.

– Nie ma mowy, stary. Nie ma mowy.

Do muru ETAP-u nic się nie przyczepiało. Lana odkryła to właściwie przypadkowo. Włożyła rękawiczki i spróbowała taśmą przykleić cel do bariery. Taśma się nie trzymała. Klej kauczukowy też nie.
Nikt nie będzie wieszał na barierze plakatów ulubionych zespołów.

Spróbowała farby w spreju. Niegłupi pomysł. Zabawnie było wyobrażać sobie barierę pokrytą graffiti. Ale farba zasyczała lekko, jakby rozpylono ją na rozgrzaną patelnię. Potem wyparowała i zniknęła, nie zostawiając żadnego śladu.

Lane to irytowało. Potrzebowała celu. Podobała jej się idea strzelania w mur.

W końcu przytargała leżak z okolicy basenu na kort tenisowy, gdzie dostęp do muru był najłatwiejszy. Oparła mebel o barierę – przynajmniej dało się coś o nią oprzeć – i przylepiła do niego cel.

Nie była to tarcza strzelnicza, lecz zdjęcie przedstawiające kojota.

Wyjęła z plecaka pistolet. Dość ciężki. Nie miała pojęcia, jaki to kaliber. Znalazła go w jednym z domów, w których wcześniej mieszkała. Razem z dwoma pudełkami amunicji.

Nauczyła się ładować broń. Całkiem sprawnie jej to szło. Magazynek mieścił dwanaście naboi. Miała też jeden magazynek dodatkowy. Łatwo było wysunąć stary i wcisnąć nowy. Przy pierwszej próbie mocno uszczypnęła się w palec; w końcu była Uzdrowicielką, miało to pewne zalety.

Ale musiała umieć znacznie więcej, niż tylko trzymać i ładować broń.

Uniosła pistolet. Ważył zbyt dużo, by mogła trzymać go prosto jedną ręką. Chwyciła więc broń obiema. Lepiej.

Wymierzyła w zdjęcie kojota.

Nacisnęła spust.

Pistolet podskoczył.

Huk rozbrzmiał znacznie głośniej niż w telewizji czy w filmach. Zdawało się, że w jednej sekundzie wybuchnął cały świat.

Podeszła do bariery, nieco roztrzęsiona, by sprawdzić cel. Nic. Spudłowała. Mur za celem był oczywiście nienaruszony.

Lana wycelowała staranniej. Widziała, jak Edilio szkoli swoich ludzi. Znała zasady. Wycentrowała muszkę w szczerbince, upewniła się, że ich górne krawędzie znajdują się na jednej wysokości. Potem opuściła lufę, aż celownik znalazł się tuż pod głową kojota.

Wystrzeliła.

Tym razem, gdy podeszła bliżej, ujrzała dziurę we łbie kojota. Nie dokładnie w miejscu, w które celowała, ale też niezbyt daleko od niego. Widok otworu w papierze sprawił jej wielką przyjemność.

– Zdaje się, że masz kuku, Przywódco Stada.

Wystrzeliła w cel dwa magazynki. Tylko połowa pocisków trafiła, ale zawsze to lepsze niż nic.

Kiedy skończyła, prawie nic nie słyszała, tak dzwoniło jej w uszach. Dłonie miała obolałe i poobcierane. W pewnym sensie podobało jej się to uczucie i jego przyczyna.

Ostrożnie załadowała magazynki, wsunęła jeden do pistoletu i schowała broń z powrotem do plecaka.

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

Przewiesiła plecak przez ramię. Słońce opadało, rzucając blade, pomarańczowe cienie na szare tło muru ETAP-u.

Jutro. Niedługo tam dotrze.

Rozdział 16

22 GODZINY, 41 MINUT

Diana nie chciała zmieniać fryzury. Lubiła długie włosy. Ale poważnie potraktowała groźbę Caine'a. Musiała sprowadzić Jacka.
Stanęła przed lustrem i uniosła elektryczną maszynkę do strzyżenia, którą znalazła w szafce nocnej byłego dyrektora szkoły. Nie zamierzała bawić się w subtelności ani cyzelować fryzury przy pomocy nożyczek.
Maszynka wydawała dziwnie przyjemne bzyczenie. Dźwięk zmieniał się za każdym razem, gdy wpychała ruchome ostrza pod kolejny pukiel.
Po niecałych piętnastu minutach jej ciemne włosy leżały w umywalce i walały się na podłodze. Głowę Diany pokrywała teraz centymetrowa szczecina, która nadawała jej właścicielce wygląd Natalie Portman z filmu „V jak Vendetta".
Pozbierała włosy, wrzuciła je do kosza na śmieci i opłukała umywalkę. Następnie zaczęła zmywać z oczu ostatnie ślady makijażu. Z wyregulowanymi brwiami niewiele mogła zrobić. Inaczej rzecz miała się z ubraniami. Na łóżku leżała za duża o dwa rozmiary koszulka z „World of Warcraft", szara bluza z kapturem, para workowatych, chłopięcych dżinsów i zdecydowanie męskie trampki. Dziewczyna zachowała jednak własną bieliznę. W końcu istniało coś takiego, jak ryzyko przesadnego wczucia się w rolę.
Ubrała się szybko i cofnęła, by ocenić efekt w sięgającym podłogi

lustrze na wewnętrznej stronie drzwi szafy.

Wciąż wyglądała jak dziewczyna. Z większej odległości mogła sprawiać inne wrażenie, ale z bliska nie było mowy o pomyłce. Przeanalizowała zagadnienie. Nie chodziło o ciało, które zostało skutecznie zakryte. Problem polegał na tym, że miała po prostu dziewczęcą twarz. Nos, oczy, usta, nawet zęby.

– Co ja zrobię z ustami? – szepnęła do lustra. – Mogę co najwyżej przestać się uśmiechać.

Później, jakby spierała się z własnym odbiciem, dodała:

– I tak się nigdy nie uśmiechasz.

Poszperała w łazience, aż znalazła środki opatrunkowe. Chwilę później grzbiet jej nosa zasłaniał już biały plaster. Pomogło. Mogła uchodzić za chłopaka. Przy odrobinie szczęścia.

Wyszła na korytarz. Nikogo tam nie zobaczyła. Kolacja, jakakolwiek była, dobiegła już końca. Dzieciaki były głodne i osłabione, żadne nie miało sił na coś więcej niż leżenie w pokoju.

Diana wiedziała, że nie może wziąć samochodu. Przy wejściu do Coates znów stali strażnicy. Na pewno by ją zatrzymali i wezwali Drake'a.

Możliwe, że Drake by ją puścił. W końcu wypełniała rozkazy Caine'a. Lecz równie dobrze mógł postąpić inaczej. Bo czy trafi mu się lepsza okazja, by zaaranżować „wypadek"?

Wyszła więc z internatu bocznymi drzwiami, tymi najbliżej lasu. Doskonale zdawała sobie sprawę z chrzęstu zbyt dużych chłopięcych butów na żwirze i z ulgą przyjęła cichszy odgłos stąpania po sosnowych igłach i gnijących liściach.

Musiała pokonać kawał drogi, by okrążyć bramę. W lesie panował mrok. Na niebie wciąż jeszcze widniała niebieskawa wieczorna poświata, pod drzewami jednak szybko zapadała noc.

Przedzierała się przez zarośla i wykroty około godziny. Bała się, że nie zdoła trafić z powrotem na drogę – wszystkie drzewa wyglądały tak samo. W końcu jednak, gdy coraz bardziej zmierzchało, wspięła się na śliski nasyp i wkroczyła na asfalt.

Nie miała żadnego genialnego planu, jak przekonać Jacka. Nie mogła tak po prostu walnąć go w głowę i zanieść do Caine'a. Musiała posłużyć się jakimś innym sposobem. Jack zawsze się w niej podkochiwał, choć nigdy tego nie okazał.

Szkoda, że teraz wyglądała jak chłopak.

Szła z górki. W końcu wydostała się na autostradę. Szosę oświetlały gdzieniegdzie nieliczne działające latarnie, a także słaby blask ze sklepowych wystaw, w których jeszcze nie wypaliły się ostatnie żarówki.

Gdy doszła do Perdido Beach, bolały ją nogi, była wyczerpana i bardzo potrzebowała odpoczynku. Szykowała się długa noc, tego jednego była pewna.

Diana ruszyła przez Sherman Avenue i wyszła na Golding Street, szukając jakiegoś opuszczonego domu. Nietrudno było taki znaleźć. Tylko w nielicznych oknach połyskiwało jakieś światło, a jeden z domów wydawał się taki nędzny i podupadły, że raczej nikt w nim nie mieszkał.

Oświetlenie w środku nie działało; po kilkunastu próbach dziewczyna znalazła jedną działającą żarówkę, w lampie w stylu Tiffany'ego w

zagraconym salonie. Stał tam głęboki fotel, udekorowany koronkową kapą. Opadła na niego z wdzięcznością.

– Mieszkała tu jakaś staruszka – powiedziała w rozbrzmiewającą echem pustkę.

Położyła nogi na niskim stoliku – poprzedniej lokatorce na pewno by się to nie spodobało – i zaczęła się zastanawiać, jak długo powinna zaczekać, nim znowu zaryzykuje i wyjdzie na ulicę. Jack mieszkał zaledwie parę przecznic dalej, lecz aby się tam dostać, musiała przejść przez gęściej zamieszkałe centrum miasteczka.

– Oddałabym duszę za telewizję – mruknęła. Jak nazywał się ten serial, który kiedyś oglądała? Coś o lekarzach, z najróżniejszymi wątkami, typowymi dla telenowel. Jak mogła zapomnieć jego tytuł? Oglądała go w każdy... w każdy... Którego dnia tygodnia go nadawano?

Minęły trzy miesiące, a już nie pamiętała telewizji.

– Pewnie profile na MySpace i Facebooku ciągle działają, gdzieś tam w świecie – zastanawiała się na głos. Wiadomości i zaproszenia gromadziły się bez odpowiedzi. Gdzie jesteś, Diano? Mogę zostać twoim znajomym? Czytałaś moje nerwy?

Co się stało z Dianą?

***Diana jest.*_____ Wypełnij puste miejsce.**

Diana jest...

Zadawała sobie te same pytania, co wszyscy w ETAP-ie: gdzie się podziali wszyscy dorośli? Co się stało ze światem? Czy ludzie „na zewnątrz" byli martwi i życie przetrwało jedynie tutaj, w tej dziwnej bańce? Czy też mieszkańcy zewnętrznego świata wiedzieli, co się

zdarzyło? Czy ETAP przypominał jakieś ogromne, nieprzenikalne jajo, rzucone na wybrzeże południowej Kalifornii? Czy stanowił atrakcję turystyczną? Czy podjeżdżały do niego autokary pełne ciekawskich, chcących zrobić sobie zdjęcie przed tajemniczą kopułą?

***Diana jest...* zaginiona.**

Wstała, by przeszukać kuchnię. Półki były ogołocone z wszelkich zapasów. Zabrano z nich absolutnie wszystko. Sam na pewno tego dopilnował, gromadząc zapasy.

Lodówka także świeciła pustkami.

***Diana jest...* głodna.**

W kuchennej szufladzie z rupieciami znalazła za to sprawną latarkę. Przy jej użyciu przeczesała sypialnię. Ubrania staruszki. Kapcie staruszki. Druty, wetknięte w kłębek wełny.

Czy Diana wciąż tu będzie, uwięziona w ETAP-ie, gdy się zestarzeje?

– Już jesteś stara – powiedziała sobie. – Teraz wszyscy jesteśmy starzy.

Nie była to jednak do końca prawda. Sytuacja zmusiła ich, by zachowywali się jak dorośli. Ale przecież wciąż byli dziećmi. Nawet Diana.

Przy łóżku staruszki leżała książka. Dziewczyna była pewna, że to Biblia, gdy jednak oświetliła ją latarką, ujrzała odblask wypukłych, błyszczących liter. Romans. Na okładce widniała na wpół rozebrana kobieta i dość odpychający mężczyzna, ubrany w strój pirata.

Staruszka czytała romanse. W dniu, w którym zniknęła z ETAP-u, zastanawiała się pewnie: ciekawe, czy energiczna Caitlin odnajdzie prawdziwą miłość w tym przystojnym piracie?

Właśnie tak powinnam trafić do Jacka, pomyślała Diana. Zagrać piękną damę w tarapatach. Ratuj mnie, Jack.

Czy Komputerowy Jack odpowie na jej wołanie? Czy kupi tę grę? Czy zostanie jej romantycznym piratem?

– Mów mi Caitlin – powiedziała i uśmiechnęła się z drwiną.

Odrzuciła książkę na bok. Ale poczuła, że to w jakimś sensie nie w porządku. Podniosła ją zatem i delikatnie położyła tam, gdzie zostawiła ją staruszka.

Wyszła w noc, szukając chłopaka, który był bardzo silny – a zarazem, jak liczyła, bardzo słaby.

Astrid podłączyła kabel do komputera, a drugi koniec do aparatu fotograficznego, który przyniósł jej Edilio. Powiedział, że wiele dzieci robiło zdjęcia. Najlepszym fotografem okazał się jedenastolatek o imieniu Matteo. Aparat należał właśnie do niego.

Otworzyła program iPhoto i kliknęła na okienko „importuj". Zdjęcia zaczęły się otwierać, przemykając przez ekran podczas ładowania. Kilka pierwszych przedstawiało stojące w kręgu dzieci. Ujęcia pola. Łakome zbliżenia kilku melonów. Orc oparty o maskę samochodu. Dekka, zamknięta w sobie, nieodgadniona. Howard, Edilio, inne osoby.

Potem chwila, w której ziemia poderwała się do góry.

Chwila, w której Sam wystrzelił.

Gdy fotografie już się załadowały, Astrid zaczęła znów je przeglądać, poczynając od momentu, w którym Dekka przerwała działanie siły ciążenia. Chłopiec używał dobrego aparatu i uzyskał parę sensownych

ujęć. Zrobiła zbliżenie i dość wyraźnie zobaczyła pojedyncze dżdżownice, zawieszone w powietrzu. Wśród drobin ziemi.
Potem na ekranie pojawiło się efektowne zdjęcie, które uchwyciło moment pierwszego wystrzału mocy Sama.
Jeszcze kilka, zrobionych w odstępie paru sekund, niektóre rozedrgane, inne doskonale ostre. Matteo umiał posługiwać się aparatem.
Astrid klikała dalej, lecz w pewnym momencie zamarła. Cofnęła się. Potem powiększyła obraz.
Jeden z robali był zwrócony w stronę aparatu, wykręcony tak, że zębatym pyskiem celował prosto w obiektyw. Nic dziwnego – tyle że gdy przesunęła zdjęcie, drugi robił to samo. Ten sam kierunek, ten sam wygląd.
I kolejny.
Znalazła dziewiętnaście zdjęć pojedynczych zębaków. Wszystkie zwracały się do aparatu. Wskazywały kierunek ataku.
Kierowały swoje diabelskie uśmiechy ku Samowi.
Drżącą ręką przesunęła kursor myszki na wcześniejszy album. Otworzyła zdjęcia, które zrobiła martwej dżdżownicy, którą przyniósł jej Sam. Powiększyła głowę tego paskudztwa.
Sam wszedł do pomieszczenia. Stanął za nią i położył jej dłonie na ramionach.
– Jak się masz, mała? – Ostatnio zaczął ją tak nazywać. Jeszcze nie zdecydowała, czy jej się to podoba, czy nie.
– Ciężki wieczór – powiedziała. – Mam za sobą dwugodzinny kryzys Pete'a. Zauważył Nestora.

– Nestora?

– Pamiętasz jego matrioszkę? Te małe czerwone zabawki w jego pokoju, lalki, które wchodzą jedna w drugą? Przedwczoraj na to nadepnąłeś.

– A. Tak. Przepraszam.

– Nie twoja wina. – Nie miała pewności, czy lubi, gdy nazywa ją „małą", ale lubiła czuć jego wargi na swoim karku. Jednak po kilku sekundach odepchnęła go stanowczo. – Pracuję.

– Co oglądasz? – spytał.

– Zębaki. Patrzyły prosto na ciebie.

– To ja je smażyłem – odparł. – I to jeszcze jak.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Oj, znam ten wzrok – pokiwał głową. – No dalej, geniuszu, powiedz, co przeoczyłem.

– Czym na ciebie patrzą?

Sam wzdrygnął się.

– Nie mają oczu.

– Właśnie. Przed chwilą sprawdziłam jeszcze raz. Nie mają oczu. Ale w jakiś sposób, gdy były utrzymywane w powietrzu i ostrzeliwane promieniami świetlnej energii, wszystkie odwracały się, by popatrzeć... przynajmniej tak to wygląda, jakby patrzyły... w tę samą stronę. Na ciebie.

– Świetnie. Czyli w jakiś sposób widzą. Moim zdaniem liczy się to, że zabiłem całą ich masę, a one niczego nie zrozumiały.

Pokręciła głową.

– Myślę, że nic im nie zrobiłeś. Nie jestem pewna, czy to w ogóle

„one". A jeśli są jak mrówki? To znaczy, jeśli nie są pojedynczymi osobnikami? Stanowią części jednego superorganizmu? Jak w mrowisku.

– Czyli gdzieś jest królowa dżdżownic?

– Może. A może ta struktura nie jest tak hierarchiczna ani zróżnicowana.

Pocałował ją w kark, wywołując przyjemny dreszcz, który przebiegł jej po plecach.

– Wszystko pięknie, Astrid. Ale jak je zabić?

– Mam dwa pomysły. Jeden to praktyczna podpowiedz. Spodoba ci się. Drugi jest bardziej szalony. Ten niekoniecznie przypadnie ci do gustu.

Nadeszła pora, by przygotować małego Pete'a do snu. Wstała i zawołała go, używając słów, które do niego trafiały.

– Lulu, do łózia. Lulu, do łózia.

Mały Pete posłał jej przymglone spojrzenie, jakby usłyszał, ale nie zrozumiał. Potem wstał z krzesła i posłusznie skierował się ku schodom. Tak naprawdę poddawał się nie autorytetowi Astrid, lecz czemuś, co można było nazwać oprogramowaniem.

– Muszę zrobić obchód miasta, a ty powinnaś położyć Pete'a do łóżka – oświadczył Sam. – Więc powiedz mi to w skrócie.

– Dobra – zgodziła się. – Terenówki, jeżdżące na samych obręczach, bez opon. Zębaki nie przegryzą stali. To podpowiedz praktyczna.

– To się może udać – przyznał z podnieceniem. – Samochody z napędem na cztery koła, na stalowych felgach. I można użyć haków na trzonkach do zbierania melonów, kapusty czy czego tam jeszcze.

Wymagałoby to treningu, ale jeśli zębaki nie umieją latać, dzieciaki byłyby dość bezpieczne w terenówkach. – Uśmiechnął się do niej. – Po to trzymam cię przy sobie, mimo że drażni mnie twoja poza wyższości.
– To nie poza – odpowiedziała przytykiem na przytyk. – To faktyczna wyższość.
– Więc jak brzmi ten drugi, szalony pomysł?
– Negocjować.
– Co?
– Są zbyt mądre, jak na dżdżownice. Są drapieżne, a nie powinny być. Wykazują terytorialność, a też nie powinny. Poruszają się i działają jak jedna istota, przynajmniej czasami. Patrzyły na ciebie, chociaż nie mają oczu. Nie mam dowodów, oczywiście, ale mam przeczucie.
– Przeczucie?
– Nie sądzę, żeby to były zębaki. To jeden Zębak.
– Mam gadać z super dżdżownicą? – spytał Sam. Pokręcił głową i popatrzył w ziemię. – Bez obrazy, ale pomysł z terenówką... Właśnie dlatego jesteś najmądrzejsza w całym ETAP-ie. To drugie? Właśnie dlatego, chociaż jesteś mądra, nie ty rządzisz.

Powstrzymała się od ostrej reakcji na owo protekcjonalne traktowanie.

– Musisz mieć otwarty umysł, Samie Temple.
– Negocjować z morderczymi robalami? Raczej nie, mała. Chyba mózg ci się przegrzewa. Muszę iść.

Spróbował ją pocałować, ale się uchyliła.

– Dobranoc. Oby Petey nie miał dziś w nocy żadnych ciekawych koszmarów, co? A, czekaj, przecież nie ma się czym przejmować, to

pewnie tylko mój przegrzany mózg.

*** * ***

Komputerowy Jack z oszałamiającą prędkością klikał w ogromną liczbę okienek. Kursor przemykał przez wirtualną stronę, otwierał, zamykał, przesuwał.
To nie będzie działało.
Chociaż kto wie? Ale potrzeba by więcej sprzętu. Porządnego serwera. Porządnego routera.
Znalazł jeden serwer, którego możliwości dalece odbiegały od jego potrzeb. Serwer był wiekowy, przestarzały, ale sprawny. A w miasteczku bez wątpienia znajdowało się wystarczająco wiele pecetów i maców, które dałoby się połączyć. Wystarczająco wiele, by każdy miał swój komputer, i jeszcze zostałoby sporo zapasowych, do rozebrania na części.
Nie miał jednak dobrego routera. Router dałby możliwość stworzenia prawdziwej sieci.
Router o dużej przepustowości. To był jego Święty Graal.
Jack wyobrażał sobie dzień, w którym wszyscy w Perdido Beach będą mieli WiFi. Dzieciaki założyłyby blogi i bazy danych, zamieszczałyby zdjęcia. Może nawet uruchomiłby jakąś wersję MySpace czy Facebooka, jakąś stronę społecznościową. Może też YouTube, a nawet Wiki. WikiETAP.
To by się dało zrobić. Ale z większą liczbą informatyków i lepszymi urządzeniami.

Odepchnął się od biurka. Błąd. Krzesło, wraz z nim, pomknęło, poślizgnęło się, wpadło na upuszczony sweter i na szczęście przekręciło się na bok, dzięki czemu uniknął uderzenia głową o zamknięte drzwi. Wciąż przyzwyczajał się do swojej siły. Jak dotąd nie znalazł dla niej praktycznego zastosowania. Właściwie do niczego się nie przydawała, była raczej niebezpieczna.

Pozbierał się i postawił krzesło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przynajmniej tak mu się zdawało. Brzmiało bardziej jak stukanie dzięcioła.

– Kto tam?

– Bryza.

– Co?

– Brianna.

Otworzył drzwi i ją zobaczył. Miała na sobie sukienkę. Niebieską, krótką, na ramiączka. Wypowiedział na głos pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

– Jak możesz w tym biegać?

– Co?

– Eee...

– Mogę biegać...

– Ja nie...

– To nic takiego...

– Potrzebny mi router – stwierdził.

To położyło kres pogmatwanej wymianie półsłówek.

– Co? Router?

– Tak – potwierdził. – Nie mogę, eee, wiesz, uruchomić Internetu bez

porządnego routera.

Brianna myślała przez chwilę, po czym spytała:

– Wyglądam głupio w tej sukience?

– Nie. Nie wyglądasz głupio.

– Dzięki – powiedziała z sarkazmem. – Miło wiedzieć, że nie wyglądam głupio.

– Okej – odrzekł i sam poczuł się głupio.

– No, szłam właśnie do klubu. Mam trochę baterii. Tylko tyle.

– A. Dobrze.

– No i?

Ze zdziwieniem wzruszył ramionami.

– No... i... baw się dobrze?

Brianna przez pięć bardzo długich sekund nie odrywała od niego wzroku. A potem rozmyła się, zmieniła w barwną plamę. Zniknęła. Zamknął drzwi i wrócił do komputera, którego używał do analizy przestarzałego serwera.

Mniej więcej pięć minut później zaczął się zastanawiać, czy coś mu umknęło podczas tej krótkiej rozmowy z Brianna.

Po co wpadła?

Jeszcze pół roku temu Jack w ogóle nie myślał o dziewczynach. Teraz coraz częściej pojawiały się w jego myślach. Nie mówiąc już o snach, które nieraz wprawiały go w zakłopotanie.

W starych dobrych czasach być może szukałby wyjaśnienia przez Google. Ale nie teraz. Rodzice tak naprawdę nigdy nie rozmawiali z nim o dojrzewaniu, o zmianach, zachodzących w jego ciele i umyśle. Wiedział, że coś się w nim zmienia, nie miał jednak pojęcia, czy da się

zatrzymać ten proces.

Potrzebował routera.

A może powinien znaleźć Briannę i... porozmawiać z nią. Na przykład o routerze.

Pewna myśl uderzyła go z taką siłą, że miał wrażenie, iż serce zatrzymało mu się na chwilę: czyżby Brianna prosiła go, żeby poszedł z nią do klubu? Tam, gdzie się tańczyło?

Nie. To był szalony pomysł. Bryza pewno nie przyszłaby zaprosić go na tańce. Prawda?

Nie.

A może?

Wzywał go ekran komputera. To zawsze było lepsze niż słodycze. Lepsze niż wszystko inne. Rozpaczliwie tęsknił do surfowania po sieci, do Google. Do Gizmodo. Do... do tylu witryn, że nie umiałby ich wszystkich wymienić.

Jack miał wolny wstęp do klubu Alberta. Poświęcił część dnia, by pomóc Albertowi ustawić system nagłaśniający – łatwizna – i w zamian dostał coś w rodzaju złotej karty stałego klienta. Jeśli zatem była tam Brianna i rzeczywiście chciała, by i on się tam znalazł... cóż, mógł pójść.

Decyzję podjął bardzo szybko i równie szybko wprowadził ją w życie, spiesząc się, by przypadkiem jakiś wewnętrzny głos nie kazał mu zmienić zdania. Skoczył do drzwi i niechcący zmiażdżył klamkę w palcach. Teraz nie chciała się przekręcić, ale z łatwością otworzył drzwi szarpnięciem. Wyrządził pewne szkody, lecz niezbyt poważne. W klubie panował hałas – system nagłaśniający działał najwyraźniej

bardzo dobrze – i tłok. Albert zatrzymał przed drzwiami kolejkę chętnych.

– Przykro mi, ale maksymalna liczba osób to siedemdziesiąt pięć – powiedział. Po chwili zauważył Jacka. – Cześć, jak tam?

– Co? A, w porządku. – Jack nie wiedział, co dalej robić. Nie chciał czekać w kolejce, jeśli Brianna nawet nie weszła do klubu.

– Wyglądasz, jakbyś chciał o coś spytać – ponaglił Albert.

– Właściwie to szukam Brianny. Mieliśmy... no, takie... sprawy techniczne. Nie zrozumiałbyś.

– Bryza jest już w środku.

Na to odezwał się jeden z dzieciaków w kolejce.

– Pewnie, że tak, to odmieniec. Oni zawsze wejdą.

Ktoś inny pokiwał głową.

– Właśnie, odmieńcy nie czekają w kolejkach. Pewnie nie musiała też płacić.

Odpowiedział im Albert:

– Ej, przyszła tu trochę przed wami i też czekała. I zapłaciła. – A potem zwrócił się do Jacka: – Wchodź.

– Widzicie? – zapiał pierwszy dzieciak. – To też jeden z nich.

– Chłopie, on mi ustawił nagłośnienie – odparł Albert. – A co ty dla mnie zrobiłeś, oprócz tego, że tu stoisz i się czepiasz?

Jack, zawstydzony, prześlizgnął się obok niego i wszedł do środka. Mniej więcej połowa dzieciaków tańczyła. Reszta siedziała na krzesłach i stolikach i rozmawiała. Minęła chwila, zanim Jack przywykł do oświetlenia i hałasu.

Zaczął szukać Brianny, starając się przy tym wyglądać niedbale.

Zauważył Quinna, który tańczył sam, i Dekkę, siedzącą w kącie, milczącą, pochmurną.

Obok Dekki, ale oddzielnie, stał dzieciak, który z początku wydał mu się znajomy. Chłopak, może dwunastoletni, raczej nie starszy, z ogoloną głową i plastrem na nosie. Jack go zauważył, bo chłopak się na niego gapił. Odwrócił się w chwili, gdy nawiązali kontakt wzrokowy.

Jack usłyszał narastający chór wesołych, entuzjastycznych okrzyków i klaskanie w dłonie. Nagle ujrzał Briannę. Tańczyła sama – nikt nie mógłby dotrzymać jej kroku – we własnym, przyspieszonym rytmie, dziesięć razy szybciej od rytmu muzyki.

Sukienka zdawała się pływać wokół niej, jakby nie była z nią połączona, niczym niebieski obłok. Zdaniem Jacka, efekt był fascynujący. Brianna nie należała do dziewczyn, które większość ludzi określiłaby jako piękne, podpadała raczej pod kategorię „uroczych". Miała jednak w sobie coś takiego, że ciężko ją było ignorować. I nie chodziło tylko o fakt, że była Bryzą.

– Brawo, Bryza! – krzyknął ktoś.

Odezwał się jednak inny głos:

– Przestań się popisywać! Głupi mutant!

Brianna stanęła jak wryta. Jej sukienka też się zatrzymała.

– Kto to powiedział?

Zil. Ten sam głupek, który przyczepił się do Jacka o telefony.

– Ja – powiedział Zil, występując naprzód. – I nie próbuj tak groźnie wyglądać. Nie boję się ciebie, odmieńcu.

– A powinieneś – syknęła Brianna.

Nagle znalazła się tam Dekka, która zerwała się z krzesła, ustawiając rękę pomiędzy Brianna a Ziłem.

– Nie – powiedziała swoim głębokim głosem. – Bez takich.

Dołączył do niej Quinn.

– Dekka ma rację, nie możecie się tu bić. Sam zamknie lokal.

– Może powinniśmy mieć dwa oddzielne kluby – odezwał się siódmoklasista, o imieniu Antoine. – Wiecie, jeden dla mutantów, drugi dla normalnych.

– Człowieku, co się z tobą dzieje? – spytał Quinn.

– Nie podoba mi się, że zgrywa taką fajną, nic więcej – stwierdził Zil, stając obok.

– Powinieneś być po naszej stronie, Quinn. Wszyscy wiedzą, że jesteś normalny – powiedział inny dzieciak, Lance. – No... Jakby normalny. Nadal jesteś Quinnem.

– Przestańcie – wtrąciła Dekka.

– Sama sobie poradzę z tym gnojkiem – warknęła do niej Brianna. – Dam radę obu tym palantom. Oberwą tak szybko, że nawet nie zauważą.

– Spokojnie – uspokoiła ją Dekka. – Nie możesz się po prostu bawić, bez urządzania przedstawienia?

Przez chwilę zdawało się, że Brianna się jej postawi. Dekka jednak nawet nie drgnęła, po prostu czekała.

Brianna westchnęła teatralnie.

– Dobra. Bryza nie chce sprawiać kłopotów. Bryza chce się tylko dobrze bawić. – Dygnęła, co Dekka przyjęła skinieniem głowy.

Muzyka stała się głośniejsza i dzieciaki na powrót zajęły się tańcem

albo rozmowami.

– Cześć, Jack – zagadnęła Brianna. – Przyszedłeś.

– Tak.

– Myślisz, że pokonałbyś Dekkę? – spytała.

Pytanie go zdumiało. Otworzył usta.

– Żartuję. Tylko żartuję – zapewniła. – Dekka jest bardzo fajna. Chociaż nie tak, jak ja, oczywiście.

– Nikt nie jest tak fajny, jak ty – wypalił.

Przyjęła te słowa tak, jakby w sposób naturalny się jej należały.

– Chcesz zatańczyć?

– Nie wiem, jak – przyznał.

– Serio?

– Serio.

– Mogę cię nauczyć.

– Byłoby mi wstyd.

Wzruszyła ramionami.

– Nikt nie będzie się z ciebie śmiał.

– Właśnie, że będą.

Pokręciła głową. Ze zwykłą prędkością.

– Nie ma mowy. Wszyscy mają nadzieję, że zreperujesz telefony, uruchomisz Internet i w ogóle. Wszyscy cię lubią. No, może nie lubią, ale liczą, że to zrobisz.

– Mówiłem ci, że telefony już naprawiłem – przypomniał.

Jej oczy zwęziły się.

– Uważaj, co gadasz. To miała być tajemnica, nie? – Potem przeniosła spojrzenie na kogoś za jego plecami. – Ile słyszałeś?

Jack odwrócił się i zobaczył chłopaka z ogoloną głową, który wzruszył ramionami.

– Co? Nic nie słyszałem.

Głos. Jack znał ten głos.

– Zgadza się: nic nie słyszałeś – powtórzyła Brianna z naciskiem. – I lepiej nikomu nie powtarzaj tego, czego nie słyszałeś.

Znał ten głos.

Wbił spojrzenie w jego właściciela.

I nagle zobaczył.

– Chodź, zatańcz ze mną. – Brianna szarpnęła Jacka za ramię.

Wyrwał się.

– Eee... Muszę iść – stwierdził, nie mogąc oderwać wzroku od tamtego „chłopaka".

– Nikt nie będzie się z ciebie śmiał – przekonywała.

Ale Jack tylko strząsnął dłoń Bryzy i pomknął w kierunku drzwi.

– Dobra, w porządku, spadaj! – zawołała za nim. – Głąb.

Komputerowy Głąb. – Potem dodała, na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli: – Pewnie boi się dziewczyn.

Rozdział 17

22 GODZINY, 00 MINUT

Diana wyszła za Jackiem z McKlubu. Poczuła ulgę, oddalając się od Brianny i Dekki. Obie dziewczyny dobrze ją znały. Żadna nie miała powodu, by ją lubić.

Na szczęście, Dekka patrzyła tylko na Briannę, z kolei Brianna skupiła się na Jacku. Dianę przeszyła groza, gdy Brianna zwróciła się bezpośrednio do niej. Szybko spuściła jednak wzrok i tamta jej nie poznała.

Jack zignorował uprzejme „dobranoc" Alberta i szybkim krokiem oddalał się od klubu. Najchętniej rzuciłby się do ucieczki.

Dogoniła go.

– Jack.

Zatrzymał się. Rozejrzał się wokół, przestraszony, że ktoś może podsłuchiwać.

– Diana? – szepnął.

– Mhmmm. Tak. Podoba ci się moja nowa fryzura? – Z zalotną miną przeciągnęła dłonią po krótkim jeżyku.

Jak na chłopca o sile dziesięciu dorosłych mężczyzn, wydawał się zaskakująco zdenerwowany.

– Co tu robisz?

– Potrzebuję cię, Jack.

– Ty? Ty potrzebujesz mnie?

Przechyliła głowę w bok i zmierzyła go wzrokiem.

– Brianna ci się podoba, tak? A myślałam, że to ja jestem dziewczyną twoich marzeń.

W ostrym blasku latarń skóra Jacka zdawała się błękitna, ale Diana była pewna, że chłopak się czerwieni.

– Chodź, pójdziemy na plażę – zaproponowała. – Tam łatwiej o prywatność.

Podążył posłusznie za dziewczyną, tak jak oczekiwała. Może durzył się w słodkiej małej Briannie, ale Dianie nie umknęło żadne z ukradkowych spojrzeń, które Jack posyłał jej wcześniej. Nadal miała nad nim pewną władzę. Przekroczyli niski murek i brnęli po piasku, pod nocnym niebem. Diana żałowała, że nie mieszka tutaj, blisko plaży. Choć Perdido Beach wyglądało nędznie, wciąż było w nim więcej życia, niż w Fabryce Strachu, jak niektórzy nazywali Coates Academy.

– Czego chcesz? – W głosie Jacka pobrzmiewała desperacja.

– Więc naprawiłeś telefony – pokiwała głową. Zastanawiałam się, czym jesteś tak zajęty. – Zawsze mówiłeś mi, że to łatwizna.

– Nie mogę o tym rozpowiadać – stwierdził żałośnie.

– Sam ci nie pozwala, tak? Czemu? – Gdy nie odpowiadał, sama udzieliła wyjaśnienia: – Bo wtedy my też moglibyśmy ich używać. Ciekawe. Biedny Caine. Ciągle nie docenia swojego brata.

Jack człapał obok niej. W jego nogach kryła się taka siła, że stawiane kolejno stopy wbijały się głęboko w piasek.

– Caine już o tobie wie, oczywiście. Że jesteś mutantem. Na dodatek z poważną mocą.

– Wie? – Głos Jacka wzrósł o oktawę.

Uśmiechnęła się do siebie. Nadal się bał. Dobrze.

– Tak. Wie wszystko. Wie, że nie znalazłeś się tutaj z własnej winy. Wie, że to przeze mnie.

– Kazał ci ściąć włosy?

Nie była przygotowana na to pytanie. Roześmiała się.

– Oj, Jack. Nie. Caine mi wybaczył. Znasz go przecież. Wkurza się, ale jest bardzo wyrozumiały.

– Na mnie nigdy nie robił takiego wrażenia – odparł chłopak.

Postanowiła nie rozwijać tematu.

– Jak ci idzie z Internetem?

– Potrzebuję porządnego serwera. I porządnego routera.

– To jakiś sprzęt?

Naiwne pytanie dało Jackowi pewną satysfakcję. Diana usłyszała w jego głosie znajomy, pedantyczny ton.

– Tak, to sprzęt.

– Szukałeś wszędzie?

– Tak.

– Szukałeś w Coates, kiedy jeszcze byłeś z nami?

– Jasne. Znam każde urządzenie w Coates, i pewnie też każde w Perdido Beach.

Pomyślała, że trafiła właśnie na przynętę, której powinna użyć. No jasne. Cóżby innego? Jack mógł pragnąć Diany i durzyć się w Briannie, ale jego prawdziwa miłość składała się z krzemu.

– A gdybyś miał router... Sądzisz, że Sam pozwoliłby ci stworzyć własną sieć?

Długie wahanie wystarczyło Dianie za całe potwierdzenie.

W końcu Jack odrzekł:

– Nie wiem.

– Tak, fajny gość z tego Sama – przyznała. – Milszy niż Caine. Ale Caine zawsze szanował to, co robisz. Nawet przed ETAP-em. Wiesz, że zawsze pozwalał ci robić swoje.

– Może – mruknął Jack.

– Znaczy, ujmijmy to tak: wyobrażasz sobie, że Caine dałby ci robotę tak trudną, jak uruchomienie sieci komórkowej, a potem po prostu cię spławił?

Milczenie było bardzo wymowne.

– Potrzebujemy cię – oznajmiła Diana. – Potrzebujemy cię z powrotem.

– Mam tu trochę rzeczy do zrobienia.

Położyła mu rękę na ramieniu. Zatrzymał się. Stanęli twarzą w twarz. Bardzo blisko. Na tyle blisko, by Diana zyskała pewność, że twardy dysk, w miejscu serca Jacka, wiruje jak szalony.

Pogładziła go palcami po twarzy. Nie był to natarczywy dotyk, niczego nie obiecywał, ale wystarczył, by do reszty zmylić biedaka.

– Wróć, Jack – wyszeptała. – Caine ma dla ciebie propozycję. Najpoważniejszą, jaką możesz sobie wyobrazić. Wielkie techniczne wyzwanie. – Ostatnie trzy słowa wypowiedziała powoli, pełnym dramatyzmu głosem.

Oczy Jacka przybrały kształt okrągłych spodków.

– Jakie?

– Coś, co tylko ty możesz zrobić – zapewniła. – Wyłącznie ty.

– Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi? – spytał błagalnym tonem.

– To coś wielkiego, Jack. Znacznie poważniejszego niż wszystko, czego próbowałeś do tej pory. O wiele bardziej złożone programy. Może zbyt złożone... nawet dla ciebie.

Pokręcił nieznacznie głową.

– To podpucha. Próbujesz ściągnąć mnie z powrotem, żeby Caine i Drake mogli dać mi nauczkę.

– Nie pochlebiaj sobie, mały – odparła. Pora zakończyć sprawę. Sprawić, że uwierzy. – Nadajesz się tylko do jednego. Nie jesteś Odważnym Jackiem ani Walczącym Jackiem, ani nawet Kochającym Jackiem, chociaż wiem, że masz swoje żałosne fantazje. Jesteś Komputerowym Jackiem. Sam nie pozwoli ci robić tego, co potrafisz. A Caine pozwoli. I... Jack?

– Tak.

– Mnóstwo techniki. Takie wielkie wyzwanie. Stworzone dla ciebie.

– Ja... muszę pomyśleć...

– Nie. Teraz. Teraz albo nigdy.

Odwróciła się i zaczęła odchodzić. Jack stał i się wahał. Ale ona już wiedziała. Dostrzegła odpowiedź w jego oczach.

– Hej! Ktoś był w moim pokoju! – zawołał Zil Sperry, zbiegając po schodach.

Hunter Lefkowitz rozłożył się na kanapie, z jedną nogą na oparciu, a drugą na podłodze, i oglądał na DVD komedię *Supersamiec.* Widział ją już przynajmniej dziesięć razy. Znał na pamięć każdy gag.

– Po czym poznajesz, stary? Przy takim bałaganie? – spytał Hunter, niemal nie zwracając na niego uwagi.

Zil podszedł bliżej i nacisnął włącznik telewizora.

– To nie jest śmieszne, odmieńcu. Ktoś był u mnie w pokoju. Ktoś zabrał coś, co należy do mnie.

Hunter dzielił dom z trzema innymi chłopakami, Ziłem, Charliem i Harrym. Byli przyjaciółmi jeszcze przed ETAP-em. Wszyscy chodzili do siódmej klasy i łączyło ich kibicowanie drużynie San Francisco Giants. Perdido Beach stanowiło terytorium Dodgers, mieszkała tu też garstka kibiców Angels. Ale Zil i Charlie przeprowadzili się z okolic San Francisco, Harry pochodził znad jeziora Tahoe, a Hunter po prostu lubił Giantsów.

Połączyli więc siły, by drażnić inne dzieciaki w szkole, ostentacyjnie ubierając się w pomarańczowo-czarne barwy. Spotykali się w letnie popołudnia i oglądali mecze.

W ETAP-ie nie było jednak zawodowych rozgrywek sportowych. Ani telewizji. Czterej chłopcy stracili łączącą ich dotychczas pasję.

Ostatnio dystans pomiędzy Hunterem a pozostałą trójką zaczął się powiększać z przyczyn nieznanych poza ETAP-em: Hunter był odmieńcem. Reszta była normalna. Na początku drążyli temat, na zasadzie, że nic wielkiego się nie stało, że pewnie prędzej czy później każdy zyska jakąś moc, a Hunter był po prostu pierwszy.

Tygodnie jednak mijały, a żaden z trzech pozostałych chłopaków zupełnie się nie zmieniał, podczas gdy Hunter nabywał cech potencjalnie potężnego mutanta. Zila to irytowało.

Z każdym mijającym dniem coraz bardziej.

– Ej, stary, włączaj natychmiast – zażądał Hunter, gniewnym gestem wskazując telewizor.

– Oddaj to, Hunter – zażądał Zil.

– Co oddać, mięśniaku?

Zil zawahał się.

– Już ty wiesz, co – odrzekł w końcu.

Hunter westchnął ciężko i usiadł.

– Dobra, czyli oskarżasz mnie, że coś ukradłem i nie raczysz mi powiedzieć, co to takiego? Stary, chyba strasznie ci się nudzi, skoro bez powodu suszysz mi głowę.

– Suszę! – powtórzył ze złością Zil.

Harry, słysząc podniesione głosy, przyszedł z jadalni, gdzie budował skomplikowaną konstrukcję z lego.

– Co się dzieje? – spytał.

– Ten mup ukradł coś z mojego pokoju – oznajmił Zil.

– Kłamiesz – odparował Hunter. – I nie przezywaj mnie.

– Mup? Jesteś mutantem, popaprańcem. Więc dlaczego miałbym tak na ciebie nie mówić?

– Co się dzieje? – powtórzył ze zdumieniem Harry.

– Oddaj to – zażądał Zil. – Oddaj.

– Głupi kretynie, nawet nie wiem, o czym mówisz!

– Hunter zerwał się, purpurowy na twarzy.

– Mięso – wyjaśnił Zil. – Nazwałeś mnie mięśniakiem. A potem mówiłeś o „suszeniu". Więc nie zgrywaj cwaniaka. Dobrze wiesz, co to było, bo to ukradłeś. Miałem kawałek suszonego mięsa.

– Chodzi o jedzenie? – Hunter nie dowierzał. – Po pierwsze, czemu je przed nami ukrywałeś? Myślałem, że się dzielimy...

– Zamknij się, wybryku natury! – wykrzyknął Zil. – Niczym się z tobą

nie dzielę. Mogę się dzielić z ludźmi, ale nie z trollami.

Zdarzały im się już sprzeczki. Nawet kłótnie. Zil nie pierwszy raz przyczepił się do mocy Huntera. Ale tym razem napięcie wzrosło ponad miarę i wyglądało na to, że starcie, którego dotąd udawało się uniknąć, czaiło się tuż, tuż. W głowie Huntera pojawiło się pytanie: czy mogę wygrać? Zil był większy i silniejszy. Ale jeśli musiała wybuchnąć walka – dobra, podejmie ją. Nie mógł się poddać.

– Odpuść, Zil – ostrzegł.

– Zamknij swoją zmutowaną gębę, cholerny trollu! – odpalił tamten.

Zacisnął pięści, napięty, gotowy.

– Ostatnia szansa – uprzedził Hunter.

Zil zawahał się, lecz tylko przez sekundę. Odwrócił się i złapał długi pogrzebacz, który leżał przy kominku.

Hunter wzdrygnął się, wstrząśnięty. Zil mógł go zabić tym pogrzebaczem. To nie była zwykła bójka na pięści.

Uniósł ręce, prostując dłonie.

Harry ruszył z zaskakującą prędkością. Może próbował stanąć między nimi, uspokoić ich.

Nagle krzyknął.

Złapał się za szyję.

Odwrócił się powoli i z przerażeniem popatrzył na Huntera. Okulary zsunęły mu się z nosa. Przewrócił oczami i runął na podłogę.

Hunter i Zil zamarli. Popatrzyli w dół, na leżącego.

– Co się stało? – spytał Zil. – Co mu zrobiłeś?

Hunter pokręcił głową.

– Nic. Nic, stary, nic nie zrobiłem.

Zil opadł na kolana i dotknął szyi Harry'ego.

– Gorąca. Ma gorącą skórę.

Hunter cofnął się.

– Nic nie zrobiłem, stary.

– Popapraniec! Zmutowany morderca! Zabiłeś go.

– Wcale nie, on oddycha – zaoponował Hunter. – Nie chciałem...

Wskoczył między nas...

– To mnie próbowałeś zabić! – krzyknął Zil.

– Zamierzałeś uderzyć mnie pogrzebaczem!

– Co zrobiłeś? Włączyłeś swoje mikrofalowe ręce i usmażyłeś mu mózg?

Hunter patrzył przerażony na własne dłonie. Pragnął, żeby to nie była prawda. Nie chciał... Harry był jego przyjacielem...

– O Boże, ty zmutowany odmieńcu, ty morderco!

– Sprowadzę Lane. Uratuje go – powiedział z przekonaniem Hunter. – Nic mu nie będzie. Wyliże się.

Ale na jego oczach na karku Harry'ego tworzył się wielki pęcherz, dokładnie u podstawy czaszki. Miał piętnaście centymetrów średnicy, był duży niczym pomarańcza; owłosiony bąbel, wypełniony cieczą.

Hunter wybiegł z pokoju. Ścigały go oskarżycielskie krzyki:

– Zmutowany morderca! Zmutowany morderca!

Sam spał w wolnej sypialni w domu Astrid. Usłyszał, że w łazience obok ktoś wymiotuje.

Był zupełnie wyczerpany, ale i tak zwlókł się z łóżka, włożył koszulkę i zapukał do drzwi łazienki.

– Hej – odezwał się.

– Co? – rozległ się drżący głos Mary.

– Wszystko gra?

– Oj, przepraszam. Obudziłam cię?

– Zdawało mi się, że rzygasz. Źle się czujesz?

– Nie. Nie, nic mi nie jest.

Mógłby przysiąc, że w jej głosie usłyszał płacz.

– Na pewno?

Głos Mary się uspokoił.

– Tak, wszystko w porządku. Możesz iść spać.

Pomyślał, że to dobry pomysł. Wrócił do łóżka i ułożył poduszki tak, jak lubił. Popatrzył na zegar. Północ. Zamknął oczy. Wiedział jednak, że sen nie nadejdzie szybko. Zamiast niego pojawił się istny pociąg towarowy, pełen zmartwień i ich strzępów. Towarzyszył mu także stary znajomy – głód. Ciężko było zasnąć, gdy człowiekowi skręcały się kiszki.

Dobiegł go odgłos spuszczanej wody, światło w łazience zgasło.

A jeśli Mary była chora? Kto mógłby ją zastąpić w przedszkolu?

Astrid musiała się zajmować małym Pete'em, więc na pewno nie ona.

Zaczął układać w myślach listę ludzi, co do których mógł mieć pewność, że zachowają się w dojrzały sposób i podołają zadaniu opiekowania się maluchami.

Jedyne osoby, jakie przyszły mu do głowy, byłyby zapewne gotowe przejąć obowiązki Mary tylko po to, by dobrać się do przedszkolnych zapasów owsianki.

Przypomniał sobie, że miał sen. Junior Mints. Śniły mu się...

... Junior Mints.

To było to. Myśl, dręcząca go gdzieś w zakamarkach świadomości. Junior Mints.

– Dostaję świra z głodu. W tym cały problem. Powoli dostaję świra.

Zmusił się do zamknięcia oczu, ale natrętna myśl stawała się coraz bardziej natarczywa, nie odpuszczała, domagała się uwagi.

„A nie przyszło ci do głowy, że to któryś z innych dzieciaków, które pełniły straż?"

„Nie. Heather B i Mike J byli w wartowni. A Josh cały czas spał. "

„Jak to spał?"

Junior Mints. Mapa z elektrownią pośrodku. Wspomnienie dnia bitwy.

Robal, ten kameleon.

Robal.

Elektrownia.

Sam wystrzelił z łóżka jak z procy.

Wciągnął dżinsy i zaczął gorączkowo macać podłogę w poszukiwaniu butów. Wsunął je na nogi i pobiegł do pokoju Astrid. Nie zapukał, tylko otworzył drzwi na oścież.

Spała, jej jasne włosy były rozrzucone na poduszce.

– Astrid. Obudź się.

Ani drgnęła, więc dotknął jej nagiego ramienia i mimo całego rozgorączkowania poczuł w ciele miły dreszcz.

– Obudź się.

Niebieskie oczy otworzyły się gwałtownie.

– Co tam? Znowu Petey?

Nagle dobitnie uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie był w jej sypialni. Ale to nie pora, żeby o tym myśleć.

– Robal. To on zabrał Junior Mints.

Wlepiła w niego zaspany wzrok.

– I dlatego mnie budzisz?

– W elektrowni. Alton i Dalton. Obaj mówili prawdę. Żaden z nich nie wziął czekoladek. Josh też nie. Był tam ktoś inny. Ktoś, kogo nie widzieli.

– Po co Robal miałby iść do elektrowni? – zastanawiała się na głos. Po chwili szerzej otworzyła oczy, bo zrozumiała.

– Jestem głupi i tyle – powiedział ze złością Sam. – Muszę ściągnąć Edilia. Ty tu rządzisz, dopóki nie wrócę.

– Może się mylisz... – rzuciła niepewnie.

Zbiegł po schodach i wypadł na mroźne nocne powietrze. Edilia zastał w remizie, gdzie chłopak na ogół spędzał noce.

– Kto pilnuje elektrowni? – spytał go, gdy już wyrwał go z głębokiego snu.

– Josh, Brittney D, eee, Mickey i Mike Farmer.

– Mike jest solidny – stwierdził Sam. – A reszta?

Edilio wzruszył ramionami.

– Stary, pracuję z tymi, których mam. Mickey to ten, który bawił się pistoletem i przestrzelił podłogę w swoim domu. Zniszczył pralkę w piwnicy. Brittney może być dobra. Ma motywację. Josh? Nie wiem, chłopie.

Wsiedli do jeepa. Godzinę krążyli po mieście, zanim zgarnęli Dekkę, Briannę, Taylor, Orka i grupkę żołnierzy Edilia. Do konwoju

dodali jakiegoś sedana i wielkiego Cadillaca Escalade, gdzie Orc chrapał na tylnym siedzeniu.

W trzech samochodach jechało dziesięć osób. Zatrzymali się przed ratuszem. Sam stanął na chodniku, tak by wszyscy go słyszeli.

– Przepraszam, że wyciągam was z ciepłych łóżek, ale zdaje się, że Caine zamierza zaatakować elektrownię – oznajmił.

– Pozwól mi tam pobiec i ich ostrzec – poprosiła Brianna.

– Nie dasz rady przebiec piętnastu kilometrów. Zwłaszcza że jesteś głodna...

– Bryza robi piętnaście kilometrów w jakąś minutę. – Pstryknęła palcami.

Sam zawahał się. Dziewczyna miała rację. Mogła dotrzeć na miejsce na długo przed nimi. Było też prawdą, że ją to wyczerpie. Widział już, jak wygląda po pokonaniu podobnych odległości. Nie była po prostu zmęczona, sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała umrzeć.

– Idź. Ale bądź ostrożna. – Ostatnie słowa wypowiedział już do podmuchu powietrza.

Pewnie przesadzam, powiedział sobie. Zaginione Junior Mints to jeszcze nie powód do paniki. Wyjdę na idiotę.

Ale instynkt podpowiadał mu, że ma rację. Miał rację, bo gdyby był Caine'em, tak właśnie by postąpił.

Powinien był to przewidzieć. I przygotować się na atak. Tak jak powinien był przewidzieć napaść na sklep.

Ruszyli. Minęli cmentarz, zbudowany przez Edilia, i liczne nagrobki. Przejechali obok spalonej kamienicy, zdewastowanego przedszkola

oraz na wpół zburzonego kościoła.

Sam próbował wmówić sobie, że zrobił, co mógł, zajmując się bieżącymi sprawami; próbował zaradzić groźbie głodu. Jednak jeśli Caine szykował atak na elektrownię...

Przejechali jeszcze dwie przecznice i nagle, dokładnie pośrodku ciemnej ulicy, dostrzegli w świetle reflektorów Zila, który biegł i machał rękami jak szalony.

– Co robić? – spytał Edilio.

Sam zaklął pod nosem.

– Zatrzymaj się. Zobaczymy, o co chodzi.

Edilio wdepnął hamulec. Zil podbiegł, zdyszany, poczerwieniały na twarzy. Nachylił się do okna, gdy Sam opuścił szybę.

– Hunter, stary, ten odmieniec zabił Harry'ego.

Z gardła Dekki dobyło się coś w rodzaju warkotu i Zil zrobił krok w tył. Nie zamierzał jednak przepraszać.

– Dobrze mówię, to odmieniec. Jeden z was. I użył swojej mocy, żeby zabić Harry'ego. Za nic.

– Znaleźliście Lane? – spytał Edilio.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Zabawne, że Uzdrowicielki nie nazywasz odmieńcem – zauważyła Dekka.

– Lana jest w Clifftop – powiedział Sam. – Świetnie. Teraz naprawdę przydałaby się Brianna. Dobra, miejmy nadzieję, że atak na elektrownię to tylko moja paranoja. Edilio, podrzuć mnie do domu Huntera i Zila. Powiedz swoim, żeby pojechali na plac i tam na nas czekali. A potem musisz jechać do Clifftop i znaleźć Lane. Dobra?

– Aha.

– Dekko, zostań ze mną. Zobaczymy, o co chodzi.

– Pójdę po innych normalnych – oznajmił Zil. – Normalni muszą wiedzieć, co się dzieje.

Sam wycelował w niego wyciągnięty przez okno palec.

– Chcesz biegać i budzić ludzi ze snu? Nie. Jedziesz z nami.

– Nie ma mowy. Z tobą i Dekką? Dwoje odmieńców. Odmieńcy zawsze się wspierają.

– Kretyn z ciebie, Zil – powiedział Sam. – Nie pozwolę ci mącić.

– A co zrobisz? Usmażysz mnie? – Zil rozłożył ręce w geście, który wyglądał buntowniczo i niewinnie zarazem.

– Co za bzdura – mruknął Sam. – Wsiadaj, Zil. Tracimy czas na kłótnie.

– Nie ma mowy, stary. Nie ma mowy. – Zil odwrócił się i zaczął oddalać się szybkim krokiem.

– Mam go zatrzymać? – spytała Dekka.

– Nie – odparł Sam.

– Narobi kłopotów.

– Zdaje się, że Hunter już ich narobił. Jedziemy, Edilio. Mam nadzieję, że Bryza dotrze do elektrowni i przynajmniej ich obudzi. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że przesadziłem. Nie sądzę, żeby Caine zaczął dziś w nocy wojnę.

– Możemy mieć własną wojnę, tu, w mieście – pokiwał głową Edilio.

Rozdział 18

18 GODZIN, 47 MINUT

Patrick sądził, że to jedna wielka zabawa. Jego pani wstała w środku nocy, co samo w sobie było fajne. A w dodatku wsiadła do pickupa. Prowadził Quinn. Obok miał Alberta. Na tylnej kanapie mościli się Lan i Cookie, którego trudno byłoby uznać za niedużego. Ale jakoś się mieścili; tym bardziej, że Quinn przesunął fotel maksymalnie do przodu, by dosięgnąć pedałów. Patrick wdrapał się do środka i rozłożył u Cookiego na kolanach.

– Może posadzisz psa w bagażniku? – zaproponował Albert.

– Żeby szczekał na wszystko, co będziemy mijać?

– Dobra – skapitulował Albert. Posłał zwierzęciu gniewne spojrzenie. Nie lubił psów, za co Lana nie lubiła z kolei jego, ale nie był to dobry moment, żeby rozwijać dyskusję.

W każdym razie w kwestii zjedzenia Patricka Albert nie żartował. Słyszała już o tym od kilku osób.

Cała czwórka – piątka, jeśli liczyć Patricka – spotkała się pod sklepem z tłumikami przy autostradzie. Stał tam mocny samochód z napędem na cztery koła, pickup z przedłużoną kabiną. Albert stwierdził, że pojazd nada się w sam raz do jazdy w terenie i przewozu złota.

– Lepiej sprawdzę, czy potrafię tym kierować – zauważył Quinn.

– Mówiłeś, że umiesz prowadzić – powiedział oskarżycielskim tonem Albert.

– Umiem. W każdym razie jeździłem jeepem Edilia. Ale ten jest

większy.

– Super – mruknął Albert.

Quinn przekręcił kluczyk i silnik ryknął. Wydawał się o wiele za głośny i zdawało się, że obudzi za chwilę całe miasto.

– O rany! – zawołał Quinn. Wrzucił bieg i bestia ruszyła, podskoczyła na krawężniku, po czym, zarzucając tyłem, wyjechała na autostradę.

– Ej, może się nie zabijajmy, co? – zawołał Albert.

Quinn wyprowadził samochód na prostą, po czym jechał ze stateczną prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę środkiem drogi, która kiedyś była ruchliwą autostradą.

– Trochę marudzisz, Albercie – zagadnął wesoło Quinn. – Powiesz mi, po co ta cała wycieczka? Znaczy, która jest, trzecia w nocy? Chyba nikogo nie zabijemy, co?

– Płacę ci, nie? – warknął Albert.

– Nie powiedziałeś mu? – odezwała się Lana z tylnego siedzenia. – Przecież musi wiedzieć, co się dzieje.

Gdy Albert nie odpowiedział, oznajmiła:

– Jedziemy po złoto.

Zobaczyła oczy Quinna we wstecznym lusterku.

– Mhm. Co?

– Chata Jima Pustelnika. Złoto – wyjaśniła dziewczyna.

Znowu zobaczyła jego oczy, tym razem bardziej zaniepokojone.

– Przepraszam, ale kiedy byliśmy tam poprzednio, gryzły nas kojoty.

– Teraz umiesz posługiwać się bronią. I masz broń – odparł spokojnie Albert. – Cookie też ma broń. Obaj jesteście wyszkoleni.

– Właśnie – zgodził się Cookie. – Ale nie chcę nikogo zastrzelić. Chyba że zadrą z Uzdrowicielką.

– A po co potrzebne nam złoto? – spytał Quinn nieco zbyt ostrym tonem.

– Potrzebujemy pieniędzy – wyjaśnił Albert. – Wymiana działa na krótką metę. Musimy mieć nowy system, a system działa lepiej, kiedy ma jako podstawę walutę.

– Aha.

– Dobra, słuchaj, weźmy interes z rybami, tak? – zaczął Albert.

– Trudno to nazwać interesem – mruknął Quinn. – Wczoraj złowiłem ledwie tyle, żeby starczyło na przynętę.

– Bywają lepsze i gorsze dni – przerwał mu tamten niecierpliwie. – Przyjdą dni, gdy złowisz mnóstwo ryb. Powiedzmy, że chcesz wymienić trochę ryb na pomarańcze.

– W sumie brzmi nieźle. Znasz kogoś, kto ma pomarańcze?

– Masz tyle ryb, że chcesz wymienić część z nich na pomarańcze, część na chleb, a część dać dzieciakowi, który posprząta ci pokój. Musisz iść z rybami w trzy różne miejsca, żeby komuś zapłacić.

– Czy ktoś jeszcze chodzi teraz głodny? – zakpił Quinn. – Znaczy, stary. Pomarańcze? Chleb? Weź, daj spokój.

Albert nie zwrócił na to uwagi.

– Jeśli masz pieniądze, to zamiast wymieniać towary, możesz mieć targ, gdzie każdy przynosi to, co chce sprzedać, nie? Wszystko w jednym miejscu. Każdy kupuje za złoto, a nie łazi z rybami albo taczką pełną kukurydzy czy czegoś innego, próbując się wymienić.

– W każdym razie – odrzekł Quinn – muszę mieć ryby. Albo chodzę z

nimi po tym twoim targu i sprzedaję, albo stoję w miejscu i ludzie przychodzą do mnie, ale tak czy siak...

– Nie, stary – przerwał mu niecierpliwie Albert. – Bo sprzedajesz ryby komuś, kto sprzedaje je innym. Ty musisz je łowić, bo w tym jesteś dobry. Nie w sprzedaży ryb, tylko w ich łowieniu.

Quinn zmarszczył czoło.

– Chcesz powiedzieć, że sprzedaję je tobie.

– Możliwe – zgodził się Albert. – Potem ja sprzedaję je Lanie. W ten sposób ty robisz swoje i ja robię swoje. A żeby to gładko szło, potrzebujemy jakiegoś rodzaju pieniędzy.

– Tak, no, skoro całą noc mam kierować, jutro też może nie być ryb – gderał Quinn. Potem zadał pytanie, którego Lana się spodziewała: – Po co jedziesz z nami, Uzdrowicielko?

Zaniepokoił ją ten tytuł. Nie miała pewności, dlaczego. Zaniepokoiło ją też samo pytanie. Nie podobało jej się. Obróciła się i popatrzyła przez okno.

– Jedzie, bo potrzebuję przewodniczki – wyjaśnił Albert. – I zamierzam jej zapłacić. Jak już będę miał złoto. Co prowadzi nas do zjawiska zwanego kredytem.

Biedny Albert, pomyślała Lana, gdy chłopak rozpoczął wykład na temat użyteczności kredytu. Mądry chłopak. Pewnie któregoś dnia zostanie właścicielem całego ETAP-u. Nie wiedział jednak o prawdziwych powodach, dla których wybrała się na tę wycieczkę. Całe złoto świata nie wystarczyłoby do zapłacenia jej za to, co zamierzała zrobić. Złoto nie miało wpływu na zimne przerażenie, które wypełniało jej serce. Złoto do niczego też jej się nie przyda, jeśli

ta misja się nie powiedzie.

– Na świecie są nie mniej ważne rzeczy niż pieniądze – odezwała się, sądząc, że mówi tylko do siebie.

– Na przykład? – spytał Albert.

– Na przykład wolność – odparła.

Pociągnął temat, opowiadając o tym, że za pieniądze można kupić wolność. Lana uważała, że Albert ma rację – w większości kwestii. Ale nie w tej.

Nie w tej.

Nie zdoła przekupić Ciemności. Ale może, może... może zdoła ją zabić.

Caine siedział w milczeniu, z kciukiem w ustach, gryząc zniszczony paznokieć.

Panda prowadził. Komputerowy Jack tkwił z tyłu, wciśnięty między Dianę a Robala. Jechali pierwszym samochodem. Do drugiego, terenówki, wsiadł Drake ze swoimi żołnierzami. Wszyscy byli uzbrojeni.

Jechali ostrożnie. Caine'owi na tym zależało. Panda stał się lepszym kierowcą, pewniejszym, lecz miał zaledwie trzynaście lat. Nadal bał się za kierownicą.

Kierowca, prowadzący jadącą z tyłu terenówkę, bez wątpienia popędzany przez Drake'a, niemal siedział im na zderzaku, jakby się niecierpliwił.

Jechali autostradą numer 1, obok opuszczonych sklepów i warsztatów, omijając rozbite samochody i przewrócone ciężarówki. Odpadki ETAP-u, śmieci, pozostawione przez tych, którzy zniknęli.

Skręcili w drogę prowadzącą do elektrowni.

– Nie zjeżdżaj na pobocze – przestrzegł Caine. – To wysokie urwisko.

– Nie bój się – odparł Panda.

– Mhm – mruknął Caine.

Po lewej mieli klif i oceaniczne skały trzydzieści metrów niżej. Caine zastanawiał się, czy nadal mógłby użyć mocy, by powstrzymać spadanie samochodu, gdyby ten przypadkiem stoczył się w przepaść. Warto by poćwiczyć. Przekonałby się, czy potrafi użyć telekinezy i zawiesić w powietrzu obiekt z sobą samym w środku.

– Co to było? – wykrzyknął Panda.

– Co?

– Też coś widziałam – przyznała Diana.

– Co widziałaś? – zainteresował się Caine.

– Jakąś plamę. Jakby coś przemknęło obok nas.

Zapadło milczenie. Po chwili Caine zaklął.

– Brianna. Gazu, Panda!

– Nie chcę zjechać...

– Gazu – syknął Caine.

Rozległ się trzask krótkofalówki. Potem głos Drake'a:

– Widzieliście?

Caine włączył swój sprzęt.

– Tak. Brianna. Albo ona, albo tornado.

– Będzie przed nami – stwierdziła Diana.

– Już tam jest – zgodził się Caine.

– Nie sądzisz, że może powinniśmy się tym razem wycofać? –

spytała.

Roześmiał się.

– Tylko dlatego, że wokół śmiga Brianna? Nie przejmuję się tą dziewczyną. – Była to udawana brawura. „Śmiganie" Brianny mogło oznaczać, że czekała ich zasadzka. Albo że Sam został ostrzeżony i już jechał do elektrowni.

Nacisnął guzik krótkofalówki.

– Drake. Mogą być gotowi, kiedy dotrzemy na miejsce.

– I dobrze. Mam ochotę na walkę – odparł tamten.

Caine obrócił się na siedzeniu, by widzieć Dianę. Jej niemal łysa głowa rozpraszała jego uwagę. Wywoływała taki dziwny efekt, że koncentrował uwagę na jej oczach i ustach. Mrugnął porozumiewawczo.

– Drake się nie przejmuje.

Nic nie powiedziała.

– A ty przejmujesz się, Pando? – spytał. Panda był zbyt przerażony, by cokolwiek odpowiedzieć. Jego palce aż pobielały od ściskania kierownicy.

– Nikt się nie przejmuje oprócz ciebie, Diano – stwierdził Caine.

Nie spytał Jacka. Przez jakiś czas zamierzał traktować chłopaka z ostrożnością. Przynajmniej dopóki komputerowy geniusz nie da mu tego, czego od niego chciał.

– Podjeżdżamy do bramy – zakomunikował Robal.

Przy wysokim ogrodzeniu stała ceglana wartownia. Teren oświetlały jasne światła. Reflektory na wartowni, nakierowano w obie strony, wzdłuż siatki. Za bramą zaś wznosiła się potężna bryła samej

elektrowni, szumiąca, wibrująca – złowrogi kształt pośród nocy. Była większa, niż Caine sobie wyobrażał, i składała się z kilku odrębnych budynków. Największy z nich wyglądał jak więzienie. Całość przywodziła na myśl niewielkie, samowystarczalne miasto. Parking był w połowie wypełniony samochodami, połyskującymi w blasku reflektorów.

– Jest Brianna! – wykrzyknął Caine i ręką wskazał dziewczynę, zgiętą wpół, uczepioną ogrodzenia, szarpiącą je bezskutecznie, raz po raz. Obejrzała się na nich ze strachem. Światło nadawało jej twarzy błękitnobiałą barwę. Krzyknęła coś, czego Caine nie słyszał.

W wyraźnej frustracji potrząsnęła siatką, nie mogąc jej pokonać. Nie mogąc zwrócić na siebie uwagi nikogo z wartowni. O ile w ogóle ktoś tam był.

Panda wdusił hamulec i samochód się zatrzymał.

Caine wyskoczył na zewnątrz i uniósł ręce w kierunku Brianny. W jednej chwili jednak zmieniła się w rozmazaną plamę i zniknęła, by pojawić się w połowie wysokości zbocza po prawej.

– Cześć, dawno się nie widzieliśmy! – zawołał do niej.

– Cześć, Caine. Jak tam noga, na której Sam przypalił ci skórę?

Uśmiechnął się do niej.

– Wszyscy wysiadać – polecił szeptem. – Już!

Panda, Jack i Diana wyskoczyli z pojazdu. Może Robal też wyskoczył, Caine go nie widział, ale w wypadku Robala niewiele to znaczyło.

– Co porabiasz? – spytała Brianna. Żuła gumę i siliła się na nonszalancję. Caine jednak widział, że nie pozbierała się jeszcze po

wysiłku. Na pewno odczuwała zmęczenie. A także głód. Żałował, że nie mógł jej zaproponować czegoś do jedzenia. Jak kości psu. Sprawdziłby jej lojalność.

Ale nie wzięli żadnego prowiantu.

– O, niewiele – odparł. Opuścił ręce, skrzyżował je na piersi, i skierował dłonie na samochód za swoimi plecami. Potem szybkim ruchem wzniósł je nad głowę i opuścił za sobą.

Samochód oderwał się od ziemi. Pomknął ku niebu niczym olbrzymie jojo, które urwało się ze sznurka.

Pojazd zatoczył ciasny łuk, unosząc się na wysokość sześciu, może dziesięciu metrów nad ziemię, po czym pomknął w dół, prosto na Briannę.

Walnął o ziemię z oszałamiającą siłą. Wszystkie szyby prysły w milion połyskujących kawałków. Jakby ktoś wrzucił do środka granat. Dwie opony wybuchły. Maska oderwała się, zawirowała w powietrzu i spadła z hukiem.

Brianna stała sześć metrów od miejsca uderzenia.

– No, no. To było niezłe – zadrwiła. – Założę się, że wydawało ci się bardzo szybkie. Samochód leciał jak błyskawica. Może spróbujesz jeszcze raz?

– Drażni się z tobą, Caine – odezwała się Diana, stając obok niego. – Gra na zwłokę. Nie mówiąc o tym, że jeśli ktoś jest w elektrowni, mógł to usłyszeć.

Samochód Drake'a zatrzymał się tuż za nimi. Drake wyskoczył z kabiny i pognał w kierunku Brianny, w biegu rozwijając swój pejcz. Dziewczyna roześmiała się i pokazała mu środkowy palec.

– Daj spokój, Drake, nie złapiesz mnie.

Rzucił się do niej, ale nagle znalazła się za nim.

– Przestań, Drake! – krzyknął Caine. – Nie złapiesz jej. Nic, tylko hałasujemy i tracimy czas.

– Brama zamknięta – oznajmiła Brianna z szyderstwem w głosie, pojawiwszy się niespodziewanie na wyciągnięcie rąk przed Caine'em. Gdy się zatrzymała, trzęsła się niczym strzała w chwilę po uderzeniu w cel.

– Brama? – powtórzył Caine. Wycelował dłońmi w rozbity samochód. Pojazd oderwał się od ziemi i poleciał, obracając się i rozrzucając za sobą odłamki szkła, które wyglądały jak ogon komety.

Grzmotnął o bramę, wyrwał ją z zawiasów, okręcając się siatką, pociągnął poskręcany metal przez dwanaście metrów, po czym wpadł na parking i uderzył w zaparkowanego minivana.

Hałas był taki, że głuchy by się obudził.

– A teraz – powiedział Caine – jest otwarta. Do widzenia, Brianno.

Dziewczyna zgromiła go wzrokiem i zniknęła.

– Drake, zostaw dwóch ludzi przy wartowni – nakazał Caine. – Chodźmy i miejmy już to z głowy.

Edilio wjechał jeepem na podjazd przed domem Zila, Huntera, Lance'a i Harry'ego. Sam i Dekka natychmiast wyskoczyli. Drzwi wejściowe stały otworem.

– Edilio? Jedź. Znajdź Lane. Po drodze zgarnij Taylor, jeśli nadal jest na placu. Może pomóc ci w poszukiwaniach.

– Na pewno nie chcesz, żebym...

– Znajdź Lane. – Klepnął dłonią o maskę, dając mu znak, by się spieszył. Edilio wrzucił wsteczny i odjechał.

– Jak to rozegramy? – spytała Dekka.

– Zobaczymy, co i jak. Jeśli Hunter zwariował, podnieś go nad ziemię i nie pozwól mu uciec. Walnij nim o sufit, jeśli będzie trzeba. Nie chcę zrobić mu krzywdy, tylko z nim pogadać – powiedział Sam. Zapukał w otwarte drzwi, które uchyliły się do środka. – Hunter! Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi.

– Dobra, to ja, Sam, wchodzę. – Celowo nie wspomniał, że jest z nim Dekka. Stanowiła broń, którą wolał trzymać w odwodzie. – Mam nadzieję, że nie będzie żadnych problemów.

Sam wziął głęboki wdech i wszedł do środka.

W przedpokoju wisiał portret atrakcyjnej, lecz poważnej kobiety o bujnych, rudych włosach. Ktoś – zapewne jeden z obecnych mieszkańców – oszpecił obraz wąsami, starannie dorysowanymi czarnym markerem.

W korytarzu panował bałagan. Talerz do rzucania na stoliku, brudne sportowe skarpetki, wiszące na żyrandolu, przekrzywione i popękane lustro. Podobnie wyglądała większość pozbawionych rodziców mieszkań w ETAP-ie.

W pierwszym pokoju, w dawnej jadalni, po lewej, było ciemno. Kuchnia znajdowała się z przodu, na końcu korytarza, za schodami. Salon jeszcze dalej, po prawej stronie. Dekka wsunęła głowę do jadalni, zajrzała pod stół.

– Pusto – szepnęła.

Sam ruszył do salonu.

W pomieszczeniu panował jeszcze gorszy nieład niż w korytarzu. Porozrzucane tu i ówdzie płyty DVD, puste puszki po napojach i jakieś żółte kulki do zabawkowych pistoletów, rodzinne zdjęcia – przedstawiające tę samą rudowłosą kobietę i zapewne jej męża – przewrócone na kominku, gruba warstwa kurzu na półkach.

Na początku Sam nie zauważył Harry'ego. Chłopak upadł pomiędzy kanapę a ciężki, niski stolik. Ale jeszcze jeden krok i już miał go w polu widzenia.

Harry leżał twarzą do ziemi. Na jego karku widniał sflaczały pęcherz. Samowi skojarzył się on ze zużytym balonem, trzy dni po imprezie. Chciał odepchnąć stół na bok, ten jednak się zaklinował.

– Dekka?

Dziewczyna podniosła rękę i stół oderwał się od podłogi. Sam go popchnął. Mebel popłynął w powietrzu, aż znalazł się poza zasięgiem Dekki i gruchnął o podłogę.

Sam ukląkł przy Harrym. Delikatnie, omijając pęcherz, przyłożył dwa palce do jego szyi.

– Nic nie czuję – stwierdził. – Ty spróbuj.

Dekka rozejrzała się, szukając czegoś, aż znalazła małą puderniczkę z lusterkiem. Przekręciła głowę Harry'ego na bok i ustawiła lusterko przy jego nozdrzach.

– Co robisz? – spytał Sam.

– Jeśli oddycha, zobaczymy to. Kondensacja.

– Zdaje się, że nie żyje – stwierdził Sam.

Oboje wstali i cofnęli się o parę kroków. Dekka odłożyła puderniczkę, ostrożnie, jakby Harry spał i nie chciała go obudzić.

– Co dalej? – zastanawiała się Dekka.

– Dobre pytanie – stwierdził Sam. – Szkoda, że nie mam dobrej odpowiedzi.

– Jeśli Hunter go zabił...

– Tak.

– Ta cała akcja „odmieńcy kontra normalni"...

– Nie możemy tego tak zostawić – powiedział z naciskiem. – Jeśli Hunter to zrobił... Znaczy, chyba powinniśmy posłuchać, co on sam ma na ten temat do powiedzenia.

– Może pogadaj z Astrid, co? – podsunęła Dekka.

Sam zaśmiał się gorzko.

– Powie, że mamy zrobić proces.

– Może powinniśmy się postarać, żeby nie doszło do najgorszego – powiedziała dziewczyna.

Nie odpowiedział.

– Wiesz, o czym mówię – dodała.

Skinął głową.

– Tak. Wiem. Staramy się uniknąć głodu. Próbujemy być gotowi, na wypadek, gdyby Caine coś zaczął. Ostatnie, czego nam potrzeba, to jakaś wielka kłótnia między odmieńcami a normalnymi.

– Oczywiście Zil nie będzie milczał, niezależnie od tego, co zrobimy – zauważyła Dekka. – Możemy powiedzieć, że kiedy tu przyszliśmy, Harry'ego nie było i nic nie znaleźliśmy. Ale Zil nigdy w to nie uwierzy, a wiele dzieciaków weźmie jego stronę.

– Tak – powiedział Sam. – Mamy problem.

Stali obok siebie, patrząc w dół, na Harry'ego. Pęcherz wciąż

powolutku się kurczył.

Potem Sam wyszedł na podjazd. Edilio podjechał dziesięć minut później z Dahrą Baidoo na miejscu pasażera.

– Cześć, Dahra – przywitał ją Sam. – Dzięki, że przyjechałaś.

– Nie mogłem znaleźć Lany – oznajmił Edilio. – Nie było jej w pokoju w Clifftop. Psa też nie było. Taylor poleciała szukać jej po okolicy. Reszta czeka na placu, na wypadek gdybyśmy ich potrzebowali.

Sam skinął głową. Przywykł już do dziwnych i niespodziewanych przenosin Lany. Uzdrowicielka była niespokojnym duchem.

– Dahra, zerknij tu, co? W środku. Na podłodze.

Edilio popatrzył na niego pytająco. Sam pokręcił głową, unikając kontaktu wzrokowego.

Dahra wróciła po niecałej minucie.

– Nie jestem Laną, ale nawet ona nic by tu nie poradziła. Nie jest Jezusem – wypaliła. – Nie wskrzesza umarłych.

– Mieliśmy nadzieję, że Harry jeszcze żyje – odparła Dekka.

– Nie – stwierdziła Dahra. – Czy któreś z was zauważyło, że skóra na jego karku nie była oparzona? Włosy dookoła nie były przypalone? Ten bąbel musiał wezbrać od wewnątrz. Co oznacza, że coś ugotowało go od środka. To odsuwa podejrzenia od ciebie, Sam. Widziałam twoją robotę. Ludzie wyglądają po niej jak jabłka rzucone w żar.

– Hej – wtrącił ze złością Edilio. – Nie ma powodu, żebyś wyżywała się na Samie.

– W porządku, Edilio – powiedział łagodnie Sam.

– Nie. On ma rację. – Dahra dotknęła ramienia Sama. – Przepraszam. Jestem zmęczona i nie lubię oglądać zwłok, okej?

– Okej – powiedział Sam. – Idź do domu. Przepraszam, że cię wyciągnąłem.

Spojrzała na niego z namysłem.

– Co z tym zrobicie?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, ale cokolwiek uczynię, pewnie wszyscy się wściekną. Edilio może cię odwieźć do domu.

– Nie ma potrzeby, to pięć minut piechotą. – Dahra poklepała go po ramieniu i poszła.

Gdy już jej nie było, Sam zagadnął:

– Chyba musimy pogadać z Hunterem.

– Chyba? Stary, to nie jest coś, co można odpuścić – powiedział Edilio. – To zabójstwo.

– Orc zabił Betty – zauważył Sam. – A nadal jest wolny.

– Wtedy nie stałeś na czele – stwierdził Edilio. – Nie mieliśmy systemu.

– Nadal nie mamy systemu. Mamy tylko mnie, żeby mógł mnie dręczyć każdy, kto ma jakiś problem – odparł Sam. – To nie jest system. Widzisz gdzieś tu Sąd Najwyższy? Ja widzę siebie, ciebie i może kilkanaście innych osób, które cokolwiek obchodzi.

– Mówisz, że dzieciaki mogą kogoś zabić i to jest w porządku?

Sam przygarbił się.

– Nie. Nie. Pewnie, że nie. Ja tylko... Nic.

– Ściągnę swoich chłopaków, pójdziemy szukać Huntera – oznajmił Edilio. – Ale muszę wiedzieć, co robić, jeśli nie będzie chciał iść z nami? Albo spróbuje zrobić krzywdę któremuś z naszych?

– Przyjdź po mnie, gdyby tak się stało – odrzekł Sam.

Ediliowi najwyraźniej nie spodobało się to zalecenie.

Skinął jednak głową i wyszedł.

Dekka popatrzyła za nim.

– Edilio to dobry chłopak – stwierdziła.

– Ale?

– Ale jest normalny.

– Nie będzie takich podziałów, na odmieńców i normalnych – powiedział Sam z naciskiem.

Dekka omal się nie roześmiała.

– Sam, to wspaniała koncepcja. I może w nią wierzysz. Ale ja jestem czarna i jestem lesbijką, więc coś ci powiem. Na ile się orientuję... Z własnego doświadczenia... Zawsze są podziały.

Rozdział 19

18 GODZIN, 35 MINUT

Przejechali terenówką przez dziurę w ogrodzeniu, ominęli poskręcaną siatkę, po czym zahamowali na parkingu przed elektrownią.
Sama wielkość elektrowni budziła respekt. Obudowy bezpieczeństwa miały wysokość drapaczy chmur. Budynek, w którym znajdowały się turbiny, wznosił się, ponury i nieprzyjazny, niczym wielkie, pozbawione okien więzienie.
Drzwi, niewiarygodnie wręcz małe, stały otworem. Nie padało stamtąd żadne światło, Caine dostrzegł jednak w środku przycupniętą postać.

– Hej! Co tu robicie? – zawołał młody głos.

Caine nie poznał, kto to, niemal go nie widział. Panował tu duży hałas, więc udał, że nie słyszy. Przyłożył dłoń do ucha i krzyknął:

– Co?

– Stójcie! Nie podchodźcie bliżej!

– Podejść bliżej? Dobra. – Caine szedł dalej. Diana i Jack zostali z tyłu, ale Drake ruszył szybkim krokiem, by dotrzymać mu kroku. W prawej ręce trzymał pistolet automatyczny. Jego macka drgała i wiła się jak wąż, który nie może się doczekać okazji do ataku.

– Stać! Stać, mówię!

Od drzwi dzieliło ich już tylko trzydzieści metrów. Caine nie zwolnił kroku.

– Stać, bo strzelam! – wykrzyknął głos, przestraszony, niemal błagalny.

Caine zatrzymał się. Drake stanął przy nim.

– Bo strzelasz? – spytał Caine zdziwionym tonem. – Niby dlaczego miałbyś do mnie strzelać?

– Musimy wykonywać rozkazy.

Caine parsknął śmiechem.

– Nawet nie umiesz tego powiedzieć. Kim ty w ogóle jesteś? Jeśli masz mnie zastrzelić, powinienem wiedzieć.

– Josh – dobiegła odpowiedź. – To ja, Josh.

– To ja, Josh – przedrzeźniał go Caine.

Drake warknął:

– Lepiej się cofnij, ja Josh, bo inaczej ja, Biczoręki, zrobię ci krzywdę.

Nagła salwa była ogłuszająca. Josh strzelał bezładnie, pociski rozbiły w drobny mak szyby samochodów zaparkowanych z dala od nich, po prawej.

Caine padł na chodnik.

Drake ani drgnął. Wzniósł pistolet, starannie wycelował i strzelił.

Bam. Bam. Bam.

Z każdym strzałem robił krok do przodu.

Josh załkał ze strachu.

Bam. Bam. Bam.

Za każdym razem huk oszałamiał. Za każdym razem z lufy błyskał ogień, oświetlając puste, zimne oczy Drake'a.

Potem Drake puścił się biegiem ku drzwiom, trzymając broń prosto. Nawet w biegu strzelał ze starannością i precyzją.

Josh odpowiadał ogniem, ale pociski leciały gdzieś w noc, mijając

nawet zaparkowane samochody i w żaden sposób nie powstrzymując napastnika.

Bam. Bam.

Klik.

Caine pozostał na ziemi i patrzył, jak urzeczony, na Drake'a spokojnie wysuwającego magazynek. Magazynek zabrzęczał o beton.

Drake przytrzymał pistolet delikatnym końcem macki i z myśliwskiej kamizelki, którą miał na sobie, wyjął drugi magazynek. Wsunął go w broń.

Josh strzelił znowu. Tym razem uważniej. Pociski wzbiły iskry pod nogami Drake'a.

Drake powoli podniósł pistolet. Strzelił i ruszył naprzód, znowu strzelił i Josha już nie było – uciekł w głąb budynku, wzywając pomocy, krzycząc, by jakiś lepszy strzelec ruszył mu na ratunek.

Caine wstał, zawstydzony tą demonstracją zimnej krwi. Pobiegł, by dogonić Drake'a, który wchodził już przez drzwi do budynku.

Rozbrzmiał kolejny donośny huk, tym razem inny, stłumiony.

Prostokąt drzwi zajaśniał od rozbłysku z lufy.

Krzyk bólu.

– Poddaję się! Poddaję!

Caine wkroczył do sali z turbinami. Tam, na podłodze, pod potężnymi, wyjącymi maszynami, bezlitośnie oświetlanymi niesamowitym, fluorescencyjnym blaskiem, leżał Josh. Oszołomiony, w czarnej kałuży własnej krwi. Jedną nogę miał wykręconą pod niemożliwym kątem.

Caine poczuł ukłucie gniewu. Josh był dzieckiem, miał najwyżej

dziesięć lat. Co Samowi przyszło do głowy, żeby powierzać takie zadania dzieciom?

– Nie zabijaj mnie, nie zabijaj! – błagał chłopiec.

Drake wzniósł swój bicz i opuścił go z ogromną prędkością na wzniesione ręce ofiary.

Josh krzyknął i zwinął się z bólu. Krzyk nie ustawał.

– Zostaw go – warknął Caine. – Idź do nastawni.

Drake odwrócił się do niego, warcząc jak zwierzę, z obnażonymi zębami i dzikim wzrokiem. W oczach miał pogardę i furię. Caine wzniósł ręce, gotowy, czekając, aż jego adiutant zwróci swój bicz przeciwko niemu.

Zamiast tego Drake kopnął leżącego chłopca w zgruchotaną nogę i ruszył naprzód. Josh, szlochając, popełznął w stronę drzwi.

To wszystko wydawało się nienaturalne, jak z koszmarnego snu.

Drake szedł przed siebie. Jego macka drgała, lufa pistoletu dymiła.

Caine usłyszał, że nadchodzą żołnierze Drake'a. Na szarym końcu podążali Diana i Jack.

– Drzwi zamknięte! – zawołał Drake.

Caine szarpnął za klamkę. Była to ciężka stal w ciężkiej, stalowej ościeżnicy – drzwi miały najwyraźniej wytrzymać eksplozję lub atak. Gdyby trafił w nie bezpośrednio falą uderzeniową swojej mocy telekinezy, może by się otworzyły. Ale w ograniczonej przestrzeni sam też mógł oberwać.

– Niedługo nie będą zamknięte.

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś wystarczająco ciężkiego do swoich celów. Przy turbinach znalazł stalową skrzynię na narzędzia na

kółkach. Miała metr dwadzieścia wysokości i była potężna.

Caine uniósł ją ponad podłogę i cisnął przez pomieszczenie. Walnęła w zamknięte drzwi.

Widok Drake'a, rozpłaszczonego na ścianie, by uchylić się przed kluczami i śrubokrętami, które wysypały się ze skrzyni niczym odłamki, okazał się dla niego ogromną nagrodą.

Skrzynia była powginana, a drzwi ledwie zadraśnięte.

Caine odciągnął skrzynię i cisnął nią ponownie. Tym razem ze środka wyleciało jeszcze więcej narzędzi, a skrzynia została sprasowana do połowy swoich wcześniejszych rozmiarów. Drzwiom jednak nic się nie stało.

Caine poczuł na ramieniu dłoń Diany.

– Hej. Może sprawdzisz, co może zrobić Jack.

Był rozdarty. Z jednej strony bał się, że znowu zawiedzie, bezskutecznie waląc w drzwi, z drugiej – że ten komputerowy świr da prawdziwy popis. Tu chodziło nie tylko o atak na elektrownię, ale też o rywalizację z Drakiem.

– Pokaż, co umiesz, Jack – powiedział w końcu.

Komputerowy Jack niepewnie ruszył naprzód, popędzany przez Dianę.

Położył rękę na drzwiach, próbując utrzymać się na podłodze w swoich trampkach. Pchnął drzwi, a nogi odjechały spod niego. Opadł na jedno kolano.

– Za ślisko – uznał Jack.

– Musimy przejść te drzwi, zanim zjawi się tu Sam – wyjaśnił Caine. – Potrzebujemy zakładników i potrzebujemy tej nastawni.

Jego wzrok spoczął na ciężkim kluczu francuskim.

– Uważaj.

Uniósł narzędzie aż pod sufit, obrócił je pionowo, po czym gwałtownie opuścił ręce i klucz utkwił w podłodze. Przebił terakotę oraz beton i sterczał niczym hak do wspinaczki, wbity w skalną ścianę. Caine powtórzył tę czynność jeszcze trzy razy, umieszczając w podłodze ciężkie stalowe narzędzia.

– Dobra, możesz ich użyć.

Jack zaparł się nogami, przyłożył dłonie do drzwi i nacisnął z całej siły.

Edilio nie znalazł Huntera. Natrafił za to na Zila i grupkę kilkunastu dzieciaków. Ci z kolei odszukali Huntera. Osaczyli go na ganku domu, w którym mieszkały Astrid i Mateczka Mary.

Edilio domyślał się, czemu Hunter poszedł właśnie tam. Spodziewał się po Astrid spokoju i rozsądku. Udzieliłaby mu schronienia, przynajmniej na jakiś czas.

Scena, którą ujrzał, nie miała jednak w sobie nic ze spokoju i rozsądku. Astrid, ubrana w nocną koszulę, z potarganymi włosami, stała na szczycie schodów ganku i ze złością celowała w Zila palcem. Hunter krył się z tyłu. Może nie kulił się ze strachu, ale też nie wychodził do przodu.

Koledzy Zila – wszyscy normalni, jak z niepokojem zauważył Edilio – byli wściekli. A raczej znaczna ich część była wściekła, bo niektórzy po prostu się wygłupiali, zadowoleni z pretekstu, by wstać i biegać po mieście w środku nocy.

Większość miała jakąś broń, kije bejsbolowe czy łyżki do opon. Edilio dostrzegł, że jeden niesie strzelbę. Chłopak ze strzelbą, Hank, był w dawnych czasach cichy i spokojny. Teraz na takiego nie wyglądał. Edilio zatrzymał jeepa przy krawężniku. Nie zdążył zebrać swoich ludzi, przyjechał zupełnie sam. Wszyscy zauważyli jego przyjazd, ale nikt nie przestał krzyczeć.

– To zmutowany morderca! – darł się Zil.

– Co chcecie zrobić? Zlinczować go? – spytała Astrid.

Na chwilę się uspokoili, zastanawiając się, co to znaczy „zlinczować". Zil jednak szybko odzyskał rezon.

– Widziałem, jak to zrobił. Użył swojej mocy i zabił Harry'ego.

– Próbowałem cię powstrzymać, żebyś nie rozwalił mi łba! – zawołał Hunter.

– Ty kłamliwy odmieńcu!

– Myślą, że wszystko im wolno! – wydarł się inny głos.

Astrid przemówiła, najspokojniej, jak umiała, podnosząc jednak głos, by ją słyszeli.

– Nie idźmy tą drogą, nie twórzmy podziału na odmieńców i normalnych.

– Oni już to zrobili! – wykrzyknął Zil. – To odmieńcy zachowują się, jakby byli niezwykli i jakby ich pierdy nie śmierdziały.

Tu i ówdzie rozległ się śmiech.

– A teraz zaczynają nas zabijać! – ciągnął Zil.

Rozległy się gniewne okrzyki.

Edilio wypiął pierś i wszedł w tłum. Najpierw ruszył do Hanka, tego z ze strzelbą. Klepnął go w ramię.

– Daj mi to – powiedział.

– Nie ma mowy – odparł Hank. Ale jego głos nie wydawał się zbyt pewny.

– Chcesz, żeby wystrzeliła przypadkiem komuś w twarz? – Edilio wyciągnął ręce. – Oddaj to, stary.

Zil natarł na niego.

– Zabierzesz Hunterowi broń? Co? On ma moc i to jest w porządku, ale normalni nie mogą nosić żadnej broni? Jak mamy się bronić przed odmieńcami?

– Stary, ogarnij się! – odparł Edilio. Starał się, by w jego głosie pobrzmiewało przede wszystkim zmęczenie, a nie złość czy strach. I tak sprawy przybierały kiepski obrót. – Zil, chcesz odpowiadać za to, że ta spluwa wystrzeli i zabije Astrid? Pomyśl przez chwilę.

Zil zamrugał powiekami. Odparł jednak:

– Nie boję się Sama.

– To nie Sam będzie twoim problemem, tylko ja – warknął Edilio, tracąc cierpliwość. – Jeśli coś jej się stanie, załatwię cię, zanim Sam będzie miał na to szansę.

Tamten parsknął szyderczo.

– Ach, dobry chłopiec, Edilio, podlizuje się trollom. Mam dla ciebie ważną wiadomość: jesteś normalny, tak jak reszta z nas.

– Puszczę twoją gadaninę mimo uszu – powiedział spokojnie Edilio, starając się panować nad sobą i nie zdradzać emocji, choć nie mógł oderwać wzroku od podwójnej lufy strzelby. – Ale teraz zabiorę tę broń.

– Nie ma mowy! – krzyknął Hank i w następnej chwili zagrzmiał huk,

tak głośny, jakby wybuchła bomba. Rozbłysk oślepił Edilia niczym lampa błyskowa, skierowana prosto w jego twarz.

Ktoś zawył z bólu.

Edilio zatoczył się w tył i mocno zacisnął powieki, próbując odzyskać wzrok. Gdy z powrotem otworzył oczy, strzelba leżała na ziemi, a chłopak, który przypadkiem wystrzelił, trzymał się za obolałą rękę, w wyraźnym szoku.

Zil pochylił się, by złapać broń. Edilio postąpił dwa kroki w przód i kopnął go. Gdy Zil padł w tył, Edilio chwycił strzelbę. Nie zauważył jednak ciosu, od którego kolana zmieniły mu się w galaretę, a w głowie zawirowały gwiazdy.

Poczuł się jak worek cementu, ale upadając, zdołał jeszcze rzucić się naprzód, by własnym ciałem nakryć strzelbę.

Astrid krzyknęła, zeskoczyła ze schodów, by go chronić.

Antoine, ten, który uderzył Edilia, wzniósł kij bejsbolowy, by zadać kolejny cios, ale gdy się zamierzał, przypadkiem trafił Astrid w twarz. Zaklął, nagle przestraszony.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Zil.

Rozległ się nagły tupot nóg. Na chodniku, na jezdni. Poniósł się echem po całej ulicy.

Edilio z trudem utrzymywał się na nogach. Nie było to łatwe. Stopy nie chciały zostać tam, gdzie je stawiał.

Astrid jedną ręką zasłaniała oko, drugą jednak podtrzymywała Edilia.

– Nic ci nie jest? – spytała. – Postrzelił cię?

– Zdaje się, że nie. – Edilio obmacał się po całym ciele, nie znajdując żadnych obrażeń, z wyjątkiem rosnącego guza na ciemieniu.

Odzyskał wzrok na tyle, by dostrzec czerwony obrzęk w miejscu, gdzie kij uderzył Astrid w oko.

– Będziesz miała podbite limo.

– To nic – odparła, roztrzęsiona, lecz silna.

Paczka Zila rozpierzchła się. Zniknęła. Zostało tylko ich troje: Edilio, Astrid i Hunter.

Edilio ostrożnie wziął strzelbę.

– Chyba mogło być gorzej. Nikt nie oberwał.

– Hunter, przynieś z domu trochę lodu na głowę Edilia – poprosiła Astrid.

– Dobra, nie ma sprawy – Hunter pognał do środka.

Gdy już nie mógł ich usłyszeć, dziewczyna spytała Edilia:

– Co zamierzasz zrobić?

– Sam powiedział, że mam przyprowadzić Huntera.

– Aresztować go? – spytała.

– Tak, bo nagle zostałem też kimś w rodzaju szeryfa – odrzekł z goryczą, dotykając guza na swojej głowie. – Widocznie przeoczyłem dzień, w którym się na to pisałem.

– Czy Hunter naprawdę zabił Harry'ego?

Edilio pokiwał głową, od czego natychmiast poczuł w czaszce ostre ukłucie bólu.

– Tak. Zabił go. Może to był wypadek, jak mówi Hunter, ale tak czy owak lepiej zabiorę go do ratusza.

Astrid przytaknęła.

– Dobra. Porozmawiam z nim. Wytłumaczę mu, że to jedyny sposób.

Oboje weszli do środka. Huntera nie było w kuchni. Za to rozsuwane, szklane tylne drzwi stały otworem.

Brittney Donegal cofnęła się od drzwi, gdy zaczął się łoskot. Mickey Finch i Mike Farmer stali już po drugiej stronie pomieszczenia, przy gabinecie dyrektora elektrowni. Czekali, aż Brittney udzieli im jakichś wskazówek, bo sami nie mieli pojęcia, co robić.
Brittney miała dwanaście lat i nadwagę, a także pryszczatą twarz i duże okulary w czarnych, rogowych oprawkach. Nosiła zbyt wysoko podciągnięte spodnie od dresu i różową bluzkę z falbankami, przynajmniej o jeden rozmiar za małą. Jej proste kasztanowe włosy były spięte w mysie ogonki.
Na zębach miała klamerki – nieregulowane od trzech miesięcy. Stały się już zupełnie nieskuteczne, ale nie miała pojęcia, jak je zdjąć. Trochę podkochiwała się w Mike'u Farmerze, teraz jednak nie robił na niej zbyt dobrego wrażenia.

– Musimy się stąd wydostać, Britt – jęknął Mike.

– Edilio powiedział, że gdyby coś się działo, mamy zamknąć te drzwi i czekać – odparła.

– Mają broń! – wykrzyknął Mike.

Kolejny łoskot. Wszyscy podskoczyli. Drzwi nawet nie drgnęły.

– My też – odparła Brittney.

– Josh pewnie już wraca do miasta, bezpieczny, mogę się założyć – powiedział Mickey. – Mike ma rację, musimy się stąd wynosić.

Brittney nie marzyła o niczym innym niż o ucieczce. Doszła jednak do wniosku, że jest żołnierką. Tak powiedział Edilio. Mieli za zadanie

bronić elektrowni.

„Wiem, że jesteśmy tylko dziećmi", mawiał. „Ale pewnego dnia może się okazać, że dzieci będą musiały wystąpić naprzód, być kimś więcej niż tylko dziećmi. "

Brittney była na placu w dniu wielkiej bitwy. To Edilio zabił kojota, który znalazł się tuż obok, kłapał zębami nad jej gardłem, a potem pochwycił jej nogę w szczęki niczym we wnyki.

Nie miała żadnych blizn na nodze po ugryzieniu kojota. Uzdrowicielka wszystko wyleczyła. Nie miała też szramy po pocisku, który wyrył jej bruzdę w ramieniu. Lana usunęła wszystkie rany. Ale młodszy brat Brittney, Tanner, znalazł się wśród dzieci pochowanych na placu. Edilio wykopał mu grób koparką.

Brittney nie darzyła Edilia żadnym romantycznym uczuciem; jej emocje sięgały znacznie głębiej. Wolałaby smażyć się przez wieczność w najgorętszych ogniach piekielnych, niż zawieść Edilia.

Nie szpeciły jej żadne blizn, lecz miewała koszmary, i to nie tylko we śnie. Mike też był na placu owego dnia i odniósł jeszcze gorsze rany. Stał się jednak po tym przestraszony i nieśmiały, podczas gdy Brittney była gniewna i zdeterminowana.

– Ktokolwiek przejdzie przez te drzwi, zastrzelę go – powiedziała głośno, na tyle głośno, by usłyszeli ją ci po drugiej stronie, kimkolwiek byli.

– Ja nie. Wychodzę – stwierdził Mickey. Odwrócił się i uciekł.

– Też chcesz zwiać? – spytała wyzywającym tonem Mike'a.

– Lany tu nie ma – odparł. – Co, jeśli mnie trafią? Jestem tylko dzieckiem, wiesz.

Brittney zacisnęła palce na swoim pistolecie maszynowym. Wisiał na jej ramieniu. Już dawno przywykła do tego ciężaru. Odbyła cztery próbne strzelania, zgodnie z programem szkolenia, który opracował Edilio. Za pierwszym razem rzuciła broń i zalała się łzami, a Edilio spytał, czy chce zrezygnować.

Wtedy jednak objawił się Tanner, cichy głos, który przemawiał do niej, gdy się bała, i powiedział, by przestała się przejmować, bo on jest już w niebie z Jezusem i aniołami. Był bardzo szczęśliwy, nie czuł bólu, strachu ani samotności.

Następnym razem utrzymała broń, mimo odrzutu. Później już mniej więcej trafiała w to, w co mierzyła.

– Jeśli tam jest Caine, dopadnę go – oznajmiła. – Nienawidzę go. To znaczy, nienawidzę tego, co zrobił. Potępiaj grzech, a nie grzesznika. I zastrzelę go, żeby nikogo więcej nie skrzywdził.

Łoskot ustał. Teraz działo się coś innego. Drzwi zdawały się wybrzuszać do środka. Skrzypiały i klekotały. Rozległ się głośny trzask.

Drzwi mogły lada chwila puścić.

– Uciekaj, Mike – powiedziała Brittney. Był słaby. Cóż, niektóre dzieci tak miały. Musiała mu wybaczyć. – Ale zostaw pistolet.

– Gdzie mam go położyć?

Wpatrywała się w drzwi. Wyginały się, prężyły. Coś bardzo, bardzo silnego pchało je z drugiej strony.

– Na podłodze. Pod ostatnią konsolą. Tak, żeby nikt go nie zauważył.

– Powinnaś iść ze mną – rzekł błagalnie.

Palec dziewczyny spoczął na spuście.

– Nie. Raczej tego nie zrobię.

Słyszała jego kroki, gdy wycofywał się korytarzem. Spodziewała się, że drzwi ustąpią w ciągu kilku sekund. A potem pomyślała, że znajdzie się w niebie ze swoim braciszkiem.

– Panie, pomóż mi i daj odwagę – pomodliła się. – W imię Jezusa. Amen.

– Nic się nie stanie, jeśli zginę, Tanner – powiedziała innym tonem, czując, że zmarły brat ją słyszy. – O ile tylko Caine umrze pierwszy.

Rozdział 20

18 GODZIN, 29 MINUT

Brianna nie spotkała Sama na drodze do elektrowni, gdy pędziła z powrotem do miasta. Na żadnej z dróg. Widziała tylko jeden pojazd, dużą półciężarówkę, w której siedzieli Quinn, Albert, Cookie i Lana. Pomyślała, że może powinna ich zatrzymać, powiedzieć, by jechali do elektrowni, ale prawdę mówiąc ta czwórka nieszczególnie nadawała się do walki. Quinn i Cookie podobno byli żołnierzami, ale teraz musiała znaleźć Sama, a nie jego bezużytecznego koleżkę od surfingu. Sama nie było też na stacji benzynowej. Ani w ratuszu, ani na placu. W żadnym z miejsc, w których szukała.

Szybko traciła siły. Prędkość ją wyczerpywała. Może nie tak bardzo, jak się spodziewała, biorąc pod uwagę, że w sumie przebiegła jakieś dwadzieścia pięć kilometrów ulicami i zaułkami. Tak czy owak była wyczerpana. A głód, niczym lew, szarpał jej trzewia.

Trampki miała w strzępach. Znowu. Nike nie produkowało butów do poruszania się z szybkością samochodu wyścigowego.

Wtem usłyszała głośny huk. Niełatwo było odgadnąć, z której strony dobiegł. Nagle jednak wokół zaroiło się od dzieciaków, które biegły. Powoli. Bardzo powoli. Ale najszybciej, jak potrafiły, biedactwa.

– Co się dzieje? – spytała, gwałtownie się zatrzymując.

Nikt nie odpowiedział. Najwyraźniej się jej bali.

Było jednak jasne, że uciekają, a nie biegną do czegoś. Pomknęła więc z powrotem ulicą i w czasie krótszym niż dwa uderzenia

normalnego serca stała już w otwartych drzwiach Astrid.

– Hej. Jest tu ktoś?

Ze środka wyszła Astrid, a za nią Edilio. Dało się zauważyć, że dla żadnego z nich nie była to dobra noc. Dziewczyna miała czerwony obrzęk obok oka. Chłopak ostrożnie pocierał głowę. W dłoniach trzymał potężną strzelbę.

– Gdzie Sam? – spytała Brianna. – Co się wam stało?

– Ominęła cię cała zabawa – odparł kwaśno Edilio.

– Nie. Wcale nie. To was ominęła! – wykrzyknęła Brianna. – Caine atakuje elektrownię. Jest tam. On, Drake i jeszcze parę osób.

– A co z naszymi? – spytał Edilio.

– Nie widziałam nikogo. Słuchaj, Caine rzucił samochodem w bramę. Zawziął się nie na żarty.

– Wiesz, gdzie mieszka Hunter? – spytał Edilio.

Brianna pokiwała głową, lecz zbyt szybko, by ktokolwiek mógł to zauważyć. Dorzuciła więc:

– Tak.

– Ruszaj, tam ostatnio widziałem Sama. Powiedz, że zbieram chłopaków. Potrzebuję pół godziny. Powiedz Samowi, że spotykamy się na autostradzie.

– Twoje buty – zagadnęła Astrid, wskazując stopy Brianny. – Jaki rozmiar nosisz?

– Szóstkę.

– Znajdę ci jakieś nowe.

Zanim jednak zdążyła się ruszyć, Brianna pognała po schodach i już była z powrotem. Usiała na ganku i zaczęła przymierzać nową

parę New Balance.

– Dzięki – rzuciła w stronę zdumionej Astrid.

– Tylko nie zapomnij... – zaczęła Astrid, ale pomiędzy „nie" a „zapomnij" tamta zdążyła już dotrzeć do domu Huntera.

Dekka właśnie schodziła ze schodów i wyglądała jak gradowa chmura. Wzdrygnęła się, gdy Brianna wyrosła nagle tuż przed nią.

– Cześć, Bryzo – powiedziała. Niemal się uśmiechnęła.

– Jest tu Sam?

– Mhm.

Brianna pojawiła się niespodziewanie przed Samem, ale jego reakcja nie była tak spokojna jak Dekki.

– Sam. Caine jest w elektrowni. Znalazłam już Edilia, zbiera swoich chłopaków. Daj mi broń, pójdę czymś zająć Caine'a.

Sam zaczął głośno kląć i przestał dopiero po chwili.

– Wiedziałem! Wiedziałem i pozwoliłem, żeby coś odwróciło moją uwagę – pieklił się na samego siebie.

– Sam. Daj mi broń.

– Co? Nie, Bryzo, potrzebuję cię. I to żywej.

– Mogę tu wrócić za jakieś dwie minuty – odparła błagalnym tonem.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Bryzo, masz swoją robotę. Jesteś łączniczką. Tak? Od walki mamy innych. Idź i pomóż Ediliowi zebrać żołnierzy. A potem spróbuj znaleźć Lane. Nie wiem, gdzie jest, a będziemy jej potrzebowali.

– Jeździ półciężarówką z Quinnem i Albertem – zameldowała Brianna.

– Co?

– Jadą półciężarówką, są na autostradzie.

Sam wyrzucił ręce w górę.

– Może jakoś usłyszeli o Cainie. Może tam jadą...

– Nie wydaje mi się. Nie braliby Alberta. A, ktoś uderzył Astrid.

Sam zamarł.

– Słucham?

– Nic jej nie jest, ale w domu coś się wydarzyło.

– Zil – Syknął Sam przez zaciśnięte zęby. Wściekle kopnął krzesło. A potem odezwał się: – Idź. Zrób to, co ci mówiłem.

– Ale...

– Nie mamy czasu na kłótnie, Bryzo.

– Ej, wy. – Quinn wyciągnął rękę, by potrząsnąć ramieniem śpiącego Alberta.

– Co? Nie śpię. Co?

– Stary, zabłądziliśmy.

– Nie zabłądziliśmy – odezwała się Lana z tylnego siedzenia.

Quinn zerknął w lusterko.

– Myślałem, że ty też śpisz.

– Nie zabłądziliśmy – powtórzyła.

– No, z całym szacunkiem, ale trudno powiedzieć, że nie zabłądziliśmy. To już nawet nie jest polna droga, tu jest po prostu, wiecie, płasko. Zresztą wcale nie tak zupełnie płasko.

Wcześniej skręcili z autostrady w boczną drogę. A z niej w następną, polną. Ta polna droga ciągnęła się w nieskończoność, bez choćby odrobiny światła, w coraz mniejszym stopniu będąc drogą, a w coraz większym – stając się polem.

– Jeśli Uzdrowicielka mówi, że nie zabłądziliśmy, to nie zabłądziliśmy – mruknął Cookie.

– Już niedaleko – stwierdziła Lana.

– Skąd wiesz? Nie trafiłbym tu nawet w biały dzień. A co dopiero w nocy.

Nie odpowiedziała.

Quinn popatrzył na drogę, a potem znowu w lusterko. Jedyne światło pochodziło z tablicy rozdzielczej, widział więc tylko słaby zarys głowy dziewczyny. Wyglądała przez okno, nie w kierunku jazdy, lecz na północny wschód.

Nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy. Miał jednak jakieś przeczucie. Brało się ono z ciężkich westchnień, które od czasu do czasu wydawała. Z roztargnienia, z jakim głaskała sierść Patricka. Z nieobecnego tonu jej głosu.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Nie odpowiedziała. Nie od razu. Dopiero po chwili. Zbyt długiej chwili.

– A co by miało być?

– Nie wiem – odrzekł.

Lana nie odezwała się.

Alberta było dla odmiany dość łatwo rozgryźć. Gdy tylko udawało mu się nie spać, skupiał się wyłącznie na wyznaczonym celu. Patrzył prosto przed siebie. Czasami Quinn zauważał, że kiwa głową, jakby prowadził jakiś wewnętrzny dialog.

Zazdrościł mu. Albert wydawał się taki pewny siebie. Najwyraźniej wiedział, dokąd zmierza i kim chce zostać.

Cookie z kolei miał własny cel: służyć Lanie. Ten potężny łobuz gotów był zrobić wszystko, co mu Lana powie.

Quinn pomyślał, że w ETAP-ie są dwa typy dzieciaków i nie chodziło o „odmieńców" i „normalnych". Jedni zmienili się na gorsze, a drudzy na lepsze. ETAP przeobraził wszystkich. Niektórzy zyskali całkiem nową osobowość. Należał do nich Albert. A także Cookie, choć w inny sposób.

Quinn wiedział, że należy do pierwszej grupy. Był jednym z tych, którzy nie do końca odnaleźli się w nowej rzeczywistości. Utrata rodziców bolała jak niezabliźniona rana. Nie przestawała boleć. Jak mogłaby przestać?

Chodziło jednak o coś więcej, niż odejście mamy i taty – o stratę, która obejmowała wszystko, co znał, wszystko, czym był. Kiedyś był luzakiem. To wspomnienie wywołało na jego wargach smutny uśmiech. Quinn był luzakiem. Jedynym w swoim rodzaju. Wszyscy go znali. Nie wszyscy go lubili, nie wszystkim podobały się jego klimaty, ale rozsiewał wokół siebie aurę wyjątkowości. Totalnie wyluzowany gość.

A teraz... w ETAP-ie stał się nikim. Dzieciaki wiedziały, że zdradził Sama na rzecz Caine'a. Wiedziały, że trochę mu odbiło w dniu wielkiej bitwy. Może nawet więcej niż trochę.

Wspomnienia o mamie i tacie, o dawnym życiu wydawały się bardzo stare. Niczym zdjęcia w albumie. Nierzeczywiste. Czyjeś wspomnienia, jego cierpienie. Czyjeś życie, jego strata.

Wspomnienia o bitwie – tych nawet nie można było nazwać wspomnieniami, bo przecież wspomnienia dotyczą wydarzeń z

przeszłości. Dzień ten może i nastąpił trzy miesiące temu, ale dla Quinna ten dzień był tutaj, teraz, miał tu pozostać na zawsze. Niczym równoległe życie, toczące się obok. Quinn prowadził samochód przez noc i czuł, jak pistolet podskakuje mu w rękach, widział kojoty i dzieci, wymieszane ze sobą, nakładające się, przeplecione przez smugi pocisków.

Zdjął palec ze spustu. Za blisko na strzał. Trafiłby dziecko. Nie mógł tego zrobić, nie mógł ryzykować, a kojot skoczył, z rozwartymi szczękami, i...

Dla Quinna to nie było dawno. To było teraz. Tutaj.

– Dobra – odezwała się Lana, przywracając go do rzeczywistości. – Zwolnij, jesteśmy prawie na miejscu.

Reflektory oświetliły splątane krzaki i skupiska kamieni. A potem mocno przypaloną drewnianą belkę. Quinn skręcił, by ją ominąć. Wdepnął hamulec. A potem znowu ruszył naprzód, tym razem znacznie wolniej.

Reflektory wyłowiły z mroku niewielki fragment ściany. Wszędzie walało się osmalone drewno. Na ziemi leżały dwie poczerniałe puszki z owocami, fasolą albo czymś innym.

Quinn mimowolnie zaczął zastanawiać się, czy w chacie zostało cokolwiek do jedzenia. Pamiętał tę przerażającą noc, gdy kulili się w domku, czekając, aż kojoty ich wyciągną i zabiją.

Właśnie wtedy Sam pokazał w końcu pełnię swojej mocy. Pierwszy raz kontrolował niszczycielskie światło, które wystrzeliwało z jego dłoni.

Quinn zatrzymał pojazd. Wyłączył bieg.

– To tutaj – powiedział.

– Co tu się stało? – spytał Albert.

Quinn zgasił światła i cała czwórka wygramoliła się z terenówki. Było cicho. O wiele ciszej, niż wtedy, gdy Quinn był tu poprzednim razem.

Przewiesił sobie pistolet maszynowy przez ramię i wyłowił latarkę spod siedzenia. Albert też miał latarkę. Dwa snopy światła trafiały raz tu, raz tam, rozświetlając a to złamaną belkę, a to przypalony kawałek materiału, a to jakieś naczynie kuchenne czy powyginane krzesło.

– Tutaj pierwszy raz spotkaliśmy Lane – wyjaśnił Quinn. – Uciekliśmy od Caine'a. Uciekliśmy do lasu na północy. Postanowiliśmy wówczas wrócić do miasta i walczyć. No, w każdym razie Sam postanowił.

Schylił się, by podnieść ciężką, dużą puszkę. Etykieta się spaliła, ale mógł to być budyń. Puszka wyglądała na nienaruszoną. Wrócił do samochodu i wrzucił ją na tył.

– Jak doszło do zniszczenia? – nie ustępował Albert.

– Częściowo to robota Sama. Pierwszy raz celowo użył swojej mocy. Nie w panice, tylko z zimną krwią, dobrze wiedząc, co robi. Żałuj, że tego nie widziałeś. – Quinn doskonale pamiętał tę chwilę. Właśnie wtedy jego dawny przyjaciel okazał się kimś o wiele, wiele potężniejszym niż on. – A poza tym kojoty podpaliły domek.

– Gdzie złoto? – spytał Albert, tak naprawdę niezbyt zainteresowany opowieścią.

Quinn czekał, aż Lana wskaże drogę, ona jednak stała jak zahipnotyzowana. Patrzyła na zbrązowiałe, martwe pozostałości ekscentrycznego pomysłu Jima Pustelnika, który postanowił

utrzymywać trawnik pośrodku jałowego pustkowia. Cookie stał tuż za nią, z wielkim pistoletem zatkniętym za pasek, w gotowości. Krzywił się, patrząc w ponury mrok, zdecydowany oddać życie za dziewczynę, która uwolniła go od nieznośnej męki.

Patrick zapamiętale podbiegał do wszystkiego, co było choćby w najmniejszym stopniu pionowe, i ostrożnie wąchał. Niczego nie oznaczał, jedynie obwąchiwał. Zachowywał się niepewnie, podkulił ogon. Zapach Przywódcy Stada musiał być wciąż silny.

– Tędy – powiedział Quinn, gdy stało się jasne, że Lana nie odpowie.

Okrążył szczątki domku. Wiele ich nie zostało, bo większość budyneczku spłonęła na popiół. Ale ocalałe, potrzaskane kawałki drewna najeżone były kolcami, więc poruszał się bardzo ostrożnie. Pochylił się, gdy miał wrażenie, że doszedł do właściwego miejsca, i zaczął odrzucać na boki kawałki desek. Ze zdziwieniem stwierdził, że podłoga jest niemal nietknięta. Płomienie jej nie strawiły, a tylko osmaliły. Znalazł klapę.

– Zobaczę, czy dam radę ją otworzyć. – Spróbował, ale ogień wypaczył zawiasy. Dopiero we dwóch, z Albertem, zdołali podnieść pokrywę. Jeden zawias się wyłamał i klapa niezgrabnie opadła w bok.

Albert skierował latarkę w dół, do otworu.

– Złoto – oznajmił.

Quinn był nieco zaskoczony jego rzeczowym tonem. Spodziewał się słów „mój sssskarb", wypowiedzianych tonem Golluma, albo czegoś w tym stylu.

– Tak. Złoto – potwierdził.

– Nie stopiło się – zauważył Albert. – Temperatura rośnie i tak dalej. Uczyli nas o tym w szkole.

– Zacznijmy je ładować. To miejsce przyprawia mnie o dreszcze! – Quinn wstrząsnął się. – Złe wspomnienia.

Albert sięgnął w dół i wyciągnął jedną sztabkę. Postawił ją z łoskotem na podłodze.

– Ciężkie, nie?

– Tak – odrzekł Quinn. – Co z tym wszystkim zrobisz?

– Hm – mruknął Albert. – Sprawdzę, czy da się to stopić i przerobić na monety. Tyle że nie mam żadnej formy. Myślałem o stalowych foremkach do wypieku babeczek.

Quinn uśmiechnął się, a potem parsknął śmiechem.

– Będziemy płacić złotymi babeczkami?

– Może. Ale w sumie znalazłem coś lepszego. Jeden z dzieciaków podczas przeszukiwania domów natrafił na miejsce, gdzie facet robił własną amunicję. Znalazł trochę form do wytapiania naboi.

Pracowicie wyjmowali złoto na ziemię. Kolejne warstwy sztabek układali na krzyż, niczym dzieci bawiące się klockami.

– Złote naboje? – Quinn przestał się śmiać. – Będziemy robić złote naboje?

– Kształt nie ma znaczenia, o ile będzie jednolity. Na jedno wychodzi, wiesz?

– Stary. Naboje? Nie sądzisz, że to trochę, no, wiesz... upiorne?

Albert westchnął z rozdrażnieniem.

– Złote pociski, bez prochu.

– Kurde, nie wiem. – Quinn pokręcił głową.

– Kaliber 7,65 milimetra – powiedział Albert. – To najmniejszy rozmiar, jaki miał ten facet.

– Czemu Cookie nam nie pomaga? – spytał Quinn.

W odpowiedzi z zewnątrz dobiegł głos Lany.

– Chłopaki, poszukam jedzenia. Cookie mi pomoże.

– Super – odrzekł Quinn.

W ciągu kilku minut wydobyli ze schowka pod podłogą całe złoto. Zaczęli nosić je do samochodu, po kilka sztabek. Były nieduże, ale ciężkie. Po skończeniu roboty czuli, jak bardzo są spoceni, pomimo chłodu nocy.

Albert wspiął się na skrzynię ładunkową i zasłonił złoto plandeką.

– Słuchaj – odezwał się, gdy przywiązywali rogi brezentu – nie chcemy, żeby ktokolwiek o tym mówił. Tak? Wszystko musi zostać między naszą czwórką.

– Moment, stary. Nie powiesz Samowi?

Albert zszedł na dół, by stanąć twarzą w twarz z Quinnem.

– Słuchaj, nie próbuję wyrolować Sama. Mam do niego wielki, totalny szacunek. Ale ten plan lepiej się sprawdzi, jeśli całość wyjdzie na jaw, kiedy system będzie spójny i kompletny.

– Nie zamierzam okłamywać Sama – odparł kategorycznie Quinn.

– Nie proszę cię, żebyś go okłamywał. Jeśli cię spyta, powiedz mu. Ale jeśli nie spyta...

Quinn wciąż się wahał, więc Albert uderzył w inny ton:

– Słuchaj, Sam to wielki przywódca. Może to nasz Jerzy Waszyngton. Ale nawet Waszyngton mylił się w pewnych sprawach. A Sam nie rozumie tego, o czym mówię. Ze wszyscy muszą pracować.

– Wie, że ludzie muszą pracować – zaoponował Quinn. – Po prostu nie chce, żebyś kogokolwiek wykorzystywał i się bogacił.

Albert otarł pot z czoła.

– Jak myślisz, po co ludzie ciężko pracują? Tylko żeby przeżyć? Myślisz, że twoi starzy pracowali tylko, żeby przeżyć? Kupowali tylko jedzenie? Wystarczył im taki dom, w którym po prostu się mieścili? Albo samochód, który ledwo jeździł?

– Głos Alberta przepełniony był entuzjazmem. – Nie, chłopie, ludzie lubią dobre życie. Chcą więcej. Co w tym złego?

Quinn roześmiał się.

– Stary, dobra, wszystko przemyślałeś i pewnie masz rację. Znaczy, co ja tam wiem? OK, nie bój się, nie pobiegnę prosto do Sama, by opowiedzieć mu, co zrobiliśmy. O ile wiem, nie muszę tego robić.

– Tylko o to proszę – wzruszył ramionami Albert. – Nie oczekuję, żebyś kłamał.

– Mhm – mruknął Quinn z cynizmem. – A co z Uzdrowicielką? Ona...

– Rozejrzał się dookoła, zdając sobie nagle sprawę, że od jakiegoś czasu nie widział ani nie słyszał Cookiego.

– Lana! – zawołał. A potem: – Uzdrowicielko!

Noc była cicha.

Quinn nakierował latarkę na kabinę półciężarówki. Może tam była. Może spała. Kabina jednak okazała się pusta.

Omiótł światłem najbliższą okolicę, wyławiając z mroku słupy, na których kiedyś wspierał się zbiornik wody Jima Pustelnika.

– Lana? Lana? Jesteśmy gotowi, żeby jechać! – wołał.

– Gdzie ona jest? – zdziwił się Albert. – Nie widzę ani jej, ani

Cookiego. Ani psa.

– Lana! Uzdrowicielko! – krzyczał Quinn. Nie doczekał się odpowiedzi.

Wymienili z Albertem przerażone spojrzenia.

Quinn nachylił się do wnętrza samochodu, zamierzając zatrąbić. Musiała usłyszeć klakson. Zamarł, gdy zobaczył naklejoną żółtą karteczkę. Zerwał ją z kierownicy i przeczytał na głos przy latarce.

– Nie próbujcie iść za nami. Wiem, co robię. Lana.

– Dobra – powiedział Albert. – Dobra, teraz musimy powiedzieć Samowi.

Rozdział 21

18 GODZIN, 23 MINUTY

Jack napierał na drzwi. Ale były mocne. Bardzo mocne. Twarda stal. Skrzypiały jednak i trzeszczały. Widział, że szczelina między drzwiami a ościeżnicą powiększa się.

Zdumiewała go własna siła. Niewiele zrobił, by nauczyć się nad nią panować. Właściwie jej nie wypróbował. Tak naprawdę ciągle o niej zapominał, czując, że nigdy nie stanie się jego integralną częścią. Dorastał jako mądrala. Lubił tę rolę. Z dumą nosił etykietkę maniaka komputerowego. Nie widział powodu, żeby zostać jakimś supersilnym mutantem. Właściwie już napierając na drzwi, zastanawiał się, jak dotrzeć do elektronicznego sterownika. Kombinował, że może wystarczy przeciąć jakieś kabelki albo zewrzeć ze sobą inne, by drzwi się otworzyły. Zadawał sobie pytanie, czy nie są sterowane automatycznie, bo wtedy mógłby złamać oprogramowanie.

Te myśli pochłaniały umysł Jacka. I sprawiały mu przyjemność. Pchać stalowe skrzydła, jakby był jakimś mięśniakiem? To było głupie. Tak postępowali durnie. A Jack się do nich nie zaliczał.

– Dawaj, dawaj – zachęcał go Caine. – Zaczynają puszczać.

Jack usłyszał, jak Diana zwraca się do Drake'a:

– Mówiłam ci, że jest silny. A ty myślałeś, że po prostu pójdziesz i przyprowadzisz go do Coates? Ha.

Drzwi mogły ustąpić w ciągu kilku sekund. Jack to czuł.

– Kiedy puszczą, musisz paść na podłogę – pouczył go Caine.

Jack chciał spytać, dlaczego, ale wysiłek sprawiał, że na jego karku żyły nabrzmiewały coraz bardziej, w płucach brakło tchu, oczy wychodziły niemal z orbit. Udział w rozmowie miał więc raczej utrudniony.

– Jak tylko puszczą, padnij – powtórzył Caine. – Ktoś może zacząć strzelać.

Co? Strzelać?

Jack zmniejszył nacisk na drzwi.

– Nie pękaj – zachęcał Drake. – Zajmiemy się każdym, kto jest po drugiej stronie.

Jack usłyszał trzask odbezpieczanej broni. I cichy, wredny śmiech Drake'a.

Mocno zaparł się stopami. Jeszcze jedno mocne pchnięcie. A potem padnij.

Nagle zaczął się bać. Strzelanina nie należała do umowy.

Pchnął mocno. Z całej siły.

Drzwi ustąpiły, ale nie tak, jak się spodziewał. Pękły przy górnym zawiasie, a zasuwa się złamała. Wciąż tkwiły w ościeżnicy, nachylone pod kątem, ale podtrzymywane przez jeden zawias. Po kolejnym pchnięciu na pewno się otworzą.

Huk wystrzałów wywołał w nim szok.

Rzucił się na podłogę. Zakrył głowę, zasłonił uszy.

– Nie zabijajcie mnie! – krzyknął. – Nie zabijajcie!

Ale nikt nie mógł go usłyszeć, bo kanonada rozlegała się teraz z obu stron. Ktoś, kto był w nastawni, strzelał krótkimi seriami przez szczelinę. Bam, barn, barn!

Drake odpowiadał szybkimi, pojedynczymi strzałami.

Pociski odbijały się od stali i rykoszetowały po całym pomieszczeniu.

Drake krzyczał, Caine krzyczał, Jack krzyczał, a zza drzwi dobiegał dziewczęcy wrzask wściekłości i strachu.

Po chwili Caine wkroczył do akcji, uderzając w drzwi swoją mocą.

Drzwi poleciały do środka.

Sunęły po podłodze i zwaliły z nóg dziewczynę, która nie przestawała strzelać. Padając, siała kulami na oślep.

Jack przylgnął do ziemi i łkał.

– Nie zabijajcie mnie!

Drake przeskoczył nad nim, z pistoletem w dłoni i rozwiniętym biczem.

Leżąc na boku, Jack zobaczył nieprawdopodobną scenę. Dziewczyna, niezdolna do żadnego ruchu, z nogami powyginanymi pod niemożliwymi kątami kierowała wciąż strzelającą broń wprost na Drake'a.

Drake trzasnął biczem.

Dziewczyna wycelowała prosto w jego pierś.

Klik.

Pusty magazynek.

Bicz trafił w cel.

Krzyk bólu.

Jeszcze raz.

– Przestań! – wrzasnęła Diana.

Caine niechcący kopnął Jacka w głowę, wpadając do środka.

I znowu rozległ się trzask bicza Drake'a, który krzyczał teraz z dziką

rozkoszą, przeklinając.

Jack poczołgał się naprzód, ślepy od łez. Znał tę dziewczynę. Znał Brittney. Chodziła z nim na historię. Siedziała trzy rzędy dalej.

Drake uderzył kolejny raz.

Pistolet bez naboi wypadł z ręki Brittney.

Krwawiła. Nogi miała zgruchotane po uderzeniu drzwiami, a jej twarz pokrywała mieszanina krwi i łez. Diana ciskała gromy na Drake'a i na Caine'a, który nie zrobił nic, by powstrzymać psychopatę, a Jack chciał krzyknąć „przepraszam, przepraszam", ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Diana złapała Drake'a za zakończone biczem ramię.

– Dosyć, ty stuknięty...

Obrócił się na pięcie i stanął z nią twarzą w twarz. Obnażył zęby i ryknął niczym zwierzę, rozsiewając kropelki śliny.

– Ona ma rację. Dosyć – oznajmił Caine.

– Zabierz ode mnie tę swoją laskę! – wydarł się na niego Drake.

Caine posłał mu lodowate spojrzenie.

– Przestań się bawić. Nie jesteśmy tu dla rozrywki.

Jack nie mógł oderwać oczu od Brittney. Jęknęła, spróbowała się ruszyć i opadła na podłogę. Nieprzytomna albo martwa. Nie wiedział. Była w jego klasie.

Znał ją.

– Do roboty, Jack – rzucił w jego stronę Caine.

Diana skierowała na Jacka nabiegłe krwią oczy, przepełnione nienawiścią i żalem. Otarła łzy.

– Jack jest ranny.

– Co? – spytał Caine. – Jack?

Jack nie był ranny. Zaczął się już podnosić, zawstydzony, że kulił się na podłodze. Ale gdy lewa noga nie mogła go utrzymać, zdziwiony, spojrzał w dół i zobaczył, że nogawka spodni poniżej kolana nasiąkła krwią.

– Traci mnóstwo krwi – stwierdziła Diana.

Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszał, zanim podłoga pognała ku niemu i uderzyła go w twarz.

Lana słyszała krzyki Quinna. Słyszała klakson. Znajdowała się najwyżej sto metrów dalej, tuż poza zasięgiem snopów światła z latarek.

Cookie bez emocji podążał za nią, choć z pewnością nie bez wahania. Lana miała nadzieję, że Quinn i Albert nie zaczną ich szukać. Nie chciała tłumaczyć się nikomu ze swoich zamiarów.

Patrick też usłyszał klakson.

– Cicho, piesku. Ćśśś – szepnęła.

Pamiętała o włożeniu mocnych butów. Był to duży postęp w porównaniu z poprzednim razem, gdy pokonywała tę drogę. W torbie na ramię ukryła ciężki pistolet, co stanowiło kolejny plus. No i był z nią Cookie.

Gdyby Przywódca Stada ich znalazł, chciała, by jedno z nich – liczyła na to, że ona, a nie Cookie – strzeliło mu prosto w pysk.

W torbie miała jeszcze butelkę wody, puszkę pieczarek i całą główkę kapusty. Niewiele prowiantu, zwłaszcza dla chłopaka o gabarytach Cookiego, ale z drugiej strony spodziewała się, że w szopie przy kopalni znajdą przynajmniej kilka puszek. Jim Pustelnik zgromadził

tam zapewne jakąś żywność.

Taką miała nadzieję.

Gdy ostatnio szła tą ścieżką, szukała półciężarówki Jima, w nadziei, że dojedzie nią do Perdido Beach. Wiedziała już o złocie i zrozumiała, że samotny dziwak poszukiwał właśnie tego kruszcu. Kierując się śladami opon, dotarła do walącej się, opuszczonej górniczej osady, ukrytej w dolinie między wzgórzami. Znalazła samochód, ale bez kluczyków. A potem natrafiła w sztolni na zwłoki samego Jima.

Teraz już się orientowała, gdzie są kluczyki. Wtedy, zanim jeszcze nastąpiło tak wiele wydarzeń, przerażała ją perspektywa przeszukiwania kieszeni trupa. Ale w ten sposób myślała dawna Lana. Ta nowa widziała już znacznie gorsze rzeczy.

Wiedziała, gdzie znajdzie kluczyki. I półciężarówkę. Pamiętała też duży zbiornik z gazem LPG, którego Jim używał do rozpalania pieca do przetapiania złota.

Plan miała prosty: wziąć kluczyki. Przy pomocy Cookiego załadować zbiornik z gazem na półciężarówkę Jima. Podjechać do wejścia do kopalni. Otworzyć zawór i wpuścić gaz do sztolni.

A potem podpalić lont i uciec.

Nie wiedziała, czy eksplozja zabije stwora w kopalni. Miała jednak nadzieję, że pogrzebie go pod wieloma tonami skał.

Ciemność wzywała ją w snach, także tych na jawie. Pochwyciła ją na wędkę i przyciągała.

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

Stwór jej chciał.

– *Hello darkness, my old friend* – Lana na wpół zaśpiewała, na wpół

wyszeptała. – *I'm coming to talk with you again.* ["Witaj, mroku, stary przyjacielu. Idę znów z tobą porozmawiać". Parafraza tekstu piosenki *The Sound of Silence* Simona & Garfunkela *(przyp. tłum).]*

Rozdział 22

18 GODZIN, 18 MINUT

Jack obudził się z bólem.

Przesunięto go. Ktoś go obrócił. Usiadł zbyt gwałtownie. Zakręciło mu się w głowie i przez chwilę sądził, że znowu straci przytomność. Nogawka jego spodni została rozdarta, by odsłonić ranę. Udo miał owinięte błękitnym, przesiąkniętym krwią bandażem. Bolało. Paliło, jakby ktoś wbijał mu w nogę rozgrzany do czerwoności pogrzebacz. Diana była obok niego. Dopiero po chwili przypomniał sobie, dlaczego dziewczyna ma ogoloną głowę.

– Znalazłam je w jednym z gabinetów. Weź. – Wysypała mu na dłoń cztery tabletki advilu. – To podwójna dawka, ale wątpię, żeby mogła cię zabić.

– Co się stało? – wychrypiał.

– Pocisk. Ale tylko cię drasnął. Zrobił taką małą bruzdę. Będzie bolało, ale krew przestała już lecieć.

– Dobra, Jack, weź się w garść – polecił Caine. W jego głosie pobrzmiewały udręka i niepokój. Sprawy nie układały się zgodnie z planem. – Wiesz, po co tu jesteś.

Wrócili dwaj żołnierze Drake'a, głośno wyzywając Mickey'ego Fincha i Mike'a Farmera, którzy mieli ręce związane za plecami. Znaleziono ich schowanych w gabinetach. Skulonych pod biurkami.

– O, dobrze – stwierdził pogodnie Caine. – Są zakładnicy.

– Powiedzieliśmy, żeby rzucili broń, a ten debil to zrobił – zapiał jeden

ze zbirów. – Mieliśmy tylko strzelbę i pistolet, on miał pistolet maszynowy, a i tak go oddał. Mięczak. Ten drugi nie miał broni.

Mickey i Mike wyglądali na nieszczęśliwych i bardzo przestraszonych. Spochmurnieli jeszcze bardziej na widok Brittney, skulonej na podłodze, w kałuży krwi.

Drake podszedł do nich, odepchnął Mike'a i złapał jego pistolet maszynowy. Przeciągnął macką po łożu, po zamku, trzymając broń z nabożną wręcz czcią. W jego zimnych, błękitnych oczach zalśniło coś na kształt miłości.

– Podoba mi się. Pistolet tej dziewczyny to złom, ale ten jest fajny. Bardzo fajny.

– Może nie przy ludziach – upomniała go Diana.

– Żaden odmieniec nie ma wystarczającej mocy, żeby mi się postawić, kiedy mam coś takiego – stwierdził Drake.

– Tak, nawet Caine – przyznała wesoło Diana. – Teraz ty możesz być szefem, nie?

Jack stał jak wryty i patrzył na to wszystko, wciąż niezdolny, by skupić się na swojej tak zwanej pracy.

Jakim cudem dał się w to wciągnąć? Niecałe trzy metry od niego leżała dziewczyna, która lada chwila mogła umrzeć, o ile już nie była martwa. Gdyby zrobił trzy kroki, stanąłby w kałuży jej krwi. A tkwił we własnej.

– Jack – powiedział Caine. – Otrząśnij się. Bierz się do pracy. Już!

Jack poruszał się jak we śnie, potrząsając głową, bo w uszach wciąż dzwoniło mu po niedawnej kanonadzie. Noga paliła. A mokry materiał spodni przykleił mu się do ciała. Ostrożnie podszedł do najbliższego

komputera i ciężko opadł na obrotowe krzesło. Monitor był stary. Oprogramowanie też nie wyglądało nowocześnie. Komputer nie miał nawet myszki, wszystkie polecenia wprowadzało się z klawiatury. Jeszcze bardziej stracił zapał. Stare oprogramowanie oznaczało różne kombinacje klawiszy, coś, do czego nie był przyzwyczajony. Otworzył szufladę w nadziei, że znajdzie instrukcję albo przynajmniej kartkę z notatkami.

– Jak to wygląda? – spytał Caine. Położył mu rękę na ramieniu w przyjaznym geście, który miał podnieść Jacka na duchu. Pierwszy raz w życiu chłopcu przyszło do głowy, że ma ochotę obrócić się i przyłożyć Caine'owi. Bardzo mocno.

– W ogóle nie znam tego oprogramowania – oznajmił.

– Ale dasz sobie radę. Prawda?

– Może i dam, ale nie od razu – odparł. – Muszę nad tym popracować.

Dłoń na jego ramieniu zacisnęła się.

– Jak długo to potrwa?

– Ej, jestem ranny, nie? Oberwałem! – Widząc, że Caine tylko patrzy na niego bez słowa, zniżył głos. – Nie wiem. To zależy.

Wyczuwał napięcie Caine'a, nagromadzoną wściekłość, która karmiła się strachem.

– Więc nie trać czasu.

Caine puścił go i odwrócił się do Drake'a.

– Weź zakładników do kąta.

– Mhm – mruknął Drake nieobecnym głosem. Wciąż pieścił dłonią pistolet maszynowy.

Caine szybko podszedł do niego i uderzył ręką w lufę.

– Zajmij się swoją robotą! Brianna może tu wrócić w każdej chwili. A jeśli nie ona, to Taylor. Lepiej nie nawal.

Brittney leżała na podłodze i nie ruszała się, nie wydawała żadnego dźwięku. Jack zastanawiał się, czy dziewczyna jeszcze żyje. Widział, że była poważnie ranna i wiedział już, jak wielki ból może sprawić nawet zadraśnięcie. Może byłoby lepiej, gdyby umarła?

Znalazł stary segregator, dość mały, z wystającymi tu ówdzie poszarpanymi rogami kartek, przystrojony pozwijanymi żółtymi karteczkami, którymi oznaczono poszczególne strony.

Zaczął go przeglądać. Szukał przewodnika po klawiszach funkcyjnych. Bez tego nie mógł zacząć roboty. Brak myszki bardzo go ograniczał. Jeszcze nigdy nie widział, a tym bardziej nie używał komputera bez myszki. Zdumiewające, że takie maszyny jeszcze istniały.

– Diana – odezwał się Caine. – Zrób odczyt naszych zakładników. Nie chcę, żeby się okazało, że ukrywają jakąś moc. Drake? Jak idzie?

– Zaraz rozciągnę drut – odparł tamten.

– Dobra – skinął głową Caine.

Jack zerknął w bok i zobaczył, że Drake trzyma zwój nagiego drutu, dość cienkiego, ale na oko mocnego. Oglądał drzwi, wyraźnie czegoś szukając.

Drake wzruszył ramionami, niezadowolony z tego, co zobaczył. Zaczął owijać jeden koniec drutu wokół tej części złamanego środkowego zawiasu, która wciąż była przymocowana do ściany. Drzwi były na tyle wysokie, że utrzymywały je trzy zawiasy – jeden znajdował się tuż nad poziomem głowy, drugi na wysokości kostek, a trzeci pośrodku.

Drake rozciągnął drut od zawiasu do ciężkiej metalowej szafki na dokumenty pod ścianą. Przełożył zwój przez uchwyt szuflady i mocno pociągnął. Przeciął drut obcążkami, po czym skręcił, zaciskając jeszcze mocniej.

Diana cofnęła się od zakładników i powiedziała:

– Obaj są czyści. Jeden może mieć jedną kreskę, ale przy tym poziomie nawet nie wie, jaką ma moc. O ile to w ogóle coś użytecznego.

– Dobrze – odparł Caine.

Podeszła i opadła na obrotowe krzesło, stojące najbliżej Jacka. Markotnie popatrzyła na monitor.

– Co robi Drake? – szepnął Jack.

Diana posłała mu przeciągłe spojrzenie.

– Ej. Jack chce wiedzieć, co robisz, Drake. Czemu mu nie powiesz?

– Jack ma pracować – wtrącił Caine. – Jest zajęty.

Jack pospiesznie zajął się notatkami. Znalazł. Lista klawiszy funkcyjnych. Zmarszczył brwi i zaczął sprawdzać klawisze. Naciskał, kontrolował skutek, po czym metodycznie przechodził do następnego.

Drake skończył. Schylił się i przeszedł pod drutem, znikając w korytarzu od strony, z której przyszli. Idąc, dalej rozwijał drut.

– Jestem w katalogu głównym – oznajmił Jack. – Ale to stare. To jakiś DOS, czy coś równie przedpotopowego.

Zaczynał już odczuwać fascynację wyzwaniem, które przed nim stało. Była to komputerowa archeologia. Odszyfrowywał język z czasów sprzed Windows, sprzed Linuxa, sprzed wszystkiego. Odciągało to jego myśli od bólu. W dużym stopniu.

– Mam nadzieję, że nie kochałeś się za mocno w Briannie, Jack – powiedziała Diana.

– Co? Nie. A skąd. – Poczuł, że się czerwieni. – Nie. To głupie.

– Mhm.

Brnął przez katalog po omacku, krok za krokiem, szukając funkcji, których być może wcale nie było, poleceń, które mogły nie istnieć. Drake pojawił się znowu. Pogwizdywał do siebie wesoło.

– Rach, ciach, ciach – podśpiewywał. – Rach, ciach, ciach.

– Dobrze – rzucił mu krótkie spojrzenie Caine. – Teraz zastaw coś na Taylor. Pamiętaj, nie chcemy, żeby ktoś postrzelił Jacka albo trafił sprzęt.

– Wiem, co robię – odparł Drake. Wycelował mackę w jednego ze swoich zbirów. – Ty. Przynieś strzelbę. – Gdy chłopak spełnił polecenie, Drake przez kilka minut chodził z nim po pomieszczeniu, sprawdzając linie strzału. – Dobra. Masz prostą robotę. Jak zobaczysz, że Taylor się tu pojawia, strzelaj.

Tamten pobladł.

– Mam ją zastrzelić?

– Nie, masz wybór – odparł Drake. – Możesz ją zastrzelić albo nie. To zależy od ciebie.

Chłopak westchnął.

– Oczywiście, jeśli jej nie zastrzelisz... – Drake trzasnął swoim biczem. Macka owinęła się tamtemu wokół szyi. – Jeśli jej nie zastrzelisz... Jeśli zapomnisz, rozproszysz się albo spudłujesz... będę cię okładał, aż zobaczę kości.

Drake roześmiał się histerycznie i rozwinął mackę.

– Myślę, że jesteśmy gotowi – oświadczył. – Na Taylor czeka ładunek śrutu. A jeśli mała Brianna postanowi wpaść tu z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, uderzy w druty.

– I uruchomi alarm? – spytał Jack.

Drake parsknął śmiechem, jakby usłyszał najzabawniejszy dowcip w życiu.

– Rach, ciach, ciach – powtórzył. – Rach, ciach, ciach.

Jack nie patrzył na Drake'a. Spojrzał na Dianę. Jej oczy były oknami ciemności.

– Wracaj do pracy, Jack – polecił Caine.

McKlub został zamknięty. Na drzwiach wisiała kartka z napisem: „Przepraszamy, zamknięte. Zapraszamy jutro".

Duck nie wiedział, co go tu przyciągnęło. Pewnie, że zamknięte – było już po północy. Po prostu pragnął towarzystwa. Liczył, że ktoś będzie się tu kręcił. Ktokolwiek.

W ciągu trzech dni – no, w zasadzie czterech, skoro nastąpiło już jutro – odkąd spadł przez dno basenu, jego życie zmieniło się na gorsze. Po pierwsze, stracił swoją oazę spokoju. Basenu nie dało się naprawić. Poświęcił trochę wysiłku na poszukiwanie innego zbiornika, ale żadne miejsce nie mogło się równać z tym, które stracił.

Po drugie, nikt mu nie wierzył. Śmiali się z niego. Nikt się nie pofatygował, żeby podejść do basenu i sprawdzić, czy dziura rzeczywiście tam jest. Ma się rozumieć, Zil i jego kumple nie potwierdzili historii Ducka.

Kiedy opowiadał o tej dziwnej mocy, o którą wcale nie prosił, żądali, żeby ją zademonstrował. Ale Duck nie chciał urządzać pokazów. Poza

wszystkim oznaczało to, że musiałby się wściec, a niełatwo wpadał w gniew.

Co ważniejsze, musiałby zapaść się w ziemię. A za pierwszym razem wcale nie sprawiło mu to przyjemności. Miał szczęście, że stracił przytomność, zanim wpadł do jaskini. Inaczej mógłby się zapadać aż do gorącego jądra Ziemi. W każdym razie taka wizja pojawiała się w jego głowie. Wwiercanie się w ziemię, w skorupę, płaszcz i te wszystkie inne warstwy, o których uczył się w szkole, ale już zapomniał, aż do wielkiego jądra z roztopionego metalu i skał.

W jego umyśle przypominało to scenę z końcówki *Władcy pierścieni.* Był jak Gollum, pływał przez kilka sekund w lawie, a potem ulegał spopieleniu.

Ten jednak obraz wydawał się niczym w porównaniu z inną możliwością: że zostanie po prostu pogrzebany żywcem. Że zapadnie się trzydzieści metrów pod ziemię i nie będzie miał jak się wydostać. Dusiłby się powoli wśród zapadających się ścian otworu. Grudki ziemi spadałyby mu na twarz, piach wypełniałby oczy, usta, nos...

Chwycił za klamkę drzwi McKlubu, by odzyskać spokój. Śnił koszmary na jawie. Coraz częściej pojawiały się w jego myślach.

Cóż z tego, że nikt inny nie traktował sprawy poważnie. Dzieciaki wyśmiewały jego opowieść. Bawiła je historia o zapadaniu się w dno basenu. O jaskini. O radioaktywnej, bocznej grocie. O niebieskich nietoperzach. O tym, jak wypłynął z morza, półnagi i roztrzęsiony. Jak musiał wspinać się z plaży na klif, zmuszając się do wesołego uśmiechu, by gniew nie sprawił, że znowu zapadnie się w ziemię. Wspinaczka była dość łatwa. Tak mu ulżyło, że czuł się bardzo lekki.

Opowiadał tę historię, a oni ryczeli ze śmiechu. Przez pierwszy dzień nie miał nic przeciwko temu. Lubił rozśmieszać innych. Ale z zabawnego gawędziarza stał się wkrótce obiektem drwin.

– Masz chyba moc przybierania na wadze, do tego stopnia, że ziemia się pod tobą zapada? – To mówił Hunter, który uważał się za prawdziwego kabareciarza. – Krótko mówiąc, jesteś Fatmanem?

Potem zaczęło się na całego. Od Fatmana przez Podziemnego Chłopca, Jaskiniowca, Grotołaza, Górnika po przezwisko, które słyszał najczęściej: Człowiek-Świder.

Nic nie rozumieli. To nie było śmieszne. Naprawdę. Człowiek rzucał się całą noc, nie mogąc spać z niepokoju, że w jakimś śnie poczuje gniew i opadnie ku powolnej śmierci w męczarniach.

Hunter wyśmiał też jego opowieść o niebieskich nietoperzach.

– Stary... a właściwie Człowieku-Świdrze, nietoperze śpią w dzień i latają w nocy. A twoje niebieskie nietoperze? Z tego, co mówisz, obudziły się, kiedy zrobiło się widno. Co to ma być? Poza tym nikt oprócz ciebie ich nie widział.

– Są niebieskie, jak niebo, więc nie zauważysz ich nad głową ani w wodzie – zauważył Duck, ale bez efektu.

Puścił drzwi klubu. Pewnie lepiej, że zamknęli lokal. Był wprawdzie samotny, ale może samotność okaże się lepsza od drwin.

Rozejrzał się, zagubiony. Późno. Na zewnątrz nie uświadczysz żywej duszy. W dawnych czasach dostałby od rodziców szlaban na miesiąc, gdyby się dowiedzieli, że nocą włóczył się po ulicach.

Plac zionął pustką. Nocą miejsce to przyprawiało o dreszcze.

Postrzępiony kontur kościoła odcinał się mrokiem na tle gwiazd. Obok

spalone szczątki kamienicy. W ratuszu paliło się kilka świateł – nikt nie zawracał sobie głowy ich gaszeniem. Latarnie ciągle jaśniały, choć niektóre się przepaliły, a inne, zwłaszcza na samym placu, ucierpiały wskutek bitwy lub wybryków wandali.

Plac stanowił teraz domenę duchów. Duchów i podłużnych cieni.

Duck zmęczonym krokiem poczłapał w stronę domu. Tak zwanego domu. Wiązało się to z koniecznością przejścia obok kościoła. Tam przynajmniej było ciemno. Teraz kościół oświetlano tylko podczas zebrań, bo oryginalny system oświetlenia nie przetrwał. Lampy połączono do ratusza za pomocą przedłużaczy. Po zebraniu ktoś zwykle wyciągał wtyczkę.

Gruzy, wśród których walały się naprawdę masywne fragmenty muru, blokowały chodnik od strony kościoła. Nikt ich nie posprzątał. I pewnie nigdy nie posprząta. Duck szedł środkiem ulicy, nie ufając cieniom po obu stronach.

Z kościoła dobiegło jakieś szuranie. Pewnie pies. Albo szczury.

Po chwili rozległ się natarczywy szept.

– Ej! Ej, Duck!

Duck zatrzymał się. Głos dochodził od strony kościoła.

– Stary! – Tym razem szept był głośniejszy.

– Co? Kto tam? – spytał.

– To ja. Hunter. Tylko cicho. Zabiją mnie, jeśli mnie znajdą.

– Co? Kto?

– Duck, chłopie, podejdź tutaj, nie możemy do siebie krzyczeć.

Z ociąganiem – z dużym ociąganiem, spodziewając się jakiegoś numeru – Duck przeszedł przez ulicę.

Hunter przycupnął za fragmentem muru, w którym wciąż tkwił kawałek witrażowego szkła. Wstał, gdy Duck się zbliżył, i na jego twarz padło światło. Nie wyglądał na kogoś, kto planuje jakiś kawał, a raczej na kogoś, kto się boi.

– Co jest? – spytał Duck.

– Chodź tutaj, stary, żeby nikt nas nie widział.

Duck przeszedł przez gruzowisko, obcierając sobie przy tym skórę.

– Dobra – powiedział, znalazłszy się w kryjówce Huntera. – Co jest?

– Możesz mi pomóc? Nie jadłem kolacji.

– Eee... co?

– Jestem głodny – powiedział tamten.

– Wszyscy są głodni – zauważył Duck. – Ja na kolację wypiłem sos do mięs ze słoika.

Hunter westchnął.

– Normalnie tu głoduję. Nie jadłem kolacji. Na obiad tylko kęs. Starałem się oszczędzać.

– Czemu tu jesteś?

– Zil. Goni mnie z innymi normalnymi.

Duck miał poczucie, że albo go wkręcają, albo wszedł w czyjś zwariowany sen.

– Słuchaj, jeśli chcesz się na mnie wyżyć, miejmy to za sobą.

– Nie, chłopie. Wcale nie. Przepraszam za to wszystko, wiesz, że się z ciebie nabijałem i w ogóle. Po prostu próbowałem z nimi trzymać, rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem, o czym mówisz.

Hunter zawahał się. Wyglądał, jakby za chwilę miał zawyć. Ale potem się załamał. Ciężko usiadł na ziemi. Duck niezdarnie uklęknął przy nim. Poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, gdy usłyszał stłumione łkanie. Hunter płakał.

– Co się stało? – spytał Duck.

– Zil. Znasz Zila, nie? Pokłóciliśmy się. Zupełnie mu odbiło. Próbował zabić mnie pogrzebaczem od kominka. To co miałem zrobić?

– A co zrobiłeś?

– Miałem do tego prawo – powiedział Hunter. – Miałem prawo. Tyle że nie trafiłem Zila, bo wbiegł tam Harry. Stanął między nami.

– Okej.

Hunter znowu załkał.

– Nie. Nie okej. Harry pada. Leci na podłogę. Nawet w niego nie celowałem, nic nie zrobił. Musisz mi pomóc, Duck – powiedział błagalnym tonem.

– Ja? Dlaczego ja? Zawsze tylko się mnie czepiasz.

– Dobra, dobra, to prawda – przyznał Hunter. Przestał już płakać. Ale jego głos stał się jeszcze bardziej naglący. – Ale słuchaj, stoimy po tej samej stronie.

– Eee... co?

– Jesteśmy odmieńcami, chłopie. Czaisz to, nie? – Irytacja pomogła Hunterowi zapanować nad sobą. Łkanie ustało. – Stary, Zil biega i zbiera normalnych, żeby ruszyli przeciwko nam. Wszystkim.

Duck ze zdumieniem pokręcił głową.

– O czym ty mówisz?

Tamten złapał go za ramię i mocno trzymał.

– To jest tak: my przeciwko nim. Nie rozumiesz? Odmieńcy kontra normalni.

– Nie ma mowy – prychnął Duck. – Po pierwsze, nic nikomu nie zrobiłem. Po drugie, Sam jest odmieńcem, a Astrid jest normalna, Edilio też. Więc jakim cudem oni wszyscy próbują nas dorwać?

– Myślisz, że w następnej kolejności nie rzucą się na ciebie? – gorączkował się Hunter. – Myślisz, że jesteś bezpieczny? Dobra. Jak chcesz. Uciekaj do domu. Baw się w ciuciubabkę. My albo oni. Wkrótce i ty będziesz się musiał przed nimi ukrywać.

Duck wyrwał się z jego uścisku.

– Zobaczę, czy mogę ci przynieść coś do jedzenia. Ale nie dam się wplątać w twoje kłopoty.

Przegramolił się z powrotem przez rumowisko i ruszył ulicą. Ścigał go głos Huntera, który powoli cedził słowa.

– Odmieńcy kontra normalni, Duck. A ty jesteś odmieńcem.

Jack pocił się jak w saunie. Bolała go noga. Bardzo bolała.

Ale gorsze były druty.

Druty.

Brianna na pewno ich nie zobaczy. Wbiegnie tu w pośpiechu, z prędkością pocisku. Natrafi na druty, które potną ją na kawałki. Niczym nóż z drucianym ostrzem, przecinający kawałek żółtego sera.

Obraz w jego głowie stał się boleśnie wyraźny.

Widział, jak Brianna uderza w drut. A ten przecina ją na pół. Nogi jeszcze biegną, robią kilka kroków, dopiero potem dociera do nich, że nie niosą już ciała.

– Zdejmijcie druty – powiedział. Słowa dobyły się z jego ust, zanim zdał sobie z tego sprawę. Nie zaplanował tego. Po prostu wypalił.

Nikt go nie słyszał, oprócz Diany. Zerknął na nią i dostrzegł cień uśmiechu. Drake był zajęty, Caine się wściekał. Żaden go nie usłyszał. Jack oderwał dłonie od klawiatury.

– Macie przeciąć druty – polecił zdławionym głosem.

Teraz Caine zamarł. A Drake się obrócił.

– Co? – spytał ten drugi.

– Zdejmijcie druty – powtórzył Jack. – Bo inaczej ja...

Bicz wylądował na jego karku i plecach. Bolało jak rana od pocisku, a nawet gorzej, bo tam skóra była wrażliwsza.

Jack krzyknął z zaskoczenia i bólu.

Drake szykował się do drugiego uderzenia, ale przeszkodził mu krzyk Caine'a.

– Nie!

Drake miał najwyraźniej ochotę zignorować rozkaz, ale zadowolił się owinięciem macki wokół szyi Jacka. Zacisnął ją i Jack poczuł w głowie pulsowanie krwi.

Caine podszedł bliżej i przemówił do niego pojednawczym tonem.

– W czym problem?

– Druty – odparł Jack, ledwo mogąc wydobyć z siebie głos. – Nie podoba mi się to, co robicie.

Caine mrugnął powiekami. Był szczerze zdziwiony. Popatrzył na Dianę, szukając wyjaśnienia. Dziewczyna westchnęła.

– Szczenięca miłość – oznajmiła. – Zdaje się, że Jack już o mnie zapomniał. Teraz inna dziewczyna odgrywa główną rolę w jego

wstydliwych snach.

Caine roześmiał się z niedowierzaniem.

– Zabujałeś się w Briannie?

– Ja nie... To nie... – Jack z wysiłkiem cedził słowa.

– Oj, daj spokój. Nie bądź głupi – rzucił Caine przymilnym tonem. – Puść go, Drake. Jack po prostu się zdekoncentrował. Zapomniał, co jest ważne.

Drake cofnął mackę i Jack zrobił głęboki wdech. Szyja i plecy paliły go tak mocno, że zapomniał o ranie na udzie.

– Jack, Jack, Jack – ciągnął Caine niczym rozczarowany nauczyciel. – W życiu zdarzają się czasem złe rzeczy, musisz się z tym pogodzić.

– Nie Brianna – poprosił Jack.

Zobaczył, że twarz Caine'a nabiera kolorów. Wiedział jednak, że Caine go potrzebuje. Nie zabiłby go, na pewno, nawet do cna wkurzony. Drake mógł stracić panowanie nad sobą, ale nie Caine.

– Myślisz, że ona by cię broniła? – spytał Caine. – Wpadłaby tutaj, może z bronią w rękach, i strzelałaby do wszystkiego, co widzi. Wracaj do pracy, a ważne decyzje pozostaw mnie.

Jack odwrócił się z powrotem do klawiatury. Opuścił palce na klawisze. Ale nie mógł ich dotknąć. Opuszki palców zamarły o centymetr nad przyciskami.

Nie Brianna. Nie ona. Nie w ten sposób.

– Mógłbym z nią porozmawiać – zaproponował. – Może bym ją przekonał, żeby przeszła na naszą stronę.

– Pozwól mi się nim zająć – poprosił Drake. – Gwarantuję, że wróci do

pracy.

– Słusznie, Drake – wtrąciła Diana. – Zmuś go torturami. Nigdy nie wiadomo, może wkurzysz go na tyle, że wpuści tutaj promieniowanie. Włosy ci wypadną.

Wcześniej podobne argumenty nie przyszły Jackowi do głowy. Ale teraz tak. Miała rację, przecież nie wiedzieli kompletnie, co robi. Caine znowu przygryzał kciuk, jak miał w zwyczaju w chwilach irytacji.

– Drake, przetnij druty. Jack, zorientuj się, jak wyłączyć światło w Perdido Beach. Inaczej każę Drake'owi nie tylko pozostawić druty na miejscu, ale też okładać cię tym biczem, aż ze zmęczenia nie da rady podnieść ręki.

Jack starannie zamaskował poczucie triumfu. Drake zaczął protestować, lecz Caine warknął:

– Zrób to, Drake. Zrób to i już.

Jack poczuł falę ciepła. Jeszcze nigdy nie odczuwał czegoś podobnego. Pieczenie karku i pleców wciąż się utrzymywało, podobnie jak ból w nodze, o którym nie dało się zapomnieć. Ale ból był mniej ważny niż to poczucie... czegoś. Nie wiedział dokładnie, jak to określić. Postawił się, by chronić kogoś innego. Może Brianna nigdy się o tym nie dowie, ale wiele dla niej zaryzykował. Tak naprawdę zaryzykował dla niej życie.

– Nasz maniak komputerowy dojrzewa – przemówiła Diana, przeciągając samogłoski.

Zaczął stukać w klawisze.

– Ale wciąż pozostał naiwny – dodała.

To słowo w jakiś sposób mu nie odpowiadało. Wiedział, co oznacza „naiwny". Ale teraz trafił do odpowiedniego katalogu, musiał uczyć się komend i rozszyfrowywać sekwencje klawiszy.

Rozdział 23

18 GODZIN, 07 MINUT

– Na pewno postawili kogoś przy bramie – powiedział Sam. – To za tym zakrętem. Zatrzymaj się tutaj.

Edilio zahamował, a dwa pozostałe pojazdy stanęły tuż za nimi. Dekka wiozła Orka i Howarda masywną terenówką. W trzecim samochodzie jechała garstka żołnierzy Edilia. Wszyscy ludzie, jakich zdołał zebrać Sam. Próbował ściągnąć też innych, ale tylko ci tutaj zgłosili się, gdy wyszło na jaw, że chodzi o walkę przeciwko Caine'owi i Drake'owi.

Obaj, a zwłaszcza Drake, wzbudzali w Perdido Beach ogromny lęk.

Sam odwrócił się w fotelu i spojrzał na Briannę i Taylor, które siedziały z tyłu.

– Dobra, dziewczyny, mamy taki problem: muszę wiedzieć, gdzie są zbiry Caine'a. Zakładam, że zostawił przynajmniej paru ludzi przy bramie wjazdowej. Uzbrojonych, ma się rozumieć. Pewnie dostali rozkaz, żeby strzelać do każdego, kto zbliży się tą drogą.

– Mogę się pojawić i zniknąć, zanim mnie zastrzelą – powiedziała Taylor. Nie przejawiała wielkiego entuzjazmu.

– Sam, ja mogę przemknąć obok bramy, obejrzeć elektrownię od środka i wrócić w pół minuty – wtrąciła Brianna. – Nawet mnie nie zauważą.

– Jeśli pobiegniesz tak szybko, że cię nie zobaczą, to jak ty zobaczysz ich? – spytał Edilio.

Wskazała swoją twarz.

– Szybkie oczy, mój drogi, bardzo szybkie oczy.

Sam i Edilio uśmiechnęli się. Ale nie trwało to zbyt długo.

– Dobra, posłuchaj, Bryzo – zaczął Sam. – Nie biegnij dalej niż do bramy.

– Mogę zrobić to wszystko raz-dwa – zaoponowała.

– Bryzo, musisz mnie posłuchać. Nie wbiegaj do tej elektrowni.

Nadąsała się.

– Ty tu jesteś szefem, szefie.

– Dobra – powiedział Sam. – Ruszaj... – Urwał, gdy uświadomił sobie, że mówi w pustą przestrzeń.

– Już dawno jej tu nie ma – skomentował Edilio. – Ta dziewczyna nie umie usiedzieć na miejscu.

– Też mogę pomóc – stwierdziła Taylor z urazą.

– Będziesz jeszcze miała okazję – odparł Sam.

Dekka wysiadała właśnie z terenówki.

– Wysłałeś Bryzę?

– Tak. Powinna wrócić lada chwila – odezwał się Edilio.

– Jestem gotowa to zrobić – oznajmiła Dekka. – Jazda z Orkiem z tyłu... Ten chłopak puszcza jakieś straszliwe bąki.

– Kapusta – stwierdziła Taylor.

– Lada chwila. Znasz Briannę – powiedział Edilio.

Cała czwórka czekała. Sam nie odrywał oczu od drogi. Chociaż i tak nie zobaczyłby Bryzy, gdyby wracała.

– Coś długo to trwa – zauważyła Taylor. – Znaczy, jak na nią.

Nikt się nie odzywał. Minęły dwie minuty. Potem trzy. Pięć

niekończących się minut.

– O mój Boże – szepnęła Dekka. – Brianna. – Zamknęła oczy i wydawało się, że się modli.

– Powinna już wrócić – powiedział ciężko Sam. – Gdyby w ogóle miała wrócić.

Zrobiło mu się niedobrze. Niedobrze do szpiku kości.

Lana poczuła narastającą panikę. Była przygotowana. Wiedziała, co się zbliża.

– Co to za miejsce? – spytał Cookie, który też bez wątpienia coś czuł, ale chyba tylko duchy, a nie żywe, wściekłe zło, które kryło się tak blisko.

– Kiedyś była tu osada górnicza – odparła. – Wydobywali tu złoto, pod koniec XIX wieku, zdaje się, czy kiedyś tam.

– Znaczy jak kowboje?

– Chyba tak.

Szli przez miasteczko widm, nędzny, walący się wrak osady, która niegdyś stanowiła zapewne czyjeś marzenie o przyszłej metropolii. Większość kopalń przestała funkcjonować pod koniec XIX wieku. Wciąż było widać, którędy przebiegała główna ulica. Lana pomyślała, że gdyby poświęcić temu trochę uwagi, dałoby się rozpoznać, która sterta desek była hotelem, a która saloonem, sklepem żelaznym i tak dalej. Tu i tam wciąż sterczały rozchwierutane ściany czy chyboczące na wietrze kominy. Dachy jednak w większości już dawno się zawaliły, fronty sklepów legły w gruzach. Może jakieś trzęsienie ziemi zniszczyło osłabione budynki. A może po prostu czas.

Tylko jeden budynek wydawał się w miarę nietknięty – wzniesiony byle jak magazyn, w którym Jim Pustelnik ukrywał swój opalany gazem piec i półciężarówkę.

– Tam idziemy – oznajmiła Lana, ruchem głowy wskazując magazyn.

Jej wzrok podążył poza budynek, ku ścieżce, która wiodła w górę zbocza. Wiedziała, że musi wspiąć się tamtędy do kopalnianej sztolni i wydobyć kluczyki z kieszeni zmumifikowanego Jima Pustelnika.

Nie zachwycała jej ta perspektywa. Tak niewielki dystans dzielący ją od stwora z kopalni rzucał mroczne cienie na jej duszę. Czuła obecność Ciemności i miała przerażające wrażenie, że tajemna istota także wyczuwa jej bliskość.

Czy Ciemność wiedziała, że Lana do niej idzie?

Czy wiedziała, po co?

A czy Lana to wiedziała? Bez żadnych wątpliwości?

– Wiem, po co tu jestem – powiedziała. – Wiem.

– Oczywiście – odezwał się Cookie. Najwyraźniej wziął jej słowa za skierowaną do siebie naganę.

Patrick szedł cichy, skulony. On też pamiętał.

Weszli do magazynu. Lana spojrzała na zbiornik z gazem. Według wskaźnika – był w połowie pełny. Powinno wystarczyć.

Uklękła i sprawdziła mocowanie zbiornika. Spoczywał na stalowej ramie, przerdzewiałej i na szczęście nieprzytwierdzonej do podłoża. Rama leżała na ziemi. Dobrze.

– Cookie, musimy załadować ten zbiornik na samochód. Znajdę kluczyki. Podjedziemy na wstecznym do zbiornika.

– Jasne, Uzdrowicielko.

Przycisnęła nogę do dolnej krawędzi zbiornika i stwierdziła, że sięga jej do połowy uda. Podeszła do pickupa i porównała wysokość tylnej klapy.

Dobrze. Dobrze. Poziomy okazały się zbliżone. Zbiornik był może o jakieś pięć centymetrów niżej, co oznaczało, że należy go podnieść. Podnieść i popchnąć. Ale na pewno istniał jakiś system, przecież Jim Pustelnik musiał jakoś przewozić zbiornik do napełnienia.

– Cookie. Poszukaj skrzynki z narzędziami.

Najpierw to, co najważniejsze. Upewniła się, że zawór jest zamknięty.

Potem poszperała w skrzynce, którą przyniósł Cookie, aż znalazła pasujący klucz. Śruba, łącząca wąż ze zbiornikiem, nie chciała drgnąć.

– Ja spróbuję – zaproponował Cookie.

Ważył przynajmniej dwa razy więcej od niej. Śruba puściła.

Lana wskazała krokwie. Na kilku blokach wisiał ciężki łańcuch. Z jego końca zwieszał się hak, a do obudowy zbiornika przymocowano uchwyt.

– Jim musiał raz na jakiś czas napełniać zbiornik. Zapewne ładował go na pickup przy pomocy łańcucha.

Cookie pociągnął hak w dół. Łańcuch zabrzęczał i dal się z łatwością wyciągnąć przez dobrze naoliwione bloki.

Chłopak wspiął się na obudowę zbiornika i zaczepił hak o uchwyt.

– Okej. Dobra – powiedziała Lana. – Teraz pójdę po kluczyki.

Coś w jej głosie zaniepokoiło chłopaka.

– No, eee, Uzdrowicielko, powinniśmy iść z tobą. Ja i Patrick. Tam

nie jest bezpiecznie.

– Wiem – odparła. – Ale jeśli coś pójdzie nie tak, chcę wiedzieć, że ktoś zaufany będzie mógł się zaopiekować Patrickiem.

Nie były to najwłaściwsze słowa, by uspokoić Cookiego. Szeroko otworzył oczy, podbródek mu drżał.

– Co pójdzie nie tak?

– Pewnie nic.

– Dobra, idę z tobą – stwierdził.

Położyła dłoń na jego potężnym przedramieniu.

– Cookie, musisz mi zaufać.

– Przynajmniej powiedz mi, w czym problem – poprosił.

Zawahała się. W pewnym stopniu chciała, by Cookie i Patrick towarzyszyli jej podczas marszu do kopalni. Martwiła się jednak o Patricka. A w dodatku martwiła się, że coś złego może spotkać Cookiego.

Dawniej Cookie był wielkim, tępym osiłkiem, kimś w rodzaju Orka drugiego sortu. Nadal trudno było uznać go za geniusza. Ale jego serce zmieniło się pod wpływem długotrwałego cierpienia; podłość, która go kiedyś cechowała, zniknęła. Była w nim jakaś czystość, wydawał się jej taki niewinny. Spotkanie z Ciemnością mogło to wszystko zniszczyć. Stwór w kopalni pozostawił plamę na jej duszy i nie chciała, żeby to samo spotkało jej wiernego obrońcę.

Wzięła torbę. Wyciągnęła z niej list w eleganckiej, białej, biznesowej kopercie. Podała go Cookiemu.

– Słuchaj, gdyby coś się jednak stało, zanieś to Samowi i Astrid. Dobra?

– Uzdrowicielko... – Nie chciał przyjąć koperty.

– Cookie. Weź to. – Włożyła mu kopertę w dłoń i zacisnęła na niej jego palce. – Dobrze. A teraz słuchaj, musisz coś zrobić, kiedy mnie nie będzie.

– Co?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Jestem taka głodna, że mogłabym zjeść Patricka. Rozejrzyj się po tej dziurze i zobacz, czy znajdziesz coś do jedzenia. Wrócę za piętnaście minut.

Odwróciła się ku drzwiom i wyszła w noc, zanim zdążył znowu wyrazić sprzeciw.

Lana wsunęła dłoń do torby, zacisnęła palce na zimnej, plastikowej rękojeści pistoletu. Wyciągnęła go i niosła przy boku.

Zamierzała wyjąć kluczyki z kieszeni martwego poszukiwacza. Gdyby pojawił się Przywódca Stada i próbował ją zatrzymać, zastrzeli go.

A jeśli... jeśli nie będzie umiała się zmusić, by wyjść z jaskini, jeśli zamiast tego zacznie wchodzić coraz głębiej i głębiej, w stronę Ciemności, nie panując nad sobą, to... cóż...

Taylor nie była Brianną. Bryza widziała w sobie super-bohaterkę, zaś Taylor wiedziała, że jest zwykłą dziewczyną. Zupełnie jak inne, miała jedynie taką dziwną zdolność, że mogła pomyśleć o jakimś miejscu i natychmiast się tam pojawić.

Powrót Brianny bardzo się opóźniał. Bryza nigdy wcześniej się nie spóźniała. Taylor nie wiedziała, co to znaczy. Coś musiało się stać.

A zatem przyszła kolej na Taylor. Czuła to, wiedziała. Sam jednak jej

o to nie prosił. Stał wpatrzony w drogę, jakby chciał siłą woli sprawić, że Brianna się na niej pojawi.

Taylor jeszcze nigdy nie widziała tak zdenerwowanej Dekki. Dekka zazwyczaj przypominała skałę, ale teraz ta skała zaczynała się kruszyć.

Edilio zachowywał minę pokerzysty. Wzrok skierowany przed siebie, w oczekiwaniu na rozkazy. Cierpliwość.

Nikt nie chciał naciskać na Sama. Ale wszyscy wiedzieli, że z każdą mijającą minutą trudniej będzie przejść do działania.

Decyzja należała do Taylor. Sam wciąż nie chciał jej wysyłać. Wszystko więc zależało od niej samej.

Dla Sama zrobiłaby wszystko. Wszystko. Przypuszczała, że się w nim podkochuje, chociaż był starszy i nie widział świata poza Astrid. Uratował Taylor życie. Uratował jej zdrowie psychiczne.

Caine zdecydował, że tych odmieńców z Coates, którzy nie zechcą z nim współpracować, należy trzymać pod kontrolą. Zauważył, że większość niezwykłych mocy skupia się w dłoniach dzieci, i z pomocą Drake wykonał szybki i zdecydowany ruch.

Swój pomysł nazywali gipsowaniem. Polegał on na uwięzieniu dłoni dzieciaka w bloku z betonu. Taki blok ważył dwadzieścia kilogramów. Sam ciężar sprawiał, że człowiek stawał się bezradny. Najpierw sługusi Caine'a karmili ich, stawiając talerze na ziemi, jak psom. Taylor i inni, w tym Brianna i Dekka, wylizywali miski z owsianką i mlekiem niczym zwierzęta.

Potem w Coates zaczęły się kłopoty, gdy Caine pojechał do Perdido Beach, by przejąć tam władzę.

Posiłki stawały się coraz rzadsze, aż w końcu w ogóle się skończyły. Taylor jadła chwasty, wyrastające ze żwiru.

To dzięki Samowi jeszcze żyła. Była mu coś winna. Wszystko. Nawet, uświadomiła sobie ze ściśniętym żołądkiem, życie, które jej uratował.

– Zaraz wrócę – oznajmiła.

Zanim Sam, albo ktokolwiek inny, zdołał się odezwać, już jej nie było. Przeniosła się tylko do końca drogi, by widzieć bramę, niedaleko – potrafiła teleportować się znacznie dalej.

W jednej chwili była z Samem, Ediliem i Dekką. Milisekundę później stała już sama w ciemności, a tamci znajdowali się za nią, już poza zasięgiem wzroku.

Jakby zmieniała kanał w telewizorze. Tyle że to ona była w telewizji.

Taylor zaczerpnęła tchu. Do bramy miała tylko pięćdziesiąt metrów. Jasno oświetlona elektrownia, widoczna dalej, budziła grozę.

Pewnie spodziewali się, że najpierw skoczy do wartowni albo prosto do elektrowni. Nie miała zamiaru robić ani jednego, ani drugiego.

Po ułamku sekundy była już na zboczu ponad wartownią. Potknęła się, bo zmaterializowała się na stromym stoku.

Złapała równowagę, rozejrzała się szybko dookoła, nikogo nie zobaczyła i skoczyła w mroczne, zacienione miejsce za zaparkowaną tuż przy bramie dostawczą ciężarówkę.

– Aaa!

Rozległ się zaskoczony okrzyk i Taylor wiedziała, że dokonała złego wyboru.

Dwóch chłopaków, zbirów od Drake'a, uzbrojonych w karabiny, czaiło

się tuż za ciężarówką. Zasadzka.

Zaskoczenie wydłużyło czas ich reakcji. Widziała to w ich oczach.

– Za wolno – powiedziała.

Krzyknęli i obrócili lufy, ale ona zniknęła. Pojawiła się o metr od Sama, który wciąż gapił się na drogę.

– Taylor. Co robisz? – spytał.

Nie zorientował się, że jej nie było. Roześmiała się z ulgą.

– Dwóch chłopaków z bronią za ciężarówką, tuż za bramą, po lewej. Nie sądzę, żeby ktoś był w samej wartowni. To zasadzka. Gdybyście poszli w stronę wartowni, mogliby wam strzelić w plecy. Widzieli mnie.

Tym razem to Sam był lekko oszołomiony.

– Ty...

– Tak.

– Nie powinnaś...

– Musiałam. Aha, i nigdzie nie widziałam Brianny.

– Wsiadamy – nakazał Sam. Wskoczył do jeepa. – Dekka?

– Robi się – powiedziała Dekka, biegnąc do swojego samochodu.

Edilio krzyknął do swoich chłopaków, żeby też wsiadali.

– Dzięki – rzucił Sam przez ramię.

Taylor poczuła się niezmiernie szczęśliwa, słysząc ten krótki wyraz uznania.

– Mogłabym... – zaczęła, tak naprawdę nie chcąc, żeby powiedział: „tak".

– Nie – odparł zdecydowanie. – I trzymaj głowę nisko. – Potem zwrócił się do Edilia: – Prosto do bramy, ale zatrzymaj się, w pewnej

odległości od niej. Musimy działać szybko, zanim się zorientują, co robić. Ale pamiętaj, że tam będzie jeszcze jeden koleś. Ten, którego Taylor nie widziała.

– Tak – powiedział Edilio. – Jesteśmy przygotowani.

Taylor zastanawiała się, o czym mówią, ale moment nie był zbyt dobry na grę w dwadzieścia pytań.

Jeep pokonał zakręt i pomknął w dół zbocza ku bramie. Edilio wdusił hamulec. Mało brakowało, a wpadłaby na nich terenówka Dekki.

Trzeci samochód jechał nieco wolniej.

Sam wysiadł. Dekka wyskoczyła ze swojego samochodu, jeszcze zanim ten się do końca zatrzymał.

Oboje pognali w dół.

Taylor słyszała, jak Sam wykrzykuje polecenia do Dekki. Po kilku sekundach ciężarówka – kilka ton stali – wzbiła się w powietrze.

Zobaczyła dwóch bandziorów Drake'a, gapiących się z zadartymi głowami.

Sam wzniósł ręce.

– Chłopaki – zwrócił się do tamtych. – Wiecie, jak to widzę? Macie wybór. Rzućcie broń i uciekajcie, to przeżyjecie. Wycelujcie we mnie, a was spalę.

Karabiny zagrzechotały o chodnik. Chłopcy podnieśli ręce nad głowy.

– Macie coś do jedzenia? – spytał jeden.

Dekka opuściła ciężarówkę na ziemię. Pojazd z łomotem uderzył o ziemię i podskoczył, ale się nie przewrócił.

– Widzieliście Briannę? – spytała Dekka.

– Nie – odparł któryś.

– Ale jeśli próbowała wejść do środka, to nie wróci – odezwał się drugi, starając się wypaść jak twardziel, mimo że trzymał podniesione ręce.

– Taylor – polecił Sam. – Dokładnie sprawdź wartownię.

Taylor skoczyła do budynku. Pełna była napięcia, gotowa w każdej chwili przemieścić się z powrotem. W środku jednak nie zastała nikogo.

Przez okno ujrzała żołnierzy Edilia, wysiadających z ostatniego samochodu, z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Howard wyszedł z terenówki, przestraszony, skulony. A potem powoli, niczym starzec z artretyzmem, ze środka wyłonił się Orc. Howard wyglądał przy nim jak maleńki cień.

Taylor przyskoczyła do nich.

– W wartowni nikogo nie ma – zameldowała. – Brianny też nie.

Dekka zerknęła na Sama.

– Jeśli ktoś zrobił tej dziewczynie krzywdę, nie ujdzie mu to płazem.

– Dekko, musimy to mądrze rozegrać – powiedział.

– Nie, Sam – odparła z nagłą, dziką surowością. – Każdy, kto coś jej zrobi, zginie.

Taylor spodziewała się, że Sam przywoła Dekkę do porządku. On jednak odrzekł:

– Wszyscy ją kochamy, Dekko. Zrobimy, co będzie trzeba.

Taylor znalazła się obok Dekki. Położyła dłoń na jej silnym ramieniu. Dziewczyna dygotała.

Rozdział 24

18 GODZIN, 01 MINUTA

Sam pragnął, by Caine do niego wyszedł. To by było najlepsze. Pojedynek na otwartej przestrzeni. Gdy walczyli poprzednim razem, Sam wygrał.

Ale Caine nie zamierzał wychodzić.

Walka dopiero się zaczęła, a Sam już stracił Briannę.

Biedna Bryza.

– Co robimy? – spytał Edilio. Stał po stronie Sama. Zawsze stał po jego stronie i Sam był mu za to niezmiernie wdzięczny. Ale w tej właśnie chwili, w cieniu potężnej elektrowni, z wizją Brianny w kolejnym grobie na placu, pragnął, by Edilio się zamknął i zostawił go w spokoju.

To on podejmował decyzje. Zwycięstwo albo klęska. Dobro albo zło. Zycie albo śmierć.

– Trzeba było wziąć Astrid – odezwał się. – Zna elektrownię lepiej niż każdy z nas.

– Muszą być w nastawni – stwierdził Edilio. – Cokolwiek zamierza zrobić Caine, na pewno chce mieć kontrolę nad nastawnią.

– No.

– Są tylko dwa wejścia, o ile pamiętam. Albo przez budynek z turbinami, albo od tyłu, przez biuro. Na pewno oba są pilnie strzeżone.

– No.

– Z obu stron prowadzą dość wąskie korytarze. Jeśli wejdziemy od strony turbin, jest szansa, że tamci zachowają się rozsądnie i nie zrobią niczego, co może rozwalić elektrownię, nie?

Sam popatrzył na Edilia.

– Masz rację. Gadasz z sensem. Powinienem był o tym pomyśleć. Caine nie zechce zniszczyć elektrowni.

Edilio wzruszył ramionami.

– Wiesz, stary. Jestem nie tylko przystojnym, meksykańskim pomagierem.

Sam uśmiechnął się.

– Nie jesteś Meksykaninem, tylko Hondurańczykiem.

– A, tak – odparł tamten z szyderstwem. – Czasami o tym zapominam.

– Po chwili znów spoważniał. – Caine nie przyjechał tutaj, żeby zrobić demolkę. Chciał przejąć elektrownię i jakoś się nią posłużyć. Chyba nie ma zamiaru siedzieć po ciemku.

– Ale zrobi, co będzie musiał – powiedział Sam.

– Tak. Jeśli będzie musiał wybrać, czy spokojnie do nas wyjść i dać się zamknąć, czy...

Podszedł do nich Howard.

– Mamy tu stać całą noc, czy jak? Wiecie, jaki jest Orc. „Chcę coś zrobić albo dajcie mi wrócić do domu i spać. "

– Miałem zamiar pomyśleć trochę, przez parę minut – warknął Sam. – Możliwe, że straciliśmy Bryzę. Ale jeśli wolisz, żeby Orc wszedł tam sam, proszę bardzo.

– Nie, stary – Howard szybko się wycofał.

Sam położył rękę na ramieniu Edilia i lekko je ścisnął.

– Może mieć zakładników.

– Tak – zgodził się tamten. – Moich ludzi. Mike'a i Mickey'ego. I Brittney, i Josha.

– Trzeba działać rozważnie – Sam nawiązał z Ediliem kontakt wzrokowy. Chłopak odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

– Oto mój plan: Taylor wskakuje do środka, ma broń, zaczyna strzelać. Jedna, dwie, trzy salwy, potem wyskok. W tym momencie uderzamy wszyscy, od strony turbin.

– Tak – potwierdził Edilio. – Od strony turbin.

Zsunął plecak z ramienia i zaczął grzebać w środku. Zawołał jednego ze swoich żołnierzy, chłopaka o imieniu Steve.

– Ej, Steve, gdzie mój snickers? Miałem go w plecaku.

Tamten zmarszczył brwi i podszedł bliżej. Kieszenie jego bojówek były wypchane.

Edilio wyciągnął z plecaka pistolet – zbyt duży, zbyt jaskrawy i zbyt plastikowy jak na prawdziwą broń. Naciągnął, opuścił do poziomu bioder i wystrzelił.

Wąski strumyk rozwodnionej żółtej farby trysnął na dziesięć metrów. W tej samej chwili Steve wyciągnął z kieszeni spodni dwa pojemniki z farbą w spreju, wymierzył i nacisnął rozpylacze.

Obaj pryskali farbą w kółku, krążyli, potrącając inne dzieciaki i roślinność.

– Tam! – wykrzyknął Sam.

Robal był nocą niemal zupełnie niewidoczny. Ale już nie tak niewidoczny, gdy jego pierś znaczyła rozpylona żółta farba.

Skoczył, zupełnie jakby tańczył, tworząc fluorescencyjną smugę.

Zaczął uciekać.

– Otwórzcie drzwi! – wołał. – Otwórzcie!

Dekka zajęła pozycję.

– Zrób to efektownie, ale bez przesady – szepnął Sam.

Wtem Robal się potknął. Grawitacja jakby przestała istnieć, ale wypadł poza zasięg Dekki, odzyskał równowagę i uderzył w drzwi.

– Dobre – powiedział Sam.

Drzwi się otworzyły i Robal wpadł w mrok za nimi.

– Myślisz, że słyszał? – spytał Edilio.

– Tak. Pewnie właśnie teraz gada z Caine'em. Musimy wejść ostro i szybko.

– Jak?

– Najlepiej przez ścianę – odparł ponuro Sam. – Howard! Orc! – zawołał. Wskazał drzwi do pomieszczenia z turbinami, które zamknęły się za Robalem. – Wyważcie te drzwi. Edilio, weź swojego najlepszego człowieka i idźcie z nimi. Róbcie dużo hałasu. Cała reszta za mną.

– Dużo hałasu – powtórzył Edilio z niepokojem w głosie.

Sam zacieśnił uścisk na ramieniu Edilia.

– Gdybym kiedyś potrzebował meksykańskiego pomagiera, wziąłbym ciebie.

– Ta, jasne.

– Gotów?

– Skąd.

– No to jedziemy – powiedział Sam. A potem dodał głośniej: – Jedziemy!

Pognali do drzwi, przez które wszedł Robal. W szalonym pędzie przebyli parking. Edilio, Steve i jeszcze jeden żołnierz niemal pchali przed sobą Orka, podczas gdy Howard przyjął strategicznie wolniejsze tempo, zostając z tyłu, na względnie bezpieczniejszej pozycji.

Sam, Dekka i pozostali żołnierze utrzymywali tempo, a potem oderwali się od grupy, uciekając w prawo i w lewo, gnając wzdłuż budynku.

Taylor została dalej wraz z dwoma chłopakami, którzy osłaniali tyły.

Orc pobiegł prosto do drzwi. Wpadł na nie niczym byk podczas korridy, z całym impetem, nie bacząc na nic innego. Odgłos uderzenia poniósł się echem po całym parkingu.

Metalowe drzwi wygięły się, ale nie ustąpiły. Orc cofnął się i kopnął je swoją kamienną nogą. Poleciał w tył, ale drzwi stanęły otworem.

Wewnątrz rozległa się kanonada.

Orc ani drgnął. Pozostali rzucili się na boki.

Edilio zaczął strzelać przez otwarte drzwi, huk był ogłuszający.

Rozbłyski z lufy przypominały stroboskopy.

Sam i Dekka umknęli i przywarli do ściany.

– Mniej więcej tutaj, zdaje się – powiedział Sam, dysząc.

Oboje odsunęli się od ściany i Sam wzniósł ręce.

Z jego wyprostowanych dłoni wystrzelił oślepiający, zielony ogień. Ceglana ściana zajaśniała czerwienią. Niemal natychmiast mur zaczął się kruszyć i wtedy do akcji wkroczyła Dekka. Ściana zaczęła pękać. Fragmenty zaprawy i cegieł unosiły się w górę. Mniejsze kawałki zajmowały się ogniem i płonęły. Mur rozpadał się, ale zbyt wolno.

– Orc! – krzyknął Sam.

Chłopak-potwór dźwignął się na nogi i podszedł bliżej.

– Dekko, puść! – zawołał Sam.

Zielony ogień zgasł, siła ciążenia powróciła wraz z deszczem ziemi i żwiru, przez który biegł Orc. Uderzył osłabiony mur potężnym ramieniem. Ściana zapadła się niczym twardy wierzch ciasta.

Orc cofnął się, a potem natarł na ścianę z całych sił i po chwili znalazł się po drugiej stronie. Sam popędził za nim, ale w przeciwieństwie do Orka nie był odporny na gorąco, które osobiście wywołał. Poczuł się tak, jakby wbiegał do pieca. Dotknął rozgrzanych do czerwoności cegieł i wrzasnął z bólu.

Zamarł.

Za ścianą nie było nastawni. Zamiast przebić się do niej i zaskoczyć Caine'a, trafili do zewnętrznego pomieszczenia, pełnego staroświeckich, metalowych szafek na dokumenty.

Cały plan legł właśnie w gruzach. Pomysł z odwróceniem uwagi stracił sens.

Dekka była tuż za nim.

– To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia – stwierdziła.

Nie czas na żal, powiedział sobie Sam, lecz chwila rzeczywiście była niewesoła. Zaskoczenie mogło ocalić im życie. Pozwolić na uratowanie zakładników.

– Z następną ścianą powinno pójść łatwiej – rzucił na głos. – Kryć się!

Dekka skoczyła za rząd szafek, gdy Sam zaatakował kolejną ścianę. Temperatura w i tak dusznym pomieszczeniu niebezpiecznie wzrosła.

Promień w ciągu kilku sekund stopił farbę i okładzinę ścienną, ale dalej, wewnątrz ściany, znajdowała się bariera z twardego, szarego metalu.

– To osłona przeciwko promieniowaniu! – zawołał Sam do Dekki. – Ołów.

Ołów zaczął się szybko topić pod wpływem próbnego promienia, który posłał Sam. Metal spływał po ścianie i rozlewał się po podłodze, natychmiast podpalając wszystko, czego dotknął.

Teraz w pomieszczeniu zrobiło się zbyt gorąco dla kogokolwiek. Brakowało powietrza, Samowi kręciło się w głowie, nie mógł się skoncentrować i zapominał, co właściwie robi.

– Orc! Złap go! – krzyknęła Dekka, wyskoczywszy na zewnątrz, by złapać oddech.

Sam poczuł, że odrywa się od ziemi. Było to dziwnie przyjemne. Na zewnątrz uderzenie zimnego powietrza przywróciło go do rzeczywistości.

Zerknął w prawo. Ostrzał wciąż ochraniał wejście do hali turbin. Edilio przywarł płasko do ściany. Mógł tylko zmieniać magazynki i strzelać na oślep. Jego żołnierzom rozkazano, by wycofali się do zaparkowanych bezpiecznie samochodów.

Atak się załamywał.

Sam wstał, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy. Znowu stanął twarzą do ściany. Mógł przestrzelić zewnętrzny mur, pomieszczenie za nim i ołowianą osłonę. Ale przy takiej odległości śmiercionośny promień byłby już rozproszony. Nie miał też dość miejsca, by wymachiwać nim w prawo i w lewo, powiększając otwór.

Wzniósł ręce i uwolnił swoją moc. Ołowiana osłona topiła się szybko. Ale wiedział, że jest już za późno na zaskoczenie. Za późno.

Okolony czerwienią otwór o rozmiarach pokrywy studzienki kanalizacyjnej ociekał roztopionym ołowiem niczym łzami.

Wtem rozbrzmiał znajomy głos:

– Sam!

Sam nie zwrócił na niego uwagi.

– Sam, za trzy sekundy wepchnę jednego z zakładników w tę dziurę, którą zrobiłeś! – krzyknął Caine. – Raz!

Sam poszerzył otwór najbardziej, jak mógł, rozpalając krawędzie, topiąc ołów.

– Dwa!

Wewnętrzny głos mówił mu, że nie może przestać.

Nie miał jednak żadnych wątpliwości, najmniejszych, że jeśli natychmiast nie przestanie, Caine może dosłownie rzucić zakładnikiem w ognisty otwór.

Opuścił ręce. Światło zgasło.

– Tak lepiej! – zawołał tamten.

– Wyjdź teraz, Caine, a może puszczę cię wolno w jednym kawałku! – odkrzyknął Sam.

– Posłuchaj, braciszku – odparł Caine. – Mam dwóch twoich ludzi. Dajcie głos, dzieciaki.

– To ja, Sam. Mike Farmer! Jest tu też Mickey. I Britt, ona... jest ranna.

Sam zerknął na Dekkę. Odpowiedziała spojrzeniem, z kamienną twarzą. Caine mówił o dwóch zakładnikach. Czyli uważał, że Brittney

nie żyje.

Nie wspominając o Briannie. Bryza nie była zakładniczką. Sam pomyślał, że także Mike jej nie wymienił. Czyli przynajmniej nie leżała pokonana w tym pomieszczeniu.

Ostrzał drzwi ustał. Edilio wciąż tkwił w gotowości, ale nie wiedział, co teraz robić.

– Puść ich, Caine – powiedział stanowczym tonem Sam.

– Raczej tego nie zrobię – odparł tamten.

Sam przeciągnął dłonią po włosach. Kipiał gniewem.

– Czego chcesz? – spytał. – Co ty w ogóle wyprawiasz?

– Mam elektrownię, to oczywiste – stwierdził Caine. – Tylko głupi by tego nie zauważył.

Sam nie miał na to odpowiedzi.

– Wiesz, co zrobię? Wyłączę zasilanie w Perdido Beach.

– W takim razie ty też będziesz miał ciemno! – zawołał Sam.

– Tak by się mogło wydawać – odparł tamten ze śmiechem. – Ale okazuje się, że to nieprawda. Możemy odciąć fragment sieci, pozostawiając inne części nietknięte.

– Myślę, że blefujesz. Widziałem nastawnię. Nawet w tydzień byś się w tym nie połapał.

Caine znowu się zaśmiał.

– Masz rację, braciszku. Pewnie i w miesiąc. Diana nie jest lepsza w sprawach technicznych. A Drake... no, znasz go. Ale...

Sam domyślał się, co zaraz usłyszy. Zamknął oczy i zwiesił głowę.

– Na szczęście, nasz wspólny znajomy, Komputerowy Jack, już to prawie rozpracował. Właściwie... Jak idzie, Jack? Już gotowe?

Rozległ się jakiś ledwie słyszalny szmer. Potem znowu zapanował nad nim drwiący głos Caine'a.

– Wiesz co, Sam?

Chłopak nie odpowiedział.

– Jack mówi, że w Perdido Beach właśnie zgasło światło.

Caine zaniósł się dzikim, triumfalnym śmiechem.

Sam zerknął na Taylor. Teleportowała się do niego.

– Sprawdź to – poprosił. Skinęła głową i zniknęła.

– Wysyłasz Briannę, żeby to sprawdziła? – zawołał Caine. – Czy Taylor?

Sam nic nie powiedział. Czekał.

Taylor znowu się pojawiła, tuż obok niego.

– Skoczyłam na zakręt drogi, ten, z którego widać miasto – zameldowała.

– No i?

Rozdział 25

17 GODZIN, 54 MINUTY

Duck kłócił się z sobą samym przez całą drogę do domu. Powtarzał w myślach, że problem Huntera nie jest jego problemem. Dobra, może teraz też był odmieńcem, tak jak Hunter, ale co z tego? Posiadał jakąś głupią, bezużyteczną moc – lecz czy to oznaczało, że musiał przejąć na siebie część zmartwień Huntera?

Hunter był głąbem. A wszyscy ludzie, których Duck lubił, zaliczali się do normalnych. No, większość. Lubił Sama, ma się rozumieć, na swój zdystansowany sposób. Ale, kurczę, dlaczego miałby nagle opowiadać się po którejś stronie w walce, o której nie miał zielonego pojęcia?

Tak czy owak, głupio mu było tak po prostu zostawić Huntera, ukrywającego się w ruinach przed kościołem. Uważał, że to zbyt okrutne.

Zanim dotarł do swojego w miarę bezpiecznego domu, wybił sobie z głowy jakiekolwiek działania, zarówno w jedną, jak i w drugą stronę. Przejrzał szafki w kuchni. Tylko żeby sprawdzić, czy w ogóle mógłby pomóc Hunterowi.

W kuchni nie było za bardzo na co patrzeć. Dwie puszki warzyw. Dwa słoiki sosu do hot dogów, na dodatek w kwaśnej wersji. W połowie puste opakowanie mąki i resztki oleju. Nauczył się przyrządzać niezbyt smaczną tortillę z mąki oraz odrobiny wody i oleju. W ETAP-ie danie to stało się ostatnio bardzo popularne, bo mógł sobie z nim poradzić każdy, nawet absolutne kuchenne beztalencie.

Nie zastanawiał się, co będą jedli za tydzień. Z tego, co słyszał, można było znaleźć żywność na polach, ale nikt nie miał ochoty jej zbierać z uwagi na zębaki. Zadrżał na samą myśl o nich.

Pomyślał jednak, że może wziąć sos do hot dogów. Nie był pewnie ani zdrowy, ani smaczny, ale Hunter zdawał się być mocno zdesperowany. W obecnej sytuacji wszyscy jedli rzeczy, które dawniej przyprawiały ich o mdłości.

Duck zobaczył nagle oczyma wyobraźni prawdziwe hot dogi. Prawdziwe gorące parówki w miękkiej, białej bułce.

Jego ciotka pochodziła z Chicago. Pokazała mu kiedyś prawdziwe chicagowskie hot dogi z... ile tego było? Siedmioma dodatkami? Zastanawiał się, czy przypomni sobie wszystkie.

Musztarda. Sos. Cebula. Pomidory.

Poczuł, jak cieknie mu ślinka na samą myśl o dawnych przysmakach. Ale z drugiej strony pociekłaby pewnie nawet na myśl o hot dogu z brukselką.

Podjął decyzję. Nie chodziło o konflikt odmieńców z normalnymi. Chodziło o to, czy może zostawić ukrywającego się Huntera samego przez całą noc.

Nie. Zaniesie mu sos, a potem, jeśli Hunter będzie potrzebował kryjówki, weźmie go do swojej piwnicy.

Wsunął sos do kieszeni kurtki i z ociąganiem wyszedł z powrotem w noc.

Dojście do kościoła zajęło mu raptem parę minut.

– Hunter. Ej, Hunter – odezwał się ochrypłym szeptem.

Nic.

Świetnie. Super. A jednak dał się wkręcić.

Odwrócił się i zaczął odchodzić. Ale zza rogu wyłoniła się grupka siedmiorga, może ośmiorga dzieciaków. Po chwili Duck zauważył, że trzymają w dłoniach kije bejsbolowe.

Zil szedł na czele.

– Tam jest jeden! – krzyknął Zil i zanim Duck zdążył choćby zareagować, siedmiu chłopaków puściło się biegiem w jego stronę.

– O co chodzi? – spytał.

Otoczyli go. Ich groźna postawa nie budziła wątpliwości, ale Duck postanowił w duchu, że nie da im żadnego pretekstu.

– O co chodzi? – przedrzeźniał go Zil. – Człowiek-Świder chce wiedzieć, o co chodzi. – Popchnął Ducka. – Jeden z waszych zabił mojego najlepszego przyjaciela, o to chodzi.

– Mamy tego dosyć – dodał inny chłopak.

Rozległ się szmer potakujących głosów.

– Chłopaki, nikomu nic nie zrobiłem – rzekł Duck. – Ja tylko...

Nie wiedział, co powiedzieć. Złowrogie oczy dookoła zwęziły się.

– Co tylko, odmieńcu? – spytał Zil.

– Spaceruję. Co w tym złego?

– Szukamy Huntera – oznajmił Hank.

– Chcemy mu skopać tyłek.

– Właśnie. Albo przefasować nos – dorzucił Antoine. – Może facet by lepiej wyglądał, gdyby wyrastał mu on z boku twarzy.

Parsknęli śmiechem.

– Szukacie Huntera? – zapytał Duck, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie.

– Tak. Chodzącej mikrofalówki. Mordercy.

Duck wzruszył ramionami.

– Nie widziałem go.

– Co tam masz w kieszeni? – spytał Zil. – Ma coś w kieszeni.

– Co? A, to nic takiego. To...

Kij bejsbolowy świsnął z niezawodną celnością. Duck poczuł cios w biodro, tam, gdzie w kieszeni kurtki znajdował się sos. Rozległ się chrzęst tłuczonego, mokrego szkła.

– Ej! – wykrzyknął.

Zaczął się przepychać między nimi, ale jego stopy ani drgnęły. Spojrzał w dół, i zobaczył, że jego buty zatopiły się już w chodniku.

– Dobra, przestańcie mnie wkurzać! – wykrzyknął z desperacją.

– Przestańcie mnie wkurzać – powtórzył Zil drwiącym, śpiewnym głosem.

– Hej, stary, on tonie! – zawołał jeden z nich.

Duck zapadł się już do połowy łydek. Był w potrzasku. Napotkał pogardliwe spojrzenie Zila i przybrał błagalny ton:

– Daj spokój, stary, dlaczego się na mnie uwzięliście?

– Bo nie jesteś człowiekiem, tylko mupem – odparł Zil, po czym dodał:

– Nie?

– Szukacie Huntera, tak? – powiedział Duck. – Jest tam, stary, za tymi gruzami.

– Naprawdę? – spytał Zil. Skinął głową swojej bandzie i razem wspięli się na rumowisko w poszukiwaniu swojej ofiary. Ktoś, Duck nie widział, kto, rozbił kijem fragment witraża.

Duck głęboko wciągnął powietrze.

– Wesołe myśli, wesołe myśli – szepnął. Przestał się zapadać, ale nadal był uwięziony. Zaczął kręcić stopą to w jedną, to w drugą stronę. W końcu uwolnił jedną nogę, tyle że bez buta. Z drugą poszło mu łatwiej, tym razem zachował też but.

Puścił się biegiem.

– Ej, wracaj!

– Kłamał, Huntera tu nie ma!

– Łapać go!

Duck gnał, ile sił w nogach.

– Wesołe myśli, wesołe myśli, cha, cha, cha, cha! – pokrzykiwał, starając się za wszelką cenę nie dopuszczać do siebie gniewu i rozciągając usta w uśmiechu.

Przebiegł na drugą stronę ulicy. Miał nad tamtymi przewagę, ale nie na tyle dużą, by dostać się do domu i zamknąć drzwi na klucz, zanim go dopadną.

– Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże! – zawołał.

Przy kolejnym kroku jego stopa ciężko uderzyła o chodnik.

Następny krok roztrzaskał krawężnik.

Kolejny przebił chodnik.

Jego podbródek uderzył o beton i rozbił go niczym kamień szybę.

Znowu zapadał się w ziemię. Tyle że tym razem twarzą w dół.

Zil i inni natychmiast go otoczyli. Dostał cios w plecy. Potem następny w siedzenie. Żadne z uderzeń nie bolało. Zupełnie jakby bili go słomkami, a nie kijami. Potem przestali go dosięgać, bo przebił się przez beton i zapadał się coraz głębiej.

– Jeden troll z głowy – usłyszał piskliwy skrzek Zila.

A potem:

– Co się stało, stary?

– Zgasły wszystkie światła – powiedział ktoś z wyraźnym przestrachem.

Rozległo się przerażone przekleństwo, a potem odgłos biegnących stóp.

Duck Zhang, leżąc w ziemi twarzą w dół, zapadał się dalej.

Mary, wyciągnięta w łóżku, w ciemności, gładziła się po brzuchu, wyczuwając tłuszcz. Myślała: może jeszcze parę tygodni diety. A potem dotrze do celu. Gdziekolwiek ten cel się znajdował.

Na szafce nocnej stała pusta butelka po wodzie. Mary ciężko zwlokła się z łóżka. Otworzyła drzwi łazienki i pstryknęła przełącznikiem światła. Przez chwilę widziała w lustrze kogoś, kogo nie poznała, kogoś o zapadniętych policzkach i pustych oczach.

A potem nagle zapadła zupełna ciemność.

W piwnicy ratusza, w mrocznym pomieszczeniu, które dzieciaki nazywały szpitalem, Dahra Baidoo trzymała Josha za rękę.

Nie przestawał płakać.

Przywieźli go z bitwy w elektrowni. Podrzucił go jeden z żołnierzy Edilia.

– Chcę do mamy. Chcę do mamy. – Josh kołysał się w przód i w tył, głuchy na słowa pocieszenia Dahry, zagubiony i zawstydzony.

– Chcę do mamy! – wykrzyknął. – Chcę tylko do mamy.

– Włączę DVD – powiedziała Dahra. Nie miała lepszego pomysłu.

Widywała już dzieciaki w takim stanie. Było ich zbyt wiele, by je zliczyć. Niektóre nie potrafiły sobie z tym wszystkim poradzić. Łamały się, jak zbyt mocno wygięta gałązka. Pękały.

Zastanawiała się, ile jeszcze minie czasu, zanim sama zachowa się jak jedno z nich.

Ile jeszcze czasu, zanim zacznie się kulić, kołysać i płakać za matką?

Nagle zgasło światło.

– Chcę do mamy – łkał w mroku Josh.

W przedszkolu John Terrafino leżał wyciągnięty, jednym otwartym okiem patrząc na wyciszony telewizor i karmiąc butelką marudne dziesięciomiesięczne dziecko. W butelce nie było mleka ani mieszanki dla niemowląt. Napełniono ją wodą, wymieszaną z owsianką i odrobiną pasty rybnej.

Żaden z podręczników o opiece nad dziećmi tego nie zalecał. Dziecko było chore. Słabło z dnia na dzień. John wątpił, by niemowlę, które zresztą też nosiło imię John, miało przed sobą długie życie.

– Wszystko w porządku – szepnął.

Telewizor zgasł.

*** * ***

Astrid w końcu położyła małego Pete'a do łóżka. Była wyczerpana i zmartwiona. Bolało ją oko, w które oberwała kijem bejsbolowym. Miała wokół niego okropny, żółto-czerwony siniak. Lód pomógł, ale tylko trochę.

Musiała się przespać. Była pierwsza w nocy, ale Astrid nie mogła się położyć. Jeszcze nie. Dopóki nie dowie się, że z Samem wszystko w porządku. Żałowała, że nie mogła pojechać z nim do elektrowni. Może pomogłaby w niewielkim stopniu, ale wiedziałaby przynajmniej, co się dzieje.

Dziwne, jak w przeciągu zaledwie trzech krótkich miesięcy Sam stał się niezbędną częścią jej życia. A nawet kimś więcej. Niezbędną częścią jej samej. Jak ręka czy noga. Jak serce.

Usłyszała jakiś hałas na ulicy. Biegnący ludzie. W napięciu czekała, aż usłyszy łoskot nóg na ganku. Ale nikt się nie pojawił.

Czyżby wrócił Hunter? A może Zil dalej biegał i szukał kłopotów? Nic nie mogła na to poradzić. Nie miała mocy, w każdym razie takiej, która by się liczyła. Pozostawały jej tylko groźby i prośby.

Wyjrzała przez okno; ulica była opustoszała i cicha.

Miała nadzieję, że Hunter zdążył się gdzieś ukryć. Trzeba jakoś rozwiązać tę sytuację, a sprawa wydawała się bardzo niebezpieczna. Jak tykająca bomba. Musiała jednak poczekać.

Co się działo z Samem?

Czy stała mu się krzywda?

Nie żył?

Boże uchowaj, pomodliła się w myślach.

Nie. Żył. Poczułaby, gdyby było inaczej.

Otarła łzę i westchnęła. Wiedziała, że na pewno nie zaśnie. Nic z tego. Usiadła więc przed komputerem. Ręce jej drżały, gdy dotknęła klawiatury. Musiała zrobić coś pożytecznego. Coś. Cokolwiek, byle nie myśleć o Samie.

Na dole ekranu jak zwykle widniały ikonki Safari i Firefoksa. Przeglądarki internetowe, które po uruchomieniu tylko by jej przypomniały, że nie ma połączenia z siecią.
Otworzyła folder, dotyczący mutacji. Widniały tam przeróżne dziwaczne zdjęcia. Kot zespolony z książką. Węże ze skrzydełkami. Mewy ze szponami drapieżników. Zębak.
Otworzyła plik Worda i zaczęła pisać.

Niezmienny wydaje się fakt, że mutacje czynią zarówno ludzi, jak i zwierzęta, bardziej niebezpiecznymi. Niemal wszystkie mutacje polegają na wykształceniu się dodatkowych cech czy umiejętności, służących walce.

Przerwała i przez chwilę się zastanowiła. Nie była to do końca prawda. U niektórych dzieciaków rozwinęły się moce, które zdawały się w zasadzie bezużyteczne. Właściwie Sam żałował, że większa liczba mutantów nie dysponowała „poważnymi", jak to określił, mocami. No i nie należało zapominać o Lanie – jej dar z całą pewnością nie służył walce.

Mutacje stanowią broń albo rodzaj mechanizmu obronnego. Oczywiście, możliwe, że zaobserwowałam zbyt mało mutacji. Ale nie byłabym zaskoczona, gdyby ułatwiały przetrwanie. To podstawowy cel ewolucji: przetrwanie.

Czy to jednak była ewolucja? Ewolucja stanowiła serię sukcesów i

pomyłek na przestrzeni milionów lat, a nie nagłą eksplozję radykalnych zmian. Ewolucja opierała się na istniejącym DNA. Wydarzenia w ETAP-ie były drastycznym odejściem od liczącego miliardy lat kodu w zwierzęcym DNA. Mogły istnieć geny szybkości, ale nie było genów teleportacji, wstrzymywania siły ciążenia czy telekinezy.
Nie było DNA, umożliwiającego strzelanie światłem z dłoni.

Tak naprawdę nie

Ekran zgasł. W pokoju zapadł mrok.
Astrid wstała i podeszła do okna. Odsunęła kotary i wyjrzała w zupełną ciemność. Na ulicy nie paliło się żadne światło.
Wyszła na ganek.
Ciemność. Wszędzie. Żadnego światła w okolicznych domach.
– Hej! – krzyknął ktoś kilka domów dalej.
Caine dotarł do elektrowni. Sam poniósł porażkę.
Stłumiła szloch. Jeśli Samowi coś się stało... Jeśli...
Astrid poczuła lęk, jakby jakieś lodowate palce ściskały ją przez koszulę nocną. Zataczając się, poszła do kuchni. Otworzyła szufladę z rupieciami i po dłuższych poszukiwaniach znalazła latarkę. Jej światło było słabe i zgasło po kilku sekundach.
Ale w ciągu tych kilku sekund udało jej się zlokalizować świecę. Spróbowała zapalić ją od kuchenki. Gaz jednak zasyczał, ale nie zapłonął, bo automatyczna zapalarka wymagała elektryczności.
Zapałki. Zapalniczka. Na pewno gdzieś były zapałki.

W ciemności nie mogła ich jednak znaleźć. Miała świecę, ale w żaden sposób nie mogła jej zapalić.

Po omacku odnalazła drogę do schodów i wspięła się do pokoju małego Pete'a. Gamę Boy leżał przy łóżku chłopca, tam, gdzie zawsze. Gdyby mały się obudził i zobaczył, że go nie ma, wpadłby w szał. I... nie sposób przewidzieć, co wtedy zrobił.

Zniosła Gamę Boya na dół i wykorzystała blask wyświetlacza, by przeszukać szufladę. Zapałek nie było, ale znalazła zapalniczkę. Zapaliła świecę.

Przez kilka chwil, skupiona na poszukiwaniach, nie myślała o Samie. Ale już za moment przypomniała sobie, że Sam wyruszył do elektrowni, by powstrzymać Caine'a. I mu się nie powiodło. Jedyne pytanie brzmiało teraz: czy przeżył?

W niemal fotograficznej pamięci Astrid pojawił się fragment starego wiersza.

– „Wszystko w rozpadzie" – szepnęła do niesamowicie oświetlonej kuchni. Słowa te raz po raz rozbrzmiewały w jej głowie.

Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.

[Fragment wiersza „Drugie przyjście" W. B. Yeatsa w przekładzie S. Barańczaka w: W. B. Yeats „Poezje wybrane", Warszawa 1987

(przyp. tłum.).]

– Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze – powtórzyła dziewczyna.

Może i tak. Ale bez wątpienia nawet tutaj, w ETAP-ie, Bóg czuwał nad swoimi dziećmi.

– Proszę, spraw, by Samowi nic się nie stało – wyszeptała do świecy.

Przeżegnała się znakiem krzyża i uklękła przed blatem kuchennym, jakby to był ołtarz.

– Święty Michale Archaniele, broń nas w walce. Przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź nam obroną.

Dawniej, gdy wypowiadała tę modlitwę, zły duch był dla niej istotą z rogami i ogonem. Teraz, w jej umyśle, przybrał twarz Caine'a. A gdy dochodziła do słów „inne złe duchy, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą", w jej głowie pojawiał się obraz chłopaka o budzących grozę oczach z wężem zamiast ręki.

Rozdział 26

17 GODZIN, 49 MINUT

– Czego chcesz, Caine? – dobiegło z zewnątrz wołanie Sama. W jego głosie pobrzmiewały gniew i frustracja. Porażka.

Caine pochylił głowę. Rozkoszował się tą chwilą. Zwyciężył. Minęły ledwie cztery dni, odkąd przynajmniej w części odzyskał panowanie nad sobą. A teraz pokonał Sama.

– Cztery dni – powiedział na tyle głośno, by usłyszeli go obecni w pomieszczeniu. – Tyle zajęło mi zwycięstwo nad Samem Temple. – Spojrzał w oczy Drake'a. – Cztery dni – powtórzył z drwiną. – A ile ty osiągnąłeś przez te trzy miesiące, kiedy byłem chory?

Drake z początku wytrzymał jego spojrzenie, ale po chwili spuścił wzrok na podłogę. Jego policzki zakwitły czerwienią, w oczach pojawił się niebezpieczny błysk, ale nie mógł patrzeć na triumfalny grymas Caine'a.

– Pamiętaj o tym, kiedy w końcu postanowisz, że czas stawić mi czoło, Drake – szepnął Caine.

Odwrócił się do pozostałych, promieniejąc radością. Jack wciąż siedział przy komputerze, potargany i zakrwawiony, tak bardzo jednak pochłonięty pracą, że niemal nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Robal pojawiał się i znikał. Diana udawała, że sytuacja nie robi na niej wrażenia. Puścił do niej oko, wiedząc, że nie zareaguje. Dwaj żołnierze Drake'a siedzieli bezczynnie.

– Czego chcę? – zawołał przez osmaloną dziurę w ścianie. Po czym

powtórzył, starannie akcentując każdą głoskę: – Cze-go-chcę?

I wtedy poczuł, że znalazł się w impasie. Przez chwilę, przez krótką chwilę, zanim się pozbierał, nie wiedział, czego chce. Nikt inny nie dostrzegł tego wahania. Ale Caine je czuł.

Czego naprawdę chciał?

Poszukał odpowiedzi i znalazł jedną, która się nadawała.

– Ciebie, Sam – powiedział miękkim głosem. – Chcę, żebyś tu wszedł, bez towarzystwa. Tego właśnie chcę.

Zakładnicy, Mickey i Mike, popatrzyli po sobie z niedowierzaniem. Caine odgadywał, co myślą: Sam, ich wielki bohater, zawiódł.

Głos Sama był stłumiony, lecz słyszalny.

– Wszedłbym. Prawdę mówiąc, pewnie odczułbym ulgę. – Wydawał się znużony. Pokonany. Dla uszu Caine'a zrezygnowany głos Sama brzmiał niczym najpiękniejsza muzyka. – Ale wszyscy wiemy, jak się zachowujesz, gdy nie ma nikogo, kto by cię powstrzymał. Dlatego... nie.

Caine wydał z siebie przeciągłe, teatralne westchnienie. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Przypuszczałem, że przyjmiesz taką postawę. Mam więc coś innego. Myślę o wymianie.

– Wymianie? Czego na co?

– Żywność za światło – odparł Caine. Przyłożył dłoń do ucha, jakby nasłuchiwał. Odwrócił się do Diany. – Słyszysz? – szepnął. – Ten odgłos to mój brat, który zrozumiał, że przegrał. Zrozumiał, że właśnie został moim... jak brzmi właściwe słowo? Sługą? Niewolnikiem?

– A mnie się zdaje, że to ty masz kłopoty, Caine! – zawołał Sam.

Caine zamrugał powiekami. W jego głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka. Właśnie popełnił błąd. Nie wiedział, jaki, ale popełnił.

– Ja?! – krzyknął. – Nie wydaje mi się. To w moich rękach jest pstryczek do światła, braciszku.

– Tak, na to wygląda – odparł Sam. – A ja trzymam cię w szachu. Jesteście okrążeni, a skoro w Coates brakuje wam żywności, przypuszczam, że i tutaj nie macie jej zbyt wiele. Więc myślę, że szybko zgłodniejecie.

Uśmiech zamarł na ustach Caine'a.

– No to wypadki przybrały niespodziewany obrót – odezwała się Diana oschłym tonem.

Chłopak przygryzł kciuk i zawołał:

– Ej, braciszku, przypominam, że dwaj twoi ludzie są zakładnikami!

Nastąpiła długa chwila ciszy i Caine naprężył się, spodziewając się, że Sam może przypuścić kolejny atak. W końcu Sam przemówił. Jego głos brzmiał teraz bardziej ponuro, a zarazem zdecydowanie.

– Dalej, Caine, zrób z zakładnikami, co chcesz. Potem nie będziesz miał już żadnych. I nadal będziesz głodny.

– Myślisz, że nie oddam zakładników Drake'owi? – zagroził Caine. – Będziesz mógł słuchać ich krzyków. – Czuł, że jego policzki nabierają kolorów. Wiedział, jaka będzie odpowiedź Sama. Nie musiał długo czekać.

– Jeśli usłyszę krzyk, wchodzimy – uprzedził Sam. – Poleje się krew, a

tego bym nie chciał. Ale wiesz, że mam dosyć ludzi i odpowiednią moc, żeby to zrobić.

Caine dalej gryzł kciuk. Zerknął na Dianę licząc, że dziewczyna podsunie mu jakieś rozwiązanie, jakiś dobry pomysł, który im pomoże. Starał się unikać wzroku Drake'a.

– Więc mam lepszą propozycję! – zawołał Sam. – Może dam ci dziesięć minut na wyjście? I masz moje słowo, że będziesz mógł wrócić do Coates.

Caine z trudem zmusił się do śmiechu, który zabrzmiał jak warknięcie.

– Nic z tego, Sam. Utrzymam to miejsce. A ty możesz wracać do swojego bardzo ciemnego miasta.

Nie było odpowiedzi.

To milczenie było bardzo wymowne. Sam nie musiał już nic dodawać. A i Caine'owi nie zostało nic do powiedzenia. Miał wrażenie, że na piersi zaciska mu się jakaś obręcz. Jakby musiał walczyć o każdy oddech.

Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Lęki, które ożywały w nocnych koszmarach Caine'a, teraz zaczęły wzbierać w jego mózgu niczym fala przypływu. Znalazł się w pułapce.

– Bądźcie gotowi – mruknął Drake, gdy jego żołnierze wymienili sceptyczne, pełne niepokoju spojrzenia.

Diana obróciła się na krześle.

– Co teraz, Nieustraszony Przywódco? Ma rację. Brak nam zapasów.

Caine skrzywił się. Przeciągnął dłonią po włosach. W głowie mu

huczało.

Szybko się odwrócił, bo miał wrażenie, że ktoś podkradł się do niego od tyłu. Nikogo nie zobaczył, oprócz tej dziewczyny, Brittney, na podłodze.

Jak mógł tego nie przewidzieć? Jak mógł nie zdawać sobie sprawy, że znajdzie się w pułapce? Nawet gdyby jakoś nawiązał łączność ze swoimi ludźmi w Coates, było ich znacznie mniej niż dzieciaków, którymi dowodził Sam.

W dodatku nikt by nie przyszedł. Nie tutaj. Nie w chwili, gdy tamci otoczyli elektrownię.

Sam mógł w ciągu paru godzin ściągnąć tu z pięćdziesiąt osób. A co mógł zrobić Caine?

Co mógł zrobić?

Zajęli elektrownię. Wyłączyli światło w Perdido Beach. Ale teraz znaleźli się pod ścianą. Choć trudno w to uwierzyć.

Caine zmarszczył brwi, usiłując się skupić. Po co to wszystko? W ciągu minuty przebył drogę od dumy i triumfu do gorzkiego upokorzenia.

Co właściwie zrobił? Postąpił idiotycznie. Nic nie zyskał. Myślał tylko o jednym: zająć elektrownię. Zająć i utrzymać. A potem...

Potem...

Poczuł, że tonie, jego umysł zawirował i runął w dół, w otchłań.

Uświadomił to sobie nagle i z całą mocą. Nie zajął elektrowni po to, by zdobyć żywność dla swoich ludzi, ani nawet po to, by pokazać swoją przewagę nad Samem. Wcale nie realizował własnych pragnień.

Caine, teraz już zupełnie pobladły, wbił spojrzenie w Drake'a.

– To dla niego – powiedział. – Wszystko dla niego.

Drake popatrzył na Caine'a wąskimi jak szparki oczami, nic nie pojmując.

– Jest głodny – szepnął Caine. Z bólem dostrzegł zrozumienie w oczach Diany, gdy wypowiadał te słowa. – Głodny w ciemności.

– Skąd wiesz? – spytał Drake.

Caine rozłożył ręce, niezdolny do wyjaśnień. Słowa nie chciały przyjść.

– Dlatego mnie puścił – powiedział, bardziej do siebie niż do Diany albo Drake'a. – Dlatego mnie puścił. Po to.

– Chcesz powiedzieć, że przenosisz w świat rzeczywisty jakieś swoje majaki? – Diana nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. – Chcesz powiedzieć, że zrobiliśmy to wszystko, bo potwór z pustyni siedzi w twojej głowie?

– Czego od nas chce? – spytał Drake, pełen zapału, nie złości. Jak pies, który pragnie za wszelką cenę zadowolić swojego prawdziwego pana.

– Musimy mu to przynieść. Nakarmić go – oznajmił Caine.

– Czym nakarmić?

Caine westchnął i popatrzył na Jacka.

– Pokarmem, który przyniesie światło w jego ciemność. Tym samym, który daje światło Perdido Beach. Uranem.

Jack powoli pokręcił głową, rozumiejąc, ale nie chcąc zrozumieć.

– Jak to zrobić? Jak wyjąć uran z rdzenia? Jak przenieść go przez całe kilometry pustyni? Jest ciężki. Niebezpieczny. Radioaktywny.

– Caine, to szaleństwo – odezwała się błagalnym głosem Diana. – Targać radioaktywny uran przez pustynię? W czym *ci* to pomoże? W

czym pomoże komukolwiek z nas? Po co to robić?

Caine zawahał się. Zmarszczył czoło. Miała rację. Dlaczego miał służyć Ciemności? Niech stwór żywi się sam. On miał swoje problemy, swoje potrzeby, swoje...

W pomieszczeniu zagrzmiał ryk tak głośny, że zdawał się wstrząsać ścianami. Caine opadł na kolana. Zasłonił uszy dłońmi, próbując odgrodzić się od hałasu, ale ten trwał w nieskończoność, gdy tymczasem chłopak kulił się i wił, walcząc z nagłą chęcią opróżnienia swoich trzewi.

Dźwięk ustał. Cisza dzwoniła w uszach.

Caine powoli otworzył oczy. Diana patrzyła na niego, jakby zwariował. Drake obserwował go z niedowierzaniem, gotów się roześmiać. Jack zerkał tylko na nich z niepokojem.

Nie słyszeli tego. Nieludzki, nieznośny ryk przeznaczony był wyłącznie dla Caine'a.

Kara. Należało słuchać gaiaphage.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Diana.

Drake zmrużył oczy i uśmiechnął się z nieskrywanym szyderstwem.

– To Ciemność. Caine już tu nie rządzi. Mamy nowego szefa.

Diana na głos wyraziła myśli Caine'a.

– Biedny Caine – powiedziała. – Ty biedny, pokręcony chłopaku.

Każdy krok wydawał się Lanie zbyt głośny, jakby wędrowała po wielkiej membranie bębna. Nogi miała zesztywniałe, stawy niczym zespawane. Stopą wyczuwała najdrobniejszy kamyk, zupełnie jakby szła boso.

Serce waliło jej bardzo mocno i miała wrażenie, że słyszy je cały świat. Nie, nie, to tylko jej wyobraźnia. Nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz chrzęstu żwiru pod trampkami. Serce biło tylko dla jej uszu.

Poruszała się nie głośniej niż mysz.

Była jednak przekonana, że stwór ją słyszy. Niczym sowa, nasłuchująca i wypatrująca nocą zdobyczy, patrzył i czekał, a jej skradanie brzmiało niby orkiestra dęta dla niego, dla tego czegoś, dla stwora, dla Ciemności.

Wzeszedł księżyc. A przynajmniej to, co uchodziło za księżyc. Lśniły gwiazdy. Albo coś, co bardzo je przypominało. Srebrzysty blask oświetlał końcówki krzewów i szczeliny w głazie, wszędzie indziej rzucając głębokie cienie.

Lana podjęła marsz, wytężając uwagę do maksimum. Pistolet, który trzymała w prawej, opuszczonej ręce, ocierał się o udo. Z kieszeni sterczała latarka, na razie wyłączona.

Myślisz, że mnie masz. Myślisz, że mną władasz. Do nikogo nie należę. Nikt mną nie włada.

Dwa świetlne punkty zajaśniały przed nią w mroku.

Lana zamarła.

Światełka wpatrywały się w nią. Nie poruszały się.

Lana wzniosła broń i wycelowała. Mierzyła dokładnie pomiędzy błyszczące oczy.

Eksplozja na ułamek sekundy rozświetliła noc.

W rozbłysku zobaczyła kojota.

Potem zniknął, a jej dzwoniło w uszach. Od strony wejścia dobiegło skrzypienie drewnianych drzwi, potem trzaśniecie. I głos Cookiego:

– Lana! Lana!

– Nic mi nie jest. Wracaj do środka. I zamknij drzwi! Zrób to! – krzyknęła.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi.

– Wiem, że tam jesteś, Przywódco Stada – odezwała się. – Tym razem nie jestem już bezradna.

Znowu ruszyła. Huk wystrzału, pocisk – który niemal na pewno chybił celu – to ją uspokoiło. Wiedziała, że zmutowany kojot czeka. Była pewna, że Ciemność także zdaje sobie sprawę z jej obecności. Dobrze. Świetnie. Tym lepiej. Nie musiała się już skradać. Mogła wmaszerować do kopalni, znaleźć zwłoki i zabrać kluczyki. A potem iść z powrotem do budynku, gdzie czekał Cookie z Patrickiem. Pistolet w ręce mile jej ciążył.

– Daj spokój, Przywódco Stada – przemówiła aksamitnym głosem. – Chyba nie boisz się kuli, co?

Jej odwaga jednak straciła na sile, gdy dziewczyna zbliżyła się do wejścia do kopalni. Blask księżyca malował poprzeczną belkę nad otworem delikatną, srebrną barwą. Poniżej widniała czarna czeluść, łapczywa, czekająca, by ją pożreć.

Chodź do mnie.

Wyobraźnia. Nie było żadnego głosu.

Potrzebuję cię.

Włączyła latarkę i skierowała snop światła na otwór. Równie dobrze mogłaby wymierzyć ją w nocne niebo. Blask niczego nie oświetlił.

Latarka w lewej ręce. Ciężar pistoletu w prawej. Zapach kordytu po

wystrzale. Chrzęst żwiru. Ociężałe kończyny. Umysł w stanie przypominającym sen, całkowicie skupiony na prostym zadaniu.
Dotarła pod wejście do sztolni. Powyżej, na wąskiej półce, przycupnął Przywódca Stada i patrzył na nią z góry, obnażając zęby.
Wycelowała tam snop światła latarki, po czym skierowała lufę w ślad za światłem, kojot jednak umknął.
Nie próbuje mnie zatrzymać, uświadomiła sobie. Tylko obserwuje. Jest oczami i uszami Ciemności.
Do wejścia. Snop światła omiótł korytarz i zatrzymał się, gdy znalazł cel.
Głowa wydawała się skurczona, żółta skóra twarzy była naciągnięta na kości, które cierpliwie czekały, by wyłonić się na zewnątrz. Poszarpany i połatany dżins wyglądał niemal jak nowy przy zmumifikowanym ciele i rzadkich kępkach włosów.
Lana uklękła przy nim.

– Cześć, Jim – powiedziała.

Musiała teraz wybrać między pistoletem a oświetleniem. Położyła broń na zapadniętej klatce piersiowej Jima.
Znalazła prawą przednią kieszeń. Nosił wranglery. Kieszeń okazała się luźna i łatwo było do niej sięgnąć. Okazała się jednak pusta. Z równą łatwością dosięgła tylnej kieszeni, ale i w niej nic nie było.
– Przepraszam. – Złapała za szlufki i przeturlała Jima ku sobie, odsłaniając drugą tylną kieszeń. Martwym, wysuszonym ciałem poruszało się dziwnie, było zbyt lekkie, zbyt łatwe do przesunięcia, pozbawione znacznej części swojej masy.
Pusta.

– Człowiek nie żyje.

Od razu poznała ten głos. Takiego głosu nie dało się zapomnieć. Był to niewyraźny, wysoki warkot Przywódcy Stada.

– Tak, zauważyłam – odparła. Była dumna ze spokoju w swoim głosie. W środku czuła jednak wzbierającą panikę. Została tylko jedna kieszeń, a co, jeśli kluczyków w niej nie będzie?

– Idź do Ciemności – nakazał kojot.

Stał cztery metry od niej, nieruchomy, w gotowości. Czy Lana zdoła dosięgnąć broni, zanim zwierzę ją dopadnie?

– Ciemność kazała mi przeszukać facetowi kieszenie – odparła. – Mówi, że chce gumę do żucia. Może Jim ma paczkę.

Gdy Przywódca Stada trzymał ją w niewoli, nabrała szacunku dla jego bezwzględnej determinacji, przebiegłości i siły. Ale nie dla jego inteligencji. Pomimo mutacji, która umożliwiała mu mowę, wciąż pozostawał kojotem. Układem odniesienia było dla niego polowanie na gryzonie i dominacja nad watahą.

Lana odepchnęła od siebie ciało, przetaczając je z powrotem, by odsłonić ostatnią kieszeń. Pistolet zabrzęczał o skałę. Jim Pustelnik znalazł się między Laną a bronią.

Teraz już na pewno Przywódca Stada doskoczyłby do niej, zanim zdążyłaby sięgnąć po broń.

Lana znalazła kieszeń.

W środku tkwiło coś zimnego i kanciastego.

Wyciągnęła kluczyki, ścisnęła je mocno w garści, a następnie wsunęła do własnej kieszeni.

Przechyliła się nad biednym, martwym Jimem i omiotła podłoże

światłem latarki, aż znalazła pistolet.

Z gardła Przywódcy Stada dobyło się warczenie.

– Ciemność o to prosiła – powiedziała.

Jej palce zacisnęły się na rękojeści. Podniosła się powoli, czując strzykanie w kolanach.

– Zapomniałam. Muszę coś wziąć – stwierdziła. Ruszyła prosto w stronę kojota.

Ale tego było już za wiele dla Przywódcy Stada.

– Idź do Ciemności, człowieku.

– Idź do diabła, kojocie – odparła. Nie poruszyła latarką, by nie zdradzić swoich zamiarów, po prostu podniosła pistolet i strzeliła.

Raz. Dwa. Trzy. Paf. Paf. Paf.

Z każdym strzałem mrok rozświetlała błyskawica. Niczym światło stroboskopowe.

Kojot zaskowyczał z bólu, co sprawiło jej niekłamaną satysfakcję.

W rozbłysku zobaczyła, że Przywódca Stada skacze. I opada ciężko, bardzo daleko od celu.

Minęła go i biegła. Biegła ścieżką na oślep, na nic nie zważając, i krzyczała. Ale nie ze strachu.

Krzyczała w wyrazie buntu.

Krzyczała z triumfem.

Miała kluczyki.

Rozdział 27

17 GODZIN, 48 MINUT

Brianna otworzyła oczy.

Dopiero po chwili zorientowała się, gdzie się znajduje.

A potem ból przypomniał jej o wszystkim. Ból w lewym ramieniu, lewym biodrze, lewej łydce, lewej kostce.

Miała na sobie dżinsową kurtkę, narzuconą na koszulkę, a także szorty i trampki. Kurtka na lewym ramieniu i ręce były osmalone. Po tej samej stronie na szortach pojawiła się ośmiocentymetrowa dziura. Skórę pod spodem miała zakrwawioną. Uderzyła w dach z dużą prędkością. Powierzchnia betonu przypominała papier ścierny.

Bolało jak diabli.

Leżała na plecach. Patrzyła na nieprawdziwe gwiazdy. Bolała ją głowa. Ręce miała poobcierane, ale nie tak mocno, jak bok.

Podniosła się, jęcząc z bólu. Miała wrażenie, że ciało ją pali.

Rozejrzała się, niemal oczekując, że naprawdę zobaczy płomienie.

Na dachu elektrowni panowała jasność, która niemal budziła grozę. Widziała swoje rany aż nazbyt wyraźnie. Krew wydawała się niebieska we fluorescencyjnym świetle. Upewniła się, że obrażenia nie zagrażają życiu, że nie czeka jej śmierć. Ale ból był straszny i wcale nie zamierzał ustąpić.

– Tak bywa, kiedy uderzasz o beton z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę – powiedziała sobie. – Powinnam nosić kask i skórzany skafander. Jak motocykliści.

Ta myśl pozwoliła jej na chwilę wytchnienia. Przez moment wyobrażała sobie swój strój superbohaterki. Kask, czarna skóra, jakieś wymalowane błyskawice.

Mogło być gorzej, doszła do wniosku. Byłoby gorzej, gdyby była kimś innym. Gdy uderzyła o podłoże, jej ciało chciało się automatycznie poturlać. Mogła połamać ręce i nogi, rozbić głowę.

Była jednak Bryzą, a nie kimś innym. Dzięki swojej prędkości wystarczająco szybko zaparła się dłońmi i stopami o beton, i śmiertelnie groźne turlanie zmieniła w nadzwyczaj bolesne szorowanie.

W normalnym tempie pokuśtykała do krawędzi dachu. Ale budynek zbudowano tak, że krawędzie były zaokrąglone i opadały, nie tworząc kąta prostego. Nie mogła więc spojrzeć prosto w dół, chociaż widziała bramę i parking, wszystko jasno oświetlone. Dalej widniały ciemne góry i jeszcze ciemniejsze morze.

– Głupi pomysł – przyznała.

Próbowała latać. Taka była prawda. Usiłowała przełożyć swoją nadzwyczajną szybkość na coś w rodzaju skoku, stanowiącego wariację na temat lotu.

Wtedy uznała, że ma to sens. Sam zabronił jej wchodzić do nastawni w elektrowni. Ale jednocześnie miała podjąć próbę rozeznania się w sytuacji, sprawdzenia, gdzie rozmieszczeni są ludzie Caine'a.

Pomyślała: czy może być lepszy widok niż ze szczytu hali turbin?

Od dawna bawiła się myślą o lataniu. Opracowała podstawowe założenia, które polegały na bardzo szybkim biegu, skoku na coś w miarę wysokiego, a potem jeszcze wyższego. To nie była wyższa fizyka.

Plan nie różnił się od skakania z kamienia na kamień podczas przechodzenia przez strumień. Albo na przykład wbiegania po schodach po dwa stopnie naraz.

Tyle że tym razem „stopniami" były zaparkowany bus i niski budynek biurowy plus na koniec sama hala turbin.

Z pierwszymi dwoma wybranymi miejscami poszło dobrze.

Przyspieszyła do jakichś pięciuset kilometrów na godzinę, skoczyła, odbiła się od dachu samochodu, wylądowała na budynku biurowym, zachowała niemal pełną prędkość, zrobiła sześć piekielnie szybkich kroków, by odzyskać to, co wytraciła, i wykonała skok na dach masywnej betonowej budowli.

I wtedy sprawy przybrały zły obrót.

Już prawie wylądowała na płaskiej części dachu, ale zamiast tego uderzyła w bok ściany. Sytuacja przypominała raczej skok do wody na brzuch niż lądowanie samolotu na pasie, na co liczyła.

Zobaczyła beton, pędzący w jej stronę. Poruszała nogami jak szalona. Zdołała się nie ześlizgnąć i nie spaść na ziemię, ale jej desperacki, szybki ruch do przodu zakończył się upadkiem, który o mało nie pozbawił jej życia.

A teraz, teraz, gdy znalazła się tutaj, niewiele już widziała.

– Sam mnie zabije – mruknęła.

Po chwili zgięła kolano.

– Au!

Dach miał ze sto metrów długości i trzy razy mniejszą szerokość. Poczłapała – powoli – z jednego końca na drugi. Z łatwością znalazła wejście, stalowe drzwi osadzone w ceglanej nadbudówce. Tamtędy

wchodziło się do hali turbin, a stamtąd do nastawni.

– Oczywiście, że są tu drzwi – szepnęła pod nosem. – Chyba powinnam udawać, że od początku miałam taki plan.

Pociągnęła za klamkę. Drzwi okazały się zamknięte. Bardzo mocno zamknięte.

– Dobra, to beznadziejne – uznała.

Okropnie chciało jej się pić. A jeszcze bardziej jeść. Pragnienie i głód często mocno jej doskwierały po tym, jak włączała najwyższy bieg. Wątpiła, by na tym dachu o rozmiarach parkingu mogła znaleźć coś do jedzenia. Ale może trafi na wodę. Były tu potężne klimatyzatory, każdy wielkości domu na przedmieściach. A klimatyzacja chyba zawsze powodowała skraplanie?

Podbiegła z umiarkowaną prędkością do najbliższego z urządzeń, jęcząc z każdym krokiem. Weszła do środka. Znalazła włącznik światła. Serce jej podskoczyło, gdy zauważyła pudełko z Dunkin' Donuts. W mgnieniu oka znalazła się przy nim. W środku była jednak tylko serwetka, upaprana zaschniętymi resztkami różowego lukru i trochę jaskrawej posypki.

Polizała papier. Od tak dawna nie próbowała niczego słodkiego. Ale nędzne resztki tylko wzmogły ból jej żołądka.

Znalazła rurę z białego plastiku – liczyła, że doprowadza wodę. Rozejrzała się w poszukiwaniu narzędzia i ujrzała małą stalową skrzynkę z kilkoma kluczami i śrubokrętem. W ciągu paru sekund rozwierciła rurę i już napełniała brzuch lodowatą wodą. Potem nadstawiła oparzenia, by obmyła je ciecz, i krzyknęła z bólu.

Następnie podeszła ze śrubokrętem – był bardzo duży i ciężki – pod

drzwi. Wcisnęła go w szparę między klamką a futryną i nacisnęła. Nie puściło. Nawet odrobinę.

W geście frustracji dźgnęła drzwi. Śrubokręt skrzesał iskrę i zostawił rysę. Nic więcej.

– Super. Jestem uwięziona na dachu – powiedziała.

Brianna wiedziała, że wymaga opieki medycznej. Wizyta u Lany świetnie by jej zrobiła. A gdyby to się nie udało, potrzebowała opatrunków i antybiotyków.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu z głodem. Przypływ adrenaliny przestawał już działać i głód atakował ją z zaciekłością lwa. W końcu przebiegła ze czterdzieści kilometrów. Z bardzo pustym żołądkiem.

Znalazła się w niedorzecznej sytuacji. Nikt nie wiedział, że jest na górze. Nie potrafiła krzyknąć na tyle głośno, by usłyszano ją w panującym w elektrowni hałasie. A nawet gdyby potrafiła, to raczej nie chciała, bo gdyby Samowi się nie powiodło, usłyszałby ją nikt inny, jak Caine.

Potem zauważyła gołębia.

– O mój Boże – szepnęła. – Nie.

– A dlaczego nie? – powiedziała po chwili.

– No bo... fuuuj.

– Słuchaj, nie różni się to za bardzo od kurczaka.

Wróciła po pudełko po ciastku. Podarła papier na wąskie paseczki. Znalazła starą gazetę i też ją porwała. Potem natrafiła na drewnianą paletę i za pomocą piły ze skrzynki z narzędziami oraz przy pomocy swej nadludzkiej prędkości, wkrótce uzyskała niewielki stos drewna.

Szkoda, że żaden z pracowników nie zostawił zapałek. Ale uderzenie z ogromną prędkością stalą o beton krzesało iskry. Robota była żmudna, ale niebawem zdołała rozpalić ogień. Małe ognisko buzowało wesoło pośrodku ogromnego dachu.

I siedziały tam dwa gołębie, które przysypiały i gruchały przez sen. Jeden szary, drugi lekko różowy.

– Różowy – postanowiła.

Zwyczajny dzieciak miałby zerowe szanse, by je złapać. Ale ona nie była zwyczajnym dzieciakiem. Była Bryzą.

Gołąb nie zdążył nawet drgnąć. Złapała go, zaciskając dłoń na przypominającym piłkę golfową łebku. Przekręciła go mocno, łamiąc ptakowi kark.

Po dwóch minutach w ogniu spłonęła większość piór. Po pięciu kolejnych ptak pękł.

W tym momencie jej cierpliwość się wyczerpała. Za pomocą śrubokręta zaczęła odrywać strzępy mięsa od pulchnej piersi ptaka i wpychać je sobie do buzi.

Od tygodni nie miała w ustach niczego choćby w połowie tak smacznego.

– Bryza – powiedziała, przysiadając przy ogniu. – Postrach gołębi.

Wyciągnęła się wygodnie, delektując się posiłkiem.

Za chwilę wstanie i pomyśli, jak uciec z tej pułapki. Ale gdy napełniła brzuch, zmęczenie po całym dniu biegania z szaleńczą prędkością na szaleńcze dystanse dało jej się we znaki.

– Chwilę odpocznę...

Duck zapadał się twarzą w dół, z ustami pełnymi ziemi i kamyków.
Dławił się, dusił. Nie miał jak oddychać.
Głowa mu pulsowała. Krew łomotała w uszach. Pierś unosiła się rozpaczliwie, nie mogąc wciągnąć powietrza.
To był koniec.
Musiał umrzeć.
Oszalały z paniki, zaczął się miotać. Wbijał ręce w twardą ziemię z wysiłkiem nie większym niż podczas pływania.
Nie postępował już świadomie. Machał rękami i wierzgał nogami w śmiertelnych spazmach, podczas gdy jego mózg gasł, a płuca krzyczały.

– Duck! Duck! Jesteś tam?

Jakiś głos z odległości milionów kilometrów.

Spróbował usiąść, bardzo szybko. Udało mu się odwrócić. Uderzył się w głowę, a na twarz poleciał mu deszcz żwiru. Usiłował otworzyć oczy, ale wypełniła je ziemia. Wypluł ją z ust i odkrył, że może oddychać. Rzucając się, zrobił sobie więcej miejsca.
– Duck! Stary! Żyjesz?
Nie był pewien, czy zna odpowiedź. Ostrożnie spróbował poruszyć rękami i nogami. Przekonał się, że może to robić, w pewnych granicach.
Nagle zawładnęła nim panika. Był pogrzebany żywcem!
Próbował krzyczeć, ale dźwięk został zdławiony i teraz znowu zapadał się w ziemię.
Nie. Nie. Nie.
Musiał to powstrzymać. Powstrzymać gniew.

To przez gniew gnał teraz w stronę jądra Ziemi.

Myśl o czymś, co nie wywołuje złości ani strachu, nakazał sobie.

O czymś radosnym.

Pogrzebany żywcem!

Radość... radość... basen... woda... pływanie...

Przestał się zapadać.

To dobrze. Dobrze! Radość. Pływanie. Wesołe, wesołe myśli.

Ciastka. Lubił ciastka. Ciastka były wspaniałe.

I... i... Sarah Willetson, kiedy się do niego uśmiechnęła. To było miłe. Doznał przyjemnego, ciepłego uczucia, pomyślał, że może kiedyś dziewczyny go polubią.

A oglądanie telewizji, mecze koszykówki? To też była wesoła myśl.

Bez wątpienia nie zapadał się niżej.

Nie ma problemu. Po prostu się ciesz. Ciesz się, że jesteś pogrzebany żywcem.

– Duck? – To Hunter do niego wołał. Jego głos brzmiał jak wołanie z dna studni. Oczywiście tak naprawdę było na odwrót: na dnie studni był Duck.

– Wesołe, wesołe – szeptał.

Nie był pogrzebany żywcem, tylko siedział w kinie. Siedział w rzędzie, przed którym znajdowała się poręcz i mógł oprzeć na niej nogi. I miał popcorn. Z masłem, ma się rozumieć, i dodatkową solą. I pudełko ciasteczek Cookie Dough Bites.

Zajawki. Uwielbiał zajawki. Zajawki, popcorn i... o, proszę, w uchwycie na kubek przy fotelu miał koktajl owocowy. Niebieski, jakikolwiek to miał być smak. Niebieski koktajl.

Jaki to był film? *Iron Man.*

Uwielbiał *Iron Mana.*

I koktajle owocowe. Popcorn. Basen. Dziewczyny.

Coś drapało go w twarz, w ręce i nogi.

Nie myśl o tym, przez to możesz być nieszczęśliwy i zły, a te emocje nie pomagają. Ciągną w dół.

Daleko w dół.

Duck roześmiał się.

– Duck. Stary. – Głos Huntera. Teraz wydawał się bliższy, wyraźniejszy. Czy i on oglądał *Iron Mana?*

Nie, film oglądała Sarah Willetson. Siedziała przy nim, dzielili się popcornem i... o, wspaniale, trzymała paczkę orzeszkowych M&M-sów. Sypała mu je na dłoń. Radosne małe piłeczki o jaskrawych barwach.

Drapanie ustało.

– Stary?

Głos był teraz bardzo bliski. Duck poczuł powiew.

Otworzył oczy. Wciąż miał w nich ziemię. Otarł ją. Od razu zobaczył głowę Huntera.

Czubek głowy.

Hunter powoli odwrócił ku niemu twarz z wyrazem czystego podziwu.

– Stary, ty latasz – stwierdził.

Duck rozejrzał się dookoła. Nie był już pogrzebany żywcem. Znalazł się poza dziurą, naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie, a do tego unosił się jakieś półtora metra nad ziemią.

– Kurczę – powiedział. – To działa w obie strony.

– Powinniśmy po prostu wyjść. Przyjąć propozycję Sama – powiedziała Diana.

– Jestem w katalogu głównym – oświadczył Jack.

Brittney wiedziała, że powinna czuć ból. Ciało miała zmasakrowane. Połamane nogi za sprawą drzwi do nastawni, które wyleciały z zawiasów. Wiedziała, że powinna strasznie cierpieć. Ale nie cierpiała.

Powinna nie żyć. Trafił ją przynajmniej jeden pocisk.

Nie była jednak martwa. Ani trochę.

Tyle krwi. Wszędzie dookoła. Dosyć, by ją zabić. Bez wątpienia.

A jednak...

– Nikt nie wyjdzie – oświadczył Caine.

Brittney zdawało się, że jest pogrążona we śnie. Nie odczuwała tego, co powinna czuć. Zupełnie jak w marzeniach sennych – *ciąg* przyczynowo-skutkowy podążał w tył albo na boki, sens gdzieś się gubił.

– Nie mamy jedzenia – zauważyła Diana.

– Może pójdę i trochę przyniosę – odezwał się Robal.

– Aha, jasne. Akurat byś wrócił, gdybyś znalazł coś do jedzenia – zakpił Drake. – Nie jesteśmy tu, żeby jeść. Jesteśmy tu, żeby nakarmić jego.

– Czy „jego" mówisz wielką literą? – spytała Diana z ironią. – Stał się twoim bogiem?

– Dał mi to! – zawołał Drake. Brittney usłyszała głośny trzask, dźwięk bicza, którym teraz była ręka chłopaka.

Z nadzwyczajną ostrożnością Brittney zbadała swoje ciało. Nie, nie mogła poruszać nogami. Mogła się tylko przekręcić, i to nieznacznie. Jej prawa ręka do niczego się nie nadawała. Lewa jednak pozostała sprawna.

Powinnam umrzeć, pomyślała. Powinnam być z Tannerem w niebie. Powinnam umrzeć.

A może umarłaś?

Nie. Nie przed Caine'em, powiedziała sobie w myślach.

Zastanawiała się, czy została uzdrowicielką, jak Lana. Wszyscy znali historię o tym, jak Lana odkryła swoją moc. Ale Lana odczuwała straszliwy ból. A Brittney nie.

Mimo wszystko skupiła się na swoich myślach, wyobraziła sobie, że jej bezużyteczna prawa ręka dochodzi do formy.

– Jesteśmy w pułapce – powiedziała gorzko Diana.

– Nie na długo. Wydostaniemy się i zaniesiemy mu to, czego potrzebuje – stwierdził Drake.

– Gaiaphage. Tak Caine nazywa to coś, kiedy ma napad szału – zauważyła Diana. – Nie powinieneś znać imienia swojego boga?

Brittney nie czuła żadnych zmian w swojej ręce.

Ogarnęło ją straszne podejrzenie. W jej ciele panowała budząca grozę cisza. Zaczęła nasłuchiwać. Skoncentrowała się, by poczuć to nieustanne dum... dum...

Jej serce. Nie biło.

– Gaiaphage? – powtórzył Jack z wyraźnym zaciekawieniem. – „Phage" to słowo, którym czasem określa się wirusa komputerowego. A konkretnie robaka.

Jej serce nie biło.

Nie żyła.

Nie, to nieprawda, powiedziała sobie. Martwi nie słyszą. Martwi nie ruszają sprawną ręką, nie potrafią zaciskać palców.

Mogło istnieć tylko jedno wyjaśnienie. Caine i Drake ją zabili. Ale Jezus nie wziął jej do nieba, by mogła dołączyć do brata. Ofiarował jej za to moc. Pozwolił jeszcze trochę żyć, choć była już martwa.

Żyć na tyle długo, by wypełniła Jego wolę.

– Phage to kod. Oprogramowanie, które w pewnym sensie zjada inne programy – wyjaśnił z pedantyzmem Jack.

Brittney nie miała wątpliwości, czego oczekuje od niej Bóg. Dlaczego utrzymał ją przy życiu.

Nadal widziała, choć niewiele; jedno oko miała zasłonięte. Widziała pistolet, który Mike zostawił na podłodze, tak jak mu kazała.

Musiała się poruszać z nieskończoną cierpliwością. Milimetr po milimetrze. Niezauważalne ruchy biodra i ramienia. Broń znajdowała się pod stołem, daleko, w kącie, dwa, może dwa i pół metra od niej.

Szatan stąpał po ziemi w postaci tej złowrogiej trójcy: Caine'a, Drake'a i Diany. A Brittney została wybrana, by go powstrzymać.

Patrz na mnie, Tanner, pomodliła się w myślach. Będziesz ze mnie dumny.

Quinn i Albert milczeli, jadąc z powrotem do Perdido Beach. Półciężarówka była cięższa o wiele kilogramów złota. Lżejsza o dwie osoby i psa. W końcu odezwał się Quinn:

– Musimy powiedzieć Samowi.

– O złocie? – spytał Albert.

– Słuchaj, stary, straciliśmy Uzdrowicielkę.

Albert zwiesił głowę.

– Tak.

– Sam musi się dowiedzieć. Lana jest ważna.

– Wiem o tym – warknął Albert. – Też to mówiłem.

– Jest ważniejsza niż jakieś głupie złoto.

Przez dłuższą chwilę Albert nic nie mówił. W końcu rzekł:

– Quinn, wiem, co myślisz. To samo, co inni. Uważasz, że myślę tylko o sobie. Że jestem po prostu chciwy.

– A nie jesteś?

– Nie. No, może trochę – przyznał Albert. – Może chcę być ważny. Może chcę mieć dużo rzeczy, rządzić i tak dalej.

Quinn parsknął.

– Aha. Może.

– Ale przecież nie jestem zły.

Quinn nie znalazł na to odpowiedzi. W głębi duszy czuł się źle. Zostanie oskarżony o stratę Lany Arwen Lazar. Uzdrowicielki. Niezastąpionej Uzdrowicielki. Sam będzie się nim brzydził. Astrid pośle mu jedno z tych swoich zimnych, rozczarowanych spojrzeń. Trzeba było zostać przy łowieniu ryb. Lubił łowić ryby. Odczuwał wtedy spokój. Mógł być sam i nikt mu nie przeszkadzał. Teraz nawet na to nie mógł liczyć, z uwagi na chłopaków od Alberta, którzy z nim pracowali. Musiał ich szkolić i nadzorować.

Sam się wścieknie albo, jak Astrid, rzuci mu zimne, rozczarowane spojrzenie.

Wyjechali na autostradę.

– Latarnie się nie świecą – zauważył Albert.

– Już prawie rano – powiedział Quinn. – Może mają wyłącznik czasowy.

– Nie, stary. Nie mają.

Dotarli do skraju Perdido Beach. Quinn zaczął sobie uświadamiać, że wydarzyło się coś bardzo złego i poważnego. Może nawet poważniejszego niż utrata Uzdrowicielki.

– Wszędzie jest ciemno – stwierdził.

– Coś się stało – zgodził się Albert.

Jechali pogrążonymi w mroku ulicami w kierunku placu. Wrażenie było niesamowite. Jakby całe miasto wymarło. Quinn zastanawiał się, czy tak się właśnie nie stało. Zastanawiał się, czy ETAP wszedł w jakiś nowy etap, w którym zostali już tylko on i Albert.

Zwolnił przed McDonald'sem.

Ale gdy parkował, coś zauważył. Wykręcił, by skierować reflektory na ratusz.

Tam, na jednej ze ścian, widniały półmetrowe litery, wymalowane sprejem. Krwistoczerwona farba na bladym kamieniu.

– „Śmierć odmieńcom" – przeczytał na głos.

Rozdział 28

16 GODZIN, 38 MINUT

Akumulator pickupa nie działał. Pojazd stał bezczynny od ponad trzech miesięcy.

Ale Jim Pustelnik był przygotowany na wszystko. Obok znaleźli benzynowy generator i prostownik. Lana i Cookie potrzebowali godziny, by się zorientować, jak uruchomić generator i podłączyć urządzenie do akumulatora. W końcu dziewczyna przekręciła kluczyk i po kilku próbach silnik obudził się do życia.

Cookie podjechał na wstecznym do zbiornika z gazem.

Załadowanie zbiornika na skrzynię wymagało długiej, ciężkiej pracy. Zanim skończyli, skończyła się też noc. Lana ostrożnie otworzyła drzwi magazynu i wyjrzała na zewnątrz. W cieniu wzgórz nie było mowy o prawdziwym brzasku, ale niebo nabrało różowej barwy, a cienie, wciąż głębokie, z czarnych stały się szare.

Kilkanaście kojotów wylegiwało się w nieregularnym kręgu w odległości około trzydziestu metrów od nich. Zwierzęta odwróciły się, by na nią spojrzeć.

– Cookie... – odezwała się Lana.

– Tak, Uzdrowicielko?

– Słuchaj, co masz robić. Zabieram samochód, tak? Usłyszysz wybuch. Po dziesięciu minutach powinnam wrócić. Może. Jeśli nie... no, musisz poczekać, aż słońce zupełnie wzejdzie, kojoty są groźniejsze nocą. Potem wróć do chaty, a stamtąd idź do domu.

– Zostaję z tobą – odparł z naciskiem chłopak.

– Nie. – Powiedziała to z całą stanowczością, na jaką było ją stać. – To moja sprawa. Zrobisz, co mówię.

– Nie zostawię cię tym psom.

– Kojoty nie stanowią problemu – odrzekła. – A ty musisz odejść. Ja ci każę. Wybuch albo nastąpi, albo nie. Tak czy siak, jeśli nie wrócę, musisz iść do Sama. Dać mu list.

– Chcę się tobą opiekować, Uzdrowicielko. Tak jak ty opiekowałaś się mną.

– Wiem, Cookie – powiedziała. – Ale tak trzeba. Sam musi wiedzieć, co się stało. Opowiedz mu o wszystkim, co robiliśmy. To mądry chłopak, zrozumie. I powiedz, żeby nie obwiniał Quinna. Gdyby Quinn i Albert mi nie pomogli znalazłabym inny sposób, żeby to zrobić.

– Uzdrowicielko...

Lana położyła dłoń na muskularnym ramieniu.

– Zrób, o co proszę, Cookie.

Chłopak zwiesił głowę. Zaczął otwarcie szlochać, wcale się tego nie wstydząc.

– Okej, Uzdrowicielko.

– Lano – poprawiła go łagodnie. – Mam na imię Lana. Tak do mnie mówią przyjaciele.

Przyklękła i potargała sierść Patricka, tak jak lubił.

– Kocham cię, piesku – szepnęła. Przytuliła go mocno, aż zaskomlał. – Nic ci się nie stanie. Nie martw się. Niedługo wrócę.

Szybko, by się nie zawahać, wsiadła do półciężarówki. Odpaliła silnik i skinęła Cookiemu głową.

Otworzył skrzypiące drzwi magazynu.

Czekające kojoty wstały. Przywódca Stada ruszył niepewnie przed siebie. Utykał. Sierść na jego prawej łapie nasiąkła krwią.

– Czyli cię nie zabiłam – szepnęła. – Dobra, dzień jeszcze młody.

Wrzuciła pierwszy bieg i zdjęła nogę z hamulca. Półciężarówka potoczyła się naprzód.

Powoli i jednostajnie, Lana wiedziała, że tak trzeba. Dróżka do kopalni była wyboista, wąska, kręta i stroma.

Przekręciła kierownicę. Nie było to proste. Samochód był stary i długo nieużywany. A Lana miała bardzo niewielkie doświadczenie w prowadzeniu pojazdów.

Półciężarówka jechała tak wolno, że kojoty nadążały za nią, biegnąc truchtem. Otaczały ją niemal jak eskorta.

Pojazd szarpnął jak szalony, gdy wyjechała na dróżkę.

– Powoli, powoli – napomniała siebie. Teraz jednak jej się spieszyło. Chciała mieć wszystko już za sobą.

Miała w głowie pewien obraz. Czerwono-pomarańczowa erupcja z wylotu kopalni. Fruwające odłamki. Grzmot. A potem odgłos zapadających się skał. Całe tony. Później jeszcze kłęby pyłu i dymu i będzie po wszystkim.

Chodź do mnie.

– O, idę, idę – odparła Lana.

Potrzebuję cię.

Zamierzała uciszyć ten głos. Pogrzebie go pod górą.

Pojazd zatrząsł się niespodziewanie. Lana zerknęła w lusterko i ujrzała zdeformowany, poznaczony bliznami pysk Przywódcy Stada.

Wskoczył na tył pickupa.

– Człowiek nie bierze maszyny – przemówił swoim charakterystycznym warkotem.

– Człowiek robi, co chce – zawołała. – Człowiek strzeli ci w twój paskudny pysk, głupi, śmierdzący psie.

Przywódca Stada trawił to przez chwilę.

Półciężarówka trzęsła się i szarpała, pełznąc pod górę. Pokonała już ponad połowę drogi.

Chodź do mnie.

– Pożałujesz tego zaproszenia – mruknęła dziewczyna. Teraz jednak, gdy wejście do kopalni miała już w zasięgu wzroku, przekonała się, że ledwo oddycha, tak bardzo łomocze jej serce.

– Człowiek wysiądzie. Człowiek idzie – zażądał kojot.

Nie mogła go zastrzelić. Rozbiłaby tylną szybę i umożliwiła innym kojotom wdarcie się do środka.

Była na miejscu.

Wrzuciła wsteczny. Musiała obrócić pickup. Od ściskania kierownicy pobielały jej dłonie i rozbolały napięte ścięgna.

Złowrogi pysk Przywódcy Stada zasłaniał jej widok, gdy odwróciła się, by sprawdzić, czy dobrze jedzie. Był o centymetry od niej, tuż za taflą szkła.

Skoczył.

– Aaa!

Jego nos trafił w szybę. Ale szkło wytrzymało.

Lana była pewna, że szklana tafla ją osłoni. Kojoty nie wykształciły jeszcze rąk ani nie nauczyły się używać narzędzi. Mogły jedynie walić

pyskami w szybę.

Jesteś moja.

– Nie – zaprzeczyła. – Należę tylko do siebie.

Skrzynia ładunkowa minęła próg kopalni. Teraz kojoty dostały szału. Drugi osobnik skoczył i wylądował na masce. Chwycił wycieraczkę w zęby i mocno pociągnął.

– Człowieku, stój! – zażądał Przywódca Stada.

Lana dalej jechała na wstecznym. Tylne koła przetoczyły się po zmumifikowanym ciele właściciela ciężarówki.

Już cały samochód znalazł się w środku. Wjechał najdalej, jak mógł. Sklepienie sztolni wisiało tuż nad szoferką. Ściany korytarza były na wyciągnięcie ręki. Pickup przypominał korek, luźno osadzony we wnętrzu góry. Kojoty, czując przybliżające się ściany, musiały postanowić, czy dać się uwięzić. Wolały usunąć się z drogi i przemieścić znowu przed przód samochodu, gdzie na przemian wskakiwały na maskę, warczały, kłapały zębami i bezradnie skrobały łapami o przednią szybę.

Półciężarówka przestała się poruszać, zaklinowała się. Nie dało się już otworzyć drzwi.

I dobrze. Taki był plan.

Lana obróciła się na siedzeniu, starannie wycelowała, tak by nie trafić w wielki zbiornik, i oddała pojedynczy strzał.

Tylne okno rozpadło się na miliony kawałków.

Drżąc ze strachu i podniecenia, wypełzła ostrożnie z szoferki na skrzynię ładunkową. To jeszcze bardziej rozemocjonowało kojoty. Próbowały się przecisnąć między bokami samochodu a ścianami

sztolni, by się do niej dostać. Jedna wściekła psia głowa zaklinowała się bokiem między dachem półciężarówki a poprzeczną belką pod sufitem.

Szczekały i warczały, a Przywódca Stada krzyczał:

– Człowieku, stój!

Lana sięgnęła do zaworu zbiornika LPG. Odkręciła go. Natychmiast poczuła przypominający zapach zgniłych jaj odór gazu.

Opróżnienie zbiornika musiało trochę potrwać. Gaz jest cięższy od powietrza, więc spłynie po ukośnym podłożu sztolni niczym niewidzialny potop. Spłynie aż do najgłębszych zakamarków kopalni. Rozleje się wokół Ciemności.

Czy stwór poczuje zapach? Czy będzie wiedział, że Lana przypieczętowała jego los? Czy w ogóle miał nozdrza?

Lana wyciągnęła lont, który przygotowała. Był to trzydziestometrowy, nasączony benzyną sznur. Trzymała go w foliowym worku z zapięciem.

Wzięła zwój i cisnęła koniec sznura w ciemność kopalni.

Resztę zaniosła z powrotem do szoferki. Nacisnęła hamulec, zapalając światła stopu i oświetlając sztolnię piekielną czerwienią. Gazu nie dało się oczywiście zobaczyć.

Lana czekała z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy. Jej myśli stanowiły plątaninę niepowiązanych ze sobą obrazów, szaleńczych skoków montażowych i ujęć z czasu uwięzienia przez kojoty i spotkań z Ciemnością.

Kiedy pierwszy raz...

Jestem Gaiaphage.

Lana zamarła.

Nie możesz mnie zniszczyć.

Ledwie mogła oddychać. Myślała, że zemdleje. Ciemność nigdy dotąd nie mówiła, jak się nazywa.

Ja cię tu sprowadziłem.

Sięgnęła do kieszeni i wymacała zapalniczkę. To były podstawy fizyki. Zapalniczka zapewni płomień. Nasączony benzyną sznur się zapali. Ogień pomknie po sznurze, aż dotrze do gazu.

Nastąpi zapłon.

Eksplozja wstrząśnie sklepieniem i ścianami sztolni.

Może nawet spali stwora.

Ona też mogła zginąć, ale jeśli przeżyje, wyleczy sobie wszelkie obrażenia i rany. Na to liczyła: jeśli zdoła po prostu utrzymać się przy życiu przez parę minut, to się uzdrowi.

I wtedy będzie naprawdę zdrowa. Głos w jej głowie zamilknie.

Spełniasz moją wolę.

– Jestem Lana Arwen Lazar! – wykrzyknęła z całą piskliwą głośnością, na jaką było ją stać. – Mój tata lubił komiksy, więc dał mi na imię Lana na cześć dziewczyny Supermana, Lany Lang.

Będziesz mi służyć.

– A mama dołożyła imię Arweny, elfickiej księżniczki z *Władcy Pierścieni.*

Użyję twojej mocy jak własnej.

– I nigdy, ale to nigdy nie robię, co mi każą.

Twoja moc nada mi kształt. Nakarmię się. Znowu nabiorę sił. I z ciałem, które ukształtuję dzięki twojej mocy, ucieknę stąd.

Twoja moc da mi wolność.

Lana się trzęsła. Benzyna śmierdziała i od jej oparów kręciło jej się w głowie.

Teraz albo nigdy. Teraz.

Nigdy.

– Przywódco Stada! – krzyknęła dziewczyna. – Przywódco Stada! Wysadzę tę kopalnię, zrobię piekło. Słyszysz mnie?

– Przywódca Stada słyszy – wyszczerzył się kojot.

– Zabieraj stąd te swoje brudne psy albo zginiecie razem z Ciemnością.

Zwierz skoczył ciężko na maskę. Miał zjeżoną sierść, a z rozoranego pyska ciekła mu ślina.

– Przywódca Stada nie boi się człowieka.

Uniosła pistolet i strzeliła. Z najbliższej odległości.

Huk był ogłuszający.

W szkle widniała okrągła dziura, okolona gwiaździstym wzorem, ale przednia szyba nie roztrzaskała się tak jak tylna.

Krew trysnęła na szkło.

Przywódca Stada szczeknął i niezdarnie zeskoczył z maski. Trafiony. Ranny.

Serce podskoczyło jej z radości. Trafiła go. Tym razem porządnie, bezpośrednio.

Ale szyba wciąż była na swoim miejscu. Miała się rozprysnąć. Była to jej jedyna droga ucieczki.

Twoja moc da mi wolność.

– Dam ci śmierć! – krzyknęła gniewnie.

Chwyciła pistolet i użyła go niczym młotka, waląc w szybę, wybijając ją, ale tylko po kawałku. Zaczęła w nią zaciekle kopać. Szyba ustępowała, jednak zbyt powoli.

Kojoty mogły ją dopaść, gdyby przypuściły skoordynowany atak.

Ale zwierzęta cofnęły się. Z rannym przywódcą były zagubione i pozbawione przewodnictwa.

Lana kopała, oszalała, w panice.

Umrzesz.

– Pod warunkiem, że ty umrzesz ze mną! – krzyknęła.

Duży fragment szkła ustąpił, wyginając się niczym zesztywniały, zamarznięty koc.

Zaczęła się przeciskać. Głowa. Ramiona.

Kojot skoczył.

Strzeliła.

Przepychała swe ciało przez powstały w szybie otwór, podrapana, z rozdartą skórą, nie zważając na ból. Znalazła się na czworakach na masce. Musiała poszukać sznura. Wzięła go w jedną rękę, był tłusty. W drugiej trzymała pistolet, cuchnący kordytem.

Strzelała jak szalona. Raz, dwa, trzy. Pociski odrywały kawałki skały.

Kojoty rzuciły się do ucieczki.

Położyła broń na masce.

Wyszperała zapalniczkę w kieszeni.

Nie.

Zapaliła.

Płomyk był mały, pomarańczowy.

Nie zrobisz tego.

Zbliżyła płomyk do końca sznura.

Przestań.

Zawahała się.

– Tak – wydyszała.

Nie możesz.

Oparzyła sobie palec. Ale ból był niczym, niczym w porównaniu z nagłym, potężnym bólem, który wybuchnął w jej głowie.

Krzyknęła.

Zatkała uszy dłońmi. Zapalniczka przypaliła jej włosy.

Puściła sznur.

Puściła zapalniczkę. Nigdy nie wyobrażała sobie takiego bólu. Jakby wyciągnięto jej mózg i wypełniono czaszkę rozpalonymi do białości węglami.

Wrzasnęła w męczarniach i stoczyła się z maski.

Krzyczała i krzyczała, wiedząc, że nigdy nie przestanie.

Rozdział 29

16 GODZIN, 33 MINUTY

– Możemy przeczekać – zwrócił się Edilio do Sama. – Wystarczy tu siedzieć. Mógłbyś się nawet zdrzemnąć.

– Aż tak źle wyglądam? – spytał Sam. Tamten nie odpowiedział.

– Edilio ma rację, szefie – odezwała się Dekka. – Po prostu tu siedźmy i czekajmy. Może Brianna... – Nie mogła dokończyć. Odwróciła się, by ukryć emocje.

Edilio położył rękę na ramieniu Sama i odciągnął go od łkającej dziewczyny.

Sam wbił wzrok w wielką masę betonu i stali – w elektrownię. Omiótł spojrzeniem parking, za stojącymi samochodami dostrzegł morze. Czarna woda skrzyła się tu i tam drobnymi punkcikami gwiezdnego blasku, niczym refleks nocnego nieba na nierównej powierzchni.

– Kiedy masz urodziny, Edilio?

– Daj spokój, facet. Wiesz, że nie wypadam – odparł chłopak.

– Nawet tego nie rozważasz?

Milczenie Edilia wystarczyło za odpowiedź.

– Jak to się wszystko skończy? A może się nigdy nie skończy? Ile jeszcze tych walk? Ile grobów na placu? Myślisz o tym czasem?

– Sam, to ja wykopałem te groby – odrzekł cicho Edilio.

– Tak – przyznał Sam. – Przepraszam. – Westchnął. – Nie wygrywamy. Wiesz o tym, prawda? Nie chodzi mi o tę walkę. Chodzi mi o coś większego. O przetrwanie. Nie wygrywamy. Dopadł nas głód.

Dzieciaki zjadają swoje zwierzątka domowe. Rozpadamy się na małe grupki, które nienawidzą się nawzajem. Wszystko wymyka się spod kontroli.

Edilio zerknął na Howarda, który siedział w sporej odległości, ale słuchał. Dwóch chłopaków od Edilia też mogło ich słyszeć.

– Musisz przestać – powiedział Edilio naglącym szeptem. – Oni wszyscy cię podziwiają. Nie możesz okazać, jak z nami fatalnie.

Sam niemal go nie słyszał.

– Muszę wrócić do miasta.

– Co? Zgrywasz się? Naprawdę mamy co tutaj robić.

– Dekka może mieć Caine'a na oku. Poza tym, jeśli on wyleci na zewnątrz, to dobrze, nie? – Sam pokiwał głową, jakby przekonał siebie samego. – Muszę spotkać się z Astrid.

– Wiesz, może to nie taki zły pomysł – odparł Edilio. Zostawił Sama i podszedł do Dekki, odciągnął ją na bok i coś jej tłumaczył.

Dziewczyna posłała Samowi zaniepokojone spojrzenie, przez łzy, które napływały jej do oczu.

– Chodź, zawiozę cię do miasta – powiedział Edilio.

Sam poszedł za nim do jeepa.

– Co jej powiedziałeś?

– Że skoro nie ma światła, musisz sprawdzić, co się dzieje w mieście.

– Kupiła to? – zdziwił się Sam.

Edilio nie odpowiedział wprost. I nie spojrzał Samowi w oczy.

– Dekka jest twarda. Da sobie tu radę.

W milczeniu dotarli do Perdido Beach.

Na placu kręciło się mnóstwo dzieciaków. Tak duża grupa nie

zebrała się w jednym miejscu od czasu uczty z okazji Święta Dziękczynienia.

Sam czuł na sobie sto par oczu, gdy Edilio zatrzymał samochód.

– Nie wygląda mi to na fetę – stwierdził Edilio.

Astrid wyłoniła się z tłumu, podbiegła do samochodu i rzuciła się Samowi na szyję. Pocałowała go w policzek, a potem w usta.

Zanurzył twarz w jej włosach i szepnął:

– Dobrze się czujesz?

– Teraz lepiej, bo wiem, że żyjesz – odparła. – Jest tu sporo bardzo przestraszonych i rozzłoszczonych dzieciaków.

Zupełnie jakby dała sygnał, tłum ruszył naprzód, by ich otoczyć.

– Światła zgasły!

– Gdzie byliście?

– Nie mamy jedzenia!

– Nie mogę nawet włączyć telewizora!

– Boję się ciemności!

– Grasuje tu mutant-morderca!

– Woda nie leci!

Ci, którzy nie wykrzykiwali oskarżeń, zadawali płaczliwe pytania.

– Co mamy robić?

– Dlaczego nie powstrzymałeś Caine'a?

– Gdzie Uzdrowicielka?

– Czy wszyscy zginiemy?

Sam odepchnął lekko Astrid i stanął naprzeciwko nich. Każde słowo było słuszne. Każde godziło jak strzała w jego serce. W duchu stawiał sobie te same zarzuty i zadawał te same pytania. Wiedział, że

powinien położyć temu kres. Wiedział, że powinien ich uciszyć. Wiedział, że im dłużej nie odpowiada, tym bardziej dzieciaki będą się bać.

Ale nie znał odpowiedzi.

Fala gniewu i strachu była przytłaczająca. Kipiąca ściana rozzłoszczonych twarzy otaczała go ze wszystkich stron. Czuł się odrętwiały. Wiedział, co powinien zrobić, ale nie mógł. W jakiś sposób wmówił sobie, że dzieciaki zrozumieją. Że dadzą mu trochę luzu. I czasu.

Ale oni byli przerażeni. Na granicy paniki.

Astrid odwróciła się twarzą do tłumu, oparta plecami o maskę, naciskana ze wszystkich stron. Krzyczała, by ich uciszyć, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Edilio sięgnął na tylne siedzenie jeepa po pistolet. Pomyślał, że być może będzie musiał go użyć, by ratować Sama lub Astrid. Albo oboje.

Pojawił się Zil, który przepychał się przez ciżbę wraz z pięcioma innymi dzieciakami, zachowującymi się niczym ochroniarze jakiegoś gwiazdora i usuwającymi innych z drogi. Niektórzy przywitali go wiwatami, inni buczeniem. Gdy jednak uniósł rękę, tłum się uciszył, przynajmniej trochę, i pochylił naprzód w oczekiwaniu.

Zil oparł pięść na biodrze, a drugą dłoń wycelował w Sama.

– Miałeś być wielkim szefem.

Sam nic nie odpowiedział. Przez tłum przeszedł szmer, wszyscy czekali na wynik tej konfrontacji jeden na jeden.

– Jesteś wielkim szefem odmieńców! – wykrzyknął Zil. – Ale nic nie potrafisz zrobić. Strzelasz laserami z rąk, ale nie potrafisz

skombinować jedzenia, nie umiesz zapewnić nam prądu i nic nie zrobisz w sprawie tego mordercy Huntera, który zabił mojego najlepszego przyjaciela. – Przerwał, by nabrać tchu przed ostatnim, wściekłym krzykiem. – Nie powinieneś rządzić!

Nagle zapadła cisza. Zil rzucił wyzwanie.

Sam pokiwał głową, jakby do siebie. Jakby się z tym zgadzał. Ale potem, poruszając się powoli niczym starzec, wdrapał się na fotel pasażera w jeepie i stanął tak, by wszyscy go widzieli.

Czuł narastający gniew. Urazę. Wściekłość.

Nie powinien dawać upustu tym uczuciom. Zdawał sobie z tego sprawę. Głos miał spokojny, a twarz pozbawioną wyrazu. Górował nad Ziłem.

– Chcesz rządzić, Zil? Wczoraj biegałeś i namawiałeś ludzi do linczu. I nie udawaj, że graffiti, które widziałem po drodze, to nie twoja sprawka.

– I co z tego? – spytał Zil. – Co z tego? Wyraziłem tylko to, co myślą wszyscy, którzy nie są odmieńcami.

Ostatnie słowo wypluł, by zabrzmiało jak obelga i oskarżenie.

– Naprawdę myślisz, że teraz potrzeba nam podziału na odmieńców i normalnych? – uśmiechnął się smutno Sam. – Uważasz, że dzięki temu znowu zapali się światło? Że na stołach pojawi się jedzenie?

– A co z Hunterem? – odparł pytaniem na pytanie Zil. – Hunter zabija Harry'ego swoją mocą mutanta, a ty nic nie robisz.

– Miałem dość pracowitą noc – rzekł Sam z jadowitym sarkazmem w głosie.

– Więc pozwól, żebym go znalazł z moimi chłopakami –

zaproponował Zil. – Jesteś taki zajęty niezałatwianiem jedzenia, niepowstrzymaniem Caine'a i niewłączaniem światła, że prędzej ja z moją ekipą dorwiemy Huntera.

– I co z nim zrobicie? – spytała Astrid. Tłum cofnął się na tyle, że miała trochę oddechu. – Jaki masz plan?

Zil rozłożył ręce w geście niewinności.

– Hej, chcemy go tylko złapać, zanim jeszcze komuś zrobi krzywdę. Chcecie, nie wiem, urządzić mu proces albo coś? W porządku. Ale pozwólcie nam go dorwać.

– Nikt ci nie zabrania go znaleźć – odrzekł Sam. – Możesz sobie chodzić po mieście, ile chcesz. Możesz podziwiać swoje graffiti i liczyć okna, które wybiłeś.

– Potrzebujemy broni – powiedział Zil. – Nie pójdę szukać zabójcy bez broni. A twój kumpel Meksykaniec twierdzi, że zwykli ludzie nie mogą nosić broni.

Sam zerknął w dół, na Edilia, by sprawdzić, jak ten zareagował na zniewagę. Edilio był ponury, ale spokojny. Wydawało się, że ma w sobie więcej spokoju, niż Sam.

– Hunter stanowi problem – przyznał Sam. – Mamy długą listę problemów. Ale to, że próbujesz siać zamęt między ludźmi, którzy posiadają moc, a tymi, którzy jej nie mają, w niczym nie pomaga. Podobnie jak wyzwiska. Musimy trzymać się razem.

Gdy Zil nie odpowiedział od razu, Sam kontynuował, nie patrząc już na niego, lecz na całą grupę.

– Coś wam powiem. Mamy poważne kłopoty. Nie ma światła. I w części miasta wpływa to najwyraźniej na wodociągi. Dlatego żadnych

kąpieli ani pryszniców, dobra? Sytuacja jest taka, że Caine'owi prawdopodobnie brakuje żywności, więc raczej nie utrzyma się zbyt długo w elektrowni.

– Jak długo? – zawołał ktoś.

Sam pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Dlaczego nie możesz zmusić go do wyjścia?

– Bo nie mogę i już – warknął Sam, okazując w pewnym stopniu swój gniew. – Bo nie jestem Supermanem, dobra? Słuchajcie, on jest w środku. Ściany są grube. Ma pistolety, ma Jacka i Drake'a, plus swoją własną moc. Nie mogę go stamtąd wyciągnąć, nie narażając kilku naszych na śmierć. Ktoś się zgłasza na ochotnika?

Cisza.

– Aha, tak myślałem. Nie jestem w stanie nakłonić was, żebyście pojechali zbierać melony, a co dopiero stanąć przeciwko Drake'owi.

– To twoje zadanie – odparł Zil.

– Aaa, rozumiem – powiedział Sam. Uraza, którą chował, wykipiała teraz na wierzch. – To moje zadanie zbierać owoce i wywozić śmieci, i rozdzielać jedzenie, i złapać Huntera, i powstrzymać Caine'a, i rozstrzygać każdy głupi spór, i pilnować, żeby Wróżka Zębuszka na pewno odwiedziła dzieci. A jakie jest twoje zadanie, Zil? A, tak: wypisujesz sprejem pełne nienawiści napisy. Dzięki, że się tym zająłeś, nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził.

– Sam... – odezwała się Astrid, akurat na tyle głośno, by ją usłyszał.

Ostrzeżenie.

Za późno. Zamierzał powiedzieć to, co należało powiedzieć.

– I cała reszta. Ilu z was zrobiło przez ostatnie twa tygodnie cokolwiek, nawet najmniejszy drobiazg, oprócz grania na Xboksie i oglądania telewizji?

Coś wam wyjaśnię. Nie jestem waszymi rodzicami. Mam piętnaście lat. Jestem dzieckiem, tak jak i wy. Nie umiem wyczarować jedzenia. Nie umiem pstryknąć palcami i sprawić, że wasze problemy znikną. Jestem tylko dzieckiem.

Gdy tylko skończył, wiedział, że przekroczył granicę. Wypowiedział brzemienne słowa, których tak często inni używali jako wymówki podczas rozmowy z nim. Ile setek razy słyszał: „jestem tylko dzieckiem"?

Ale najwyraźniej nie mógł się powstrzymać.

– Słuchajcie, skończyłem tylko osiem klas. Mam moc, ale to nie robi ze mnie Dumbledore'a, Jerzego Waszyngtona ani Martina Luthera Kinga. Dopóki to wszystko się nie wydarzyło, byłem po prostu czwórkowym uczniem. Chciałem tylko surfować. Pragnąłem zostać Dru Adlerem czy Kellym Slaterem, no wiecie, po prostu dobrym surferem.

Tłum milczał jak zaklęty. Oczywiście, że milczą, pomyślała gorzko jakaś wciąż działająca część jego mózgu. Fajnie patrzeć, jak ktoś się publicznie załamuje.

– Robię, co mogę – ciągnął Sam. – Straciłem dziś ludzi... i... nawaliłem. Mogłem się domyślić, że Caine spróbuje zaatakować elektrownię.

Cisza.

– Robię, co mogę.

Nikt nie powiedział ani słowa.

Sam uciekał wzrokiem przed spojrzeniem Astrid. Gdyby zobaczył w nim współczucie, zupełnie by się rozpadł.

– Przepraszam – powiedział.

Zeskoczył. Tłum się rozstąpił. Sam oddalił się wśród pełnej zdumienia ciszy.

Niewiele osób podeszło, by pogratulować Zilowi, że obnażył Sama jako bezradnego i bezużytecznego oszusta. Znacznie mniej, niż miał prawo się spodziewać.

Ale stał przy nim Antoine, podobnie jak Lance, Hank i Turk. Ta czwórka stała się jego załogą. To byli jego ludzie. Ci sami byli z nim poprzedniej nocy, gdy obudził miasteczko Perdido Beach.

Tamtej szalonej, dzikiej nocy. Zil ze zwykłego chłopaka zmienił się w przywódcę. Zmienił się też sposób, w jaki tamci na niego patrzyli. Wcześniej byli mu równi, a teraz to wyraźnie on dowodził.

Czuł się super. Został „Samem" normalnych. A normalni nadal stanowili znakomitą większość.

Dlaczego więc nie gromadziło się teraz wokół niego więcej dzieciaków? Niektórzy kiwali głowami, inni klepali go po plecach, ale byli i tacy, którzy posyłali mu bardzo podejrzliwe spojrzenia. A to nie w porządku. Nie w chwili, gdy on, Zil Sperry, stawił czoło Samowi Temple.

Lance jakby czytał mu w myślach.

– Nie martw się, zmienią zdanie. Teraz są trochę roztrzęsieni.

– Ciągle boją się Sama – dodał Hank. – A powinni bać się nas.

Hank był niski, chudy i nerwowy, miał szczurzą twarz. Ciągle gadał

o „kopaniu tyłków", aż Zil z trudem się powstrzymywał, by nie powiedzieć, że taki kurdupel, jak Hank, nikomu tyłka nie skopie. Lance to inna historia. Wysoki, wysportowany, przystojny i mądry. Zil aż nie mógł uwierzyć, że Lance okazuje mu taki szacunek, pozwala dowodzić i podejmować decyzje. Dawniej Lance należał do najbardziej lubianych osób w szkole – nie to, co ogólnie pogardzany Hank.

– Cześć.

Zil obejrzał się i stanął twarzą w twarz z dziewczyną, którą ledwie znał. Lisa. Tak miała na imię. Lisa jakaś tam.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że całkowicie się z tobą zgadzam – oznajmiła.

– Naprawdę? – Zil miał niewielkie doświadczenie w rozmowach z dziewczynami. Miał nadzieję, że się nie zarumieni. Nie żeby ta dziewczyna była wyjątkowo piękna czy coś, ale miała swój urok. I nosiła krótką spódniczkę, była też umalowana. Prawie żadna dziewczyna z ETAP-u nie starała się już wyglądać ładnie i „dziewczęco".

– Nad tymi odmieńcami nikt nie panuje – powiedziała Lisa, bez ustanku kiwając głową, niczym maskotka z łebkiem na druciku.

– To prawda – zgodził się, nieco ostrożnie, nie wiedząc, czemu ta dziewczyna z nim rozmawia.

– Cieszę się, że się im postawiłeś. Jesteś, no, bardzo odważny.

– Dzięki. – Zil zauważył, że też kiwa głową, gdy jej odpowiada. A potem, nie mając pojęcia, co jeszcze powiedzieć, zmusił się do uśmiechu i ruszył przed siebie.

– Czy mogę... – zaczęła.

– Co?

– Znaczy, zamierzacie coś zrobić? Bo może bym wam pomogła – odparła.

Poczuł chwilowy przypływ paniki. Coś zrobić? Na przykład, co? Pomazali już ratusz i wybili parę okien. O ile nie pojawi się Hunter, co mieli jeszcze do roboty?

I wtedy zrozumiał. Jeśli teraz nie zrobi czegoś spektakularnego, straci wszystko. Lance, Hank i Turk, a nawet Antoine wykruszą się albo po prostu staną się kolejną grupką, która nic nie robi i głoduje.

Trzeba było działać.

– W sumie przyda się twoja pomoc – powiedział do dziewczyny. – Mam pewne plany.

– Co zrobisz? – spytała z zapałem.

– Doprowadzimy do tego, że znowu będą rządzili prawdziwi ludzie. Pozbędziemy się trolli. Będziemy robić wszystko dla siebie, a nie dla nich.

– Właśnie! – rzucił Turk.

– Nas sześcioro to dopiero początek – stwierdził Zil.

– Jak najbardziej – zgodził się Hank.

– Ekipa Zila – dodał Turk.

Zil skromnie machnął ręką.

– Myślę, że powinniśmy się nazywać Ekipą Ludzi.

Rozdział 30

13 GODZIN, 38 MINUT

Wyczerpany Caine zapadł w sen na tapczanie dyrektora elektrowni.
Obudził się powoli, zdezorientowany, nie wiedząc, gdzie się znajduje.
Otworzył oczy i wszystko wokół, zdawało się wibrować.
Przetarł oczy i usiadł.
Ktoś siedział w dyrektorskim fotelu. Zielony człowiek. Zielony od jakiegoś wewnętrznego światła, jakby płonęły w nim chemikalia, rozsiewając niesamowity blask.
Ten człowiek nie miał twarzy. Wydawał się grubo ciosany, niczym niedokończona rzeźba z gliny. Gdy Caine przyjrzał mu się bliżej, zobaczył miliony maleńkich kryształków; jedne nie większe od kropki, inne zbliżone rozmiarami do kostki cukru. Masa kryształów trwała w ciągłym ruchu, niby oszalałe mrówki, włażące na siebie nawzajem.
Caine zamknął oczy. Gdy znowu je otworzył, zjawa zniknęła.
Halucynacja. Przywykł do halucynacji.
Wstał, cały roztrzęsiony. Czuł się chory, jakby miał grypę albo coś w tym rodzaju. Twarz zrosił mu pot. Koszulka kleiła się do skóry.
Zbierało mu się na wymioty, ale w żołądku nie było żadnej treści.
Przez szybę widział nastawnię. Diana drzemała w fotelu, z nogami na stole. Wyglądała dziwnie w jeżyku. Caine uwielbiał jej długie włosy.
Jack położył głowę na tym samym stole. Miał pulchną twarz i usta jak u niemowlęcia, gdy chrapał.
Dwaj zakładnicy oparli się o siebie nawzajem i również spali.

Ta martwa dziewczyna, Brittney, leżała bezładnie na podłodze. Ktoś ją przesunął, krew ciągnęła się rozmazaną ścieżką. Wyglądało, jakby próbował wepchnąć ją pod blat, usunąć z drogi.

Jedyną osobą, która czuwała, był Drake. Oparł się o ścianę i nawet nie mrugał powiekami. Biczowatą mackę owinął sobie wokół pasa, w drugiej ręce trzymał pistolet maszynowy.

Caine zatoczył się. Następnie stanął prosto, wypiął pierś i otarł ślinę z ust. Musiał wyglądać na silnego. Drake sprawiał takie wrażenie, jakby to on tu rządził.

Caine zastawiał się, ile jeszcze minie czasu, zanim Drake w końcu postanowi mu się przeciwstawić. Nie zrobił tego, gdy Caine przez długie miesiące był unieszkodliwiony. Ale teraz Caine znowu wydawał rozkazy i widział, że tamten się niecierpliwi.

Uspokoił się i ruszył do nastawni. Doszedł ledwie do drzwi, gdy w jego umyśle rozpętała się burza wspomnień, która omal nie zwaliła go z nóg. Złapał drzwi i trzymał się ich, dygocząc się na całym ciele.

To przyszło do niego w postaci głodu. Głodu silniejszego niż cokolwiek, co dotąd czuł. Jakby pod skórą miał ryczącego, wygłodzonego tygrysa.

Głodny w ciemności.

Caine jęknął. Opanował się, zanim ponowił jęk, ale rozpaczliwy dźwięk już się wydobył z jego ust. Czy Drake słyszał?

Zostaw mnie w spokoju, poprosił cicho głos we własnej głowie. Zrobię, co zechcesz, ale zostaw mnie w spokoju.

Patrząc na podłogę, zobaczył stopy Drake'a. Drake nadszedł zupełnie bezgłośnie. A może to Caine nic już nie słyszał.

– W porządku? – spytał tamten.

– Nic mi nie jest – warknął Caine.

– To dobrze. Bardzo się cieszę.

Caine odepchnął go i ruszył przed siebie, celowo uderzając go łokciem.

– Czemu wszyscy śpicie? – spytał donośnie. – Sam może być na zewnątrz i czekać na okazję, żeby uderzyć.

– Niedługo nie będziemy musieli przejmować się Samem – powiedział Drake. – Kiedy już nakarmimy jego.

Caine kopnął krzesło Jacka. Kopnął też bliższego z zakładników.

– Pobudka. Wszyscy. Już prawie widno. Sam może coś planować.

– Jaki masz problem? – spytała Diana. – Obudził cię twój potworny władca? Strzelił swoim wariackim biczem w twoim umyśle, żebyś podskoczył?

– Zamknij się! – wrzasnął dziko Caine. – Nie chcę tego słyszeć. Czy ktoś szukał jedzenia?

– Sądzisz, że ludzie Sama mogli zostawić w elektrowni jakąkolwiek żywność? – powiedziała Diana, choć mniej ostro niż zazwyczaj.

– Nie o to pytałem! – wydarł się. – Pytałem, czy któryś z was, głupie lenie, raczył poszukać czegoś do jedzenia. To jest pytanie na „tak" albo „nie".

– Nie – odparła dziewczyna za wszystkich.

– No to ruszyć tyłki i szukać – nakazał.

Diana westchnęła i wstała.

– Mały spacer mi nie zaszkodzi.

Jack też się podniósł. Podobnie jak dwaj żołnierze Drake'a.

– Tylko nie wychodźcie z budynku! – zawołał za nimi Caine.

Odciągnął Drake'a na bok.

– Czy Jack już wszystko rozpracował?

– Tak mi się zdaje. Wydawał się zadowolony z siebie, zanim zasnął.

Caine pokiwał głową.

– Powinniśmy wyjść jak najszybciej.

– Nie spróbujemy najpierw załatwić Sama? – spytał Drake.

Caine prychnął.

– Mówisz tak, jakby to było łatwe. Gdybyśmy mogli na początek załatwić Sama, dalej byłoby z górki. – Pokręcił głową. – Nie. Zrobimy inaczej. Jeśli nas złapią, użyjemy uranu, żeby ich przepędzić.

Wbrew sobie, Drake wyszczerzył się w uśmiechu.

– Zagrozimy, że go na nich zrzucimy?

– Zagrozimy, że to otworzymy – odparł Caine. – Wyrzucimy w górę i rozwalimy.

– I wszyscy zaczną świecić w ciemności – powiedział Drake, jakby ta myśl napawała go radością.

– Będę miał tylko jedną rękę wolną – zauważył Caine. – Więc może będziesz miał wreszcie okazję, żeby użyć tego pistoletu, który tak kochasz.

– Może powinniśmy wysłać Robala do Coates? – zaproponował Drake. – Ściągnąć więcej naszych?

– Nie przyjdą – stwierdził beznamiętnie Caine.

Wybuchło jakieś zamieszanie i Caine zerknął w bok, w samą porę, by ujrzeć Jacka, pędzącego korytarzem. Diana biegła za nim, bezskutecznie próbując go zatrzymać. Zupełnie jakby dwulatka

próbowała zatrzymać byka.

– Ty! – ryknął Jack.

Wymachiwał pięścią i Caine dostrzegł nagie druty, niczym cieniutkie węże między jego palcami.

– Mówiłeś, że to zdjęliście! – wykrzyczał oskarżycielskim tonem Jack.

– Ojej, musiałem paru nie zauważyć – powiedział Drake. – Ej, znalazłeś swoją dziewczynę, kiedy się tu kręciłeś?

Jack zamarł.

– Co?

Drake rozwinął swoją mackę, gotów jej użyć.

– Musiała nieźle zasuwać, kiedy trafiła na druty. Przeleciała przez nie jak bryza. Oj, czekaj. Źle mówię. To druty przeleciały jak bryza przez Bryzę.

– Ona... co... – jęknął tamten.

– Przecięły ją na pół – powiedział Drake, śmiejąc się wesoło. – Przyjemny widok. Zainteresowałbyś się, wszystkie wnętrzności, przekrojone równiutko na pół. Jakby chlasnął ją tasak.

– Zabiję cię – szepnął Jack.

– Nie masz dość...

Ale Jack odrzucił Dianę na bok i biegł prosto na niego.

Drake zdołał smagnąć go biczem, ale tylko raz. Jack wpadł na niego niczym obrońca w futbolu amerykańskim. Drake poleciał przez pomieszczenie jakby wpadł pod autobus.

Upadł ciężko, ale przeturlał się i wstał. Znowu uderzył. Rozległ się głośny trzask i na koszulce Jacka pojawiło się rozdarcie.

Jack nie zwolnił, tylko pędził prosto na Drake'a. Nagle jednak okazało się, że nie może się ruszyć. Machał nogami, ale nie posuwał się naprzód.

Caine podniósł jedną rękę i trzymał go przemożną siłą.

– Puść mnie, Caine – jęknął chłopak.

– On cię podpuszcza, durniu! – wrzasnął Caine. Pokusa, by pozwolić Jackowi zabić Drake'a, była bardzo silna. Rozwiązałoby to pewien poważny problem. Prędzej czy później Drake rzuci mu wyzwanie. Ale na razie wciąż był potrzebny w walce.

Drake smagnął Jacka biczem, który jednak zatrzymał się w powietrzu, uderzając w niewidzialną przeszkodę.

– Obaj przestańcie! – krzyknął Caine.

– Jeśli mnie tkniesz, to cię zabiję! – wydarł się Drake do Jacka.

– Kazałem wam obu się zamknąć! – ryknął Caine. Wystawił obie ręce, jedną wymierzoną w Jacka, drugą zaś w Drake'a. Obydwaj polecieli w tył. Jack ciężko padł na plecy. Drake, lżejszy i niedysponujący nadludzką siłą Jacka, uderzył o ścianę i legł bezładnie u jej podstawy.

Caine dostrzegł kątem oka jakiś ruch i zobaczył plecy dwóch zakładników, którzy wymykali się z pomieszczenia. Skierował rękę w ich stronę, ale znaleźli się poza zasięgiem jego mocy. Usłyszał tylko oddalające się kroki.

– Łapać ich! – wrzasnął.

Ale Drake wstawał zbyt powoli, a Jack nie zamierzał pomagać. Dwaj żołnierze Drake'a stali jak sparaliżowani. Caine zdał sobie sprawę, że są lojalni wobec swojego dowódcy i czekają na jego rozkazy.

Odwrócił się, wzniósł ręce, oderwał obu smarkaczy od ziemi i cisnął nimi mocno w korytarz, w ślad za zakładnikami.

– Przyprowadźcie ich z powrotem! – zawołał.

– Uwaga! – krzyknęła Diana.

Wybuchła strzelanina. Potwornie głośna. Caine słyszał pociski, przelatujące mu koło ucha niczym bzyczące ważki.

Brittney!

Nie była martwa. Tylko udawała i powoli przesuwała się w stronę pistoletu, który musiał być gdzieś pod blatem.

Nadal leżała na podłodze, niezdolna, by wstać, a nawet usiąść. Ale leżała na boku i strzelała.

Caine odskoczył w bok wśród świszczących kul.

Uderzył mocno w stół, odbił się i opadł na kolana. Podniósł ręce, jednak lufa pistoletu poruszała się szybciej.

Tyle że jeszcze szybsza okazała się macka Drake'a. Trzasnęła i okręciła się wokół nadgarstka Brittney. Broń pluła pociskami, ale wszystkie trafiały w ścianę i sufit.

Rozwścieczony Caine skierował całą swoją moc na dziewczynę. Pomknęła po podłodze i uderzyła o ścianę, tak szybko, że pociągnęła nawet Drake'a, który był wciąż uczepiony jej ręki.

Caine skoczył na równe nogi, skupiając się na Brittney, i uniósł ją nad ziemię.

– Ty nędzny... – zaczęła i nagle sama zmieniła się w pocisk, śmigając w powietrzu.

Przeleciała przez dziurę, którą wcześniej wypalił Sam.

Planował co innego. Dziewczyna miała szczęście.

Albo ktoś nad nią czuwał.

Na zewnątrz Dekka, która wciąż stała na warcie, usłyszała strzelaninę w nastawni.
Skoczyła ku ścianie, gdy coś wyleciało przez wypalony otwór. Upadło z charakterystycznym dźwiękiem ciała, uderzającego o ziemię.
Dekka patrzyła, zbyt oszołomiona, by jakoś zareagować.
Potem, po jej prawej stronie, rozległy się strzały w hali turbin. Otwór drzwiowy rozświetliły jasnożółte błyski.
Otrząsnęła się z transu i pognała do drzwi. Żołnierze Edilia poderwali się z ziemi i ruszyli za nią.

– Orc! Orc! – krzyknęła.

Raczej usłyszała, niż zobaczyła, że potwór drgnął. Spał na skrzyni półciężarówki. Sprężyny zaskrzypiały, gdy gramolił się na ziemię.
Dwaj żołnierze Caine'a pojawili się w drzwiach niczym cienie.
Trzymali broń, wycelowaną w uciekające postacie.
Huknęły strzały i jeden z uciekinierów padł, nie wydając dźwięku.
Runął na twarz i znieruchomiał. A drugi biegł, biegł, biegł.

– Trafiłem go! Trafiłem! – krzyknął ktoś, raczej z przerażeniem niż z dumą w głosie.
– Taylor! – wrzasnęła Dekka. – Odwróć ich uwagę!
– Już lecę! – odkrzyknęła.
– O mój Boże, chyba go zabiłem – jęknął ten sam głos.

Dekka podniosła ręce i obaj strzelcy oderwali się od ziemi. Jeden uderzył o górną krawędź framugi. Drugi wślizgnął się z powrotem do środka, poza zasięg Dekki. Strzelanina ustała. Uciekający zakładnik

upadł, dysząc ciężko, za samochodem.

W jednej chwili Taylor biegła obok Dekki. Ułamek sekundy później potykała się, wciąż na wpół biegnąc przez nastawnię elektrowni.

– Ty głupi psycholu! – krzyknął Caine do Drake'a.

Drake pobladł jak papier, cały, z wyjątkiem zimnych, szarych oczu.

– Przed chwilą uratowałem ci życie!

– Zachowałeś się jak kretyn! Drażniłeś Jacka dla zabawy! – wrzeszczał Caine. – I zobacz, co się stało. Byłem zajęty, musiałem was rozdzielić, i zobacz, co się stało, idioto!

– Hej! – krzyknęła Diana.

Taylor poznała ją dopiero po chwili. Głowę miała ogoloną niemal do skóry.

– Hej! – zawołała tamta znowu, wskazując Taylor. – Mamy towarzystwo!

Caine obrócił się i wzniósł swoje śmiercionośne dłonie, ale Taylor przeskoczyła pomieszczenie i pojawiła się w przeciwległym kącie, za jego plecami.

– Jack, ty zdrajco! – krzyknęła i zniknęła.

Taylor pojawiła się znowu, tuż przed Dekką.

– Dostają tam świra. Powinniśmy uderzyć teraz!

Dekka zatrzymała się. Szybko zrobiła w myślach rachunki. Miała Orca, Taylor i siebie. Plus trzech chłopaków od Edilia. Problem zakładników przestał istnieć.

Ale Caine i Drake nadal żyli. Nadal byli bardzo, bardzo groźni. Do

pomocy mieli jeszcze przynajmniej dwóch uzbrojonych zbirów, może więcej.

– Nie. – Pokręciła głową, jakby uszło z niej powietrze. – Nie bez Sama.

– Trzeba wejść teraz, właśnie teraz! – krzyknęła Taylor. Wskazała krwawą masę na ziemi. – Zobacz, co zrobili. Zobacz, co zrobili! Zobacz, co te potwory zrobiły!

Dekka uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

– Jeśli wejdziemy teraz, przegramy – powiedziała. Nawet gdyby był z nimi Sam... Ostatnio nie zachowywał się tak, jak wcześniej. Jakby stracił swój wewnętrzny ogień.

– Boisz się i tyle – uznała Taylor.

– Nie pogrywaj ze mną, Taylor – ostrzegła Dekka. – Nie mamy dość sił. To proste. Jeśli zaatakujemy teraz, przegramy. Edilio będzie musiał pochować następne ciała. Nie wiem, czy Sam... – Ugryzła się w język. Za późno.

– Co z Samem? – spytała Taylor.

Dekka wzruszyła ramionami.

– Nic. Chłopak jest po prostu zmęczony, nic więcej. Myślę, że może następna walka tej nocy nie jest mu potrzebna.

Taylor sprawiała wrażenie, że mogłaby się jeszcze pospierać. Potem zwiesiła ramiona.

– Tak. Wszystko jedno.

– Wracaj do miasta. Opowiedz Samowi, co zaszło. Powiedz, co widziałaś w środku.

– Zajmie mi to parę minut. Nie dam rady jednym skokiem – oznajmiła

Taylor.

– No to ruszaj.

Taylor zniknęła, a Dekka z wściekłością kopnęła w ziemię. Wszystko działo się dla niej zbyt szybko, mogła jedynie patrzeć.

Mike Farmer wypełzł zza półciężarówki, za którą się schował. Mickey leżał twarzą w dół, w przerażającym bezruchu. To, co zostało z Brittney, wyglądało koszmarnie.

Przez chwilę Dekka poczuła złość na Sama. Uciekł i zostawił jej dowodzenie. Nie chciała dowodzić. Nie tylko Sam ledwie się trzymał. Brianna... Ta myśl była jak wbity w brzuch nóż, którym ktoś raz po raz kręcił.

Nigdy nawet nie powiedziała Briannie, co czuła. A teraz było za późno.

Coś wylądowało na chodniku obok niej. Spojrzała. Przypominało kości kurczaka. Pieczonego kurczaka.

Podniosła wzrok. Cofnęła się, by lepiej widzieć.

Na wysokości jakichś dziesięciu pięter, na szczycie budynku z halą turbin, ktoś stał, w niesamowitym, oślepiającym świetle, i machał rękami. Bardzo szybko.

Zdawało się, że czas się zatrzymał. Dekka zamarła. Wpatrywała się uważnie, nie chcąc popełnić błędu. Wolała nie wierzyć, dopóki nie zyska pewności.

– Bryza? – szepnęła ze zdumieniem.

Na chwilę opuściła głowę i podziękowała Bogu. Brianna. Żywa. Żywa i najwyraźniej równie niecierpliwa, jak zwykle.

Nie było możliwości, by Brianna usłyszała ją w panującym wokół hałasie. W jaki sposób wlazła na górę, pozostawało tajemnicą, ale

sądząc po tym szaleńczym wymachiwaniu rękami, które przywodziło na myśl semafor – bardzo chciała zejść.

Dekka pomachała. A nawet się uśmiechnęła, co czyniła rzadko.

Brianna żyła.

Brianna wsparła dłonie na biodrach, jakby chciała powiedzieć: „na co czekasz?"

Dekka myślała przez chwilę. Potem wskazała miejsce u podstawy ściany, z dala od drzwi, gdzie czaili się podwładni Caine'a z bronią.

Brianna skinęła głową.

Dekka podniosła ręce.

Brianna wyskoczyła w powietrze. I pozostała w powietrzu. Siła ciążenia nie ciągnęła jej w dół.

Dekka wzięła głęboki wdech. Na chwilę wyłączyła swoją moc i Brianna zaczęła spadać. Włączyła ją znowu i Brianna się zatrzymała. Wyłącz. Włącz. Aż w końcu Brianna unosiła się ledwie metr nad chodnikiem.

Puściła ją i Brianna wylądowała lekko, amortyzując uderzenie ugięciem kolan. Dekka ją podtrzymała.

– Co się tu dzieje? – spytała Brianna. – Słyszałam strzały. Obudziły mnie.

– Ciebie też miło widzieć – powiedziała Dekka oschłym tonem. – Wszyscy myśleli, że nie żyjesz.

– No, ale żyję. Hmm.

Dekka pokręciła głową z tolerancyjnym zdziwieniem.

Dołączyli do Mike'a za półciężarówką, zostawiwszy na stanowiskach obserwujących drzwi żołnierzy Edilia, z bronią w pogotowiu.

Mike był zaskoczony.

– Hej, Drake powiedział Jackowi, że nie żyjesz! Jack mu uwierzył i normalnie zwariował.

Brianna uśmiechnęła się.

– O, naprawdę?

– Totalnie. Rzucił się na Drake'a jak Aragorn. Próbował go zabić. Właśnie wtedy my... to znaczy ja uciekłem. – W tym momencie zalał się łzami, szlochał, zupełnie nad sobą nie panując i zasłaniając twarz dłońmi.

– Coś cię łączy z Komputerowym Jackiem? – spytała Dekka. Starannie modulowała swój głos, by nie zdradzić wewnętrznego zamętu. Czas nie był odpowiedni, by obciążać Briannę uczuciami, których ta by nie odwzajemniła. Które mogłyby nawet wywołać w niej złość na Dekkę. W Coates raczej nie były przyjaciółkami. Dekka nie miała nawet pewności, czy Brianna w ogóle wiedziała, że jej koleżanka to lesbijka.

– Myślę, że nic – odparła Brianna, wyglądając na zadowoloną z siebie.

– Chyba tak.

– Dobra – powiedziała Dekka, przełykając ślinę. Najważniejsze, że Brianna żyła. A Mickey i Brittney nie. Dekka dowodziła, musiała podjąć jakieś decyzje. – Powiesz mi, jak znalazłaś się na dachu?

– Hmm... Nie. Ale słuchaj: tam są drzwi, które prowadzą na dół. Gdybym miała łom albo coś w tym stylu, mogłabym je otworzyć, wejść tam i wyjść, zanim się zorientują. Rozwalić...

– Nie, nie – wykrztusił Mike między spazmami szlochu.

– Druty ciągle wiszą.

– Jakie druty? – spytała Brianna.

– Drake. Wszędzie porozciągał druty, żeby cię przecięły, jeśli tam wbiegniesz.

Dekka dostrzegła szok na zwykle tak pewnej siebie twarzy Brianny.

– Dlatego Jack próbował go zabić – ciągnął Mike. – Jack powiedział mu, że ma je zdjąć, a Drake udawał, że to zrobił, ale kłamał.

Odezwała się Dekka:

– Chyba dobrze, że podobasz się Jackowi, Bryzo. Mike'owi udało się uciec.

Brianna nie miała odpowiedzi.

– Niech cię to nie wytrąci z równowagi, dziewczyno – powiedziała Dekka. – Miałaś zły dzień. Wszyscy mieliśmy bardzo zły dzień. – Usiadła obok Mike'a i objęła go ramionami. – Przykro mi z powodu Mickey'ego. Wiem, że byliście kumplami.

Odtrącił ją.

– Wcale nie obchodzi cię Mickey. Obchodzi cię ona, bo jest odmieńcem, jak ty.

Dekka postanowiła odpuścić. Nie mogła mieć pretensji, że jest nabuzowany. Nie mogłaby mieć pretensji nawet gdyby zupełnie się załamał.

Zwróciła się do Brianny:

– Miałaś szczęście. Ale teraz ważne, żebyś zaczęła słuchać innych, a nie robić głupstwa, przez które możesz zostać uwięziona na dachu, kiedy cię potrzebujemy. Albo, co gorsza, pocięta.

– Tak – mruknęła Brianna, speszona. Po chwili odzyskała część

swojej zwykłej bezczelności i dodała: – Dzięki, mamo.

Dekka to kochała. Tę dziką lekkomyślność Brianny. Kochała. Ta dziewczyna stanowiła jej zupełne przeciwieństwo. Nie powiedziała jej o tym, bo teraz dowodziła i musiała być odpowiedzialna. Ale Brianna nie byłaby sobą bez tego elementu szaleństwa.

Żyła. Żyła.

I coś łączyło ją z Jackiem.

Ale żyła.

Rozdział 31

13 GODZIN, 35 MINUT

Chodź do mnie. Potrzebuję cię.

– Nie mogę oddychać – wymamrotała Lana, chociaż gdy poruszała ustami, nie słyszała żadnego dźwięku ani nie czuła, żeby poruszały się jej wargi i język.

Gaz pozbawia cię tlenu.

Tak. Właśnie. Gaz. Jedna iskra i... Gdzieś miała zapalniczkę. Jedna iskra i będzie wolna. Martwa. Martwo-wolna.

Roześmiała się i śmiech przerodził się w czerwone sztylety, wbijające się w jej mózg. Złapała się za głowę i krzyknęła z bólu. Nic nie słyszała. Nie czuła swoich rąk, przyciśniętych do skroni.

Podpełznij do mnie.

Jej ciało nie działało. A może? Czy była na czworakach? Czy jej ciało istniało jeszcze naprawdę?

Oślepła czy wokół panowała ciemność?

Leżała nieprzytomna? Jak długo?

Poruszała się, była tego pewna.

Wydzielam węglowodór.

Co? Węglo... co? Jej umysł wirował, kręcił się raz za razem i pojawiły się w nim noże, które ją dźgały, torturowały. Głowa pękała. Serce waliło w piersi, próbując uciec, rozrywając jej żebra, by się wydostać.

Nie, to wszystko była halucynacja. Szaleństwo i kłamstwa.

Ból jednak był prawdziwy. Czuła go. Ból. I lęk.

Płynie mieszanina tlenu i azotu.

Powietrze. Zastępujące gaz. W żadnym stopniu nie łagodziło bólu w głowie. Ale jej serce spowolniło.

Znowu zaczęła widzieć, jakby za mgłą, reflektory półciężarówki rzucające słaby blask w głąb sztolni, gdzie twarzą w dół leżała na kamieniach. Podniosła rękę przed swoją twarz. Palce. Nie rozróżniała ich zbyt wyraźnie, ale wiedziała, gdzie są.

Dotknęła twarzy. Czuła własną dłoń. Czuła policzek. Mokry od łez.

Chodź do mnie.

Nie.

Ruszyła na czworakach. Kamienie rozdzierały skórę na dłoniach i kolanach.

Nie. Nie przyjdę do ciebie.

Ale szła. Poruszała się. Na czworakach. Pełzła.

Czy w ogóle mogła się temu oprzeć?

Nie.

Jestem gaiaphage.

Jesteś moja.

Jestem Lana Arwen Lazar. Moja matka nadała mi imię po... Po czymś. Po kimś... Po mojej...

Głodny.

Pomożesz mi zjeść.

Zostaw mnie w spokoju, zaprotestowała słabo Lana, nie przestając poruszać rękami i nogami, zwieszając głowę jak pies. Jak... jak ktoś...

Jestem gaiaphage.

Co to znaczy? – spytała.

Teraz bardziej rozumiała samą siebie. Mogła sięgnąć do swojej pamięci, przypomnieć sobie, kim jest i skąd się tu wzięła. Przypomnieć sobie swoją głupią nadzieję na pokonanie Ciemności. Gaiaphage. Teraz jednak widziała jej rękę we wszystkim, co sama zrobiła. Od samego początku stwór ją wzywał. Naginał jej myśli i działania do swojej woli.

Nie miała najmniejszych szans.

A teraz pełzła.

Lana, druga dziewczyna Supermana. Arwena, prawdziwa miłość Aragorna. Lazar, skrót od Lazarevic. Lana Arwen Lazar. To była ona. Nie mogła przestać pełznąć. Coraz dalej w głąb sztolni.

Chodź do mnie.

Potrzebuję cię.

Po co potrzebujesz? Dlaczego mnie?

Jesteś Uzdrowicielką.

Masz moc.

Coś cię boli? Błysk nadziei na myśl, że stwór może być ranny. Kończyny Lany były teraz tak ciężkie, że ledwie mogła się ruszyć. Z trudem przesuwała kolana po szorstkim kamieniu. Jej ręce przemieszczały się tylko nieznacznie. Oczy jednak dostrzegały lekki zielony blask, który na zawsze zapamiętała ze swojej pierwszej wyprawy do tej okropnej kopalni.

Blask niczym luminescencyjne wskazówki zegarka. Niczym świecące w ciemności gwiazdki, przyklejone do sufitu w pokoju Lany, gdy była mała.

Myśl o ojcu rozrywała jej duszę. Matka. Ojciec. Byli tak daleko. Albo nie żyli. Albo, kto wie? Czy ktokolwiek się kiedyś dowie, co się stało? Wyobraziła sobie, że ją widzą. Jakby była bakterią, a jej rodzice patrzyli na nią przez olbrzymi mikroskop. Widzieli swoją córkę w takim stanie. Przerażoną. Głodną.

Pełznącą ku Ciemności. Niewolnicę gaiaphage.

Zatrzymała się na rozkaz głosu w głowie. Dyszała, czekając, cała zlana potem.

Połóż na mnie rękę.

– Co? – szepnęła. – Gdzie? Gdzie jesteś?

Przekręciła zmęczoną głowę, zaglądając w radioaktywną ciemność i nie widząc nic z wyjątkiem świecącej lekko skały.

Nie. Przy bliższych oględzinach, zmusiwszy się do patrzenia, zobaczyła, że to nie skała. Jej niechętny wzrok zdawał się wwiercać w zielone światło i zaczęła dostrzegać nie pojedynczą masę skały, lecz kłębiący się, pulsujący rój. Tysiące, może miliony maleńkich, krystalicznych kształtów, sześcio – i pięcioboków, trójkątów. Największe miały wielkość połowy paznokcia. Najmniejsze – kropek w książce. Ze wszystkich wyrastały niezliczone maciupkie nóżki, więc wyglądało to jak ogromna kolonia mrówek, mrowisko pełne owadów, zielonych i błyszczących, które pulsowało niczym odsłonięte serce.

Połóż na mnie rękę.

Stawiała opór. Wiedziała jednak, już gdy przeciwstawiała się woli gaiaphage, że jest skazana na klęskę. Jej dłoń poruszała się. Drżąc, poruszała się. Widziała swoje ciemne palce, odcinające się od zielonego światła.

Dotknęła go, poczuła i miała wrażenie, jakby dotykała szorstkiego piasku. Tyle że ten piasek poruszał się, wibrował.
Przez chwilę doznawała tylko tego prostego uczucia.
Potem gaiaphage pokazał jej, czego chce.
Zobaczyła jakieś stworzenia. Istotę z żywego ognia. Mechanicznego węża. Potwory.
Zobaczyła też rosyjską matrioszkę.
Jedna lalka... w drugiej... i w jeszcze jednej... i w jeszcze jednej...
Teraz go poznała, w chwili oślepiającej jasności wiedziała, czym jest. Czuła jego głód. I jego strach.
Potrzebował jej, ten paskudny stwór, powstały z ludzkiego i obcego DNA, z kamienia i mięśni, wykarmiony ostrym promieniowaniem w głębi kosmosu, a teraz w głębi Ziemi. Świecący pokarm zużył się do reszty przez trzynaście lat, gdy gaiaphage rósł i ulegał mutacjom tutaj, w ciemności.
Był głodny. Pokarm nadchodził. Gdy już nadejdzie, stwór nabierze dość siły, by dzięki mocy Lany stworzyć ciało. Użył już jej mocy, by dać Drake'owi biczowatą mackę, zrobić z niego potwora. Wykorzysta ją znowu, gdy tylko się naje, by samemu zyskać potworne ciało. Ciała jedne w drugich, których można używać, a potem odrzucać, gdy pojawią się nowe.
Aby się ruszać.
Uciec z kopalni. Taki miał cel.
Chodzić po ETAP-ie i niszczyć wszystkich, którzy mu się sprzeciwią.

Był to dla Sama dzień szalonej huśtawki nastrojów.

Wpadła Taylor, by powiedzieć, że Mickey Finch zginął, uciekając od Caine'a. Ale Mike Farmer przeżył. I Caine został teraz bez zakładników.

Potem wybuchł pożar w domu dzielonym przez dwoje pięciolatków i dwoje dziewięciolatków. Jedno ze starszych dzieci paliło trawkę.

Komendantka straży pożarnej, Ellen, przyjechała na miejsce wozem strażackim w samą porę, by powstrzymać rozprzestrzenienie się ognia na sąsiedni dom. W tej części miasta ciśnienie wody wciąż było wysokie.

Wszystkie dzieci przeżyły.

Potem, gdy stał na ulicy, patrząc na wschodzące słońce i dym, unoszący się ze spalonego domu, i zastanawiał się, czy i jak ukarać dziewięciolatka za palenie zielska, a w konsekwencji wywołanie pożaru, poczuł lekki podmuch.

– Cześć, Sammy – powiedziała Brianna.

Wbił w nią wzrok. Uśmiechnęła się.

Wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Powinienem cię zabić za to, że tak zniknęłaś.

– Daj spokój – odparła, szeroko rozkładając ramiona. – Wystarczy uścisk.

Przytuliła go – szybko – i cofnęła się.

– Wystarczy, chłopaku. Nie chcę, żeby Astrid się na mnie pogniewała.

– Mhm.

– To kiedy pójdziemy załatwić Caine'a i włączyć prąd?

Pokręcił głową.

– Nie mogę, Bryzo.

– Co? Co? Jak to nie możesz? Siedzi tam bez zakładników. Możemy go zaatakować.

– Mam inne problemy – odparł. – Mamy tu starcie między odmieńcami a normalnymi.

Brianna prychnęła lekceważąco.

– Pobiegam i parę razy dołożę jednemu z drugim, to się opamiętają, a my zajmiemy się elektrownią. – Nachyliła się bliżej. – Znalazłam wejście przez dach.

To była ciekawa wiadomość. Na tyle ciekawa, że Sam zaczął się zastanawiać.

– Wejście dokąd? Do hali turbin?

– Chłopie, na dachu są drzwi. Nie wiem, dokąd prowadzą, ale tam musi być przejście do hali turbin. Chyba.

Próbował się otrząsnąć, ale mu nie wychodziło, nie mógł się skupić. Czuł, że opada z sił. Był niewiarygodnie wprost wyczerpany.

– Jesteś ranna – zauważył.

– Tak, w dodatku mnie piecze. Gdzie Lana? Przyda mi się jej ręka. A potem możemy skopać im tyłki.

– Straciliśmy Lane. Odeszła.

Ta wieść zachwiała pewnością siebie i zapałem Brianny.

– Co?

– Sprawy nie układają się najlepiej – wyjaśnił Sam.

Czuł jej pełne troski spojrzenie. Nie dawał dobrego przykładu. Nie do końca panował nad wydarzeniami. Wiedział o tym wszystkim. Ale nie mógł się otrząsnąć z obojętności, która udaremniała każdą próbę

ułożenia planu.

– Potrzebujesz odpoczynku – podsumowała Brianna.

– Tak – przyznał. – Bez wątpienia.

Głosy brzmiały znajomo. Dekka. Taylor. Howard.

– Słońce wschodzi – stwierdziła Taylor. – Niebo szarzeje.

– Musimy coś zrobić w sprawie Brittney i Mickey'ego – powiedziała Dekka.

– Nie zajmuję się zwłokami. – Howard był ponury i przygnębiony.

– Myślę, że moglibyśmy, no wiecie, odesłać ich do miasta, żeby Edilio ich pochował – zaproponowała Dekka.

Taylor westchnęła.

– Sprawy kiepsko tam wyglądają. Nigdy nie widziałam Sama w takim stanie. To znaczy on...

– Przejdzie mu – odparła Dekka. Jej głos nie brzmiał jednak przekonywująco. – Ale może to istotnie nie pora, żeby prosić go o przemówienie na pogrzebie.

– Może po prostu ich przykryć. Wiecie, przyciągnąć Mickey'ego tutaj, i przykryć go jakimś kocem. Na razie.

– Tak. W którymś z tych samochodów na pewno znajdzie się koc w bagażniku. Pałatka. Coś w tym stylu. Niech Orc otworzy parę bagażników.

I tak Brittney znalazła się obok Mickey'ego, pod osłoną płachty malarskiej.

Nie czuła bólu.

Nie widziała światła.

Słyszała, ale ledwo.

Jej serce było nieruchome i ciche.

A jednak nie umarła.

Albert nie miał czasu do stracenia. Wraz z Quinnem powiedzieli w końcu Samowi o swojej wyprawie po złoto. I o tym, że Lana odeszła z Cookiem.

Sam wydawał się osowiały i wcale nie wściekł się na nich tak, jak się spodziewali. Słuchał z zamkniętymi oczami i parę razy Albertowi zdawało się, że przysnął.

Ulżyło im, że Sam nie wpadł w złość. Zarazem jednak czuli się zakłopotani. W końcu przynieśli bardzo złe wieści. Jego brak reakcji wydawał się nierzeczywisty. Sam nie zachowywał się jak Sam.

Albert miał tym większe powody, by działać dalej. Wysłał Quinna na ryby.

– Nie obchodzi mnie, że jesteś zmęczony, Quinn. Musimy się zająć interesami.

A potem wziął się do pracy.

Podstawowym problemem okazało się przetopienie złota. Temperatura topnienia złota była ponad trzy razy wyższa niż ołowiu i nic, czym Albert dysponował, nie mogło owej temperatury osiągnąć. Na pewno żadne z urządzeń w McDonald'sie, które zresztą teraz i tak nie działały, bo zabrakło prądu.

Albert już prawie stracił nadzieję na rozwiązanie problemu, aż w końcu, szperając w sklepie z narzędziami, znalazł palnik acetylenowy. Zaniósł dwa palniki i wszystkie zapasowe butle z acetylenem, jakie

znalazł, do McDonald'sa. Zamknął drzwi na klucz.
Umieścił duży żeliwny garnek na piecu i podgrzał go najmocniej, jak się dało. Nie mógł stopić złota, ale mógł spowolnić proces chłodzenia. Umieścił w środku jedną ze sztabek złota, rozpalił palnik i wycelował niebieski płomień w złoto. Na metalu natychmiast pojawiły się krople. Po chwili pociekła strużka roztopionego kruszcu.
Godzinę później wyciągnął z formy pięć pierwszych złotych pocisków. Była to wyczerpująca praca. Bardzo gorąca. Doszedł jednak do takiej wprawy, że mógł wytwarzać dwadzieścia cztery pociski na godzinę. Pracował bez przerwy przez dziesięć godzin, po czym, wykończony, głodny i odwodniony, naliczył 224 pociski kalibru 7, 65 mm.
Dzieciaki waliły w drzwi, domagając się, by je wpuszczono do McKlubu. Albert jednak wywiesił po prostu kartkę z napisem: „Przepraszamy, zamknięte. Zapraszamy jutro".
Wypił trochę wody, zjadł skromny posiłek i dokonał kilku obliczeń. Miał dość złota na produkcję około czterech tysięcy pocisków. Gdyby je równo rozdzielić, każdy mieszkaniec Perdido Beach dostałby ich trochę ponad dziesięć. Praca zajęłaby parę tygodni.
Nie miał jednak dość acetylenu, by temu podołać. To oznaczało, że do przetopienia całego złota potrzebował pomocy osoby, która niemal bez wątpienia nie chciała pomóc: Sama.
Albert widział, jak Sam przepala cegły. Na pewno mógł też topić złoto. Tymczasem Albert zamierzał rozdać każdemu po jednym pocisku. Jako coś w rodzaju wizytówki. Zapowiedź tego, co miało nastąpić. Potem papierowe pieniądze oparte na złocie, a na koniec kredyt.
Pomimo znużenia, nucił z zadowoleniem, gdy usiadł z żółtym

notatnikiem i długopisem w dłoniach, by spisać potencjalne nazwy nowej waluty.

„Pociski" na pewno nie pasowały. Chciał, żeby nazwa przywodziła na myśl pieniądze, a nie śmierć.

Dolary? Nie. To słowo brzmiało znajomo, ale chciał czegoś nowego.

Euro? Franki? Dublony? Marki? Bony? Korony?

Alberty?

Nie. Przegięcie.

Jednostki?

To była praktyczna nazwa. Dokładnie odpowiadała znaczeniu.

– Kłopot w tym, że jakkolwiek je nazwiemy, mamy ich za mało – mruknął Albert. Gdyby miało być tylko cztery tysiące... czegoś tam... każdy musiał mieć wysoką wartość. Na przykład dziesięć kulek powinno...

Kulek?

W sumie były to „kulki".

Na przykład jeśli dzieciak będzie miał dziesięć kulek, które dostał na początku, jeden musiałby mieć wartość większą niż, powiedzmy, zupa w puszce. Oprócz kulek potrzebował więc drobniejszych jednostek. Waluty o wartości, dajmy na to, jednej dziesiątej kulki.

Ale każda próba wprowadzenia papierowych pieniędzy doprowadziłaby tylko do tego, że wszyscy zaczęliby biegać w poszukiwaniu kopiarki. Musiał mieć coś, czego nie dało się powielać.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Coś sobie przypomniał.

Pobiegł do magazynu, który już dawno opróżniono z żywności. Na drucianych półkach stały dwa pudła, pełne żetonów z gry McDonald's

Monopoly po jakiejś dawno zapomnianej promocji.

Dwanaście tysięcy sztuk w każdym pudle. Trudnych do podrobienia.

Wystarczy, by wymienić cztery tysiące kulek po kursie sześciu żetonów z Monopoly za kulkę.

– Jedna kulka równa się sześć żetonów – powiedział Albert. – Sześć żetonów równa się jedna kulka.

Coś pięknego, pomyślał. Łzy napłynęły mu do oczu. To było naprawdę coś pięknego. Wynalazł nowy system walutowy.

Rozdział 32

9 GODZIN, 03 MINUTY

Robal stał się nieufny. Ludzie Sama o nim wiedzieli. Już od czasu wielkiej bitwy o Perdido Beach. Teraz jednak zaczęli podejmować kroki zaradcze. Nagły atak farbą w spreju zachwiał jego pewnością siebie.

Gdy zatem Caine odciągnął go na bok, uważając, by Drake nie mógł ich podsłuchać, i przydzielił mu nowe zadanie, Robala dopadły wątpliwości.

– Czekają na każdego, kto wyjdzie – powiedział. – Na pewno jest tam Dekka. Parę osób z bronią. I pewnie Sam też się gdzieś ukrywa.

– Mów ciszej – polecił Caine. – Słuchaj, musisz to zrobić. Dobrowolnie albo po przymusem. Twój wybór.

Więc Robal to robił. Nie podobało mu się, ale robił.

Stawał się niewidzialny. Nawet kiedy był widoczny, inni często go nie zauważali. Zapominali o jego istnieniu. Kiedy już znikał, rzadko o nim pamiętali.

Przez chwilę stał w kącie nastawni, nie ujawniając się. Sprawdzał, czy nikt – a zwłaszcza Drake – nie będzie za nim tęsknił.

Wszystko się trochę uspokoiło, odkąd stało się jasne, że ludzie Sama nie wtargną do środka wśród salw z broni palnej i w potokach laserowego światła z dłoni Sama.

W pomieszczeniu jednak wciąż panowało napięcie. Drake i Caine wpadli w paranoję, oczekując ataku z zewnątrz albo od siebie

nawzajem. Diana chodziła naburmuszona i śpiąca. Komputerowy Jack wyraźnie odczuwał ból na skutek obrażeń i łykał advil jak szalony, nie przestając jednak stukać w klawiaturę. Żołnierze Drake'a znaleźli czyjąś kieszonkową grę elektroniczną i grali w nią tak długo, aż się wyczerpały baterie. Potem poszli szukać następnych.

Nikt nie tęsknił za Robalem.

Wymknął się więc z pomieszczenia, o centymetry mijając Drake'a. Wstrzymał oddech, obawiając się nagłego trzaśnięcia jego bicza.

Na zewnątrz sprawy przedstawiały się lepiej, niż się spodziewał. Dekka siedziała na przednim fotelu samochodu, trochę przysypiając, a trochę kłócąc się z Taylor i Howardem. Orc znajdował się na skraju parkingu i leniwie rozbijał samochodowe szyby za pomocą łyżki do opon. Dwóch, a nie trzech chłopców z bronią kryło się za samochodami. Wszyscy w napięciu czekali na rozwój wydarzeń. I nudzili się.

Mieli też bardzo zły humor. Mijając ich, słyszał strzępy narzekania.

– ... Sam po prostu odjeżdża, zostawia nas tutaj i...

– ... jeśli nie jesteś odmieńcem z mocą, nikt cię nie...

– ... przysięgam, że utnę sobie nogę i ją zjem, taki jestem głodny...

– ... szczur nie smakuje tak źle, jak by się wydawało. Tyle że nie tak łatwo znaleźć szczura...

Robal prześlizgnął się obok nich i dotarł do drogi. Kaszka z mleczkiem, jak to mówią.

Teraz czekał go długi, długi marsz. I zero jedzenia.

Miał wrażenie, że własny żołądek próbuje go zabić. Jakby wyhodował wroga w swoim wnętrzu, jakby toczyła go nieuleczalna choroba, na

przykład rak. Cały czas bolało. Pociekła mu ślinka, gdy usłyszał rozmowę o jedzeniu szczura.
Zjadłby szczura. W mgnieniu oka. Może nie zrobiłby tego jeszcze kilka dni temu, ale teraz tak; nie jadł już od bardzo długiego czasu. Może najwyższa pora, by znów zaczął jeść robaki. Nie w ramach zakładu, ale po prostu w charakterze posiłku.
Zastanawiał się, jak długo człowiek może wytrzymać bez jedzenia, zanim umrze. W taki czy inny sposób zamierzał zdobyć jakąś żywność. Już wcześniej udało mu się wkraść do sklepu Ralph's, który znajdował się w zasadzie po drodze do Coates.
Musiał coś zjeść. Caine na pewno go zrozumie.
Dotrze do Coates i bez trudu znajdzie dziwaczną dziewczynę od snów.
Sięgnął do kieszeni i wyciągnął mapę, którą Caine narysował na kawałku papieru z drukarki. Była całkiem niezła, bardzo wyraźna. Droga wiodła z Coates w dół, wokół wzgórz, na pustynię. Krzyżyk oznaczał coś, co Caine opisał jako „Miasteczko Duchów". Drugi, tuż nad nim, oznaczał „kopalnię".
Na górze, nad mapą, widniała wiadomość dla każdego, kto sprzeciwi się Robalowi. Brzmiała następująco:

Robal wykonuje moje rozkazy. Róbcie, co mówi. Jeśli ktoś spróbuje go zatrzymać, będzie miał ze mną do czynienia. Caine.

Robal miał zgarnąć tę od snów, Orsay, a potem, przy pomocy tych, których zdoła zmobilizować w Coates, doprowadzić ją do oznaczonej krzyżykiem kopalni.

– Nie wiem, czy stwór ma sny, czy nie – powiedział Caine. – Ale mam wrażenie, że w pewnym sensie wszystkie jego myśli to sny. Uznałem, że może Orsay zdoła wniknąć w jego głowę.

Robal pokiwał głową, jakby zrozumiał, choć tak nie było.

– Chcę wiedzieć, jakie ma plany wobec mnie – pouczył Robala Caine. – Powiedz jej to. Jeśli przyniosę mu pokarm, co mi zrobi? Powiedz Orsay, że jeśli opowie mi o snach Ciemności, o snach gaiaphage, uwolnię ją. Będzie wolna.

A po chwili dodał: – W każdym razie wolna ode mnie.

Była to ważna misja. Caine obiecał Robalowi pierwszeństwo wobec wszelkiej żywności, jaką w przyszłości znajdą. Robal wiedział, że powinien spełnić jego oczekiwania. Ludzie, którzy zawodzili Caine'a, kończyli bardzo marnie.

Idąc do sklepu, musiał pokonać piechotą kawał drogi. Budynek był wciąż strzeżony. Widział dwóch uzbrojonych wartowników na dachu, dwóch przy drzwiach wejściowych i dwóch w strefie załadunku z tyłu. Panował tu wielki ruch, dzieciaki mrowiły się przy drzwiach, przepychając się i krzycząc.

Wiele osób przyszło po swoją codzienną rację kilku puszek jakiegoś paskudztwa, wydawaną przez znudzonych czwartoklasistów, którzy zdążyli już stać się cyniczni.

– Mała, nie pogrywaj ze mną – powiedział jeden, odprawiając jakąś dziewczynkę. – Byłaś tu dwie godziny temu. Nie wystarczy się przebrać, żeby mnie oszukać.

Niektórzy nie przyszli po żywność, lecz po elektryczność. Sklep znajdował się przy autostradzie, poza granicami miasta. Najwyraźniej

wciąż docierał tu prąd, bo przez drzwi wejściowe przeciągnięto przedłużacze, do których podłączone były ładowarki. Dzieciaki ładowały iPody, akumulatorowe latarki i laptopy.

Robal powie Caine'owi o elektryczności w sklepie. Dzięki temu zyska parę punktów. Caine każe Jackowi znaleźć sposób na odcięcie zasilania także tutaj.

Skoro prąd wciąż płynął, to oznaczało, że automatyczne drzwi też działają. Robal musiał zachować ostrożność i wejść do środka za kimś innym.

Sklep był dość niesamowitym miejscem. Dział warzywny, który zobaczył na samym początku, ział pustką. Większość gnijących jarzyn wymieciono szuflami, ale praca została wykonana niedokładnie. Wielki kabaczek zgnił tak doszczętnie, że została z niego tylko mokra plama. Wokół walały się liście z kolb kukurydzy i łupiny cebuli. Lepka, szara maź na podłodze stanowiła ślad po próbie sprzątania. W dziale mięsnym śmierdziało, lecz i tak było pusto.

Ogołocone półki ciągnęły się kilometrami. Całą pozostałą żywność zgromadzono w jednej alejce, pośrodku sklepu.

Ostrożnie, by nie otrzeć się o żadnego z kilku pracowników, Robal ruszył alejką.

Słoiki z sosem. Paczki chilli. Ziele angielskie i marynowane cebulki. Sztuczny słodzik. Sos z małży. Puszkowana kapusta kiszona. Fasolka szparagowa.

W osobnej części, pilnowanej przez specjalnego strażnika, znajdowała się bardziej zachęcająca półka. Kartka głosiła: „Tylko dla przedszkola". Tutaj widniały paczki płatków owsianych, puszki

skondensowanego mleka, ziemniaki, a także puszki soku V8, choć tych było niewiele.

Sytuacja w Perdido Beach nie wyglądała najlepiej, pomyślał Robal. Czasy cukierków i chipsów wyraźnie się skończyły. Nigdzie choćby krakersa, o ciastkach nie wspominając. Miał szczęście, że podczas swojej misji szpiegowskiej w elektrowni znalazł tę garść Junior Mints. A teraz szczęście znowu mu dopisało. Przez czysty przypadek odkrył tajemnicę sklepu Ralph's. Odskoczył w bok, by nie wpaść na parę dzieciaków, i znalazł się przed wahadłowymi drzwiami, wiodącymi do magazynu. Drzwi uchyliły się, ukazując dwójkę dzieciaków, przenoszących plastikową miskę, wypełnioną lodem.

Robal nie mógł wejść do magazynu, nie popychając drzwi, a to wiązało się z ryzykiem zdemaskowania. Uznał jednak, że może warto: jeśli ktoś pragnął coś ukryć, on chciał o tym wiedzieć.

Wziął głęboki wdech, gotów uciec, jeśli zajdzie taka konieczność. Pchnął wahadłowe drzwi i wślizgnął się do środka. Dzieciaki z miską zniknęły. Usłyszał jednak jakiś ruch za rogiem, za ścianą kartonowych pudeł, oznaczonych napisami „kubki plastikowe".

Ta część sklepu należała kiedyś do pracowników działu mięsnego. Teraz nożami wymachiwały dzieciaki w gumowanych, ciągnących się po ziemi, fartuchach.

Dzieciaki kroiły ryby.

Robal stał i patrzył, nie wierząc własnym oczom. Niektóre ryby były duże – miały około metra długości – srebrno-szare, z biało-różowymi wnętrznościami. Inne były mniejsze, brązowe, płaskie. Jedna wyglądała tak brzydko, że bez wątpienia musiała być zdeformowana.

Dwie inne w ogóle nie przypominały ryb, raczej przemoczone, pozbawione piór błękitne ptaki, a może nietoperze.

Dzieciaki w fartuchach gawędziły wesoło – jak ludzie najedzeni, pomyślał z goryczą Robal – rozcinając ryby i patrosząc je do dużych, białych, plastikowych misek wśród okrzyków w stylu „fuj, to obrzydliwe".

Inni zabierali oprawione ryby, odcinali im łby, płetwy i ogony, po czym zeskrobywali łuski pod bieżącą wodą.

Robal nie cierpiał ryb. Naprawdę nie cierpiał. Teraz jednak oddałby i zrobił wszystko za talerz smażonej ryby. Przydałby się do tego keczup, ale nawet bez niego wizja dużego talerza z czymś gorącym wydała mu się cudowna.

Miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Ryby! Gotowane, wędzone, z mikrofalówki, wszystko jedno.

Rozważył swoje możliwości. Mógł złapać którąś rybę i uciec. Ale chociaż ludzie nie potrafili go łatwo dostrzec, na pewno zobaczyliby rybę, lecącą przez sklep i za drzwi. A strażnicy przy drzwiach i na dachu, którzy zapewne nie należeli do wybitnych strzelców, mieli do dyspozycji broń maszynową.

Mógł podjąć próbę schowania ryby w spodniach albo pod koszulę. Ale tylko przy założeniu, że dzieciaki z nożami mają opóźniony czas reakcji.

Do środka wszedł ktoś znajomy: Quinn. Jeden z przyjaciół Sama, choć w pewnym momencie sprzymierzył się z Caine'em.

– Cześć – powiedział. – Jak leci?

– Już prawie skończyliśmy – odrzekł któryś chłopak.

– Mieliśmy dobry dzień, co? – spytał Quinn. W jego głosie pobrzmiewała wyraźna duma. – Wszyscy coś zjedliście?

– To była najpyszniejsza rzecz, jaką jadłam w życiu – odparła jakaś dziewczyna z zapałem. Emocje ściskały jej gardło. – A nigdy nie lubiłam ryb.

Quinn poklepał ją po ramieniu.

– Niesamowite, co może smakować głodnemu człowiekowi.

– Mogę wziąć trochę do domu, dla młodszego brata?

Quinn był wyraźnie zakłopotany.

– Albert mówi „nie". Wiem, że wydaje wam się, że mamy całe mnóstwo ryb, ale wierzcie, z tego, co tu jest, nie wystarczy nawet po kęsie dla każdego w ETAP-ie. Chcemy zaczekać, aż zamrozimy ich więcej. I...

– I co?

Wzruszył ramionami.

– Nic. Albert pracuje po prostu nad takim małym projektem. Jak skończy, powie wszystkim, że mamy trochę ryb.

– Ale złowicie ich więcej, prawda?

– Na nic nie liczę. Mam nadzieję, że rozumiecie, że musicie zachować wszystko w tajemnicy, prawda? Albert mówi, że jeśli ktoś się wygada, traci pracę.

Cała czwórka z zapałem pokiwała głowami. Ceną za nieposłuszeństwo była utrata posiłków ze smażonych ryb. Przy takim straszaku niemal każdy zacząłby się zachowywać, jak należy.

Jeden z chłopaków rozejrzał się, jakby nabrał podejrzeń. Popatrzył prosto na Robala, lecz zaraz prześlizgnął się po nim wzrokiem. Jakby

coś wyczuł, ale nie do końca potrafił to określić.

Głód był potworny. Doskwierał mu mocno już wtedy, gdy mógł liczyć najwyżej na puszkę buraków. Ale samo istnienie świeżych ryb... Wyobrażał sobie ich zapach. I smak. Ślinił się, a jego żołądek...

– Jeśli dacie mi trochę ryb, zdradzę wam pewną tajemnicę – odezwał się nagle.

Quinn podskoczył.

Robal wyłączył swój kamuflaż.

Quinn sięgnął po jeden z noży i krzyknął:

– Strażnicy! Strażnicy, tutaj!

Robal podniósł ręce, pokazując, że nie ma broni.

– Jestem tylko głodny. Po prostu głodny.

– Jak się tu dostałeś?

– Chcę ryby. Dajcie mi trochę ryby – błagał. – Wszystko wam powiem. Powiem, co robi Caine. Jestem taki głodny.

Quinn nerwowo rozejrzał się po pomieszczeniu. Do środka wpadło dwóch uzbrojonych chłopaków. Popatrzyli na Quinna, jakby oczekując rozkazów, po czym bez szczególnego przekonania wymierzyli broń w intruza.

– O rany! O rany! – jęknął Quinn.

– Chcę tylko coś zjeść – wyjaśnił Robal. Zaczął płakać. Szlochał niczym małe dziecko. – Dajcie mi odrobinę ryby.

– Muszę cię zaprowadzić do Sama – stwierdził Quinn niepewnie.

Robal padł na kolana.

– Ryby! – błagał.

– Dajcie mu kawałek – polecił Quinn, podjąwszy decyzję. – Jeden.

Niech ktoś z was pójdzie sprowadzić Sama i Astrid. Niech oni zdecydują, czy dać temu gnojkowi coś więcej.

Jeden ze strażników wyszedł.

Quinn popatrzył na zapłakanego Robala.

– Chłopie, wybrałeś zły moment na zmianę stron.

Jego deska surfingowa wciąż stała oparta o pralkę w maleńkim schowku przy kuchni. Model Channel Island MBM.

Sam chciał jej dotknąć, ale nie był w stanie. Symbolizowała wszystko, co stracił w ETAP-ie.

Piankowy kombinezon wisiał na kołku. Puszka z woskiem stała na chwiejnej półce obok proszku do prania i płynu zmiękczającego.

Kula światła unosiła się w jego pokoju. Kołysała się w powietrzu obok szafy.

Od dawna nie odwiedzał swojego starego domu. Zapomniał o tym świetle.

Dziwne.

Przełożył przez nie dłoń. Niewiele poczuł.

Pamiętał pierwszy raz, gdy to się stało. Bał się ciemności. Wtedy. Gdy był Samem Temple, zwykłym dzieciakiem, który po prostu lubił surfować.

Nie. To też nie była prawda. Już wcześniej przestał być zwykłym dzieciakiem. Został Samem Autobusem, siódmoklasistą z dobrym refleksem, który chwycił za kierownicę, gdy kierowca dostał ataku serca.

Tak było.

Był też chłopakiem, który spanikował, nie rozumiejąc, że kłótnia matki z ojczymem to nic wielkiego. Myślał, że ojczym uderzy matkę. Gdy więc w chwili paniki stworzył światło, które nie gasło, był już Samem Autobusem i kimś, kto spalił rękę dorosłego mężczyzny.

Nie jakimś pierwszym lepszym nastolatkiem.

Nienawidził tego domu i tego pokoju. Po co je odwiedził?

Bo wszyscy wiedzieli, że Sam nienawidzi tego miejsca, więc nie będą go tu szukać.

Rzeczy, które miał w pokoju – ubrania, książki, stare zeszyty, zdjęcia, które kiedyś zrobił podczas surfowania wodoodpornym aparatem – nic dla niego nie znaczyły. Jakby należały do kogoś innego. Nie były jego. Już nie.

Usiadł na skraju łóżka, czując się jak intruz. Dziwne wrażenie, bo spośród różnych miejsc, w których przebywał w ciągu trzech ostatnich miesięcy, tylko do tego miał prawo.

Popatrzył na kulę światła.

– Wyłącz się – powiedział.

Kula nie zareagowała.

Uniósł ręce, skierował je w stronę światła i pomyślał jedno słowo: ciemno.

Blask zniknął.

Pokój pogrążył się w mroku. Tak wielkim, że Sam nie widział własnej dłoni. W całym mieście dzieciaki siedziały w ciemnościach, tak jak on. Pomyślał, że mógłby zrobić obchód i stworzyć małe kule światła w każdym domu. Sam-elektryk.

Nie bał się już ciemności. Zdziwił się, gdy zdał sobie z tego sprawę.

Mrok wydawał się teraz niemal przytulny. Bezpieczny. W ciemności nikt go nie widział.

W głowie miał listę, która ciągle się przewijała. Słowa i zdania. Jedno po drugim. Każde oznaczało coś, co powinien zrobić.

Zębaki. Caine i elektrownia. Mały Pete i jego potwory. Jedzenie. Zil i Hunter. Lana i... coś tam. Woda. Jack. Albert.

To były rzeczy najważniejsze. Wokół nich uwijały się setki drobniejszych, niczym kolonia szerszeni. Bójki. Psy i koty. Wybite okna. Trawa. Benzyna, którą należało racjonować. Nagromadzone śmieci. Zapchane toalety. Mycie zębów. Pijące dzieciaki. Cisza nocna. Wymioty Mary. Papierosy i trawka.

Sprawy, którymi trzeba się zająć. Decyzje, które należy podjąć.

Nikt nie słucha.

A co z Astrid?

I co z Quinnem?

Co z dzieciakami, coraz częściej mówiącymi o tym, że opuszczą ETAP, gdy nadejdzie „wielka piętnastka"?

Wszystko wirowało w jego głowie, raz za razem, w kółko i w kółko. Siedział w ciemnościach na krawędzi łóżka. Chciało mu się płakać. Właśnie na to miał największą ochotę. Ale nie było nikogo, kto mógłby podejść, poklepać go po ramieniu i powiedzieć, że będzie dobrze.

Nikogo. I nie będzie dobrze.

Wszystko się rozpadało.

Wyobraził sobie siebie przed sądem. Kamienne twarze, gromiące go wzrokiem. Oskarżenia. Pozwoliłeś im głodować, Sam. Pozwoliłeś, by normalni zwrócili się przeciwko odmieńcom.

Proszę opowiedzieć o śmierci E. Z. , panie Temple.

Proszę powiedzieć, co pan zrobił, by uratować dzieci w elektrowni.

Proszę opowiedzieć, jak nie zdołał pan znaleźć wyjścia z ETAP-u.

Proszę powiedzieć, dlaczego, gdy mur ETAP-u runął, znaleźliśmy zwłoki dzieci w ciemnościach.

Musiały się żywić szczurami, panie Temple.

Mamy dowody na przypadki kanibalizmu.

Proszę to wyjaśnić, panie Temple.

Sam usłyszał ciche kroki w salonie. Oczywiście. Jedna osoba widziała, gdzie się ukrył.

Drzwi pokoju otworzyły się ze skrzypnięciem. Światło latarki odnalazło go w mroku. Zmrużył oczy.

Latarka zgasła. Dziewczyna podeszła bez słowa i usiadła przy nim. Przez bardzo długi czas żadne z nich się nie odzywało. Siedzieli obok siebie. Stykali się nogami.

– Żal mi samego siebie – stwierdził.

– Czemu?

Dopiero po chwili zrozumiał, że żartowała. Znała listę w jego głowie nie gorzej niż on sam.

– Niezależnie od tego, jaką to ważną rzecz przyszłaś mi powiedzieć... – zaczął. – Po prostu tego nie rób, dobra? Jestem pewien, że to sprawa życia i śmierci. Ale nic nie mów.

Wyczuł jej wahanie. Z pewnością nastąpił jakiś nowy kryzys. Zdarzyło się coś, co bezwzględnie wymagało uwagi Sama Temple, jego decyzji, przywództwa.

Nie dbał o to.

Astrid milczała. Zbyt długo. Zdawała się jednak kołysać w przód i w tył, odrobinę. Miał wrażenie, że słyszy jej szept.

– Co robisz? – spytał.

– Modlę się.

– O co?

– O cud. Wskazówkę. Jedzenie.

Westchnął.

– Jakie jedzenie?

– Kanapkę z Quiznos. Z indykiem, bekonem i guacamole.

– Tak? Jeśli bóg da ci tę kanapkę, dostanę gryzą?

– Nie ma mowy. Sam się módl o swoje jedzenie.

– Trzysta dzieciaków modli się o jedzenie. A jednak go nie mamy. Trzysta dzieciaków modli się o swoich rodziców. I żeby to wszystko się skończyło.

– Tak – przyznała. – Nasza wiara wystawiona została na próbę.

– Jeśli Bóg istnieje, ciekawe, czy siedzi w ciemnościach na brzegu swojego łóżka i zastanawia się, w jaki sposób wszystko zepsuł.

– Może – odrzekła i zaśmiała się.

Samowi nie było do śmiechu.

– Tak? No to diabła z twoim Bogiem!

Wziął gwałtowny wdech. Sprawiło mu to satysfakcję. Dobrze. Niech dziewczyna dozna szoku. Takiego szoku, że sobie pójdzie i pozwoli mu siedzieć samotnie w ciemnościach.

Przez dłuższą chwilę milczeli. W końcu Astrid wstała, zrywając miły fizyczny kontakt, który się między nimi wytworzył.

– Nie chcesz o tym słyszeć – powiedziała – ale nie mogli cię znaleźć,

więc znaleźli mnie. A teraz ja znalazłam ciebie.

– Naprawdę nic mnie nie obchodzi – ostrzegł.

Ona jednak nie przerywała.

– Robal przeszedł na naszą stronę. Wykonywał zadanie dla Caine'a. Mają tam dziewczynę, odmieńca, która widzi sny, i Caine chciał, żeby Robal zabrał ją do jakiejś kopalni w górach. Do jakiegoś potwora.

– Tak? – bąknął Sam. Nie żeby go to ruszało. Po prostu z uprzejmości.

– Pojawił się też Cookie. Musiał wracać piechotą do miasta. Szedł nocą. Przyniósł list od Lany.

Nic. Nic go to nie obchodziło.

Astrid siedziała przez chwilę w ciszy, a potem dodała:

– Robal mówi, że nazywają to gaiaphage. Lana nazywa to Ciemnością.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Nie interesuje mnie nic, Astrid. Sama się tym zajmij. Pomódl się do Jezusa, może On ci pomoże.

– Wiesz, nigdy nie uważałam, że jesteś doskonały. Wiem, że łatwo wpadasz w złość. Ale nie miałam pojęcia, że możesz być podły.

– Jestem podły? – Zaśmiał się gorzko.

– Podły. Tak, to było podłe.

Mówili coraz głośniej.

– Jestem podły? To najgorsze, co możesz powiedzieć mi w twarz?

– Jesteś podły i rozczulasz się nad sobą. Teraz lepiej?

– A jaka ty jesteś, Astrid? – wykrzyknął. – Zadowolona z siebie i przemądrzała! Wyciągasz swój palec i mówisz mi: „Ej, Sam, ty

podejmujesz decyzje i ty obrywasz po uszach. "

– Więc to moja wina? Nie ma mowy. Nie ja cię wybrałam.

– Właśnie, że tak. Ty mnie w to wpakowałaś. Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Wykorzystałaś mnie do ochrony małego Pete'a. Wykorzystujesz mnie, żeby wszystko było po twojemu. Manipulujesz mną, kiedy tylko masz ochotę.

– Palant z ciebie, wiesz?

– Wcale nie, Astrid. Wiesz, kim jestem? Kolesiem, przez którego giną ludzie – powiedział cicho.

Po chwili ciągnął:

– Głowa mi pęka. Nie ogarniam już tego umysłem. Nie mogę tego robić. Nie powinienem pełnić tej funkcji, jestem dzieckiem, powinienem uczyć się matematyki czy coś. Włóczyć się. Oglądać telewizję.

Jego głos się wzmagał, coraz wyższy i głośniejszy, aż w końcu przeszedł w krzyk.

– Czego ode mnie chcesz? Nie jestem ojcem małego Pete'a. Nie jestem ojcem wszystkich. Czy czasem zastanawiasz się przez chwilę, o co mnie ludzie proszą? Wiesz, czego się ode mnie domagają? Wiesz? Chcą, żebym zabił swojego brata i z powrotem zapalił światło. Chcą, żebym zabijał dzieciaki! Mam zabić Drake'a. Zabić Dianę. Narazić naszych na śmierć.

– O to proszą. Dlaczego nie, Sam? Dlaczego nie robisz tego, co musisz zrobić? Może powiesz im, żeby dali się zębakom pożreć żywcem? Może każesz Ediliowi wykopać na placu jeszcze kilka dołów?

Nie krzyczał już, tylko łkał:

– Mam piętnaście lat. Piętnaście lat.

Usiadł ciężko na brzegu łóżka.

– O mój Boże, Astrid. Mam te wszystkie rzeczy w głowie. Nie mogę się ich pozbyć. Zupełnie jakby w mojej głowie żyły jakieś okropne zwierzęta, których nigdy stamtąd nie wyrzucę. Tak źle się z tym czuję. To obrzydliwe. Chce mi się wymiotować. Chcę umrzeć. Chcę, żeby ktoś strzelił mi w głowę i żebym nie musiał już o tym wszystkim myśleć.

Astrid znalazła się przy nim, objęła go. Wstydził się, ale nie mógł powstrzymać łez. Szlochał jak wtedy, gdy był małym dzieckiem i przyśnił mu się koszmar. Nie panował nad tym. Szlochał.

Spazmy stopniowo spowolniły. Potem ustały. Jego urywany oddech znów stał się miarowy.

– Cieszę się, że światło się nie paliło – powiedział. – Wystarczy, że słyszałaś. Rozpadam się na kawałki – dodał.

Astrid nie odpowiadała, tylko przytulała go mocno. A po bardzo długim, jak się zdawało, czasie, Sam łagodnie się od niej odsunął.

– Słuchaj. Nikomu nie mów...

– Nie. Ale, Sam...

– Proszę, nie mów mi, że wszystko w porządku – powiedział. – Nie bądź już dla mnie miła. Nie mów nawet, że mnie kochasz. Wystarczy drobiazg i znów pęknę.

– Dobrze.

Wydał z siebie ciężkie westchnienie. Potem jeszcze jedno. W końcu przemówił:

– Dobra. Dobra. Powiedz mi, co jest w tym liście od Lany.

Rozdział 33

7 GODZIN, 58 MINUT

Hunter nawet nie przypuszczał, że można odczuwać taki głód. Był głodny od bardzo dawna, żywiąc się mazistymi, pozbawionymi smaku paskudztwami, które wydawali w sklepie Ralph's. Trzy puszki brei dziennie. Tak mówiły o tym dzieciaki. Chociaż czasem używały mocniejszego słowa niż „breja".

Teraz jednak nawet to już minęło. Dni, gdy dostawał trzy puszki brei, jawiły się jako stare dobre czasy.

Gdy zostawił Ducka, kumple Zila zauważyli go i ścigali. Ledwo uciekł. Aby im się wymknąć, musiał wydostać się poza miasto.

Przemknął przez autostradę. Biegł, przerażony, czując, że go gonią, nawet gdy już nie gonili. Miał wrażenie, że Zil i jego zbiry mogą go złapać lada chwila. A wtedy... Starał się nie myśleć, co wtedy.

To wydawało się szalone. Niemożliwe. Zil nigdy nie był jego najlepszym przyjacielem, ale przecież mieszkali razem. Byli kumplami. Kolegami, którzy razem obejrzą mecz, pogapią się na dziewczyny i tak dalej. Zil, on, Harry i...

I, oczywiście, to właśnie był problem: Harry.

Nie chciał zrobić mu krzywdy. Tak naprawdę to nie była jego wina. Prawda?

Prawda?

Przemknął przez autostradę, jakby przekraczał jakąś granicę. Jakby przechodził z jednego stanu do drugiego. Po jednej stronie Perdido

Beach, po drugiej coś innego.
Z początku myślał, że pójdzie do Coates. Ale akademia nie stanowiła odpowiedzi na żadne z pytań, które przychodziły mu do głowy. W Coates byli Drake i Caine, a także ta zwodnicza wiedźma, Diana. Hunter widział Drake'a podczas bitwy w Święto Dziękczynienia. Wtedy jeszcze nie wiedział, że drzemie w nim moc. Był zwykłym gapiem, głównie plączącym się pod nogami tym, którzy naprawdę walczyli. Stał z szeroko otwartymi oczami i z najczystszym przerażeniem patrzył, jak Sam strzela potężnymi strugami ognia ze swoich rąk, a Caine unosi obiekty oraz ludzi i ciska nimi wokół.
I kojoty. One też brały w tym udział.
Ale to Drake prześladował go w sennych koszmarach. Biczoręki – tak się nazwał, całkiem odpowiednio. Lecz to nie zmieniona w bicz ręka najbardziej przerażała Huntera. Chodziło o dziką brutalność tego chłopaka. O szaleństwo.
Nie. Nie do Coates. Nie pójdzie tam.
Nie mógł iść donikąd.
Resztę dnia spędził w ukryciu, w jednym z opuszczonych domów, przycupniętych u podnóża wzgórz.
Nie spał dobrze. Strach i głód uniemożliwiały zdrowy sen.
Powiedział sobie, że jeśli za dwa dni wciąż będzie trwał w takiej desperacji, ma rozwiązanie. Może nie najlepsze, ale jakieś. Za dwa dni skończy piętnaście lat. To był moment „puff', wielkiego wypadu. Pożegnania z ETAP-em.
Wiedział, co zrobić, by przetrwać, znał metodę, by pozostać w ETAP-ie, zwalczyć pokusę. Ale słyszał też, że ostatnio coraz więcej

dzieciaków mówiło: dajmy temu spokój, w piętnaste urodziny stąd spadam.

Podobno w decydującej chwili kusiło cię twoje największe pragnienie. Osoba, za którą tęskniłeś najbardziej. Jeśli umiałeś się temu oprzeć, zostawałeś. Jeśli się poddałeś... no właśnie. Nikt nie miał bladego pojęcia, co się wtedy działo.

Hunter wiedział, co by go skusiło. Cheesburger. Albo kawałek pizzy. Nie słodycze, tu nie chodziło o słodycze. Już nie. Teraz liczył się w miarę treściwy posiłek.

Gdyby jakiś demon przyszedł do niego z żeberkami z Applebee's, bez wątpienia by po nie sięgnął, nie oglądając się na konsekwencje. Oddałby życie za podwójnego hamburgera z In-N-Out. Jedyna wątpliwość dotyczyła tego, czy demon pozwoliłby mu zjeść na miejscu, czy przeniósłby go w niebyt – wciąż głodnego.

Ukrywał się w domu całą noc i przez większą część poranka, bojąc się wyjść na zewnątrz. Ale choć poświęcił dużo czasu na poszukiwania, nie znalazł niczego do jedzenia. Niczego. Dom został doszczętnie wyczyszczony z żywności. Wszystkie szafki stały otworem, podobnie jak lodówka, co stanowiło widomy znak, że zjawili się tu zbieracze od Alberta.

Nic-do-jedzenia.

Hunter stał bezmyślnie w salonie, pozbawiony nadziei. Patrzył na ogródek za domem i myślał o trawie oraz chwastach. W końcu chwasty to rośliny. Zwierzęta je zjadają. Przynajmniej napełniłyby mu żołądek.

Trawa i chwasty. Gotowane. Dałby sobie radę.

Potem zobaczył sarnę.

Samicę. Bardzo czujną, z pyskiem, który wyglądał uroczo i głupio zarazem. Zamrugała wielkimi, czarnymi oczami.

Sarna. Wielkości cielaka.

Ruszył do tylnych drzwi, zanim *zdążył* pomyśleć, co robi i dlaczego.

Był szybki. Otworzył drzwi na tylny ganek. Zaskoczona sarna rzuciła się do ucieczki. Hunter uniósł ręce i pomyślał: płoń.

Zwierzę nie padło martwe. Wydało z siebie piskliwy dźwięk, chłopak nawet nie wiedział, że sarny są do niego zdolne. Biegło dalej, ale powłócząc jedną nogą.

Wycelował znowu i pomyślał: płoń.

Sarna potknęła się. Dalej przebierała przednimi nogami, tylne jednak były unieruchomione. Runęła na pysk.

Podbiegł do niej. Wciąż żyła. Miotała się. Popatrzyła na niego dużymi, łagodnymi oczami i przez chwilę się zawahał.

– Przepraszam – powiedział.

Wymierzył dłonie w jej głowę. Po kilku sekundach przestała wierzgać. Ciemne oczy zaszły mgłą.

Pachniała jak stek z rusztu.

Hunter zalał się łzami. Szlochał, nie panując nad sobą. To samo zrobił Harry'emu. Biedny Harry. A teraz to nieszczęsne zwierzę, które samo pewnie też było głodne.

Nie chciał jeść sarny. To było szaleństwo. Jeszcze przed minutą żyła i skubała chwasty. Żyła. A teraz była martwa. Nie tylko martwa, lecz i częściowo upieczona.

Powiedział sobie, że jej nie zje. Ale już w chwili, gdy to sobie mówił,

czuł, że nie może... nie chce... Poszukał w kuchni najlepszego noża.

Orsay Pettijohn nie łaknęła już snów. Łaknęła jedzenia.
Od przybycia do Coates jadła ledwie tyle, by przeżyć. Sytuacja stała się rozpaczliwa. Dzieciaki chodziły do okolicznych lasów w poszukiwaniu grzybów, chwytały wiewiórki i ptaki. Pewien chłopak zmajstrował pułapkę i zdołał upolować szopa. Szop pogryzł chłopaka, zanim ten zatłukł go na śmierć kawałkiem zbrojeniowego drutu.
Dziewczyna, o imieniu Allison, zebrała miskę grzybów. Przekonywała, że w wysokiej temperaturze staną się bezpieczne. Piekła je w kuchence mikrofalowej, aż stały się gumowate, ale pachnące.
Orsay czuła ich woń, która doprowadzała ją niemal do szału. Jeden z chłopaków zaatakował Allison, pobił ją i ukradł grzyby, a dziewczyna mogła tylko płakać i kląć.
Po kilku minutach chłopak zaczął wymiotować. Potem ogarnął go szał: krzyczał do różnych rzeczy, których wcale nie było. Po chwili umilkł. Od tamtej pory nikt nie wszedł do jego pokoju, by sprawdzić, czy żyje.
Kilkoro dzieciaków nazbierało trawy i chwastów, by je ugotować. Nie rozchorowały się za bardzo, tylko trochę. Ale też nie zaspokoiły łaknienia.
Dzieciaki były chude. Miały zapadnięte policzki. Nie wyglądały jeszcze jak ofiary głodu, bo prawdziwy głód trwał od paru dni. Wkrótce jednak – Orsay była pewna – spuchną im brzuchy, włosy staną się suche, pojawi się też śmiertelne zrezygnowanie i letarg. Przygotowała kiedyś do szkoły pracę na temat głodu, nie przypuszczając, że kiedyś

sama go doświadczy.

Coraz więcej dzieciaków rzucało ponure dowcipy o ludożerstwie.

Orsay zastanawiała się, w którym momencie do nich dołączy.

Chyba że sama miałaby stać się posiłkiem.

Leżała w swoim domku, w lesie, za szkołą, oglądając ściągnięty kiedyś z sieci program telewizyjny, który teraz zdawał się pochodzić z innej planety. Poprzedzała go reklama Doritos. Bohaterowie bez przerwy coś jedli. Nie mogła uwierzyć, że taki świat istniał kiedykolwiek naprawdę.

Nagle Orsay zdała sobie sprawę z obecności kogoś innego. Nie widziała go ani nie słyszała. Poczuła tylko zapach.

Pachniał... rybami. Zaburczało jej w brzuchu, w ustach poczuła pełno śliny.

– Kto tu jest? – zawołała z przestrachem.

Robal ujawniał się powoli. Wyłonił się z tła nędznego pokoju Mose'a.

– Czego chcesz? – spytała, teraz już nie bojąc się Robala, gdy stwierdziła, że to on. Zapach, tłusty, smakowity aromat ryby, sprawił, że śliniła się niczym głodny pies.

– Chcę, żebyś coś zrobiła – oznajmił.

– Caine cię przysłał?

Zawahał się. Spojrzał w bok i na kilka sekund znowu wtopił się w tło. Potem pojawił się z powrotem. Twarz wykrzywił mu wyraz zdecydowania, zupełnie nie w jego stylu. Ostrożnie obejrzał się przez ramię, jakby sądził, że jakaś inna wersja jego samego czai się tam i nasłuchuje.

– Mają ryby.

– Czuję – zaskamlała.

– Przyniosłem ci trochę – oznajmił.

Poczuła, że zaraz zemdleje.

– Mogę?

– Najpierw obiecaj, że zrobisz, co powiem.

Orsay wiedziała, że Robal to mała szuja. Nie miała pojęcia, czego od niej zażąda. Wiedziała też jednak, że się nie oprze. Dla jedzenia była gotowa zrobić właściwie wszystko. Ryba była o wiele lepsza od tego rodzaju mięsa, nad którym zastanawiały się dzieciaki.

– Co mam zrobić? – spytała.

– Musimy się przejść. Potem zrobisz, co do ciebie należy. Chodzi o jakiegoś stwora czy coś. Chcą, żebyś obejrzała jego sny. Sprawdziła, czego chce.

– Ryba – szepnęła nagląco. – Masz ją ze sobą?

Wyciągnął z kieszeni bluzy z kapturem foliowy woreczek. W środku widniało białe, pokruszone i rozgniecione rybie mięso. Orsay sięgnęła po nie, drżącymi palcami rozerwała folię i jadła niczym zwierzę, wciskając usta do torebki.

Nie przerywała, aż wywróciła torebkę na drugą stronę i wylizała ją do czysta.

– Masz więcej? – spytała błagalnym tonem.

– Najpierw zrób, co do ciebie należy. Potem wrócimy do miasta i pogadamy.

– Robimy to dla dzieciaków z Perdido Beach? – spytała.

Prychnął.

– Robimy to dla tego, kto złoży najlepszą propozycję. Teraz ludzie Sama mają trochę ryb. Więc trzymamy z nimi. Ale gdyby Drake jakoś nas dorwał, to cały czas byliśmy z nimi. Rozumiesz?

– Jestem za słaba, żeby daleko iść – stwierdziła.

– Musimy dojść tylko do autostrady. Tam czeka koleś z samochodem.

Rozdział 34

6 GODZIN, 03 MINUTY

Edilio wiózł tego małego, wrednego mutanta, Robala, i dziewczynę, którą ten przyprowadził. Nie cieszył się, że musi to robić. Chciał raczej zostać w mieście. Noc mogła ściągnąć kłopoty. A Sam... no cóż, nie zachowywał się już jak Sam.

Sam przypominał zombie, gdy ostatniej nocy słuchał wyznania Quinna i Alberta.

A potem, rankiem, swoją historię opowiedział Robal. Różne złe wieści, oplecione pełnymi skruchy wyznaniami, a Sam tylko patrzył. Na szczęście była też Astrid.

Sam, Edilio, Brianna, Taylor, Quinn, Albert, Astrid – cała siódemka siedziała w salonie, słuchając, jak Robal na przemian płaszczy się i skomli.

Potem Astrid odczytała list Lany.

Sam,

Mam zamiar zabić Ciemność. Wyjaśniłabym, co to znaczy, ale nawet nie wiem. Wiem tylko, że to najstraszniejsze, co możesz sobie wyobrazić. Taki opis raczej niewiele mówi.

Nie miałam wyboru. To cos wbiło we mnie swoje haki. Siedziało mi w głowie. Wzywało mnie od wielu dni. Potrzebuje mnie do czegoś. Nie wiem, do czego. Ale o cokolwiek chodzi, nie mogę na to pozwolić.

Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Jeśli nie, zaopiekuj się

Patrickiem. I Cookiem też.

Lana

– Wiedziałem, że ona ma jakieś kłopoty – odezwał się Quinn z poczuciem winy w głosie. – Ale o tym nie miałem pojęcia. Znaczy... to jakby Lana wykorzystała mnie i Alberta, by wrócić na pustynię.

– To dość wygodna wymówka dla twojego własnego cwaniactwa – warknęła Astrid.

– Powiedziała mi o tym złocie – stwierdził z namysłem Albert, w najmniejszym stopniu nieprzestraszony gniewem Astrid. – To była dobra propozycja. Więc na to poszedłem. Ale pomysł wyszedł od niej. Może należy się zastanowić, czy Lana nie współpracuje z tym stworem.

– Nie – powiedział Quinn.

Wszyscy czekali, aż to wytłumaczy. Wzruszył ramionami.

– Nie – powtórzył. A potem dorzucił: – Nie sądzę.

– Potrzebujemy Lany – odezwał się Sam, przerywając w końcu posępne milczenie. – Właściwie nie ma znaczenia, czy pomaga temu czemuś. Czy jest przyjaciółką, czy nie, potrzebujemy jej.

– Zgoda – powiedział Albert, jakby rozmowa toczyła się tylko między nim a Samem, jakby wyłącznie oni dwaj debatowali nad tym, co robić. Jak na kogoś przyłapanego na złamaniu wielu różnych zasad, Albert nie wydawał się zbyt przejęty.

Ale też czym miałby się przejmować, rozmyślał Edilio. Miał żywność. Teraz żywność oznaczała władzę. Nawet Astrid tak naprawdę nie napadała na Alberta, chociaż zanadto go nie lubiła.

– Musimy wiedzieć, czym jest ten stwór – stwierdził Albert.

Sam zerknął na Robala, któremu rozkazano, żeby pozostał widzialny.

– O co chodzi z tą całą Orsay?

Robal wzruszył ramionami.

– Widzi sny innych, zdaje się.

– I Caine chce, żeby szpiegowała tego stwora. – Niemal wbrew sobie Sam coraz bardziej się angażował. Edilio, ku swej ogromnej uldze, wręcz widział trybiki, obracające się coraz szybciej w głowie przyjaciela. – Jeśli Caine tego chce, to my też możemy chcieć – powiedział Sam, a pozostali po kolei pokiwali głowami. – Albert ma rację. Lepiej wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

I właśnie w ten sposób Edilio został szoferem Robala i dziwnej dziewczyny.

– Mówiłaś, że jak się nazywasz? – spytał Edilio, nawiązując z dziewczyną kontakt wzrokowy w lusterku.

– Orsay.

Pewnie była całkiem niebrzydka, w normalnych warunkach. Teraz jednak wyglądała na przerażoną. I wymizerowaną. Włosy miała w zupełnym nieładzie. I chociaż Edilio nie należał do malkontentów, któreś z nich – a może oboje – śmierdziało i to nie tylko tak, jak ryby Quinna i Alberta.

– Skąd jesteś, Orsay?

– Mieszkałam w leśniczówce. W Stefano Rey.

– Aha. To chyba fajowo.

Najwyraźniej się z tym nie zgadzała. Po chwili stwierdziła:

– Masz broń.

Edilio zerknął na pistolet maszynowy na sąsiednim siedzeniu. Dwa pełne magazynki grzechotały na każdym wyboju.

– Tak.

– Jeśli zobaczymy Drake'a, zastrzel go.

W zasadzie się z tym zgadzał. Ale i tak musiał spytać:

– Dlaczego?

– Widziałam jego sny – odparła. – Widziałam, co w sobie nosi.

Zjechali z drogi i kierowali się mniej więcej w stronę wzgórz. Znaleźli chatę Jima Pustelnika – Edilio miał dobry zmysł orientacji – ale żadne z nich nie było wcześniej w sztolni. Kierowali się tylko wskazówkami, które Robal dostał od Caine'a. Słońce zachodziło za wzgórza, nadając im złowieszczą, ciemnofioletową barwę. Wkrótce zapadnie zmrok. Nie istniał nawet cień szansy, by Orsay zdążyła wykonać swoje zadanie i by wrócili do miasta przed nocą.

– Co dokładnie masz zrobić? – spytał Edilio.

– O co pytasz?

– Znaczy, jesteś Odmieńcem, tak? Robal nie wyrażał się zbyt zrozumiale.

Robal podniósł wzrok, słysząc swoje przezwisko. Potem, jakby w odpowiedzi, zniknął.

– Widzę sny. Mówiłam ci – odparła Orsay i wyjrzała przez okno.

– Tak? Moich wolałabyś nie oglądać. Są dość nudne.

– Wiem – powiedziała dziewczyna.

Edilio był zaskoczony.

– Słucham?

– Dawno temu. Ty, Sam, Quinn i dziewczyna o imieniu Astrid. I jeszcze ta druga. Widziałam was, jak szliście przez las.

– Byłaś tam? – zdziwił się Edilio. Wydął wargi, niezadowolony, że jakaś dziewczyna zaglądała mu w sny. Twierdził, że jego sny są nudne. Na ogół były. Ale czasami, cóż, nie chciałby ich pokazywać obcej osobie. Zwłaszcza dziewczynie.

Zaczął się wiercić na siedzeniu.

– Nie przejmuj się – powiedziała Orsay z cieniem uśmiechu. – Przywykłam do... no wiesz. Wszystko jedno.

– Mhm – mruknął.

Jeep podskakiwał i trząsł się, gdy jechali kamienistą dróżką. Płócienny dach był zaciągnięty i mocno przypięty. Wokół unosiły się kłęby pyłu i Edilio nie ufał Robalowi, który mógł wyskoczyć i po prostu zniknąć.

No i pozostawały kojoty. Edilio miał je na oku.

Zbliżały się, schodząc ze wzgórz. Była tam fałda terenu, utworzona przez grań, dokładnie taka, jaką Caine zaznaczył na mapie dla Robala.

W wyglądzie tego miejsca kryło się coś złowieszczego. Cienie wydawały się głębsze, niż by wynikało z pory dnia.

– Nie jestem tym zachwycony – powiedział w przestrzeń.

– Masz rodzinę? – spytała Orsay.

Pytanie zaskoczyło Edilia. Ludzie na ogół unikali rozmów o rodzinie. Nikt nie wiedział, co się stało z rodzinami.

– Jasne.

– Kiedy się boję, próbuję myśleć o swoim tacie – przyznała.

– Ja nie – odparł Robal.

– A o mamie? – spytał Edilio.

– Nie.

– Bo ja myślę o swojej mamie. W mojej głowie, wiecie, jest bardzo piękna. Znaczy, nie wiem, czy taka była... jest... w rzeczywistości, nie? Ale tutaj... – Postukał się w głowę. – Tutaj jest piękna. – Klepnął się w pierś. – Tutaj też.

Okrążyli skraj skalnej grani, a tam, w bezlitosnym świetle słońca, ich oczom ukazało się miasteczko duchów. Edilio wdepnął hamulec.

– Czy to wygląda tak, jak opowiadał ci Caine? – spytał Robala.

Ten skinął głową.

– Dobra.

– Caine powiedział: przejść przez miasteczko. Obok budynku, który ciągle stoi. Ścieżką w górę. Do sztolni.

– Mhm – mruknął Edilio. Wiedział, co ma robić. Ale to mu się nie podobało. Wcale nie. Tym bardziej, gdy już tutaj dotarł. Nie należał do osób przesądnych, przynajmniej tak o sobie nie myślał, ale w tym miasteczku duchów kryło się coś bardzo złowrogiego.

Wrzucił bieg w jeepie, jadąc góra dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie chciał się teraz zastanawiać, jak się zmienia koło.

– Nie podoba mi się tu – uznała Orsay.

– Tak. Lepiej tu nie przyjeżdżać na ferie – odrzekł Edilio.

Jechali przez miasteczko.

Obok sypiącego się budynku.

Ścieżka była wąska, ale terenówka jakoś ją pokonywała, choć w ślimaczym tempie.

– Stop! – wykrzyknęła Orsay.

Edilio wcisnął hamulec w podłogę. Zatrzymali się przy wysokim występie skalnym. Gdyby to wszystko rozgrywało się w starym westernie, pomyślał, właśnie tutaj urządzono by zasadzkę.

Podniósł pistolet. Ciężar broni dodawał mu otuchy. Sprawdził, czy pistolet jest zabezpieczony. Kciuk na bezpieczniku. Palec na spuście, tak jak uczył swoich rekrutów.

Nasłuchiwał, ale nie doszedł go żaden dźwięk.

– Dlaczego stanęliśmy? – zwrócił się do Orsay.

– Jesteśmy wystarczająco blisko – szepnęła. – Ja...

Obrócił się na siedzeniu.

– Co jest?

Wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Oczy dziewczyny były szeroko otwarte, białka połyskiwały.

– Co się z nią dzieje? – odezwał się drżącym głosem Robal.

– Orsay. Nic ci nie jest? – spytał Edilio.

Jedyną odpowiedź stanowił jęk, zupełnie nieziemski; przez chwilę Edilio nie zdawał sobie sprawy, że to ona stanowi źródło dźwięku. Zdawał się powstawać w jej piersi, ale był zbyt głęboki, jak na tę delikatną dziewczynę. Przypominał raczej zwierzęcy warkot.

– To wariatka – mruknął Robal.

Zaczęła się trząść. Drżenie narastało, wreszcie przybrało postać spazmów, jak u kogoś poddawanego elektrowstrząsom. Język wysunął jej się z ust, dławiła się.

Ścisnęła język zębami. Próbowała go sobie odgryźć.

– Hej! – Edilio otworzył schowek i wyrzucał wszystko

rozgorączkowanymi palcami, śrubokręt, latarkę, elektroniczny manometr do opon. Złapał manometr i przepchnął się na tylne siedzenie. – Złap ją, trzymaj! – krzyknął do Robala, który zamiast spełnić polecenie, skulił się.

Edilio chwycił Orsay za włosy, bo niczego innego nie mógłby złapać jedną ręką, zacisnął pięść, by trzymać je naprawdę pewnie, szarpnięciem odciągnął jej głowę w tył i wcisnął jej manometr między zęby.

Mocno zagryzła szczęki, tak mocno, że plastikowa obudowa urządzenia pękła. Krew popłynęła jej z ust, ale zęby nie zaciskały się już na języku.

– Trzymaj jej to w ustach! – krzyknął Edilio do Robala.

Tamten tylko patrzył, jak sparaliżowany.

Edilio zaklął głośno.

– Zrób to! – wrzasnął – albo cię zastrzelę!

Robal otrząsnął się z transu i złapał rękami głowę Orsay.

Edilio wrzucił wsteczny i zaczął cofać jeepa, najszybciej jak mógł, w dół ścieżki. Kojoty zauważył dopiero, gdy poczuł lekki wstrząs i usłyszał psi skowyt bólu.

Z jedną ręką na kierownicy, krzycząc ze strachu, wjechał na skarpę. Wrzucił bieg, przejechał parę metrów w przód, znów ze zgrzytem włączył wsteczny i wtedy obok niego pojawił się wielki, warczący pysk. Zęby kojota ociekały śliną i szarpały plastik.

Edilio wycelował byle jak i strzelił. Seria była krótka, może pięć strzałów, lecz wystarczyła, by zmienić głowę kojota w czerwoną mgiełkę.

Zjeżdżali dalej ścieżką. Samochód podskakiwał na wybojach, trząsł się i szarpał. Edilio z trudem trzymał kierownicę.

Nagle znaleźli się na płaskim terenie. Skręcił, gdy dwa kojoty rzuciły się na plastikową osłonę. Siła uderzenia ich ciał była tak duża, że wgniotły tworzywo, uderzyły Edilia w ramię, strąciły jego dłoń z kierownicy i go oszołomiły.

Nogę miał jednak na pedale gazu i wcisnął go teraz w podłogę. Jeep pomknął wprost na budynek. Chłopak chwycił kierownicę, wdepnął hamulec, ostro skręcił, niemal zawrócił na dwóch kołach i z rykiem wyjechał z miasteczka duchów.

Wataha kojotów ścigała ich przez chwilę, po czym odpadła, gdy stało się jasne, że nie ma szans dogonić rozpędzonego pojazdu.

Robal wciąż trzymał głowę Orsay. Dziewczyna jednak wydawała już normalniejsze dźwięki i zdawało się, że prosi o uwolnienie.

– Puść ją – nakazał Edilio.

Robal usłuchał.

Otarła krew wierzchem dłoni. Edilio znalazł ścierkę wśród rupieci w schowku i podał ją dziewczynie.

– Kazał mi odgryźć sobie język – wydyszała w końcu.

– Co? – wypalił Edilio. – Co? Kto?

– On. To coś. Kazał mi odgryźć sobie język, a ja nie mogłam się oprzeć! – wykrzyknęła. – Chciał, żebym nie mogła wam powiedzieć.

– Czego powiedzieć? Czego? – pytał Edilio, zdesperowany i zagubiony.

Orsay splunęła krwią na podłogę jeepa. Znowu otarła usta ścierką.

– Jest głodny – wyjaśniła. – Chce jeść.

– Nas? – jęknął Robal.

Orsay wbiła w niego tępe spojrzenie. A potem – o dziwo – roześmiała się.

– Nie. Nie nas. Au. Mój język.

– A co? Co?

Zignorowała Robala i zwróciła się do Edilia:

– Mamy niewiele czasu – stwierdziła. – Pokarm nadchodzi. Dostarczą go ludzie. Kiedy się naje, stanie się silny i wtedy jej użyje.

– Kogo użyje? – spytał Edilio, z góry znając odpowiedź.

– Nie wiem, jak się nazywa. Dziewczyna. Ta, której dotyk leczy. Może jej użyć, żeby dała mu nogi i ręce. Ciało.

– Teraz jest słaby – dodała. – Ale kiedy dostanie to, czego chce... stanie się tym, czym pragnie się stać... i nigdy go już nie powstrzymacie.

– Głodny w ciemności – zamruczał mały Pete.

Leżał skulony na łóżku, ale jego oczy lśniły niepokojąco.

– Wiem, Petey. Wszyscy jesteśmy głodni. Ale nie zrobiło się jeszcze zupełnie ciemno – powiedziała Astrid znużonym głosem. – Lulu, do łózia. Pora spać.

To była bardzo długa noc i długi poranek. Chciała, by Pete zasnął, tak aby i ona mogła się przespać. Ledwie utrzymywała głowę w pionowej pozycji. W domu było gorąco, bez prądu i z niedziałającą klimatyzacją. Gorąco i duszno.

Załamanie Sama mocno nią wstrząsnęło. Współczuła mu. Ale była też przerażona. Tylko Sam stanowił granicę pomiędzy względnym spokojem Perdido Beach a psychopatyczną brutalnością Caine'a, Drake'a i Diany.

Tylko Sam chronił małego Pete'a, a także Astrid.

Tyle że właśnie się załamywał. Przypuszczała, że to wstrząs pourazowy. Doznawali tego żołnierze, którzy zbyt długo przebywali na froncie.

Wszyscy w ETAP-ie zapewne doznali podobnego wstrząsu. Ale on, jako jedyny, znajdował się w środku każdego gwałtownego starcia, każdej nowej grozy, a w dodatku, nieustannie obarczany był różnymi drobnymi problemami innych. Nie miał ani chwili odpoczynku. Ani chwili przerwy.

Pamiętała, jak Quinn się śmiał, że Sam nie tańczy. Kochała go, ale nie dało się ukryć, że relaks nie przychodził mu zbyt łatwo. Jeśli kiedykolwiek będzie miała okazję, pomoże mu się tego nauczyć.

– Boi się – oznajmił mały Pete.

– Kto?

– Nestor.

Nestor był matrioszką, którą Sam niechcący zmiażdżył.

– Przykro mi, że Nestor się zepsuł. Idź spać, Petey.

Nachyliła się, by pocałować brata w czoło. Oczywiście, nie zareagował. Nie przytulił jej ani nie poprosił, by poczytała mu bajkę, nie powiedział też:

– Hej, wielkie dzięki za opiekę, siostro.

Właściwie mówił tylko o rzeczach w swojej głowie. Zewnętrzny świat znaczył dla niego niewiele albo nic. Dotyczyło to także Astrid.

– Kocham cię, Petey – powiedziała.

– On ją ma – rzekł chłopczyk.

Była już przy drzwiach, gdy dotarło do niej znaczenie ostatniego

stwierdzenia.

– Co?

Pete zamknął oczy.

– Petey. Petey. – Astrid usiadła przy nim i położyła mu dłoń na policzku. – Petey... Czy Nestor do ciebie mówi?

– On lubi moje potwory.

– Petey. Czy... – Nie wiedziała, jak zadać to pytanie. Mózg miała jakby ugotowany. Była bardziej niż wyczerpana. Położyła się obok brata i przytuliła do jego obojętnego ciałka. – Opowiedz mi. Opowiedz mi o Nestorze.

Ale mały Pete już spał. W ciągu kilku sekund usnęła także Astrid. We śnie zaczęła łączyć ze sobą elementy układanki.

Rozdział 35

2 GODZINY, 53 MINUTY

Dwadzieścia jeden godzin bez jedzenia. Ani kęsa.
I nikłe prawdopodobieństwo, by jedzenie jakimś cudem pojawiło się w elektrowni.
Jackowi przestało już burczeć w brzuchu. Teraz miał skurcze. Bóle przychodziły falami. Każdy skurcz trwał około minuty, po czym żołądek rozciągał się w ciągu jakiejś godziny. Potem następowała godzinna, czasem półtoragodzinna przerwa. Gdy jednak ból wracał, był gorszy niż poprzednio. I trwał dłużej.
Zaczęło się po mniej więcej dwudziestu godzinach. Już wcześniej bywał głodny, nawet przez długi czas, ale to było coś innego. Jego ciało nie mówiło już: „ej, zjedzmy coś", tylko: „zrób coś, bo głodujemy".
Nadeszła właśnie nowa seria skurczów. Jack czekał na nie z przerażeniem. Nie znosił bólu zbyt dobrze. A ten doskwierał mu gorzej niż ból nogi. Tamten był zewnętrzny. Ten rozpierał go od środka.
– Rozpracowałeś to już? – spytał Caine. – Masz to, Jack?
Zawahał się. Jeśli powie: „tak", zacznie się następna runda koszmaru. Jeśli zaprzeczy, będą tu tak siedzieć, siedzieć i siedzieć, aż wszyscy umrą z głodu.
Nie chciał przytaknąć. Wiedział już, co Caine zamierza. Nie chciał przytaknąć.
– Mogę to zrobić – stwierdził.
– Możesz to zrobić teraz?

– Mogę wyciągnąć jeden pręt paliwowy ze stosu – odparł Jack.

Caine wbił w niego spojrzenie. Jakby oczekiwał zupełnie innej odpowiedzi.

– Dobra – powiedział cicho.

– Ale na początek muszę zupełnie opuścić pręty regulacyjne. To zatrzyma reakcję, czyli cały prąd będzie wyłączony.

Caine pokiwał głową. Odezwała się Diana:

– To znaczy, że nigdzie nie będzie prądu. Nie tylko w Perdido Beach.

– Chyba że ktoś ponownie uruchomi reaktor – dodał Jack.

– Tak – powiedział Caine, ale rozkojarzony, jakby głowę miał gdzie indziej.

– Mogę wyciągnąć pręt paliwowy. Ma cztery metry długości. Zawiera grudki uranu-235. Wygląda jak bardzo długa i cienka puszka, wypełniona kamykami. Jest niezwykle radioaktywny.

– Czyli zamierzasz nas wszystkich zabić? – spytała Diana.

– Nie. Do transportu prętów używa się wyłożonych ołowiem pojemników. Nie są w stu procentach skuteczne, ale powinny osłonić nas wystarczająco długo. Chyba że...

– Chyba że? – powtórzył Caine.

– Chyba że pojemnik ulegnie uszkodzeniu. Na przykład go upuścisz.

– Co się wtedy stanie? – drążyła Diana.

– Wtedy dostaniemy potężną dawkę promieniowania. Jest niewidzialne, ale to zupełnie jakby ktoś strzelał w ciebie maleńkimi pociskami. Robią w ciele miliony maciupkich dziurek. Zaczynasz chorować. Wypadają ci włosy. Wymiotujesz. Puchniesz. Umierasz.

Nikt się nie odezwał.

– Więc go nie upuścimy – powiedział w końcu Drake.

– Tak. Będziemy go nieśli całymi kilometrami i nie upuścimy – odparła Diana. – Atakowani przez Sama, Dekkę i Briannę. Nie widzę najmniejszego problemu.

Odezwał się Jack:

– Im jesteś bliżej, tym niebezpieczniejsze jest promieniowanie. Jeśli znajdujesz się w małej odległości, umierasz szybko. Jeżeli trochę dalej – umierasz wolniej. Jeszcze dalej i możesz pozostać przy życiu, najwyżej dostaniesz raka. A jeszcze dalej nic ci nie grozi.

– Wybieram jeszcze dalej – rzuciła szyderczo Diana.

– Ile czasu zajmą przygotowania? – spytał Caine.

– Trzydzieści minut.

– Jest już dość późno, powinniśmy zaczekać, aż zapadnie zmrok – stwierdził Caine. – Jak wyjdziemy?

Jack wzruszył ramionami.

– Za reaktorem jest rampa załadowcza.

Caine opadł na krzesło. Przygryzł paznokieć kciuka. Drake patrzył na niego, nawet nie próbując maskować pogardy.

– Dobra – powiedział w końcu Caine. – Jack, przygotuj wszystko. Drake, trzeba ich zmylić. Odwrócisz uwagę Sama. A potem nas dogonisz.

– Weźmy po prostu ciężarówkę – podsunął Drake.

– Nie możemy jechać drogą wzdłuż morza. Od razu by nas zobaczyli – stwierdził Caine. – Musimy poruszać się w głębi lądu. Na wzgórzach są szlaki. Znajdziemy drogę na autostradę. Przejdziemy na

drugą stronę. A później weźmiemy jakiś samochód i po kryjomu wyjedziemy na pustynię.

– Po kryjomu? A dlaczego? – spytał Drake. – Będziemy mieli uran, nie? Nikt nie odważy się z nami zadzierać! Nie zaryzykuje, że go upuścimy!

– O coś cię spytam, Drake – powiedział Caine. – Gdybyś był Samem i zobaczyłbyś mnie, ciebie, Dianę i Jacka, maszerujących nadmorską drogą z wielkim i niebezpiecznym promieniotwórczym prętem, co byś zrobił?

Drake zmarszczył czoło.

– O, spójrzcie. Drake próbuje myśleć – powiedziała Diana.

– To dlatego ja tu rządzę, a nie ty, Drake. Wyjaśnię to tak, żebyś mógł zrozumieć: gdybym był Samem i zobaczył naszą czwórkę, doszedłbym do wniosku, że nie mogę nas gonić... – Caine uniósł cztery palce. Potem po kolei je zginał. W końcu tylko środkowy palec pozostał wyprostowany.

– Wykończy nas, oszczędzi tylko ciebie, bo to ty będziesz unosił pręt – stwierdził Drake. Zgrzytnął zębami, a jego oczy zalśniły tłumioną wściekłością.

– Więc jeśli wasza trójka chce dzielnie i odważnie stąd wyjść, dajcie mi znać – powiedział Caine, odpowiadając spojrzeniem na gniewny wzrok Drake'a. Potem nachylił się do niego, niemal go obejmując. Przybliżył usta do ucha tamtego i wyszeptał: – Nie myśl, że możesz mnie załatwić, Drake. Jesteś mi potrzebny. W chwili, gdy uznam, że cię nie potrzebuję...

Uśmiechnął się, poklepał go w zapadnięty policzek i z cieniem

dawnej buty powiedział:

– Przetasujemy talię. Sam myśli, że ma wszystkie karty w ręce. Ale my to zmienimy.

– Nakarmimy potwora, który wbił haki w twój mózg – odparła chłodno Diana. – Nie próbuj tego ubarwiać. Nakarmimy potwora i pozostanie nam mieć nadzieję, że okaże wdzięczność, popuszczając smycz.

– Odpuść – poprosił ją. Jego duma wyparowała gdzieś jak kamfora.

Dziewczyna zerknęła z ukosa, by sprawdzić, czy Drake nie usłyszy.

– Robal nie wróci. Wiesz o tym.

Caine przygryzł kciuk. Jackowi przyszła do głowy niepokojąca myśl, że chłopak może z głodu zjeść własny palec.

– Nie mamy pewności – odparł Caine. – Może miał kłopot ze znalezieniem Orsay. Nie zwróciłby się przeciwko mnie.

– Nikt nie jest wobec ciebie lojalny – stwierdziła.

– Drake'a aż świerzbi, żeby cię usunąć. Nikt z Coates nie pędzi ci na pomoc. Jest tylko jedna osoba, której naprawdę na tobie zależy.

– Ty?

Nie odpowiedziała.

– Wiem, to coś ma cię w garści. Widziałam. Ale ten twój potwór też nie jest wobec ciebie lojalny. Wykorzysta cię i wyrzuci. Stanie się wszystkim, a ty będziesz niczym.

– Większość z tego, co powiem, to tylko przypuszczenia – zaczęła Astrid.

Sam, Astrid, Edilio – niemal od początku stanowili zespół. Walczyli

z Orkiem, gdy nazywał siebie kapitanem Orkiem i próbował zawładnąć ETAP-em. Walczyli z Caine'em i Przywódcą Stada. Nauczyli się, jak przeżyć „wielką piętnastkę".

Obecnie wizja czegoś jeszcze straszniejszego stawała się coraz bardziej realna.

– Oparte są na tym, co mówił Edilio, co było w liście od Lany i na tym, czego dowiedzieliśmy się w przeszłości od Lany o historii Drake'a, no i na wszystkich drobnych informacjach, które poskładaliśmy.

Zerknęła na małego Pete'a, który siedział na krześle przy oknie i spoglądał na powoli opadające słońce, mechanicznie kiwając głową.

– I na tym, czego mogłam się domyślić dzięki małemu Pete'owi. Coś... może jakiś odmieniec, zmutowany człowiek. Może zmutowane zwierzę... albo coś zupełnie innego, czego wcale nie rozumiemy... to coś jest w tej kopalni.

– Ten stwór, gaiaphage, ma zdolność do nawiązywania kontaktu umysłowego i wpływania na ludzi. Zwłaszcza na tych, z którymi jakoś się zetknął. Na przykład z Laną – powiedział Sam.

– Albo z Orsay – wszedł mu w słowo Edilio. – Chodzi o osoby z takim umysłem, wiesz? Wrażliwe czy coś.

Astrid skinęła głową.

– Tak. Niektórzy mogą być bardziej narażeni od innych. Teraz jestem już pewna, że to coś ma kontakt z małym Pete'em.

– Rozmawiają? – spytał Edilio ze sceptycyzmem w głosie.

Przekręciła głowę, wyciągając szyję i próbując otrząsnąć się z napięcia, które zaciskało jej szczęki. Sama uderzyło, że jest taka

piękna. Pomimo wszystko. Widział też jednak, jaka była delikatna, szczupła i krucha. Straciła na wadze, jak wszyscy. Kości policzkowe rysowały się wyraźniej niż przedtem, oczy były podkrążone ze zmęczenia i troski. Przy skroni widniał obrzęk.

– Nie wydaje mi się, żeby rozmawiali, nie w taki sposób, jak sądzisz – odparła. – Ale wyczuwają się nawzajem. Petey próbował mnie ostrzec... Nie zrozumiałam.

– W skrócie – powiedział niegłośno Sam. – Co myślisz?

Skinęła głową.

– Masz rację. Przepraszam, ja nie... – Głos jej się załamał. Ale energicznie potrząsnęła głową, by znowu się skupić. – Dobra, to jakaś zmutowana istota. Pochodzenie nieznane. Ma wielką moc wpływania na umysły. Moc silniej działa na ludzi, którzy już spotkali stwora. Takich jak Lana. Drake.

– I być może Caine – dodała.

Odezwał się Sam:

– Myślisz, że Caine starł się z tym gaiaphage?

– Prosiłeś, żeby było w skrócie. Więc pomijam epistemologię.

Sam wiedział, że to ulubiona sztuczka Astrid: olśnić słuchaczy jakimś wielosylabowym słowem. Zdobył się na słaby uśmiech.

– Mów dalej. Pomijaj tę... jak jej tam.

– Niespodziewanie – ciągnęła – po paru miesiącach względnego spokoju, Caine pojawia się z powrotem. Wiemy od Robala, że pozostawał w tym czasie w jakiejś śpiączce czy delirium. Ale nagle mu się poprawiło. I pierwsze, co robi, to wyrusza, by zająć elektrownię.

W tym samym czasie Lana zaczyna czuć, że gaiaphage ją wzywa. A

Petey zaczyna mówić, że coś jest głodne w ciemności.

– Zdaniem Orsay stwór oczekuje, że wkrótce zostanie nakarmiony – wtrącił Edilio.

– Tak. No i jest jeszcze Duck.

Brwi Sama powędrowały w górę.

– Duck? – Tego się nie spodziewał.

– Nikt nie słuchał jego opowieści. Włącznie ze mną – przyznała Astrid. – Ale on powtarzał, że była tam jaskinia, która świeciła. Jakby od promieniowania. Mówił, że było to coś jak z *Simpsonów.*

– No i? – ponaglił Edilio.

– Elektrownia znajduje się pośrodku ETAP-u – powiedziała. – Wiedzieliśmy, że zaczęło się topnienie rdzenia, gdy mały Pete zareagował i stworzył tę... tę bańkę. Ale dlaczego różne rzeczy zmieniały się już wcześniej? Skąd Pete miał taką moc?

– Wypadek trzynaście lat temu – powiedział Sam, doznając olśnienia.

– Wypadek. Zawsze nam mówili, że w elektrownię uderzył meteoryt. Ale może to nie był meteoryt. Może chodziło o coś więcej.

– Na przykład co?

– Niektórzy wyznają teorię, że życie na Ziemi wzięło początek od prymitywnego organizmu, który dostał się na tę planetę wraz z kometą lub meteorytem. No to powiedzmy, że na obiekcie, który trafił w elektrownię żyło coś prostego, na przykład wirus. Wirus plus promieniowanie równa się mutacja.

– Czyli tym właśnie jest gaiaphage? – spytał Sam.

– Proszę, nie zachowuj się tak, jakbym właśnie podała ci odpowiedź, dobrze? – odparła Astrid. – Bo kiepsko sobie radzę w zgadywankach.

Zresztą niewiele to wyjaśnia, nawet jeśli jest prawdą. Podkreślam: „jeśli". Mocno podkreślam.

– Ale? – niecierpliwił się Sam.

– Ale może ten stwór przez trzynaście lat żył pod ziemią i karmił się promieniowaniem. Pomyśl o wirusie, który może przeżyć tysiące lat w warunkach kosmicznych. Jedynym możliwym źródłem pokarmu byłoby promieniowanie.

Dalszy ciąg stanowił dla niej kłopot. Sam widział, jak zadrżała jej warga.

– Zakład energetyczny kłamał. Nigdy nie posprzątali wszystkich substancji promieniotwórczych po katastrofie. Cały czas mieliśmy je pod nogami, sączyły się do wody, wchłaniała je żywność, którą jemy.

Ojciec Astrid był inżynierem w elektrowni. Pewnie zastanawiała się, czy wiedział o oszustwie.

– Mogli nawet nie uświadamiać sobie, że nie wszystko posprzątali – powiedział Sam. – Ludzie, którzy tam pracowali... pewnie nie wiedzieli...

Astrid skinęła głową. Drżenie ustało. Ale pozostał zacięty, gniewny wyraz twarzy.

– Gdy gaiaphage mutował, podobnie działo się z niektórymi z nas. Może to jakiś rodzaj syntezy. Nie wiem. Ale można założyć, że gaiaphage zaczął cierpieć z powodu braku pokarmu. Potrzebuje go więcej. Sam nie może się do niego dostać, więc próbuje nakłonić innych do wykonywania jego woli. Myślę... jestem przekonana... że topnienie rdzenia, które powstrzymał mały Pete, zostało wywołane przez kogoś w elektrowni. Kogoś, kto słuchał gaiaphage. Próbował

wysadzić elektrownię, co rozsiałoby radiację po okolicy, zabiło wszystkich w pobliżu... z wyjątkiem stwora, który żywi się promieniowaniem.

– Mały Pete powstrzymał topnienie. Stworzył ETAP. Ale nie zniszczył gaiaphage. A gaiaphage ciągle jest głodny.

– Głodny w ciemności – odezwał się Pete.

– Caine go nakarmi – powiedział Sam.

– Tak.

– I co wtedy?

– Wtedy gaiaphage przeżyje i się przystosuje. Może dalej żyć w dziurze w ziemi, korzystając z pomocy innych, ale będzie dążył do stworzenia możliwości ucieczki, do tego, by móc się swobodnie poruszać, przetrwać ataki z naszej strony.

– Może to dobrze, że wychodzi i stanie do walki – wtrącił Edilio. – Jest szansa, że zdołamy go zabić.

– Wie, jakie mamy moce – stwierdziła Astrid. – I ktoś mu pomógł wymyślić sposób na zbudowanie ciała, które będzie niezniszczalne.

– Pomógł? Kto?

Sam położył Ediliowi rękę na ramieniu, by go uspokoić.

– Ktoś, kto nie wie, co robi – odparł.

– Nestor – powiedział mały Pete.

– Spróbuj, stary. Ile ty masz lat, trzy? – Antoine próbował podać skręta Zilowi. Ten machnął ręką.

– Już próbowałem – oświadczył. – Nie podobało mi się.

– Ta, jasne. – Antoine zaciągnął się głęboko i zaczął kasłać, jakby miał

wypluć płuca. Kasłał tak gwałtownie, że kolanem uderzył o stolik i przewrócił wodę Zila.

– Hej! – krzyknął Zil.

– Oj, przepraszam, stary – powiedział Antoine, gdy odzyskał głos.

Lance pociągnął bucha, skrzywił się i podał skręta Lisie. Zachichotała, zapaliła, zakasłała i znowu zaczęła chichotać.

Zil nigdy wcześniej nie miał dziewczyny. Dziewczyny go nie lubiły. Zresztą nigdy nie należał do osób szczególnie lubianych.

W dawnych czasach słynął głównie z dziwnych drugich śniadań, które pakowała mu mama. Zawsze wegańskie, organiczne i bardzo ekologiczne – żadnych jednorazowych opakowań. Niestety, większość tego, co mama mu dawała, śmierdziało. Sos winny do sałatek, cuchnąca czosnkiem pasta z humusu, faszerowane liście winogron.

Zil kochał mamę i tatę, ale nadejście ETAP-u stanowiło dla niego pod pewnym względem wyzwolenie: w końcu mógł jeść tyle ciastek i chipsów, ile tylko chciał. Zrobił nawet coś, co rodzice uznaliby za niewybaczalne: spróbował mięsa. I mu smakowało.

Oczywiście, teraz oddałby wszystko za odrobinę humusu i pełnoziarnistą pite.

Nie miał jedzenia. Miał tylko bóle żołądka. I swoją załogę. Swoją świtę. Ekipę Ludzi, która, jak sobie uświadomił, składała się wyłącznie z ofiar losu. Z wyjątkiem Lance'a. Ten potrafił wyglądać fajnie nawet przy migotliwym blasku świecy.

– Odmieńcy mają jedzenie – powtórzył tysięczny raz Turk. – Zawsze mają co jeść. Zwykłe dzieciaki chodzą głodne, ale odmieńcom niczego nie brakuje.

Zil wątpił, by tak było, ale kłótnia nie miała sensu. To nie szalona opowieść o żywności, ukrywanej przez odmieńców, sprawiała, że ich nienawidził. Chodziło o ich pełną wyższości postawę. Ale co tam.

– Podobno Brianna złapała parę gołębi i zjadła – powiedziała Lisa i zachichotała. Zil nie był pewien, czy zawsze tak się śmiała, czy tylko teraz, na haju.

Rysowała w notesie; położywszy sobie na kolanach latarkę i mazała markerem wariacje na temat liter E i L – skrótu od Ekipy Ludzi. Zilowi podobała się jedna z wersji, w której E i L były połączone, pochylone w jedną stronę, z ostrymi krawędziami.

Antoine znalazł zioło w sypialni rodziców, prowadząc kolejne desperackie poszukiwanie żywności.

– To właśnie mówię – powiedział Turk, wskazując Lisę, jakby stanowiła dowód. – Mają sposoby na zdobywanie żywności. Wszyscy odmieńcy ze sobą współpracują. – Turk nie palił. Gapił się na Zila. Jakby spodziewał się po nim planu. Jakby oczekiwał, że zna rozwiązanie.

Zil nie miał planu. Wiedział tylko, że odmieńcy rządzą ETAP-em. I to nie tylko w Perdido Beach, ale i na górze, w Coates. A teraz jeszcze ta elektrownia. Odmieńcy wszystkim trzęśli. No i ich pomagierzy, tacy jak Edilio, Albert i Astrid.

Wiedział jeszcze jedno: że wszystko się sypie. Ludzie głodowali. A skoro to odmieńcy mieli władzę, kogóż innego można było obwiniać?

– Mają jedzenie, zapewniam was – powiedział Turk.

– Tak, a my mamy drzewo – rzekł Antoine i roześmiał się z własnych słów.

Drzwi wejściowe otworzyły się i Zil na wszelki wypadek sięgnął po swój kij bejsbolowy. Był to Hank. Wszedł do środka, ruszył prosto do Antoine'a, który był od niego przynajmniej dwa razy większy.

– Odłóż to – polecił.

– A ty co, gliniarz?

– Nie powinniśmy się napalać ziołem – stwierdził Hank. – Nie o to chodzi Zilowi. Nie o to chodzi w Ekipie Ludzi.

Antoine posłał Zilowi zamglone spojrzenie. Ten był zaskoczony, słysząc o sobie, że jego działania mają jakieś głębsze znaczenie. To mu pochlebiało. Ale i mieszało w głowie.

– Tak, odłóż zioło, stary – potwierdził.

Antoine prychnął z lekceważeniem.

Ku zaskoczeniu wszystkich, Hank wytrącił mu z dłoni skręta. Tamten podniósł się z kanapy. Wyglądał, jakby zamierzał zmiażdżyć małego Hanka.

Ale odezwał się Zil:

– Nie. Żadnych bójek między nami.

– Tak. Właśnie – poparł go Lance, ale bez szczególnego przekonania.

Sprawę musiał rozstrzygnąć Turk.

– Hank ma rację. Zilowi nie chodzi o to, żebyśmy zachowywali się jak wszyscy inni, jak dzieci. Mamy się rozprawić z odmieńcami. Jeśli będziemy jarać, Zil nie poradzi sobie z problemem. Potrzebuje nas, musimy być przytomni.

– Tak – zgodził się Lance. – Ale co robimy?

– Znalazłem Huntera – oznajmił Hank z cichą dumą. Jakby

prezentował rodzicom świadectwo z najlepszymi stopniami.

Zil zerwał się na nogi.

– Znalazłeś go?

– Tak. Jest po drugiej stronie autostrady, ukrywa się w jednym z domów. I nigdy nie zgadniecie, co tam ma.

– Co?

– Żarcie. Ten mutant zabił sarnę, po czym upiekł ją swoją popapraną mocą. Widziałem, jak kroił ją nożem.

– Zachował wszystko dla siebie – stwierdził Turk. – I dla innych odmieńców. Jedzą sobie dziczyznę, a my możemy co najwyżej ugotować jakieś zielsko.

Zilowi pociekła ślinka. Mięso. Prawdziwe mięso. I to nie szczur czy gołąb, ale coś bardzo podobnego do wołowiny.

– Kiedyś jadłem dziczyznę – stwierdził Lance. – Całkiem niezła.

– Na pewno lepsza od psiego mięsa – powiedział Antoine. – Chociaż teraz chętnie zjadłbym również psinę, gdybym miał.

– Co robimy? – zwrócił się Lance do Zila.

Wszystkie oczy, nawet Lisy, zwróciły się na niego.

– A jak myślicie, co robimy? – spytał retorycznie Zil, by zyskać na czasie.

– Idziemy do niego! – rzucił Antoine.

Zil poklepał go po ramieniu i roześmiał się.

– Tak. – Potem przybił piątkę z Hankiem. – Dobra robota, chłopie. Dzisiaj w menu mamy dziczyznę.

– Jak tylko powiesimy Huntera – powiedział Hank.

To przerwało rozmowę.

– Co takiego? – spytał Lance.

Hank posłał mu lodowate spojrzenie.

– Myślisz, że ten odmieniec tak po prostu odda nam żarcie? Zabije nas, jeśli będzie miał taką możliwość. Ci popaprańcy w ogóle się nami nie przejmują, mają gdzieś, że głodujemy. Tak czy siak to morderca, prawda? Co należy zrobić z mordercą?

Zil głośno przełknął ślinę. Hank posuwał się za daleko. To już nie było tylko stawianie się Samowi, by normalni zyskali trochę szacunku. Ku uldze Zila, przemówił Lance:

– Stary, nie wydaje mi się, żebyśmy chcieli zabić gościa.

– To był pomysł Zila – stwierdził Hank. – Tej pierwszej nocy. Po co mieliśmy ze sobą sznur, skoro nie zamierzaliśmy wymierzyć Hunterowi sprawiedliwości?

Pomysł ze sznurem wcale nie wyszedł od Zila. Ale czy powinien się do tego przyznać? Właściwie zamierzał tylko wklepać Hunterowi. Chciał, żeby tamten się popłakał i przyznał, że ukradł ostatni kawałek suszonego mięsa. Nie myślał o tym, żeby naprawdę zabić Huntera. Tak tylko gadał.

– Myślisz, że Sam, Edilio i cała reszta pozwolą nam po prostu stracić Huntera? – argumentował Lance.

Hank uśmiechnął się. Był to dziwny, chłopięcy uśmiech. Taki niewinny.

– Nie ma ich. Dekka jest w elektrowni, nie? A Sam i Edilio właśnie wyjechali z miasta jeepem. Pewnie jadą zmierzyć się z Caine'em.

Zilowi waliło serce. Czuł suchość w ustach. Przecież nie chcieli tego zrobić, prawda?

Ale Hunter miał mięso. A jak inaczej mogli mu je zabrać?

– Nie możemy tak po prostu zabić Huntera – stwierdził Turk.

– Właśnie – wypalił Zil.

– Najpierw musimy urządzić mu proces – odparł Turk.

Zil stwierdził, że kiwa głową. I że się uśmiecha, jakby to od początku był jego pomysł. Może zresztą był. Może w głębi serca wiedział, że tak się właśnie stanie.

Tak, powiedział sobie. Masz miękkie serce, ale wiesz, co trzeba zrobić.

Wszystkie twarze obróciły się ku niemu z wyczekiwaniem. Lisa naprawdę była niebrzydka. Zwłaszcza gdy uśmiechała się do niego, jakby był jakimś gwiazdorem rocka.

– Odbędzie się proces. Bo Ekipa Ludzi nie jest po to, żeby dokonywać ślepych aktów przemocy – oznajmił Zil, takim tonem jakby naprawdę w to wierzył. Nieważne, że dotąd nie dokonali niczego z wyjątkiem ślepych aktów przemocy, wybijania okien i tak dalej. – Musimy dbać o sprawiedliwość. Inaczej inni normalni, nasi, będą mieli do nas pretensje. Trzeba urządzić proces. Zajmiemy się Hunterem. Wymierzymy mu sprawiedliwość. I podzielimy się sarnim mięsem, tak?

– Tak – zgodził się Lance.

– Przeciągniemy dzieciaki na swoją stronę – ciągnął Zil. – Powiedzą: „Hej, Zil dał nam sprawiedliwość i jedzenie".

– I to będzie prawda – stwierdził Turk.

Rozdział 36

1 GODZINA, 08 MINUT

Drake podpełzł do dziury w zewnętrznej ścianie. Jej krawędź wciąż była trochę ciepła. Kryjąc twarz w cieniu, zlustrował dokładnie dolinę, najpierw po lewej, a następnie po prawej stronie.
Caine chciał odwrócić uwagę przeciwnika? Świetnie, dostanie to, czego chciał.
Drake ujrzał Dekkę na krześle ogrodowym. Pewnie drzemała. Zobaczył brezent, przykrywający kształty, które bez wątpienia były trupami. A także dwóch chłopców, siłujących się na ręce. Broń oparli o samochód. Nie widział Sama ani Edilia, chodzącego zazwyczaj za nim jak cień. Nie zauważył też Brianny.
Słońce opadało nad wodą. Wkrótce zapadnie noc. Caine uprzedził, by Drake nie robił nic, dopóki Jack nie wyłączy reaktora.
– Zobaczysz, że światła na parkingu gasną – wyjaśnił Jack swoim typowym, przemądrzałym tonem. – I usłyszysz, że turbiny nagle zwolniły.
Sam musiał gdzieś tam być, pewnie tuż poza wąskim wycinkiem parkingu, który był w zasięgu wzroku Drake'a. Musiał. Sam nie zostawiłby Dekki samej, z kilkoma durniami z szóstej klasy.
Drake chciał być tym, który załatwi Sama. Gdyby tego dokonał, nikt nie mógłby się sprzeciwić jego dążeniom, by zostać szefem. Gdy walczą ze sobą główni gracze, zwycięzca bierze wszystko. Caine spudłował, gdy mierzył do Sama. Drake by trafił.

Długo obserwował sytuację na parkingu, nie dostrzegł jednak ani śladu Sama czy kogokolwiek, kim należałoby się przejmować.
Gdy już się odwracał, Orc wkroczył na scenę. Ciężkim krokiem ruszył w stronę krawędzi parkingu, ku kępom wysokiej trawy.
Drake parsknął cichym śmiechem. Potwór musiał zrobić siusiu.
Dobra, czyli byli tu Orc i Dekka plus parę dzieciaków z karabinami. Głupotą byłoby lekceważyć którekolwiek z nich. Drake walczył już raz z Orkiem i nie do końca wygrał. Oczywiście, nie ściskał wtedy w rękach pistoletu maszynowego.
Oparł prawą dłoń na krawędzi otworu. Była gorąca, ale nie za bardzo. Zgiął rękę w łokciu, po czym ulokował na niej lufę. Przykucnął, by przybrać odpowiednią pozycję. Przyłożył policzek do zimnej plastikowej kolby, zamknął lewe oko i wyrównał muszkę do szczerbinki. Koniuszek macki zawinął na spuście.
Przesunął broń w lewo o parę centymetrów. Teraz celownik wymierzony był w Dekkę.
Jeszcze nie. Poczekaj, aż Jack wyłączy reaktor. Potem odczekaj jeszcze dziesięć minut.
Lepiej, żeby nastąpiło to szybko. Słońce rzucało już długie fioletowe cienie i gdy światła na parkingu zgasną, Drake będzie miał ograniczone możliwości celowania.
Dekka przysypiała. Wyglądało na to, że się ślini. Krótka seria. To właśnie zrobi. Pośle krótką serię i popatrzy na czerwone kwiatki, zakwitające na jej...
– Aaaa! – krzyknął Howard.
Drake odskoczył w tył. Howard też.

Howard znajdował się dokładnie przed nim, po drugiej stronie otworu. Zaglądał do środka niczym jakiś turysta.

Ich oczy się spotkały.

Drake gwałtownie przekręcił lufę w lewo i strzelił. Broń zatańczyła mu w rękach. Tamten jednak przywarł płasko do ściany.

Dekka przebudziła się gwałtownie.

Zaklął i wycelował w nią.

Nacisnął spust. Wtedy jednak Dekka znajdowała się już na wysokości trzech metrów i błyskawicznie się wznosiła. Krzesło ogrodowe wirowało, wzbijając się wraz z nią.

Drake wymierzył. To jak strzelanie do rzutków, pomyślał. Trochę wyprzedzić cel i...

Dziewczyna wyciągnęła ręce w kierunku Drake'a. Lufa broni, pozbawionej nagle ciężaru, uniosła się. Seria pocisków rozdarła powietrze tuż nad jej głową i Dekka runęła w dół, gdy siła ciążenia znowu zaczęła działać.

Uderzyła o beton. Krzesło wylądowało na niej. Nie ruszała się.

A potem powoli, bardzo powoli, podniosła głowę.

Nie spieszył się. Spojrzał na nią. Zobaczył, że i ona na niego patrzy. Wiedziała, że wygrał. W jej ciemnych oczach dojrzał strach i rezygnację.

– Jeden odmieniec z głowy – wyszeptał i bez pośpiechu nacisnął spust.

– Musimy się do niego podkraść – powiedział Hank. – Dorwać go, zanim zdąży coś zrobić.

Zil nie był zadowolony, że Hank wydaje rozkazy. Ani trochę.

– Przede wszystkim trzeba go szybko ogłuszyć, zanim kogoś z nas usmaży. Potem go zwiążemy i użyjemy folii aluminiowej.

– Upiecze własne dłonie – uzupełnił Turk z ponurą satysfakcją. – Jak indyka.

Szli pieszo, bo nie chcieli, by usłyszał dźwięk silnika. Przemknęli przez autostradę, jakby ktoś ich obserwował. Chociaż nie mieli pojęcia, kto mógłby to być. Czuli się jak podczas zabawy w wojnę w dzieciństwie.

Po żołnierzach Edilia nie było ani śladu. Ani po nikim ze świty Sama. Poczuli zapach sarny, gdy tylko zeszli z drogi. To niesamowite, pomyślał Zil, jak świetnie działa zmysł węchu, gdy człowiek jest naprawdę bardzo głodny.

Dał znak Hankowi, Turkowi i Lisie, by się ukryli za garażem i nie ruszali. Wraz z Lance'em poczołgał się naprzód, minął róg garażu i przykucnął, by popatrzeć przez pręty ogrodzenia.

Hunter trzymał wielki, rzeźnicki nóż. Bardzo niewprawnie usiłował przekroić skórę sarny. Szło mu fatalnie. Niektóre części zwierzęcia były spalone niemal na węgiel. Inne spływały krwią. Hunter wyrwał kawał mięsa i łapczywie wepchnął go sobie do ust.

Zilowi pociekła ślina, zupełnie nad tym nie panował. Bolał go brzuch. Wraz z Lance'em wycofał się do pozostałych.

– Zachłanny troll wszystko zżera – poinformował. – Przysięgam, sam zje całe to zwierzę.

– Tak – potwierdził Lance.

– Dobra, słuchajcie, co zrobimy – powiedział Zil i przedstawił swój

plan.

Turk, Hank, Lisa i Zil ruszyli okrężną drogą wokół domu, by wyłonić się z drugiej strony. Lance miał do odegrania kluczową rolę, bo Hunter go nie znał i nie miał powodu, by się go bać.

Gdy wszystko było przygotowane, Lance stanął przy ogrodzeniu.

– Ej, kolego.

Hunter obrócił się, z wyraźnym poczuciem winy i przestrachem.

– Czemu się tu podkradasz? Kim jesteś?

– Stary, wyluzuj. Po prostu poczułem zapach mięsa. Jestem głodny.

Hunter przyglądał się przybyszowi podejrzliwie.

– Chciałem je sprzedać Albertowi – wyjaśnił. – Każdy by trochę dostał. Tylko że zasnąłem, jak trochę zjadłem. Ale właśnie szykuję to wszystko.

Lance przelazł przez płot, starając się zachowywać normalnie.

– A może bym ci pomógł ściągnąć skórę? W zamian za kawałek? Wiesz, że musisz wyciąć bebechy, nie?

– Jasne, że wiem – odparł Hunter obronnym tonem. – Właśnie się zabierałem za patroszenie.

Zil pomyślał, że jego były współlokator na pewno nie miał o tym pojęcia. Obserwował, nerwowo i niecierpliwie, jak Lance zwinnie i pewnie podchodzi do Huntera.

Tamten skupiał całą uwagę na potężnym, przystojnym przybyszu. Ale nie atakował. Nie stanął nawet w pozycji obronnej.

– Teraz – szepnął Zil.

On i Hank pierwsi przekroczyli bramę. Poruszali się szybko, ale cicho, nie biegli.

Błąd nastąpił, gdy Lance na nich zerknął. Hunter dostrzegł błysk w oczach chłopaka, obejrzał się przez ramię, zauważył Zila, zbyt późno, i oberwał od Hanka łomem w czoło.

Runął na ziemię niczym worek kamieni.

Hank podniósł narzędzie, by uderzyć leżącego jeszcze raz.

– Dosyć – nakazał Zil, łapiąc go za rękę. – Związać go. Ręce owinąć folią. – Potem, gdy Turk zaczął krępować ręce chłopaka, dodał: – Nie, głupku. Zwiąż mu je z tyłu.

Turk uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– To dlatego ty tu dowodzisz.

Mocno związali Huntera. Po chwili pojawiła się Lisa z aluminiową folią i zaczęła dokładnie owijać dłonie chłopaka.

Następnie Turk obwiązał mu ręce srebrną taśmą klejącą, unieruchamiając palce.

Hunter ani drgnął.

Zil zrobił dwa kroki, podniósł nóż, który upuścił Hunter, i wyciął kawał mięsa z zadu sarny. Mięso było na wpół upieczone, na wpół surowe. Wgryzł się w nie niczym zgłodniały wilk. Pozostali parsknęli śmiechem i poszli w jego ślady. Turk zjadł zbyt dużo i zwymiotował przy ogrodzeniu. Potem wrócił po dokładkę.

Objadali się i śmiali radośnie, dumni ze zwycięstwa.

Hunter zaczął się wiercić. Jęknął.

– Szkoda, że nie mamy cementu – powiedział Zil. – Drake wiedział, co robi, jak betonował tych popaprańców.

– Ale Drake to też odmieniec, nie? – spytała niewinnie Lisa.

Pytanie skłoniło Zila do namysłu. Czy Drake był odmieńcem?

Zgodnie z legendą, jego macka wyrosła w miejsce ręki, którą podczas walki spalił mu Sam.

– Chyba tak. Nie jestem pewien – odparł, w zamyśleniu żując dziczyznę.

– Przydałby się jakiś sposób, żeby to sprawdzić – odezwał się Turk.

Hunter jęknął głośniej.

– Popapraniec się budzi – stwierdził Lance. – Będzie go bolała głowa.

Zil roześmiał się, rozbawiony. A inni zawtórowali.

– Widzicie. Trzymacie ze mną i macie pyszne, świeże mięsko.

– Racja – potwierdził Turk.

– To co, przywódco, chyba pora się z nim rozprawić? – spytał Hank, z szacunkiem, lecz niecierpliwie.

Zil znowu zarechotał. Pełny żołądek zdecydowanie poprawił mu samopoczucie. Niemal kręciło mu się w głowie. Powoli ogarniała go lekka senność, tym bardziej, że słońce już zachodziło.

Podobało mu się też słowo „przywódca", którego używali tamci w odniesieniu do niego. Pasowało. Dobrze się z nim czuł.

Zil Sperry. Przywódca Ekipy Ludzi.

– Jasne – wzruszył ramionami. – Zacznijmy proces. – Rozejrzał się po podwórzu. – Turk i Hank, zaciągnijcie go pod tylne schody.

Hunter jakoś nie mógł usiąść, jak należy. Był przytomny, ale nie do końca. Jedno z jego oczu wyglądało dziwnie i Zil zdał sobie sprawę, że to z powodu źrenicy, dwa razy większej niż w drugim oku. Przez to Hunter wyglądał tak głupio, że Zil aż się roześmiał.

– Wystarczyło przyznać, że ukradłeś moje suszone mięso – ofuknął

chłopaka.

Hank przykląkł, by jego twarz znalazła się na poziomie twarzy Huntera.

– Przyznajesz, że ukradłeś suszone mięso przywódcy?

Głowa Huntera przechyliła się na bok. Zdawało się, że próbuje mówić, ale z jego ust dobywały się tylko niewyraźne dźwięki.

– Blrrr gili pluf – przedrzeźniał go Turk.

– Zdaje się, że powiedział: „tak, przyznaję się" – zadrwił Hank.

– Będę tłumaczem – powiedział Turk.

– Hunter, przyznajesz, że zabiłeś Harry'ego? – spytał Hank.

Hunter nic nie powiedział, ale Turk pospieszył z odpowiedzią.

– Oczywiście. Jestem odmieńcem, nieludzkim ścierwem, które zabiło Harry'ego.

Zil zaniósł się radosnym śmiechem.

– Co możemy zrobić? Przyznał się. – Przemówił surowym głosem. – Hunter, uznaję cię winnym. Winnym wszystkich postawionych zarzutów.

– I co teraz? – spytała Lisa. – Jest ranny. Może powinniśmy go puścić.

Zil prawie był gotów się zgodzić. Jego wściekłość na Huntera już się w zasadzie wypaliła, a jej płomienie zgasiła radość z pełnego brzucha.

– Rozczulasz się nad odmieńcem? – zakpił Hank.

– Nie – odparła szybko dziewczyna.

Hank posłał jej ostre spojrzenie.

– Myślisz, że jeśli go puścimy, po prostu o tym wszystkim zapomni? Nie. Zbierze innych odmieńców i po nas przyjdą. Myślicie, że Sam potraktuje nas łagodnie?

Zil zerknął na Lance'a.

– Co myślisz, stary?

– Ja? – Lance wydawał się zakłopotany. – Ej, zrobię, co powiesz, Zil.

Zil zdał sobie sprawę, że teraz wszystko spoczywa na jego barkach. Ta myśl wywołała miły dreszcz. Do tej pory wiedział, że w jakimś stopniu może uzasadnić wszystkie swoje poczynania. Mógł powiedzieć: „Słuchajcie, Hunter zabił Harry'ego. Chciałem mu tylko wymierzyć sprawiedliwość". Dzieciakom takie wyjaśnienie by wystarczyło. Sam mógłby tego nie kupić, ale pewnie nie miałby wyboru.

Gdyby jednak rzeczywiście wykonali egzekucję, do czego wyraźnie dążył Hank, Sam i wszyscy jego ludzie rzuciliby się na Zila. A prawda wyglądała tak, że cała ich piątka nie wytrwałaby nawet minuty w starciu z Samem.

Zabijając Huntera, poszliby na otwartą wojnę z Samem. Sam by zwyciężył.

Zil jednak nie mógł tego otwarcie przyznać. Wypadłby żałośnie. Tkwił w pułapce. Jeśli okaże się mięczakiem, Hank zwróci się przeciwko niemu. A Hunter na pewno im nie daruje, jeśli zdecydują się go wypuścić. Z kolei śmierć Huntera ściągnie na Zila zgubę.

– Potrzebujemy więcej osób – zaczął Zil. – Znaczy, musimy wciągnąć w proces inne dzieciaki.

Hank popatrzył nieufnie.

Zil jednak wpadł na pewien pomysł, który zakwitł w jego głowie niczym kwiat.

– Sam mógłby walczyć z naszą piątką, ale nie z całym miastem, prawda? Nie będzie w stanie rządzić, jeśli całe miasto stanie

przeciwko niemu?

– Jak przeciągniemy taką masę ludzi na swoją stronę? – spytał Hank.

Zil wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mamy dużo mięsa, nie? Wszyscy są bardzo głodni. Jak myślicie, ile zrobią za kotlet z sarniny?

Edilio jechał autostradą szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Sto dziesięć na godzinę, omijając porzucone albo rozbite ciężarówki i samochody osobowe. Wiatr porywał słowa, gdy tylko ktoś je wypowiadał, więc jechali w milczeniu.

Skręciwszy w nadmorską drogę, która wiodła do elektrowni, Edilio nie miał wyboru, musiał zwolnić. Dziewięć-dziesięciostopniowe zakręty nie należały tu do rzadkości i wystarczyła chwila nieuwagi, by pomknęli w dół zbocza, przez krzaki i kamienie, prosto do morza.

Nagle Edilio zahamował z piskiem opon i zatrzymał samochód.

– Co jest? – spytał Sam.

Edilio podniósł palec. Wytężył słuch. I usłyszał.

– Strzały – powiedział.

– Jedź – polecił Sam.

Orc właśnie sikał, gdy usłyszał krzyk Howarda.

– Aaaa!

Nie poruszyło go to. Howard zazwyczaj krzyczał głośniej, niż było trzeba. Był mały i słaby, łatwo go było wystraszyć.

Odwrócił się w chwili, gdy Drake strzelił. Ujrzał błyski ognia z lufy w dziurze w ścianie.

Dekka unosiła się w powietrzu. Potem runęła w dół. A Howard

przywarł do ściany.

– Orc! – wrzasnął Howard.

Dekka uderzyła o ziemię. Dla Orca w sumie nie stanowiło to problemu. Nie przepadał za Dekką. Na ogół po prostu go ignorowała i odwracała wzrok, gdy znalazł się w pobliżu. Brzydziła się jego widokiem.

No ale kto reagował inaczej? Orc też czuł do siebie obrzydzenie.

A potem zobaczył twarz za pistoletem maszynowym. Drake. Drake ruszył za Orkiem i smagnął go swoją macką. Nie bolało aż tak bardzo, ale Orcowi i tak się to nie spodobało. Drake próbował go zabić.

Orc go nie lubił. Co jednak nie oznaczało, że lubił Dekkę. Ale Sam ją lubił, a Sam postępował wobec Orca w porządku. Dawał mu piwo.

Orc żałował, że teraz nie ma piwa.

Jeśli uratuje Dekkę, Sam zapewne go nagrodzi. Uratowanie Dekki musiało być warte przynajmniej całą skrzynkę. Może nawet piwa z importu. Orc jeszcze takiego nie próbował.

Drake znajdował się o sto metrów od niego. Dekka w połowie tego dystansu. W odległości zaledwie dwóch metrów stal motocykl.

Orc chwycił pojazd. Jedną ręką złapał przednie koło, drugą zaś – kierownicę. Mocno przekręcił i z łatwością oderwał koło.

– Ktoś strzela! – krzyknął jeden z żołnierzy Drake'a, wpadając do pomieszczenia.

– Tak, zgadnij, kto – odparła Diana.

– Za wcześnie – warknął Caine. – Kazałem mu czekać. Jack. Zrób to.

– Nie chcę się spieszyć i...

Caine podniósł obie ręce, poderwał go nad ziemię i rzucił na panel z instrumentami.

– Już! – wrzasnął.

Znajdowali się poza nastawnią, przed pojedynczym monitorem, który pokazywał wnętrze reaktora.

Jack wprowadził na klawiaturze sekwencję cyfr.

Elektromagnesy przestały działać.

Kadmowe pręty regulacyjne opadły niczym sztylety.

Na czarno-białym monitorze nic się nie działo. Ale efekt był natychmiastowy. Wibracja turbin, jednolity szum, który stanowił nieodłączny element tła, stracił nagle na sile.

Światła zamigotały. Obraz na monitorze zakołysał się, po czym znów się ustabilizował.

– Można bezpiecznie wejść? – spytał Caine.

– Jasne, co może być niebezpiecznego w jądrowej...

– Zamknij się! – krzyknął Caine. – Otwieraj.

Jack usłuchał.

Weszli do wielkiego pomieszczenia, które wydawało się w całości wykonane z nierdzewnej stali. Stalowa podłoga. Stalowe pomosty. Dźwigi. Caine'owi skojarzyło się z olbrzymią kuchnią w restauracji. Wszystko, co nie było stalą, pomalowano na ostrzegawczy żółty kolor. Balustrady. Część schodów. Wszędzie wisiały żółto-czarne znaki, ostrzegające przed tym, o czym nie trzeba było uprzedzać nikogo, kto tu wszedł: przed zagrożeniem promieniowaniem.

Kopuła w górze wyglądała jak przeniesiona z katedry. Brakowało jednak fresków, które ozdobiłyby malowany beton.

Caine poczuł się przytłoczony ogromem tego miejsca.
Pośrodku znajdowało się okrągłe zagłębienie niby jakiś upiorny, podświetlony na błękitno basen. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby się w nim kąpać.
Był tam pomost, prowadzący na sam dół. Powyżej zaś unosił się automatyczny dźwig. Tam, w dole, w złowieszczej głębi, czekały pręty paliwowe. Każdy wypełniony szarymi grudkami, które nie sprawiały wrażenia czegoś niezwykłego. Grube, szare cylindry, pełne czegoś, co wyglądało jak ołów.
Obok stał potężny wózek widłowy z uniesioną wysoko, stalową beczką. Właśnie tam zostawił ją operator, gdy zniknął.

– Rozpoczynam sekwencję – oznajmił Jack, zaciekle stukając w klawiaturę, zdenerwowany, przestraszony, ale i podniecony.

Automat poruszał się szybciej, niż Caine się spodziewał. Zawisł niczym drapieżny owad nad zbyt błękitną wodą.
W pomieszczeniu było gorąco. Generatory awaryjne nie zasilały klimatyzacji i temperatura niemal natychmiast zaczęła rosnąć.

– Ile czasu? – spytał Caine.
– Żeby wyciągnąć, w miarę zabezpieczyć, przenieść do hali chłodzenia i...
– Nie będziemy mieli czasu na to wszystko – przerwał mu Caine. – Drake już strzela. Musimy się stąd zmywać.
– Caine, nie da się... – zaczął Jack.
– Weź pręt paliwowy i już. Wyciągnij go z tego basenu. Resztą zajmę się ja – powiedział Caine.
– Musimy postępować zgodnie z procedurą, jeśli w ogóle chcemy

zabrać stąd ten pręt. Jedyne wyjście prowadzi przez...

Caine uniósł ręce. Skupił się na wypukłej kopule ponad nimi, która miała powstrzymać promieniowanie, gdyby zdarzył się wypadek. Uderzył w beton z całą swoją mocą. Rozległ się potężny łoskot, od którego Caine'owi omal nie pękły bębenki.

– Co ty wyprawiasz? – wykrzyknął Jack.

– Caine! – wydarła się Diana.

Beton nie chciał ustąpić. Nie przy takiej odległości. Nie bez odpowiedniego pocisku.

Caine wymierzył swoją moc w wózek widłowy.

– Przygotuj się, Jack – wychrypiał.

Wózek poleciał. Jakby kopnął go jakiś niewidzialny bóg. Mknął tak szybko, że przekroczył barierę dźwięku z donośnym hukiem, który został natychmiast zagłuszony przez jeszcze głośniejszy gruchot masy stali i żelaza, wybijającej dziurę w betonie.

– Jak myślisz, jak mocny jest ten pręt paliwowy? – spytał Caine.

– Zwariowałeś? – wykrzyknęła Diana.

– Nie, tylko mi się spieszy – odparł.

Drake nacisnął spust.

Seria pocisków wgryzła się w beton tuż przed Dekką.

Drake przytrzymał broń, zmagając się z odrzutem, i lekko ją uniósł. Kolejna seria pomknie w stronę dziewczyny, która mogła tylko patrzeć na błyskawicznie nadciągającą śmierć.

Wtem Drake leżał już na plecach. Broń, którą wciąż trzymał w rękach, strzelała w sufit.

Jakieś koło przez chwilę odbijało się jak szalone po pomieszczeniu, po czym z głośnym trzaskiem spadło na biurko.

Puścił spust. Dźwignął się na nogi. Popatrzył na koło, nic nie rozumiejąc. Skąd się wzięło, w jaki sposób przeleciało przez otwór? Orc.

Drake wyciągnął magazynek i wpiął zapasowy. Był poobijany i oszołomiony, ale nic poważnego mu się nie stało. Podczołgał się z powrotem do otworu, ostrożnie, na wypadek, gdyby do środka miało wlecieć coś jeszcze.

Dekka nie leżała już na ziemi.

A Orc...

Potężna, kamienna ręka opadła i o centymetry minęła jego głowę.

Wystrzelił na ślepo w stronę dziury w ścianie.

A potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Rozdział 37

1 GODZINA, 06 MINUT

Jeep przemknął przez bramę. Edilio jechał dokładnie w miejsce, gdzie wstrząśnięta, poobijana i mocno wkurzona Dekka podnosiła się właśnie z betonu.

– Co się stało? – spytał Sam, wyskakując z auta.

Adrenalina zaczęła wreszcie krążyć w jego żyłach. Jednak nadal czuł się dziwnie nieobecny. Nawet teraz, gnając ku kłopotom. Jakby to nie były jego kłopoty. Jakby działaniem zajęła się jakaś obca część jego ciała.

– Próbowałam latać – odpowiedziała Dekka niskim głosem, przypominającym pomruk. Pokręciła głową i nachyliła się, by ścisnąć swoje kolano. – Au.

– Słyszeliśmy coś głośniejszego niż strzały – powiedział Edilio. – Jak grom. Albo wybuch.

– Przykro mi, nie zauważyłam żadnego gromu – odparła Dekka.

Z jednej strony nadszedł Orc, z drugiej zaś Howard.

– Orc, stary, to był naprawdę superruch – ekscytował się ten drugi. Podbiegł do przyjaciela i zaczął raz po raz klepać go po ramieniu.

– Mam wobec ciebie dług – Dekka zwróciła się do Orka.

– Co się stało? – powtórzył Sam.

Odpowiedział mu Howard:

– Drake, stary, strzelił do Dekki. Dekka wzbiła się w powietrze, a potem, barn, spadła. Orc, stary, Orc łapie ten motocykl, nie? Odrywa

koło i rzuca w Drake'a. Jak talerzem. – Howard aż klasnął w dłonie z radości. – Prosto przez dziurę, którą wypaliłeś w ścianie. Jakby zaserwował przez cały kort.

– To cię będzie trochę kosztowało – mruknął Orc.

– O właśnie – wsparł go Howard. – Będzie kosztowało. Orc nie robi takich rzeczy za darmo.

– Nikt inny nie słyszał bardzo głośnego dźwięku? – naciskał Edilio.

– Wiesz, wokół padały strzały – warknęła Dekka.

– Nic ci nie jest? – spytał Sam.

– Przeżyję – odparła.

– Dekko, jak myślisz, co się stanie z jaskinią albo z kopalnią, jeśli wyłączysz grawitację? – spytał Sam.

– To jakiś quiz?

– Nie.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Dobra. Gdyby walnąć w nią parę razy, włącz-wyłącz, włącz-wyłącz, o tak, pewnie zaczęłaby się walić. Zapewne by runęła.

– Tak. – Sam położył jej rękę na ramieniu. – Muszę cię o coś poprosić.

– Domyślam się, że mam zawalić jakąś jaskinię albo kopalnię. No i?

– No i to nie jest po prostu jakaś kopalnia – powiedział ponuro Edilio. – W niej coś mieszka. To... Nie wiem, jak ci wyjaśnić. Wchodzi w człowieka. Wywołuje lęk.

– Chcę, żebyś pojechała z Ediliem i uwięziła tego stwora w środku – oznajmił Sam. – Howard? Wróćcie z Orkiem do miasta. Aż nie wierzę, że to mówię, ale chcę, żebyście mieli tam na wszystko oko.

– To będzie kosztowało...

– Tak. Wiem – przerwał Sam Howardowi. – Może odłożymy negocjacje na później?

Howard wzruszył ramionami.

– Dobra, ufam ci. – Wskazał palcami swoje oczy, a potem Sama, w geście, który oznaczał „obserwuję cię".

– Co chcesz zrobić? – spytała Sama Dekka.

– Rozprawić się z Caine'em. Muszę go tu zatrzymać.

– Chyba nie chcesz w pojedynkę ruszyć na Caine'a i Drake'a – zaprotestował Edilio. – Nie ma mowy. Nie pozwolę, żebyś się zabił.

Sam parsknął wymuszonym śmiechem.

– Ani mi się śni. Howard, jak tylko dotrzesz do miasta, znajdź Bryzę, o ile nie miniesz jej po drodze. Jeśli się na nią nie natkniesz, odszukaj Taylor. Powiedz, żeby przysłały pomoc. Powiedz też, że potrzebuję kogoś, kto by mnie informował, co się dzieje z wami w kopalni.

– Może trzeba było jednak włączyć telefony, co? – odezwał się Edilio. Skrzywił się, poniewczasie uświadamiając sobie, że zabrzmiało to jak przytyk.

– Tak – odparł Sam. – Dopisz to do listy błędów, które ostatnio popełniłem.

– Więc nie popełniaj następnego i nie idź tam sam.

– Chyba właśnie powiedziałem, że nie pójdę? – powiedział spokojnie Sam.

Edilio popatrzył mu w oczy. Sam spuścił wzrok.

– Gdyby coś mi się stało, wszyscy macie słuchać rozkazów Edilia.

Dekka z powagą pokiwała głową.

– Nie rób mi tego – poprosił Edilio. – Nie odchodź, Sam.

Dwumetrowy pręt paliwowy okryty był teraz ołowiem, ale pozostawał śmiertelnie niebezpieczny.

Jack trzymał coś, co wyglądało jak nienaturalnie wielki pilot do telewizora. Oczy wychodziły chłopakowi z orbit. Spazmatycznie przełknął ślinę. Nacisnął guzik na pilocie i pręt znieruchomiał. Wydał z siebie drżące westchnienie.

Pręt paliwowy zwieszał się z dźwigu, kołysząc się lekko. Caine czuł, że pręt go przyciąga, pragnął go dotknąć, miał jednak świadomość, że jest gorący. Odczuwał ten żar z odległości sześciu metrów i na czoło występowały mu krople potu.

Usłyszał kroki. Nie odwracając się, rzucił:

– Za wcześnie zacząłeś strzelać, Drake.

– To nie ja – odparł tamten, zdyszany. – Howard mnie zobaczył.

– A Sam? – spytał Caine, oczarowany szarym prętem, a właściwie zaskakującym kontrastem między jego niszczycielską, śmiercionośną mocą, a niepozornym wyglądem.

– Właśnie przyjechał z tym Meksykaninem.

Caine spojrzał na otwór, który zrobił w kopule. Luźna bryła betonu oderwała się pod wpływem jego mocy, dość długo spadała, po czym głośno trzasnęła w jakieś niewidoczne urządzenia. Przez dziurę widział teraz zbocze wzgórza, fioletowe w dogasającym blasku słońca. Jack potrzebował jeszcze dziesięciu, piętnastu minut, by przemieścić pręt na rampę załadowczą. W dziesięć minut Sam mógł tu dotrzeć.

– Sam nie może nam się plątać pod nogami, kiedy ruszymy – stwierdził Caine. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Piękny w

swojej prostocie, pozwalający upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Pora, żebyś udowodnił, że jesteś taki twardy i zły, jak ci się wydaje – zwrócił się do Drake'a.

– Niczego nie muszę udowadniać – warknął tamten.

Caine wytrzymał wściekłe spojrzenie swojego adiutanta. Byli tak blisko, że mógł szeptać, a Drake i tak by go usłyszał, ale wolał, żeby odbyło się to publicznie.

– Drake, kiedy posłałem Dianę po Jacka, to wiesz co? Sprowadziła mi Jacka. Teraz ktoś musi powstrzymać Sama, a przynajmniej mu przeszkodzić. Mam poprosić Dianę, by się tym zajęła? Bo jej może się udać. W końcu Sam to facet.

Diana od razu zorientowała się, do czego Caine zmierza.

– A, Sam? – Roześmiała się po swojemu, znacząco. – Wiecie, na pewno drażni go ta jego lodowa księżniczka. Nie powinnam mieć kłopotu z tym, żeby go... spowolnić.

Tekst zabrzmiałby lepiej, gdyby Diana miała jeszcze swe długie włosy i dziewczęcy wygląd, ale Drake i tak połknął haczyk.

– Tego właśnie chcesz? – spytał. – Chcesz, żebym załatwił Sama? Albo on zabije mnie, albo ja jego, tak? Tak czy owak, wyjdzie to na dobre tobie i tej twojej wiedźmie.

– Grasz na zwłokę, Drake – stwierdził Caine.

Caine niemal czytał w myślach psychopaty, jakby widział, jak trybiki w jego mózgu rozważały różne możliwości. Drake nie mógł odmówić.

Nie mógł. Jeśli chciał pozostać Biczorękim. Jeśli liczył, że kiedykolwiek zastąpi Caine'a.

– Załatwię Sama – powiedział głosem, który miał brzmieć groźnie; efekt zakłóciło wyraźne drżenie.

Niskim głosem dodał:

– Powstrzymam Sama.

Caine skinął głową, okazując nieznaczne uznanie. Odwrócił się od Drake'a i mrugnął do Diany, której twarz nie wyrażała zupełnie nic. Biedny Drake. Ambicja to za mało. Lider musi być mądry. Lider musi być bezlitosnym manipulatorem, a nie tylko zbirem.

Wielcy przywódcy powinni wiedzieć, kiedy manipulować, a kiedy stawać do konfrontacji.

A ponad wszystko – kiedy podejmować wielkie ryzyko.

– Miejmy nadzieję, że pręt paliwowy jest solidnie skonstruowany – powiedział Caine.

Wzniósł ręce i pręt wzbił się w powietrze. Jednym końcem wciąż zawieszony był na linie dźwigu.

– Odczep – nakazał.

Jack zaprotestował.

– Jeśli on pęknie...

– Zrób to! – ryknął Caine.

Nawet Drake cofnął się o krok. A Jack nacisnął guzik, zwalniający ładunek automatycznego dźwigu.

Caine wyrzucił naprzód wyciągnięte dłonie. Cylinder wystrzelił niczym bełt z kuszy.

Wycelował dobrze. Ale nie doskonale. Cylinder otarł się o beton, przemykając przez otwór.

– To szybki sposób – skomentował Caine.

– Jeśli się okaże, że pękł, już nie żyjemy – jęknął Jack.

Caine nie zwrócił na niego uwagi. Odwrócił się do Drake'a. W oczach swojego adiutanta dojrzał chłodną kalkulację.

– Zajmę się Samem – oznajmił tamten.

Caine parsknął śmiechem.

– Albo on tobą.

– Dogonię was – powiedział Drake.

Było to ostrzeżenie. Nikt nie miał wątpliwości, że jeśli Drake przeżyje starcie z Samem, jego następnym celem będzie Caine.

– Coś ci powiem – dodał. – Przyniosę ci rękę twojego brata. On zabrał mi moją. Pora na rewanż.

Sam patrzył, jak Edilio i reszta odjeżdżają. Czuł dziwny spokój. Pierwszy raz od wielu dni.

Teraz ryzykował tylko własne życie. A w głowie miał plan. Jeśli to zrobi, będzie po sprawie. Po sprawie.

Popełnił zbyt wiele błędów. Przeoczył zbyt wiele rzeczy. To nie on pomyślał o łowieniu ryb, tylko Quinn. I nie on wpadł na to, by użyć terenówek i ochronić zbierających plony przed zębakami, lecz Astrid. Był zbyt powolny, rozkojarzony, niepewny. Nie wprowadził w odpowiednim momencie racjonowania żywności. Nie zmotywował wystarczającej liczby ludzi do pomocy. Pozwolił, by narósł konflikt między odmieńcami a normalnymi. Nie ochronił sklepu przed Drakiem ani elektrowni przed Caine'em.

Dzieciaki w Perdido Beach siedziały po ciemku i myślały o kanibalizmie. A przecież to on rządził, to on powinien rozwiązać problem.

Nawet teraz miał dojmujące wrażenie, że coś pominął. Coś ważnego. Coś. Jakieś zasoby.

Broń.

Jeśli przeżyje ten dzień, to będzie koniec. Niech Astrid przejmie władzę. Albo Albert. Albo Dekka. A najlepiej Edilio.

Jeśli wyjdzie z tego dnia zwycięsko, jeśli powstrzyma Caine'a, a Dekka zamknie sztolnię, zrobi, co powinien. Nawet więcej.

A jeśli jedno z nich zawiedzie? Jeśli Caine się wydostanie albo Dekka nie zabije gaiaphage? Stwór więził Lane. Krył się wewnątrz umysłu Caine'a. Wiedział to, co Lana i Caine. Bez wątpienia także to, co Drake. Znał ich mocne i słabe strony. A gdy stanie się tym, czym chce, co dalej?

Coś mu umykało.

Co to mogło być? Cóż, wkrótce to nie będzie już jego problem. On pójdzie sobie posurfować.

Nie potrzebował fal. Po prostu wypłynie na desce i się położy. Położy się i już. Będzie fajnie.

Ale najpierw...

Przeszedł przez parking do drzwi hali turbin. Spodziewał się wyzwania. Spodziewał się strzału. Ale doszedł do drzwi i okazało się, że nikt ich nie pilnuje.

Ulga. Ale nie był to dobry znak. Caine postawiłby przecież kogoś przy drzwiach. O ile wciąż był w środku.

Wszedł do środka, wprost w niesamowitą, niespodziewaną ciszę. Elektrownia nie działała. Turbiny przestały się obracać. Normalnie nie było tu słychać nic prócz jednostajnego huku. Teraz słyszał nawet

własne kroki.

Znalazł przejście do nastawni, drzwi okazały się wyważone do środka. Przez chwilę przyglądał się narzędziom, wbitym w podłogę i wygiętym.

Pusta nastawnia trwała, pogrążona w głębszej ciemności, niż zazwyczaj. Jaśniało wyłącznie oświetlenie awaryjne. Instrumenty i komputery wciąż działały. W pomieszczeniu nie dostrzegł jednak żadnych oznak życia.

Na podłodze widniała kałuża lepkiej, schnącej krwi, wokół zaś czerwone odciski butów.

Nie spodziewał się takiej ciszy. Gdzie Caine? Gdzie Drake? Elektrownia była ogromnym kompleksem i mogli się ukryć gdziekolwiek. Zaczaić się w stu różnych miejscach, urządzić zasadzkę i czekać, aż przyjdzie. Caine mógł zaatakować, zanim on zyska szansę na reakcję.

Sam przystanął, niezdecydowany. Co tu się działo? Żałował, że nie poprosił Edilia o przysłanie Brianny właśnie tutaj. Mogłaby w parę minut przeszukać całą elektrownię.

Przemyśl to, nakazał sam sobie. Przybyli tu, by wykraść uran. Planowali przetransportować zdobycz do kopalni. Jak zamierzali tego dokonać? Gdzie powinni teraz być?

Reaktor, oczywiście. Właśnie tam znajdował się śmiercionośny ładunek.

– Niezbyt wesoła myśl – powiedział Sam do otaczającej go pustki.

Ruszył korytarzem, podążając za oznaczeniami na ścianach.

Potężne stalowe drzwi strzegły wejścia do reaktora. Caine nie zadał

sobie trudu, by je za sobą zamknąć.

Ruszył, rozbrzmiewającym setkami pogłosów korytarzem, słabo oświetlonym i długim. Drugie stalowe drzwi także stały otworem, choć obok nich znajdowała się klawiatura do wprowadzania kodu i w normalnych okolicznościach pewnie stale były zamknięte.

Sam zdał sobie sprawę, że teraz zostawiono je otwarte specjalnie dla niego. Czy dlatego, że Caine uwolnił tu promieniowanie? O to chodziło? Czy jego ciało wchłaniało właśnie śmiertelną dawkę?

Nie. Caine nie byłby aż tak krótkowzroczny, by skazić całą elektrownię. Przecież uniemożliwiłoby to późniejsze uruchomienie zasilania. Pewnego dnia znów zapragnie energii elektrycznej, tak by on i tylko on nad nią panował.

Takie rozumowanie miało sens. Nie położyło jednak kresu lękom Sama. Jeśli Caine skaził to miejsce, Sam był już żywym trupem.

Wszedł do pomieszczenia z reaktorem. Panowały tu gorąco i nieprzyjemny zaduch. Nie sposób było nie poczuć lęku na widok rdzenia reaktora, nienaturalnie niebieskiego basenu, pełnego uwięzionej mocy. Nie sposób było zapomnieć, co symbolizuje.

Obszedł rdzeń dookoła, przyczajony, gotowy, czujny. Dotarł do przeciwległego końca reaktora. Tam czekał już na niego Drake Merwin. Z biczowatą macką opuszczoną leniwie przy boku, opierał się spokojnie o panel z instrumentami.

– Cześć, Sam – odezwał się.

– Drake... – szepnął Sam.

– Wiesz, co jest fajne, Sam? Nigdy za bardzo nie uważałem w szkole, ale to dlatego, że nie wiedziałem, do czego te rzeczy miałyby mi się

przydać. – Drake wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak ogromny pilot do telewizora. Nacisnął guzik.

Zawył natarczywy alarm.

– Odejdź, Drake! – zawołał Sam, przekrzykując dźwięk syreny.

– Zrobię ci krzywdę, Sam, a ty mnie nie powstrzymasz.

– Co ty wyprawiasz?

– Z tego, co wiem, to są pręty regulacyjne. Wetknij je do środka, to reaktor się zatrzyma. Wyciągnij parę, to się uruchomi. Wyciągnij wszystkie naraz i rozpocznie się topnienie.

Coś zaczęło unosić się spośród złowieszczego błękitu. Dziesiątki wąskich prętów, uwieszonych u lśniącej, okrągłej obręczy.

– Blefujesz, Drake.

Drake wyszczerzył w uśmiechu swe rekinowe zęby.

– Myśl, co chcesz. Wyobrażasz sobie piękną Astrid, jak włosy wypadają jej całymi garściami?

Odwrócił pilot tak, by Sam go widział.

– Ten przycisk, tutaj. Wpuszcza pręty regulacyjne z powrotem. I wszyscy żyją. Jeśli nikt go nie naciśnie... cóż, zdaniem Jacka, my umrzemy dość szybko. Wszystkich innych w ETAP-ie czeka powolna śmierć.

– Ty też umrzesz – odparł Sam, starając się zyskać na czasie. Jego umysł pracował w szaleńczym tempie, próbując wymyślić sposób, by powstrzymać katastrofę. Czy Drake był na tyle szalony, by... Tak. Pewnie, że był.

Alarm rozbrzmiał ze zdwojoną głośnością i intensywnością. Teraz był to już elektroniczny krzyk.

– Nie martwię się, Sam, bo ty na to nie pozwolisz! – wydarł się Drake, by przekrzyczeć alarm.

– Drake... – Sam wzniósł ręce, celując dłońmi w tamtego.

Drake wyciągnął rękę ponad jaśniejącym, pulsującym basenem. Trzymał pilot tylko dwoma palcami.

– Jeśli go upuszczę... – ostrzegł.

Sam powoli opuścił ramiona.

Dźwięk alarmu wypełniał mu mózg. Ile minut? Ile sekund? Pręty regulacyjne podnosiły się z majestatyczną nieuchronnością. Ile jeszcze czasu, zanim będzie za późno?

Kolejna porażka, pomyślał tępo.

– Nie chcesz wiedzieć, czego chcę? – krzyknął Drake.

– Mnie – odparł beznamiętnie Sam. – Chcesz mnie.

– O to właśnie chodzi. A ty będziesz tam stał i nic nie zrobisz. Bo inaczej...

Astrid zajmowała się małym Pete'em, wykonując jedno z od dawna zaniedbywanych ćwiczeń. Polegało ono na segregowaniu piłeczek według koloru. Mieli dwa pudełka: niebieskie i żółte. Niebieskie piłeczki i żółte piłeczki. Każdy przeciętny pięciolatek potrafił to zrobić. Ale mały Pete nie był każdym przeciętnym pięciolatkiem.

– Możesz włożyć piłeczkę na miejsce? – spytała Astrid.

Chłopiec wbił spojrzenie w piłeczkę. A potem jego wzrok powędrował gdzie indziej.

Wzięła rękę malca i położyła na żółtej piłce. Zbyt mocno. Sprawiła mu ból.

– Możesz włożyć ją na miejsce? – Głos miała zniecierpliwiony.

Siedzieli na dywanie w kącie pokoju małego Pete'a. Umysł chłopca przebywał gdzie indziej. Pete był zupełnie obojętny.

Czasami go nienawidziła.

– Spróbuj jeszcze raz, Petey – poprosiła. Powstrzymała się od wykręcania sobie palców. Wysyłała mu sygnały, świadczące o napięciu, jednak bez żadnego rezultatu.

Powinna codziennie wykonywać z nim takie ćwiczenia. Kilka razy dziennie. Ale tego nie robiła. Nawet teraz zajmowała się bratem tylko dlatego, że nie mogła znieść czekania. Chciała jakoś odwrócić swoją uwagę od myśli o Samie.

– Przepraszam – powiedziała do braciszka, który przyjął to równie obojętnie, jak wszystko inne.

Ktoś zapukał do drzwi, aż podskoczyła.

Drzwi uchyliły się. Nie były zamknięte.

– To ja, John.

Astrid dźwignęła się na nogi, czując ulgę, że to tylko on. A zarazem rozczarowanie.

– O co chodzi? – Johna nie przysyłaliby ze złą wieścią.

– Nie mogę znaleźć Mary.

Fala ulgi, w jednej chwili zastąpiona jednak kolejną troską.

– Nie ma jej w przedszkolu?

Pokręcił głową. Rude loki zafalowały wokół jego głowy, kontrastując z poważnym wyrazem twarzy.

– Powinna była zjawić się tam parę godzin temu. Prawie nigdy się nie spóźnia. Nie mogłem wyjść, żeby jej szukać, bo mamy za mało

ludzi, a wiele dzieci choruje. Przyszedłem najszybciej, jak mogłem. Zajrzałem do jej pokoju. Ale jest pusty.

Astrid zerknęła na małego Pete'a. Zamarł z ręką na żółtej piłce, najwyraźniej nie zamierzając niczego z nią robić.

– Poszukam jej – powiedziała dziewczyna.

Weszli do pokoju Mary. Był jak zwykle schludny i uporządkowany. Łóżko jednak pozostało w nieładzie.

– Zawsze składa pościel – stwierdziła Astrid.

– Tak – zgodził się John.

– Co to za dźwięk? – Usłyszeli jednostajny szum. Dobiegał z łazienki. Wentylator. Astrid spróbowała otworzyć drzwi, były jednak zamknięte. Szarpnęła je i zdołała uchylić je na tyle, by zajrzeć do środka.

Mary leżała na podłodze, nieprzytomna. Miała na sobie szlafrok, który odsłaniał łydki.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Astrid. – Mary!

– Pomóż mi – poprosiła. Razem otworzyli drzwi i wtargnęli do środka. Astrid natychmiast poczuła odór wymiocin.

– Widocznie jest chora – stwierdził John.

Woda w toalecie była lekko przebarwiona. Z ust Mary ciekła cieniutka strużka wymiocin.

– Oddycha – powiedziała szybko. – Żyje.

– Nawet nie wiedziałem, że choruje.

Potem Astrid dostrzegła małą kosmetyczkę Clinique, leżącą na terakocie, z wysypaną w połowie zawartością.

Podniosła ją. Wyrzuciła wszystko na podłogę. Zobaczyła niemal

opróżnioną buteleczkę syropu z ipekakuany. I kilka różnych środków przeczyszczających.

– John, zamknij na chwilę oczy.

– Po co?

– Bo muszę zajrzeć Mary pod szlafrok. – Rozwiązała pasek, czując lekkie mdłości i rozsunęła szlafrok.

Mary miała na sobie tylko majtki. Różowe. Dziwne, pomyślała Astrid, że w ogóle zauważyłam. Najbardziej bowiem w oczy rzucały się żebra dziewczyny. Dały się z łatwością policzyć. Brzuch miała zapadnięty.

– Biedna Mary – westchnęła Astrid i zakryła ją z powrotem.

John otworzył oczy. Były mokre od łez.

– Co z nią?

Astrid nachyliła się, by sięgnąć do twarzy dziewczyny. Delikatnie rozsunęła jej wargi, by zajrzeć w zęby. Pociągnęła za pukiel włosów. Zostały jej w garści.

– Ona się głodzi – powiedziała.

– Dostaje tyle jedzenia, co wszyscy – zaoponował John.

– Nie je. A jeśli je, to wymiotuje. Do tego służy ten syrop.

– Po co to robi? – jęknął.

– To choroba. Anoreksja. Bulimia. Pewnie jedno i drugie.

– Musimy jej przynieść coś do jedzenia.

– Tak. – Nie chciała tłumaczyć, że samo przyniesienie Mary jedzenia może nie wystarczyć. Czytała o zaburzeniach odżywiania. Czasami dzieciaki, które nie otrzymywały właściwego leczenia, umierały.

– Nestor, Nestor, Nestor, Nestor – skandował na całe gardło mały Pete.

– Nestor, Nestor, Nestor, Nestor.

Astrid ogarnęło poczucie beznadziei. Zamknęła oczy, próbując się opanować. Tylko tego jej brakowało. Nieprzytomnej Mary, być może bliskiej śmierci. Miała już autystycznego brata i chłopaka w depresji, który toczył właśnie jakąś bitwę.

– Niech mi Bóg wybaczy – zbeształa samą siebie.

– Chodź, John, musimy zabrać Mary do Dahry.

– Dahra ma tylko książkę o medycynie. Nie jest specjalistką.

– Wiem. Słuchaj, nie mam pojęcia, jak się opiekować chorą na anoreksję. Dahra przynajmniej czytała o medycynie.

– Musimy jej przynieść trochę tego sarniego mięsa – stwierdził John. – Musimy ją nakarmić.

– Jakiego sarniego mięsa?

– Zil ma sarnę – odparł John. – Zamierza się nią podzielić dziś wieczorem. W porze kolacji.

Wbrew wszystkiemu, Astrid poczuła, że burczy jej w brzuchu. Sama myśl o mięsie była bardziej pociągająca niż cokolwiek innego. Ale nawet głód nie mógł zagłuszyć ostrzegawczego dzwonka w jej umyśle.

– Zil? Zil ma sarnę?

– Wszyscy o tym mówią – powiedział John. – Turk rozpowiada, że Zil złapał Huntera. Hunter miał tę sarnę i chciał ją zatrzymać tylko dla siebie. Każdy, kto chce dostać trochę mięsa, ma przyjść i pomóc im ukarać Huntera.

– W każdym razie – dodał – każdy normalny. Odmieńcom wstęp wzbroniony.

Astrid wbiła w chłopaka piorunujący wzrok. Wyglądało na to, że zupełnie nie rozumie, co właśnie powiedział.

– Czy Mary nic nie będzie? – spytał. – Znaczy, jeśli damy jej sarnie mięso? Nic jej nie będzie?

– Aaach! – krzyknął Sam, gdy Drake uderzył znowu.

I znowu. I jeszcze raz.

Sam padł na kolana. Płakał.

Płakał jak dziecko. Okrzyki bólu mieszały się z ostrym, szaleńczym wyciem syreny.

Szkoda, że nie ma jak tego nagrać, pomyślał Drake. Gdyby mógł w jakiś sposób zarejestrować tę chwilę, oglądałby ją do końca życia. Wielki Sam Temple, skrwawiony, skulony i krzyczący z bólu, podczas gdy Drake raz po raz chłoszcze go swoim pejczem.

– Boli, Sam? – puszył się. – Trochę bolało, kiedy spaliłeś mi rękę. Myślisz, że boli tak samo?

I znowu. Trzask!

I nagroda: straszliwy jęk.

– Mówili, że się zmoczyłem, kiedy odcinali kikut – powiedział Drake. – Też już to zrobiłeś? Zsikałeś się?

Sam leżał teraz na boku, zakrywając twarz rękami. Ostatnie uderzenie nawet nie wywołało krzyku. Tylko drżenie. Rozpaczliwy spazm.

– Pora zająć się twoją twarzą – warknął Drake i cofnął się, by wykorzystać całą swoją siłę.

Obok przemknęła jakaś niewyraźna plama. Nie był nawet pewien,

czy coś zobaczył.

A potem rozległ się jego własny głos, krzyczący ze zdumienia i przerażenia. Na początku nawet nie bolało. Nie bolało, tylko...

Pół metra jego macki leżało na podłodze, drgając spazmatycznie niczym zdychający wąż.

Z odciętego końca tryskała krew. Cofnął się i patrzył na kikut.

Drut pojawił się znikąd. Jeden koniec przywiązany był do drabinki przy pomoście. Drugi mocno ściskała Brianna.

– Cześć, Drake – powiedziała. – Słyszałam o twoim pomyśle, żeby pociąć mnie na kawałki. Sprytne.

Drake otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Wszystko stało się tak nagle, że był oszołomiony i niezdolny do reakcji.

Zamroczony.

Odcięty koniec macki wciąż trząsł się i wił. Jakby żył własnym życiem.

– Pilot! – krzyknął Sam.

Drake rozcapierzył palce.

Sterownik zaczął spadać.

– Bryza! – krzyknął Sam.

Drake odwrócił się na pięcie i puścił biegiem.

Ciało Brianny poruszało się z nadludzką prędkością.

Ale jej umysł działał w normalnym tempie. Minęło więc parę ułamków sekundy, zanim zauważyła spadający pilot i zrozumiała, że skoro Sam krzyczy o nim w takiej chwili, sprawa musi być bardzo, bardzo ważna.

Kolejny ułamek sekundy na uświadomienie sobie, że świecący błękit nie jest zwykłym basenem.

Pilot spadał.

Brianna rzuciła się naprzód.

Jej dłoń chwyciła sterownik ledwie dwadzieścia centymetrów nad powierzchnią wody.

Gdyby do niej wpadł...

Poderwała stopy, obróciła się w powietrzu i z całym impetem uderzyła w unoszące się pręty regulacyjne.

Nie było w tym gracji. Przeskoczyła krawędź zbiornika i poślizgnęła na podłodze.

Miała pilot. Wbiła w niego spojrzenie.

Co teraz?

– Sam? Sam?

Nic nie mówił. Przyskoczyła do niego, odwróciła go i dopiero wtedy z przerażeniem zobaczyła, co z nim zrobił Drake.

– Sam? – Zabrzmiało to jak szloch.

– Czerwony guzik – zdołał wyjęczeć.

Rozdział 38

53 MINUTY

Dłonie Edilia ściskały kierownicę tak mocno, że pobielały mu palce. Dekka to zauważyła.
Zaciskał zęby, po czym zmuszał się do ich rozwarcia w nieudolnych próbach rozluźnienia się. Dekka zauważyła i to.
Nic nie mówiła. Nie należała do gadatliwych dziewczyn. Jej świat znajdował się w jej wnętrzu. Nie zamykała go na klucz, ale zachowywała dla siebie. Tak jak swoje nadzieje. Jej emocje nie były niczyją sprawą. A lęki... Cóż, okazywanie lęku nigdy nie przynosiło niczego dobrego.
Dzieciaki z Perdido Beach, tak jak wcześniej te z Coates, często interpretowały rezerwę Dekki jako wrogość. Nie było w niej wrogości. Ale w Coates, szkole dla uczniów z problemami, warto było budzić u innych lekki strach.
Dekka nie należała do żadnej grupy. Nie miała przyjaciół. Nie sprawiała kłopotów, dostawała dobre stopnie, stosowała się do większości zasad i nie wtykała nosa w sprawy innych.
Zauważała jednak, co się działo wokół niej. Wcześniej niż większość osób zorientowała się, że niektórzy uczniowie Coates zmieniają się w sposób, który nie dawał się racjonalnie wytłumaczyć. Wiedziała, że Caine zyskał jakąś nową, dziwną moc. Dostrzegała w Drake'u Merwinie niebezpieczną, chorą istotę. Jej uwadze nie umknęła też, ma się rozumieć Diana, piękna, uwodzicielska, pewna siebie Diana.

Atrakcyjność tej dziewczyny oddziaływała na Dekkę. Diana bawiła się nią, kusiła, drwiła i zostawiła ją z poczuciem bezbronności, jakiego Dekka od dawna nie doznała. A jednak nikomu nie zdradziła jej sekretu. Gdyby to zrobiła, w środowisku Coates Dekka bardzo szybko by się o tym przekonała.

Diana umiała dochować tajemnicy. W imię własnych celów.

Podczas tych wczesnych dni w akademii Dekka niemal nie zauważała Brianny. Dostrzegła jej powab dopiero później, gdy Caine i Drake uwięzili wszystkich odmieńców, których moce zaczęły się ujawniać. Dekka znalazła się w pobliżu Brianny. Obydwu ciążyły betonowe bloki, w których uwięziono ich ręce. Jedna przy drugiej jadły z koryta. Jak zwierzęta. Właśnie wtedy Dekka zaczęła podziwiać niezłomny duch dziewczyny.

Briannę można było przewrócić, a ona i tak zawsze się podnosiła. Dekka to uwielbiała.

Oczywiście, nic nie mogło z tego wyjść. Brianna była zapewne w pełni hetero. I, w opinii Dekki, miała bardzo kiepski gust, jeśli chodzi o chłopaków.

– To niedaleko – odezwał się Edilio. – Miasteczko duchów jest na wprost przed nami. Bądź gotowa.

– Na co? – mruknęła Dekka. – Nikt mi nic nie wyjaśnił. Sam powiedział tylko, że mam zawalić jakąś jaskinię.

Edilio trzymał na kolanach pistolet maszynowy. Miał także zwykły pistolet. Wyciągnął go spod nóg, także odbezpieczył i podał dziewczynie.

– Zaczynasz mnie trochę niepokoić, Edilio.

– Kojoty – odparł chłopak. – A może i coś gorszego.

– Czyli co?

Zwolnili, jadąc główną ulicą czegoś, co – jak stwierdziła Dekka – niegdyś musiało być miasteczkiem. Zostały tylko ruiny. Deski, pył i płaty starej, popękanej farby.

– Nie czujesz tego? – spytał.

Czuła. Już od paru minut, nie wiedząc, co to takiego, jak to określić.

– Jak blisko musisz być, żeby zrobić swoje? – dopytywał Edilio.

Gdy próbowała odpowiedzieć, okazało się, że ma zbyt sucho w ustach i ściska ją w gardle. Przełknęła kurz i spróbowała jeszcze raz.

– Blisko.

Jeep dojechał do podnóża szlaku. Edilio wykręcił, ustawiając samochód w przeciwnym kierunku. Zostawił kluczyki w stacyjce.

– Nie chcę potem szukać kluczyków – wyjaśnił. – Miejmy nadzieję, że kojoty nie nauczyły się kraść samochodów.

Dekka stwierdziła, że czuje dziwny opór przed wysiadaniem z terenówki. W oczach Edilia dostrzegła zrozumienie i współczucie.

– Tak – powiedział.

– Nawet nie wiem, czego się boję – powiedziała.

– Czymkolwiek to jest – odrzekł – chodźmy to zabić.

Ruszyli pod górę. Wkrótce natknęli się na oblezione przez muchy ścierwo kojota.

– Jednego mniej – stwierdził Edilio.

Ostrożnie ominęli martwe zwierzę. Chłopak trzymał broń w pogotowiu, powoli przesuwając lufę to w jedną, to w drugą stronę.

Pistolet ciążył Dekce w dłoni. Przeszukiwała każdy kamień, każdą szczelinę, czekając w napięciu i naprężając mięśnie, o których istnieniu dotąd nawet nie wiedziała.

Wspinali się z wolna.

I wreszcie ukazało im się wejście do kopalni.

– Możesz to zrobić stąd? – szepnął Edilio.

– Nie – odparła. – Musimy podejść bliżej.

Powłócząc nogami, maszerowali po ziemi i żwirze. Jakby brnęli przez melasę. Każda cząsteczka powietrza zdawała się ich przytrzymywać. Zwolnione tempo. Palec Edilia raz po raz trącał spust. Serce Dekki waliło jak młotem.

Bliżej.

Wystarczy.

Dziewczyna zatrzymała się. Edilio odwrócił się nadzwyczaj powoli, by wycelować pistolet maszynowy w dwa kojoty, które niemal w magiczny sposób pojawiły się tuż nad wylotem szybu.

Dekka wetknęła sobie broń za pasek na plecach. Miała odległe, mgliste wspomnienie, że ktoś jej kiedyś powiedział: „Jeśli wystrzeli, lepiej, żeby zrobił ci dziurę w tyłku niż w... "

Milion lat temu. Milion kilometrów stąd. Na innej planecie. W innym życiu.

Uniosła ręce, rozłożyła je szeroko i...

Jakiś ruch wewnątrz kopalni. Cień bladego ciała wśród cieni.

Lana poruszała się niczym lunatyk. Zatrzymała się przy samym wylocie, tuż pod skalnym występem.

Popatrzyła prosto na Dekkę.

– Nie rób tego – powiedziała głosem, który nie należał do niej.

Gdy po jakimś czasie Sam się ocknął, Brianna klęczała nad nim, a na podłodze leżała otwarta apteczka. Dziewczyna pryskała opatrunkiem w spreju na najgorsze ślady po uderzeniach bicza.

– Drake – zdołał wychrypieć Sam.

– Później się nim zajmę – odparła. – Najpierw ty.

Alarm przestał wyć.

Spróbował usiąść, ale pociągnęła go z powrotem w dół.

– Mocno oberwałeś.

– Tak – przyznał. – Boli. Jakby palił mnie ogień.

– Jest tu coś takiego – powiedziała z powątpiewaniem. Wyciągnęła opakowanie o barwie ochry. Etykieta głosiła: „Siarczan morfiny do iniekcji. 10 mg. "

Sam zacisnął powieki i zęby. Chciało mu się krzyczeć z bólu. Nie był w stanie go znieść. Jakby ciało płonęło, jakby ktoś przykładał mu do skóry rozpalone żelazo.

– Nie wiem – wycedził przez zęby.

– Potrzebujemy Lany – stwierdziła.

– Tak – odparł. – Szkoda, że wysłałem Dekkę, żeby ją zabiła.

Leżał, czując fale tak silnego bólu, że zbierało mu się na wymioty. Morfina uśmierzyłaby ból. Ale pewnie przy okazji wykluczyłaby go z walki. Nikt inny nie mógł powstrzymać Caine'a. Nikt inny...

Musiał działać... Musiał...

Krzyknął w męczarni, nie mógł się powstrzymać, zdusić tego w sobie. Brianna rozdarła opakowanie i wbiła igłę strzykawki w nogę Sama.

Spłynęła na niego fala ulgi. Lecz wraz z nią – zmęczenie, poczucie niesamowitości i senna obojętność. Zapadał się coraz niżej i niżej w jakieś ciemne miejsce. Spadał, pozwalał sobie na to, a Brianna patrzyła na niego w dół, jakby leciał prosto do środka Ziemi.
Zasoby, myślał jakiś strzęp pozostałej mu świadomości.
Broń.

– Bryzo – udało mu się powiedzieć.

– Co, Sam?

– Bryzo...

– Jestem tutaj.

Stwór będzie gotowy. Znał ich moc. Znał ich ograniczenia. Wiedział wszystko to, co Lana. Pewnie też wszystko to, co Caine i Drake.
Ale nie wszystko, co warto było wiedzieć.
Nagłym, spazmatycznym szarpnięciem Sam zdołał chwycić ją za ramię i mocno ścisnąć.

– Bryzo. Bryzo... Sprowadź Ducka.

– Nie zostawię cię, szefie – sprzeciwiła się.

– Promieniowanie. Byłaś narażona.

Nie widział wyrazu jej twarzy. Usłyszał jednak gwałtowny wdech.

– Czy ja umrę? – spytała Brianna. Parsknęła mało przekonującym śmiechem. – Nie ma mowy.

Była teraz tak daleko. O całe kilometry od Sama. W innym świecie. Ale nadal musiał do niej dotrzeć.

– O Boże! – wykrzyknęła.

– Bryzo. Sprowadź Ducka. Kopalnia. Lana.

Wtedy ją puścił, spadł w otchłań i odpłynął od rzeczywistości.

Brianna wpadła do miasta niczym Paul Revere dosiadający rakiety. Pędziła ulicami, waliła w drzwi, krzyczała.

– Duck! Duck, wyłaź!

Ducka nie było. Wiele dzieciaków słyszało jej wołanie i się chowało. Innego dnia może wydałoby się jej to zabawne.

Biegła najszybciej, jak mogła. Ale nie dość szybko, by prześcignąć własny strach. Promieniowanie. Dotknęła zbiornika przy reaktorze. Czy jej los był już przesądzony?

Wpadła na Astrid, idącą w stronę ratusza z bratem Mary, Johnem i własnym dziwacznym braciszkiem. Ciągnęli czerwony wózek. Z początku nie uwierzyła własnym oczom. Na wózku leżała Mary Terrafino, skulona i przykryta kocem, który wlókł się po chodniku.

Brianna wyhamowała i zatrzymała się przed Astrid. Mały Pete krzyczał coś na całe gardło.

– Nestor! Nestor! Nestor!

Jak jakiś uliczny wariat. Brianna nie rozumiała, jak Astrid to znosi. Zauważywszy Briannę, mały Pete przestał. Oczy mu się zaszkliły i wyciągnął z kieszeni ręczną konsolkę do gier.

– Brianna! Z Samem wszystko w porządku? – wykrzyknęła Astrid.

– Nie. Drake go poharatał. – Chciała, żeby zabrzmiało to twardo, ale wezbrał w niej szloch. – O Boże, Astrid, jest taki poraniony.

Astrid jęknęła i zakryła usta dłonią. Brianna ją objęła i zaczęła łkać prosto w jej włosy.

– Umrze? – spytała Astrid drżącym głosem.

– Nie wydaje mi się – odparła Brianna. Cofnęła się i otarła łzy. –

Dałam mu coś na ból. Ale jest w marnym stanie.

Astrid mocno chwyciła ją za ramię, ściskając na tyle mocno, by zadać ból.

– Nestor – powiedział mały Pete.

– Hej – rzuciła Astrid do Brianny. – Weź się w garść.

To zdumiało Briannę. W sumie nigdy nie uważała Astrid za słabą dziewczynkę, ale nie myślała o niej też jak o kimś twardym. Tamta miała jednak zaciśnięte zęby, a spojrzenie zimne i stalowe.

– Nestor – powtórzył chłopczyk.

– Mam znaleźć Ducka – oznajmiła Brianna.

– Ducka? – Astrid zmarszczyła brwi. – Sam pewnie postradał zmysły.

– Duck – powiedział mały Pete.

Astrid wbiła w niego spojrzenie. Brianna zauważyła ten wzrok.

W tym momencie wybuchło jakieś zamieszanie. Ponad dwadzieścioro dzieciaków – niektóre rozbrykane jak podczas karnawału – wyszło zza rogu na plac. Za nimi powoli toczył się kabriolet z opuszczonym dachem i błyskającymi światłami. Z odtwarzacza w samochodzie leciała głośna piosenka, której Brianna nie znała.

Na masce leżała martwa, okaleczona sarna.

Za samochodem, powłócząc jedną nogą, jakby odmawiała mu posłuszeństwa, z zakrwawioną twarzą, szedł Hunter. Dłonie miał pokryte czymś metalicznym i owinięte srebrną taśmą klejącą. Szyję okręcono mu sznurem. Zil trzymał sznur, siedząc na oparciu tylnego siedzenia, niczym ważny polityk podczas parady. Lance prowadził. Antoine, o którym Brianna wiedziała, że jest ćpunem i głąbem, wodził

wokoło czujnym wzrokiem. Pozostałe miejsca zajmowały dwie osoby, których właściwie nie znała. Jedna z nich trzymała odręcznie wypisaną tabliczkę, która głosiła: „Darmowe jedzenie dla normalnych".

– Co to ma... – zaczęła Brianna.

– Nie mieszaj się w to – powiedziała jej Astrid. – Idź pomóc Samowi.

– Nie mogą tego robić! – wykrzyknęła Brianna.

Astrid chwyciła ją za ramię.

– Posłuchaj mnie. Twoje zadanie to pomoc Samowi. Zrób, co powiedział: znajdź Ducka.

– Będą duże kłopoty.

– Źle się dzieje – odparła Astrid. – Bardzo źle. Posłuchaj mnie, Bryzo. Słuchasz mnie?

Ktoś musiał zauważyć Briannę, bo nagle rzuciły się ku nim dzieciaki z pochodu. W rękach dzierżyły kije bejsbolowe, łyżki do opon i przynajmniej jedną siekierę na długim trzonku.

– To odmieniec! Brać ją!

– Szpieguje nas!

– Uciekaj stąd, Bryzo – powiedziała nagląco Astrid. – Znajdź sposób, żeby pomóc Samowi. Jeśli go stracimy, będzie po nas.

– Nie boję się tych gnojków! – wykrzyknęła Brianna. – No, chodźcie, szczyle!

Chcąc nią wstrząsnąć, Astrid chwyciła ją za twarz. Ścisnęła mocno, niczym matka wyprowadzona z równowagi przez bardzo niegrzeczne dziecko. – Tu nie chodzi o ciebie! Uciekaj stąd, ale już!

Brianna cofnęła się. Jej twarz spąsowiała z gniewu. Tłum gnał w jej

stronę. Ale dla nich „gnać" oznaczało jedno, a dla niej zupełnie co innego.

Astrid miała zapewne rację. Nie bez powodu nazywali ją Genialną. Brianna jednak wiedziała, że jeśli tłum straci ją z oczu, za następny cel weźmie zapewne właśnie Astrid.

– Uważaj na siebie – powiedziała do niej.

Błyskawicznie oddaliła się o piętnaście metrów i stanęła.

– Ej, debile. Tu jestem. Chcecie kawałek? Chcecie kawałek Bryzy?

Zauważyli ją, zawrócili i ruszyli za nią, oddalając się od Astrid.

– Łapać ją!

– Łapać popapraną mutantkę!

– Ta, jasne. – Uśmiechnęła się szyderczo. – Chodźcie tu i mnie złapcie.

Poczekała, z zimnym, wściekłym uśmiechem na twarzy, aż pierwszy ze ścigających znajdzie się o trzy metry od niej.

Potem pozdrowiła tłum wyciągniętym, środkowym palcem i oddaliła się z prędkością, której nie dorównałby nawet samochód.

Rozdział 39

47 MINUT

Duck Zhang nieźle się bawił, jeśli pominąć fakt, że od dawna nikt już nie prowadził dystrybucji żywności, a on był tak głodny, że z głodu gorzej widział.

Doszedł do tego, że gorzko żałował straconego sosu do hot dogów, który zamierzał dać Hunterowi.

Ale z drugiej strony przestał się zamartwiać, że zapadnie się pod ziemię aż do roztopionego jądra planety. Stopniowo uczył się kontrolowania tej niedorzecznej mocy, którą posiadał.

Duck nie był geniuszem, ale w końcu do niego dotarło, że jego moc dotyczy gęstości. Mógł kontrolować gęstość swojego ciała, nie rosnąc przy tym ani się nie kurcząc. Potrafił nabrać takiej gęstości, że zapadał się prosto w ziemię. Jakby ktoś wrzucił szklaną kulkę do miseczki z budyniem.

Już się przekonał, że to nic dobrego.

Gdy jednak dokonywał odwrotnego procesu, kiedy rozrzedzał własną gęstość, czego się właśnie uczył, mógł się unosić. Nie latać, ale się unosić. Niczym balon z helem. Wcale nie musiał dokonywać gwałtownych zmian nastroju. Wystarczyło, że postanowił się zapaść. Albo wznieść.

Unoszenie się było znacznie lepsze. Cały świat zmieniał się w coś w rodzaju ogromnego basenu. I tym razem nikt nie zepsuje mu zabawy. Unosił się teraz jakieś piętnaście metrów nad placem. Wystartował

przy szkole. Wzbił się, a potem po prostu... dryfował. Martwił się jedynie tym, by nie odlecieć zbyt daleko od miasta, bo potem czekałby go daleki marsz do domu. Jeszcze gorzej, nad morze. To mogło się źle skończyć. Wyobrażał sobie, na przykład, że przyśnie, a potem zbudzi się i odkryje, że jest trzy kilometry od brzegu. W ciemności. To by oznaczało kawał drogi do pokonania wpław.

– Potrzeba mi – odezwał się do dachu pod sobą – czegoś w rodzaju skrzydeł. Albo plecaka rakietowego. Wtedy mógłbym naprawdę latać. Jak Superman.

Była to radosna myśl. Dzięki niej nieco łatwiej było utrzymać się w powietrzu i nie stracić zimnej krwi.

Inny problem polegał na tym, że, inaczej niż w wodzie, w powietrzu trudno było się poruszać. Ruch w górę lub w dół nie przedstawiał trudności, ale już w przód czy w tył wydawał się niemożliwy. Ciężko było się nawet na przykład przekręcić, gdy człowiek przybrał pozycję plecami w dół.

Jak się właśnie przekonywał.

W istocie leżał teraz jakby na boku i próbował się odwrócić, by patrzeć na ziemię. Ale nie sposób było odpychać się od powietrza. Pomyślał jednak, że nie szkodzi. Nauczy się.

Jedną z rzeczy, które rozważał, było zebranie kapusty lub melonów. Nie teraz, gdy zachodziło słońce. Ale może rano. Tyle pysznego jedzenia czekało na polach. Mógłby się unosić tuż nad ziemią, poza zasięgiem zębaków, ale zdolny sięgnąć w dół, by zerwać ładny, soczysty melon.

Problem polegał na tym, jak się w ogóle dostać na plantację. I jak

potem wrócić. Gdyby zabrakło wiatru mógłby tak bez końca wisieć nad śmiercionośnym polem.

Nie była to miła myśl. Żadną miarą. Aby jego moc stała się rzeczywiście użyteczna, musi nauczyć się poruszać w powietrzu.

W tej chwili wystarczająco ciężko było mu nawet obserwować ziemię w dole.

A w dole coś się działo. Na placu toczyły się jakieś ważne wydarzenia. Ktoś wjechał kabrioletem na trawnik. Sam nie będzie zadowolony. I teraz z pięćdziesięcioro dzieciaków kłębiło się, jakby urządzały przyjęcie.

Duck poczuł zapach mięsa, zanim jeszcze je zobaczył.

Musiał mocno zmrużyć oczy w słabnącym świetle. Aha, było tam, na masce samochodu. Sarna.

Ktoś rozpalał ogień w pozbawionej wody fontannie. Dym drażnił nozdrza Ducka. Chłopak unosił się na lekkim wietrze, głodny jak wilk. Zapach mięsa drażnił. Nic dziwnego, że dzieciaki szalały.

Nie widział, co to za jedni, dostrzegał tylko czubki ich głów, a po nich niewiele dało się poznać. Potem jednak zauważył, że jeden chłopiec został przywiązany sznurem do zderzaka samochodu.

Nagle ogarnęły go bardzo złe przeczucia co do całego tego zgromadzenia.

Rozpoznał znajomą twarz, Mike'a Farmera, jednego z żołnierzy Edilia. Patrzył w górę, prosto na niego.

Duck pomachał mu. Uśmiechnął się. Już miał zawołać: „Cześć, co się tam dzieje?"

I wtedy Mike krzyknął:

– Tam jest jeden! Patrzcie! To jeden z nich!

Jakich „nich"?, pomyślał Duck.

Kolejne twarze odwracały się ku niemu. Nawet ten związany chłopak. Hunter. Tak to był Hunter, i nie sprawiał najlepszego wrażenia. Wyglądał, jakby go pobili.

Inni podnieśli wzrok na Ducka. W końcu uczynił to też Zil.

Duck stwierdził, że Zil mu się przygląda. Patrzył mu w oczy. W jednej straszliwej chwili zdał sobie sprawę, co się odbywało na dole. Sam wyjechał. Edilio wyjechał. Nikt nie rządził. Wszyscy przywódcy byli poza miastem. A Zil uwięził Huntera i serwował świeże mięso.

– Szpieg trolli! – zawołał Turk.

– Brać go! – krzyknął Zil.

Ktoś rzucił kamieniem. Duck zobaczył, jak kamień wznosi się ku niemu, zatacza łagodny łuk i spada.

Drugi kamień, bliżej, ale wciąż zbyt nisko.

A potem Mike uniósł karabin do ramienia i wycelował.

*** * ***

Sam jechał autobusem. Słońce jasno świeciło przez okna.

Pojazdem mocno trzęsło. Quinn siedział obok. Ale coś z nim było nie tak, coś, na co Sam starał się nie patrzeć.

Sam czuł, że wszyscy się na niego gapią, wlepiają oczy w jego potylicę. Słyszał muzykę, płynącą z daleka. Zespół Against Me! z kawałkiem *Borne on the FM Waves of the Heart.*

Coś się działo na przodzie autobusu. Kierowca. Trzymał się za

serce.

Byłem tam, pomyślał Sam. To się zdarzyło.

To się zdarzyło.

Tyle że tym razem będzie inaczej. Poprzednio, tak dawno temu, chwycił za kierownicę, gdy kierowca osunął się po ataku serca.

Ale czy mężczyzna miał wtedy mackę owiniętą wokół szyi?

I czy Sam krzyczał?

Zerwał się na nogi, zaskoczony, że to robi. Nie miał takiego zamiaru. Wstał jednak i kołysał się z boku na bok, chwytając się oparć siedzeń aby utrzymać równowagę.

Kierowca odwrócił się i wyszczerzył do niego ociekające krwią zęby. Barierka otworzyła się niczym wielka brama i autobus z rykiem runął z urwiska. Kamienie i fale gnały ku niemu, spadał i spadał pełen dzieciaków, które właściwie nie reagowały, nie dbały o nic, po prostu patrzyły z uśmiechem na kierowcę, a teraz dżdżownice...

Sam próbował krzyknąć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Dusiła go wężowata macka kierowcy, w głowie wirowało.

Wiedział, że to tylko sen, tak, to musiał być sen, bo autobus spadał bez końca, a nic nie mogło spadać bez końca...

Senny krajobraz zmienił się nagle i Sam nie był już w autobusie. Wszedł właśnie do swojej kuchni, a tam Astrid, nie matka, którą spodziewał się ujrzeć, lecz Astrid, krzyczała na kogoś, kogo nie widział.

Nie ma na to czasu, powiedział sobie. Nie ma teraz czasu na sny.

Szkoda tracić go tutaj.

Obudź się, Sam.

Ale żadna część jego ciała nie funkcjonowała już, jak należy.
Krępowało go tysiące maleńkich lin, które wiły się niczym węże albo robaki.
A jednak teraz w jakiś sposób się poruszał.
Otworzył oczy. Czy naprawdę to widział? Czy widział pomieszczenie, podłogę, kopułę, oddalone o miliony kilometrów?
Czy to w ogóle było prawdziwe?
Na podłodze leżało coś, co wyglądało jak przedmiot wyniesiony przez wodę z dna największej oceanicznej głębiny. Blady i mięsisty, wilgotny.
To coś miało najwyżej pół metra długości. Lekko pulsowało, poruszając się w bardzo nieznacznym stopniu. Trochę na podobieństwo ślimaka.
Sam był pewien, że powinien wiedzieć, co to takiego. Nie miał jednak nawet pewności, czy ta rzecz naprawdę istnieje. A teraz musiał iść.
Teraz albo nigdy. Wydostać się z mrocznej otchłani i wyjść do świata, dopóki morfina działała.
To nie istnieje naprawdę, pomyślał, przechodząc obok ślimaka.
A może, powiedział sobie, przesuwając jedną stopę naprzód, może nic z tego nie istnieje. Oprócz tego jednego kroku. I tego. I jeszcze tego.

Duck poczuł podmuch pierwszego pocisku. Pognał w górę najszybciej, jak mógł. Czyli niezbyt szybko.
Drugi pocisk przeleciał dalej od celu.
– Ej! Przestańcie! – zawołał Duck.
– Odmieniec! Odmieniec! – podniosły się okrzyki.
– Nikomu nie zrobiłem krzywdy! – odkrzyknął Duck.

– To czemu nie zejdziesz na dół? – zawołał Turk. Po czym, jakby powiedział coś genialnego, przybił piątkę z pulchnym chłopakiem, trzymającym w garści flaszkę.

Jakieś pięćdziesiąt twarzy patrzyło teraz na Ducka. W blasku ognia widać było pomarańczowe rozbłyski i czarne cienie. Kolory Halloween. Twarze wyglądały dziwnie. Niewielkie owale z wlepionymi w górę oczami i otwartymi ustami. Ledwie je rozpoznawał, bo zwykle nie tak patrzy się na ludzi, nie z wysoka, gdy oni wyciągają szyje.
Ujrzał lufę karabinu i twarz za nią, z jednym okiem otwartym, a drugim szczelnie zamkniętym. Strzelec celował. W niego.

– Dorwij go! – zachęcał Zil. – Dostaniesz pierwszy stek, jeśli go trafisz.

– Mike! – krzyknął Duck. – Jesteś żołnierzem, stary. Nie powinieneś...

Zobaczył rozbłysk z lufy. Usłyszał huk.

– Dlaczego do mnie strzelasz? – krzyknął.

Staranne celowanie. Błysk. Głośny trzask.

– Przestań, chłopie!

– Pudłujesz! – krzyknął Zil.

– Daj mi ten głupi karabin – zażądał Hank. Wyskoczył z kabrioletu i pobiegł w stronę Mike'a.

Możliwe, że przepychający się Hank uratował Duckowi życie. Trzeci pocisk świsnął tuż obok niego.
Hank chwycił karabin.
Tymczasem Duck wzniósł się o kolejnych dziesięć czy dwanaście metrów, wyżej, niż kiedykolwiek przedtem. Wysokość przyprawiała go o zawroty głowy. Widział dach ratusza. Po jednej stronie dostrzegał

szkołę, po drugiej Clifftop. Wzrokiem sięgał daleko w morze.
Wisiał na wysokości około trzydziestu metrów, dziesięciu pięter. Tutaj bryza od morza była odrobinę silniejsza i popychała go delikatnie z powrotem w głąb lądu, niczym balon z helem.
Zbyt wolno.
Hank strzelił. Pudło. Ale mało brakowało.
To było szaleństwo. Wznosił się i wznosił, ale zbyt wolno, zbyt wolno, a Hank miał aż nadto czasu, by starannie wycelować, zrównać szczerbinkę z muszką tuż poniżej celu, nacisnąć spust i wystrzelić nabój.
Duck naprężył się, czekając na pocisk. Zastanawiał się, czy kula trafi go w nogę lub w ramię, wywołując potworny ból, czy też uderzy w serce albo głowę i go wykończy.
Hank nacisnął spust. Nic się nie stało.
Z niesmakiem rzucił karabin Mike'owi.
Mike gorączkowo przeładował, ale w czasie, który poświęcił na wsunięcie kolejnego magazynka, Duck poleciał już wyżej i dalej.
Hank strzelił. Zanim kula dotarła do Ducka, siła ciążenia spowolniła jej lot. Duck widział, jak przelatuje mu koło głowy. Zanotował moment, w którym osiągnęła punkt kulminacyjny. A potem patrzył, jak opada z powrotem ku ziemi.
Zwymiotował, przelatując nad kościołem. Pewnie była to profanacja. Ale miał pusty żołądek, więc niewiele spadło na zburzony budynek.
Duck dalej płynął w powietrzu. Oddalał się od grozy, rozgrywającej się na placu. Zamierzali zabić Huntera. Huntera, który błagał go o pomoc.

Nic nie mógł zrobić. Leciał tam, gdzie powiał wiatr. Lecz gdyby nawet wiatr poniósł go w przeciwnym kierunku, i tak nic by nie mógł zrobić – co najwyżej dać się postrzelić.

– Supermoce – powiedział do siebie – nie zawsze robią z ciebie superbohatera.

Znowu zatraciła siebie.

Ciągle przychodziła i odchodziła. W jednej chwili tam była, a w następnej już nie.

Czasami znajdowała się w sobie. We wnętrzu własnego mózgu.

Czasami zaś przebywała gdzie indziej i patrzyła na siebie z dystansu.

Jakże przykro było patrzeć, co się stało z Laną Arwen Lazar.

Potem znów tam była, we wnętrzu swojej zwieszonej głowy, i wyglądała z niej przez przekrwione oczy.

Teraz szła. Na dwóch nogach. Szła.

Widziała kamienne ściany po bokach.

Niebezpieczeństwo z przodu – gaiaphage je wyczuwał, a ona wraz z nim. Należało je powstrzymać.

Lana miała coś wziąć. Coś, co upuściła.

Zatrzymała się. Gaiaphage nie wiedział, jak to nazwać. I przez chwilę Lana nie mogła się rozeznać w obrazach, które pojawiły się w jej głowie. Płaskie, stalowe powierzchnie. Karbowany uchwyt.

– Nie – powiedziała do stwora błagalnym tonem.

– Nie! Nie chcę! – wykrzyknęła, klękając.

Jej ręka sięgnęła. Palce dotknęły. Był zimny. Palec wskazujący owinął się na spuście. Gdyby tak mogła unieść go do własnej głowy,

to...

A jednak szła, czując ciężar w dłoni. Był tak potwornie ciężki.

Dotarła do półciężarówki, wciąż blokującej wejście do jaskini. Szlochając, wpełzła na maskę. Przez zbitą szybę wśliznęła się do środka, obojętna na szkło, które przecinało jej dłonie i kolana.

Dlaczego nie mogła się zatrzymać? Dlaczego nie mogła zatrzymać tej ręki, tej nogi?

Blask gwiazd w górze wydawał się oślepiający, gdy stanęła u wylotu sztolni.

Tam krył się wróg, niebezpieczeństwo.

Lana znała imię wroga. Wiedziała, co zrobi. Gdy gaiaphage się pożywi, zaatakuje Dekkę.

Ale jeszcze nie.

– Nie rób tego – zwróciła się Lana do Dekki. – Nie rób.

Dekka zamarła. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

Ten drugi stał z boku. Nosił broń. Jego imię także znała. Edilio. Ale nie on stanowił zagrożenie.

– To Lana – powiedziała Dekka.

– Lano, biegnij do nas! – zawołał Edilio, wyciągając rękę.

Lana poczuła obezwładniającą falę smutku. Szloch, który wypełniał cały świat. Zupełnie jakby ta wyciągnięta ręka byłą wszystkim, co widziała i czuła. Tak bardzo chciała do niej sięgnąć.

– Chodź, Lano – ponaglał Edilio.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jej głowa poruszyła się powoli, z boku na bok.

– Nie chcę – powiedział jej głos.

Lana podniosła pistolet.

– Ja nie... – szepnęła.

Wymierzyła. W jej głowie rozbrzmiewał, krzyk, krzyk i krzyk.

– Lano, nie! – krzyknęła Dekka.

Lana nie słyszała wystrzału. Ale poczuła odrzut broni w ręce. Zobaczyła język ognia.

I zobaczyła, że Edilio pada w tył.

Że ląduje na plecach.

Głowa mu podskoczyła, gdy uderzył w ziemię.

Zmieniła cel. Celownik znalazł się w jednej linii z Dekką, która stała sparaliżowana z przerażenia.

Lana nacisnęła spust.

Klik.

Klik.

Dekka uniosła dłonie. Na jej twarzy malowały się wściekłość i determinacja. Nie użyła jednak swojej mocy. Oczy jej rozbłysły.

Opuściła ręce i ruszyła do Edilia.

Uklękła nad nim. Jęknęła. Przycisnęła dłonie do rany w jego piersi. Próbowała zatamować krew.

– Lana. Lana – błagała, a po policzkach płynęły jej łzy. – Pomóż mu.

Lana stała oszołomiona. Pistolet nie działał. Dlaczego? To nie było jej pytanie. To nie była jej myśl.

Gaiaphage był zagubiony. Dlaczego broń nie zabijała? Nie rozumiał. Tak wiele wiedział. Ale nie wszystko.

Pistolet wysunął się Lanie palców. Usłyszała, jak brzęknął o kamienie.

– Lano, możesz go uratować – prosiła Dekka.

Nikogo nie mogę uratować, pomyślała Lana. Nawet samej siebie.

Lana cofnęła się o dwa kroki.

Ostatnim, co zobaczyła, była Dekka, klęcząca przy Ediliu.

Lana wróciła do swojego pana.

Rozdział 40

38 MINUT

Słońce tonęło w morzu. Cienie wydłużały się aż do Perdido Beach. Plac pełen był dzieciaków. Przyszło ich znacznie więcej, niż Zil mógł wykarmić jedną sarną.

Na początku się niepokoił. Ale potem wpadł na proste rozwiązanie: jeść będą tylko ci, którzy wezmą udział w uśmiercaniu Huntera. Ci, którzy będą się wyłącznie przyglądać, nic nie dostaną.

Kto przyłoży do tego rękę, stanie się częścią grupy Zila. Ponad wszelką wątpliwość dowiedzie swojej lojalności. Spali za sobą mosty. Potem ciałem i duszą będzie należeć do niego.

Zostanie dożywotnim członkiem Ekipy Ludzi.

W wyschniętej fontannie powstało wielkie ognisko. Ktoś mądry pobiegł do sklepu z narzędziami i zmajstrował rożen, na którym teraz piekły się kawałki mięsa, odrąbane siekierą.

Zapach był niesamowity.

Turk wziął farbę w spreju i oznaczył fontannę oraz niektóre płyty chodnikowe stylizowanym logiem „EL", wymyślonym przez Lisę.

– Jak to zrobimy, stary? – spytał Antoine.

– Co zrobimy? – odpowiedział pytaniem Zil.

– Hunter. Jak to zrobimy?

Hunter ocknął się po uderzeniu w głowę. Próbował wyswobodzić ręce, ale Hank mocno mu przyłożył. Niektórzy krzyknęli z aplauzem. Innym najwyraźniej zrobiło się niedobrze.

– Ziut – Turk bezpośrednio wykonał komiczny gest, naśladujący wieszanie.

– Gdzie? O to pytam, stary – wyjaśnił Antoine. Bełkotał tak bardzo, że ledwo dało się go zrozumieć. Upił się.

– Tam. – Lance wskazał zrujnowany kościół.

– Tam, gdzie były drzwi? To taki łuk. Można przełożyć sznur przez tę dziurę. Jeden koniec to pętla na szyi Huntera, nie? Drugi może być bardzo długi. Może sięgać przez cały plac, tak żeby ciągnęło za niego ze sto dzieciaków.

Zmarszczył brwi i się rozejrzał.

– Podciągnie się go i będzie można przywiązać sznur do któregoś z tych drzew, na samym dole.

Zil z ciekawością popatrzył na Lance'a. Wydawało się dziwne, że ten lubiany chłopak tak się angażuje, a nawet przedstawia własny pomysł na egzekucję. Dziwne. Lance nie miał w sobie nic z kipiącej, szaleńczej wściekłości Hanka. Nic z desperackiego lizusostwa Turka. Nie był żałosny i wypalony jak Antoine.

– To dobry plan, Lance – pochwalił Zil.

W oczach Hanka zalśnił niebezpieczny błysk.

– Jeśli mamy to zrobić, lepiej bierzmy się do roboty – powiedział Turk. – Astrid to laska odmieńca. I jest jeszcze Brianna. Może sprowadzić Sama.

– Sam jest zajęty. Poza tym wcale się go nie boję. Mamy wszystkie dzieciaki po swojej stronie – powiedział Zil z większą pewnością siebie, niż naprawdę odczuwał. – Ale tak, zaczynajmy. Hank. Lance. Naszykujcie sznur.

Wspiął się na bagażnik kabrioletu.

– Hej, wszyscy! Słuchajcie!

Niemal natychmiast wszystkie oczy zwróciły się na niego. Tłum był głodny, pełen desperacji i bardzo niecierpliwy. Kilka osób próbowało rzucić się na mięso i wyrwać kawałek z płomieni. Zostały siłą odparte przez Hanka i grupę dzieciaków, które ten zwerbował na ochroniarzy.

– Jedzenie gotowe – ogłosił Zil wśród głośnych okrzyków. – Ale zanim zjemy, mamy coś ważniejszego do załatwienia.

Jęki.

– Musimy wymierzyć sprawiedliwość.

Odpowiedzią były milczące spojrzenia, aż w końcu Turk i Hank zaczęli machać rękami i pokrzykiwać, pokazując ciżbie, jak się zachować.

– Ten mutant, ten nędzny nieczłowiek, ten popapraniec Hunter... – Zil wyciągnął ręce, wskazując jeńca. – Ten troll umyślnie zabił mojego najlepszego przyjaciela Harry'ego.

– Niepfafta – powiedział Hunter. Jego głos ciągle nie działał jak należy. Uszkodzenie mózgu, pomyślał Zil, od tego lekkiego uderzenia w głowę. Połowa twarzy chłopaka opadła, jakby nie była właściwie przyczepiona. Tłumowi dzieciaków tym łatwiej było z niego drwić, a Hunter, śliniąc się i krzycząc głosem głupca, wcale sobie nie pomagał.

– To morderca! – wrzasnął nagle Zil, uderzając pięścią w otwartą dłoń. – Odmieniec! Mutant! – krzyczał. – A wiemy, jacy oni są, prawda? Zawsze mają dużo jedzenia. Wszystkim rządzą. Oni mają władzę, a my głodujemy. Czy to zbieg okoliczności? Ależ skąd!

– Niepfafta – jęknął znowu Hunter.

– Brać go! – wydarł się Zil do Antoine'a i Hanka. – Brać go, tego mutanta, mordercę i drania!

Chwycili Huntera za ramiona. Mógł chodzić, ale powłóczył jedną nogą. Na wpół go ponieśli, na wpół poprowadzili przez plac. Zaciągnęli go na schody kościoła.

– Dobra – powiedział Zil. – Tak to zrobimy. – Machnął ręką w kierunku sznura, który Lance rozwijał, idąc przez plac.

Pełna wyczekiwania cisza. Niebezpieczna euforia, zawroty głowy. Zapach mięsa doprowadzał wszystkich do szaleństwa. Zil wyraźnie to czuł.

– Każdy z was chce trochę tej wyśmienitej dziczyzny?

Rozległ się entuzjastyczny ryk.

– No to łapcie za sznur.

Kilkanaście osób skoczyło, by chwycić za sznur. Pozostali się wahali. Zerkali w stronę kościoła. Spoglądali na Huntera, trzymanego przez ekipę Zila.

Lance zawiązał pętlę.

Hank przepchnął ją Hunterowi przez głowę i zacisnął na szyi.

Wśród ciżby wybuchło jednak zamieszanie. Ktoś próbował się przedostać. Dzieciaki krzyczały na intruza. Zaczęły się przepychanki. W końcu jednak pojawiła się Astrid, potargana, zaczerwieniona, wściekła. Nie ciągnęła już wózka. Nie było też przy niej Johna. I dobrze, pomyślał Zil: Mary i John byli powszechnie lubiani. Wiele osób spośród obecnych miało młodsze rodzeństwo w przedszkolu.

Z Astrid było inaczej. Była związana z Samem, a dzieciaki uważały ją za zbyt dumną. Poza tym miała braciszka, który przyprawiał o gęsią

skórkę. Nikt go nie lubił. Krążyła plotka, że to jakiś potężny odmieniec. Był jednak zbyt ograniczony, by cokolwiek zrobić. To strata czasu trzymać debila przy życiu, kiedy ludzie głodują.

– Przestańcie! – krzyknęła Astrid. – Przestańcie, ale już!

Zil popatrzył na nią. Był niemal zaskoczony, że nie daje się jej zastraszyć. Genialna Astrid. Dziewczyna Sama. Jedna z trzech-czterech najważniejszych osób w ETAP-ie.

Zil jednak miał za sobą siłę tłumu. Czuł ją sercem i duszą, niczym narkotyk, dzięki któremu stał się wszechmocny. Niepokonany i nieustraszony.

– Odejdź, Astrid – powiedział. – Nie lubimy tu zdrajców.

– Tak? A lubimy morderców?

Zil zauważył, że jest bardzo ładna. Znacznie atrakcyjniejsza od Lisy. A skoro teraz on przejmował władzę...

– Przyszliśmy tutaj, żeby stracić zabójcę – powiedział, wskazując Huntera. – Wymierzamy sprawiedliwość w imieniu wszystkich normalnych.

– Nie ma sprawiedliwości bez procesu – stwierdziła.

Zil się uśmiechnął. Rozłożył ręce.

– Proces się odbył. A ten nędzny troll został uznany winnym zamordowania normalnego człowieka.

– Karą – dodał – jest śmierć.

Astrid odwróciła się twarzą do tłumu.

– Jeśli to zrobicie, nigdy sobie nie wybaczycie.

– Jesteśmy głodni! – wykrzyknął jakiś głos, po którym natychmiast, niczym echo, odezwały się inne.

– Chcecie zamordować chłopaka w kościele? – spytała Astrid, wskazując świątynię. – W kościele? W Domu Bożym?

Zil zauważył, że te słowa wywarły wrażenie. Niektórzy zaczęli spoglądać po sobie nerwowo.

– Nigdy nie zmyjecie krwi z rąk! – wołała Astrid. – Jeśli to zrobicie, nie zdołacie o tym zapomnieć. Co by powiedzieli wasi rodzice?

– W ETAP-ie nie ma rodziców. Boga też nie ma – powiedział Zil. – Są tylko ludzie, którzy próbują przeżyć, i odmieńcy, którzy zabierają wszystko dla siebie. A ty, Astrid, nic, tylko pomagasz odmieńcom. Czemu? Naprawdę się zastanawiam. Czemu?

Zaczynało mu to sprawiać prawdziwą przyjemność. To było naprawdę miłe, patrzeć na śliczną, mądrą Astrid, gdy była tak bezradna.

– Wiecie, co myślę? – spytał. – Myślę, że Astrid może mieć jakąś moc, o której nikomu nie mówiła. Albo... – Zawiesił głos dla większego efektu. – Albo to ten mały debil ma moc.

Zobaczył, że na jej twarzy zaczyna malować się strach. Słuszny gniew ustępował miejsca lękowi.

Była taka mądra, taka elokwentna. A przy tym taka głupia, pomyślał Zil.

– Zdaje się – powiedział – że mamy paru nowych odmieńców na naszym pikniku.

– Nie – szepnęła dziewczyna.

– Hank – rzucił Zil, kiwając głową.

Astrid odwróciła się zbyt późno, by ujrzeć za sobą Hanka. Zamachnął się. Astrid poczuła cios tak, jakby uderzył w nią.

Uderzył w małego Pete'a.

Chłopczyk padł jak marionetka z odciętymi sznurkami.

– Teraz! – wykrzyknął Zil. – Łapać ją!

Diana nie mogła w to uwierzyć. Szybko i z dużą łatwością wspięli się na wzgórze, z którego rozciągał się widok na elektrownię, i znaleźli pręt paliwowy.

Nietrudno było go znaleźć. Suche krzaki, na które spadł, zajęły się ogniem. Nikłym płomieniem. Caine bez trudu wzniósł pręt wysoko w powietrze.

Jack stał pod prętem i pocił się z gorąca, a także, jak odgadywała Diana, ze strachu. Ogień stanowił jedyne źródło światła.

– Nie widzę żadnych pęknięć ani złamań – stwierdził Jack. Wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak żółty pilot, i wbił w to spojrzenie.

– Co to?

– Dozymetr – odparł chłopak. Pstryknął przełącznikiem. Diana usłyszała nieregularne kliknięcia. Klik. Klik-klik. Klik. Klik-klik-klik.

– Nic nam nie grozi – powiedział Jack i odetchnął z ulgą. – Jak na razie.

– Co to za dźwięk?

– Klika za każdym razem, gdy wykryje radioaktywną cząsteczkę. Gdyby klikał bez przerwy, mielibyśmy problem. Kiedy poziom promieniowania staje się niebezpieczny, wydaje jednostajny dźwięk.

Nawet w takiej sytuacji Jack chętnie popisywał się swoją wiedzą. Mimo że wiedział, co się stało i co się właśnie dzieje oraz co będzie dalej.

– To, co teraz słyszycie, to tylko promieniowanie naturalne.

– Wynośmy się stąd – powiedział Caine. – Ogień idzie do góry. Musimy być przed nim.

Wdrapali się na wzgórze. Ogień ich nie gonił. Wyglądało na to, że się nie rozprzestrzenia. Może dlatego, że nie było wiatru.

Po drugiej stronie zeszli w dół, do autostrady.

Nikt ich nie gonił. Sama nie było nigdzie widać.

Odpoczęli – a raczej padli z nóg – w wypożyczalni samochodów Enterprise. Dwaj żołnierze zaczęli przetrząsać zakurzone biurka i szafki na dokumenty w poszukiwaniu żywności.

Jeden z nich wyciągnął triumfalnym gestem małą puszkę twardych miętówek. Cukierków było dziewięć. Wystarczyło, by każdy dostał po jednym. Potem chłopak ślinił się nad czterema, które zostały.

– Pora zdobyć samochód – oznajmił Caine. Zostawił pręt paliwowy na zewnątrz, oparłszy go o ścianę. – Potrzebny nam wóz z otwartym dachem.

Uniósł jedną z miętówek, by obaj żołnierze wyraźnie ją zobaczyli.

– Dla tego, kto znajdzie mi najlepszą brykę. Z kluczykami.

Tamci rzucili się w kierunku drzwi. Dianę ścisnęło w żołądku, tak mocno, że aż krzyknęła. Mały cukierek nie zaspokajał głodu, a tylko go wzmagał.

W wypożyczalni nie było światła, podobnie jak na autostradzie. Słaby blask pochodził tylko z nie-gwiazd i nie-księżyca.

– Czy on ma jakąś ksywę? – ciągnęła niepowstrzymanie Diana. – Znaczy „gaiaphage"... to strasznie długie. Możemy nazywać go „phage"? A może po prostu „G"?

Z zewnątrz dobiegł hałas rozdzieranego metalu i rozbijanego szkła. Jack przerabiał terenówkę na kabriolet.

– Potwór G – powiedziała.

Po chwili drzwi wpadły do środka. Jack.

– Ktoś się zbliża – oznajmił naglącym tonem. – Drogą.

– Jedzie? – spytał Caine, zrywając się na nogi.

– Nie. Słyszeliśmy kroki, jakby ktoś biegł.

Diana poczuła radość w sercu. Sam. To musiał być on. Jednocześnie jednak ogarnęło ją przerażenie. Sam pragnął zatrzymać Caine'a. A ona nie chciała jego śmierci.

Caine wyskoczył na zewnątrz, Diana za nim, i rozległy się strzały. Dwaj żołnierze strzelali na oślep wzdłuż autostrady. Jasny, żółty ogień tryskał z luf, rozbrzmiewał ogłuszający huk, a z nieprzeniknionej ciemności dobiegał głos, który przeklinał, krzyczał, by przestali, i znowu wściekle przeklinał.

– Wstrzymać ogień, idioci! – ryknął Caine.

Huk wystrzałów ustał.

– To ty, Drake? – zawołał jeden z żołnierzy drżącym, pełnym lęku głosem.

– Wybatożę cię tak, że zejdzie ci skóra! – wydarł się Drake.

Ujrzeli wychudłego psychopatę, o oczach połyskujących w promieniach księżyca i potarganych włosach. Poruszał się w niezwykły dla siebie sposób. Tuląc biczowatą mackę w drugiej ręce.

Było w tym coś dziwnego. Diana nie do końca wiedziała, co.

– Co cię zatrzymało? – spytał Caine.

– Co mnie zatrzymało? Sam. Załatwiłem go – oznajmił Drake. – Ja.

Okładałem go tak, że nigdy się nie wyliże. Nigdy, po tym, co mu...

– Rety – odezwał się Jack, tak wstrząśnięty, że ośmielił się przerwać mu w pół słowa. – Twoja... twoja... no wiesz.

Dopiero w tym momencie Diana zobaczyła, że macka Drake'a kończy się płaską powierzchnią. Kikut.

I wtedy, ku zdumieniu Diany, Drake załkał. Tylko raz. Jeden stłumiony szloch. A jednak jest człowiekiem, pomyślała dziewczyna. W niewielkim stopniu. Ale zna strach, potrafi odczuwać ból.

– Nie zabiłeś go? – zwrócił się do niego Caine.

– Mówiłem ci! – wykrzyknął Drake. – Już po nim!

Caine pokręcił głową.

– Jeśli go nie zabiłeś, to nie po nim. W sumie wygląda na to, że ostatni raz walczyłeś z Samem. Tą częścią ciała, której teraz ci brakuje.

– To nie sprawka Sama – odparł Drake przez zaciśnięte zęby. – Mówię wam, załatwiłem Sammy'ego! Ja! Załatwiłem go!

– To czemu jesteś taki... wybrakowany? – spytała Diana, która nie mogła się powstrzymać i musiała dogryźć nieprzyjacielowi.

– Brianna – powiedział.

Kątek oka dostrzegła, że głowa Jacka się podniosła, a pierś wydała westchnienie.

– Przyszła. Za późno, żeby ocalić Sama. Więcej go nie zobaczycie.

– Uwierzę, kiedy obejrzę jego truchło – odparł Caine oschłym tonem.

Diana pomyślała, że wątpliwości Caine'a są uzasadnione. Głos Drake'a był zbyt natarczywy. Zbyt piskliwy. Zbyt uporczywie starał się ich przekonać.

– Ruszajmy – zadecydował Caine.

Jeden z żołnierzy przekręcił kluczyk w okaleczonym Escalade. Akumulator był słaby. Z początku zdawało się, że silnik nie zaskoczy. W końcu jednak obudził się do życia. W samochodzie zapaliły się lampki. Blask reflektorów bił jasno, do bólu.

– Wszyscy do środka – nakazał Caine. – Jeśli Drake ma rację i załatwił Sama, choćby tylko na jakiś czas, nie musimy się ukrywać. Do kopalni mamy piętnaście kilometrów. Będziemy tam za dwadzieścia minut.

– Gdzie moja miętówka? – spytał Jack.

Caine uniósł pręt paliwowy i trzymał go nad ich głowami. Na tyle blisko, że było im gorąco jak na plaży, w samo południe.

Mały Pete leżał nieprzytomny.

Astrid była ciągana, kopana i popychana, gdy Antoine wiązał jej nadgarstki i dyszał alkoholem prosto w jej twarz.

Kręciło jej się w głowie. Co robić? Co powiedzieć, by powstrzymać to szaleństwo?

Nic. Nic nie mogła teraz powiedzieć, jako że tłumem rządził głód. Nie mogła nic zrobić, tylko obserwować.

Astrid patrzyła na wszystkie twarze, szukając ludzkich uczuć, do których mogłaby się odwołać, by ich powstrzymać, nawet teraz.

Widziała tylko szaleństwo. Desperację.

Byli zbyt głodni. Zbyt przerażeni.

Zabiją Huntera, a potem Zil przyjdzie po małego Pete'a i po samą Astrid. Nie będzie miał wyboru. W chwili, gdy Hunter zginie, Zil i jego

banda wyrysują krwią linię przez środek ETAP-u.

– Panie Jezu, wiem, że patrzysz – zaczęła się modlić. – Nie pozwól im na to.

– Jesteście gotowi? – wydarł się Zil.

Tłum odpowiedział rykiem.

– Dobry Boże... – modliła się Astrid.

– Pora na sprawiedliwość!

– ... nie.

– Edilio, nie umieraj – prosiła Dekka. – Nie umieraj.

Chłopak wydał z siebie bulgoczący dźwięk, próbując coś powiedzieć.

Dekka rozdarła mu koszulkę. W piersi ziała dziura, tuż nad lewym sutkiem. Przyłożyła do niej dłoń i krew zaczęła się sączyć spod jej palców. Gdy cofała rękę, choćby na sekundę, krew tryskała strumieniem.

– O Boże – załkała.

Kolejny bulgot i Edilio próbował podnieść głowę.

– Nie ruszaj się – nakazała Dekka. – Nic nie mów.

Lecz głowa chłopaka nagle poderwała się do góry.

Zdawało się, że próbuje chwycić ją za kołnierzyk, ale nie sięgał, a palce nie mogły się zacisnąć. Edilio opuścił rękę i wyglądało na to, że na chwilę stracił zmysły.

Wtedy jednak, z wysiłkiem, który musiał być niemal nadludzki, wypowiedział dwa słowa:

– Zrób to.

Dekka wiedziała, o co mu chodzi.

– Nie mogę, Edilio, nie mogę – powiedziała. – Tylko Lana może cię teraz uratować.

– Zrób... uch...

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie umrzesz, Edilio.

Od tyłu chwyciła go za klatkę piersiową. Jakby wykonywała na nim rękoczyn Heimlicha. Jego własnym ciężarem naciskała na swoje śliskie dłonie, by zatamować krwotok.

Odciągnęła go od sztolni. Powlokła go szlakiem, jego pięty zostawiały bruzdy w pyle. Idąc, szlochała i łkała, zataczała się pod jego ciężarem, przewracała się na głazy, ale wciąż zwiększała dystans, dzielący ich od kopalni.

Bo on miał rację. Miał rację, biedny Edilio, miał rację, musiała to zrobić. Musiała spowodować zawalenie się kopalni. Ale nie pozwoli, by Edilio został tam pogrzebany, o tym nie było mowy. Nie, zasłużył na honorowe miejsce na placu.

Chlubna śmierć. Kolejny grób. Pierwszy, którego nie wykopie Edilio.

– Trzymaj się, Edilio, dasz radę – skłamała Dekka.

Osunęła się u podnóża ścieżki, na skraju miasteczka duchów. Usiadła na chłopaku i mocno nacisnęła ranę. Siła krwotoku była teraz mniejsza. Dekka mogła niemal powstrzymać upływ krwi, co wcale nie było dobrą wiadomością, bo oznaczało, że już prawie po nim, że jego mężne serce niemal przestało bić.

Podniosła wzrok na błyszczące oczy kojota. Wyczuwała wokół siebie inne osobniki. Zbliżały się. Były ostrożne, ale czuły, że świeży posiłek

jest tuż.

Rozdział 41

33 MINUTY

Duck znajdował się tak wysoko, że widział dym, unoszący się z odległej elektrowni.

Wciąż trząsł się po tym, jak do niego strzelano. Strzelano! Nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić.

Teraz wyglądało to tak, jakby wysłano go na wojnę, o której nawet nie wiedział. To jakieś wariactwo. Mógł zginąć. Nadal mógł.

Zamiast tego odleciał bez szwanku.

Tymczasem inni walczyli o przeżycie. Inni stawiali czoło złu.

Na szczęście lekki wietrzyk odpychał go od placu, gdzie rozgrywało się całe to szaleństwo. Jeszcze kilka minut i zwiększy swoją gęstość, by lekko opaść na ziemię. A potem, miał nadzieję, znajdzie coś do jedzenia. Poczuwszy zapach pieczonego mięsa, zaczął wręcz wariować z głodu.

– Nic nie mogłeś zrobić, Duck – powiedział do siebie.

– To prawda – zgodził się. – Nic.

– To nie nasza wina.

Słabym ruchem wyciągnął rękę ku mewie, która szybowała tuż poza jego zasięgiem na skrzydłach w kształcie bumerangów. Był taki głodny, że zjadłby ptaka na surowo. W powietrzu.

Kątem oka dostrzegł jakąś plamę na ziemi, w dole. Plama zatrzymała się gwałtownie. Nie widział twarzy, ale mogła to być tylko Brianna. W ręce trzymała gołębia.

Brianna zrobiła to, czego on nie potrafił. Może się z nim podzieli. W końcu oboje byli odmieńcami. Stali po tej samej stronie. Prawda?

– Hej! – krzyknął w dół.

Brianna podniosła głowę.

– Ty! – zawołała. – Wszędzie cię szukam!

– Jestem taki głodny – jęknął.

– Jak się znalazłeś tak wysoko?

Powoli zwiększał swoją gęstość i opadał w kierunku ziemi.

– To działa w obie strony – wyjaśnił. – Chodzi o gęstość. Ważę tyle, ile chcę. Mogę być taki ciężki, że zapadam się pod ziemię, mogę też unosić się w powietrzu, więc...

– Dobra, mało mnie to obchodzi. Sam powiedział, że mam cię przyprowadzić.

– Mnie?

– Ciebie. Złaź na dół.

Oderwała skrzydło gołębia i podała kawałek galaretowatego mięsa chłopakowi, który nie wahał się ani chwili.

Po minucie mlaskania i chrząkania, podniósł wzrok, w którym malowało się poczucie winy.

– Chcesz trochę?

– Nie – odparła. – Mój apetyt... Nie wiem. Trochę mi niedobrze.

Brianna patrzyła na niego takim wzrokiem, że od razu zrobił się nerwowy.

– Będzie pewien opór powietrza – stwierdziła.

– Co?

– Mówisz, że potrafisz kontrolować swoją wagę? Jakieś pięć kilo

powinno być w sam raz.

– W sam raz do czego?

– Wskakuj mi na plecy. Czeka cię przejażdżka.

Morfina nie zlikwidowała bólu. Przykryła go jedynie kołdrą. Ból wciąż się utrzymywał, straszliwy, rozszalały lew, ryczący, wspaniały, władczy. Ale utrzymywał pewien niewielki dystans.

Bardzo niewielki.

Widok ran wywoływał wstrząs. Jasnoczerwone pręgi na plecach, ramionach, szyi i twarzy. W miejscach, gdzie zdarto mu skórę.

Morfinowy koszmar zbladł i rzeczywistość zaczęła stopniowo przybierać znane kształty. Ziemia była na dole, a niebo na górze. Gwiazdy jasno świeciły, odgłos kroków na betonie brzmiał znajomo, podobnie jak dźwięk własnego oddechu, charczącego w krtani.

Miał trochę czasu. Ile – nie umiał odgadnąć. Pewnie niewiele czasu, by powstrzymać Caine'a.

I zabić Drake'a. Bo teraz, pierwszy raz w życiu, chciał kogoś zabić. Drake. Zabije Drake'a. Ta myśl motywowała go bardziej od szlachetnej troski o to, co może zrobić Caine. Zniszczyć Drake'a, zanim morfina przestanie działać, potworny ból wróci, a on będzie płakał, krzyczał i...

Trzeba było to zrobić przy pierwszej okazji.

Trzeba było...

Wokół pojawiła się sceneria, migocząca, nierzeczywista. Bitwa na schodach ratusza. Orc i Drake, potężna pięść kamiennego chłopaka i trzaskający bicz prawdziwego potwora.

Sam był zajęty Caine'em. Ledwie przeżył. Mógł jednak, a nawet powinien był zabić wtedy tego psychopatę Drake'a. Zrobić to, co należało robić ze wściekłymi zwierzętami.

Rzeczywistość kołysała się, gdy Sam przechodził przez parking. Nikogo tam teraz nie było. Dekka pojechała, żeby... co zrobić? Jego umysł spowijała mgła.

Pojechała, żeby zniszczyć kopalnię. Ona i Edilio.

Lana. Jeśli Lana tam była... Jeśli ona...

Sam zachwiał się. Lana stanowiła jego jedyną nadzieję. Bez niej nie przeżyje. Mogła go wyleczyć. Mogła zakończyć cierpienie. Odnowić go.

Żeby mógł...

Wsiadł do samochodu. Na chwilę, nie wiedział, na jak długo, jego umysł odpłynął. Świadomość zniknęła. Nie był to jednak sen, raczej koszmar na jawie, złożony ze wspomnień, obrazów i bólu, bólu żołądka, a także okaleczonego ciała.

Ruszaj się, powiedział sobie w duchu. W którą stronę? Od miasta dzieliło go piętnaście kilometrów. Ale nie tam zmierzał Caine.

Zbocze wzgórza za elektrownią świeciło. Jakby jego połacie stały w ogniu. Halucynacja.

Nigdy nie zdoła dojść tak daleko. Lek nie będzie tyle działał. Szybciej. Musiał ruszać się szybciej.

Potrzebował pomocy. Kogoś...

– Niech mi ktoś pomoże – szepnął.

Podjął długi, wyczerpujący marsz wiodącą pod górę drogą do bramy. Nie mógł podążać drogą lądową. Nie miał szans. A nawet...

Nawet...

Umysł płatał mu figle. Zobaczył światło. Jak blask latarki. Tyle że od strony oceanu.

Ciężko usiadł. Światło omiotło powoli parking, jakby ktoś z morza przyjechał samochodem na zakupy.

Blask przepełzł po ścianie elektrowni. Wspiął się na wzgórze, po czym znowu zsunął się na dół. Ktoś prowadził poszukiwania.

On był jednak tylko wymiętym kształtem na drodze, zbyt małym, by go zauważyć. Światło nigdy na niego nie natrafi. Przypominało to jakąś chorą grę. Blask zbliży się do niego, a potem skręci.

Był niewidzialny.

– Nie, Sam – powiedział sobie, gdy jego przyćmiony umysł zaczął powoli kojarzyć fakty. – Głupi kretynie. Światło akurat masz.

Uniósł wysoko ręce. Słup czystego, zielonego światła przeciął nocne niebo.

Szperacz natychmiast skierował się w jego stronę.

Quinn potrzebował paru minut, by wyciągnąć łódź na brzeg i wspiąć się po skałach do Sama.

– Bracie – powiedział.

Sam skinął głową.

– Tak. Marnie wyglądam. Jak...

– Łowiłem ryby. Zobaczyłem ogień. – Quinn uklęknął przy nim, niepewny, co zrobić, by złagodzić cierpienie przyjaciela.

– Wyglądam źle, a z moją głową nie wszystko jest w porządku – wymamrotał Sam.

– Zabiorę cię z powrotem do miasta – powiedział Quinn.

– Nie, bracie. Znajdź samochód.

– Sam, nie możesz...

– Quinn. – Sam złapał go za rękę i mocno ścisnął. – Znajdź samochód.

– Cofnąć się, pieski – warknęła Dekka.

Kojoty zbliżały się, krążąc, ciągle krążąc. Każdy kolejny krąg zataczały odrobinę bliżej.

– Który z was to Przywódca Stada? – spytała dziewczyna. Z desperacją. Jak powstrzymać je przed tym łażeniem w kółko, coraz bliżej i bliżej? – Mam propozycję. Mogę... mogę wam pomóc. Chcę rozmawiać z Przywódcą Stada.

Jeden z kojotów zatrzymał się i odwrócił do niej swój inteligentny pysk.

– Ja Przywódca Stada.

Głos był wysoki, wysilony, jakby akt mowy sprawiał zwierzęciu ból. Dekka widziała wcześniej Przywódcę Stada tylko z daleka, lecz wiedziała, że to nie on. Tamten miał paskudny pysk i bliznę. Był stary i wyliniały. Ten kojot był wyraźnie młodszy.

– Nie jesteś Przywódcą Stada – powiedziała Dekka.

Kojot ze zdziwieniem przechylił łeb.

– Przywódca Stada nie żyje. Teraz Przywódca Stada.

Przywódca Stada nie żyje? Może to była szansa.

– Jeśli zrobicie mi krzywdę – ostrzegła – moi ludzie zabiją kojoty.

Przywódca Stada, nowy Przywódca Stada, zdawał się nad tym zastanawiać. Oczy miał jasne i skupione, wydawało się wręcz, że skrzy się w nich iskierka humoru.

– Stado zje martwego człowieka – powiedział niesamowitym, skrzeczącym głosem zmutowanych kojotów.

– Nie jest martwy – odparła.

– Stado zje – powtórzył kojot.

– Nie – odparła Dekka. – Jeśli spróbujecie, to my...

Błysnęła brązowo-szara sierść i coś przewróciło Dekkę. Przeturlała się, po czym kucnęła. Trzy kojoty dopadły Edilia. Krew bez przeszkód tryskała mu z piersi.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

Podniosła ręce i nagle Edilio oderwał się od ziemi, wraz z trzema spanikowanymi, miotającymi się, skamlającymi kojotami.

Przywódca Stada odskoczył na bezpieczną odległość. I wtedy rozległ się odgłos nadjeżdżającego z dużą prędkością samochodu.

*** * ***

– Jesteśmy prawie na miejscu! – wykrzyknął Drake.

Nocny wiatr smagał ich twarze, gdy Escalade z oderwanym dachem skakał na wybojach. Pręt paliwowy nad nimi wyglądał jak pocisk samosterujący, który dotrzymywał im tempa. Caine stał oparty na siedzeniu, z rękami w górze.

Diana widziała tylko profil jego twarzy, ale nie malowała się na niej dzika radość, jak u Drake'a. Oczy spoglądały spod niskich brwi. Usta wykrzywiał grymas. Pierwszy raz wydał jej się brzydki. Ani śladu charakterystycznego luzu i uroku. Nadal miał urodę filmowego amanta, ale wyglądał jak spowite całunem zwłoki, drwina, blednące

echo.

– Patrzcie! Cha, cha, cha! Odrasta! – wydarł się Drake i zamachał jej przed twarzą końcem swojej ohydnej macki. Miał rację. W środku kikuta tworzył się guz, nowy odrost. Niczym ogon salamandry, bicz choć odcięty, regenerował się.

– Tam! Miasteczko! – wykrzyknął. – Tam! Teraz zobaczycie. Teraz wszyscy zobaczycie!

– Co to za miejsce? – pomyślał głośno Jack. Zgromił Dianę oskarżycielskim wzrokiem.

To nie moja wina, broniła się w myślach. Nie moja wina, Jack, nie moja wina, że byłeś słaby i poszedłeś za mną, ty przemądrzały durniu. To nie moja wina.

Ja tylko próbuję przeżyć. Jakoś przetrwać, jak zawsze, jak zawsze.

To właśnie robiła, starała się przeżyć. Zawsze z klasą. Na własnych warunkach, niezależnie od tego, co myśleli inni. To był jej szczególny geniusz: wykorzystywano ją, ale jednocześnie i ona wykorzystywała. Znęcano się nad nią, ale ona odpłacała tym samym, i to z nawiązką. I zawsze pozostawała Dianą, tą fajną Dianą.

To nie było jej winą.

– Patrzcie! – krzyknął jeden z żołnierzy.

Na drodze przed nimi coś się działo. Wyglądało to jak tornado, jak trąba powietrzna złożona z kojotów, a pośrodku całego tego zamieszania stała ludzka sylwetka.

– Dekka – powiedział Drake ze szczególną lubością.

Dekka opuściła kojoty. Opuściła też Edilia. Nie miała wyboru. Nie

mogła mu już w żaden sposób pomóc.

– Żegnaj, Edilio – szepnęła.

Teraz pozostała tylko kopalnia. Dziewczyna puściła się biegiem. Escalade zahamował. Drake wypadł na zewnątrz i biegł za nią, zanim jeszcze samochód się zatrzymał.

Miała najwyżej dziesięć metrów przewagi. Ale Drake był od niej szybszy.

Powietrze trzaskało odgłosem jego bicza. Czuła powiew na karku. Nie miała szans wrócić szlakiem na górę. Nie miała szans.

Odwróciła się i wzniosła ręce.

Nagle nogi Drake'a zaczęły młócić powietrze. Oderwał się od ziemi pośród wiru ziemnych grud i kamieni. Jakby nastąpiła pod nim eksplozja w zwolnionym tempie. Jego macka wiła się jak szalona.

– Zabiję cię! – wrzasnął.

Dekka z powrotem uaktywniła grawitację i Drake spadł z wysokości trzech metrów.

Odwróciła się i znowu zaczęła uciekać. Teraz kojoty były wokół niej, pędziły po obu stronach ścieżki, wyprzedzały ją. Mogły z łatwością odciąć jej drogę.

Pędziła pod górę, z trudem łapiąc oddech. Minęła zakręt i tam czekał nowy Przywódca Stada. Wzniosła ręce. Zbyt wolno. Rzuciły się na nią z prawa i z lewa. Skoczyły ze wszystkich stron naraz.

Dekka padła pod warczącą, szczekającą, kąsającą masą kojotów. Krzyczała i próbowała użyć swojej mocy, ale żelazne szczęki zacisnęły się na jej nadgarstkach.

Przed chwilą potężna, teraz stała się bezradna.

Kojoty musiały ją pokonać.

Rozdział 42

27 MINUT

Drake pierwszy dotarł na koniec szlaku. Utykał, jedną nogę miał mocno obolałą po upadku.

Jack był tuż za nim.

Drake pokuśtykał do warczącej watahy, zgromadzonej wokół ofiary. Jeden z kojotów, o jasnych oczach i niemal ludzkim wyrazie obojętnego zainteresowania, warknął ostrzegawczo.

Dekka była przygwożdżona, bezradna. Jeśli zachowała przytomność, w żaden sposób tego nie okazywała. Wciąż jednak żyła. Jack widział, że żyje. A za parę sekund miała już nie żyć.

– Nie martwcie się, bracia kojoty – powiedział Drake ze śmiechem. – Nie przyszedłem, żeby was powstrzymać.

Spojrzał w dół i z drwiną pokręcił głową.

– Nie wyglądasz najlepiej, Dekko. Nie sądzę, żeby to się dobrze dla ciebie skończyło. – Następnie obejrzał się na Jacka. – I tyle, jeśli chodzi o moce mutantów. Prawda, Jack?

To było ostrzeżenie. Groźba. Ale Jack o to nie dbał. Był chory. Bardzo chory, chory do samej głębi. Chciał zwymiotować, ale w żołądku nic nie miał. Chciał uciec w noc. Ale ktoś ruszyłby za nim – Drake albo Caine, albo kojoty.

Czemu się tu znalazł?

Bo jesteś głupkiem, odpowiedział sam sobie. Mądrym głupkiem.

Głupim mądralą.

– Jeszcze kawałek! – krzyknął Drake. – Chodź go poznać, Jack.

Jack stanął i się obejrzał. Najpierw zobaczył pręt paliwowy. Płynący przez powietrze. A potem Caine'a tuż pod nim. Wydawał się pochylony do przodu, jakby dźwigał na barkach wielki ciężar. Jakby ledwo mógł go utrzymać.

Jack doznał uczucia, że przytłacza go jakiś ciężar, ciężar, który chciał wycisnąć z niego całą krew, zgnieść go niczym kawałek dojrzałego owocu. Łzy płynęły mu po policzkach, choć nie pamiętał, kiedy zaczął płakać.

Mimo całej swojej nadnaturalnej mocy, odnosił wrażenie, że ma ręce i nogi z kamienia. Każdy krok wymagał od niego całej siły, gdy walczył z paraliżującym przerażeniem.

Zbyt wiele. Zbyt wiele tego wszystkiego. Brittney, biedna Brittney. A teraz Dekka. Ile jeszcze osób skończy jak one? I co będzie z nim samym?

Nie myślał, co robi, gdy złapał najbliższego kojota za kark. Zwierzę zaskomlało i próbowało się obrócić, by go ugryźć. Jack rzucił nim przed siebie. Zniknęło z pola widzenia.

Chwycił drugiego kojota i cisnął nim w noc. Rozległ się odległy łoskot. Dwa kojoty ruszyły prosto na niego z rozwartymi szczękami i obnażonymi zębiskami. Jack cofnął się i kopnął pierwszego z nich. Trafił w pysk. Głowa drapieżnika oderwała się od ramion i potoczyła ścieżką niczym oszalała kula do kręgli. Ciało zwierzęcia stało jeszcze przez kilka sekund, zdawało się nawet, że robi krok naprzód. Potem się przewróciło.

Pozostałe kojoty gapiły się w zdumieniu. Po chwili podkuliły ogony i

uciekły co sił.

– Co się stało, Jack? Masz mdłości?

Drake zdawał się nabierać sił z każdym krokiem, podczas gdy Jack czuł się płaczliwy i słaby, mimo pokazu nadnaturalnej siły. Ta siła nie była jego częścią. Nie była nim.

Drake stał nad nim na szczycie wzniesienia. Blask księżyca wyławiał z ciemności jego kontur. Pejcz drgał w powietrzu.

– Po prostu nie chciałem na to patrzeć – powiedział Jack. Żołądek podszedł mu do gardła.

Macka sięgnęła do Jacka i niemal delikatnie owinęła mu się wokół szyi. Drake przyciągnął go do siebie. Jego usta łaskotały Jacka w szyję, gdy prawie bezgłośnie mówił:

– Graj po mojemu, Komputerowy Jacku.

– Co? – spytał Jack rozpaczliwym głosem.

– Graj po mojemu – powtórzył tamten – a pozwolę ci żyć. A nawet dam ci Briannę.

Jack położył dłoń na biczu. Oderwał go od swojej szyi. Okazało się to zupełnie łatwe. Równie łatwo mógłby teraz oderwać tę ohydną kończynę.

Drake zaśmiał się nerwowo.

– Nie idź tą drogą, Jack. Nie jesteś typem twardziela.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Caine gramolił się z tyłu. Diana, wiedźma, która ściągnęła na Jacka całą tę grozę, szła obok Caine'a. Mógł niemal przysiąc, że pomaga mu iść.

Lana porzuciła pistolet w sztolni. Był teraz bezużyteczny.

Próbowała wyjaśnić... stworzyć obrazy, które by wyjaśniły... Ale gaiaphage o to nie dbał, działał dalej, nie przejmując się więcej dziewczyną z mocą grawitacji.

Ktoś postrzelił Edilia, pomyślała, zdumiona tą myślą. Ktoś. Edilia.

Przez mgnienie oka przypomniało jej się to uczucie, odrzut broni w ręce.

Ktoś...

Jęknęła, gdy gaiaphage otworzył jej umysł na oścież i wlał do środka strumień obrazów. Obrazów potworności.

Największa była kudłatym monstrum, wyglądającym jak niedźwiedź grizzly z niemal półmetrowymi kolcami na końcach łap... Stwory składające się wyłącznie z ostrych krawędzi, jakby posklejano je z żyletek i noży kuchennych... Istoty płonące wewnętrznym ogniem. Latające. Pełzające.

Gdy jednak na nie patrzyła, widziała nie tylko powierzchnię. Dostrzegała też ich wnętrze. Ich strukturę. Widziała, jak się nakładają, wnikają w siebie, potwór wewnątrz potwora. Niby rosyjska matrioszka.

Zniszcz jednego, a uwolnisz następnego.

Regeneracja. Przystosowanie. Każde nowe wcielenie równie niebezpieczne i śmiertelnie groźne, jak poprzednie.

Gaiaphage stworzył doskonałą biologiczną maszynę.

Nie, to nie był jego pomysł. Sięgnął do umysłu, do wyobraźni nieskończenie bardziej wizjonerskiej niż jego własna.

Nemezis. Tak nazywał go gaiaphage: Nemezis.

Nemezis stanowiło nieskończoną moc, trzymaną w ryzach tylko za sprawą zakrętów i zakamarków, ślepych zaułków i pionowych ścian wewnątrz własnego uszkodzonego umysłu.

Nemezis i Uzdrowicielka, wykorzystani i sprowadzeni razem tutaj, na tę drogę, po to, by gaiaphage stał się niepowstrzymany, niezwyciężony.

Brakowało tylko jednego elementu. Pokarmu. Paliwa.

***Nadchodzi,* powiedział gaiaphage.**

Wkrótce.

Ktoś postrzelił Edilia. I próbował postrzelić Dekkę.

Postrzępiony, przytłoczony umysł Lany, zalany planami gaiaphage, trzymał się tego jednego, jedynego faktu.

Ktoś...

Z oddali poczuła odrzut pistoletu w dłoni, gdy naciskała spust.

Nie. Nie.

Edilio upada.

Nie.

Umysł Lany eksplodował falą wściekłością tak potężną, że zbladły obrazy gaiaphage. Strumień planów i szczegółów stracił siłę.

Nienawidzę cię!, krzyknęła bez słów.

Gaiaphage natarł znowu, wepchnął ją do wnętrza jej własnego umysłu.

Ale wolniej niż poprzednio.

– Zaatakuje cię, Caine – szepnęła mu do ucha Diana.

Bolała go ręka. Nie czuł już swoich dłoni. Trzymał je w górze. Używał mocy. Używał jej, by nieść...

– Drake spróbuje cię zabić – powiedziała naglącym tonem. – Wiesz, że to prawda.

Słyszał ją. Lecz jej głos był tak cichy, a ostrzeżenia tak nieistotne w porównaniu z pulsującym naciskiem w jego piersi.

Głód gaiaphage stał się teraz jego głodem. Gdy go nakarmi, nakarmi i siebie.

Nieprawda, powiedział sobie Caine.

Kłamstwo.

– Zrób to, a zginiesz – mówiła błagalnym głosem dziewczyna. – Zrób to, a i ja zginę. Przestań, Caine. Nie rób tego.

Próbował odpowiedzieć, ale usta miał suche i zaciśnięte.

Krok za krokiem. W górę szlaku. Do tego czegoś. Do niego.

Był tam Jack. I Drake. Drake rozmawiał z Jackiem. Na szlaku leżał martwy kojot, bez głowy.

I Dekka. Może żyła, a może nie. Nie jego sprawa. Jej problem.

Niepotrzebnie wspierała Sama. Niepotrzebnie walczyła przeciwko Caine'owi.

Nie jego sprawa.

Dotarł do końca szlaku. Przed nim rysowało się wejście do sztolni.

Pręt paliwowy unosił się w powietrzu.

Nakarm mnie.

Caine podszedł bliżej.

– Zrób to! – krzyknął Caine.

– Caine, stój! – powiedziała Diana.

Po płaskim terenie poruszał się z większą łatwością. Bliżej. Wystarczająco blisko. Stąd mógłby już cisnąć prętem. Jak oszczepem.

Prosto do sztolni.

Jak włócznią.

Łatwizna.

– Nie rób tego – powiedziała Diana. A potem: – Jack. Jack, musisz go powstrzymać.

– Nie ma mowy – warknął Drake.

– Zamknij się, psychotyku! – krzyknęła Diana w nagłym gniewie, porzuciwszy wszelkie subtelności. – Giń, wstrętny, głupi oprychu!

Oczy Drake zgasły. Zniknął niebezpieczny błysk podniecenia. Patrzył na dziewczynę z czarną nienawiścią.

– Dosyć – powiedział. – Chciałem poczekać. Ale skoro to musi być teraz, miejmy to z głowy.

Machnął biczem.

Rozdział 43

13 MINUT

Biczowata macka Drake'a obróciła Dianą niczym bączkiem.
Krzyknęła. Ten dźwięk, jej krzyk, przeszył Caine'a niczym strzała.
Diana zachwiała się i niemalże wyprostowała, lecz Drake był zbyt szybki, zbyt gotowy.
Drugie uderzenie szarpnęło nią. Poleciała i upadła.
– Łap ją! – krzyknął do siebie Caine. Widział, jak dziewczyna zatacza łuk w powietrzu i leci na ziemię. Jego dłonie powędrowały w górę.
Mógł użyć swojej mocy, złapać ją, ocalić. Był jednak za wolny.
Diana spadła. Głową uderzyła w wystający fragment skały. Rozległ się dźwięk jak przy upuszczeniu dyni.
Caine zamarł.
Pręt paliwowy, zapomniany, spadł z góry z ogłuszającym trzaskiem. Wylądował niecałe trzy metry od wejścia do sztolni. Trafił na głaz o kształcie dziobu statku.
Wygiął się, trzasnął, stoczył z kamienia i ciężko uderzył o ziemię.
Drake ruszył biegiem prosto na Caine'a, trzaskając macką. Jack jednak wpadł między nich, krzycząc:

– Uran! Uran!

Miernik promieniowania w jego kieszeni klikał tak często, że dźwięk przerodził się w jednostajny krzyk.
Drake zwalił się na Jacka i obaj poturlali się po ziemi.
Caine stał, z przerażeniem patrząc na Dianę. Dziewczyna ani drgnęła.

Ani drgnęła. Nie rzuciła żadnej kąśliwej uwagi ani bezczelnego żartu.

– Nie! – krzyknął Caine. – Nie!

Drake zerwał się, z gniewnym przekleństwem odczepiwszy się od Jacka.

– Diana – załkał Caine.

Drake nie mógł użyć bicza, był zbyt daleko. Wzniósł pistolet. Z lufy wystrzeliły płomienie i pociski, BAM BAM BAM BAM BAM.

Strzelał niezbyt dokładnie, ale broń była w pełni automatyczna. Drake miał sporo czasu. Przełożył pistolet do prawej ręki i kule pomknęły w miejsce, gdzie Caine stał niby kamienny posąg.

Potem błysk z lufy zniknął w eksplozji zielono-białych promieni, które przemieniły noc w dzień. Snop światła chybił celu. Znalazł się jednak na tyle blisko, że lufa broni Drake'a zwiędła i opadła, a skały za nim pękły od fali gorąca.

Drake upuścił broń. Teraz to on patrzył w zdumieniu.

– Ty!

Sam chwiejnym krokiem wszedł na szczyt wzniesienia. Zatoczył się, a Quinn go podtrzymał.

Na widok swojego brata i śmiercionośnego światła. Caine błyskawicznie wrócił do rzeczywistości.

– Nie – powiedział. – Nie, Sam. On jest mój.

Podniósł rękę i Sam poleciał w tył razem z Quinnem.

– Pręt! – krzyczał raz po raz Jack. – Zabije nas wszystkich. O Boże, może już nie żyjemy!

Drake ruszył na Caine'a. Oczy miał wytrzeszczone ze strachu. Wiedział, że mu się nie uda. Wiedział, że nie jest dość szybki.

Caine podniósł rękę. Pręt paliwowy podskoczył.

Oszczep.

Włócznia. Trzymał ją w powietrzu. Wycelowaną prosto w Drake'a.

Caine wyciągnął drugą rękę, używając telekinetycznej mocy, by unieruchomić Biczorękiego.

Tamten podniósł swoją ludzką rękę w pojednawczym geście.

– Caine... nie chcesz... nie przez jakąś dziewczynę. To była wiedźma, ona...

Niezdolny do ucieczki, żywy cel. I pręt paliwowy, wymierzony w niego niczym spartańska włócznia.

Caine cisnął prętem. Tonami stali, ołowiu i uranu.

Prosto w Drake'a.

Tamten, szybki niczym wąż, odsunął się w bok. Pręt nie trafił go prosto w pierś, ale uderzył w ramię i wepchnął go prosto w ciemną sztolnię.

Pręt zniknął razem z nim.

Rozległ się głośny trzask. Z dziury dobyła się chmura pyłu.

Cisza.

Nie było słychać nic, z wyjątkiem przesypywania się drobnych kamyków w kopalni.

– O Boże, pękł? – jęknął Jack. – O mój Boże, nie chcę umierać.

Caine podniósł ręce i stanął, wyciągając je przed siebie, przed samym wylotem szybu. Ziemia zaczęła dudnić.

Skały pękały z trzaskiem.

***Nie!* W umyśle Caine'a odezwał się znienawidzony głos.**

– Nie jestem niczyim niewolnikiem – wychrypiał Caine.

Nie! Nie zrobisz tego!

Caine zawahał się. W mózgu czuł noże, dźgające go raz za razem, ta męczarnia przekraczała wszelkie wyobrażenie.

– Nie? – spytał.

Wysoko podniósł ręce. Swoją mocą sięgnął do kopalni i gwałtownie cofnął ręce.

Ze środka, jakby wyssane, wyleciały całe tony kamieni, drewnianych stempli i potrzaskanego pręta paliwowego, poobijany stary pickup, ciało Jima Pustelnika i wijąca się, miotająca przekleństwa postać rannego, lecz wciąż żywego Drake'a Merwina. Jakby kopalnia zwymiotowała swoją zawartość.

Cała ta masa zawisła w powietrzu. A potem, gdy Caine złożył dłonie w czarkę, zaczęła wirować niczym tornado.

Wkrótce krzyki Drake'a zginęły wśród potwornego zgiełku, a Caine machnął rękami do przodu i cisnął całą wirującą masę do kopalnianego szybu.

Hałas był tak głośny, że Jack zakrył uszy rękami.

Potem rozbrzmiał jakby spowolniony łoskot, trzask, i nagle ziemia zatrzęsła się potężnie, gdy kopalnia się zawaliła. Miliony kilogramów skały na zawsze zamknęły szyb.

Na drżących nogach Caine podszedł do Diany. Ukląkł przy niej. Nie ruszała się. Przyłożył ucho do jej pięknych ust. Nie usłyszał oddechu. Gdy jednak oparł dłoń na jej plecach, poczuł, że lekko unoszą się i opadają.

Delikatnie ją obrócił. Uszkodzenie z boku jej głowy było paskudne. Nie widział wyraźnie przez łzy, które napłynęły mu do oczu, czuł

jednak lepkie ciepło w miejscu, gdzie skroń powinna być gładka.
Targnął nim gwałtowny szloch.
Usłyszał ciężkie kroki. Sam szedł jak pijany, zataczając się.

– Sam – powiedział spokojnie Caine, nie odrywając oczu od ciemnej sylwetki Diany. – Jeśli chcesz mnie zabić, to śmiało. Teraz jest dobry moment.

Sam nic nie odrzekł.
W końcu Caine na niego popatrzył. Przez łzy zobaczył, jak Sam się chwieje, najwyraźniej ledwie trzymając się na nogach. Był mocno poraniony. Bez wątpienia doskwierał mu straszliwy ból.
Robota Drake'a. Nie zabił Sama. Ale niewiele brakowało. Chłopak był tak pokiereszowany, że może nie pożyć zbyt długo.
Quinn zmagał się z ciężarem ciała przyjaciela. Meksykaniec, domyślał się Caine, albo Dekka.

– Aha. Więc to jest koniec – stwierdził tępo Caine. Pogładził krótkie włosy Diany. – Kocham ją. Wiedziałeś o tym, Sam?
– To jeszcze nie koniec – odparł Sam. Te słowa wstrząsnęły Caine'em; nigdy nie słyszał głosu przepełnionego takim bólem.
– Ona nie przeżyje – powiedział Caine.
– Edilio jest ranny. Już prawie po nim – odezwał się Quinn. – Postrzelili go. A Dekka...
– Nie ja – oświadczył Caine. – Nie my. Oboje już tak wyglądali, kiedy tu dotarliśmy.

Nie interesowali go Edilio ani Dekka. Nie interesował go nawet Sam. To było takie smutne, że Diana miała umrzeć w tej sposób, bez swoich przepięknych włosów. Wyglądała teraz młodziej. Bardziej

niewinnie. Słowo, którego ani on, ani nikt inny chyba nigdy nie użył w odniesieniu do Diany.

– Lana – powiedział Sam.

Caine poczuł, że zatliła się w nim słaba iskra. Ale gdzie była Uzdrowicielka?

Quinn jakby usłyszał pytanie.

– Jest w środku. Jest tam z... tym czymś.

Caine popatrzył na sztolnię. Kiedyś tam był. Wiedział, co znajduje się wewnątrz. A teraz był tam jeszcze pręt paliwowy.

– Musimy... – jęknął Sam. Nie był w stanie skończyć zdania.

Caine skinął głową.

– Po czymś takim na pewno nie żyje.

– Może nie – zdołał wykrztusić Sam. – Może nie.

– Teraz i tak nie da się tam wejść. Ściana kamieni. Strasznie trudno będzie wygarnąć je z powrotem. Musiałbym przenieść całą górę – stwierdził Caine. – To by potrwało wiele godzin. Dni.

Sam pokręcił głową i przygryzł mocno wargę. Caine widział, że Sam ledwie wytrzymuje przeszywający ból.

– Może jest inny sposób – powiedział w końcu Sam, oglądając się na szlak.

– Inny sposób? – powtórzył Caine.

– Duck – wyjaśnił Sam.

Caine instynktownie się uchylił. Powiał wiatr, w powietrze wzbił się tuman kurzu i niespodziewanie pojawiła się Brianna.

A za nią, niczym jakiś zwariowany balon na uwięzi, unosił się w powietrzu chłopak, który wyglądał, jakby ktoś właśnie zabrał go na

przejażdżkę kolejką górską do samego piekła.

– Jesteśmy na miejscu? – spytał Duck, mocno zaciskając powieki. – Już po wszystkim?

– Chcecie jeść? – ryknął Zil ze swojego kabrioletu.

Tłum ryknął z entuzjazmem. Choć nie wszystkie dzieciaki się przyłączyły. Astrid kurczowo uczepiła się tego faktu. Słyszała też narzekania, głosy niepewności, ale i przyzwolenia.

– To łapcie sznur! – wykrzyknął Zil.

Sznur był rozciągnięty przez cały plac. Kończył się pętlą na szyi Huntera. Wystarczyło kilku ochotniczych katów, by dokonać ohydnego aktu egzekucji.

Astrid zaczęła się modlić. Modliła się głośno, licząc, że ich zawstydzi, że w jakiś sposób słowa modlitwy do nich dotrą mimo całego tego obłędu.

– Łapcie! – krzyknął Zil, po czym zeskoczył i sam chwycił sznur. Reszta ekipy poszła w jego ślady.

A potem czworo... pięcioro... dziesięcioro... Dzieciaki, które Astrid znała z imienia, złapały sznur.

– Ciągnąć! – zawołał Zil. – Ciągnąć!

Sznur się naprężył. Kolejne osoby występowały z tłumu i brały go w dłonie. Lecz niektórzy, choć była ich tylko garstka, zmieniali zdanie i puszczali.

Plątanina rąk. Bałagan, który nagle zmienił się w zabawę w przeciąganie liny.

Sznur naprężył się jeszcze bardziej. Wyprostował się.

I Astrid, ku swemu przerażeniu, zobaczyła, że stopy Huntera oderwały się od podłoża.

Lecz walka o sznur nabrała gwałtowności. Dzieciaki biły się, krzyczały, wymachiwały pięściami.

Sznur został poluzowany. Wierzgające nogi Huntera dotknęły ziemi.

Część osób rzuciła się do sznura. Inne zastępowały im drogę.

Wyglądało to jak rozruchy. I nagle kilkoro dzieciaków ruszyło do mięsa, przepychając się obok Antoine'a, Hanka i Turka, dosłownie tratując ich w całkowitej desperacji.

Astrid wykorzystała zamieszanie, by wstać.

Zil, rozwścieczony utratą panowania nad sytuacją oraz widokiem dziczyzny, rozchwytywanej rękami desperatów, mocno ją popchnął.

– Na ziemię, ty miłośniczko odmieńców!

Astrid go opluła. Zobaczyła, że krew odpływa z jego rozgniewanej twarzy. Chwycił kij bejsbolowy, wzniósł go nad nią. I po chwili pofrunął w górę.

W jego miejscu stał teraz Orc.

Zil dyndał na jego pięści. Orc przyciągnął go tuż przed swoją przerażającą twarz.

– Nikomu nie wolno krzywdzić Astrid! – ryknął tak głośno, że Zilowi rozwiało włosy.

Obrócił się powoli. Potem jeszcze raz, tym razem szybciej, i rzucił chłopaka w powietrze.

– Nic ci nie jest? – zwrócił się do Astrid.

– Chyba nie – wyszeptała. Uklękła obok małego Pete'a i dotknęła guza na jego głowie, który miał wielkość jajka. Chłopiec poruszył się lekko,

a potem otworzył oczy.

– Petey. Petey. Nic ci się nie stało? – Nie doczekała się odpowiedzi, ale w przypadku Pete'a było to normalne. Podniosła wzrok na Orka. – Dzięki, Charles.

Orc chrząknął.

– Aha.

Pojawił się Howard. Ostrożnie torował sobie drogę przez rozpraszający się tłum.

– Swój chłop, Orc – powiedział i poklepał olbrzyma po potężnym, granitowym ramieniu. Potem zwrócił się do uciekających, z których wielu niosło kawałki dziczyzny. – Tak, lepiej uciekajcie! – zawołał. – Jesteście kretynami, skoro zadzieracie z dziewczyną Sama. Jeśli Orc wam nie przyłoży, zrobi to Sammy.

Puścił oko do Astrid.

– Twój chłopak ma wobec nas wielki dług.

– Tak – zgodził się Orc. – Niech ktoś lepiej szybko da mi piwa.

– Co się stało z Ediliem? – spytała Brianna. Leżał na ziemi. W ciszy. Nie było słychać nawet oddechu.

Odpowiedział jej Quinn:

– Edilio oberwał kulę. Raczej już długo nie pożyje.

– Nie do wiary, że Dekka pozwoliła go skrzywdzić – stwierdziła Brianna. – Gdzie ona jest?

Mimowolne spojrzenie Quinna wystarczyło jej w zupełności. Pognała w miejsce, gdzie leżała Dekka, sponiewierana niczym porzucona lalka.

Brianna ciężko odetchnęła. Patrzyła. W jej uszach rozbrzmiewał grzmot wodospadu. Ryk. A potem zobaczyła rozmytą plamę, gdy świat obok przemknął z krzykiem, a ona uderzyła Caine'a z całym impetem i gniewem, jakie miała do dyspozycji. Caine runął jak długi.
Brianna znalazła się na nim, zanim zdołał zaczerpnąć tchu, w dłoni trzymała kamień.

– Bryzo! Nie! – krzyknął Sam.

Zamarła. Caine leżał na plecach. Nic nie robił. Nie podniósł rąk. Zdawał się ledwie ją zauważać. Przykucnęła, gotowa uderzyć go kamieniem, przyłożyć mu sto razy, zanim w ogóle zdąży drgnąć.

– Nie, Bryzo – powiedział Sam. – Potrzebujemy go.
– Ja go nie potrzebuję – syknęła.

– Bryzo. Straciliśmy Dekkę. Edilio umrze za kilka minut. O ile jeszcze żyje – odezwał się Quinn, przemawiając w imieniu Sama, który bardzo mocno zaciskał szczęki i Brianna pomyślała, że mogą mu pęknąć zęby. – A Sam...

– Jak ten śmieć może nam pomóc? – spytała.
– Potrzebujemy Lany – zdołał wykrztusić Sam.
Caine pozbierał się i strzepał brud z koszulki.

– Diana umiera. Meksykaniec umiera. Dekka, no, sama widziałaś. Sam też nie wygląda najlepiej – powiedział. – Lana jest w środku. – Ruchem głowy wskazał zawaloną sztolnię.
– Nie rozumiem tylko – ciągnął – jak mamy tam wejść, żeby ją znaleźć. Cała kopalnia się zawaliła. Odkopanie jej zajmie mi znacznie więcej czasu, niż jej rozwalenie. Jeśli zacznę wyciągać kamienie, następne wpadną do środka.

– Duck – powiedział Sam. – Wydrąży tunel.

– Hm... Co? – spytał Duck.

– Jak przy ratowaniu górników – ciągnął Sam. – Drążą nowy szyb.

– Hm... Co? – powtórzył Duck.

Quinn wyjaśnił sprawę wyraźnie zdumionemu Caine'owi.

– Wygląda na to, że Duck ma moc, dzięki której może zapadać się w ziemię.

– Nie wydaje mi się, że... – zaczął Duck.

– Kontroluje swoją gęstość – potwierdziła Brianna. – Dzięki temu mogłam go tu przynieść. Zupełnie jakbym niosła plecak. Tylko opór powietrza był większy.

– Wykopie tunel – powiedział Sam – i wejdziemy do środka. Byłeś już na dole, prawda, Caine? Czy jest tam miejsce, gdzie... – Spazm bólu wstrząsnął nim tak mocno, że zdawał się na chwilę stracić przytomność.

– Słuchajcie, ja naprawdę... – odezwał się Duck.

– Nie chcesz zostać bohaterem? – spytał Quinn.

– Nie – odrzekł szczerze Duck.

– Tak, ja też nie – przyznał Quinn. – Ale Edilio to bohater. Prawdziwy. A Sam... No, nie muszę ci mówić, ile Sam zrobił dla nas wszystkich. – Złapał Ducka za ramię i dodał: – Potrzebujemy cię. Tylko ty. Tylko ty możesz to zrobić.

– Stary, wiesz. Chcę pomóc, ale...

– Dostaniesz następną rybę, którą złowię – obiecał Quinn.

– Nie, jeśli będę pogrzebany żywcem – odparował Duck.

– Smażoną. Smażoną, bardzo delikatną i smaczną.

– Nie przekupisz mnie jedzeniem – naburmuszył się Duck. – Chcę... chcę jeszcze basen.

Rozdział 44

07 MINUT

Szyb się zawalił.

Lana stała przed ścianą gruzu. Przez ulotną chwilę poczuła nadzieję, że wreszcie nastąpi koniec potwora, który ją zniewolił.

Ale z tej ściany wystawał poobijany, tępy koniec pręta paliwowego. Miliardy kryształów, z których składało się ciało gaiaphage, wpełzło na rozsypane grudki uranu.

Lana wyczuwała zarazem niecierpliwość stwora i istną falę szczęścia. A także lęk przed zniszczeniem. Przez chwilę umysł dziewczyny należał wyłącznie do niej, gdy gaiaphage napawał się swoją mroczną radością.

Odzyskanie przytomności nie było przyjemne. Lana wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że sama pociągnęła za spust i zabiła Edilia. A wcześniej nie zdołała zburzyć kopalni. Sama doprowadziła do zaistniałej sytuacji.

Była zbyt słaba.

Okazał się głupia i łatwo dała się podporządkować potworowi. Nie potrafiła mu się oprzeć.

A gdy on urośnie w siłę, gdy jego strach odpłynie, znów wniknie w jej umysł i użyje jej mocy, by zbudować powłokę, która wyłoni się z kryjówki. Stworzy własne ciało, które zdoła wydobyć się na zewnątrz, sprytnie pomyślaną matrioszkę z monstrów. Nie do zniszczenia.

Teraz ona stanowiła klucz do wolności. Wiedziała o tym. Tunel zapadł

się z potwornym łomotem i gaiaphage będzie uwięziony, zamknięty w środku, chyba że ona wskaże mu drogę ucieczki.
Tylko jej własna śmierć mogła stanąć temu na przeszkodzie.
Miała zbyt słabą wolę. Mogła liczyć jedynie na upływ czasu. Uran. Zabije ją, zniszczy, jeśli dziewczyna nie zrobi nic, by się wyleczyć.
Ale czy jej śmierć nastąpi wystarczająco prędko?
Czy gaiaphage będzie wiedział, co się z nią dzieje, i zmusi ją, by się uratowała? Czy stwór rozumiał, że jego pokarm oznacza dla Lany śmierć?

Duck stał na zboczu góry. Znajdował się jakieś trzydzieści metrów powyżej kopalnianej sztolni. Ustawili go na chybił-trafił, z nadzieją, że znajdzie się akurat nad miejscem, gdzie według Caine'a mieściła się podziemna komora.
Gdyby Duck nie wpadł do komory, mieli spróbować ponownie. I tak do skutku.
Quinn dosłownie niósł Sama, podtrzymując go promieniami.

– Morfina przestaje działać – oznajmił Sam. – Szybciej.

Caine stał w gotowości. Brianna pobiegła po linę, lecz gdy wróciła, padła na kolana i dostała gwałtownych torsji, niczym nie wymiotując.

– Trzeba to zrobić teraz – powiedział Sam. Ciężko dyszał. Ledwie się trzymał.
– Szybciej, Duck – ponaglił Quinn.

Wszyscy czekali, aż zacznie. Liczyli na niego. Chodziło o życie tak wielu osób, a oni liczyli na niego. Na Ducka Zhanga.

– O rany. Lepiej, żeby ta ryba była dobra.

A potem zapadał się już pod ziemię. Coraz niżej i niżej, machając rękami i przemieszczając się przez skałę, jakby była puszysta i miękka jak czekoladowy krem.

Zapadał się i zapadał. Wiedział, że będzie mógł wrócić na górę, a nawet unieść się w powietrze, lecz nie był tego w stu procentach pewien. Raczej tak. Ale nie na pewno. Może tym razem...

Poślizgnął się nagle, wpadając przez sklepienie do sztolni. Zatrzymał opadanie dopiero po tym, jak na pół metra zagłębił się w podłoże. Odetchnął z ulgą. Nie znalazł się w rozległej, otwartej komorze, lecz w wąskiej sztolni. Cud, że na nią trafił.

Zastawiał się, czy są tu nietoperze. Sądząc po przestraszonych minach tych na górze, kryło się tu coś znacznie gorszego. Może więc nietoperze nie byłyby takie złe. Może stanowiłyby dobry znak.

– Dobra! – zawołał w górę.

Nie było odpowiedzi.

– Dobra! Jestem na dole! – krzyknął najgłośniej, jak umiał.

Obok spadł koniec rozwiniętej liny. Caine był pierwszy. Wylądował delikatnie, używając swojej mocy, by złagodzić upadek.

– Ciemno tu – stwierdził. Potem zawołał w górę tunelu: – Dobra, braciszku. Skacz.

W wykopany przez Ducka szyb zaświeciło oślepiające światło. Niczym promień słońca, przenikający przez szparę w żaluzji.

Caine uniósł ręce i Sam powoli opadł w dół.

Zdawało się, że trzyma w dłoniach kulę jasnego blasku. Duck jednak stwierdził, gdy oczy przywykły mu już do ciemności, że tamten wcale jej nie trzyma. Światło dobywało się z jego rąk.

– Znam to miejsce – stwierdził Caine. – Jesteśmy zaledwie kilkadziesiąt metrów od groty.

– Duck, możemy cię jeszcze potrzebować – powiedział Sam.

– Ale właśnie chciałem...

Nogi ugięły się pod Samem i Duck złapał go w ostatniej chwili.

– Zostanę – oznajmił mimowolnie.

Co? Co zrobisz? – zapytał siebie bezgłośnie.

Daj spokój, Duck, powiedział sobie. Nie możesz po prostu uciec.

Jasne, że mogę! – zaprotestował jego drugi głos.

Tak czy owak, podpierał Sama, gdy coraz głębiej wchodzili w głąb kopalni.

Nie chcesz zostać bohaterem? – zakpił sam z siebie Duck.

Chyba w sumie chcę, odpowiedział.

– Nie gaś światła – powiedział Caine.

Sam mógł utrzymywać światło. Tak, to mógł robić. Światło.

Jego serce przypominało zardzewiały, psujący się silnik, waliło tak, jakby zaraz miało się rozpaść na kawałki; ciało zdawało się rozpalonym żelazem, gorącym, sztywnym, nie do ruszenia.

Ból...

Teraz go dopadł, ryczący tygrys, który kąsał go przy każdym kroku, szarpał umysł, rozdzierał samokontrolę. Nie mógł go wytrzymać. Był zbyt straszny.

– Dawaj, Sam – szepnął mu do ucha Duck.

– Aaaaa! – wrzasnął Sam.

– No to już się do niego nie podkradniemy – stwierdził Caine.

Wie, że tu jesteśmy, pomyślał Sam. Nie podkradniemy się. Nie oszukamy go.

On wiedział. Sam to czuł. Zupełnie jakby zimne palce dźgały jego umysł, szukając jakiegoś otworu.

To piekło, pomyślał. Piekło.

Nie gaś światła, powiedział sobie, bez względu na wszystko, nie gaś światła.

Rozległo się szuranie, gdy stopy Caine'a kopnęły jakieś kamyki, które po bliższych oględzinach okazały się identycznymi, krótkimi cylindrami z ciemnego metalu.

– Granulki z pręta paliwowego – stwierdził tępo Caine.

– Mam nadzieję, że Lana leczy też napromieniowanie.

Inaczej już nie żyjemy.

– Co? – spytał Duck.

– Wszędzie tu wala się uran. Z tego, co mi tłumaczono, robi w naszych ciałach miliardy maciupkich dziurek.

– Co?

– Nie przejmuj się, Goose [Goose – po angielsku gęś. Kpina z imienia Duck, które oznacza kaczkę.] – powiedział Caine. – Świetnie sobie radzisz.

– Duck – poprawił Duck.

– Wyczuwasz Ciemność, Goose? – spytał Caine pełnym lęku szeptem.

– Tak – przyznał Duck. Głos mu się załamał. Jak u małego dziecka, gotowego za chwilę wybuchnąć płaczem.

– To złe uczucie.

– Bardzo złe – zgodził się Caine. – Już bardzo długo siedzi w mojej

głowie, Goose. Jak już raz tam wejdzie, nie chce odejść.

– Co masz na myśli? – spytał Duck.

– Teraz dotyka twojego umysłu, prawda? Odciska piętno. Szuka drogi do środka. Jak już wejdzie, nigdy go nie wyrzucisz.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział Duck.

– Możesz sobie iść, Goose – odparł Caine. – Ja mogę poprowadzić Sama dalej.

Sam słyszał to wszystko jakby z oddali. Jak rozmowę między odległymi zjawami. Cienie w umyśle. Wiedział jednak, że Duck nie może odejść.

– Nie – wychrypiał. – Potrzebujemy Ducka.

– Tak? – spytał Caine.

– To nasza jedyna broń, o której on nie wie – wyjaśnił Sam.

– Broń? – powtórzył Duck.

– Jest tuż przed nami – stwierdził Caine. – Grota.

– Co to jest? Jak wygląda? – spytał Duck.

Caine nie odpowiedział. Sam doznał bolesnego spazmu. Ból zdawał się przychodzić falami, przy czym każda kolejna była gorsza od poprzedniej. Ale pomiędzy nimi miewał kilka sekund pełnej przytomności. Otworzył oczy. Włączył światło.

Tak jak zapowiedział Caine, weszli w przestrzeń, która nie była już sztolnią, lecz rozległą grotą.

Żaden jednak naturalny proces geologiczny nie ukształtował tej wielkiej, cichej przestrzeni pod ziemią. Żadne stalaktyty nie zwieszały się z łukowatego sklepienia. Żadne stalagmity nie sterczały z podłoża. Skalne ściany wyglądały raczej tak, jakby zostały stopione, a potem

stężały. Wciąż unosiła się tu słaba woń spalenizny, chociaż nie było żadnego dymu ani ciepła, oprócz tych, które dobywały się z pręta paliwowego w sztolni za nimi.

– Już wiesz, gdzie jesteśmy, Sam? – spytał Caine.

Sam jęknął.

– Tak, masz teraz inne sprawy na głowie, nie? Wiesz o tym meteorze, który przed laty spadł na elektrownię, Sam? Jasne. Jesteś miastowy.

Sam uległ następnej fali. Nie chciał krzyczeć. Nie chciał.

– Meteor wpadł przez elektrownię, prosto pod ziemię. Jak nasz Goose. Taki ciężki i taki szybki, że wbija się jak strzała w masło. Wyrywa wielką dziurę. Zatrzymuje się tutaj, to, co z niego zostało.

Przeszli piętnaście metrów przez katedralną przestrzeń groty.

Sam skinął głową, niezdolny w tej chwili do mówienia. Próbował podnieść ręce, ale za bardzo mu ciążyły.

Caine złapał go za nadgarstki i podniósł jego ręce. Od tego ruchu Sam aż ryknął z bólu.

Ale światło zajaśniało mocniej.

Ich oczom ukazał się stwór. Bardziej przypominał nieregularną grudę niż jakiś konkretny kształt. Kłębiące się mrowie ruchomych zielonkawych kryształów.

Zwrócona w ich stronę powierzchnia przybrała nagle formę idealnego lustra.

– Zdaje się, że się na ciebie szykuje, Sam – zauważył Caine.

A potem odezwał się inny głos. Niesamowity i okropny.

– Jestem gaiaphage – powiedziała Lana.

Przemiana rozpoczęła się, gdy gaiaphage dotknął pierwszej z rozrzuconych grudek uranu. Lana poczuła przypływ mocy, jakby chwyciła kabel elektryczny, jakby chwyciła wszystkie kable na świecie. Krzyknęła głośno we wspólnej ekstazie tej chwili.

Pokarm!

Straszliwy głód gaiaphage zniknął. Jego miejsce zajęła fala siły. Uwolnionego gniewu.

Teraz! Teraz się stanie!

Miliardy kryształów, które formowały bezkształtną bryłę gaiaphage, zaczęły poruszać się niczym mrówki. Strużki przemieniły się w strumienie, strumienie zaś w rozszalałe rzeki. To, co zdawało się zaledwie osadem na powierzchni skał, ukształtowało się we wzgórki i góry. Tu i ówdzie pojawiły się ostre szpikulce. Tu powierzchnia była płaska, gdzie indziej wybrzuszona, tu giętka, gdzie indziej sztywna. Kryształy wyginały się w nieskończone wymiary, warstwy wewnątrz warstw. Nawet przy tak szaleńczej prędkości cały proces musiał potrwać wiele dni, ale już teraz dawały się zauważyć ogólne kontury. Gaiaphage, wcześniej rozciągnięty na trzystu metrach podziemnej groty, teraz się zagęszczał, spajał, niczym gwiazdy wciągane w czarną dziurę.

Lana czuła to wszystko, jakby jej własne nerwy należały do gaiaphage. I może tak właśnie jest, pomyślała. Może nie istniała już między nimi żadna granica. Może stała się częścią stwora.

Otaczał ją ze wszystkich stron. Był w jej uszach i nosie, w ustach i włosach. Rojące się owady pokrywały każdy centymetr kwadratowy

jej ciała.

A jednak zaczęła czuć w sobie chorobę. To uczucie nie pochodziło ani od niej samej, ani od potwora.

To, co karmiło gaiaphage, rozrywało ją na kawałki, komórka po komórce.

Musiała to ukryć. Nie pozwolić, by zobaczył. Musiała umrzeć, by go powstrzymać, umrzeć od promieniowania, które paliło jej brzuch.

Kryształy wokół twardniały, układały się w grubą osłonę. A powierzchnia tej osłony zaczęła połyskiwać jak stal. Nie, raczej jak lustro.

Spazm lęku wstrząsnął gaiaphage.

Lana otworzyła oczy i zobaczyła przyczynę. Trzy ciemne kształty. Delikatne, przestraszone, ale stojące przed stworem.

Za późno, Caine. Twoja moc nie zniszczy gaiaphage.

Za późno, Sam, pomyślała. Twoje gorące światło nie zda egzaminu.

Ten trzeci... Kto to był? Poczuła, że jej myśl nabiera dla gaiaphage ogromnego znaczenia.

Stwór trzymał ją niczym muchę w bursztynie. A teraz ukazał ją zdumionym ludziom.

– Jestem gaiaphage – przemówiły usta Lany.

*** * ***

Caine patrzył z przerażeniem. Twarz Lany pływała, zawieszona wśród kipiącej masy, wyglądającej niby odbite w lustrze owady.

– Sam! Więcej światła!

Sam się poślizgnął. Padł na kolana. Świecące dłonie znalazły się na skalnym podłożu. Jęknął.

Oniemiały z wrażenia, Duck patrzył na skrzące się i zmieniające monstrum o twarzy udręczonej dziewczyny.

Caine nie widział rozmiarów stwora, ten wydawał się jednak ogromny, jakby rozciągał się bez końca.

Sięgnął rękami za ramiona. Wygięty pręt paliwowy wysunął się z bezładnej mieszaniny kamieni i gruzu.

Z całej siły wyrzucił ręce do przodu. Pręt gruchnął w potworną, połyskującą masę. Odbił się i zabrzęczał o podłoże, rozsypując kolejne grudki.

Nic. Bez efektu. Jakby uderzyć gaiaphage wacikiem.

– Sam? Jeśli coś w tobie jeszcze zostało, nadeszła pora! – wykrzyknął Caine.

– Nie – szepnął Sam. – Mnie pokona. Duck.

– Co z nim?

– Duck... – zaczął Sam i padł, twarzą w dół. Nie ruszał się.

– Umiesz coś oprócz zapadania się w ziemię? – krzyknął Caine do Ducka. – Masz w kieszeni jakąś bombę jądrową?

Tamten nie odpowiedział.

– Sam? – zawołał Caine i teraz gaiaphage zaczął się ruszać, przesuwając swój ciężar, pełznąc falistym ruchem w kierunku Caine'a, z zapłakaną, wykrzywioną twarzą Lany. Jej usta coś mówiły, lecz Caine nie słyszał jej, bo krew tętniła mu w uszach. Wiedział, że to koniec, wiedział...

Gaiaphage wlewał do jego mózgu płynny ogień, przytłaczając

wszystkie zmysły, miażdżąc świadomość bólem.

Sprzeciwiasz mi się?

Caine zatoczył się w tył, ledwie trzymając się na nogach.

– Rzuć mną! – krzyknął Duck.

Jestem gaiaphage!

– Rzuć mną, rzuć mną! – wykrzykiwał głos.

– Co? – zawołał Caine.

– Najmocniej, jak umiesz!

Gaiaphage w ogóle nie zważał na miękkie, ludzkie ciało, które leciało w jego stronę.

Człowiek pofrunął w górę. Ku sklepieniu groty.

A potem w dół.

Gaiaphage uznał, że nawet nie poczuje tego delikatnego ciężaru, który...

... uderzył z siłą góry zrzuconej ze skraju kosmosu.

Duck walnął w stwora i przewiercił się przez jego krystaliczną masę.

I przez podłoże groty poniżej.

W otchłań, niczym ziarnka piasku w klepsydrze, osypywał się gaiaphage.

Rozdział 45

0 MINUT

Trochę jak za pierwszym razem, pomyślał Duck.
Tamtego dnia na basenie. Tak samo. Opadanie i woda, gnająca wraz z nim w dół.
Tyle że ta woda bardziej przypominała piasek. Miliard maleńkich kryształków, wciąganych w otwór odpływowy, który Duck zrobił w ziemi.
Spadając, nic nie widział. Kryształki wypełniały mu oczy, uszy i usta. Nie mógł oddychać, przez co wpadł w panikę i zaczął opadać jeszcze szybciej, starając się wyprzedzić potwora, który opadał razem z nim.
Nie było powietrza.
Z wirującym umysłem, oszalały, już nawet bez strachu, tylko...
Wspomnienia rozbłyskały niczym w chaotycznym teledysku. Dzień, w którym spadł z kucyka w swoje piąte urodziny.
Dzień, w którym zjadł całe ciasto...
Jego mama. Taka ładna. Jej twarz...
Tata...
Basen...
Przestał opadać. Coś go nareszcie zatrzymało. Za późno, pomyślał.
Nie mogę przebić się aż do Chin.
No, rozmyślał dalej, chyba faktycznie chciałem zostać bohaterem.
A potem przestał myśleć cokolwiek.

Rozdział 46

Caine stał w ciemności.

Światło Sama zniknęło.

Rozległ się cichy bulgoczący dźwięk. Niczym płynąca woda, ale bez typowej dla wody muzyki.

Caine stał w ciemności, podczas gdy dźwięk powoli cichł w oddali.

A teraz do ciemności dołączyła cisza.

Diana. Już nigdy jej nie uratuje. On może przeżyje, ale pierwszy raz zdał sobie sprawę, że bez Diany jego życie stanie się nie do zniesienia. Drwiła z niego. Wykorzystywała go. Okłamywała. Manipulowała nim. Zdradzała. Śmiała się z niego.

Ale trwała przy nim. Nawet kiedy jej groził.

Czy to, co istniało między nimi, można było nazwać miłością? To słowo mu się wyrwało. Ale czy któreś z nich było naprawdę zdolne do tego uczucia?

Może.

Ale już nie. Nie teraz. Na górze, na powierzchni, Diana nie żyła albo miała wkrótce umrzeć. Jej krew wsiąkała w ziemię.

– Diana – szepnął.

– Ciągle żyję?

Na początku Caine pomyślał, że może to jej głos. Niemożliwe.

– Światło – powiedział. – Potrzebuję światła.

Światła nie było. Zdawało się, że przez całą wieczność. Głos więcej się nie odezwał.

Caine siedział w ciemności, zbyt obolały, by się ruszyć. Jego brat

zwinął się w kulkę. A Diana...

Quinn zmagał się z paniką, opuszczając się nieregularnym szybem, wykopanym przez Ducka. Lina, którą trzymał w dłoniach, wydawała się bardzo cienka. Ściany drapały jego plecy i boki. Na głowę wciąż spadały mu kamienie.

Wiedział, że nie jest odważny. Ale nikt inny nie został. Z Brianną było coś nie tak. Skuliła się na ziemi, trzymając się za brzuch i płacząc.

Quinn nie miał pojęcia, co się dzieje na dole. Wiedział jednak, że jeśli Sam i Caine, nie wyciągną Lany na górę, umrze tyle osób, że wolałby nigdy nawet o tym nie myśleć.

Musiał to zrobić.

Musiał.

Dotarł do końca szybu i poczuł, że jego nogi swobodnie zadyndały w powietrzu. Ręce mu się omsknęły i spadł.

Lądowanie było twarde, ale nic sobie nie złamał.

– Sam? – szepnął Quinn, tak cicho, że dźwięk zniknął o centymetry od jego warg.

Z kieszeni wygrzebał latarkę. Jego wzrok przywykł do ciemności. Blask wydawał się oślepiający. Zamrugał powiekami. Skierował snop światła przed siebie.

Tam, w odległości niecałych trzydziestu metrów, rysowała się ludzka sylwetka. Poruszyła się.

– Caine?

Caine obrócił się powoli. Miał pobladłą twarz, od której odcinały się czerwone obwódki oczu.

Podniósł się powoli, niczym starzec z artretyzmem.

Quinn podbiegł do niego i zaświecił wokół latarką, omiatając światłem okolicę. Zobaczył leżącego twarzą ku ziemi Sama.

Tam, z rękami opuszczonymi przy bokach, stała Lana.

– Lana – powiedział Quinn.

– Czy ja żyję? – spytała.

– Żyjesz, Lano – zapewnił. – Jesteś uwolniona.

Mroczny cień przebiegł przez jej twarz. Jej usta wykrzywiły się w dół. Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Quinn położył jej rękę na ramieniu.

– Nie zostawiaj nas, Uzdrowicielko. Potrzebujemy cię.

Lana stanęła.

– Ja... – zaczęła.

– Lano – powtórzył. – Potrzebujemy cię.

– Zabiłam Edilia – powiedziała.

– Jeszcze nie – odparł Quinn.

Mary Terrafino obudziła się, czując smak i zapach ryby.

Natychmiast odwróciła twarz. Ta woń była wstrętna.

Dzikim wzrokiem rozejrzała się dookoła. Zdumiała się, że jest skrępowana. Przywiązana do fotela w swoim gabinecie w przedszkolu.

– Co ja tu robię? – spytała ze zdziwieniem.

– Jesz obiad – odparł jej młodszy brat.

– Przestań! Nie jestem głodna. Przestań!

John trzymał przed nią łyżkę. Jego anielska twarz pociemniała z gniewu.

– Mówiłaś, że mnie nie zostawisz.

– O czym ty mówisz? – spytała Mary.

– Powiedziałaś, że tego nie zrobisz. Ze mnie nie zostawisz – powiedział. – Ale próbowałaś, prawda?

– Nie wiem, co ty bredzisz. – Wtedy zauważyła Astrid, opartą o szafkę na dokumenty. Dziewczyna wyglądała, jakby przeciągnięto ją przez kłębowisko walczących psów. Mały Pete siedział po turecku, kołysząc się w przód i w tył. Powtarzał coś raz za razem.

– Żegnaj, Nestor. Żegnaj, Nestor.

– Mary, masz zaburzenia odżywiania – powiedziała Astrid. – Sprawa wyszła na jaw. Więc daruj sobie te bzdury.

– Jedz – nakazał John i wepchnął jej do ust pełną łyżkę. Niezbyt delikatnie. – Przełknij – powiedział.

– Czekaj...

– Zamknij się, Mary – warknął.

Najpierw Diana. Caine nie pozwoliłby na inny wybór.

Potem Edilio, który był tak bliski śmierci, że Lana doznała wizji chłopaka z ręką na bramie Nieba.

Dekka. Straszliwie poraniona. Ale żywa.

Brianna, z włosami w strąkach.

A na koniec Sam.

Quinn wyciągnął go na linie, przy dużej pomocy Caine'a.

Lana siedziała wśród kurzu, podczas gdy wschodziło słońce.

Quinn przyniósł jej wody.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Mogła wypowiedzieć słowa, które chciał usłyszeć, ale wiedziała, że on i tak nie uwierzy.

– Nie – odrzekła.

Chłopak usiadł przy niej.

– Caine i Diana odeszli. Sam śpi. Dekka... Chyba jeszcze z tego nie wyszła.

– Nie mogę nikogo wyleczyć ze wspomnień – powiedziała tępo Lana.

– Nie – zgodził się. – Pewnie gdybyś mogła, zaczęłabyś od siebie.

Otoczył ją ramieniem, a ona zaczęła płakać. Zdawało się, że nigdy nie przestanie. Ale nie czuła się z tym źle. A Quinn jej nie opuszczał. Z oddali dobiegł dźwięk silnika.

Quinn odezwał się:

– Hej, Brianna pomknęła z powrotem do miasta. Przywiozła Astrid i kogoś jeszcze.

Lany to nie obchodziło. Miała wrażenie, że już nigdy nic jej nie ruszy.

Ale po chwili rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi samochodu. I nagle znalazł się przy niej Patrick, natarczywie wciskając zimny, wilgotny nos w jej szyję.

Lana objęła go, przytuliła i załkała w jego sierść.

Rozdział 47

Następnego dnia było już późno, gdy Edilio w końcu zdołał się zmusić, by zająć się najpilniejszym zadaniem. W końcu uruchomił koparkę i wykopał dwa doły w rogu placu.

Mickey Finch. Z dziurą od kuli w plecach.

Brittney, tak mocno pokiereszowana, że nikt nie mógł na nią patrzeć. Wydawało się, że przyczepił się do niej jakiś robal, półmetrowe stworzenie, którego nie dało się od niej oderwać.

W końcu pochowali to coś razem z nią. W końcu nie żyła. Nie powinna się przejmować.

Dla Ducka Zhanga nie było dołu. Ale postawili mu krzyż. Przeszukali jaskinię najdokładniej, jak mogli. Ale znaleźli tylko dziurę, która opadała i opadała, zdawało się, że bez końca.

Dziura zapadała się, gdy Sam zaświecił w dół swoim blaskiem. Wypełniała się już całymi tonami kamieni i ziemi.

– Nikt nie znał Ducka zbyt dobrze – powiedział Sam podczas pogrzebu. – Nie sądzę, by ktoś się domyślał, że zostanie bohaterem. Ale uratował nas wszystkich. Zrobił to z własnej woli. Dokonał wyboru i oddał za nas życie.

Na grobach położyli kilka kwiatków.

Po ceremonii Edilio wziął farbę w spreju i zaczął zamalowywać znaki „EL", które pojawiły się na zbyt wielu ścianach.

TRZY DNI PÓŹNIEJ

– Więc jak to ma działać, Albercie? – spytał Sam. Nie był tak zainteresowany, jak być powinien. Pewnie dlatego, że niewiele spał. Za dużo pracy. Za dużo do ogarnięcia.

Skończył. Powiedział to im wszystkim: skończył. Przestał być tym Samem Temple. Od tej chwili chciał być tylko dzieciakiem. Jak każdy inny. Nikim szczególnym.

Ale jeszcze nie. Na razie było jeszcze zbyt wiele do zrobienia. Trzeba było nakarmić pozostałych. Jakoś załatać potworny rozdźwięk.

I wspomnienia cierpień, z którymi należało się jakoś pogodzić, jakoś przyjąć je i zaakceptować.

Znaleźli się na skraju pola kapusty. Sam, Astrid, Albert, Edilio i Quinn.

Quinn stał na skrzyni pickupa w kaloszach na nogach. W półciężarówce było kilkanaście słynnych niebieskich nietoperzy Ducka. Wyciągali je rybacy Quinna i Alberta. Doskonałe białko, ale tak paskudne, tak wstrętne, że nawet bardzo głodni nie byli w stanie go przełknąć.

– Rozdajemy każdemu określoną ilość złota – tłumaczył Albert. Przynajmniej on był podekscytowany. – Potem, jeśli ktoś będzie chciał, wymieni je na papierową walutę, na żetony z McDonald'sa. Złoto będzie przechowywane w centralnym skarbcu. Można wracać i kupować je za swoją walutę, kiedy tylko się chce. Dzięki temu każdy będzie wiedział, że ta waluta ma stałą wartość.

– Mhm – mruknął milionowy raz Sam. Stłumił ziewnięcie najlepiej, jak umiał.

Przez trzy dni, jakie minęły od grozy w jaskini, Sam działał na

najwyższych obrotach. To było nie do ogarnięcia. Jedna kryzysowa sytuacja po drugiej.

Znaleźli Zila. Miał trzy złamane żebra i cierpiał nieznośny ból. Nikt mu szczególnie nie współczuł. Astrid chciała zamknąć go w więzieniu. Sam miał jednak na głowie zbyt wiele innych problemów.

W Perdido Beach ciągle pojawiały się świeże graffiti, wymierzone w odmieńców.

Mary jadła, ale Astrid ostrzegała, że to jeszcze niewiele znaczy. Mary jeszcze długo nie będzie zupełnie zdrowa.

Elektrownia została uszkodzona i pewnie naprawa okaże się niemożliwa. Nikt nie miał światła. Zapewne na zawsze.

W ETAP-ie zapanowała ciemność.

Jack jednak znowu był z nimi i mógł się zrehabilitować, gdyby uruchomił wszystko z powrotem. Stał teraz niepewnie obok Brianny. Dekka obserwowała ich i zachowywała milczenie.

– Zróbmy to – powiedział Sam do Quinna. Potem zwrócił się do Astrid: – Założę się o pięć 'Bertów, że to się nie uda.

Howard zlekceważył stworzoną przez Alberta listę nazw nowej waluty i ochrzcił je „Albertami". 'Berty. Nazwa przylgnęła. Howard miał szczególny talent do wymyślania nazw.

– Nie chcę pieniędzy – odparła dziewczyna. – Chcę ci obciąć włosy. Lubię widzieć twoją twarz. Chociaż nie rozumiem, dlaczego.

– Stoi. – Sam uścisnął jej dłoń, pieczętując zakład.

– Gotowi? – zawołał Quinn.

– Orc, jesteś gotowy? – spytał Sam.

Orc skinął głową.

– Zrób to – powiedział Sam.

Quinn podniósł jednego z niebieskich nietoperzy i rzucił go na pole kapusty. W mgnieniu oka opadły go dżdżownice. W ciągu kilku sekund na polu pozostały tylko kości, jak po indyku po uczcie na Święto Dziękczynienia.

– Dobra, wypróbujmy to – nakazał Sam.

Quinn rzucił drugiego nietoperza Orcowi. Tamten go złapał i wszedł na pole. Po kilkunastu krokach rzucił go przed siebie.

Znowu pojawiła się masa robali. I znowu zostawiły z nietoperza same kości.

– Dobra, Orc – powiedział Sam.

Tamten pochylił się i zerwał kapustę.

Cisnął ją z powrotem, pod nogi Sama. Po chwili przyszedł czas na drugą i trzecią główkę.

Zębaki w ogóle na niego nie ruszyły.

Ale nie zyskają pewności, dopóki stworzenia nie dostaną czegoś lżej strawnego niż kamienne stopy Orca.

– Bryzo? – odezwał się Sam.

Brianna wzięła nietoperza i pomknęła na pole. Sam czekał w napięciu. Wiedział, że jest szybsza od dżdżownic, ale mimo wszystko...

Rzuciła nietoperza. Zębaki rzuciły się na niego.

Zerwała z ziemi główkę kapusty.

– Wiesz – powiedziała Astrid – zdaje się, że pamiętam czyjąś protekcjonalną... żeby nie powiedzieć pogardliwą... odpowiedź, kiedy pierwszy raz zaproponowałam negocjacje z zębakami.

– Hmm – mruknął Sam. – Kto mógł być na tyle głupi, żeby traktować

cię protekcjonalnie?

– A, taki jeden łysol, którego znam.

Westchnął.

– Dobra. Dobra. Bierz nożyczki i rób swoje.

– W sumie – odparła – najpierw musisz zrobić coś innego.

– Zawsze coś jest – stwierdził ponuro.

Quinn podszedł do nich i przeprosił, że śmierdzi rybą.

– Bracie, nie przepraszaj. Masz swój wielki wkład w powstrzymanie głodu.

Drugim powodem, dla którego zagrożenie powszechnym głodem zostało oddalone, przynajmniej na jakiś czas, był Hunter. W znacznej mierze odzyskał sprawność, choć jego mowa zdawała się już na zawsze upośledzona, a jedno oko opadało nad wygiętymi w dół ustami.

Postawiono mu zarzut zabójstwa Harry'ego. Został skazany na wygnanie z Perdido Beach. Miał żyć oddzielnie, ale zgodnie z imieniem, które nadali mu rodzice. [Hunter – po angielsku myśliwy, *(przyp. tłum.)]*

Jak dotąd Hunter upolował drugą sarnę i wiele mniejszych zwierząt. Zostawiał je przy rampie dla dostawców za sklepem Ralph's. Nie prosił o nic w zamian.

Dekka schyliła się i podniosła jedną z główek kapusty.

– Będzie świetnie pasowała do pieczonego gołębia.

Proces Huntera przeprowadził sześcioosobowy sąd, zgodnie z zasadami ustalonymi przez Radę Tymczasową. W jego skład weszli: Sam, Astrid, Albert, Edilio, Dekka, Howard i najmłodszy z członków, brat Mary, John Terrafino.

– To co, wracamy do roboty, nie? – powiedział Sam.

– Wsiadajcie do samochodu – rzuciła Astrid.

– A co...

– Ujmę to inaczej. Z polecenia Rady Tymczasowej: wsiadajcie do samochodu.

Stanowczo odmawiała wyjaśnień w drodze powrotnej do miasta. Edilio prowadził, równie milczący.

Zatrzymał pojazd na parkingu przy plaży miejskiej.

– Po co idziemy na plażę? Muszę wracać do ratusza. Mam tyle spraw...

– Nie teraz – odparł z naciskiem Edilio.

Sam przystanął.

– Co się dzieje?

– Mam być szeryfem, tak? To moja nowa funkcja? – powiedział Edilio. – Dobra, w takim razie cię aresztuję.

– Aresztujesz? O czym ty mówisz?

– Jesteś aresztowany pod zarzutem próby zabójstwa dziecka o nazwisku Sam Temple.

– To nie jest śmieszne.

Lecz Edilio nie ustępował.

– Próby zabójstwa dziecka... tylko dziecka... o nazwisku Sam Temple. Wywoływania u niego stresu nadmiarem obowiązków.

Sama to nie bawiło. Z gniewem odwrócił się w kierunku miasta. Z tamtej strony jednak deptała mu po piętach Astrid. A także Brianna. I jeszcze Quinn.

– Co wy wszyscy wyprawiacie? – spytał Sam.

– Przeprowadziliśmy głosowanie – odparła Astrid. – Wynik był jednogłośny. Z polecenia Rady Tymczasowej Perdido Beach, skazujemy cię, Samie Temple, na odpoczynek.

– Dobra. Odpocząłem. Mogę teraz wracać do pracy?

Złapała go za ramię i pociągnęła przez plażę.

– Wiesz, co jest ciekawe? Powiem ci. Niewielkie zaburzenie w głębokiej wodzie tworzy zmarszczkę na powierzchni, która blisko brzegu może się stać potężną falą.

Sam zauważył, że ktoś rozstawił na plaży namiot. Wyglądał na pusty.

Na morzu powoli płynęła łódź, z silnikiem powarkującym na niskim biegu.

– Czy na tej łodzi jest Dekka? – spytał Sam.

Doszli do namiotu. Na piasku leżały dwie deski surfingowe. Jedna Quinna. A druga Sama.

– Twój kombinezon jest w środku, bracie – oznajmił Quinn.

Sam opierał się. Ale niedługo. W końcu rada stanowiła teraz władzę. I skoro ona nakazywała mu surfowanie, to cóż...

Dziesięć minut później leżał twarzą w dół na swojej desce. Czuł już mrowienie w stopach od zimnej wody. Słońce przypiekało jego plecy w piankowym kombinezonie. W ustach czuł smak soli.

Łódź rzuciła kotwicę. Dekka stanęła na dziobie i wysoko podniosła ręce. Woda zaczęła się unosić, duża kula wody, chwilowo uwolniona od działania siły ciążenia.

Dekka opuściła ją i zaczęły się rozchodzić fale.

– W ogóle pamiętasz, jak się na to wsiada? – zadrwił Quinn.

Fala zaczęła rosnąć. Szybko się poruszała. Wkrótce stanie się naprawdę duża. Może nie taka, jak na północnym brzegu wyspy Oahu, ale wystarczająca do surfingu.

W końcu Sam się uśmiechnął.

– Wiesz co, bracie? Chyba właśnie sobie przypomniałem.

W dole. Bez światła. Bez dźwięku.

Nie było słychać nawet bicia serca.

Nic się nie ruszało, z wyjątkiem bladego robala, który dzielił z nią to straszliwe miejsce.

***Módl się za mnie Tanner,* błagała Brittney.**

Módl się za mnie...